
3 1761 05606853 9

JOACHIM LELEWEL.

TEGOŻ AUTORA:

Mickiewicz jako polityk — Kraków, 1908.

Maurycy Mochnacki — Lwów, 1910.

Powstanie Kościuszkowskie — Warszawa, 1917.

Powstanie Listopadowe — Kraków, 1912.

Konstytucja 3 Maja — Warszawa, 1916.

W opracowaniu i z przedmową tegoż autora

MAURYCEGO MOCHNACKIEGO — PISMA

po raz pierwszy edycją książkową objęte.

Lwów, 1910.



ARTUR ŚLIWIŃSKI

JOACHIM LELEWEL

ZARYS BIOGRAFICZNY

LATA

1786 — 1831





1918

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

LUBLIN, NAMIESTNIKOWSKA 23.



Druk Piotra Laskauera, Warszawa, Marjensztad 8.

Geprüft und auch für die Ausfuhr freigegeben durch die Kais. Deutsche Presse-abteilung. Warschau, den 14/III 1918. T. № 9450. Dr. № 637.

PRZEDMOWA.

Powstanie Listopadowe, posiadające bardzo bogatą literaturę, do dnia dzisiejszego nie zostało opracowane krytycznie. W ostatnich latach przybyło sporo cennego materyału, pozwalającego wniknąć głębiej w dzieje tragicznej walki, ale wiele wypadków dotąd domaga się wyjaśnień, a wielu wybitniejszych tej walki uczestników, którzy przeszli do pamięci potomnych w oświetleniu takiem, jakie rzucili na nich współcześni, wygląda zgoła inaczej w świetle prawdy, bijącem z nowych, nieznanych lub niedostępnych dotąd źródeł i dokumentów. Bardzo dużo cennego materyału do charakterystyki wypadków i ludzi z doby powstania, dostarczają dzieje emigracyi, która przez lat trzydzieści rozpamiętywała w istnem piekle potępieńczych kłótni i swarów ubiegłe wydarzenia i przez lat trzydzieści była jakby nieustającym sądem nad wszystkimi, których burzliwa fala dziejów wyniosła na widownię życia ówczesnego. Tymczasem Wielka Emigracya Polska dopiero w ostatnich czasach zwróciła na siebie uwagę naszych historyków. Dzieje tych „dziesięciu tysięcy"[1], co z różnych krańców świata poglądali tęsknie ku utraconej Ojczyźnie i tysiącem wysiłków drogę do niej próbowali sobie wyrąbać, owe dzieje wieloletnich zawodów, walk

[1]) Liczba emigrantów polskich po upadku Powstania Listopadowego dotychczas nie została ustalona. Najczęściej podają ją na 10,000. Według obliczeń *Noworocznika Demokratycznego* z r. 1842, a więc w jedenaście lat po upadku powstania, emigrantów polskich, tułających się po całym świecie, miało być 7,000.

i udręczeń, otaczał długo mrok nieprzenikniony. Dopiero trzytomowa praca Gadona, acz pobieżna i bardzo daleka od wyczerpania tematu, przyniosła trochę faktów z owej mrocznej doby.[1]) W ostatnich latach przybyło kilka dzieł nowych[2]) — i oto, wydarte głębiom zapomnienia postaci, zaczęły się ukazywać przed oczyma współczesnych. Ale w szeregu tych postaci, powołanych na nowo do życia, niema jeszcze wielu godnych przypomnienia działaczów, a przedewszystkiem niema Joachima Lelewela.[3]) Wprawdzie znakomity uczony nigdy nie należał do tych, o których możnaby całkowicie zapomnieć, wprawdzie i we wspomnianych pracach niejedną zajmuje kartę, ale życiorysu obszerniejszego dotychczas się nie doczekał.

Wiele przyczyn wytworzyło tę lukę w historyografii naszej, a główną z nich był zapewne ogrom pracy, czekającej każdego, ktoby się odważył Lelewelem zająć. To też pług naukowy nie przeorał jeszcze pozostawionej przez niego puścizny pisarskiej. Działalności jego nie tknęły poważniejsze badania. Krytycyzm nie rozwikłał splotu przeciwieństw, z jakich pozornie składa się żywot niemal każdej wybitniejszej postaci. Pozostała jedynie legenda Lelewelowska. A legenda ta mówi o ty-

---

1) Lubomir Gadon: Emigracya polska. W Krakowie 1901.

2) Obok kilku prac o Maurycym Mochnackim, a przedewszystkiem pięknej i cennej pracy Jana Kucharzewskiego, ukazały się dużej wartości dzieła B. Limanowskiego (*Stanisław Worcell,* Kraków bez roku wydania, oraz *Szermierze wolności* b. r. wyd. Kraków) i Michała Sokolnickiego: *Les origines de l'emigration polonaise en France*, Paris, 1910. Nadto ukazały się w druku ciekawe i cenne przyczynki do dziejów emigracyi, jako to: *Pamiętnik Jana Olrycha Szanieckiego*—wydał Marceli Handelsman, Warszawa 1912, *Dola i niedola Jana Olrycha Szanieckiego*, korespondencya J. O. Szanieckiego z J. Lelewelem. Wydał... Stanisław Posner, Warszawa 1912; Józef Freilich: Legion generała Bema w walce o sukcesyę portugalską. Warszawa 1912.

3) Najobszerniejszą z istniejących biografii Lelewela jest praca Henryka Szmitta, drukowana w r. 1858 w „Dzienniku Literackim" we Lwowie (№ 82—89 i 116—117). Dużą wartość posiada rozprawa, pisana przez dwóch cudzoziemców p. t. *Życie Lelewela w Belgii.* Autorowie rozprawy tej, Kamil Picqué i Eugeniusz Van Bemmel, piszą nie tylko o życiu Lelewela, ale i o jego pracach naukowych. Nie szczędząc uwag krytycznych, oddają wielkiemu uczonemu polskiemu hołd w wyrazach pięknych i podniosłych. Rok 1908 przyniósł nowe i cenne, acz bardzo krótkie studyum o Lelewelu Stanisława Krzemińskiego. Wiek XIX. Sto lat myśli Polskiej. Warszawa 1908.

tanie nauki i bezdomnym, pogrążonym w nędzy i bólu starcu-rewolucyoniście, co przygotował powstanie, a później z ziemi wygnania słał nieustannie do Polski swe krwawe manifesty i swoich emisaryuszów, wzywając nowe pokolenia do dalszej walki, do dalszych ofiar i poświęceń. Pozostało jeszcze mgliste wspomnienie o tem, że straszne imię Lelewela przez lat kilkadziesiąt tułało się po szpaltach czasopism całego świata, a wszędzie symbolizowało nieszczęścia Polski, wyobrażało jej rozpacz i jej żywotność; że to głośne imię, znienawidzone przez wszystkie rządy Europy, otaczane było miłością i szacunkiem w najszerszych kołach demokracyi ówczesnej. Pozostały wreszcie opinie współtułaczów, towarzyszów doli i niedoli Lelewela.

Opinie te są najczęściej stronnicze.

Przechodził bowiem Lelewel, jak niemal każda wybitniejsza jednostka w Polsce, przez całe piekło bezwzględności ludzkiej, przez grzązkie błoto plotek i potwarzy. Od dnia 29 listopada 1830 roku aż po ostatnie lata długiego żywota, pełzała wkoło niego zawiść i ze wszech stron opasywał go mur twardej nieufności. Przypisywano mu najstraszniejsze zamiary, pomawiano go o czyny haniebne. Naraz nastąpił zwrot gwałtowny. Lelewel stał się odrazu postacią jasną i piękną, mężem bez plamy, działaczem bez zarzutu. A stało się to wówczas, gdy nad świeżą mogiłą wyklinanej potęgi zapłonęły pochodnie panegiryku...

Do zadań biografów należeć będzie zrewidowanie owej legendy i rozwikłanie wszystkich sprzeczności, związanych z imieniem Lelewela. Nie jest to zadanie łatwe. Epoka, w której wielki uczony żył i działał, zaczyna być dopiero badana. I ta epoka, to pierwsza z szeregu trudności, z któremi każdy biograf będzie miał do czynienia. A trudności są liczne. Już w pierwszej chwili, gdy usiłujemy jednym rzutem oka ogarnąć różnorodność zjawisk, związanych z samem wspomnieniem Lelewela, dostrzegamy odrazu dwie dziedziny odrębne. Obok Lelewela-działacza, Lelewela-polityka staje Lelewel-nauczyciel, Lelewel-uczony. Obie dziedziny jednakowego wymagają uwzględnienia: chcąc poznać jakąkolwiek postać historyczną, trzeba ją zgłębić całą. Niestety, powiedzieć można napewno, że Lelewel nieprędko doczeka się takiego zgłębienia. A dotyczy to przede-

wszystkiem tej dziedziny, w której zasługi jego są najtrwalsze i najgodniejsze podziwu potomnych.

„Nauka, — powiedział Lelewel,—była zatrudnieniem całego mego życia; jest ona moją drugą ojczyzną; jeżelim kiedy oddał jaką usługę memu krajowi, to nie gdzieindziej, tylko na polu nauki"[1]).

I rzeczywiście na tem polu dokonał dzieł nieprawdopodobnych, wręcz bezprzykładnych. Jego niezgłębiona, jak morze, erudycya pozwalała mu wkraczać w najróżnorodniejsze dziedziny wiedzy i pracować w nich z zupełną swobodą. To też badacz puścizny naukowej Lelewela musi być nie tylko historykiem w szerokiem znaczeniu tego słowa, ale nadto powinien być niepoślednim znawcą geografii, historyi geografii i geografii politycznej, powinien być na wielką skalę bibliografem, archeologiem i numizmatykiem, powinien umieć ocenić prace Lelewela, wkraczające w dziedzinę prawa, językoznawstwa i t. d. Otóż dość powziąć zamiar zbadania krytycznego tylu dzieł różnorodnych, aby zaraz po pierwszych próbach cofnąć się przed przytłaczającą potęgą wiedzy, skupionej w jednym człowieku.[2])

Autorowie cennego studyum o działalności naukowej Lelewela, Kamil Picqué i Eugeniusz van Bemmel, zdumieni byli ogromem wiedzy i wszechstronnością znakomitego Polaka.

„Żaden historyk, żaden publicysta, żaden uczony, — utrzymują oni, — nie stworzył odrazu tylu dzieł pożytecznych". Niemniejszy podziw, niż same dzieła, budziła w owych cudzoziemcach wszechstronność Lelewela, o której dopiero osobiste rozmowy z uczonym Polakiem mogły dać należyte pojęcie. „Rozmowy jego,—powiadają cytowani autorowie, — były bardzo zajmujące, umiał je urozmaicać z niewypowiedzianym wdziękiem. Zdawało się, *że świat cały jest mu znany*.[3])"

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Poznań 1864, Tom. XX, str. 564.

[2]) Piśmiennictwo polskie posiada zaledwie jedną pracę, poświęconą działalności naukowej Lelewela i to tylko na polu geografii. St. Warnka: Joachima Lelewela zasługi na polu geografii. Poznań 1878.

[3]) Revue de la numismatique belge, 4 serie, Tom. I Bruxelles 1863. Pracę te obejmują „Materyały, dotyczące Joachima Lelewela, z pism belgijskich przez członków Stowarzyszenia Polskiego im. Joachima Lelewela zebrane w Brukseli 1911—1913" (Rękopis).

Tyle cudzoziemcy. A prof. Korzon w rozprawie, poświęconej działalności naukowej Lelewela, wypowiada te znamienne słowa:

„Rzetelne sprawozdanie z zawartości i wartości takiego ogromu pracy umysłowej wymagałoby grubego tomu *i kilkoletniego przygotowania.* Nie stać mię na to".[1])

Możnaż wobec takiego wyznania przypuszczać, że znajdzie się prędko biograf, który zgłębi liczne, obszerne dzieła Lelewela, przetrawi kilkaset pomniejszych jego rozpraw, studyów, artykułów, wkraczających w najrozmaitsze gałęzie wiedzy, zgłębi stan tej wiedzy w Europie ówczesnej i, na podstawie badań porównawczych, wyznaczy śród uczonych owego czasu stanowisko Lelewelowi, a następnie wykaże, jakie miejsce w świecie naukowym zajmuje on dzisiaj.

Wyczerpującą pracę o działalności naukowej Lelewela tylko drugi Lelewel mógłby z powodzeniem napisać. Czy znajdzie się u nas taki wszechstronny uczony i prędko? Trudno odpowiadać na tego rodzaju pytanie, ale to pewna, że uczonego tej miary i powagi mogłaby już dzisiaj zastąpić praca zbiorowa, podjęta przez nasze instytucye naukowe. Bo tylko od nich wyjść może inicyatywa tak olbrzymiej i poważnej pracy. Miejmy nadzieję, że prędzej czy później nauka polska spłaci dług temu, którego zwykła stawiać w gronie największych uczonych Polaków!...

Tymczasem historycy, idący luzem, mają przed sobą zadanie mniej trudne: odtworzenie życia i działalności Lelewela. Ale i to „mniej trudne" zadanie do bardzo trudnych należy, gdyż i pozanaukowa działalność Lelewela również olbrzymią ogarnia przestrzeń. Związana jest z dziejami oświaty w epoce Królestwa Kongresowego i z ruchem, poprzedzającym wybuch powstania. A w samem powstaniu jest znakomity dziejopis jedną z postaci, które fala dziejowa wynosi na szczyty pamiętnych wydarzeń. Nie mniejsza jest rola jego na tułactwie. Dwóch przywódców miała Wielka Emigracya. Obaj z dwóch przeciwległych krańców reprezentowali wobec świata Polskę oraz koncentrowali na sobie uwagę i skupiali nadzieje rodaków. Jednym

[1]) **Tadeusz Korzon. Pogląd na działalność naukową J. Lelewela. Lwów 1897; str. 7.**

z tych przywódców był książę Adam Czartoryski, drugim — Lelewel. To też biograf, chcący ogarnąć całokształt działalności Lelewela, jako nauczyciela, polityka i działacza, ma przed sobą materyał olbrzymi, zaledwie tknięty przez nowsze badania. A trzeba dodać, że bardzo znaczna ilość tego materyału spoczywa dotąd w manuskryptach. Sam Lelewel pozostawił po sobie ogromną korespondencyę. Do przyjaciół swoich, a miał ich wielu, pisywał długo i często. W jednym z jego nieprzeliczonych listów znajdujemy następującą uwagę:

,,Wiedz, że jeżeli masz przyjaciela, uczęszczaj do niego. Prędko bowiem droga zarośnie zielskiem i drzewem, jeśli chodzić nie będziesz, mówi księga Hawamaal. Czem są w blizkości wizyty, tem w oddaleniu listy i dlatego wziąłem się do pióra, żeby ścieżki do serca pańskiego odświeżyć''[1]).

Otóż Lelewel nie dopuszczał do tego, aby droga do serc jego przyjaciół porastała zielskiem i odświeżał, bardzo często odświeżał ,,ścieżki'', do serc tych wiodące. A przyjaciele nie pozostawali dłużni w odpowiedzi. W ten sposób utworzyła się olbrzymia korespondencya. W jednym Rapperswilu znajduje się z górą tysiąc listów samego Lelewela i ze dwa razy tyle listów, do Lelewela pisanych. W innych bibliotekach również nie brak niewydrukowanej dotąd korespondencyi Lelewelowskiej. Pozatem istnieją całe stosy rękopiśmiennych sprawozdań, odezw, protokułów, mających związek z organizacyami, w których wielki uczony żywy i gorący brał udział. To przecież jeszcze nie wszystko. Obok pokaźnej literatury, dotyczącej dziejów Litwy i Królestwa Kongresowego, pozostaje bardzo obfity a nieopracowany krytycznie materyał do historyi Powstania Listopadowego oraz rzadkie, a ilościowo bardzo poważne piśmiennictwo emigracyjne, bez którego niepodobna przystąpić nie tylko do pracy nad dziejami emigracyi, ale i nad dziejami powstania. Niemal w każdej broszurze, w każdym zeszycie czasopism, wydawanych przez emigracyę, powtarza się nazwisko Lelewela, a te zeszyty i broszury stanowią bibliotekę pokaźną. Już samo przewertowanie owych materyałów rękopiśmiennych wraz z literaturą odnośną stanowi zadanie nielada. Ale wykonanie tego zadania

[1]) List do Onacewicza z d. 27 II. 1819. Rękopis w bibl. ord. hr. Krasińskich.

nie wszystkie usuwa przeszkody. Zarówno w historyi powstania, jak i w historyi Wielkiej Emigracyi, ślady różnych przedsięwzięć, dzieje wielu godnych uwagi zamierzeń, spotykanych w źródłach rękopiśmiennych, nikną bardzo często i nawiązane nici rwą się niespodzianie. Powstają luki, mnożą się pytania, na które w obecnym stanie naszej wiedzy nadaremnie szukalibyśmy odpowiedzi. To znowu w listach Lelewela spotyka się mnóstwo nazwisk, należących do ludzi, z którymi łączyły go najróżnorodniejsze stosunki, interesy, cierpienia. Sfera tych stosunków była olbrzymia. I oto przed oczyma biografa wyrasta nowa góra trudności. Bo i jakże tu wskrzesić ów tłum, najczęściej zapomnianych uczonych, działaczów, przyjaciół, przeciwników, kolegów, nauczycieli i uczniów Lelewela, a następnie każdemu z tego tłumu wyznaczyć miejsce odpowiednie do roli, jaką w życiu Lelewela odegrał? Brak opracowań monograficznych wielce zadanie to utrudnia.

Biografia znakomitego męża, w tak nieprzyjaznych warunkach podjęta, musi być pełną opuszczeń.

Niedarmo słyszymy dość często, że zbyteczne i przedwczesne jest pisanie wszelkich biografii wtedy, kiedy praca nad epoką, którą biograf uwzględnić musi, znajduje się dopiero w okresie przygotowawczym. Trudno przecież kierować się tą słuszną w pewnym stopniu zasadą. Bo jeślibyśmy zgodzili się na nią, to o której biografii powiedziećby można, że nie była przedwczesna? Faktem jest przecie, że każda epoka badań historycznych przynosi nie tylko nowe, nieznane w epokach poprzednich źródła, ale zarazem nowe metody, nowe poglądy i nowe wymagania. A jednak, śledząc rozwój historyografii, widzimy ścisłą łączność pomiędzy poszczególnemi epokami, widzimy, że najdalej sięgające przeciwstawienia mają swoje źródło i uzasadnienie w granicach pracy dokonanej.

Praca niniejsza jest pierwszą próbą życiorysu Lelewela aż do epoki Wielkiej Emigracyi.[1]) Książka ta uwzględnia jego puściznę naukową o tyle tylko, o ile ta puścizna ma związek z życiem i działalnością znakomitego działacza *poza nauką*. Nie ulega kwestyi, że z czasem powstanie, bo powstać musi ca-

---

[1]) Praca, obejmująca epokę emigracyjną, znajduje się w przygotowaniu.

ły gmach wiedzy o Lelewelu. Otóż, jeśli w budowaniu owego gmachu korzyść przyniesie i praca niniejsza, zadanie jej będzie spełnione. A cel całkowity osiągnie, jeśli zdoła wzbudzić zainteresowanie się szersze tą niezwykłą a tak mało dziś znaną postacią, jeśli zapoczątkuje dalsze nad nią badania i przybliży chwilę, w której wielki uczony i wielki patryota polski doczeka się w piśmiennictwie naszem wszechstronnej oceny i należnego hołdu.

W pracy nad biografją Lelewela, obok niezwykle bogatych, zwłaszcza do roku 1831-go i doby emigracyjnej zbiorów w Muzeum Narodowem w Rapperswilu, korzystałem z rękopisów, znajdujących się w Bibliotece ordynacyi hr. Krasińskich i Archiwum Głównem w Warszawie, w Bibliotece Jagiellońskiej i Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, w Bibliotece Polskiej w Paryżu, ze zbiorów rękopiśmiennych po Leonie Zienkowiczu (te ostatnie znajdują się w posiadaniu prywatnem) oraz z rękopisów, użyczonych mi łaskawie przez rodzinę znakomitego historyka. Pan Jan Lelewel dał mi uprzejmie do zużytkowania cenne, a niewydane dotąd *Pamiętniki*, oraz notaty Prota Lelewela,[1]) rzucające dużo światła na stosunki rodzinne i domowe, a szczególniej na lata dziecięce i młodość Joachima. Pan Erazm Samotyha dostarczył mi łaskawie duży rękopis, będący owocem szlachetnej pracy zbiorowej, a zawierający „*Materyały. dotyczące Joachima Lelewela,* z pism belgijskich przez członków Stowarzyszenia Polskiego im. J. Lelewela, zebrane w Brukseli 1911—1913." Pan Władysław Korotyński udzielił mi kilku rzadkich druków i kilka cennych dla pracy nad Lelewelem wskazówek,[2]) p. Jan Zakrzewski kopie listów, pisanych do Lelewela przez Elżbietę Mickiewiczową.

Szanownej rodzinie państwa Lelewelów, zarządom Bibliotek, wymienionym Osobom oraz tym wszystkim, którzy ułatwili mi poszukiwania, składam na tem miejscu serdeczną podziękę.

---

[1]) Pamiętniki te zatytułowane są w oryginale; „Opowiadanie z czasu od schyłku ośmnastego wieku, przypisane wnukom".

[2]) Autor czynił jeszcze poszukiwania w Cesarskiej Bibliotece Publicznej w Petersburgu. Znalazł tam jeden tylko rękopis Lelewela i „Memorye, czyli kopie posiedzeń Rządu Ces. Wil. Uniwersytetu" z r. 1823-go.

I.

RODZINA LELEWELÓW.

Joachim Lelewel należy do szeregu tych znakomitych mężów naszych, którzy wprawdzie na ziemi polskiej ujrzeli światło dzienne, ale nie byli rdzennymi Polakami. Przodkowie Joachima z obcych krajów przybyli do Rzeczypospolitej. Z czasem zżyli się z jej dolą i niedolą, zdobyli sobie imię dobre i szanowane, a w końcu wydali pokolenie, co rzetelną pracą, rozumem, nauką, wreszcie krwią, przelaną w bitwach o wolność, szczodrze wywdzięczyło się Polsce za gościnność, okazaną dziadom.[1])

W linii męskiej przodkowie Lelewela, jak głosiła tradycya rodzinna, pochodzili z Austryi. Według tejże tradycyi, jako Loelhoeffel de Lövensprung, przesiedlili się do Prus i tu „otrzymali indygenat Rzeszy Niemieckiej. Tak uprzywilejowani, rozgnieździli się w Prusiech niedaleko Królewca, koło Insterburga, gdzie się rozrodzili na dwa szczepy: starszy — Loelhoeffel de Löwensprung, młodszy — Loelhoeffel de Löwensprung-Insterburg"[2]). Nazwisko to nie miało ustalonej pisowni i nawet w ak-

---

[1]) Cennym przyczynkiem do poznania rodowodu Lelewela jest źródłowa praca Wincentego Korotyńskiego p. t. *Rodzina Lelewelów*, drukowana w „Tygodniku Powszechnym" z r. 1882. Parę nowych szczegółów w tej materyi przyniosła praca prof. Korzona, który zużytkował rękopiśmienny pamiętnik Netrebskiej, znany już zresztą i Korotyńskiemu. Praca ta p. t. „Joachim Lelewel" wydrukowana została w „Albumie biograficznym zasłużonych Polaków i Polek XIX wieku".

[2]) List J. Lelewela z d. 22/II. 1861 r. Rks. w Rapperswilu.

tach urzędowych podawano je rozmaicie: Loelhoeffel, Lelheffel, Lelhövel i Laelhoefel. Ale już w połowie siedemnastego stulecia mieszkał w Alençon we Francji „filozof-Mallebranchista”, a pisał się Henryk de Lelewel. I ów filozof, którego dzieła Joachim bezceremonialnie nazywa „głupiemi”, do tej samej należał rodziny.[1]) Czy pozostawił po sobie we Francyi potomstwo, trudno dociec, wiadomo natomiast, że w Prusiech ród Loelhoefelów nie odegrał wybitniejszej roli. Miał wydać kilku teologów, jednego prawnika i jednego wojskowego, który, walcząc pod rozkazami Fryderyka Wielkiego, w krwawych zapewne rozprawach, zdobył szlify generalskie. Prot Lelewel wspomina,[2]) że Fryderyk, król pruski, nadał w roku 1713 szlachectwo radcy stanu, Jerzemu Fryderykowi Lelewelowi, a Joachim pisze, że tenże Jerzy Fryderyk „poseł regnanta pruskiego do Rzplitej koło 1700 r. był z linii starszej. On uzyskał indygenat pruski, to jest Prus królewieckich, dla siebie i dla całego swego imienia, przybierając do herbu skrzydło orła czarnego. Dziad nasz,— dodaje Joachim, — był także z linii starszej”.[3]) Otóż ten dziad, imieniem Henryk, kształcił się już w Wilnie, a później uzupełniał swoje studya zagranicą. Czas dłuższy bawił w Holandyi. W r. 1732 uzyskał na uniwersytecie w Leydzie dyplom doktora medycyny i z dyplomem tym wrócił do Polski.[4]) Osiedliwszy się w Warszawie, szybko zdobyć musiał sławę, gdyż wkrótce po powrocie został „konsyliarzem i doktorem” króla Augusta III.

Mieszkała wówczas w stolicy można rodzina Jauchów, której członek, Joachim Daniel Jauch[5]), generał artyleryi wojsk saskich, otrzymał w Rzplitej stopień pułkownika. Cieszył się on względami Augusta III, „do tego stopnia, że gdy mu się syn urodził,

---

[1]) Tamże, oraz Korespondencya J. Lelewela z Karolem Sienkiewiczem. Poznań 1872, str. 79.

[2]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.

[3]) List J. Lelewela z d. 22.III 1861 r. Rks. w Rapp.

[4]) Pamiętniki Prota L-la. Rks.

[5]) W Kuryerze Polskim z d. 15 maja 1754 roku № XLIII znajduje się opis pogrzebu Jaucha. W opisie tym czytamy; „Odprawił się tu pogrzeb w kościele Ichmów X. X. Kapucynów die 10 ejusdem Imci Pana Jaucha Pułkownika Artyleryi Koronney y Generała Woysk Saskich, który za osobistą Pana BOGA łaską, Wiarę świętą katolicką przyjąwszy, po uczynionym w ręku Xiędza Kapucyna Wiary wyznaniu, z podpisem ręką własną Imienia swego, Świętymi Sakramentami opatrzony... szczęśliwie dokonał dnia trzeciego przed śmiercią nawrócenia swego.”

monarcha osobiście do chrztu [syna tego] trzymał."[1]) Jauch ożeniony był z Ewą Münich,[2]) a jedyna z małżeństwa tego córka, Konstancya, wydana została za mąż za Henryka Lelewela. „Młoda para osiadła w domu rodziców... Było to w pałacu przy ulicy Miodowej, nabytym od Szembeków, później własnym Henryka, oznaczonym na karcie atlasu Polski Rizzi Zannoniego napisem: Palazi de Lelewel".[3])

Pani konsyliarzowa słynęła ze swej pobożności, a, według własnych opowiadań, często bywała na przyjęciach dworskich i cieszyła się względami żony Augusta III.

„Jeden z moich przodków, — pisał później Joachim,— Münich, rodem ze Szwajcaryi, osiadł w Polsce: mówiono mi w mojej młodości, że był jednym z najgorliwszych patryotów pomiędzy mieszczanami warszawskimi. Mój dziad, Henryk Lelewel... miał być wiernym obywatelem kraju, który stał się jego ojczyzną". [4])

Jak można wnosić ze słów przytoczonych, ci obcokrajowcy, ulegając przemożnym wpływom otoczenia, szybko przeobrażali się w Polaków i pozostawiali po sobie tradycye, w których wzrastały później pokolenia, co ową tradycyę świetnie miały przedłużyć.

Owocem małżeństwa Henryka Loelhoeffela z Ewą Münich był syn Karol, ojciec znakomitego historyka. Karol ożeniony był z córką cześnika rzeczyckiego, Ewą Szeluttówną.

Tak więc mieszaninę krwi obcej odziedziczył Joachim po ojcu, ale w tej krwi było już przywiązanie do kraju oraz jego doli i niedoli. Wielką musiała być siła asymilacyjna Polski ówczesnej, skoro nie w dniach blasku i chwały, lecz w latach klęsk i spustoszeń, urabiała patryotów z ludzi, co przedtem obcy jej byli mową, zwyczajami, duchem i tradycyą. A odnosi się to i do linii żeńskiej przodków Lelewela: w matce jego również płynęła krew obca.

„Że we mnie, — pisał Joachim, — kropli krwi Lecha niema, przyznaję: to prawda, że ojciec i matka byli mazurskiego

---

1) Pamiętniki Pr. L-la. Rks.

2) Prot pisze, że Ewa pochodziła z rodziny głośnego feldmarszałka, Joachim też o tem wspomina.

3) Pamiętniki Pr. L-la. Rks.

4) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom XX. str. 556.

urodzenia, ale matka z ojca Rusina Szelutty, może Moskala; ojciec, syn Prusaka i Saksonki, choćby w Warszawie urodzonej, ale z Sasa, a do tego z Szwajcarki Münich. Co gorsza, ów sławny Münich, co w Rosyi przewodził... zgłaszał się do mej babki, poczytując się za krewniaka... Taka to mieszanina na tym świecie, groch i kapusta, a Lacha niema."[1])

Ale temu świadectwu Joachima Lelewela przeciwstawić można inne jego świadectwo, ważniejsze, bo pisane znacznie wcześniej, w latach, kiedy z matką i jej rodziną mógł się o pochodzeniu swojem informować. A według tego świadectwa, dziad Joachima po matce, Franciszek Szelutta, cześnik rzeczycki, był z pochodzenia Białorusinem.[2]) Na tej podstawie możnaby powiedzieć, że krew rosyjska nie płynęła w znakomitym dziejopisie. Natomiast wbrew temu, co sam mówi, nietrudno doszukać się w nim „kropli krwi" lackiej. Matka Ewy Szeluttówny pochodziła z rodziny Cieciszewskich, a była siostrą księdza Kacpra Cieciszewskiego, który z czasem został biskupem łuckim, a następnie metropolitą kościołów katolickich w Rosyi. Cieciszewscy zaś należeli do starodawnego rodu polskiego, a osiedlili się na Mazowszu już w wieku XV.[3]) Otóż przez Cieciszewskich i w Joachimie musiała płynąć przynajmniej „kropla krwi Lecha". Ale on sam przywiązywał więcej wagi do miejsca swojego urodzenia i z pewną dumą długi czas nazywał się „Mazurem"...

Ojciec Joachima, Karol, Maurycy, Tadeusz Lelewel, urodzony w roku 1748, w kolebce miał już nadany patent na szarżę kapitana w regimencie dragonii pod imieniem Najjaśniejszego królewicza JMci wojsk koronnych. „W roku dwunastym życia wziął abszyt." Początkowe nauki odebrał w szkole ks. Teatynów w Warszawie, w r. 1765 udał się na uniwersytet w Getyndze, gdzie kolegował lub przyjaźnił się z wielu głośnymi później w Niemczech badaczami.[4])

---

[1]) Korespondencya J. Lelewela z Karolem Sienkiewiczem. Poznań, 1872, str. 79.

[2]) List J. L-la z d. 1/IX 1828 r. Rks, w Rapp.

[3]) Herbarz Polski Niesieckiego. Lipsk, 1839, Tom III, str. 111—112.

[4]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.

Podczas pobytu na uniwersytecie Niemcy krewniacy starali się nawiązać z młodym studentem stosunki i często pisywali do niego listy, ale Karol Lelewel uważał się za Polaka, stronił od owych krewnych i nawet listy ich pozostawiał bez odpowiedzi. Wpóźniejszym czasie zawiadamiany był o czekających go w Prusiech sukcesyach, ale i o nie nie dbał, sądząc, że te sukcesye nie warte były zabiegów.[1])

Karol „sposobił się na dyplomatę", lecz, jak żartobliwie utrzymuje syn jego, „zmierził sobie króla i dwory", chociaż „dowodem, że się na dyplomatę ukształcił, było, że umiał menueta tańcować i szpadę w pochwie białej horyzontalnie nosić".[2]) Powróciwszy do kraju, wstąpił do pułku gwardyi koronnej pieszej, ale najwidoczniej i służba wojskowa w owym czasie nie miała dla niego zbyt wielkiego uroku, bo opuścił szeregi. Od roku 1772 do 1794 pełnił urząd podskarbiego w Komisyi Edukacyjnej i w ciągu dwudziestu dwu lat był jeneralnym poborcą jej wpływów na Koronę i Litwę. Z ramienia Sejmu Wielkiego mianowany został rewizorem starostw i obowiązki te pełnił w latach 1790—1792. W roku 1787 powierzoną miał godność łowczego, a w r. 1789 cześnika Ziemi Liwskiej,[3]) pełnił również urząd komisarza cywilno-wojskowego w powstaniu kościuszkowskiem.

Indygenat z herbem pruskim z roku 1713 otrzymał w r. 1775, a jego potwierdzenie w dwa lata później.[4]) Od tego czasu uprawnione zostało i nazwisko L e l e w e l. Po upadku powstania kościuszkowskiego osiadł w nabytej w r. 1788 na własność Woli Cygowskiej, położonej o kilka mil od stolicy. Pod względem materyalnym powodziło mu się niezgorzej. Po rodzicach odziedziczył pałac z dworkiem przy ulicy Miodowej, kilka kamienic i kapitały, za które nabył w Sandomierskiem większą majętność, odstąpioną później Kołłątajowi. Rozbiór Rzplitej zachwiał jego fortuną. Stracił sumy, umieszczone w bankach, i usunął się na wieś.[5]) Wkrótce

---

[1]) List J. L-la z d. 22/III 1861 r. Rks. w Rapp.

[2]) Koresp. J. L-la z K. Sienkiewiczem, str. 81.

[3]) List J. L-la z d. 10/VI 1834 r. (Rks. w Rapp.) i Pamiętniki Prota L-la.

[4]) Volumina Legum. Petersburg, r. 1860. Tom VII, str. 373.

[5]) Pamiętniki Prota L-la. Rks. Nie był przecież człowiekiem biednym. Wola miała samego lasu włók 60, a oprócz tego dzierża-

przecież powrócił do pracy publicznej. W epoce Księstwa Warszawskiego brał żywy udział w pracach Izby, później Dyrekcyi Edukacyjnej, a po utworzeniu Królestwa Kongresowego, powołany został, jako radca stanu do komisyi wyznań i oświecenia publicznego.

Był to człowiek światły, cieszący się zaufaniem rodaków i dobrze zasłużonym szacunkiem. Wielka skrupulatność w rachunkach, uczciwość i pracowitość wyrobiły mu jak najlepszą u współczesnych opinię. Odznaczył się szczególniej, jako jeneralny skarbnik niezapomnianej Komisyi Edukacyjnej, która — według mocnych słów Joachima — „na zaległej odłogiem i zdziczałej ziemi prawie wszystko rozpoczynała i tworzyła; wzniecała ogień w zwilgotniałem próchnie, a gdy działać poczynała, zrazu ubywało funduszów, a nie dostawało ludzi".[1]) Karol Lelewel był takim człowiekiem, jakich komisyi „nie dostawało". Jako ten, który w czasie zepsucia obyczajów i grabieży grosza publicznego, pilnie strzegł powierzonego mu dobra, stanowi jasny wyjątek. Nagrodził go Sejm Wielki, skrzywdziła Targowica[2]), a jedno i drugie samo mówi za siebie.

Karol Lelewel był człowiekiem ukształconym, a według świadectwa Prota[3]), rozmiłowanym w naukach. Dbał wielce o wykształcenie swych dzieci, sam poświęcał im wiele chwil wolnych, uczył ich rysunku, a musiał być rozmiłowany w numizmatyce, bo posiadał dzieła, wiedzy tej poświęcone, i własny zbiór monet, z których wiele okazów ofiarował później bibliotece uniwersyteckiej w Warszawie.

Mieszkając na wsi, opiekował się ludem.

„Ojciec nasz, — powiada Prot, — w najlepszej zostawał harmonii z chłopkiem. Nie zdarzało się słyszeć, ani widzieć wymierzanych kar, to jest bicia". Za przykładem światłych ludzi swojej epoki, jak Chreptowicz, Staszyc, myślał o refor-

---

wił Karol Lelewel majątek Uścieniec w powiecie garwolińskim. Z „Pamiętników" Prota widać, że dopiero w epoce Księstwa Warsz. gorzej zaczęło się rodzinie powodzić.

[1]) Bibliograficznych ksiąg dwoje. Wilno 1826. Tom II, str. 22.

[2]) Znosząc w r. 1793 przyznane mu nadanie w probostwie miechowskiem.

[3]) Pamiętniki. Rks.

mach włościańskich i w Woli Cygowskiej oraz w dzierżawionym przez niego Retkowie zbierał chłopów na wspólne narady. Na jednej z tych narad postanowiono, że zarząd gminny przejdzie w ręce włościan, że w Woli Cygowskiej będzie wójt i dziesiętnik, a w Retkowie przedstawiciel wsi. Do nich odtąd należał dozór porządku w gminie, rozkłady powinności rządowych, zbieranie podatków, naprawa dróg i mostów, oraz sądy nad przestępcami. Dwór stosował się również do uchwał gromady. Gdy uradzono budowę nowych domów dla włościan, dopełnił tego Karol Lelewel, co świadczy, że seryo traktował swoje dzieło. [1])

O rodzinie matki znakomitego dziejopisa mniej mamy wiadomości. Jej ojciec, Franciszek Szelutta, cześnik rzeczycki, należał do stronnictwa Czartoryskich i niejedną miał oddać usługę potężnej w owe czasy „familii".

„Panu stolnikowi, mającemu iść na króla, do poselstwa dopomógł i na poselstwo wykierował dziad mój po matce, Franciszek Szelutta, Białorusin", — pisze Joachim[2]), a brat Prot powiada, że za te wysługi Czartoryscy chcieli mu wyjednać rękę panny Ossolińskiej, lecz gdy ta wyszła za Matuszewicza, wyswatali go z szesnastoletnią, a, według zapewnienia wnuka, piękną jak anioł Antoniną Cieciszewską.

Córka cześnika rzeczyckiego, jak można wnosić z drukiem ogłoszonej korespondencyi Joachima Lelewela, była kobietą wychowaną starannie, wybiegającą myślą poza zakres spraw domowych, zdolną do wniknięcia w ambicye naukowe i różnorodne kwestye, które zajmowały umysł jej wielkiego syna. Wiadomo jeszcze, że była osobą wielce pobożną i od kolebki wpajała w dzieci zasady religijne.

Pod względem majątkowym nie zawsze jednakowo powodziło się rodzicom Joachima, a czas dla nich najcięższy przypadł na epokę Księstwa Warszawskiego, podczas ciągłych przemarszów wojsk i nieustannych rekwizycyi. W roku 1814 Moskale złupili Wolę Cygowską, uprowadzili konie, woły, bydło, zrabowali cały dobytek domowy, nie wyłączając obrazów, któ-

---

[1]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.
[2]) List L-la z d. 1/IX 1828 r. Rks. w Rapp.

re ozdabiały ściany. W dobie Królestwa Kongresowego dźwignął się z ruiny Karol Lelewel i w domu znowu zakwitnął dostatek. Bez względu przecież na kaprysy fortuny łożył, jak mógł, na kształcenie dzieci, rozumiejąc dobrze, jaką potęgą jest w życiu wykształcenie. Był zresztą człowiekiem oszczędnym, ,,miał w obrzydzeniu wyraz pożyczka, ,,dług" i to obrzydzenie wpajał w swoje dzieci.[1])

Państwo Lelewelowie mieli dziewięcioro potomstwa. Z tych czworo, Julianna, Teresa, Józef i Wincenty, zmarło w dzieciństwie, reszta późniejszego wieku miała się doczekać.

Starsza córka Marcella wyszła za mąż za Józefa Nosarzewskiego, młodsza Marya, bliższa Joachimowi sercem, za Jana Majewskiego. Obie, jako żony ziemian, zamieszkały na wsi: pierwsza na Podlasiu, druga — w Pułtuskiem. Dwaj synowie, Prot i Jan, nie wznieśli się na te wyżyny, na jakich miał zajaśnieć z czasem Joachim, ale obaj wyrośli ponad poziom przeciętności, obaj odznaczali się mocą i szlachetnością charakterów. Prot, zmarły w r. 1885-ym, doczekał się sędziwego wieku, bo przeżył lat 94. Był w czasach napoleońskich żołnierzem, w r. 1825 posłował na Sejm; w roku 1831 chciał wrócić do służby wojskowej, ale dyktator Chłopicki nie przyjął jego usług, dopiero książę Radziwiłł mianował go szefem wydziału wojskowego ze stopniem referendarza stanu.[2]) Najmłodszy z braci Jan, wychowaniec szkoły kadetów, podobnie jak Prot, służył wojskowo. Podczas powstania listopadowego pod jego komenną fortyfikowana była Praga. Po batalii grochowskiej dzielnie bronił przed Kozakami szańców praskich i obroną tą zwrócił na siebie uwagę zwierzchności. Otrzymał krzyż wojskowy i stopień podpułkownika inżynieryi. Po upadku powstania, wyemigrował z kraju i osiadł w Szwajcaryi, gdzie wsławił się szeroko, jako inżynier. Od roku 1837 piastował urząd inżyniera naczelnego przy dyrekcyi dróg i mostów, a niemal wszystkie znaczniejsze roboty, rozpoczynane w tych czasach, jego były dziełem.[3])

[1]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks. W r. 1815 w tomie II Dziennika Wileńskiego K. Lelewel zamieścił pracę p. t.: ,,Umiarkowanie wydatków względnie do przychodów dla własnej i powszechnej pomyślności".

[2]) Pamiętniki P. L-la. Rks.

[3]) Żywot Jana Pawła Lelewela. Poznań 1857. Broszurę tę napisał Prot Lelewel.

Opiekunem całej rodziny Lelewelów przez długie lata był wspomniany już Kacper Cieciszewski[1]), biskup łucki. Interesował się swoimi krewniakami i nieraz przychodził im z pomocą materyalną. Czasem odwiedzał Królestwo, częściej wzywał krewnych do wspaniałej siedziby swojej w Łucku, a hojny, uprzejmy i gościnny był bardzo. Odznaczał się nadto miłym humorem i umiał jednać serca.

Religia jego była bez fanatyzmu, „jawnie fanatykami pogardzał, brzydził się udawanymi świętoszkami, chciał widzieć każdego, jakim był, ułomności wybaczał... Polak prawy... nie chciał przystąpić do Konfederacyi Targowickiej; unikając gniewu Katarzyny, został tułaczem w Galicyi".[2])

Wrócił później do łask i znaczenia.

W rodzinie Lelewelów przechowało się podanie, że cnotliwy biskup pozostawał w przyjaznych stosunkach z Aleksandrem I, który, przejeżdżając przez Wołyń, często w domu biskupim szukać miał pociechy religijnej i wypoczynku. Prot Lelewel opowiada nawet, że biskup nawrócił cesarza na katolicyzm, że cesarz spowiadał się przed nim i „przyjmował z rąk jego Akt najświętszego sakramentu". Sługa biskupi „wiarygodny Gawroński" miał być przypadkowym tej sceny świadkiem. Oczywiście, opowiadanie to, nie mające cech wiarogodności, należy zaliczyć do licznych legend, które do dziś otaczają pamięć Aleksandra.[3])

---

[1]) O rodzinie Cieciszewskich Prot w Pamiętnikach swoich podaje jeszcze następujące wiadomości: „Adam Cieciszewski, syn Dominika, a brat starszy babki Szeluciny, ożeniony w r. 1771 z Teresą, siostrą ojca mojego, zasiadał jako poseł na Sejmie 1776, na którym był sekretarzem sejmowym. Następnie piastował urząd pisarza wielkiego koronnego i zmarł w r. 1783. Pozostały dzieci: Aleksandra ur. 1772; Jan 1778, Adam 1782... Aleksandra wyszła za Pawła Łuszczewskiego, od roku 1806 ten został ministrem spraw wewnętrznych". Kacper był trzecim z rzędu synem Dominika.

[2]) Pamiętniki Prota Lelewela.

[3]) Biskup Cieciszewski zmarł w kwietniu 1831 roku. W Warszawie rozeszła się pogłoska, że z ambon kazał ogłosić list pasterski, potępiający powstanie. Protestował przeciwko temu Joachim i „wystąpił z artykułem zaprzeczającym. Szczęściem, — opowiada w swoich pamiętnikach Prot—nadjechał wkrótce obywatel Wołynia, Czarnecki i rzecz wyjaśnił. Kanonik Skierniewski (?), załatwiający z metropolitą sprawy kościoła, podsunął mu do podpisu ten list pasterski. Ociemniały starzec, pełen zaufania, wycisnął podpis swój na nim, nie wiedząc, że tem niweczy wiekowy niemal, nieskalany swój ży-

Dom Lelewelów spokrewniony był z rodzinami Łuszczewskich, Dekertów, Kicińskich, Netrebskich, Orsettich, Rostworowskich, Sienkiewiczów i w. inn., a starsze pokolenie pamiętało o węzłach pokrewieństwa i zgodnie z tradycyą starało się je zacieśnić.

Rok 1831-y rozerwał te węzły. Klęska, jakiej doświadczył cały naród, okrutnie zemściła się i na Lelewelach, rozpędziła po wszystkich stronach świata członków tej rodziny, oddaliła od siebie rodzeństwo, przyczyniła się do ruiny lub nadwyrężenia majątków, do życia w nędzy i w trwodze, śród pobrzęku łańcuchów i zgrzytu szubienic w kraju, lub też do tułaczki pod obcem niebem, w poniewierce i w nieustannej tęsknocie za utraconą Ojczyzną.

Ot, zwykły los wielu rodzin polskich!...

---

wot i grób sobie otwiera. I zbrodniarz nie przeżył, znaleziono go bez życia w jego mieszkaniu, sam sobie śmierć ohydną zadał... Przy otwarciu ciała przekonali się lekarze, że z żalu i boleści serce metropolity pękło".

II.

DZIECIŃSTWO I LATA CHŁOPIĘCE.

Przy ulicy Długiej w Warszawie, tuż w pobliżu ulicy Freta, wznosi się niepozorna dwupiętrowa kamieniczka, oznaczona № 540. Kamieniczka ta nie zwraca niczyjej uwagi. Nie zdobi jej nawet tablica pamiątkowa, któraby mogła na sobie zatrzymać oczy przechodnia. A jednak ten skromny, niepozorny domek zasługuje na wyróżnienie: dnia 21, czy też 22 marca 1786 roku[1]) ujrzał w nim światło dzienne Joachim, Józef, Benedykt[2]) Lelewel.

Chłopiec przyszedł na świat słaby, wątły, niepozorny. „Nieutulony płaksa i chimeryk" rozwijał się pod względem

[1]) Daty urodzin nie udało mi się ustalić. Księga metryczną daty tej nie wymienia, a rozliczne wskazówki, zawarte bądź w biografiach, bądź w listach Lelewela, wahają się pomiędzy 21 a 22-im marca. Upada tylko data 29-go marca, na którą wskazywał w „Tyg. Powsz." W. Korotyński, ponieważ Joachim ochrzczony został dn. 22 marca 1786 r. Chodźko w biografii L-la, wydanej w r. 1828 (Notice biografique sur. J. Lelewel. Paris, str. 5) podaje 20 marca, L-l w „Przygodach" 22 marca, z listu jego (Listy, Tom II, str. 289) z d. 1 marca 1843 r. wypadałoby, że uczony urodził się 21 marca.

[2]) Księga metryczna z wieku XVIII w kościele Najśw. Maryi Panny str. 244: „Mensis Martius [die] 22 [anno] 1786. Ego Antonius Wieczorkiewicz V. E. h. baptisavi infantem nbs (nominibus) Ioachimum Iosephum Benedictum, filium Mag[nifici] Caroli Lelhowel capitanito (?) gwardiae pedestris Regni et Evae de Szeluty, legitimor[um] coniugum. domi habita a Loci ordinario Licentia. Levantibus de Sacro fonte Mag. Dno Ignatio Cieciszewski judice Terrestri Livensi cum Mca Anna de Jezierskie Cieciszewska consorte ejus", Tak brzmi w pełnym wyciągu akt chrztu Lelewela.

fizycznym bardzo powoli. Dopiero w czwartym roku życia dźwignął się o własnych siłach i stanął krzepcej na niepewnych nogach.[1])

Wiek dziecięcy wielkich ludzi jest najczęściej białą kartą, która nic nie mówi. A jednak ile razy okoliczności pozwolą biografowi odnaleźć na tej karcie ślady, tyle razy dostrzega na niej cechy umysłu i charakteru, z któremi nieustannie spotyka się i później. Joachim pozostawił garść wspomnień ze swoich lat młodocianych, a Prot Lelewel, wierny stróż pamiątek po swoim wielkim a ukochanym bracie, ocalił przed zniszczeniem kilkanaście jego listów, pisanych w epoce chłopięctwa. Nadto w ,,Pamiętnikach" podał niejeden szczegół, rzucający bardzo charakterystyczne światło na dzieciństwo i młodość znakomitego historyka. Otóż wszystkie te dane świadczą, że pomiędzy malcem w domu rodzicielskim a późniejszą powagą naukową i tragicznym starcem na wygnaniu istniał najściślejszy związek, że długie lata znoju, cierpień i pracy nie zmieniły podstaw charakteru, ani cech umysłu, dobitnie i jaskrawo przejawiających się już w zaraniu życia!

Od lat najmłodszych, bo od kołyski wykazywał Joachim niezwykły upór i usposobienie w najwyższym stopniu przekorne. Dał się we znaki piastunce i rodzicom, był utrapieniem wszystkich domowników. Pierwszą wojnę toczył już w kołysce z niańką Jakóbową, którą ku jej zgorszeniu stale nazywał ,,Japową".

,,Leżącego w kołysce kołysze niańka Jakóbowa. Joachimek krzyczy: Japowa, nie kołysz! Więc nie kołysze. To on woła: kołysz! Ona kołysze, on znowu: nie kołysz!—i tak bez końca, aż ojciec groźnie wystąpić zmuszony. Innym razem grają w karty, on chce kart, dają mu, on nie chce tych, jeno tych, co w nie grają,—na próbę dają mu je, biorą inne, on tamte ciska, a napiera się tych, i tak bez końca, dopóki to tragicznie nie skończy się." [2])

Taki obrazek, malujący usposobienie Joachima w latach dziecięcych, daje młodszy brat jego.

---

[1]) Przygody, w poszukiwaniach i badaniu rzeczy narodowych polskich przez J. Lelewela, Poznań 1858, str. 1.

[2]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.

Ale wraz z tem nieznośnem, dokuczliwem usposobieniem maleńki Joachimek przejawiał skłonności, świadczące o umyśle żywym, a zarazem krytycznym i twórczym. Główka roiła się od różnorodnych myśli i pytań, a w bystrych oczach niepozornego dzieciaka raz po raz błyskały iskry dowcipu. Niezwykły przekora od lat najwcześniejszych wykazywał wielką samodzielność i nadzwyczajne zamiłowanie do pracy. Już w latach dziecięcych doszedł do przekonania, że „bez przysiedzenia fałdów i wysilenia" nic ważniejszego dokonać nie można. A za rzecz ważną uważał zabawki, których był pozbawiony, bo nie leżały one widocznie w systemie wychowawczym państwa Lelewelów. Sam więc własną głową i własnym przemysłem zaczął je majstrować. Musiały być śmieszne te twory dziecięcej pomysłowości, ba śmiano się w domu i z „majsterstw" i z samego „majstra". Oburzało to Joachimka. Słysząc te śmiechy i żarty, krył się zasępiony po kątach, ale nie zrażał się niczem i uparcie swoje w dalszym ciągu robił.

Również wcześnie przejawił swój krytycyzm: zauważył niedorzeczność w nazywaniu szóstego dnia w tygodniu sobotą. Po piątku, jego zdaniem, powinien następować „szóstek". Śmiano się i z tego spostrzeżenia, ale malec miał przekonania nieodmienne i logika jego była niezachwiana. Nadaremnie kazano mu mówić tak, jak mówią wszyscy. Nie ustępował. Nic nie pomogły perswazye, napomnienia, rozkazy. Chłopiec stale „szóstkiem" nazywał sobotę. Więc w końcu rozgniewał się ojciec i z rózgą wystąpił do walki z niefortunnym „szóstkiem". Przed siłą wyższą ustąpił, oczywiście, uparty reformator, ale „szóstek" schował w skrytościach swojego serduszka i bolał nad niesprawiedliwością ludzką i z największym smutkiem rozmyślał, czy to stosownie jest karać tak srogo „za obstawanie przy trafnem widzeniu". Żadna przecież siła nie mogła go skłonić do mianowania szóstego dnia w tygodniu nielogiczną nazwą *soboty*. Całem sercem znienawidził ten wyraz i w razie konieczności mówił: „pojutrze, jutro, przedwczora, byle choć tak na swojem postawić"[1]).

Znamienny to upór i znamienna dla późniejszego Lelewela zawziętość!

---

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 2.

Atmosfera domowa i wielkie wypadki dziejowe kształciły duszę dziecka. Wrażliwość Joachima była nadzwyczajna. Wszystko, cokolwiek usłyszał, notował w swojej pamięci, a ważniejsze zdarzenia pozostawiały w jego umyśle i sercu niezatarte ślady.

A były to czasy, kiedy gmach Rzeczypospolitej, skutkiem rozkładu wewnętrznego i piorunów, bijących zzewnątrz, rozpadał się w gruzy, kiedy pękały ostatnie spoidła i wiązania państwowe, kiedy wreszcie najlepsza część społeczeństwa zdobywała się na ostatni w niepodległej Polsce orężny wysiłek, aby państwo wydobyć z otchłani i wrócić Ojczyźnie uchodzące z niej życie.

Dom rodzinny Joachima przejęty był wielkimi wypadkami. Rodzice, ludzie religijni, nastrojeni byli patryotycznie, a ten nastrój religijny i patryotyczny przesiąkał atmosferę całego domu i nie mógł pozostać bez wpływu na umysły i dusze dziecięce. Pacierz codzienny kazano kończyć dzieciom następującą modlitwą:

„Wszechmocny Boże ojców naszych, litości nad narodem! Uwolnij, Boże, kraj od najeźdźców, ciemięzców, Niemców i Moskwy. Chroń, Boże, kraj od zdrajców, wyrodnych synów jego, od ludzi złych, zepsutych, złodziei i podpalaczy. O podniesienie ducha w upadłych prosimy Cię, Panie!"[1])

Tak nauczali Lelewelowie swe dzieci, a nauka ta nabierała szczególnego znaczenia na tle ówczesnych wydarzeń. Obca przemoc gospodarowała w stolicy, drżał nieszczęsny Stanisław August, burzył się lud, aż w pamiętnych dniach kwietniowych porwał się do broni, uwolnił stolicę od Moskali, a później karę wymierzał zdrajcom ojczyzny. Później jeszcze grzmiały dokoła Warszawy armaty, a Kościuszko kierował obroną. Joachim, ośmioletni podówczas chłopiec, doskonale pamiętał to wszystko. Wielkie wrażenie uczyniła na nim śmierć prymasa. W uszach jego pozostał nazawsze ów okropny dwuwiersz, który się zrodził na bruku stolicy: „książę prymas zwąchał linę, wolał proszek, niż drabinę..." A wrażenie to spotęgowało odwiedzenie zwłok samobójcy, wystawionych w pałacu prymasowskim na widok

---

[1]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.

publiczny. W pamięci uczonego na całe życie pozostała ta chwila. Oczyma późnej starości widział jeszcze owe zwłoki, spoczywające na wysokim katafalku, czarne i czerwone kotary, przesłaniające drzwi i okna wspaniałej sali pałacowej, wysokie ciężkie lichtarze z potężnemi gromnicami, rzucającemi ponury blask na całą salę i okropne mary. I pamiętał do śmierci ciszę, panującą w komnacie, a przerywaną szeptem prałatów, którzy, strzegąc zwłok, odmawiali za zmarłego pacierze[1]).

Nie brak przecież było i wrażeń podnioślejszych. Oto Kościuszko w otoczeniu swoich adjutantów przejeżdżał konno ulicami Starego Miasta.

„W porze oblężenia, — opowiada Prot — w oknie otwartem siedziała babka z matką moją, a tu nadjeżdża wolnym stępem Naczelnik, a babka pokazuje mi: „A widzisz, to jedzie ten Kościuszko!"... Jeszcze dziś widzę Naczelnika w jego białej sukmanie. Do okna podjechali ze świty jego Cieciszewski Jacek z drugim, po kilku wyrazach ruszyli za nim z kopyta. Kościuszko udał się na pozycyę, której bronił Poniatowski."[2])

I Joachim przez całe życie pamiętał, jak na okrzyk: „dzieci! dzieci! Kościuszko przejeżdża!" — biegł do okna i wpatrywał się w niezapomnianą postać bohatera. Obrazy tych czasów tak głęboko wyryły się w jego pamięci, że w wiele lat potem, już jako starzec, stojący nad grobem, pisał, że widzi je, jak żywe, widzi tak wyraźnie i tak dokładnie, że z całą wiernością mógłby owe sceny odtworzyć w rysunku. „Wspomnienia młodocianego wieku nie giną", powiedział,[3]) mając na myśli obrazy i zdarzenia z czasów ginącej Rzeczypospolitej.

A jednem z silniejszych wrażeń młodocianego wieku musiał być upadek Warszawy. Oto Suworow rzucił swoje wojska na słabo bronione szańce polskie i zdobył nieszczęsną Pragę. Wnet całe przedmieście stanęło w ogniach i dymie. A z tego morza płomieni wraz z trzaskiem walących się dachów i wyciem pijanych zwycięzców, słychać było aż na drugim brzegu Wisły przerażające krzyki katowanych ofiar, płacz mordowanych dzie-

---

[1]) Korespondencya J. L-la z K. Sienkiewiczem str. 73—76.
[2]) Pamiętniki.
[3]) Album rytownika polskiego. Poznań, 1854, str. 1.

ci, jęki branych na tortury matek. Blady strach padł na stolicę, Wieść, że krwawy tryumfator lada chwila może zdobyć miasto. w najwyższym stopniu przeraziła ludność. W trwodze przed Moskalami mieszkańcy zaczęli szukać schronienia w pałacach ambasadorów, a rodzina Lelewelów znalazła przytułek w domu nuncyusza papieskiego. Tutaj w okropnym tłoku i w trwodze, przenikającej serca, oczekiwano na wiadomość, jaki los zgotuje zwycięzca stolicy. Ale wiek młodociany ma swoje prawa. Mimo całą grozę sytuacyi ,,ośmioletni Joachimek", poznajomiwszy się z rówieśnikiem Wichlińskim, rozpoczyna z nim charakterystyczny spór natury lingwistycznej. Malcy posprzeczali się o nazwę konia. ,,Wichliński mówi: kuń, Joachim: koń. Od słowa do słowa przychodzi do czynu, Joachim przybija do ściany plecy przeciwnika, aż ojcowie położyli koniec tej zatardze".[1]) Charakterystyczny to epizod! Skłonności przyszłego uczonego nieustannie brały w małym chłopcu górę, a mocne i stanowcze obstawanie przy ,,trafnem widzeniu rzeczy" i teraz przejawiło się w sposób wymowny, jaskrawy. Rozeszła się wreszcie wiadomość, że ludność Warszawy nie będzie wydana na rzeź — i rodziny wróciły do swoich domów.

Śród takich niezapomnianych wrażeń upływało Lelewelowi dzieciństwo.

W czasach spokojnych dzień cały schodził mu najczęściej na pracy. Ojciec nie pozwolił dzieciom próżnować, starał się w nich rozwinąć zamiłowanie do nauki, sam nauczaniu swojego potomstwa poświęcał wolne chwile, a wielce dbał o sumiennych i zdolnych mentorów.[2]) Joachima uczył rysunków, a zaszczepił w nim prawdopodobnie swoje zamiłowanie do numizmatyki, a może i do innych gałęzi wiedzy. Był to wdzięczny uczeń. Z największym zapałem sam garnął się od lat najmłodszych do książek, interesował się wszystkiem, był nienasycony w zdobywaniu wiedzy.

Zaledwie nauczył się czytać i pisać a już zaczął robić wyciągi z przeczytanych książek, notować na piśmie swoje uwagi i spostrzeżenia. Bardzo wcześnie ocknęły się w nim ambicye

---

[1]) Pamiętniki Prota Lelewela.
[2]) Pamiętniki Prota Lelewela.

pisarskie. W domu rodziców mieszkał daleki powinowaty pani Lelewelowej, Konstanty Szelutta, niegdyś pracownik w magistraturze Komisyi Edukacyjnej.[1]) Otrzymawszy posadę w Wilnie, Szelutta na wyjezdnem z Warszawy ofiarował Joachimowi i jego rodzeństwu wiele książek, a między niemi jakąś starą encyklopedyę. Joachim, liczący wtedy dziesiąty rok życia, przeczytał te książki, ze szczególnem upodobaniem przestudyował encyklopedyę i zachwycony był tylu wiadomościami, w jednem dziele zebranemi. Ale już w tym wieku musiał posiadać duży zasób wiedzy, bo encyklopedya ta wydała mu się niedostateczną. Więc sam postanowił napisać lepszą, obszerniejszą i uwzględnić szerzej wiadomości z dziedziny geografii, arytmetyki i gramatyki. I seryo zabrał się do pracy. Posiłkując się książkami, które były w domu, przygotowywał swe dzieło pocichu, skrycie, bo się obawiał, aby domownicy nie żartowali z małego „wszystkowiedza" i nie wystawiali na śmiech jego wielkiej ambicyi autorskiej.[2])

Być może, że rodzice nie rozumieli dziecka i przyzwyczajali je do skrytości.

Niczem się przecież nie zrażał mały pracownik i brnął dalej w swej pracy. A owa encyklopedya była to pierwsza książka, którą w życiu swojem postanowił napisać. I, kto wie, czy nie doprowadziłby do końca swoich zdumiewających zamiarów, gdyby nie okoliczności całkiem od niego niezależne.

Właśnie w tym czasie Karol Lelewel, straciwszy skutkiem upadku Rzeczypospolitej swoją rangę i kapitały, umieszczone w bankach, postanowił wynieść się z Warszawy i z całą rodziną osiąść w Woli Cygowskiej.

Ten wyjazd przerwał zapędy twórcze Joachima. Przekonał się na wsi, że za mało miał do dzieła swojego materyałów i wielu rzeczy całkiem nie rozumiał. Nadto, nowe otoczenie i obcowanie z naturą na coraz to nowe zjawiska zwracało uwagę wrażliwego chłopca. Patrząc z zadumaniem na roziskrzone gwiazdami niebo, rozmyślał o konstelacyach i ruchach ciał niebieskich. Interesowały go motyle i owady, uderzała rozmaitość

---

[1]) Pamiętniki P. Lelewela.
[2]) Przygody w poszukiwaniach, str. 3.

świata roślinnego, zajmowały ptaki i zwierzęta.[1]) Dobrzy pedagodzy zaspokajali ciekawość chłopca. Tutaj na wsi kształcili Joachima kolejno trzej księża Pijarzy: Urner, następnie Antoni Dąbrowski, słynny matematyk, późniejszy profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wreszcie ks. Karol Konkowski, również znany później matematyk.[2])

Pod kierunkiem tak światłych nauczycieli rozwijał chłopiec swoje zdolności, zaspokajał przyrodzoną ciekawość i bardzo szybko rozszerzał zakres swojej wiedzy. Wkrótce sam doszedł do przekonania, że najlepszym sposobem nauczenia się dobrze jakiegokolwiek przedmiotu jest napisanie o tym przedmiocie dzieła. Uczył się więc i pisał, niestrudzenie pisał, wkraczając raz po raz w nowe dziedziny wiedzy. A wraz z czynionymi postępami wzmagał się w nim zapał do nauki i rosły ambicye autorskie. Już teraz jasno skrystalizowały się w chłopcu jego zamiary na przyszłość. Wiedział, że zostanie pisarzem i z wielką mocą charakteru sposobił się do umiłowanego już w tak młodym wieku zawodu.

Po trzyletnim pobycie w Woli Cygowskiej Joachim wysłany został do Okrzei, majętności swojej ciotki, Teresy Cieciszewskiej, by tam z bliższymi do niego wiekiem braćmi ciotecznymi, Janem i Adamem, kształcić się dalej.[3])

Okolica Okrzei, — powiada Prot Lelewel, — „słynęła wtedy doborem licznie sąsiadujących". Obywatele, pozbawieni życia politycznego, „chronili się pod strzechy domowe, a nieszczęścia i klęski kraju zbliżały i podawały przyjazne ręce". Węzłami przyjaźni połączone były z domem pani Cieciszewskiej mieszkające w sąsiednich majątkach rodziny Kickich, Tarnow-

---

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 3—4.

[2]) Pamiętniki Prota Lelewela.

[3]) Prot Lelewel tak pisze o powodach, które skłoniły rodziców do wysłania Joachima z domu: „W Woli dom jedyny mieszkalny o trzech kominach, dwukrotnie przebudowany, w jednej trzeciej porządniejszy. Jedną trzecią gospodarską zajmował Dorohinicz (ekonom), we dwóch należało pomieścić osobno babkę, osobno matkę z maleńkiemi córeczkami i Jasiem, osobno ojca, osobno trzech nas z guwernerem. Ostatnia ta kategorya okazała się najtrudniejszą, mieściliśmy się, jak śledzie. Jak mogły iść nauki? Więc Joachim wysłany do Okrzei, do bliższych wiekiem braci Jana i Adama Cieciszewskich".

skich, Suchodolskich, Rostworowskich, Pniewskich, a Okrzeja licznie i często była nawiedzana.[1]) Wiele tam rozprawiano o literaturze i o sprawach publicznych, a Joachim, obecny przy tych rozmowach, chciwie wszystkiemu się przysłuchiwał i wszystko uważnie notował w swojej pamięci.[2])

Nowym jego nauczycielem był ksiądz Leopold Moroz, ,,kapłan pobożny, jako Pijar bez fanatyzmu", człowiek zacny, a według określeń Prota, ,,cnota chodząca i pracowitość". W domu ciotki Cieciszewskiej znalazł Joachim biblię, kroniki polskie, prace Naruszewicza, Rollina, Kluka, a wszystko, co wpadło mu w ręce, wertował starannie, a ,,zawsze w celu, aby kiedyś autorem być".[3])

Na podstawie kronik, mając lat trzynaście, skreślił plan oblężenia Pskowa za Batorego, ale dopiero listy, pisane w Okrzei do rodzeństwa, dają świadectwo, w jak zdumiewający sposób umiał zużytkować swoją lekturę.

W liście z dnia 8 czerwca 1799 roku znajdujemy ustęp tej treści:

,,Interesa moje dobrze idą... O zwierzętach jużem skończył pisać. Figur zwierząt wszystkich ssących, ptaków, gadu, owadu etc. mam więcej na[d] 160. Roślin dotychczas mam 50 figur wszystkich, to jest: roślin i zwierząt spodziewam się mieć koło 300 figur. Historye państw mam właśnie wszystkie, oprócz w Azyi tatarskiej i Afryce, Zagwebam (!), Monopotama i innych afrykańskich. Europejskie i amerykańskie mam wszystkie, tylko w amerykańskich niema popisanych kacyków"[4]).

Oto są ,,interesa" czternastoletniego chłopca, oto dziedzina jego ulubionych zajęć!

W dalszych listach również pełno jest wzmianek o roślinach, zwierzętach, o pisaniu historyi portugalskiej, hiszpańskiej, francuskiej, to znowu o ,,historyi meksykańskiej z cesarzami Meksyku". Dzieje ojczyste jeszcze silniej interesują młodziutkiego badacza. Pisze historyę polską, pisze życiorysy Goworka, Zamoyskiego, Orzechowskiego, Chodkiewicza, Żółkiewskiego, pra-

---

[1]) Pamiętniki P. Lelewela.
[2]) Przygody w poszukiwaniach, str. 4.
[3]) Przygody w poszukiwaniach, str. 4.
[4]) Listy Joachima Lelewela. Poznań 1878. Tom I, str. XII.

cuje nad dziejami królestwa burgundzkiego, by znowu wrócić później do nowych badań nad historyą polską.

W piętnastym roku życia badawczość Joachima rośnie, ciekawość się rozszerza, same fakty przestają wystarczać. Zaczyna się zastanawiać nad przyczynami wydarzeń dziejowych, interesuje go prawo cywilne i polityczne, znajduje nawet, że w tej dziedzinie jest „wiele rzeczy, które potrzebują objaśnień". Pisząc więc historyę polską w trzech księgach, donosi bratu[1]), że ta nowa praca zawierać będzie opis każdego województwa oraz treść prawa cywilnego i politycznego...

Zamiar bardzo znamienny, jak na wiek autora.

Skąd czerpał swoje wiadomości, w jaki sposób zdobywał je i mnożył nieustannie?

Podręczniki ówczesne były bardzo ubogie, uboga była również literatura, poświęcona dziejom powszechnym. „Więc chyba, — pisze prof. Korzon, — do teoryi idei wrodzonych Platona trzebaby się odwołać po wyjaśnienie zagadki psychicznej, skąd się rodziły i mnożyły wiadomości historyczne, jakim sposobem systematyzowały się, jak się wytwarzały z nich syntezy w głowie Lelewela?"[2])

Istotnie jest to pytanie do rozwiązania trudne, gdyż nie znamy wszystkich dzieł, do których miał dostęp żądny wiedzy chłopiec. Ale nietylko teoryą Platona zagadkę tę wytłómaczyć można. W czternastym roku życia Lelewel nieźle znał język francuski,[3]) wiele nauczyć się musiał z kronik polskich i dzieł Rollina, wiele z innych książek. W każdym razie wyniki, do jakich doszedł w tak młodym wieku, świadczą o niezwykłej pracowitości, o wysoce rozwiniętych zdolnościach wnioskowania, o zdumiewającym darze oryentacyi, słowem, o zaletach, które i w późniejszym wieku dozwalały znakomitemu historykowi wyprzedzać na podstawie bardzo skąpego materyału wyniki dochodzeń, ogłaszane w kilkadziesiąt lat potem na podstawie nieznanych w epoce Lelewela źródeł.

---

[1]) Listy Joachima Lelewela. Str. XXI.
[2]) Pogląd na działalność naukową J. Lelewela. Str. 2—3.
[3]) Świadczą o tem listy w języku francuskim, pisane w tym okresie.

Żywy umysł chłopca interesował się wszystkiem, szczególniej przecież pociągała go historya, a w równym, jeśli nie większym jeszcze stopniu, nauka geografii. Zaprawiony przez ojca do rysunków, od lat najmłodszych kreślił niezliczone mapy. Ślęczał nad temi mapami z nieprawdopodobną wprost wytrwałością, „zawzdy wieczór”, tak, iż ledwo widział, bo oczy się kleiły i sen najwyższym wysiłkiem woli trzeba było przy tej pracy odpędzać. A rzecz ciekawa: interesowały Lelewela nie tylko lądy i morza w swojej postaci, ale i to, jak te lądy i morza przedstawiały się w różnych epokach uczonym swojego czasu W ten sposób młodziutki badacz wkracza w dziedzinę historyi geografii i nowe otwiera sobie horyzonty.[1]) Staje się „wszystkowiedzem”. Zdumiewająca samodzielność w tej pracy młodocianej łączy się u niego z niemniej zadziwiającą umiejętnością rozporządzania każdą wolną chwilą. Ma czas na wszystko. Przebywając na wsi, interesuje się naturą i zbliża się do ludu. Słucha ciekawie opowieści gminnych, a zasłyszane pieśni i krakowiaki zapisuje skrzętnie w przeznaczonym na ten cel zeszycie.[2])

Listy Joachima, pisane w Okrzei, obok niezwykłej wszechstronności umysłu, ujawniają również niektóre rysy jego charakteru.

Pamięta o przebywającem w Woli Cygowskiej rodzeństwie i nieustannie przesyła mu różnorodne podarunki. Własnoręcznie pisane „historye”, linie, farby, jakiś ciekawszy okaz owadu, wreszcie choćby pospolite kwiatki stanowią prawie zawsze nieodłączne uzupełnienie listów. Brat Prot, uważając widocznie, że Joachim pozbywa się w ten sposób najcenniejszych swoich przedmiotów, zaprotestował przeciw ciągłemu nadsyłaniu prezentów. Dotknęło to Joachima. Odpisał, że w takim razie i jego nie powinno było obdarzać rodzeństwo.

„...Dawać, a nie odbierać, — pouczał młodszego brata z powagą, — jest *krzywdą* dla obdarzonego. Wiem, że nie chcesz

---

[1]) W Bibliotece Jagiellońskiej znajduje się kilkadziesiąt rękopisów Lelewela (№№ 3479—3509), pochodzących z okresu pomiędzy r. 1794—1816. Z rękopisów tych widać, że Lelewel już od 8-go roku życia pracował samodzielnie i że głównie interesowała go geografia i historya.

[2]) Księga Pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. Warszawa 1898. Str. 83—92.

zapewne mnie krzywdzić. Przyjmij więc kałamarzyk od brata szczerze cię kochającego..."[1])

Słowa te świadczą, że w Lelewelu wcześnie ocknęła się drażliwość na punkcie korzystania z najdrobniejszych przejawów pamięci, wyrażających się w formie materyalnej. Drażliwość ta zastygnąć miała z czasem w niedostępną a pełną majestatu dumę. W kilkadziesiąt lat później, w okropnych dniach tułactwa, nędzy, głodu i choroby, odepchnie najdrobniejsze usługi krewnych i przyjaciół i również nazwie je *krzywdą* dla siebie.

Wiadomości, zawarte w ogłoszonych drukiem listach oraz „Przygodach", świadczą, że pęd do nauki był wrodzoną cechą Lelewela, że ów pęd miał w sobie coś z siły żywiołowo ogarniającej tajemne skarby wiedzy i jak potok pędzącej niewstrzymanie naprzód, ku nowym przestworzom, coraz szerszym i coraz dalszym. Chłopiec przebojem zdobywał naukę. Na żaglach swojej pracowitości płynął przez jej nieogarnione dale, płynął uparcie, sam trzymając ster w młodziutkich, lecz już krzepkich i pewnych siebie dłoniach. Nie obeszło się zapewne bez wpływów nauczycieli, lecz zakres poszukiwań i zdobyczy nie mistrzów, lecz ucznia był własnością. On sam był siewcą zżętych później plonów. Badał wszystko, na czem choćby przelotnie bystre swoje oczy zatrzymał, ale zamiłowanie do geografii i historyi odezwało się już w dziecku, jak nakaz i objawienie na całą drogę życia.

Był to fenomen.

Powiedziećby można, że Lelewel urodził się gotowym historykiem i geografem: zaledwie odrósł od ziemi, a już układał plany prac własnych na olbrzymią skalę. Z własnych upodobań z gruntu, nawskroś przesiąkniętego samodzielnością, wyrastały pierwsze pędy wiedzy, która stać się miała z czasem potęgą i zdumieniem przejąć świat uczony.

Dwa lata przebywał Joachim u swojej ciotki w Okrzei. W roku szkolnym 1801—2 ojciec odwiózł go do konwiktu Pijarów w Warszawie. Przyjęty do klasy trzeciej, czas jakiś kształcił się jednocześnie z młodszym bratem Protem i kuzynem swoim, Janem Dekertem.

---

[1]) Listy J. Lelewela, str. XXII.

Konwikt posiadał podówczas niezgorsze siły pedagogiczne. Rektorem był Kajetan Kamiński, współpracownik Lindego, autor podręczników gramatyki francuskiej i niemieckiej. Historyi uczył Stefan Sawicki, ten sam, który wydał później „Rys chronologiczny historyi powszechnej”, fizykę wykładał Jan Gwalbert Bystrzycki, był też pomiędzy nauczycielami Onufry Kopczyński, zasłużony autor wielu dzieł z zakresu gramatyki i językoznawstwa, nagrodzony medalem jeszcze przez Stanisława Augusta za swoją gramatykę polsko-łacińską.

Pijarzy dobrymi byli wychowawcami, starali się młodzieży uprzystępnić naukę, a pamiętali, że młodość ma swoje prawa. Dozwolona była w konwikcie gra w warcaby i szachy, które bardzo lubił Joachim, uczniowie bawili się wraz z nauczycielami w wolant i ciuciubabkę, uczyli się tańców. Lepsi tancerze, jeżeli odznaczali się dobrem sprawowaniem, prowadzeni byli na zabawy taneczne w pensyonatach żeńskich. „Konwent wywzajemniał się pensyonatom balikiem; na taki przybywały ochmistrzynie z panienkami, przybranemi w perkalikowe białe sukienki, wstążeczkami różnokolorowemi opasane, kilka godzin wesoło tańcowano, a miłe pozostawało wrażenie” — powiada[1]) Prot Lelewel.

Joachim był później zapalonym tancerzem, więc przypuszczać można, że w konwikcie usilnie kształcił się i w tańcu. Wiadomo również, że księża prowadzili dobrze sprawującą się młodzież do teatru „na dramatyczne przedstawienia, jakiemi były Osińskiego „Horacyusze”, „Cyd”, „Alzyra”, „Zaira”, w których Bogusławskiego i Ledóchowską uwielbiano”. Obok nagród za dobre sprawowanie wymierzano za przestępstwa kary, uciekano się nawet do chłosty cielesnej. Czasem kazano klęczyć w sali jadalnej podczas obiadu, a Prot powiada, że „poniżenie takie srodze dotykało”.[2])

Była w konwikcie i okazała biblioteka, mieszcząca się w osobnym gmachu.

Z kolegium prowadził do niej korytarz przez wspaniały portyk. Pomiędzy oknami po obu ścianach sali stały szafy drutowane, lakierem kryte, pełne voluminów we właściwych sta-

---

[1]) Pamiętniki Prota Lelewela.
[2]) Pamiętniki.

rownych oprawach z napisem: *Ex Bibliot. Coll. Schol. Piarum.* Wysoko dokoła ganki, też z oknami, między niemi szafy również napełnione. A dziś, — powiada pamiętnikarz z westchnieniem, —gdzie są te staranne szacowne zbiory? Wielka ta, znamienita biblioteka służyła do występów egzaminowych. Tu w końcu miesiąca lipca odbywały się egzamina publiczne; w głębi sali na podwyższeniu stawali uczniowie do popisu, publiczność, ojcowie, matki... zasiadali i tu mogli oceniać postęp w naukach i zasługę Pijarów"[1]).

Ta wielka sala z książkami ześrodkowywała niewątpliwie myśli Lelewela przez cały czas pobytu jego w konwikcie. Niejedną cenną wskazówkę mógł otrzymać od swoich nauczycieli, ale jeszcze cenniejszą stała się dla niego ta okoliczność, że Pijarzy pozwalali pracować swoim uczniom poza godzinami obowiązującemi. Każdy z uczniów miał przy głównej w konwikcie sali swoją ,,klatkę", która od tej sali kratą była odgrodzona. W takiem to pomieszczeniu zamykał się Lelewel, by w długie wieczory wędrować bez przeszkody po nęcących go obszarach wiedzy. Zaczął kupować sobie mapy i książki. Już w konwikcie ocknęła się w nim żyłka bibliofila:

,,Od czasu Zielonych Świątek... kupiłem 4 mapy, t. j. Francyi na departamenta podzielonej, Szwajcaryi, Grecyi i bieg Renu z Mozelą, dwa tomy życia Wilhelma III, króla Anglii i statudera holenderskiego, historyę grecką, tłómaczoną przez Jakubowskiego, Sen Orzechowskiego, tegoż kroniki, dykcyonarz geograficzny po francusku, tom I rewolucyi szwedzkich, historyę Pieczyngów po francusku, Kluka tom IV, historyę odkrycia Ameryki" i t. d....[2])

Z tymi skarbami zamykał się w swojej klatce i pracował z niegasnącym zapałem.

Ślęczał nad księgami, robił mapy, to ,,zapędzał się" ,,w kilkorakie przerysowywanie d'Anvillowskich krajobrazów"[3]), to znowu tłómaczył sobie z francuskiego na polski gramatykę hebrajsko-chaldejską Leusdena.[4]) W piątej klasie powziął śmiały

---

[1]) Pamiętniki Prota Lelewela.
[2]) Listy J. Lelewela, Tom I° str. XXXI.
[3]) Album rytownika polskiego, str. 1.
[4]) Rękopis tego tłómaczenia znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej. № 3500.

zamiar napisania historyi XVIII wieku. Nad dziełem swojem przesiadywał po nocach, korzystając z książek własnych oraz wypożyczonych z biblioteki konwiktu. Pisał ową historyę tak zawzięcie, iż nieraz dobrze po północy płoszył go głos księdza prefekta i zapędzał do łóżka.

Na tych studyach samodzielnych ucierpiała nauka szkolna. Już w klasie trzeciej zmuszony był przesiedzieć dwa lata. Powodem nieotrzymania promocyi było zaniedbanie łaciny i pogarda dla reguł gramatycznych, którym — nie od rzeczy będzie tu dodać — całe życie z dużem powodzeniem urągał.

„Wykręcałem się, —mówi sam o sobie, — z gramatycznej matni dość szczęśliwie, aby zbyć".[1])

Był też uczniem, według własnego określenia, „we wszystkich studyach miernym, ale wymiernym". Nie doczekał się zaszczytów, ani godności, jakiemi w konwikcie darzono zdolniejszych wychowańców, nie wybił się na czoło. Ale pod powłoką owej „mierności" krył wielkie ambicye i niepospolitą wiedzę, którą tylko raz jeden wobec zwierzchności szkolnej miał niespodziewanie zabłysnąć. Zapytany na egzaminie geografii przez rektora Kamińskiego o Krzyżaków, dał tak wyczerpującą, a „gracką" odpowiedź, że podziw wywołał w kolegach, a i rektorowi musiał zaimponować, bo w dowód uznania przyniósł mu później Kamiński piękne wydanie chronologii Blair'a wraz z prośbą, by dzieło to uzupełnił chronologią polską. Praca ukazać się miała w druku. Skwapliwie więc zabrał się do roboty młodzieniec i, posiłkując się Naruszewiczem, szybko ukończył swą pracę. Spotkał go zawód. Rektor chciał się tylko przekonać, jak daleko sięga samodzielność Joachima, ale rzecz wątpliwa, czy miał wogóle zamiary wydawnicze.[2])

W konwikcie żył Joachim bliżej z kilkoma kolegami, jako to z kuzynem Dekertem, Pawłem Cieszkowskim (ojcem głośnego filozofa Augusta), Wierzchlejskim, Mędrzeckim,[3]) ale z tych żaden w późniejszem życiu Joachima nie odegrał wybitniejszej roli. Musiał jednakże Lelewel cieszyć się popularnością

---

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 5.
[2]) Przygody w poszukiwaniach, str. 6.
[3]) Nazwiska te wymienia później Lelewel w listach, pisanych z Wilna.

śród kolegów, bo wydawał dla nich gazetę pisaną, wychodzącą dwa razy na tydzień, oraz pamiętnik literacki, ukazujący się co miesiąc.[1])

Na takich to pracach i zajęciach płynęły lata szkolne, zbliżając się szybko do końca.

Joachim stawał na progu nowego życia i sam miał niebawem kierować swoją przyszłością. Przestawał być chłopcem, zaczynał być człowiekiem. Chłopiec wyniósł z domu głęboko tkwiące w duszy poczucie prawości, a człowieka sam wyrabiał w sobie. Był to już wtedy umysł przenikliwy i rzutki, charakter mocny, uparty, umiejący łamać przeszkody i śmiało zdążać do zakreślonego celu. Będąc kilkuletnim malcem, złożył dowód, że nawet plagi nie mogły w nim zmienić raz powziętego przekonania. Upodobania miał określone wyraźnie. Ambicya autorska jasno płonęła w młodej duszy, ale silna wola umiała powstrzymywać pragnienia i nie manifestować ich na zewnątrz. Od lat najwcześniejszych nosił się z myślą o sławnej przyszłości pisarskiej, jak z drogocennym skarbem, który taił przed otoczeniem. Ten skarb był wyłączną jego własnością. Obecnie, gdy stanął przed rozstrzygnięciem, jaki zawód ma sobie wybrać, nie zawahał się ani chwili. Wiedział dobrze, czego chce i dokąd dąży. Żelazna energia, którą w samodzielnej pracy wykazał, dodawała mu pewności i wiary w siebie. Więc młodzieńcze skrzydła niecierpliwie zrywały się do wysokiego lotu, a oczy z ufnością spoglądały w dal życia.

Uśmiechało mu się promienne słońce sławy.

---

[1]) W. Korotyński: Rodzina Lelewelów. „Tygodnik Powszechny”. R. 1882, № 52, str. 830.

III.

LATA UNIWERSYTECKIE.

Miał silną wolę kształcić się dalej i pogłębić wiedzę, którą z wielkim trudem zdobywał w domu, a później w konwikcie. Wola ta najzupełniej zgadzała się z życzeniami ojca. Pozostawało tedy wybrać wyższą uczelnię. Karol Lelewel proponował synowi wyjazd do Królewca lub do Wilna, gdzie właśnie reorganizowano akademię. Joachim do Królewca jechać nie chciał. Bardzo ciekawą przyczynę tej niechęci podaje sam: oto obawiał się, aby w Królewcu „mimowolnie nie zniemczał".[1]) Snać tradycye węzłów rodzinnych silne jeszcze były w domu Lelewelów, a młody „Mazur" bał się najwidoczniej wpływu krewniaków, od których zresztą i ojciec się boczył. Ostatecznie stanęło na tem, że Joachim pojedzie do Wilna. Ojciec zachęcał go do wybrania zawodu nauczycielskiego, a propozycya ta najzupełniej zgadzała się z planami Joachima. Przeciwko wyborowi takiej karyery protestowali niektórzy członkowie dalszej rodziny, z pogardą odzywając się o bakałarce. Ale „młody Joachim, popierany przez ojca, zacięcie przekonywał upartych, że w każdym czasie powołanie takowe, sumiennie pełnione, jest zaszczytem", a w ówczesnym stanie rzeczy „jedynem, kędy można jeszcze niepodlegle i użytecznie służyć krajowi"[2]). A przekonywał tem goręcej, że po-

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 7.
[2]) Ś. p. Joachim Lelewel. Bruxella 1861. Mowa Sawaszkiewicza, str. 12.

przez mgły zawodu nauczycielskiego przyświecała mu złota wolność pracy w innym, bardziej niż nauczycielstwo umiłowanym zawodzie. W głębiach swej duszy, z upodobań i przekonania był, według własnego wyrażenia, „zdziełcą", to jest twórcą, autorem, a słusznie wyrozumował sobie, że kształcąc się na nauczyciela, będzie mógł urzeczywistnić swoje ambitne plany i seryo rozpocząć karyerę pisarską.[1])

W r. 1804, nie czekając końca roku szkolnego w konwikcie, opuścił Warszawę i wraz z ojcem wyjechał do Wilna. Staraniem biskupa Cieciszewskiego[2]) przyjęty został przez władze uniwersyteckie w charakterze kandydata-stypendysty do stanu nauczycielskiego. Stypendyum miało stronę ujemną: korzystający z niego studenci obowiązani byli po skończeniu uniwersytetu pełnić przez lat sześć obowiązki nauczycielskie w szkołach niższych, stosownie do wskazań rządu uniwersyteckiego. Kandydat taki często musiał pokutować gdzieś w głuchej prowincyi, zdala od większych ognisk ruchu umysłowego. Taka perspektywa nie mogła nęcić Joachima, ale szczupłe środki ojca nie pozwalały na opłacanie wpisu i utrzymanie syna, a z tem trzeba było się liczyć.

W Wilnie Karol Lelewel miał sporo znajomych. Dawnego kasyera Komisyi Edukacyjnej ze wzruszeniem i czcią witali profesorowie, piastujący tę godność jeszcze za czasów Rzeczypospolitej. Hussarzewski, Mickiewicz, Malewski, Jundziłł, Narwojsz, dawny rektor Poczobut, nowy rektor Stroynowski, otoczyli przybyłych serdeczną życzliwością. Ten i ów z żywem uczuciem przypominał eks-kasyerowi dawne czasy i pracę wspólną w ciężkich, ale jakże innych niż obecne warunkach. Znalazł się w Wilnie i bliższy Joachima krewny, mianowicie kolleżski asesor, Konstanty Szelutta, niegdyś domownik Lelewelów, obecnie zarządzający w Wilnie archiwum pojezuickiem. Był to człowiek zacny i bezinteresowny. U niego to Karol Lelewel, opuszczając stolicę Litwy, umieścił swojego syna. Szelutta powierzonym pieczy jego krewniakiem zajął się życzliwie. A zajął się w sposób tak delikatny i szlachetny, że nigdy nie dotknął ambitnego

---

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 7.

[2]) W. Korotyński: „Rodzina Lelewelów". Tyg. Powszechny Rok 1882, str. 830.

młodzieńca. Zachował też Joachim o swoim przyjacielu i opiekunie pamięć jak najlepszą, a gdy ten w kilka lat później umarł, wdzięczny Lelewel serdecznie i szczerze opłakiwał stratę. „Szelutty pamięć,— pisał na wiadomość o śmierci, — zawsze będzie dla mnie droga i rozrzewniająca”.[1])

Stolica Litwy, gdy Lelewel zawitał do niej na studya, nie posiadała tego uroku, jaki otoczył ją w kilkanaście lat później. Społeczeństwo żyło jeszcze pod klątwą katastrofy, która z widowni Europy zmiotła Rzeczpospolitą, a czasy wojenne nie sprzyjały ruchowi umysłowemu. Miecz Napoleona groźnie wznosił się nad światem. Państwem rosyjskiem, a więc i Litwą, raz po raz wstrząsały dreszcze niepokoju. Chrzęst orężny słychać było wszędzie. Liczne wojska przeciągały przez Wilno, odgłosy wojen lub zapowiedzi wojenne trwożyły mieszkańców, nad miastem ciążyła przyszłość niepewna i chmurna. To też życie miejscowe płynęło łożyskiem wązkiem i płytkiem. Powstało podówczas w Wilnie kasyno, rodzaj klubu ze wszystkiemi cechami głębokiej prowincyi, z kłótniami i zawiściami małych miasteczek. Był teatr, posiadający nędzne dekoracye, haniebne oświetlenie i mierne siły aktorskie. Nie posiadało natomiast Wilno swego piśmiennictwa, jeśli nie liczyć prób nieudanych, nie posiadało ani jednego z owych ożywczych źródeł, które wytworzyła z czasem atmosfera uniwersytetu, a które nadały później miastu fizyonomię żywą, barwną a wdzięczną.

Uniwersytet zaczynał dopiero w owym czasie budzić utajone siły społeczeństwa i wprawiać je w stan czynny. Ale początki tej niezapomnianej uczelni były bardzo trudne. Uniwersytet miał swoich zdecydowanych nieprzyjaciół w Jezuitach, miał na szczęście dzielnego opiekuna w osobie swojego kuratora, księcia Adama Czartoryskiego.

Jezuici na Białej Rusi, odkąd ten kraj przeszedł pod panowanie rosyjskie, otaczani byli szczególną opieką Katarzyny i Potiomkina, a później Pawła I-go. Cesarzowa Katarzyna nie dozwoliła nawet ogłosić breve Klemensa XIV, i zakon jezuicki, skasowany wszędzie, ocalał na Białej Rusi. Oświata znajdowała się w rękach Jezuitów. Ich szkoły w Połocku, Dynaburgu, Or-

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 142.

szy, Mohilowie, Mścisławiu zostały zreformowane na wzór szkół petersburskich, a w październiku r. 1800. Paweł I wydał rozkaz, który polecał Jezuitom zająć wszystkie katedry w Akademii Wileńskiej. Wyjątek stanowiły jedynie katedry wydziału medycznego, ale i ten wydział pozostawać miał pod bezpośredniem zwierzchnictwem rektora Jezuity. Ukaz Pawła zapowiadał nadto oddawanie stopniowe pod zarząd Jezuitów wszystkich szkół na Litwie, Wołyniu i Podolu. Szykowali się tedy Jezuici do opanowania Akademii Wileńskiej i dalszego rozprzestrzeniania swych wpływów, gdy śmierć Pawła pokrzyżowała te plany. Aleksander I pod wpływem towarzysza swojej młodości, a ówczesnego ministra spraw zewnętrznych, ks. Czartoryskiego, zmienił politykę swego poprzednika względem Jezuitów. Ukazem z roku 1803 Akademia przekształcona została na uniwersytet, a ks. Czartoryski objął kuratorstwo wydziału naukowego wileńskiego, do którego weszły dawniejsze prowincye Rzeczypospolitej, wcielone przez rozbiory do państwa rosyjskiego. Pod zarząd uniwersytetu oddane zostały wszystkie szkoły okręgu. Dla Jezuitów był to cios potężny, ponieważ ich szkoły również podlegać miały odtąd uniwersytetowi. Więc starali się wyzwolić z pod nowej władzy, a starania częściowo pomyślnym skutkiem zostały uwieńczone: w styczniu r. 1812 kolegium połockie na mocy ukazu Aleksandra I wyniesione zostało do godności akademii i wraz z przynależnemi szkołami uniezależnione od uniwersytetu wileńskiego. Słynna akademia połocka, wystawiona później na pośmiewisko publiczne przez Stanisława Potockiego, nie dopięła celu: Jezuici nigdy nie mieli już odzyskać utraconych wpływów.

Dzieło oświaty na Litwie i Rusi, wyzwolone z więzów scholastyki średniowiecznej i przestarzałych systemów nauczania, przepysznie zaczęło się rozwijać.

Nowy kurator, ks. Adam Czartoryski, młody podówczas człowiek, bo zaledwie 33 lata liczący, miał już za sobą przeszłość historyczną, jako przyjaciel młodości Aleksandra I i jako jego minister. Wykształcony na ślizkich posadzkach dworu ówczesnego, zaprawiony do działań w ogniu dyplomacyi, posiadał już wtedy niemałe doświadczenie i niemałą zręczność życiową. Z natury swojej miękki i łagodny, w manierach wielkopański,

w stosunkach z ludźmi uprzejmy i ujmujący, wykazał na nowem stanowisku wolę mądrą a świadomą wielkiego zadania. Sięgając po nowy urząd, nie był uwiedziony jednorazowym błyskiem energji, lecz czuł odpowiedzialność, jaką bierze na siebie wobec własnego społeczeństwa. Miał, jako kurator, wielkie ambicye, a planami swymi sięgał w przyszłość i na daleką zakreślał je metę. Nie tracąc żadnej z cech swojego charakteru, umiał tchnąć w okrąg wileński nowe życie, umiał z lichej akademii stworzyć uniwersytet pierwszorzędny, powołać do życia setki szkół nowych i dziesiątkom tysięcy młodzieży polskiej dać możność korzystania z pięknych owoców oświaty. Wrażliwy na wszystkie potrzeby swojego dzieła, śpieszył uniwersytetowi, jako instytucyi naczelnej, z radą, pomocą, wskazówką, wchodził w najdrobniejsze szczegóły życia uniwersyteckiego, łagodził nieporozumienia między profesorami, zachęcał do zgodnego pożycia i pracy, otaczał opieką wybitniejszych studentów, w tysiącach serc młodych rozpalał miłość dla nauki i w całem społeczeństwie zyskiwał należny dla niej szacunek.

Na wielkiej przestrzeni, bo od Kamieńca Podolskiego aż do Witebska pług oświaty polskiej orał zaniedbaną glebę. I na całej przestrzeni rodziła się myśl nowa i nowy duch wstępował w serca pokolenia.

Pozyskany na wizytatora szkół w guberniach wołyńskiej kijowskiej i podolskiej, mąż wielkiej nauki, Tadeusz Czacki, twórca słynnego liceum krzemienieckiego (r. 1805) oraz powołany w początkach r. 1807 na rektora uniwersytetu wileńskiego słynny matematyk i astronom, Jan Śniadecki, wraz z Czartoryskim najchlubniej zapisali swoje nazwiska w niezapomnianem dziele duchowego odrodzenia narodu.

Jana Śniadeckiego cechowała surowość i powaga. Sprężysty administrator, znający władzę swoją zwierzchnik, twardy w postępowaniu, a silny wewnętrznem poczuciem własnej wartości, umiał nakazać dla siebie szacunek, a urząd swój otoczyć powagą i blaskiem. Dla młodzieży życzliwy, acz niedostępny, dbał o jej dobro moralne i materyalne. Jako człowiek o zdecydowanych przekonaniach liberalnych, choć nie bez popędów despotycznych i nie bez wielkich uprzedzeń, właściwych wybitnym indywidualnościom, miał licznych nieprzyjaciół zarówno w gronie profeso-

rów, jak śród duchowieństwa. Profesorowie niezawsze godzili się z władzą rektorską, a duchowieństwo zakonne sarkało na reformy, które Śniadecki przepisał szkołom zakonnym. Z profesorami nie zawsze umiał sobie twardy rektor poradzić, z duchowieństwem również toczył walki, musiał się nawet uciec do groźby, że w razie nieposłuszeństwa odbierze zakonnikom szkoły.[1])

Ale nim Śniadecki został rektorem uniwersytetu, inne miał do przezwyciężenia trudności. Przedewszystkiem należało pozyskać profesorów, a to zadanie bynajmniej do łatwych nie należało, gdyż Polska nie posiadała podówczas tylu uczonych, ilu było potrzeba. A „w braku sił krajowych powołanie z samego początku uczonych obcych było twardą koniecznością; ale cudzoziemcy ci, obok rzetelnej wiedzy i ogromnej nauki, wnosili ze sobą ducha rozmaitego, ambicye wielkie, rywalizacye, które nie dawały się nagiąć i zaprządz do zgodnego pożycia"[2]). Lelewel trafił właśnie na czasy, kiedy owi cudzoziemcy zaczynali się zjeżdżać. Przybyli podówczas: Grodek, Abicht, Capelli, Tarenghi, Langsdorf i inni.[3])

W dziejach uczelni wileńskiej nowa zaczynała się era.

Hieronim Stroynowski, który, gdy Lelewel zawitał do Wilna, piastował urząd rektora, człowiek światły, układny, posiadający znajomość życia i ludzi, acz niechętnie widziany był przez Jezuitów, pokonywał zręcznie trudności i robił wiele, aby nowej ustawie uniwersytetu nadać siłę życia. Mianowany na jego miejsce w początkach r. 1807 Jan Śniadecki z powodzeniem pracował dalej i energicznie dźwigał powierzoną sobie uczelnię na wyższy stopień rozwoju. Ale w chwili przybycia Lelewela nie wszystkie katedry miały już odpowiednie siły i nie wszyscy profesorowie stali na wysokości zadania.

Uniwersytet posiadał cztery fakultety: fizyczno-matematyczny, lekarski, nauk moralnych (obejmujący prawo, teologię historyę powszechną i filozofię) oraz literatury i sztuk wyzwolonych. Mnogość wykładanych przedmiotów olśniła wychowańca

---

[1]) Pamiętniki o Janie Śniadeckim przez Michała Balińskiego, Tom I, str. 527.

[2]) Józef Kallenbach: Kuratorya wileńska. Biblioteka Warsz. R. 1904, str. 424.

[3]) Przygody w poszukiwaniach, str. 8.

konwiktu. Potężne wrażenie zrobiła również na nim różnorodność słuchaczów.

„Akademia, czyli Uniwersytet, — donosił później bratu Protowi, — jest rzecz w Wilnie znacząca. Księża, młodzież i żydzi nawet chodzą na lekcye; w niej uczą wszystkiego, fizyki, chemii, historyi naturalnej, botaniki, gospodarstwa wiejskiego, wyższej matematyki, astronomii, architektury, anatomii, chirurgii, kliniki, medycyny, leczenia bydląt, logiki z metafizyką, filozofii moralnej, prawa natury, ekonomii politycznej, prawa cywilnego, kryminalnego, tak rosyjskiego jak polskiego i innych narodów, historyi powszechnej, pisma świętego, teologii, wymowy i poezyi, języków, literatury greckiej, łacińskiej rosyjskiej i rysunków tak malarskich, jak topograficznych".[1])

Już z samego wyliczenia przedmiotów widać, że Lelewela odurzył ten zaczarowany las nauk. Żądza „wszystkowiedzy", co się obudziła tak wcześnie, była na ciężką wystawiona próbę. Musiał się jednak pohamować młodzieniec, bo ograniczył się do uczęszczania na wykłady historyi powszechnej, prawa, geometryi, języka francuskiego, historyi naturalnej, literatury łacińskiej, wymowy polskiej, fizyki, oraz „rysunków topograficznych i malarskich".[2]) W ten sposób odrazu zaczął uczęszczać na trzy fakultety. Wykładów wybrał o wiele więcej, niż wymagały tego „powinności kandydackie". Głównie jednak „szukał historyi, a ta mu wnet znikła".[3]) Nie miał szczęścia: przedmiot, który jak najgoręcej ukochał, był wykładany krótko i licho.[4]) Katedrę historyi zajmował podówczas ksiądz Tomasz Hussarzewski, były misyonarz, starzec wiekowy, schorowany, mówiący tak słabym głosem, że dobrze trzeba było nadstawiać uszu, aby wykład jego słyszeć. Hussarzewski nie znał współczesnej literatury historycznej, dzieł niemieckich nie czytał, francuskie lekceważył. Kurs swój, ułożony przed dwudziestu pięciu laty, odczytywał bez zmiany. Profesor ten o tyle tylko odznaczał się niezależnością sądu, o ile chodziło o Jezuitów, których nie

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 3.
[2]) Tamże, str. 1 i 14.
[3]) Przygody w poszukiwaniach, str. 8.
[4]) Legenda o świetności wykładów Hussarzewskiego powstała zapewne na tej podstawie, że do jego uczniów zaliczał się Lelewel.

cierpiał, a którym nie szczędził przy lada okazyi słów ostrych i mocnych. Otóż Hussarzewski już w r. 1805 wyszedł do emerytury i katedra po nim została nieobsadzona.

Lelewel pilnie uczęszczał na wykłady Hassarzewskiego, a gdy ten wykładać przestał, zaczął odwiedzać go w domu. Emeryt wynalazł jakieś dalekie pokrewieństwo i to pomiędzy nim a uczniem zacieśniło węzły, wytworzyło stosunek serdeczny, poufały. Ciepłe uczucie, jakie Lelewel żywił dla niezależnego staruszka, było powodem, że Hussarzewskiemu niejednokrotnie przypiwywano wielki wpływ na znakomitego dziejopisa. Tymczasem niedołężny i zrutynizowany profesor wpływu takiego wywrzeć nie mógł. Zbyt wysoko sięgały już wtedy dążenia Lelewela, aby wskazówki Hussarzewskiego mogły go rozwijać i kształcić. Lelewel wskazywał innego profesora, któremu zawdzięczał wiele, a który istotnie w czasach uniwersyteckich był mu doradcą, przewodnikiem i przyjacielem.

Profesorem tym był Ernest Gotfryd Grodek, niepospolity znawca starożytności, człowiek potężnej wiedzy, głęboko rozmiłowany w swoim przedmiocie uczony.

Grodkowi Lelewel był ,,wiele winien''. Profesor ten darzył go ,,szczególniejszą przychylnością i przyjaźnią''[1]), udzielał się chętnie i błądzącemu studentowi nieraz wskazywał ,,drogi pewniejsze, lepiej ubite''.[2]) Często też przypominał sobie później Lelewel ,,te słodkie i chlubne momenta, w których z nauczycielem tak szanownym mógł rozmawiać''[3]), a później jeszcze gniewał się, gdy Leonard Chodźko, pisząc o profesorach znakomitego dziejopisa, wymienił Hussarzewskiego, a nie wspomniał o Grodku.

,,Wspomniałeś o Hussarzewskim, a ja nieskończenie więcej obowiązany Grodkowi. Z Hussarzewskim były dalekie relacye familijne, a z Grodkiem prawdziwie naukowe''...[4])

---

[1]) List Lelewela do Bułharyna. Gwiazda, kal. petersburski na r. 1881, str. 65.

[2]) Narody na ziemiach słowiańskich... Joachima Lelewela, Poznań 1853, str. VI.

[3]) List Lelewela z d. 25 VII 1809 r. Rks. w Bibl. Jag.

[4]) List Lelewela z d. 10. VI 1834 r. Rks. w Rapperswilu.

Mistrz Lelewela był Niemcem, czy też zniemczonym Ślązakiem, ożenionym z Polką. Język polski znał dobrze, ale wymowa jego zdradzała cudzoziemca. Do Polski przybył na wezwanie generała Ziem Podolskich, księcia Adama Czartoryskiego, i jako nauczyciel jego synów czas dłuższy przemieszkiwał w Puławach. Tutaj napisał, a następnie wydał sporo prac filologicznych, które zjednały mu uznanie i powagę w świecie naukowym. Wezwany do Wilna na katedrę literatury greckiej, zasłynął po pewnym czasie, jako wszechstronnie wykształcony człowiek i świetny profesor. Przedtem wszakże musiał rozwiać mgły uprzedzeń i niedowierzania, jakie samą swoją powierzchownością budził wśród młodzieży. Była to bowiem postać odpychająca. Mały, chudy, o potężnym garbie, o olbrzymiej głowie, jakgdyby wciśniętej pomiędzy sterczące ramiona, o twarzy pomarszczonej, żółtej, zeszpeconej nieforemnemi ustami, zza których połyskiwały krzywe, a jak kły wielkie zęby, nie mógł budzić na pierwszy rzut oka sympatyi.[1]) Ale w tej ,,figurze arcyniepowabnej", w tym skrzywdzonym przez naturę człowieku płonął jasno zapał dla nauki i żarzył się entuzyazm, wybuchający podczas wykładów gorącym potokiem natchnionego słowa. Wiedza i poezya łączyły się w jego wykładach, stapiając się w całość czarującą. To też słuchaczów swoich miał z czasem nie tylko uczyć, ale porywać, wzruszać, miał panować niepodzielnie nad audytoryum i ujarzmiać je potęgą swojego słowa, czarem swej myśli mądrej a podniosłej.

,,Trzeba go było słyszeć, kiedy przy lada... sposobności, zagłębiony w swem krześle, naukę starożytności, wielkich jej ludzi, charakter jej czasów, potęgę sztuki zalecał; każde jego słowo, lubo z piersi niezbyt mocnych, było donośne, cichość bowiem panowała w sali niezachwiana, a kiedy głos ten jeszcze bardziej osłabiał, to dla dania miejsca rozrzewnieniu, któremu i sam, i słuchacze dłużej podołać nie mogli. Trzeba było go słyszeć, kiedy starzec po chorobie, często bowiem zapadał na zdrowiu, powracał do zatrudnień i na pierwszej prelekcyi miał przemówkę powitania do uczniów: ktoby był wtenczas, nie wiem, coby z nim razem łzy szlachetnej nie uronił i przejęty czcią

[1]) Wizerunek Grodka skreślony został na podstawie Karola Kaczkowskiego ,,Wspomnień". Lwów 1876, Tom I. str. 125.

dla mistrza w jego ślady wstępować nie zapragnął... Poezyę życia w wysokim stopniu posiadał Grodek, tem wyższy nad innych, iż umiał jej życie przelać w uczniów swoich. Jakoż rzeczywiście poezya i sztuki piękne były mu w całem życiu ulubione; źle go znał, kto go tylko jako hellenistę uważał, kto w nim nic więcej nie widział, jak zaciekłego w naukach starożytnych i oprócz nich nic nieumiejącego cenić. Był to człowiek z widzeniem ogólniejszem, z uczuciem estetecznym najwyższem, sercem, zdolnem podnosić się i godnie oceniać wzory nieocenione sztuki, bądź dawnej, bądź nowej; a żywość ta uczuć do ostatniej chwili go nie opuszczała i dzieliła wszystkie przygody jego życia." [1])

Grodek był przyjacielem młodzieży. Udzielał się jej chętnie, nie odmawiał poparcia i protekcyi. Ale w stosunkach z profesorami, kolegami swymi, był trudny. Ambitny i zawistny, niezawsze przebierał w środkach, gdy mu kto stanął na drodze. A przy całej poezyi, przenikającej jego duszę, był skąpy i o interesach swoich umiał prozaicznie pamiętać.

Mimo tych wad wielkie i niezapomniane położył zasługi. Wytrwałością i pracą dźwignął na wyższy poziom znajomość greczyzny w Polsce, wykształcił szereg nauczycieli gimnazyalnych, znających dobrze swój przedmiot, założył przy pomocy materyalnej księcia Czartoryskiego pierwsze seminaryum filologiczne w Polsce, placówkę ważną i pożyteczną. Jako prefekt biblioteki uniwersyteckiej, dbał wielce o powierzony opiece jego księgozbiór, wzbogacając bibliotekę mnóstwem dzieł rzadkich i cennych. Zamiłowany w starych drukach i książkach, był pełnym znawstwa bibliofilem. Zajmował się też gorąco numizmatyką i w tej dziedzinie wiedzy liczne miał uczynić odkrycia.[2])

Pierwsze wykłady Grodka nie miały powodzenia. Zaledwie dwóch słuchaczów zjawiało się na sali, a jednym z nich był Lelewel. Żądny wiedzy student, pierwszy śród młodzieży uniwersyteckiej odgadł rzetelną wiedzę w odrażającym przybyszu i pilnością swoją odrazu wkupił się w jego łaski. Sympatye

---

[1]) Obraz bibliograficzno-historyczny.... wystawiony przez Adama Jochera. Wilno 1840. Tom I, str. 208.
[2]) Tamże str. 229.

wzajemne rosły z biegiem czasu. Uczeń i profesor poznali się na sobie i ocenili się szybko. Ukochanie nauki zniosło przedział hierarchiczny: sympatya przerodziła się w przyjaźń. A była to przyjaźń piękna i mocna, bo jej podłożem stały się szlachetne dążenia naukowe.

„Lelewel, — świadczy Mikołaj Malinowski, — szanował i kochał profesora Grodka; Grodek cenił geniusz i pracowitość Lelewela, towarzystwo więc jego było mu zawsze najmilsze."[1])

Obaj mieli wiele wspólnych cech charakteru, obaj wiele tych samych upodobań. Wprawdzie Lelewel nigdy nie był interesowny i skąpy, ale podobnie, jak Grodek, miał charakter twardy i trudny. Z czasem, zostawszy profesorem, podobnie jak Grodek, podbić miał serca młodzieży i narazić się władzom uniwersyteckim. Obaj kochali książki i starożytność. Umysłowość obu była umysłowością uczonych niemieckich. Metodyczność, ścisłość i pewna ciężkość przy wrodzonej lotności umysłu cechowała ich prace. Ciężkość ta znikała, gdy zaczynali mówić, gdyż obaj mówili z łatwością i posiadali rzadki a piękny dar wymowy. Obaj byli ambitni, uparci, obaj mieli nawet jedną i tę samą śmiesznostkę, która polegała na tem, że obaj reformowali język polski, kując na swój użytek nowe wyrazy i zwroty. Lelewel, będąc jeszcze malcem, sobotę mianował szóstkiem, a z czasem w pismach swoich stworzył setki nieznanych przedtem wyrazów. I Grodek, choć często w swej mowie zdradzał cudzoziemca, również na swój sposób wzbogacał język polski, gniewając się np., gdy mówiono *złodziej*, kiedy, zdaniem profesora, należało mówić *kradziej*, to znowu zastępując wyrazy polskie łacińskimi, gdy te w jego mniemaniu lepiej odpowiadały istotnemu znaczeniu.[2])

Były to więc bratnie dusze, rozumiejące się doskonale, zbliżone same przez się, natury pokrewne z wielu cech charakteru i umysłu, z wielu zalet, wad i upodobań. Nic też dziwnego, że przylgnęli do siebie, że Lelewel niejedno zawdzięczał swojemu mistrzowi. Dzięki niemu miał możność rozszerzenia swych studyów nad numizmatyką, geografią starożytną i archeologią.

---

[1]) Mikołaja Malinowskiego księga wspomnień. Wydał Józef Tretiak. W Krakowie 1907, str. 89.

[2]) Karol Kaczkowski. Wspomnienia, str. 125—126.

Wszechstronnie wykształcony profesor prowadził swego ucznia w zaczarowany świat nieznanych zjawisk, wskazywał nowe dzieła w obcych językach, gawędził chętnie i długo, a gawędy swoje oświetlał blaskiem potężnej wiedzy i owym czarem poetyckim, którym rozrzewniał młodzież i wzruszał jej serca.

Takiego to mistrza znalazł sobie Lelewel. Podejmując studya na własną rękę, do Grodka w razach wątpliwych udawał się najczęściej. A studya samodzielne rozszerzały się nieustannie. W ciągu czterech lat pobytu w Wilnie, poza łaciną, greką, matematyką, fizyką, chemią, Lelewel uczęszcza na wykłady prawa, zajmuje się historyą, geografią i historyą geografii, poświęca specyalne studya początkowym dziejom Słowian, pisze „Historyę Sarmatów z różnych starożytnych autorów zebraną”[1]), spisuje pieśni i dumy skandynawskie, zbiera abecadła różnych ludów, porównywa teksty „Ojcze nasz” w różnych językach, zaznajamia się z językiem syryjskim, tłómaczy z łaciny na polski gramatykę Dilherra, interesuje się żywo archeologią i numizmatyką, to znowu, widząc słynnego rytownika, profesora Saundersa, pochylonego nad robotą, „marzyć poczyna o rytowaniu własnem”[2]) i tak energicznie zabiera się do pracy, że dochodzi niebawem do znacznej wprawy w rytownictwie. Każdy rok wzbogaca wiedzę niezwykłego pracownika. A jest to istotnie pracownik niezwykły, posiada bowiem dar, spotykamy u nas rzadko, wyjątkowo: *umie pracować.*

Zna wartość czasu, jak może nikt w Polsce.

W tem leży tajemnica wyposażenia się w owe zdumiewające zasoby wiedzy, do których nie mogłyby doprowadzić ani pamięć, ani przyrodzone zdolności. A zdobywał teraz wiedzę gruntowną, czerpaną ze źródeł nieporównanie obfitszych i bogatszych, niż te, do których miał dostęp w Warszawie. Nieugaszona żądza wiedzy prowadziła go po olbrzymich obszarach myśli ludzkiej, kazała mu brnąć przez stosy różnojęzycznych ksiąg i druków, przedzierać się przez gąszcz rozmaitych zjawisk, przedewszystkiem jednak badać dziejowy pochód człowieka, śledzić rozwój i rolę poszczególnych ludów w morzu zbiorowości ludzkiej. Początki dziejów ludzkości nęciły umysł bystry i ba-

---

[1]) Rks. w Ces. Bibl. Publicznej w Petersburgu.
[2]) Album rytownika polskiego, str. 3.

dawczy. Więc cofając się w przeszłość, pochłaniał nauki pomocnicze, by lepiej tę przeszłość zrozumieć. Szukanie prawdy gnało go po bezkresnych przestworzach nagromadzonej w ciągu wieków wiedzy. Poznał rozkosz dociekania, rozkochał się w znojach i pracy naukowej.

Czasem przecież myśl odrywała się od tej pracy i w inne wzlatywała sfery.

Pisał wtedy dumy, sielanki, rozpoczął nawet tworzyć „wielkie poema heroiczne” p. t. *Wybranie Piasta na króla od Polaków*[1]). Miało to być poema pełne aluzyi. Tak np. opis sejmu w Kruszwicy zawierał krytykę „sejmu ostatniego konstytucyjnego”. Nieznane są losy tego poematu, ale z niejakiem prawdopodobieństwem powiedzieć można, że poezya polska nie straciła arcydzieła, jeżeli nawet poemat został wykończony, a rękopis zaginął. W listach do rodzeństwa Joachim porzuca nieraz prozę i myśli swoje w rymach próbuje wypowiadać. Nie są to próby szczęśliwe. Pegaz młodego uczonego, który piękno poezyi umiał odczuwać głęboko,[2]) był dziwnie niedołężny, acz zdolny do niespodziewanych wybryków. Przysłowiowe rymy częstochowskie w tych próbkach walczą o lepsze z pogardą dla rytmu, a składnia w wyzywający sposób urąga prawidłom gramatycznym, albo, mówiąc stylem Lelewela, „gramatycznej matni”. Co prawda, wierszyki, posyłane rodzeństwu, pozbawione są wszelkiej pretensyi i bynajmniej nie świadczą, aby Joachim nie umiał się zdobyć na wiersze gładsze i lepsze. Są dane, że umiał. Jedna z dum jego tak podobała się profesorowi wymowy, Stanisławowi Bakowskiemu, iż żądał, aby autor odczytał ową dumę na egzaminie akademickim.[3]) Wymówił się od tej propozycyi mile połechtany student, ale pochwała dodała mu bodźca i podnieciła do podjęcia prób nowych.

Mimo tylu prac różnorodnych, znalazł jeszcze dość czasu, aby wziąć czynny udział w życiu towarzyskiem i koleżeńskiem. Odwiedzał profesorów, zbliżył się do Kazimierza Kontryma, lubionego przez młodzież urzędnika Akademii, a następnie sekre-

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 10.

[2]) Lelewel znał się na poezyi i, jak zobaczymy, dowiódł tego później.

[3]) Listy J. Lelewela, tom I, str. 7.

tarza rządu uniwersyteckiego, bliższe stosunki podtrzymywał z Tomaszem Życkim, początkowo dyrektorem gimnazyum wileńskiego, a od r. 1807 profesorem nadzwyczajnym na fakultecie fizyczno-matematycznym w uniwersytecie. Bywał i w teatrze, ale nie odrazu „ponieważ, — donosił bratu,— akademikom, chcącym iść na teatr lub redutę, należy się dziekanów czyli niby prefektów prosić o pozwolenie, do czego ja leniwy". Wprawdzie o pozwolenie młodzież nie pytała, jednakże Joachim uważał, że mu „nie wypada iść przeciwko temu", a że prosić nie chciał, więc wolał czas jakiś wcale do teatru nie chodzić. Miał natomiast grono kolegów, z którymi żył bliżej. Należeli do nich, dwaj bracia Moniuszkowie, Ignacy i Dominik, Józef Twardowski, Lenkiewicz, Pilecki, bracia Wołkowie. Skarżył się, że kompania ta nieraz przeszkadza mu w pracy, ale wśród tej kompanii byli ludzie wybitni, zasługujący na bliższą uwagę.

Do tych należeli bracia Moniuszkowie i Józef Twardowski.

Bardzo niewiele wiemy o działalności obu Moniuszków w czasach uniwersyteckich, ale ich dalsze życie pozwala przypuszczać, że i w młodości byli to ludzie niezwykli.

Ignacy Moniuszko, urodzony w r. 1787, odznaczył się w życiu późniejszem gorącem uczuciem patryotycznem, poświęceniem i ofiarnością. Porwany ruchem, który w r. 1812 ogarnął Litwę, zalaną wojskami Napoleona, uformował własnym kosztem pułk kawaleryi i w randze pułkownika odbył straszną kampanię. Klęskę i upadek nadziei, spowodowany nieszczęsną wyprawą, odczuł głęboko. Powróciwszy do stron rodzinnych, osiadł na wsi i całkowicie usunął się od świata. Poświęcił się nauce, którą w zaraniu młodości ukochał. „Była to, — powiada biograf Ignacego,— postać oryginalna i wybitna"[2]).

Jeszcze wybitniejszą postacią był jego brat młodszy, Dominik, urodzony w r. 1788. „Znakomity ten obywatel-filantrop, człowiek wyjątkowej całkiem cnoty, nauki, miłości kraju, iście wielkiego charakteru, — powiada Aleksander Jelski, który napisał piękny życiorys Dominika Moniuszki, — śmiało może być porównywany ze Staszicem, Kościuszką, Ignacym Potockim

[1]) Listy J. Lelewela, tom I, str. 18.

[2]) Stanisław Moniuszko przez Aleksandra Walickiego. Warszawa 1873, str. 19—20.

i innymi mężami, stanowiącymi po wszystkie czasy chlubę narodu i najwznioślejszy jego zaczyn duchowy"[1]). Człowiek ten całe swoje życie oddał jednej myśli, jednej idei, która od dzieciństwa go zajmowała. Ideą tą było wydobycie włościan z otchłani nędzy i ciemnoty, w jaką podówczas byli pogrążeni. Po skończeniu uniwersytetu ze stopniem doktora obojga praw, Dominik przeniósł się na wieś i rozmyślał o wcieleniu idei swej w życie. Burza napoleońska przeszkodziła narazie szlachetnym zamiarom. Porwany falą powszechnego zapału, Dominik wszedł do 3 pułku jazdy strzelców i dopiero w r. 1816 otrzymał dymisyę w randze majora. Powróciwszy na Litwę, do dóbr swych Radkowszczyzny i Pocieczoła w gub. Mińskiej, rozpoczął natychmiast swą niezapomnianą pracę. A rozpoczął od tego, iż zniósł w swych dobrach karę cielesną, a następnie pozostawiwszy sobie niewielki folwarczek, rozdzielił cały swój rozległy majątek na niewielkie kolonie. Kolonie te zabudował i osadził w nich włościan. Czynsz nieznaczny, jaki za użytkowanie kolonii takiej pobierał, całkowicie obracał na potrzeby duchowe gminy, przedewszystkiem zaś na szkółki wzorowe dla chłopców i dziewcząt. Przy szkółce męskiej istniała biblioteka, gabinet fizyczny, zbiory map i globusów. Działalność tego niezwykłego człowieka naraziła go na drwiny i szyderstwa bogatszej szlachty. Nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Oddany całkowicie idei swojej, nie żenił się nawet, by go rodzina nie odrywała od pracy. Jedną myślą pochłonięty, łamał wytrwale przeszkody i uparcie zdążał do celu. Jakoż powoli okolica zmieniała swój wygląd. Wzmogła się wydajność ziemi, ukazały się piękne plantacye, powszechną uwagę zwracał wspaniały stan ogrodownictwa. Zakwitły rzemiosła: stolarstwo, koszykarstwo, kołodziejstwo, rymarstwo i inne. Zapłonęła jasno oświata, wzmógł się dobrobyt. Ze szkół Moniuszki wychodzili ludzie ukształceni, o dobrych obyczajach. Zdumienie ogarniało przejezdnych na widok tej pięknej oazy, otoczonej wokoło morzem ciemnoty i nędzy. Tylko człowiek niezwykły, wielkiej duszy i wielkiego serca mógł stworzyć takie piękne dzieło.[2])

---

[1]) Aleksander Jelski: Dominik Moniuszko. Album biogr. zasłuż. Polaków i Pol k XIX w. Warszawa, 1901, str. 323.

[2]) Dominik Moniuszko umarł w Mińsku 24 czerwca 1848 r. Zmarł niespodzianie, bawiąc w tem mieście podczas grasującej cholery.

Lelewel w listach swoich kilkakrotnie jednego z Moniuszków nazywa przyjacielem. Trudno dociec, o którym mówi, bo imienia nie wspomina, a obaj należeli do jego kompanii. Ale kto wie, czy nie z Dominikiem żył bliżej i czy to nie wpływ tego ostatniego zaważył później na gminowładnych poglądach naszego dziejopisa. To pewna, że ludzi takich, jak Moniuszkowie, już zamłodu musiał ożywiać płomień entuzyazmu, że te piękne dusze i wielkie charaktery nie tylko życie późniejsze, ale i młodość musiały mieć górną.

Inny z przyjaciół Lelewela, acz nie tak blizki, jak Moniuszkowie, Józef Twardowski, słuchacz fakultetu fizyczno-matematycznego, był to młodzieniec, celujący w matematyce, zdolny, przedsiębiorczy, ruchliwy, umiejący błysnąć i zwrócić na siebie uwagę. W kilkanaście lat później, już jako rektor uniwersytetu, miał ujawnić wielką małoduszność, brak hartu i charakteru. Ale w dobie owej działalność jego była dodatnia. O ile bowiem wiadomo, on pierwszy dał młodzieży wileńskiej impuls do zakładania towarzystw, które z czasem, zmieniając swe kształty i rozszerzając działalność, to na pewien czas zanikając zupełnie, miały się odradzać i odegrać z czasem tak poważną rolę w dziejach Wilna i Litwy.[1]) W pracy tej pomagali Twardowskiemu Moniuszkowie, Lelewel, Jan Pilecki, ale pierwsze towarzystwo powstało skutkiem zabiegów i pomysłowości Twardowskiego.

Pod koniec roku 1805 on pierwszy zgromadził grono kolegów z fakultetu matematycznego i założył *Towarzystwo fizyczno-matematyczne.* Dowiedział się o tem Czacki, zawiadomiony prawdopodobnie przez samego organizatora, i listem, przysłanym na ręce Twardowskiego, pochwalił dążności naukowe młodzieży. W ten sposób Twardowski podniósł autorytet własnego dzieła, dodał mu powagi i znaczenia. Towarzystwo obrało swoim prezesem Jana Pileckiego, a na sekretarza powołany został Twardowski. Następnie stowarzyszeni zwrócili się do profeso-

---

[1]) O tych pierwszych towarzystwach śród kształcącej się młodzieży w Wilnie wiemy bardzo mało. Głównem źródłem poznania ich są ogłoszone drukiem „Listy" Lelewela. Jocher w swoim „Obrazie" dodaje niewiele. Materyał ten umiejętnie opracowany został w rozprawie Antoniego Małeckiego p. t. „Filomaci w Wilnie". Dla Zagrzebia. Lwów, 1881, str. 25—34. Nowsze prace, poświęcone tym czasom, nic nowego nie przynoszą.

ra matematyki, kanonika Narwojsza, i zaprosili go na swego członka honorowego. Narwojsz mile zaprosiny przyjął. W ten sposób powaga towarzystwa została podniesiona i byt utrwalony. Celem tego stowarzyszenia była wymiana myśli i pomoc wzajemna w kształceniu się, jak to wskazywała już sama nazwa, w naukach fizyczno-matematycznych.

Od tej chwili koła samokształcenia szybko zaczęły się mnożyć. Powstało niebawem przy udziale Lelewela *Towarzystwo nauk moralnych*, a jeden z Moniuszków założył *Towarzystwo sztuk wyzwolonych*.[1]) Jak widać z listów Lelewela, towarzystwa te zakładano konspiracyjnie, nie dlatego, by zataić ich istnienie przed rządem, ale dlatego, by śród wybitniejszych w świecie naukowym jednostek pozyskać członków honorowych przedtem, nimby to mogły uczynić inne, współcześnie zakładane towarzystwa. Działały więc trzy związki studenckie, a wszystkie miały na celu pomoc w nauce i kształcenie swych członków. W pierwszym z nich główną rolę odgrywał Twardowski, w drugim — Lelewel, w trzecim — Moniuszko. Konkurencya trzech związków osłabiała ich siłę wewnętrzną. Widział to Twardowski i wpadł na myśl połączenia owych grup oddzielnych jedną nicią organizacyjną. Z projektem tym zwrócił się do Lelewela i pozyskał go dla nowego przedsięwzięcia. Przystąpiono tedy do dzieła — i zabiegi uwieńczone zostały skutkiem pomyślnym. W ten sposób w początkach roku 1806 powstało *Towarzystwo nauk i umiejętności*, które wkrótce doprowadziło do zaniku poszczególne grupy i stało się ogólno-akademicką organizacyą o jednolitym statucie. Do ułożenia tego statutu powołani zostali Twardowski, Pilecki i Lelewel, a ostateczna redakcya, przyjęta później na walnem zebraniu, była dziełem Lelewela. Na prezesa honorowego zaproszono dziekana fakultetu fizyczno-matematycznego, Józefa Mickiewicza, a później, gdy się spostrzeżono, że Mickiewicza nie interesują sprawy towarzystwa, Stefana Stubielewicza; drugim prezesem, faktycznie tę rolę spełniającym, został katecheta gimnazyum wileńskiego, ksiądz Franciszek Godlewski. Obowiązki sekretarzów pełnili: Twardowski, jak już

[1]) Obaj Moniuszkowie byli słuchaczami fakultetu nauk moralnych. Wobec tego trudno dociec, o którym z nich jest mowa, gdyż Lelewel imienia nie wspomina.

wiadomo, późniejszy rektor, i Leon Borowski, późniejszy profesor literatury polskiej. Godność członków honorowych przyjęli: ks. Woronicz, późniejszy biskup, Hussarzewski, Jundziłł, Narwojsz, Stroynowski, Poczobut i inni. Wkrótce, bo w tymże 1806 roku na wniosek rektora Stroynowskiego, towarzystwo zmieniło swą nazwę. Rektor chciał koniecznie, aby nazwa bardziej odpowiadała rzeczywistości i wyraźnie wskazywała, że członkowie towarzystwa są studentami uniwersytetu wileńskiego. Młodzież obstawała za określeniem szerszem. Po długich targach i wzajemnych ustępstwach przyjęto nazwę *Towarzystwa doskonalącej się młodzi w naukach i umiejętnościach.* W styczniu 1808 r. raz jeszcze nazwę zmieniono i odtąd towarzystwo nosiło miano *Filomatycznego.* Ale ta ostatnia nazwa przyjęta została w epoce, kiedy *Towarzystwo* zaczęło się chylić do upadku. A do upadku przyczynił się poważnie gadatliwy prezes Stubielewicz,[1]) który zainicyował dyskusye na posiedzeniach Towarzystwa. Te dyskusye, podczas których najwięcej mówił sam prezes, dokuczyły młodzieży i wypłoszyły z *Towarzystwa* wielu czynnych i ruchliwych członków, a między nimi i Lelewela.

Ale *Towarzystwo doskonalącej się młodzi* miało swe piękne chwile. Przyczyniło się do wzmożenia ruchu umysłowego śród młodzieży, obudziło w niej chęć szlachetnego konkurowania na polu pracy naukowej, stworzyło szereg prelegentów, dało poznać siły obiecujące. Posiedzenia Towarzystwa musiały mieć charakter poważny, skoro nawet niektórzy profesorowie, jak Grodek, Jundziłł, Hussarzewski, przysyłali do odczytania swe prace. A śród młodzieży wysunęli się na czoło, jako prelegenci: Twardowski, Pilecki, Hołyński i inni.

W szeregu tej młodzieży jedno z miejsc pierwszych należy się Lelewelowi. Zasługi jego w tem stowarzyszeniu były bardzo znaczne: przyczynił się do założenia Towarzystwa, napisał statut, zabiegał o nowych członków, a zaraz po ukonstytuowaniu się Towarzystwa, wyróżnił się jako płodny i ruchliwy prelegent. Prawdopodobnie już na jednem z pierwszych posiedzeń wygłosił mowę, w której gorąco zachęcał kolegów do pracy. Mo-

---

[1]) Być może, że do upadku T-wa Filomatycznego przyczynił się i Jan Śniadecki, który, zostawszy rektorem, nie był zadowolony z działań T-wa i rozwojowi jego nie sprzyjał.

wa to ciekawa, bo obok zapału dla nauki i umiłowania historyi odsłoniła nam po raz pierwszy obywatelską duszę młodzieńca. Uwagi, zawarte w listach do ojca i do rodzeństwa, nie pozwalały dotąd na wnioski, co Lelewel, będąc studentem, myślał i w jaki sposób zapatrywał się na losy i dolę swojej ojczyzny. Mając lat osiemnaście, dziwił się naprzykład, że dotychczas nie nastąpiło zjednoczenie kościoła greckiego z rzymskim. „Póki była Polska, polityka nie dozwalała, dziś, nie wiem żadnej zawady". Donosząc o odwiedzeniu grobów w 22 kościołach wileńskich, dochodzi do niespodziewanej konkluzyi: „Muszą być ludzie źli, kiedy ich (t. j. kościołów) tyle potrzebują". Mówiąc o polityce państwa rosyjskiego, powiada, że państwo to „jest rządzone od dobrego monarchy, ale zarządzane od złych". O cesarzu Aleksandrze wyraża się z uznaniem, nazywając go bez ogródek „wzorem panujących". Zna jednak miarę godności. Gdy w początkach roku 1805 kasyno miejscowe przyjmowało z wielkimi honorami przejeżdżającego przez Wilno Zubowa, Lelewel, wspominając o tych honorach, napisał do brata: „rzecz nie tylko niepotrzebna, ale wcale niedorzeczna".[1]) Z tych uwag i spostrzeżeń trudno jeszcze wyrobić sobie pojęcie o przekonaniach i uczuciach owego „Mazura", co to w żyłach swoich „kropli krwi Lecha" nie miał, a do Królewca jechać nie chciał w obawie przed zniemczeniem. Dopiero wspomniana mowa zaświadcza, że w piersiach młodzieńca mocno biło serce obywatelskie, bolejące nad opłakanym stanem ojczyzny.

A trzeba wziąć pod uwagę, że przemawiał, jako historyk na posiedzeniu Towarzystwa, mającego cele naukowe, że zatem w takiej mowie niewiele miejsca mógł poświęcić dla wyrażenia swych uczuć. A jednak w przemówieniu tem nuta patryotyczna zadzwoniła dźwięcznie i silnie. Właśnie w historyi chciał prelegent widzieć czynnik, zachęcający współczesne pokolenie do naśladowania wiekopomnych czynów, do wydobycia sprawy ojczystej z mogiły i wydźwignięcia tej sprawy na widownię świata.

„Dotąd, — mówił Lelewel, — ojczyzna nasza mogiłą przysypana; my łóżmy starania, aby tarń lekkiego pokrycia nie spoi-

---

[1]) Listy J. Lelewela. Tom I. str. 13. 29. 11. 12, 46.

ła, pracujmy nad rozrzuceniem natrząśnionego piasku, wedrzyjmy się w sam grobowiec, w nim podźwignijmy złożone, jakby Feniksa, naszej matki popioły". I nawoływał kolegów-historyków, aby z tego grobu wydobywali na światło dzienne przykłady, mogące obudzić zapał i męstwo orężne rodaków. Przypomniał o zwycięstwach nad Niemcami i Zakonem Krzyżackim, a nienawiść do brutalnej siły i chytrości germańskiej zgrzytnęła w tem miejscu twardo i nieubłaganie. Mówił o sławnych a zwycięskich bitwach, stoczonych przez rycerstwo polskie w różnych epokach, wspomniał chwałę Dubienki i Racławic. A przebiegając myślą pobojowiska, zroszone obficie krwią walecznych przodków, wyraził wiarę, że wydobywanie na jaw oraz upowszechnianie godnych naśladowania cnót i wzorów, w jakie obfituje od najdawniejszych czasów historya ojczysta, wznieci w rodakach chęć naśladowania i pragnienie czynu.[1])

Ustęp taki w prelekcyi naukowej wymownie świadczył, jaki duch ożywiał Lelewela i w jaki sposób młody uczony pojmował obowiązki swego pokolenia.

Za tą pierwszą prelekcyą szybko poszły następne: o ,,Ostatniem Scytów do Skandynawii przybyciu", o ,,Zabytkach runickich", o wydanych przez Strassa w kształcie tabeli ,,Potoku dziejów (Strom der Zeiten), o konieczności badania początku historyi Słowian, o ,,Dziejach narodów przed czasokresem chrześcijańskim". Niektóre z tych rozpraw zostały ogłoszone drukiem i na nich sprawdzić można doskonałą znajomość odnośnej literatury w kilku językach, bystrość, źródłowość i wręcz niepospolitą już erudycyę prelegenta. Szczególniej dużo czasu i pracy zabrały Lelewelowi ,,Dzieje narodów przed czasokresem chrześcijańskim". Nad tą poważną rozmiarami pracą, zawierała bowiem 21 arkuszy, przesiedział ,,wiele dni i nocy", ,,mając pod ręką Herodota, Tucydesa, Diodora i tak dalej". Chełpił się też ową rozprawą, twierdząc, że świadectwo pisma świętego wywróciwszy, jego latopis ustalił..."[2])

Pisał wiele. Poza rozprawami, odczytywanemi na posiedzeniach *Towarzystwa doskonalącej się młodzi*, skreślił do kalendarzy-

---

[1]) Rozmaitości przez J. Lelewela. Poznań 1865, str. 13—15.
[2]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 99—100.

ka wileńskiego na rok 1807 historyę pruską, cenzura jednak połowę tej historyi umorzyła. Rosya szła wtedy ręka w rękę z Prusami, a wiemy już, że Lelewel, ów „Mazur" pochodzenia niemieckiego, nie szczędził słów ostrych, gdy mówił o Prusiech. W tymże 1807 roku wydał pierwszą swą książkę. Była to „Edda, t. j. księga religii dawnych Skandynawii mieszkańców", niewielka rozprawa, surowo oceniona w dwadzieścia lat później przez samego autora.[1]) Praca ta, pozbawiona cech samoistności, błędnie wywodząca pochodzenie Skandynawów od Scytów, stała niżej od niektórych prelekcyi, wygłoszonych w *Towarzystwie doskonalącej się młodzi*. Właściwie tylko pierwszy arkusz był samodzielną pracą Lelewela, reszta stanowiła streszczenie opisu Malleta. Księgarz Zawadzki, który się podjął drukowania tej książeczki, nie przewidywał wielkiego powodzenia i zaledwie w 300 egzemplarzach kazał „Eddę" drukować. Ale i te trzysta egzemplarzy dał niebawem autorowi, jako zadatek na nową pracę, którą miała być historya dziejów ojczystych. Lelewel z kolei zwrócił wydawcy prawie wszystkie egzemplarze, a nad propozycyą serjo się zastanawiał. „Zamiar za wielki!" — pisał do Prota, nie czując jeszcze sił do pracy tak odpowiedzialnej. Podjął się jednak „Teodora Wagę poprawić i dokończyć"[2]), ale znacznie później wziął się do tej pracy.

Wkrótce po „Eddzie" ukazała się w druku nowa rozprawka p. t. „Rzut oka na dawność litewskich narodów i związki ich z Herulami". Pisemko to miało dość długi podtytuł, którego zakończenie brzmiało: „wykład przeciw Naruszewiczowi przez J. Lelewela Mazura".

Powstała ta praca pod wpływem Schlözera, słynnego wydawcy Nestora, a więc nie wolna była od błędów, które w wiele lat potem nazwał Lelewel „doctam ignorantiam Szleceerowską". Owa rozprawa o Herulach, zakończona porównaniem tekstów „Ojcze nasz" w językach i narzeczach polskim, herulskim, łotewskim, pruskim, litewskim i łuzackim, zwróciła na siebie powszechną uwagę śmiałością autora. Naruszewicz był jeszcze wielką potęgą, był autorytetem, którego podówczas nie odważo-

---

[1]) We wstępie do drugiego wydania z r. 1828.
[2]) Listy J. Lelewela. Tom I, str. 101.

no się kwestyonować. To też uwagi krytyczne, wypowiedziane pod adresem takiej powagi przez młodego studenta, spotkały się z naganą uczonych, a Janowi Śniadeckiemu wydały się nieprzyzwoitością, zasługującą na poskromienie. Zawezwał więc autora i skarcił go ostro. Zganił mu nieprzystojną i afektowną śmiałość", wytknął „wady pisania i sądzenia" i, co wydało mu się najważniejszem, „brak skromności w młodym człowieku". Uważał nadto Śniadecki, że na rozprawie tej znać i szkodliwy wpływ Grodka, autor bowiem „wprowadzony był w ten nieszczęśliwy ton niemiecki przez swojego mistrza"[1]).

Uwagi rektora głęboko dotknęły autora i boleśnie zraniły jego ambicyę. Wprawdzie sam później lekceważąco odzywał się o swoich pracach ówczesnych, ale jako młodzieniec hardy i ambitny nie znosił tonu mentorskiego. Śniadecki nie lubił Grodka, być więc może, że napomknął i o „wpływach niemieckich", bo Joachim, pisząc o rektorze, nie szczędził mu od tej pory słów uszczypliwych, szyderczych. Nietylko zresztą Śniadecki zgorszony był rozprawą o Herulach. Wystąpienie Lelewela powszechnie uważane było za nadmierną zuchwałość, a jak świadczy Baliński, „całej powszechności ówczesnych literatów" wydało się „monstrualną rzeczą".[2])

Oburzenie powszechne i surowa nagana Śniadeckiego nie zmieniły poglądów Lelewela, nie skłoniły go do przerzucenia się na inne pola badań. Nadaremnie życzliwy młodzieńcowi rektor namawiał go, „żeby się całkiem oddał historyi polskiej". Lelewel szedł własną drogą i żadne perswazye nie mogły go skłonić do wkroczenia na inne tory badań. Pisał w dalszym ciągu wiele, mnożąc skrzętnie swoje wyciągi, notaty, pracowicie przygotowując materyał, z którego w późniejszych swych dziełach miał czerpać obficie. I głównie na tej pracy upływały mu lata akademickie. Uczone dysputy z Grodkiem, książki, odczyty były jego ulubioną sferą. „Płoche rozrywki ponęty nie miały"[3]). Nieustanna dbałość o powiększenie zakresu swej wiedzy, oto, co ciągle

---

[1]) Pamiętniki o Janie Śniadeckim przez Michała Balińskiego. Wilno 1865, Tom I, str. 517.

[2]) Tamże, str. 519.

[3]) Przygody w poszukiwaniach, str. 8.

uderza na przestrzeni lat czterech, spędzonych przez Lelewela w Wilnie na studyach uniwersyteckich.

Żelazna wytrwałość w pracy wydała niebawem owoce.

Już po dwóch latach pobytu w Wilnie Joachim zwrócił na siebie uwagę kolegów i władz uniwersyteckich. Sława jego już wtedy musiała rozbrzmiewać szeroko, bo na zdolnego młodzieńca zwrócili również uwagę dwaj potentaci, od których wiele mogło zależeć w przyszłości: Tadeusz Czacki i kurator ks. Czartoryski. Pierwszy z nich podtrzymywał bliższe stosunki z biskupem Cieciszewskim, a więc i przez wzgląd na biskupa interesował się jego krewniakiem, drugi — w zdolnym i pracowitym studencie przeczuwał przyszłą powagę naukową i gorąco zajmował się jego losem i postępami. Czacki już w końcu r. 1806 zaproponował Joachimowi przeniesienie się do Krzemieńca i doskonalenie się pod własnem Czackiego kierownictwem na profesora historyi. Lelewel, acz mu pochlebiała ta propozycya, nie był nią olśniony, uważał bowiem, że „krzemienieckie nauki nie są tak powabne, aby [je] na wileńskie wymieniać"[1]). Rozumiał to zapewne i Czacki, bo w listach swoich kusił „szukającego historyi" studenta skarbami bibliotecznymi w Porycku i Krzemieńcu, obiecywał nadto, że nie będzie „użyty do szkoły powiatowej", lecz zostanie profesorem liceum krzemienieckiego. Na dowód swej życzliwości i dobrych chęci, przysłał mu do korekty swoją pracę o Żydach. Czartoryski, od którego, jako kuratora, zależał los stypendystów, nie stawiał na razie przeszkód, stanęło więc na tem, że we wrześniu 1807 r. Lelewel pojedzie do Krzemieńca. Znalazła się jednak przeszkoda: Czacki w tym czasie popadł w podejrzenie rządu i oderwany został od urzędu wizytatora. W ten sposób sprawa uległa zwłoce i Lelewel pozostał w Wilnie. Gdy po upływie roku znowu stanęła na porządku dziennym, ks. Czartoryski zmienił swe zdanie i w przeniesieniu Lelewela do Krzemieńca nie widział tych korzyści, które wskazywał Czacki. Więc wolał, aby Lelewel pozostał w Wilnie. W liście z dnia 30 maja 1808 r. gorąco prosił o to rektora:

„Mam prośbę jedną do Ciebie, mój Śniadesiu kochany, znajduje się teraz w seminaryum na formowanie nauczycielów

---

[1]) Listy J. Lelewela. Tom I, str. 100.

do szkół i gimnazyów przeznaczonym J. P. Lelewel, młodzieniec pięknych ze wszech miar nadziei i aplikacyi; ma pono według porządku ustanowionego pójść, nie pamiętam, w które miejsce, na nauczyciela. Ten młody człowiek należy do familii, która złożona z ludzi zacnych, zawsze do mojej była przywiązaną; z tego także powodu interesuje mnie powodzenie tego młodego człeka. Moją tedy do ciebie jest prośbą, aby ten młodzieniec mógł się jeszcze zostać w Wilnie z parę lat dla wydoskonalenia się zupełnego przy Grodku. Tą uczynnością zobligujesz mnie bardzo..."

W liście z 2 lipca tegoż roku raz jeszcze Czartoryski do sprawy tej powraca:

„Pana Lölhöffla, — pisze znów do Śniadeckiego, — nie przestaję polecać łaskawym W.W. MPana względom, znajdują się w nim ochota i sposobność, młodociane wady czas i dobre rady poprawią"[1]).

Opieka, jaką Czartoryski roztoczył nad Lelewelem, poza względami na jego rodzinę, miała swe uzasadnienie głębsze. Ks. kurator miał powody wierzyć w zdolności Joachima i w jego piękną przyszłość na polu nauki. A stało się to za sprawą Grodka. W tym czasie właśnie, kiedy ukazała się rozprawa o Herulach, ściągając na głowę autora gromy oburzenia, prof. Grodek ujął się za swoim ulubieńcem i, nic mu o tem nie mówiąc, napisał do Czartoryskiego, przedstawiając księciu Joachima w świetle najkorzystniejszem.[2])

Tymczasem Lelewel, nic o tej korespondencyi nie wiedząc, siedział w Wilnie i pracował dalej z tym samym nie gasnącym na chwilę zapałem. Czasem myśl o niepewnej przyszłości, obawa przed „100-dukatową bakałarką" w dalekiej prowincyi zasępiała czoło młodego badacza, a w takich chwilach rad powracał do propozycyi Czackiego. Powracał zaś tem chętniej, że rogaty jego charakter raz po raz stawał się powodem nieporozumień z profesorami. Miał zatargi z prefektem Kundziczem, to znowu żalił się na prof. Jundziłła i rektora.

---

[1]) Pamiętniki o Janie Śniadeckim. Tom I, str. 508, 509, 513.

[2]) Widać to z listu Lelewela do ojca. (Listy, Tom I, str. 125). Aczkolwiek otrzymana przez Joachima w Warszawie wiadomość, że Grodek pisał o nim do Czartoryskiego, wywołała zdziwienie i nawet pewne wątpliwości, to przecież wzmianka o Grodku w liście Czartoryskiego wiadomość tę potwierdza.

„Dla przykładu dość powiedzieć, — pisał 2 stycznia 1808 r. w liście do brata, — że Jundziłł chce, aby kandydaci włosy do góry zaczesywali... a Śniadecki, aby wszyscy jego staraniem wydrukowanego Euklidesa studyowali — owóż uczone głowy! Od tego czasu już nie mam pretensyi do rozumu”. I zniechęcając się do Wilna, coraz goręcej „życzył sobie wpaść w ręce Czackiego”. Dobijał się też o przyrzeczoną posadę w Krzemieńcu. Zniecierpliwiony Śniadecki odpowiedział, że co najwyżej wyśle go do Czackiego na kilka miesięcy, aby w bibliotece krzemienieckiej „mógł sobie wypisy porobić”.

Z ironią potraktował tę odpowiedź Lelewel.

„Litowałem się, — pisał w tymże liście do brata, — nad uczoną głową, a kto bredzi, niema odpowiedzi, ukłoniłem się i poszedłem. Podobne rozstanie się jest zwyczajne z Jundziłłem, bo on gadatliwy tak wiele bredzi, że nigdym się jeszcze końca rozmowy jego nie doczekał. Mimo tego jednak rektor wielkie rzeczy w uniwersytecie ma działać, jest wielki matematyk i astronom, nie małe pieniądze bierze. Jundziłł zaś drukuje dzieła i każdy tom ich przedaje po 8 złotych i groszy 10, chociażby ich sto razem przedawał, i jest wielki botanik”[1]).

To pomieszanie astronomii z pensyą rektorską i mierzenie wiedzy botanicznej Jundziłła po 8 złotych i groszy 10 od tomu świadczy, że w Lelewelu rozrastał się sarkazm, a zarazem dobrze maluje usposobienie jego względem władz uniwersyteckich. A ton uszczypliwy w stosunku do Śniadeckiego nie był usprawiedliwiony. Surowy rektor szanował w Lelewelu człowieka pracy i usposobiony był dla niego życzliwie. Sam Lelewel w następnym swym liście stwierdził, że ma „u Śniadeckiego i całego ministeryum dobrą opinię, a opinia jest szczęściem”. Zaraz jednak dodawał hardo, że się nikomu nie kłania, że idzie prostą drogą, że o „same ministeryum nie dba, bo od niego łask nie żąda”, a „ono to wie bardzo dobrze”[2]).

Tak to wraz z krystalizowaniem się uczonego krystalizował się człowiek, podobnie jak uczony, uparty, ambitny, samodzielny. I w nauce, i w życiu sam chciał kierować swym lo-

---

[1]) Listy J. Lelewela. Tom I. str. 112.
[2]) Tamże, str. 117.

sem. Z utęsknieniem czekał końca „kandydactwa" i wakacyi w r. 1808. Widocznie po ostatniej rozmowie ze Śniadeckim nie myślał już o Krzemieńcu, bo cieszył się perspektywą spędzenia lata w domu rodzicielskim. „Będę się cieszył, skakał, radował!" pisał do brata i, być może, już wtedy miał na myśli podjęcie starań o posadę w Warszawie, która tymczasem stała się stolicą Księstwa Warszawskiego.[1])

Losy zrządziły inaczej. Czacki upomniał się o Lelewela, a Śniadecki dał odpowiedź przychylną. Przed Czartoryskim tłómaczył się rektor, że nie sprzeciwia się wezwaniu Lelewela do Krzemieńca „bo to może wynijść na dobre i nauce i uczącemu się. Czas już myśleć o tem,—pisał Śniadecki,—żeby p. Czacki raczej przelał w kogo swe wiadomości dziejów polskich, jak się sam ich opisaniem zatrudnił. Nadto już jest dziś i zajęty i roztargniony, żeby mu się praca podobna udała"[2]). Istotnie Czacki był roztargniony, a widać to i z pertraktacyi o Lelewela. Dnia 27 lipca 1808 r. pisał do Śniadeckiego z prośbą, aby mu przysłał Lelewela i listem z tąż datą zawiadomił Joachima, że czeka na jego przyjazd, i, że w liceum przygotowuje dla niego katedrę historyi lub numizmatyki, a niespełna w miesiąc później proponował Śniadeckiemu, aby Lelewela jeszcze przez rok jeden w Wilnie zatrzymał. Na to się już Śniadecki nie zgodził.

Tymczasem Lelewel, przedtem jeszcze, nim Czacki do niego napisał, opuścił Wilno (mniej więcej w połowie 1808 r.) i nic nie wiedząc, co robić będzie w najbliższej przyszłości, wyjechał do Warszawy. Stopnia naukowego w uniwersytecie nie otrzymał: nie dostał nawet tytułu magistra. Nie bez żalu zapewne żegnał się z kolegami i przyjacielem swoim, profesorem Grodkiem (Hussarzewski już nie żył), nie bez żalu musiał rozstawać się z miastem, w którem w ciągu lat czterech zdobywał chciwie wiedzę, zahartował się w pracy, zmężniał fizycznie i duchowo, przeszedł przez pierwsze tryumfy i przez płomienie pierwszych niepowodzeń w umiłowanym od dzieciństwa zawodzie pisarskim. W Wilnie zdobył mocne i trwałe zasady, któremi w dalszem swem życiu miał się kierować, jako uczony i jako obywatel.

---

[1]) Na istnienie takiego projektu wskazuje list Joachima do ojca z d. 27 września 1808 r.

[2]) Pamiętniki o Janie Śniadeckim, T. I, str. 515.

IV.

KRZEMIENIEC i WARSZAWA.

W Woli Cygowskiej zastał Lelewel biedę tak wielką, że cała rodzina musiała w owym czasie ograniczać się do potrzeb najniezbędniejszych. Smutne położenie rodziny miało poprawić się niebawem, ale tymczasem brak pieniędzy do tego stopnia dawał się we znaki, że młodsze rodzeństwo nie miało nawet całej odzieży. Joachim jeden ze swoich dwóch fraków, co prawda, stary i z dziurami na łokciach, oddał bratu Janowi, a pieniądze, na płaszcz dla siebie przeznaczone, odstąpił siostrze Marcelinie na kupno salopy.[1]) Przedewszystkiem jednakże myślał o tem, żeby samemu nie być rodzinie ciężarem. Więc w Warszawie przez krewnego Lelewelów, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, Łuszczewskiego, postanowił starać się o posadę. Był kilka razy w domu ministra, lecz nawet do rozmowy o posadzie nie doszło. W trakcie tego otrzymał wiadomość, że w Krzemieńcu Czacki zaofiarował mu katedrę historyi lub numizmatyki. Lelewel nie rad był wynosić się z Księstwa Warszawskiego i kordonem przedzielać się od rodziny. Zdecydował się jednak szybko i zaraz napisał do ojca, że wobec niedoszłych pertraktacyi z Łuszczewskim, nie pozostaje mu nic innego, jak „trzymać się rosyjskiego panowania".

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 127.

Mimo takiej decyzyi nie kwapił się z wyjazdem.

Siedział w Warszawie, odwiedzał biblioteki, zawierał znajomości z uczonym światem warszawskim, poznał się z Feliksem Bentkowskim, zawiązał bliższe stosunki z Jerzym Samuelem i Janem Wincentym Bandkiemi, a niepomny na oburzenie, które wywołał niedawno pisemkiem o Herulach, napisał, a w parę miesięcy później wydrukował bardzo surowe uwagi nad rozprawą Ksawerego Bohusza „O początku narodu i języka litewskiego". Wprawdzie Bohusz nie był taką powagą, jak Naruszewicz ale był prałatem katedry wileńskiej, członkiem czynnym Towarzystwa Przyjaciół Nauk, członkiem honorowym uniwersytetu wileńskiego, słowem, był dygnitarzem, z którym się liczono. Lelewel ostro zaatakował prałata i w dziele jego niemiłosiernie wykazał cały szereg różnorodnych uchybień i błędów. Najostrzej potraktował twierdzenie Bohusza, że Litwa jeszcze przed Mendogiem miała mnóstwo ludzi uczonych. Bohusz przyznawał się wprawdzie, że ani jednego z tych uczonych nie może wymienić, że nie zna ich prac i pism, ale mimo to twierdzenie swoje uważał za pewnik. Dowodzić czegoś podobnego w takich warunkach „jest to, — pisał niemiłosierny krytyk, — wydać się na śmiech i urągowisko"[1]). I rozwijając wywód Bohusza na innym przykładzie, wykazał dobitnie i jasno, do jakich absurdów na drodze takiego rozumowania dojść można.

Krytyka rozprawy Bohusza dowodzi, że nauki i napomnienia Jana Śniadeckiego najmniejszego nie odniosły skutku. Młody uczony wykazał znowu „afektowną i nieprzystojną śmiałość", popełnił po raz drugi ów straszny grzech przeciw skromności, grzech tak surowo zgromiony nie tylko przez rektora, ale, jak twierdzi Baliński, i przez „całą powszechność literatów ówczesnych". Krytyka ta dowiodła zarazem, że młody badacz nie obawia się nowej burzy, że stać go na śmiały sąd i myślenie niepodległe, że w pracy naukowej idzie własną drogą, że stąpa odważnie i nikomu wykoleić się nie da.

Ale nietylko badaniom i pisaniu poświęcił Lelewel pobyt swój w Księstwie. Jeśli w Wilnie „płoche rozrywki ponęty nie miały", to teraz zagrała w przyszłym profesorze młodość i upomniała

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej... Tom XVII, str. 11.

się o swoje prawa. Garnął się do rozrywek i towarzystwa. Przyszła zima. Bawiło się Księstwo pod nowymi rządami i w dźwiękach muzyki, w wirze tańca topiło swoje biedy i krzywdy, i zawiedzione nadzieje. Lelewel nie oparł się pokusom. W ,,paradnym fraku", przywiezionym z Wilna, rzucił się w barwny i szumny wir karnawałowy. Powaby musiały być wielkie, bo srogi pogromca Bohusza, zapomniawszy o początku narodu litewskiekie i tylu innych, nęcących go sprawach naukowych, bawił się tak, jak tylko młodość bawić się może. Bywał na balach w Woli Okrzejskiej i w sąsiedztwie, tańczył zapamiętale i rad asystował damom. W listach do ojca z owego czasu przyznaje się do bawienia panien (ktoby to pomyślał!), do żywego udziału w różnorodnych grach i zabawach i do niezwykle buńczucznej ochoty tanecznej. Pisząc o owych tańcach, tłómaczy się, jakby zawstydzony, że ,,musiał próbować, czy je umie" i dodaje: ,,udało się". Istotnie musiało udać się niezgorzej, skoro tak hasał, że ,,już jedna para butów się zdarła"[1]) i drugą parę trzeba było rozpocząć.

Po karnawale, tak hucznie spędzonym, pożegnał nareszcie Joachim rodzinę i wyruszył do Krzemieńca. Po drodze zatrzymał się w Łucku u wuja swej matki, biskupa Kacpra Cieciszewskiego. Wdzięcznie i gościnnie przez biskupa podejmowany, przedłużał u niego swój pobyt i dopiero w marcu (1809 r.) stanął u kresu podróży.

Czackiego w Krzemieńcu nie zastał.

Nowy dygnitarz, z którym niebawem miał się zetknąć Lelewel, był obywatelem o złotem sercu i dzielnej a tęgiej głowie. Przedsiębiorczy, energiczny, łączył gorącą wyobraźnię z niepospolitą wiedzą, powagę zdania z rzutkością w czynie, pomysłowość w zamiarach ze znajomością życia i ludzi. Czynny, zapalny, od lat najmłodszych odznaczał się miłością bliźniego i już ,,w dzieciństwie okazywał niezwykłą troskliwość o wychowanie i wykształcenie dzieci ubogich"[2]). Jako uczony zbyt gorączkowo traktował swoje prace i zbyt pochopnie wysnuwał ostateczne wnioski. Jego największe i najgłówniejsze dzieło ,,O litewskich i pol-

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 134.
[2]) Tadeusz Czacki... przez Piotra Chmielowskiego. Petersburg, 1898, str. 5.

skich prawach" nacechowane jest brakiem systematyczności. Zawiera mnóstwo nieznanych przedtem wiadomości z dziedziny prawa, historyi, statystyki, ale jednocześnie wysnuwa błędną teoryę, wywodzącą prawo polskie z wzorów normandzkich. Teorya ta nie utrzymała się długo. Zmiażdżył ją później Lelewel, wskazując początki prawa polskiego w urządzeniach słowiańskich. Ale też głównych zasług Czackiego nie w dziełach naukowych, lecz w niezmordowanem szerzeniu oświaty szukać należy. Jako twórca Liceum Krzemienieckiego i związanych z niem zakładów naukowych, jako wizytator szkół na Rusi, jako mądry a niestrudzony krzewiciel oświaty polskiej na kresach, dźwignął sobie Czacki śpiżowy pomnik, otaczany miłością i czcią potomności. Znakomity ten człowiek posiadał w wysokim stopniu umiejętność zdobywania serc ludzkich, acz niezawsze w sympatyach swoich był stały. Tej niestałości doświadczył jego najlepszy i niezapomniany doradca, Kołłątaj, a i rektor Śniadecki musiał nieraz walczyć ze zmiennem usposobieniem Czackiego. Gorliwy wizytator, zawsze czynny, zajęty, mający wiecznie tysiąc spraw na swojej głowie, często popadał w roztargnienie, które z biegiem czasu rosło i nieraz płatało figle i samemu Czackiemu, i tym, którzy z nim mieli stosunki.

I Lelewel na własnej skórze doświadczyć miał skutków owego roztargnienia.

W uczelni, stworzonej przez Czackiego, panowała atmosfera serdeczna i ciepła. Profesorowie, natchnieni jego duchem, z miłością traktowali swych uczniów, a uczniowie darzyli wychowawców czcią i zaufaniem. Dyrektorem był podówczas znany matematyk i rozumny człowiek, Józef Czech, prefektem — Antoni Jarkowski, dawny profesor prawa w akademii krakowskiej, język grecki wykładał uczeń Grodka, Michał Jurkowski, katedrę chemii zajmował znany Lelewelowi z Wilna Tadeusz Szostakowski, z prawem przyrodzonem i politycznem zaznajamiał wychowańców licealnych, cieszący się uznaniem młodzieży, Michał Choński, a historyę i geografię, a więc przedmioty najbardziej obchodzące Lelewela, wykładał Karol Mirowski, dawniej nauczyciel fizyki, mający za sobą dwadzieścia pięć lat pracy pedagogicznej, a z wykładanymi obecnie przedmiotami słabo obeznany. Spodziewano się, że nieudolny i nieodpowiedni

na zajmowanem miejscu, Mirowski wyjdzie do emerytury, a Lelewel miał nadzieję, że przynajmniej jedną z katedr po nim otrzyma.

Spotkał go zawód.

Szostakowski, u którego się zatrzymał, nic mu powiedzieć nie mógł, po co wezwany został do Krzemieńca, bo i numizmatyka była już wykładana. Profesorowie, a było ich oprócz wymienionych jeszcze kilkunastu, stanowili komplet, a przynajmniej dla Lelewela nie było odpowiedniej katedry. Dyrektor Czech i inni pedagodzy, którym natychmiast po przybyciu poskładał Joachim wizyty, również powiedzieć nie mogli, jakie zajęcie przeznacza mu Czacki.

Trzeba było czekać.

Więc Lelewel czekał, a tymczasem zbliżał się do profesorów, zaprzyjaźnił się z Michałem Jurkowskim,[1]) bacznie obserwował panie profesorowe, krytykował lub zachwycał się ich urodą, a bratu donosił: ,,Wszyscy profesorowie pracują pilnie... chrzcin wkrótce będzie pełno"[2]). To znowu przypatrywał się Krzemieńcowi, jego lichym budowlom, jego słynnemu błotu, ,,nigdy niewysychającemu". Z ciasnego koła tych obserwacyi wyrwał go oczekiwany niecierpliwie przyjazd Czackiego. Lelewel sądził, że dowie się nareszcie, co ma robić w Krzemieńcu, ale Czacki, niezwykle zajęty, roztargniony, zaprosił gościa na obiad, bawił go gawędą, zasypał rakietami cytat, któremi lubił się popisywać, i na tem poprzestał. Podczas drugiej z rzędu wizyty Lelewel przymówił się o mieszkanie. Czacki obiecał, ale też natychmiast zapomniał o obietnicy.

W charakterze Joachima nie leżało upominanie się o to, co za rzecz sobie należną poczytywał. Więc w nadziei, że Czacki sam w końcu poruszy kwestyę obiecanej katedry, odkładał ostateczną rozmowę, a tymczasem, nie chcąc nadużywać gościnności Szostakowskiego, zaczął na własną rękę ,,chałupy jakiej wyszukiwać". Znalazłszy najbliższy murów gimnazyalnych szynk, wyrugował stamtąd ,,całym dukatem" zamieszkujących Żydów i ulokował się w tem pomieszczeniu. ,,Z łaski ojca, babuni

---

[1]) Widać to z listu Lelewela do Grodka z d. 9/IX—1810 r. Rks. w Bibl. Jag.

[2]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 149.

i księdza biskupa", który szczupłą kasę młodzieńca powiększy o sto srebrnych rubli, miał przynajmniej żyć z czego i jako tako urządzić swoje gospodarstwo. Nadaremnie jednak oczekiwał wezwania. Czacki milczał. Wówczas Lelewel zaczął go nachodzić, ale Czacki, zajęty pracą, wykręcał się od rozmowy. Więc gorycz w Lelewelu rosła i wielki człowiek malał w jego oczach.

Wreszcie, gdy doszło do oczekiwanej rozmowy, z obu stron odezwały się akcenty niezadowolenia.

Lelewel wręcz oświadczył, że źle do Krzemieńca trafił, na co Czacki odpowiedział, że nie obiecywał katedry *zaraz* i, powracając do projektu swego z przed dwu lat, proponował mu *doskonalenie się* na profesora. Ale młody uczony nie chciał już być uczniem. Więc znowu Czacki wyrzucał mu miłość własną, przeciwko czemu Lelewel nie oponował, byleby mógł choć „jaki kursik uboczny" wykładać. Ale i na tym punkcie nie doszło do porozumienia.

Rozmowa skończyła się na niczem: nadzieja Lelewela, że Mirowski otrzyma emeryturę, a on zajmie katedrę historyi, prysła ostatecznie.

Tymczasem Czacki występował dalej w przybranej roli mentora i wskazywał Joachimowi, nad czem ma pracować i jakie książki czytać. Mniemanego ucznia irytowały te rady: sam wiedział dobrze, czego mu potrzeba. Więc o polecanych dziełach, że to narzucającemu się mentorowi pochlebiać nie chciał i nie umiał, odzywał się krytycznie, ganiąc je najczęściej. „Chce podobno Czacki przybierać imię nauczyciela mego, ale przyznam się, że nie mam ochoty tego przyjmować"[1]), — pisał do ojca. A Czacki ze swej strony donosił Śniadeckiemu: „Lelewel przyjechał: jest to młodzieniec, którego z gruntu sposobić potrzeba... Ja mu z gruntu wskazuję, co się ma uczyć... widać, że ma dobre chęci, lecz źródłowych dzieł mało zna..."[2])

Tak to pisali o sobie dwaj znakomici mężowie, z których starszy stał już u szczytu sławy, a młodszy zajaśnieć miał dopiero na horyzoncie nauki ojczystej. Dwie silne indywidualności nie mogły trafić do siebie i na zgodny zdobyć się akord.

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 145.
[2]) Pamiętniki o Janie Śniadeckim, Tom I, str. 522.

W tym samym czasie jeszcze jedna znakomitość zwróciła się do Lelewela z radą. Znakomitością tą był książę Adam Czartoryski. Odgadywał on w młodym badaczu pierwszorzędną siłę naukową i pragnął bardzo wydobyć ją z toni badań nad pochodzeniem ludów, a następnie zachęcić do pracy nad historyą ojczystą i pchnąć na tory właściwego dziejopisarstwa. Zapewne od Grodka wiedział książę, iż Lelewel ma zamiar przystąpić do krytycznego wydania Kadłubka, bo i tę pracę odradzał. Zalecał natomiast „przyłożenie się do filozoficznej części dziejów, aby zostać dziejopisem”. Wskazywał Lelewelowi sławę, jaką może zdobyć na tem polu, które dotąd leżało odłogiem. „Kronikarzów mamy kilku, którzy nawet po większej części siebie jeden po drugim skracali, ale, — pisał książę, — żadnym dziejopisem szczycić się nie możemy; widzisz tedy przed sobą wieniec, niczyją nietknięty dotąd ręką, możesz tedy być pierwszym w tym rodzaju, możesz stać się wzorem dla przyszło-piszących”[1]).

Uwagi i rady godne były zastanowienia. Istotnie dziejopisa, któryby traktował filozoficzną część dziejów, któryby wyszedł poza granice spisywania zdarzeń w kraju ojczystym, a wskazywał ich związek i zależność z wypadkami, zachodzącymi na olbrzymim terenie dziejów powszechnych, nie miała dotąd Polska. Po Długoszu, który czasom nowożytnym wystarczać nie mógł, historycy i kronikarze nasi bardzo niewiele zdziałali na tem polu. Więc perspektywa, o jakiej pisał Czartoryski, mogła olśnić każdego młodego badacza, zwłaszcza gdy zważyć, kto ją wskazywał. Ale ziarno zachęty padło na grunt odporny. Żadna siła nie mogła skłonić Lelewela do porzucenia rozpoczętych studyów i przeniesienia ich na wskazywane mu pola pracy naukowej. Jeżeli z czasem wszedł na tory, o których pisał Czartoryski, to wszedł na nie sam, z własnej woli i z własnej ochoty. Jedynie potrzeba wewnętrzna mogła jego myśl badawczą pchnąć w tym lub w innym kierunku, lecz panem tej myśli mógł być wyłącznie on sam. „Żal mi, że się na swoich nadziejach zawiedzie”, napisał do ojca, wspominając o Czartoryskim i jego liś-

---

[1]) Treść według listu Joachima do ojca. Listy J. Lelewela. Tom I, str. 146.

cie. A zaszczyt, za jaki w owych czasach mógł być uważany list księcia, nie zrobił na nim wrażenia. Wprawdzie odpowiedział bardzo grzecznie, dziękując czule za rady i przestrogi, ale napisał wręcz, że nie ma „na widoku zostać dziejopisem”. Donosił że „nie szuka ani zysku, ani sławy, tylko służby publicznej... „Oddawna zaś wpadłszy w gust historyi”, rzucił się „do geografii, chronologii i genealogii”, a później i „do filozoficznej części dziejów”, ale przekonał się, że wcale albo jeszcze nieprędko będzie do niej zdatny. Co się zaś tyczy badania początku narodów, to pracę tego rodzaju uważa za pożyteczną — i tutaj chytrze powołał się na dzieła Czackiego. Wreszcie nadmieniał, że zamierza wydać „dzieło pod tytułem: *Greków i Rzymian ziemi znajomość*, a potem Sarmatów” oraz, że ma już napisaną: *Naukę dziejów*[1]).

W taki to sposób przemówiła do Czartoryskiego niepodległość myśli i charakteru Lelewela. Życzliwość i cenne rady spłynęły po niewzruszonych zamierzeniach bez śladu. Młody badacz powrócił do swoich studyów, nie przypuszczając zapewne, że nie zawiedzie nadziei Czartoryskiego, że zostanie pierwszym w Polsce dziejopisem europejskim, że nie tylko zdobędzie ową sławę, której szukania się wyrzekał, ale nadto stanie się „wzorem dla przyszło-piszących”.

Niespodziewanie po pięciu miesiącach pobytu w Krzemieńcu, zaświeciła Lelewelowi nadzieja powrotu do Warszawy. Ojciec znalazł jakieś zajęcie i naglił o przyjazd. Więc Joachim niezwłocznie wybrał się w drogę. Jechał na Łuck, gdzie znowu zatrzymał się u biskupa Cieciszewskiego. Ale zaszły jakieś niespodziewane przeszkody, bo już w październiku Lelewel wyrzeka się ofiarowanego mu miejsca w Warszawie. Przyczyniły się do tego w części i perswazye biskupa, który w owych niespokojnych czasach radził nie narażać się rządowi rosyjskiemu i obowiązki kandydackie wypełnić. Czacki na uwolnienie Lelewela zgodzić się nie chciał, a w takich okolicznościach nie pozostawało nic innego, jak wrócić do Krzemieńca.

Tak też Lelewel uczynił.

---

[1]) Listy J. Lelewela. Tom I, str. 147.

W Łucku pracował wiele. „Jeśli Zawadzki zechce za darmo drukować, niebawem wyjdzie dzieł parę" — pisał do ojca. W Krzemieńcu był znowu narażony na bezczynność, a tego najbardziej się obawiał. Bezczynność zaś spowodowana była i stanowiskiem Czackiego i brakiem potrzebnych materyałów.

„Zawsze mi, — pisał Lelewel do Grodka, — z czułością przychodzi pamięć książnicy wileńskiej, którą miałem od łaskawego na mnie jej prefekta do użytku wolnego otworzoną, tu w Krzemieńcu inaczej. Biblioteka krzemieniecka na nie wiem ile lat w paki zachowana, a do poryckiej mi przystęp wstrzymany. Smutna to rzecz być tak blizko tej sławionej biblioteki i nie widzieć jej podobno całe życie; nie mam dlatego co tu w Krzemieńcu robić"...[1])

Tak utyskiwał w liście z d. 28 października 1809 r.

Więc gdy w końcu grudnia tegoż roku stanął powtórnie w Krzemieńcu, opanowały go myśli posępne. Na szczęście, rozpoczął się karnawał. Pan Joachim, acz „pełen czarnej melancholii", jak sam określał swój stan ówczesny, postanowił afektować „wesołość udaną" i starał się dopomódz do urozmaicenia karnawału, w tej miłej nadziei, że przynajmniej po wyjeździe z Krzemieńca wspominać go będą „słodko". Jakoż jął się całkiem nowej dla niego pracy: organizowania zabaw tanecznych. Niespodziewanie „czarna melancholia" zaczęła się rozwiewać, wesołość, zrazu wymuszona, zamieniła się w prawdziwą — i Lelewel rozhulał się nadobre. W kąt poszły książki — p. Joachim, według własnego wyrażenia, „szalał"[2]).

Ten karnawał pogodził go z Krzemieńcem i jego słynnem błotem „nigdy niewysychającem", zbliżył do profesorów i ich rodzin, zacieśnił zawiązane węzły przyjaźni. Dostał się wreszcie i na katedrę licealną, z której wykładał geografię Starożytnych. Miał „bardzo pilnych i miłych słuchaczów"', ale... tylko czterech.[3]) Powoli i z Czackim stosunki zaczęły się znośniej układać; Joachim weselej patrzeć zaczął w przyszłość. Po hucznym karnawale przyszedł post, a po nim wiosna. Lelewel wraz z rozochoconą młodzieżą zaczął się uczyć... krakowiaków i „kadrylów

[1]) Rks w Bibl. Jagiellońskiej.
[2]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 181 — 182.
[3]) Przygody w poszukiwaniach, str. 11.

francuskich", by na przyszły karnawał z nowym zapasem wiedzy tanecznej wystąpić. Ale sprowadzony do Krzemieńca mistrz w nauce tańców, Grauman, niespodziewanie umarł i ten przykry wypadek popsuł szyki ochoczej młodzieży. Mile jednak wspominał pan profesor ową naukę tańców i ów „szalony karnawał", bo w lecie jeszcze żałował, że te przyjemne chwile minęły tak prędko. Doznał jakich przygód? Zadrgało-ż serce w tym upartym i niepodległym „Mazurze"? Kto wie... Pewnem jest bowiem, że Lelewel rad w owym czasie towarzystwa niewieściego szukał i nietylko w tańcu.[1]) Z nadejściem lata chętnie chadzał z „kobiecinami" na długie spacery, a że miał dwadzieścia cztery lata, któżby poważył się twierdzić, że w ciche, letnie wieczory serce jego nigdy nie zabiło żywiej?

Ale i śród tańców, śród zabaw natura ciągnęła wilka do lasu. Kto wie, czy się nie kochał, ale kto wie, czy podczas tańca lub owych spacerów letnich, patrząc na swoją towarzyszkę, nie wzdychał do książek i nie rozmyślał o Mateuszu Cholewie, Kadłubku, lub też o badaniach Starożytnych we względzie geografii?

Pracował bowiem wytrwale, a Czacki łaskawiej musiał na niego spoglądać, bo i owe książnice, o których blizkości myślał z taką goryczą, stały się nareszcie dostępne.

Dnia 9 września 1810 r. pisał do Grodka:

„Byłem teraz w Porycku, gdzie J.W. Czacki przyjął mnie najuprzejmiej i najotwarciej ukazał wszystkie skarby dziejów narodowych, pozwolił przez czas krótkiego pobytu mojego dowolnie używać, a nawet i częściami udzielać w to miejsce, gdzie zechcę pracować"[2]).

Książki, manuskrypty i zbiory numizmatyczne popchnęły naprzód prace Lelewela, które miał później ogłosić drukiem. Tylko emerytura Mirowskiego, na którą oczekiwał w nadziei, że zajmie jego miejsce na katedrze historyi, w dalszym ciągu kazała na siebie czekać. Starał się więc Lelewel o paszport na wyjazd do Księstwa i przed samym karnawałem, bo w grudniu

---

[1]) Świadczy o tem wymownie list do ojca z d. 20 stycznia 1816 r. „Listy J. Lelewela" t. I, str. 234.
[2]) Rks w Bibl. Jagiellońskiej № 3097.

1810 roku opuścił Krzemieniec. Pojechał do Łucka i znowu spędził tam kilka miesięcy, pracując nad przygotowywanemi do druku pracami po całych nocach, tak iż biskup Cieciszewski żalił się w listach do rodziny na tę pracowitość i wyrzekał, że Joachim zdrowiu swemu szkodzi. Ale Lelewel śpieszył się, by wyzyskać udzielone mu przez Czackiego manuskrypta, spodziewał się bowiem, że już do Krzemieńca nie wróci.

Tym razem nadzieja nie zawiodła, ojciec bowiem wyrobił mu nareszcie posadę przez ministra Łuszczewskiego. Więc Joachim pożegnał biskupa, wpadł do Porycka, ale tylko po to, by pożegnać się z Czackim, którego już nigdy nie miał zobaczyć, i po dwuletnim z górą pobycie na Wołyniu powrócił do Warszawy.

Stanąwszy w Warszawie (w czerwcu 1811 r.), znów doznał zawodu. Zamiast nauczycielstwa, otrzymał zajęcie biurowe w ministeryum spraw wewnętrznych, zajęcie, budzące w nim „wstręt i obrzydzenie"[1]). Na szczęście, obok tego zajęcia znalazł sobie niebawem pracę odpowiedniejszą. W czasie owym „Feliks Łubieński tworzył bibliotekę przy sądzie apelacyjnym, do niej księgi zbierał, i z kilku klasztorów pak kilkadziesiąt zwożono". Dla braku miejsca bibliotekę tę umieszczono w celkach pałacu biskupiego przy zbiegu ulic Miodowej i Senatorskiej... „Bibliotekarz, Mateusz Kozłowski, — powiada Lelewel, — chodził tam dwa razy na dzień, zrana okna otwierał, wieczór zamykał". W taki sposób spełniana funkcya bibliotekarska nie mogła się przyczynić do uporządkowania gromadzonych skarbów. Otóż Kozłowski zwrócił się do Lelewela z prośbą o pomoc. Ten chętnie na to przystał i codziennie odwiedzał bibliotekę. Jedną pakę po drugiej do dna przeglądał, porządkował, aż przejrzał wszystkie.

„Co mi było potrzebne lub dogodne, na miejscu przepisywałem lub nocami w domu. Tak się wówczas tworzył zapas zapisków, wypisów do erudycyi"[2]).

Ojciec poznał go w tym czasie z Chreptowiczem i Kołłątajem; temu ostatniemu zaniósł Joachim swoją *Naukę dzie-*

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 12.
[2]) List z d. 25/IV—1860 r. Rks w Rapperswilu.

jów, w nadziei, że usłyszy zdanie światłego męża. Kołłątaj pracę do przeczytania przyjął, ale śmierć jego rozwiała nadzieję Joachima. W tymże czasie zbliżył się Lelewel do niektórych członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które kosem okiem spoglądało na młodego badacza, co się przeciw Naruszewiczowi ośmielił wystąpić. I Lelewel nie garnął się do Towarzystwa, znalazł jednak łaski u kilku jego wpływowych członków, jak Woronicz, Bergonzoni i Staszic. Przez dwóch ostatnich w rok po przybyciu do Warszawy podany został na *członka sposobiącego się.*[1])

Z prac, które przygotował do druku, wyszły w r. 1811 u Zawadzkiego „Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa". Młody autor nie zauważył niewłaściwości, jaką było użycie *herbu* w stosunku do kronikarza z wieku XII. Ale „Uwagi" zawierały niektóre trafne spostrzeżenia, potwierdzone przez studya późniejsze, ustalały pierwotny tekst, skażony przez przepisywania, wreszcie rozwiewały raz nazawsze powtarzane nieustannie legendy o Lechu, Leszkach, Kraku i t. d., wykazując, że te same legendy krążyły oddawna w podaniach innych ludów.

Nadszedł pamiętny w dziejach Europy rok 1812-ty.

Tę dobę burzliwą, tak obfitą w nadzieje i niespodziewane tragiczne wypadki, Joachim spędził bezpiecznie przy boku rodziców w zaciszu Woli Cygowskiej. Porzucił swoje zajęcie w Warszawie i przeniósł się na wieś, spokojnie pracując nad rozpoczętemi dziełami. Burza dziejowa nie porwała go i nie wyciągnęła z domu, jak tyle młodzieży ówczesnej, a między nią i dwóch młodszych braci, z których Jan odbywał kampanię na Wołyniu, pod generałem Kosińskim, a Prot w randze kapitana podzielał losy i niebezpieczeństwa dywizyi Dąbrowskiego. Joachim obojętnie śledził przebieg kampanii. Jak gdyby zamarły w duszy jego struny, które się odezwały przed laty pięciu, kiedy po raz pierwszy przemawiał w *Towarzystwie doskonalącej się młodzi.* Nawet straszny odwrót z pod Berezyny nie obudził w sercu jego echa. „Ozięble" patrzył na rejteradę szczątków Wielkiej Armii[2]); być może, nie wierzył od

[1]) T-wo Król. Przyjaciół Nauk przez Aleksandra Kraushara. Księga II, tom I, str. 302.
[2]) Przygody w poszukiwaniach, str. 15.

początku, by owa „wojna polska" przyniosła Polsce korzyści. W każdym razie to dziwne przeciwstawienie obojętności swojej zapałowi całej młodzieży polskiej, entuzyazmowi blizkich sercu braci i licznych kolegów, świadczyło, że Joachim niełatwo daje się unieść fali powszechnej, że ani nadzieje, ani zawody nie mogły poruszyć owej oziębłości, co, jak kamień, spadła na dno jego duszy. Należy jednak wziąć pod uwagę, że w czasie, poprzedzającym wybuch wojny, Lelewel pochłonięty był pracą naukową, że na wielkie wydarzenia, wstrząsające Europą, patrzył poprzez mgły własnych trudów i poszukiwań. To też na wieść o wyprawie Napoleona serce nie zabiło żywiej, ręce nie wyciągnęły się po oręż. W podobnym stanie ducha znajdować się musiał później Mickiewicz, gdy na wiadomość o wybuchu listopadowym nie pośpieszył na plac boju, lecz z góry przesądziwszy wynik powstania, słuchał jakby w odrętwieniu jego krwawych odgłosów.

Lecz oto przeminęła nawałnica, w działaniach wojennych nastąpiła przerwa, a później mordercze boje przeniosły się na Zachód. Prot Lelewel, wierny swemu sztandarowi, pociągnął wraz z dywizyą Dąbrowskiego na krwawe znoje kampanii 1813 r., a Joachim, przeniósłszy się do Warszawy, rozpoczął pisać historyę polską. Pisał z niezwykłą szybkością, gdyż w półtrzecia miesiąca doprowadził swe poważne rozmiarami dzieło do końca panowania Stefana Batorego. Dalszy postęp wstrzymany został brakiem gotowych materyałów i nowemi poszukiwaniami źródeł. Pracował jednak wytrwale, uważając, że w pracy nie należy rąk opuszczać. „Pracujmy — pisał w owej epoce — dla niewdzięcznego świata, może jakie praszczątko (!) w późnych pokoleniach dobrego słowa udzieli..."[1])

W r. 1814 puścił Lelewel w świat „Pisma pomniejsze geograficzno-historyczne". Nakładcy znaleźć nie mógł, więc pracę tę wydał za pieniądze ojca. „Pisma poprzedził autor wydaniem prospektu, zapowiadającego ukazanie się „Badań starożytności we względzie geografii". Prospekt, zwrócony do „szanownej publiczności", zawierał wynurzenia autora, którego życzeniem było „nie obiecywać a dotrzymać, nie oświadczać się a pracować

---

[1]) List z d. 27/I—1813 r. Rks w Bibl. Jagiellońskiej.

ciągle i wypracowane rzeczy przy zdarzonych okolicznościach publiczności udzielać."[1]) W późnej starości drwił sobie Lelewel z tych ,,przymilających się słówek", bo skutek ich był taki, że sprzedał wszystkiego jedenaście egzemplarzy ,,Pism" swoich po półtora złotego, gdy cały egzemplarz kosztował z górą złoty jeden. Całą zaś resztę udało się wymienić po cenie złotówki na książki z księgarni Zawadzkiego, w której potem sam autor kupował egzemplarz ,,Pism" swoich ,,po złotych ośm".[2]) Ciekawy przyczynek do charakterystyki stosunków ówczesnych pomiędzy autorem a księgarzem-wydawcą!

Miały jednakże ,,Pisma pomniejsze geograficzno-historyczne" skutek całkiem nieoczekiwany, a w następstwach swoich doniosły. Dowiedział się w owym czasie Lelewel, że Mirowski, profesor historyi w liceum krzemienieckiem, wyjść ma nareszcie do emerytury. Postanowił starać się o tę posadę. Czacki już nie żył, a obsadzenie katedry zależało od Jana Śniadeckiego. Otóż Jan Śniadecki, jak doniesiono Lelewelowi, i na ,,Uwagi o Mateuszu herbu Cholewa" i na ,,Pisma pomniejsze" jest w najwyższym stopniu oburzony i oburzenia swego nie tai. A rzecz ciekawa! nie chodziło Śniadeckiemu ani o treść tych książek, ani o jakieś ważniejsze błędy naukowe, ale o styl, o pisownię i o używanie... ,,joty" (dzisiejsze *j* zastępowane podówczas przez *y*). *Jotę* wynalazł Lelewel w biblii gdańskiej z roku 1632-go, a że wydała mu się właściwsza, niż *ypsylon*, więc ją natychmiast z tryumfem do pism swoich wprowadził. Ta jota, zwana przez Lelewela jotą ogoniastą, wiele zmartwienia miała mu przyczynić, inowacya bowiem nie znalazła uznania. Pierwszy wystąpił przeciw niej Pijar Kopczyński, uczony gramatyk, do którego często Lelewel w Warszawie chodził, by kłócić się o ortografię i prawidła gramatyczne. Kopczyński przyjął jotę wrogo i czynił wiele, aby ją wyperswadować swojemu dawnemu uczniowi. Nadaremnie Lelewel ze zwykłym uporem bronił joty i za nic wyrzec się jej nie chciał. Kłótnia do tego stopnia roznamiętniła obie strony, że ,,Pisma pomniejsze", tłoczone w drukarni pijarskiej, ukazały się bez

---

[1]) Prospekt czyli obwieszczenie dzieła pod tytułem: Badania starożytności we względzie geografii. Bez rok. wyd.

[2]) Przygody w poszukiwaniach, str. 18.

wymienienia drukarni, z której w świat wyszły. W taki sposób zamanifestował swoją nienawiść do tej herezyi gramatycznej Pijar Kopczyński. Gorzej było ze Śniadeckim, który miał pono oświadczyć, że nie dopuści do tego, aby się „ta zaraza” po świecie rozchodziła. Opinia rektora uniwersytetu zabiła Lelewela w oczach jego wydawcy, Zawadzkiego, który wydrukował „Uwagi” o Cholewie. Doszło do tego, że Zawadzki, acz honoraryum autorowi nie zapłacił, zażądał od Lelewela zwrotu kosztów druku.

Była to pierwsza przykrość z powodu nieszczęsnej joty, która i w przyszłości stać się miała przyczyną wielu zgryzot i nieporozumień.

Ale Śniadeckiemu nietylko o jotę chodziło. Śniadecki był purystą językowym, zaciekłym prześladowcą wszelkich wykroczeń przeciw gramatyce i tak zw. czystości języka. W pracach Lelewela raziły go nowe słowa i zwroty, raził go styl swobodny, język czasem niejasny, pełen oryginalnych pomysłów, nie mający nic wspólnego z ustalonym szablonem pisania.

Istotnie, język Lelewela często przypomina drogę, obfitującą w ukryte wyboje, w niespodziewane skręty i zahaczenia. Zdanie nieraz urywa się wtedy, kiedy czytelnik najmniej tego oczekuje, to znowu zamiast spodziewanej kropki rozwija się cały okres i ciągnie się jak gdyby w nieskończoność. Czasem w labiryncie jędrnych a śmiałych określeń błąka się podmiot bez orzeczenia, to znowu samotne orzeczenie nadaremnie wygląda zaprzepaszczonego gdzieś po drodze podmiotu. Budowa zdań drwi często z ustalonych prawideł, pisownia swoista, jakiej nigdy nie było i nie będzie, urąga ortografii, niektóre nowotwory drapią niemiłosiernie uszy. Dzieła Lelewela są bogatą kopalnią wszystkich grzechów śmiertelnych przeciw zasadom stylu i gramatyki, a skutkiem tego stać się mogą torturą dla pedantów językowych, mogą odstraszyć każdego, kto, biorąc książkę do ręki, pragnie, aby autor prowadził go drogą utartą, dobrze wyjeżdżoną, zapewniającą podróż bez wstrząśnień i niespodzianek.

To też gromiono język Lelewela, godzono w uczonego zarzutami lekceważenia skarbów ojczystych. I z punktu widzenia pedantycznej poprawności języka miano dużo słuszności.

Nie miano słuszności całkowitej: sporo nowotworów Lelewela zyskało później prawo obywatelstwa, z czasem zatryumfowała „jota ogoniasta", a po wielu latach doczekały się rehabilitacyi niektóre formy gramatyczne.[1]) Ma przecież język Lelewela swój urok i swoje zalety. Przedewszystkiem odznacza się treściwością i pod tym względem niewielu pisarzy może się z Lelewelem mierzyć. Słowo jego nigdy nie panuje nad treścią, a myśl skupiona szuka najwłaściwszych wyrażeń, tworzy nowe w razie potrzeby i, bez oglądania się na prawidła, rozwija się, przystaje lub skręca, a zawsze płynie swobodna, śmiała, żadnymi niekrępowana więzami. Nadto w dziełach znakomitego dziejopisa błyska tu i ówdzie dowcip, jest spostrzegawczość i bystrość, są wyrażenia mocne, dosadne a trafne. Nigdzie natomiast niema pozy, nigdzie wysiłku, ani dbałości o to, aby myśl wypowiadaną przyozdobić jakimś kwiatkiem stylistycznym. Każde słowo ma swoją wagę i swoje znaczenie. Wszystko to nadaje językowi Lelewela piętno oryginalności, milszej nad szarą poprawność, wdzięczniejszej nad mozolne szlifowanie języka i donioślejszej w swych skutkach, niż działalność wielu purystów, co to daliby się porąbać w obronie prawideł zmiennej gramatyki i zmiennych zasad stylistycznych.

Ale Lelewel zaczynał pisać w epoce, kiedy poprawność języka stawała się kwestyą stanu, kiedy krytyka pseudoklasyczna nieraz całkowicie ograniczała się do wykazania autorowi wad i błędów językowych. A Śniadecki słynął, jako stróż czystości języka. Mąż ten, przyzwyczajony do kombinacyi matematycznych, ścisłość i poszanowanie zasad ustalonych przenosił na wszystkie zjawiska piśmiennicze. Język Lelewela wydał mu się herezyą, zasługującą na szczególne skarcenie. A musiał najwidoczniej zdania swego nie taić, skoro odgłosy tego oburzenia doszły do Warszawy.

Młody uczony zmartwił się srodze opinią surowego rektora. Napisał jednak do swego gromiciela list nieśmiały, ostrożny. Wspomniał o przykrości, jaka go spotkała ze strony Zawadzkiego, prosił o posadę w Krzemieńcu i z niepokojem zapewne

---

[1]) Tak np. końcówki przymiotników przy rzeczownikach w szóstym przypadku zyskały dopiero w ostatnich czasach sankcyę takiej powagi w sprawach języka polskiego, jak prof. Kryński.

oczekiwał odpowiedzi.[1]) Czekał niedługo. W liście swoim z d. 12 listopada Śniadecki donosił najpierw, że z Zawadzkim o dziele Lelewela nie mówił, a następnie strofował niesfornego pisarza za „styl chropawy, niesmaczny, a w wielu miejscach ciemny”, radził wystrzegać się pretensyi reformatora. „Naród nasz,—pisał Śniadecki, — nie jest tak głupi i barbarzyński, aby go uczyć pisać i wymawiać nanowo, jak sobie w Warszawie wystawiono. Jest to krok zuchwalstwa i lekkomyślności“. Radził dalej wystrzegać się, jak ognia, „pozoru osobliwości”, szczególnie tworzenia nowych wyrazów, z których takie, jak *oznaczonność i krajobraz* są „i nieszczęśliwe i niepotrzebnie wymyślone”. Wyraził jednak Śniadecki szacunek dla pracowitości młodego uczonego, pytał, dlaczego Lelewel nie ubiega się o katedrę historyi w uniwersytecie wileńskim, czemu nie przyśle na konkurs swej pracy, donosił wreszcie, iż postara się, aby Mirowski otrzymał emeryturę, a miejsce jego otrzymał Joachim[2]).

Lelewel podziękował srogiemu rektorowi za obietnicę, twierdził zapewne nie bez kurtuazyi, że list otrzymany napełnił go „wdzięcznością i ukontentowaniem”, dziękował nawet za „przestrogi”[3]), do których, jako człowiek uparty i wierzący w siebie, ani myślał się zastosować. Nie wiedział, ani przeczuwał, czem się ta korespondencya skończy. A właśnie Śniadecki przygotowywał mu katedrę historyi nie w Krzemieńcu, lecz w uniwersytecie wileńskim i wtedy właśnie, gdy Lelewela dręczyła niepewność, tak pisał do ks. Czartoryskiego o swoim kandydacie:

„Jest to człowiek jeszcze niedorobiony, trochę pedant niemiecki, ale bardzo pilny i pracowity, a przy tym przymiocie, przy dobrej radzie i pomocach może wszystko z siebie zrobić i usposobić się na dobrego profesora.”[4])

A w lutym 1815 r. otrzymał Lelewel od Śniadeckiego list z zawiadomieniem, że „póki katedra historyi w uniwersytecie osadzoną nie będzie profesorem”, uniwersytet powołał go

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom II, str. 13 — 15.
[2]) Pamiętniki o Janie Śniadeckim przez Michała Balińskiego, Tom II, str, 407 — 409.
[3]) Listy J. Lelewela, Tom II, str. 18 — 20.
[4]) Pamiętniki o Janie Śniadeckim, Tom I, str. 753.

„do dawania u siebie tej lekcyi z pensyą roczną rubli srebrem sześćset i minister takowe postanowienie potwierdził.” [1])

Oczywiście, Lelewel pośpieszył na wezwanie i w kwietniu (r. 1815) stanął w Wilnie. Z cieniów, w których przebywał, pogrążony w pracy, z samotni uczonego, wypłynąć miał niebawem na widownię szerszą.

---

[1]) Tamże, Tom II, str. 409.

V.

NA KATEDRZE UNIWERSYTECKIEJ.

Wielkie wypadki, wywołane walką Europy z Napoleonem, odwracały uwagę rządu rosyjskiego od wielu spraw ważnych i doniosłych, ale zaledwie dostrzegalnych w mroku grozy dziejowej. Lecz oto runął Napoleon, rozpadły się w gruzy wzniesione jego wolą budowle państwowe. Skonało Księstwo Warszawskie, powstało Królestwo Kongresowe, nastąpił nowy podział ziem polskich. Bohaterem Europy, wyrazem jej dążeń liberalnych i wolnościowych stał się Aleksander I. Był czas, że we wszystkich dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej z otuchą myślano o tym bohaterze, oczekując od niego spełnienia nadziei, ożywiających serca patryotów. Przyłączenie Litwy do Królestwa, zapowiedziane przez Aleksandra, miało rozpocząć nowy a świetny okres w życiu narodu. Po krwawych znojach i walkach oczekiwano złotej doby pokoju i szczęścia. Lecz zaledwie na zroszonych krwią ziemiach zaczął się utrwalać nowy stan rzeczy, gdy nadzieje przygasły i trwoga o przyszłość najbliższą opanowała umysły. We wszystkie dziedziny życia, zarówno w Królestwie, jak i na Litwie, wtargnęła nowa wola, przeciwstawiająca się woli narodu, a paraliżująca w zarodku poczynania i dzieła wybitniejszych w społeczeństwie jednostek.

Zmiana kursu politycznego, która w kilka lat po utworzeniu Królestwa wszystkie ziemie polskie napełniła goryczą i smutkiem, najwcześniej może dała się odczuć na Litwie i to w tej

sferze życia, która dotąd wolna była od inwazyi. Stosunek rządu rosyjskiego do dzieła oświaty na Litwie, a przedewszystkiem do uniwersytetu w Wilnie, był jak gdyby zapowiedzią tego, czego oczekiwać należało we wszystkich dziedzinach życia narodowego. W epoce gwałtownych wstrząśnień politycznych rząd pozwalał uniwersytetowi żyć życiem samodzielnem. Opieka wpływowego kuratora osłaniała uczelnię wileńską, ustawa uniwersytecka miała moc prawną, a mądry rektor Śniadecki umiał otoczyć swój urząd blaskiem i powagą. Nowe warunki polityczne zmieniły postać rzeczy. Czartoryski tracił powoli swoje znaczenie. Światłej woli kuratora zaczął przeciwstawiać swą wolę despotyczny minister Razumowskij. Już po śmierci Czackiego, gdy zgodnie z życzeniem Czartoryskiego miejsce wizytatora szkół na Wołyniu i Podolu uniwersytet powierzył ks. Dymitrowi Czetwertyńskiemu, minister Razumowskij wbrew obowiązującej ustawie komu innemu poruczył sprawowanie urzędu „zastępcy wizytatora". Z usposobienia samowolnego ministra nie omieszkali skorzystać ci profesorowie cudzoziemcy, co, dbając o własne interesy, lekceważyli sobie dobro uniwersytetu. Otworzyło się pole dla intryg i donosów. Niektórzy profesorowie cudzoziemcy zaczęli popisywać się w Petersburgu swoim patryotyzmem rosyjskim i podkopywać powagę Śniadeckiego. Rok 1812-ty dostarczył przeciw rektorowi oręża. W roku owym Śniadecki, podczas pobytu w Wilnie Aleksandra, umiał w jego oczach podnieść swój autorytet, a nieco później zdobyć szacunek Napoleona. Starano się wyzyskać tę ostatnią okoliczność. Na szczęście, Śniadecki wybrnął z toni intryg i wtedy, kiedy zdawało się jego wrogom, że zginął beznadziejnie, powrócił niespodzianie do łask zagniewanego cara. A dokonał tego, idąc drogą prostą, uczciwą. Nie mógł jednakże poradzić sobie z Razumowskim, który lekceważył i uniwersytet wileński, i jego rektora. Minister pozwalał profesorom bezpośrednio porozumiewać się z sobą w sprawach, dotyczących uniwersytetu, i przychylał się do próśb zanoszonych, jeżeli tylko petenci potrafili zdobyć jego zaufanie i łaski. W ten sposób prof. Bojanus wyrobił sobie u ministra dodatkowe wykłady anatomii porównawczej z dodatkową pensyą rubli srebrem 500. Za jego przykładem poszedł profesor literatury rosyjskiej Czer-

niawski; później adjunkt Pinabel bez wiedzy uniwersytetu mianowany został profesorem nadzwyczajnym i również obdarzony pensyą dodatkową. Wola Petersburga zaciążyła nad uczelnią wileńską, powaga rządu uniwersyteckiego zaczęła upadać, ustawa traciła swoją moc i swoje znaczenie. Intryga coraz wyżej podnosiła głowę. Śniadecki próbował stawić czoło tej anarchii i w jednym z listów do ministra wyrąbał mu te słowa: „Wolę wszystko stracić, jak żeby uniwersytet pod mojem naczelnictwem miał postradać swoje prawa i stać się ofiarą kabalistów".[1]) Ale walka była nierówna i nawet pomoc Czartoryskiego nie mogła już przechylić szali zwycięstwa na stronę rektora. Więc Śniadecki, szwankujący na zdrowiu, skłopotany złym stanem finansów uniwersytetu, wreszcie zgnębiony panowaniem intrygi, złożył swój urząd rektora. Wprawdzie pozostał w Wilnie w charakterze astronoma-obserwatora, ale z natury rzeczy wpływ jego na sprawy uniwersytetu mógł być już tylko bardzo nieznaczny.

Dymisyę Śniadeckiego przyjęto w Petersburgu z zadowoleniem.

Minister Razumowskij wyzyskał ją nawet w sposób sobie właściwy, a więc okazujący pogardę dla ustawy uniwersyteckiej. Ustawa wymagała, aby natychmiast po ustąpieniu rektora nastąpił wybór jego następcy. Stało się inaczej. Jeszcze Śniadecki nie zdążył złożyć urzędu, co oficyalnie nastąpiło 1 marca 1815 roku, gdy na jego miejsce wysunął się profesor Lobenwein, z nominacyą Razumowskiego na „zastępcę rektora". Takie pogwałcenie ustawy wywołało osłupienie śród profesorów. Poddali się jednak wszechwładnej woli ministra i nowy zastępca rektora zaczął pełnić swój urząd.

Lobenwein wykładał anatomię i fizyologię, a był uczonym miary poważnej. Przybywszy do Wilna, umiał zjednać sobie uznanie, a nawet sympatye gremium profesorskiego. Wkrótce jednak okazało się, że był to człowiek, dbający przedewszystkiem o własną kieszeń, zręczny gracz życiowy, pnący się na wyższe stanowiska po szczeblach intrygi i podstępu. Jako cudzoziemiec, obojętny był na losy uniwersytetu, a jako człowiek

[1]) Pamiętniki o Janie Śniadeckim, Tom I, str. 751.

stere
du ne
do um
oczekie
go. W
zwalał
wowego
sytecko
otoczye
ne zmn
czenie. S
despoty
gdy zg
szkół na
trowi (
wiązując
du „zast
nistra m
cy, co, db
wersytetu. D
profesorow
swoim pat
deckiego.
W roku ow
dra. umiał
niej zdoby
ostatnią
intryg i w
nadziejnie.
A dokonał
poradzić sob
el wileńsk
pośrednio
uniwersytetu
ko petenci
prof. Bojan
anatomii p
Za jego prz

...mki w uniwersytecie wiele pozostawiały do życzenia; ...ny, a po ... nościach i charakterze Lelewela wiele ...o oczekiwa[illegible]

...u przyjechawszy do Wilna, zatrzymał się u Kazi... tryna, z którym jeszcze za czasów studenckich stosunki [illegible] przyjaźni. Przyjęty z całą serdecznością, ...ywał z [illegible] ny przyjaciela. Przeniósł się niebawem ...n go mu [illegible] mieszkania przy ulicy Zamkowej (№ 127), ...o swego [illegible] urządzenia trzy spore i widne pokoje. ...romnie, [illegible] przyzwoicie, zagospodarował się na... ...b, świadczy, że nie miał zamiaru prowadzić ży... W jednym z listów do ojca wspomina o zielonym sto... ...m za ... ka znaleźć się miały karty, to znowu, ...ie gospodarstwo, przyznaje się, że na półkach ...ne regest[illegible] butelek". Przyjął nawet służącego, ...bolewicza, który przywiązał się do uczonego i we ...pomięci ... u niego zachował. Ale właściwy cha... ...kanku ... wać musiały stosy ksiąg i druków, ...elewel by[ł] rozkochany, a które z namiętnością ...nywstwem gromadził od lat najmłodszych.

...przybyciu na miejsce, był u zastępcy rektora, Loben... ...ktora Śniadeckiego, poskładał wizyty profesorom, ...szędzie grzecznie, a często i uprzejmie przyjęty"[1]). ...się w stosunkach uniwersyteckich, bardzo był ...ny. „Niezmierne intrygi i same intrygi tu w uni... ...rują"[2]), — skarżył się w liście do ojca. Pozawią... ...szybko stosunki z całym szeregiem osób, związa... ...ersytetem. ... ściślejszymi węzłami przyjaźni połą... ...ontrymem z ukochanym profesorem Grodkiem. ...z Kontrym po ukończeniu szkół wstąpił w r. 1794 jako prosty żołnierz-artylerzysta odbywał kampa... ...n. Został z czasem adjunktem uniwersytetu, a póź... ...nowisko sekretarza rządu uniwersyteckiego i był ... bibliotekarza. Zdaniem Śniadeckiego, był to czło... ...ący się ... pracowitością i pilnością, wiadomościami

[1]) ... J. Lelewela, tom I, str. 191, 192, 207.
[2]) ..., str. 201.

o nikczemnej duszy karyerowicza, nie przebierał w środkach. Powagę Śniadeckiego i uniwersytetu podkopywał w Petersburgu kłamstwem, intrygą, denuncyacyą. I nie nauce, lecz doprowadzonej do wysokiego kunsztu „umiejętności życia" zawdzięczał swoje wywyższenie.

Taki człowiek zajął w charakterze zastępcy miejsce Jana Śniadeckiego.

Dopiero w listopadzie 1816 roku przyszło do elekcyi nowego rektora. Wybór padł na Szymona Malewskiego. W przeciwstawieniu do Lobenweina, profesor ten szczerze oddany był sprawom uniwersytetu. Wprawdzie słynął, jako skąpiec i sknera, „ale w publicznej uniwersyteckiej posłudze niesplamiony, duszą był uniwersyteckiej administracyi."[1]) Stanowiska swego nigdy nie nadużył na korzyść własną a z uszczerbkiem uniwersytetu. Starał się przedłużyć świetne tradycye rektorskie Śniadeckiego, a choć nie miał owej wielkiej powagi, którą tylko siła wewnętrzna i poczucie własnej wartości stwarza, to przecież pracowitością, zdolnościami administracyjnemi, sumiennem pełnieniem obowiązków dobrze się zapisał w historyi uniwersytetu.

Dzieje tej uczelni, mimo wszystkich niesprzyjających warunków, właśnie za jego rektoratu miały się szeroko rozsławić.

Przyczyniło się do tego sprowadzone w znacznej części za czasów Śniadeckiego, lecz rosnące ciągle w sławę i znaczenie grono takich profesorów, jak Jędrzej Śniadecki, Grodek, Bojanus, Frank, Borowski; przyczynił się napływ młodzieży, dzielnej, ruchliwej, pełnej zapału, energji i życia; przyczyniły się wreszcie do sławy tego okresu szlachetne dążenia studentów, ich związki, natchnione ideałami dobra i cnoty, przeniknięte celem, który uskrzydlał młode dusze i unosił je w cudowny świat marzeń, w „rajską dziedzinę ułudy"...

Lelewel przyjeżdżał do Wilna w przededniu owego ruchu, który miał ogarnąć uniwersytet, miasto, a później rozlać się po całej Litwie i rozgałęzieniami swemi sięgnąć daleko poza jej granice. Na takiej arenie miał młody uczony stawiać swe pierwsze kroki, jako profesor i jako człowiek publiczny. Teren, mi-

---

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 38.

mo że stosunki w uniwersytecie wiele pozostawiały do życzenia; był wdzięczny, a po zdolnościach i charakterze Lelewela wiele można było oczekiwać.

Lelewel, przyjechawszy do Wilna, zatrzymał się u Kazimierza Kontryma, z którym jeszcze za czasów studenckich łączyły go stosunki przyjaźni. Przyjęty z całą serdecznością, niedługo korzystał z gościny przyjaciela. Przeniósł się niebawem do przeznaczonego mu mieszkania przy ulicy Zamkowej (№ 127), gdzie miał do swego rozporządzenia trzy spore i widne pokoje. Urządził je skromnie, ale przyzwoicie, zagospodarował się nawet w sposób, świadczący, że nie miał zamiaru prowadzić życia ascety. W jednym z listów do ojca wspomina o zielonym stoliku, w którym za lat kilka znaleźć się miały karty, to znowu, opisując swoje gospodarstwo, przyznaje się, że na półkach „stoją nieliczne regestra butelek". Przyjął nawet służącego, niejakiego Obolewicza, który przywiązał się do uczonego i we wdzięcznej pamięci służbę u niego zachował. Ale właściwy charakter mieszkanku nadawać musiały stosy ksiąg i druków, w których Lelewel był rozkochany, a które z namiętnością i wielkiem znawstwem gromadził od lat najmłodszych.

Zaraz po przybyciu na miejsce, był u zastępcy rektora, Lobenweina, u eksrektora Śniadeckiego, poskładał wizyty profesorom, biskupowi, „wszędzie grzecznie, a często i uprzejmie przyjęty"[1]). Rozejrzawszy się w stosunkach uniwersyteckich, bardzo był nimi zgorszony. „Niezmierne intrygi i same intrygi tu w uniwersytecie kierują"[2]), — skarżył się w liście do ojca. Pozawiązywał jednak szybko stosunki z całym szeregiem osób, związanych z uniwersytetem, a ściślejszymi węzłami przyjaźni połączył się z Kontrymem i z ukochanym profesorem Grodkiem.

Kazimierz Kontrym po ukończeniu szkół wstąpił w r. 1794 do wojska i jako prosty żołnierz-artylerzysta odbywał kampanię tego czasu. Został z czasem adjunktem uniwersytetu, a później objął stanowisko sekretarza rządu uniwersyteckiego i był pomocnikiem bibliotekarza. Zdaniem Śniadeckiego, był to człowiek, zalecający się „pracowitością i pilnością, wiadomościami

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 191, 192, 207.
[2]) Tamże, str. 201.

historyi krajowej, rozsądkiem" i poprawnością stylu[1]). Ruchliwy, uczynny, przystępny, zdobył szacunek i miłość studentów. „Kochała go młodzież za jego wielką uczynność i przystępność, za pobudzanie do pracy i oświaty".[2]) W r. 1815 Kontrym wznowił wydawnictwo „Dziennika Wileńskiego", później pisywał do pism rosyjskich.[3]) Jako urzędnik biblioteki, był wielce użyteczny Lelewelowi, który nieraz z usług przyjaciela korzystał i w Wilnie i w Warszawie. Lelewel cenił Kontryma, a Kontrym Lelewela. Przyjaciele kłócili się często, a przedmiotem sporu były prawie zawsze sprawy języka polskiego, stylu i pisowni. Niemało kłopotu i zgryzot miał Kontrym, jako redaktor, z pracami swego przyjaciela, który „wichrzył" przepisy gramatyczne, a prac swoich nigdy nie dozwalał poprawiać.

Z Grodkiem węzły przyjaźni zacieśniły się jeszcze mocniej. Był to bodaj jedyny uczony śród starszej generacyi profesorów wileńskich, o którym Lelewel zawsze odzywał się bez cienia złośliwości, w którym cenił niezwykłą wiedzę i do którego, jako do sędziego, udawał się po ocenę prac swoich. Po wyjeździe z Wilna pisywał do tego profesora czułe i serdeczne listy, otrzymując wzamian odpowiedzi, pełne „przyjaznych i podchlebnych wyrażeń"[4]). Teraz stara przyjaźń odżyła. Lelewel bywał częstym gościem w domu starego profesora, a domyślać się można, że oprócz samej osoby Grodka pociągały go do tego domu i jego córki „panny Grodeckie", jak się wyrażał, a głównie młodsza z nich, Konstancya, która, według zapewnień Joachima, była „piękną panienką i niezmiernie świeżą". Ta piękna i niezmiernie świeża panienka nasunęła młodemu uczonemu myśl o szczęśliwości małżeńskiej, bo i myśł taka zaczęła po przybyciu do Wilna nawiedzać Lelewela, co prawda przelotnie, jakby po to tylko, by wsiąknąć zaraz z myślą następną w stosy bibuły, wypełniającej jego samotnię kawalerską. To pewna, że chwalił sobie pannę Konstancyę, a potem zapierał się wszelkiego dla niej afektu. „Com dawniej pisał z okoliczności Grodkówny, to ze-

---

[1]) Pamiętniki o Janie Śniadeckim, Tom I, str. 483.
[2]) Filareci i Filomaci. List. Ign. Domejki. Rocznik T-wa Historyczno-Literackiego.
[3]) Głównie do „Syna otieczestwa". W № 8 z r. 1824 znajduje się jego artykuł: *Izwiestje o żizni i trudach profiessora Franka.*
[4]) List Lelewela z d. 9.VII.1809 r. Rks. w Bibl. Jagiellońskiej.

wsiem (!) żarty były"[1]) — zapewniał ojca, a wiemy dobrze, co warte są takie zapewnienia, gdy składa je człowiek trzydziestoletni. Nie przestawał jednak odwiedzać domu, który posiadał dwa takie magnesy, jak uczony Grodek i piękna a niezmiernie świeża panna Konstancya. Bywał u Grodków w Wilnie i w Werkach, dokąd się przenosili na lato, załatwiał nawet w komiczny sposób komisy gospodarskie panny Konstancyi[2]), to znowu przywoził którego ze swoich uczniów, bardzo często Franciszka Grzymałę.[3])

Odwiedzał też Lelewel Jana Śniadeckiego i toczył z nim zażarte boje o poprawność języka polskiego, o nowe wyrazy, o ortografię i przepisy gramatyczne. Mógł się nawet poszczycić małem zwycięstwem, bo w jednym z listów swoich pisze, że *krajobraz,* niemiłosiernie skarcony przez Śniadeckiego, został do jego łask „nieco przywrócony", natomiast bolał nad przyszłością joty ogoniastej,[4]) którą ukochał serdecznie, a której Śniadecki był wrogiem zdecydowanym, śmiertelnym. Rozmawiali też obaj uczeni sporo o literaturze, Śniadecki bowiem był podówczas w „wielkich literackich obrotach". Znaczne różnice w zapatrywaniach na twory piękna nie przeszkadzały, że dochodzili czasem do porozumienia ku obustronnemu zadowoleniu. Dyskusye te, pomimo sprzeczności poglądów, miały charakter przyjacielski — i Lelewel, acz zawsze zostawał przy swojem zdaniu, nauczył się podczas tych rozmów lepiej oceniać dawnego rektora. Dał później dowód swojej o nim pamięci.[5])

Łączyły Lelewela jeszcze bliższe stosunki z domem Spitznaglów, Guttów, z profesorem Capellim i wielu innymi, a między nimi z Janem Czarniawskim, profesorem języka i literatury rosyjskiej, który wraz z żoną podejmował go u siebie gościnnie

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom. I, str. 204.

[2]) Mikołaja Malinowskiego: Księga wspomnień. Wydał Józef Tretiak. Kraków 1907, str. 89 — 90.

[3]) List Fr. Grzymały do Lelewela z d. 21.VII.1814 r. Rks. w Rapperswilu.

[4]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 212.

[5]) Legendę o wrogich stosunkach obu znakomitych uczonych stworzył Barzykowski, wyolbrzymiając to, co o nieporozumieniach między Lelewelem a Śniadeckim napisał Mochnacki. Fakty, podane przez Barzyk. (Hist. powst., Tom. I, str. 239), niezgodne są z rzeczywistością.

i serdecznie. Pomiędzy tym domem a Lelewelem musiało dojść z czasem do zażyłości, skoro w parę lat potem, gdy historyk nasz opuszczał Wilno, pani Czarniawska obdarzyła go „na niezabudź” (tak!) „safianowemi okładkami” do „obłożenia jakiego pisemka, bileciku, bumażki (!) etc., jakby się podobało” a niewdzięczny Lelewel, wyjechawszy z Wilna, ani słowem nie odezwał się do Czarniawskich, w obawie, aby nie był posądzony o „jakie zabiegi captando” (?)[1])

Z innych przyjaciół Lelewela poza młodzieżą akademicką na uwagę zasługuje Ignacy Żegota Onacewicz, nauczyciel historyi powszechnej w gimnazyum białostockiem, o kilka lat starszy od Joachima. Przyjeżdżał on w interesach naukowych do Wilna[2]), a przedmiot, który wykładał, zbliżył obu historyków do siebie. Ignacy Onacewicz należał do ludzi silnej woli i silnego charakteru. Syn niezamożnych rodziców, krokiem odważnym i śmiałym wszedł na drogę samodzielnego życia. W duszy jego od najwcześniejszej młodości płonął jasno zapał dla nauki, a szkoła niższa nie mogła pragnień młodzieńczych ugasić. Za wszelką cenę postanowił kształcić się dalej: brak środków nie mógł złamać mocnego postanowienia. Puścił się tedy samopas w drogę do Królewca i z ostatnią złotówką w kieszeni stanął przed jednym z profesorów, wyrażając niezłomną chęć rozpoczęcia studyów uniwersyteckich. Trafił dobrze, bo profesor, ujęty determinacyą młodzieńca, ułatwił mu możność kształcenia się dalszego. Onacewicz, obdarzony niepospolitą pamięcią i umysłem lotnym, wyniósł z uniwersytetu wiedzę głęboką, rzetelną. Historya i statystyka stały się przedmiotem jego badań. W Królewcu pozawiązywał stosunki z burszenszaftami i podobno wielce miał się przyczynić do rozwoju tugendbundu. Po skończeniu studyów wyjechał do Petersburga i pod protekcyą hr. Rumiancowa zbierał w bibliotekach miejscowych potrzebne materyały do zamierzonych studyów naukowych. Później magistrował się w Wilnie i otrzymał posadę nauczyciela historyi w gimnazyum białostockiem.

---

[1]) List J. Lelewela do Onacewicza z dn. 28/VI 1820 r. Rks. w Bibl. Ord. hr. Krasińskich.

[2]) Teodora Wagi: Historya książąt i królów polskich. W Wilnie i w Warszawie 1818. Przedmowa Lelewela. str. 7.

Ukochanie nauki, gruntowna wiedza, wzajemna pomoc w pracy i wzajemnie okazywane sobie usługi zbliżyły do siebie młodych uczonych, złączyły ich węzłem przyjaźni serdecznej i głębokiej. Śród niezliczonej rzeszy przyjaciół znakomitego dziejopisa w pamięci i sercu jego Ignacy Onacewicz zapisał się niezatartymi śladami.

„W powodzeniu i niedoli nic nie zdołało wzajemnego zaufania zachwiać, ani zachmurzyć stosunków między nami, — pisał w wiele lat później Lelewel.—Dążąc w zawodzie powszechnej sprawy, zostaliśmy z jednostajnem wzajemnem uczuciem: Onacewicz do zgonu, ja po zgonie jego"[1]).

Odnowiwszy stare znajomości i zawarłszy wiele nowych, Lelewel przystąpił do wykładów. Chciał swój kurs rozpocząć bez żadnych wstępów, ale przed samem rozpoczęciem pierwszego wykładu dowiedział się, że w audytoryum zebrało się z górą stu słuchaczów, że na wykład inauguracyjny wybiera się Lobenwein, dziekani i liczni profesorowie. Wtedy przyszło mu na myśl, że należałoby powiedzieć coś ogólniejszego. Pobiegł więc do domu i, pochwyciwszy gotową rozprawę o łatwem i pożytecznem nauczaniu historyi, odczytał ją w obecności generalicyi uniwersyteckiej i licznych słuchaczów.

Wstępna prelekcya musiała uczynić wrażenie dodatnie, bo i następne wypełniły audytoryum: z górą stu słuchaczów uczęszczało na wykłady Lelewela. Frekwencya z biegiem czasu zaczynała wzrastać.

„Nie wiem, co tak powabnego słuchacze moi znajdują, — dziwił się Lelewel w liście swym do ojca z d. 9 listopada 1815 r., —bo, będąc na ich miejscu, możebym się wyrzekł pilności i ciekawości. Błoto mamy, nieprzyjemny czas... pomimo tego o ciemnej godzinie do półtorasta, może i więcej ich się zbiera"[2]).

Widocznie nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że wykłady jego nie tylko były powabne, ale z wielu względów miały znaczenie doniosłe.

Poprzednik Lelewela, prof. Hussarzewski, był rutynistą, pomijał zupełnie najnowsze zdobycze naukowe w Europie, słu-

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 34.
[2]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 225.

chaczom swoim w ciągu lat 25 dawał jedną i tę samą strawę, ograniczając się najzupełniej do suchego regestrowania faktów. Potem wykłady historyi zostały przerwane. Śniadecki nie doceniał, a nawet lekceważył naukę dziejów. Niespodziewanie przed żądną wiedzy historycznej młodzieżą stanął człowiek nowożytny, uczony europejski, obdarzony umysłem krytycznym i przenikliwym. Pałał on żądzą rozjaśnienia mroków, otaczających dziejowy pochód ludzkości, a wiedzę posiadał bezdenną. Był nadto pierwszym w Polsce historykiem, który zagadnienia historyczne starał się ująć w żelazne karby metody. Jego „Historyka", poświęcona „cieniom Tomasza Hussarzewskiego", którą jeszcze w rękopisie bardzo pochlebnie ocenił profesor Grodek, a która w r. 1815 wyszła w Wilnie z pod prasy, jego rozprawy: „O potrzebie gruntownej znajomości historyi" i „Jakim ma być historyk" rzucają snopy jasnego światła na poglądy, którym hołdował w dobie owej. A poglądów tych niepodobna pominąć, gdy mowa o Lelewelu-profesorze i jego potężnym wpływie na współczesne mu pokolenie.

Przedewszystkiem jednak należy uprzytomnić sobie, że w owym czasie nauka historyi w Polsce nie posunęła się poza granice, wykreślone przez Naruszewicza, i od jego czasów nie uczyniła postępu lub też postęp bardzo nieznaczny. Niezwykle pracowity Albertrandy wpatrzony był w Naruszewicza i szedł drogą, utartą przez swój pierwowzór, szedł sumiennie, wytrwale, starając się naśladować styl, sposób opowiadania, układ, a nawet podział opowiadanych zdarzeń na lata. Podręczniki Kajetana i Wincentego Skrzetuskich, jako elementarne i przestarzałe, nie miały już żadnej wartości. „Historya książąt i królów polskich" Teodora Wagi, książka najbardziej w szkołach ówczesnych rozpowszechniona, wreszcie „Krótkie wyobrażenie dziejów Królestwa Polskiego" Jerzego Samuela Bandtkie'go, oto, jeżeli pominąć dzieła Czackiego, było już wszystko, co wydała literatura ojczysta, dostępna dla szerszych kół młodzieży. Aby więc ocenić wysiłki Lelewela, trzeba się przyjrzeć jego wielkiemu poprzednikowi, Naruszewiczowi, trzeba się rozpatrzeć, co nowego wniósł młody uczony do poglądów na dzieje ludzkości.

Cel dzieła Naruszewicza, pisanego na żądanie Stanisława Augusta, już po pierwszym podziale Rzeczypospolitej, był pro-

sty i jasny. Autorowi chodziło o to, aby pokazać naród w latach potęgi i chwały, przypomnieć świetne zasługi przodków, a zarazem wskazać środki i sposoby, mogące podnieść naród z upadku. Historykowi temu, jak świadczy już poprzedzający właściwy wykład dziejów „Memoryał względem pisania historyi narodowej", nie obce było znaczenie prawodawstwa, przemysłu i handlu. Wprowadził nawet do swoich badań krytykę w ocenie zdarzeń i czynów ludzkich, ale ta krytyka opierała się na kanonach bardzo prymitywnych. Jego sąd historyczny rozeznawał przedewszystkiem dobre od złego, pozór od prawdy, doszukiwał się cnót i przestępstw. Naruszewicz starał się odnajdywać przyczyny opisywanych zdarzeń i śledzić ich skutki. Jednocześnie przecież odczuwał potrzebę wyższego moralnego sprawdzianu, stałych prawideł cnoty i obywatelstwa, bez których przykłady przodków nie mogą stać się pouczającymi. Historyę traktował przedewszystkiem, jako mistrzynię życia, mającą pouczać obywateli i strzedz ich przed upadkiem, a umysły zabłąkane kierować na właściwe drogi.

Jakoż ściegi tej poczciwej tendencyi często widoczne są w pracowitem dziele Naruszewicza.

Kołłątaj, wymagający już pracy nad kulturą i rozwojem społecznym, poszedł inną drogą w rozumowaniu nad przedmiotem historyi. Kładł on duży nacisk na fizyczną naturę i materyalne potrzeby człowieka, ale, mówiąc o dziejach ludzkich, pisał, że „historya, w ścisłem znaczeniu uważana, nie jest umiejętnością, ale prostem opowiadaniem życia i spraw ludzi, dziejów i wydarzeń małych lub wielkich społeczności, uważanych pod wielorakimi względami opinii, umiejętności, nauk, kunsztów, dobrych i złych spraw, szczęśliwych i nieszczęśliwych wydarzeń"[1]).

Naruszewicz, zdaniem Lelewela, pierwszy otworzył nam podwoje do przybytku historyi. Do tych słów możnaby dodać, że Kołłątaj, Czacki, Niemcewicz i inni podwoje te rozszerzyli, ale sam przybytek urządził i wypełnił dopiero Lelewel. Zarówno rozległością swojej pracy, jak poglądem na zadania i rolę hi-

[1]) List Kołłątaja do Mirowskiego z d. 12/VIII 1805 r.

storyi, poszedł o wiele dalej od swoich poprzedników i współczesnych mu pisarzy.

Historyą,—pouczał Lelewel,—jest wszystko, cokolwiek dzieje się w czasie i przestrzeni. Historyką zaś nazwał wykład środków, z jakimi należy przystąpić do traktowania samej historyi. Historykę podzielił Lelewel na krytykę, etiologikę i historyografię. Pierwsza ma na celu dochodzenie prawdy historycznej, druga powinna wyjaśniać przyczyny zdarzeń dziejowych, trzecia jest sztuką pisania historyi.

Krytyka ma do swego rozporządzenia podania, pomniki nieme i pomniki pisane. Zadanie krytyki polega na sprawdzeniu wiarogodności istniejących źródeł historycznych, na przeniknięciu ich ducha i natury.

Etiologika ma poznawać wszystkie okoliczności, wpływające na losy narodów i jednostek, wskazywać przyczyny i skutki wydarzeń historycznych. Uwzględniać tu każe Lelewel wpływ warunków geograficznych i klimatycznych, ważniejszych ponad działanie *czasu*, albowiem czas jest to właściwie ta atmosfera, którą człowiek stwarza sobie sam przy współdziałaniu niezależnych od niego czynników fizycznych. Poznanie tego człowieka w jego czynach i dziełach, wskazywanie w nim zmian, zachodzących pod wpływem całokształtu życia, i wszystkich warunków, to życie stwarzających, a dalej badanie organizacyi społeczeństwa w stosunku do organizacyi panującej nad niem władzy, rozpatrywanie poszczególnych związków społecznych i powszechnego węzła, sprawiającego, że na całej kuli ziemskiej człowiek wytwarza jeden ogólny związek społeczny, który jest nierozerwalny, bo go stworzyła sama natura, — oto niezmierny zbieg okoliczności, oto olbrzymia sieć różnorodnych powikłań, których osnowę wskazać powinien dziejopis.

Historyografia, to jest sztuka pisania historyi, powinna być „pragmatyczna”, czyli odpowiadać ściśle rzeczywistości, a więc uwzględniać wszystko, co przyczynia się do poznania charakteru epoki, wszystko, co wyjaśnia pochód ludzkości na drodze jej doskonalenia się i postępu. Stan wewnętrzny narodu, stosunki sąsiedzkie, handel, nauka, religia, prawodawstwo, siły wewnętrzne i ich oddziaływanie nazewnątrz,—oto czynniki, które należy uwzględniać przy pisaniu dziejów ludzkości.

Obok tych wskazówek, mających znaczenie ogólne, nie brak w „Historyce" zwrotów, świadczących o podmiotowych poglądach Lelewela. Wprawdzie nazywa on „szczęśliwym" tego dziejopisa, który potrafi ukryć się pod tarczą przedmiotowości, ale sam niezawsze tarczy tej używa. A więc śmiało oświadcza, że swoboda i pomyślność „podnosi umysł" człowieka, ożywia w nim „wszelkie siły, do czynności i doskonalenia pobudza". Natomiast ucisk, niedola „wyryją na nim piętna ponurości i spodlenia, wyzują z zacności, z wielu uczuć i usposobień". „Despotyzm, — powiada uczony, — nie zostawiający niewolnictwu żadnego bezpieczeństwa, najokropniejsze razy ludzkości zadaje: wymus, przerażająca ponurość, trwoga, obrazy wielkiego majestatu obsiędą zawsze posępną niewolę, wyzutą z wielu uczuć, nie znającą granic między swą nizkością a wielkością despoty..."[1])

Dziejopisowi zaleca Lelewel jasność i przystępność wykładu, pisanie w „szczerej prawdzie", która nie tylko naucza, ale jednocześnie wzrusza i przemawia do serca. Tak więc bezstronność historyka nie ma nic wspólnego z bezdusznem traktowaniem tematu. Zarówno w „Historyce", jak i w innych rozważaniach na temat historyi, niejednokrotnie mówi Lelewel o konieczności wnikania w przyczyny opisywanych zdarzeń dziejowych. Ale, mówiąc o tem, uczony zdaje sobie sprawę z potęgi i zarazem ze słabości umysłu ludzkiego, staje przed odwiecznem zagadnieniem, które go zmusza do zastanawiania się nad ową praprzyczyną, tworzącą wszelkie życie, a będącą tego życia początkiem.

„Umysłowe władze swoje kształcący ród unosi się w zacnych uczuciach swoich do poznania jestestwa, które mu dało początek, bada Stwórcę świata, cześć Mu oddaje. Do towarzyskiego związku na kuli ziemskiej osadzony, dręczy się w rozpoznaniu natury i ustanowień węzłów społeczeństw, usiłuje swe związki wydoskonalić".

O takie zagadnienie oparł się Lelewel i takie niedosiężone zadania wykreślił historyi. A w tem oświetleniu staje się jasnem, dlaczego go nęciły początki dziejów ludzkich, dlaczego w ba-

[1]) „Historyka". Warszawa, 1862, str. 15, 23.

daniach swoich tak szerokie zakreślał kręgi, dlaczego, szukając prawdy, cofał się w najodleglejszą przeszłość, przedzierał się przez gąszcz najróżnorodniejszych zjawisk i starał się ogarnąć bezkresne przestworza nagromadzonej w ciągu wieków wiedzy.

Historyą istotnie było dla niego wszystko, cokolwiek się działo w czasie i przestrzeni.

Sam zawód dziejopisarski traktował Lelewel z wielką miłością, a znajomość historyi uważał za konieczny warunek w wykształceniu człowieka. Rozprawa: „O potrzebie gruntownej znajomości historyi i na czem ta gruntowność zależy" kończy się jak gdyby okrzykiem namiętnie miłującego swój przedmiot historyka:

„Zaprawdę, — mówi Lelewel, — wszelki człowiek, chcący wysokim przeznaczeniom rodu swego godnie odpowiedzieć, trawić życie na pożytek sobie i społeczności, chcący w jakimkolwiek wydziale badać naturę i człowieka, winien w historyi szukać przewodnika, chciwie się garnąć do wcielenia się w jej prawdy, stawać się uczestnikiem prawd historycznych, do nich się *zapalać,* ochoczo i gorliwie gruntowną znajomość historyi nabywać"[1]).

W innej ze swoich rozpraw: „Jakim ma być historyk" te wielce znamienne wypowiada słowa:

„Stu wieków doświadczenie ludzkie przekonywać będzie, że tam w całej się świetności i zacności swojej historya ukazuje, tam powstają w całem znaczeniu dziejopisowie, gdzie niepodległość, a wielkie znaczenie polityczne naród podnosi, gdzie swobody i wolności jak najpowszechniejsze, gdzie dość tęgie cnoty, duch publiczny w swojej trwa mocy. Tam jest gniazdo historyków, bo tam najsnadniej godność i prawość historyczna zasiedlić się może. A historyk ma być „przejęty duchem publicznym, od warunków ubocznych niezawisłym, ma się napawać najżywiej uczuciami, które określać mu wypada. Musi czuć dostojność własnej religii, unosić się miłością ojczyzny i narodowości, żeby był mocen oceniać uczucia, z któremi najwięcej jest w dziejach do czynienia..."

---

[1]) Tygodnik wileński. Tom III. Rok 1816, str. 68.

W innem miejscu, jak gdyby mimowiednie, rzuca Lelewel uwagę, która wszelkiego rodzaju pedantom, patentowanym mężom nauki, przestrzegaczom pseudonaukowej bezduszności, wydać się musi dziwacznym zgrzytem, właśnie dlatego, że jest to uwaga bardzo prosta i bardzo naturalna. Oto, mówiąc o tem, że historyk powinien doskonalić swoje zdolności krytyczne, nabierać wprawy w dociekaniach filozoficznych i kształcić wszechstronnie swój umysł, stawia nadto ów dziwny warunek: ni mniej, ni więcej żąda jeszcze, aby historyk kształcił swój własny *charakter*, aby *„mógł się osobiście poszczycić charakterem tym, jaki sama historya mieć powinna...”*[1])

A ten szczególny warunek świadczy tylko, jak wysoko uczony cenił zawód dziejopisarski, i rzuca światło na samego Lelewela....

W jednej z prac nieco późniejszych, bo pisanej w roku 1820-tym, uczony, zwracając się do tego, co ma historyę wykładać, w te słowa odzywa się do niego:

„Ty żyjesz i do żyjących mówisz, a gdybyś zmartwiał, nie umiałbyś władać językiem, a co żyje, toby od ciebie, jak od martwych zwłok, odbiegło. Ty głosisz doświadczenie w przeszłych wiekach żyjącego, dla życia ludzkiego; ty historyą wykładasz, która bez życia nie jest. Pomnij na to, że z ust twoich ma się historyczna prawda do słuchających uczniów rozchodzić; że twoja myśl i czucie w nich przelewać się będzie; że twoja dusza, jak ogień, przenikać ma umysł i serce. Biada ci, jeśli prawdę skazisz, jeśli dostojność ludzką upodlisz i zacniejsze obrazisz dusze: naukę i ciebie odrzucą i wzgardzą uczniowie...”[2])

Takie były poglądy Lelewela na zadania historyi i takie pojmowanie obowiązków nauczycielskich.

Wykłady historyi powszechnej rozszerzył niebawem Lelewel, wplatał w nie bowiem wiadomości z numizmatyki, heraldyki i dyplomatyki, jako pomocniczych nauk historyi. Nadto wskazywał słuchaczom godne poznania dzieła historyczne, a dla

---

[1]) Tamże. Rok 1818, str. 371, 375.
[2]) O historyi, jej rozgałęzieniu... Warsz. 1826, str. 113.

uzupełnienia wykładów używał licznych map i tablic chronologicznych.

Wierny swojej pięknej teoryi, pamiętał zawsze, że historya jest przedewszystkiem historyą żywego i czującego człowieka, że jego wykładów słuchają żywi i czujący ludzie. Nigdy też nie odgrywał roli powagi, lecz najściślej zespalał się ze swymi słuchaczami. Ucząc innych, uczył się sam i wraz z uczniami swoimi czynił postępy. A widząc taki skutek, „rósł w duchu”, nabierał zaufania do własnych sił i do własnej pracy.[1])

Młodzież ochoczo garnęła się na jego wykłady.

Pociągała ją wiedza Lelewela, jego potężna erudycya, jego umiłowanie przedmiotu, które ujawniało się często w słowach gorących, pełnych zapału i ognia. Młody uczony, na pierwszy rzut oka cichy, powolny, jakby przygasły, posiadał wewnętrzny ogień, wybuchający dopiero wtedy, kiedy mówił o ukochanym przedmiocie, kiedy w pomroce wieków zapalał światła swej wiedzy i rozjaśniał niemi tajemnice odległej przeszłości. Miał wtedy moc panowania nad swymi słuchaczami. W wykładach jego wypadki przyoblekały się w kształty i barwy, a zamarłe postacie historyczne, wskrzeszone potęgą gorącego słowa, stawały jak żywe przed oczyma zasłuchanego audytoryum.

Lelewel całą swoją istotą wnikał w opowiadane zdarzenia dziejowe, opromieniał je blaskiem własnej duszy, ożywiał własnem życiem.

Z katedry przemawiała wiedza, ale zarazem wiało zapałem i młodością.

— „Kiedy, — pisze jeden z jego uczniów, — opowiadał jaki czyn historyczny ważny na lekcyach, iskrzyły mu się oczy i cały był ożywiony wiekiem, do którego ów czyn należał.”[2])

Inny ze współczesnych, Maurycy Mochnacki, który acz nie był uczniem Lelewela, ale znał go dobrze, a z wielu jego uczniami bliższą miał styczność, twierdzi, że Lelewel „w wykładzie ustnym był niezrównany. Jasność, łatwość, precyzya, żywe przejęcie się rzeczą opowiadaną, pamięć lokalna, nigdy niezawodna, ciągłe uogólnianie, ciągłe systematyzowanie faktów, obszernie

---

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 23.

[2]) Pamiętniki Ignacego Domejki... Wydał Józef Tretiak. Kraków 1908, str. 113, 114.

wyłuszczanych, te szczególniej zalety wysławiano w jego kursie..."[1])

Twarz młodego badacza, surowa później, była podówczas łagodna i pociągająca, z pod wysokiego czoła patrzały oczy bystre, iskrzące się zapałem, ton wykładów był nacechowany ciepłem i ujmującą serca życzliwością. Grzeczność i dostępność dla każdego studenta przyciągały do uczonego młodzież, a zbliżenie się wzajemne ułatwiał wiek Lelewela, liczył bowiem podówczas lat 29. Jeżeli w wykładach jego nieraz zadźwięczała struna patryotyczna, jeżeli, przebiegając dzieje ludzkie, nieraz miał możność wykazać, jak wielkiem szczęściem w życiu narodu jest wolność i jak walczyć o byt wolny należy, to w poufnych rozmowach ze studentami te same zapatrywania musiały mieć wymowę silniejszą i głębszą.

Z takim profesorem młodzież obcowała chętnie.

Zwracano się do niego nie tylko z prośbami o wskazówki z zakresu historyi, o książki, mapy, ale i o radę w przedsięwziętych zamiarach, o pomoc moralną i materyalną. Lelewel udzielał się jak najchętniej. W ten sposób dotarł do życia wewnętrznego studentów, a rozgościwszy się w młodych sercach, zaczął wywierać wpływ potężny na ogół młodzieży nie tylko jako autorytet, ale również jako serdeczny druh i przyjaciel. Umiał wniknąć w drgnienia dusz młodych i rozumiał orle wzloty w krainę ideału. Czarował swoich przyjaciół wiedzą, ale panował nad nimi zrozumieniem młodego życia, współczuciem dla świetlanych pragnień, wspólnością uczuć obywatelskich. Lgnęła do niego młodzież i on lgnął do młodzieży. Profesorem i bratem umiał być jednocześnie. To też w wiele lat potem rozproszeni po całym świecie studenci uniwersytetu wileńskiego z rozrzewnieniem wspominali owe czasy, kiedy to los szczęśliwy pozwalał im obcować z kochanym profesorem. Otaczali go szacunkiem i miłością, znaleźli w nim gorącego obrońcę i opiekuna.

„Jedyną jego myślą, — powiada Leonard Chodźko, — była obrona interesów młodych studentów... Dbał nie tylko o ich stopnie, ale i o dobrobyt..."[2]) A inny z uczniów, Mikołaj Mali-

---

[1]) Powstanie Narodu Polskiego. Poznań 1863, str. 226, 227.
[2]) Notice biografique sur Joachim Lelewel. Paris 1834, str. 5.

nowski, nazywał go „najlepszym nauczycielem, którego jak ojca szanuje i kocha", to znowu mówił o „uczuciach wdzięczności i przywiązania", które nigdy w sercu nie miały wygasnąć.[1])

Takiemi uczuciami natchniona była większość tych studentów, którzy bliżej żyli z Lelewelem, a żyło z nim blizko bardzo wielu i to takich, co w życiu późniejszem szeroko na różnych polach mieli zasłynąć. A właśnie młody uczony trafił na epokę, w której młodzież uniwersytecką zaczynał przenikać prąd spiskowy, powodujący zakładanie stowarzyszeń tajnych. Młodzież, najgoręcej wyczuwająca potrzeby chwili, nie mogła się pogodzić z istniejącym stanem rzeczy i, rojąc o lepszej przyszłości, przyzywała tę przyszłość całą siłą serc swoich, pierwsza wstępując na drogę, którą w kilkanaście lat potem pójść miało całe społeczeństwo.

Wpływ Zachodu również nie pozostał bez skutku.

Hasła wolności, równości i braterstwa trafiały do serc młodzieży, budziły w niej pragnienie czynu i chęć stworzenia nowego a doskonalszego życia. Ówczesne warunki polityczne nie pozwalały już głośno wypowiadać swych pragnień. Więc zbierano się potajemnie, obradowano szeptem. Powstawały stowarzyszenia tajne, a ruchliwa młodzież wileńska nie pozostawała w tyle i w sobie samej przeżywała wypadki, które w kilkanaście lat później stały się rzeczywistością i zajaśniały łuną pożarną w pamiętną noc 29 listopada. Wpływ młodzieży wileńskiej wykroczył poza Wilno, rozlał się po Białej Rusi, ogarnął Białystok i Krzemieniec, dotarł do niższych zakładów naukowych, snuł się po krajach zabranych, zamierał i znowu się odradzał w najrozmaitszych postaciach. Dnia 1 października 1817 roku Tomasz Zan, Adam Mickiewicz, Józef Jeżowski, Franciszek Malewski (syn rektora), Jan Czeczot i Onufry Pietraszkiewicz założyli słynne *Towarzystwo Filomatyczne*. Różniło się ono bardzo od stowarzyszeń, zakładanych w epoce, kiedy Lelewel był studentem. W tamtych samokształcenie było na pierwszym planie, a lojalny stosunek do profesorów, powoływanie ich na członków honorowych nasuwa przypuszczenie, że poza ce-

[1]) Listy z d. 23 grudnia 1824 r. i 3 kwietnia 1825 r. Według kopij rękopisów w Arch. Gł. w Warszawie.

lami naukowymi stowarzyszonym nie przyświecały inne dążenia. Do nowego Towarzystwa profesorowie nie mieli już dostępu, a raczej mieli ci tylko, co umieli pozyskać serca i zaufanie młodzieży. Filomaci pod przysięgą zobowiązywali się pracować nie tylko dla nauki i cnoty, ale przedewszystkiem dla dobra ojczyzny. Lelewel należał właśnie do tych nielicznych profesorów, którzy „całem sercem współczuli” celom Towarzystwa, „wchodzili w bliższe ze studentami stosunki i wspierali ich swojemi radami”[1]). Domejko zapewnia, że Filomaci „wszyscy bez wyjątku byli miłośnikami Lelewela”[2]).

Dzieje Filomatów, a następnie powołanych do życia Promienistych i Filaretów dobrze już dzisiaj są znane. Tu przecież należy podkreślić, że jeżeli fala wpływu filomatycznego rozlewała się szeroko, jeżeli niosła ożywcze ideały, dążenia, uczucia, całe bogactwo piękna i młodości, to w tem nagromadzonem bogactwie była i obywatelska dusza Lelewela, był jego wpływ niezaprzeczony, a jak ta fala sięgający daleko. Jednakże rola jego w tym ruchu nie była rolą człowieka *bezpośredniego czynu*. Sam to powiedział później.[3]) Ukochany przez studentów przewodnik zagrzewał młodzież do pracy, oddziaływał na nią w kierunku ideowym, działalności jej dawał swoją sankcyę moralną, ale do tworzenia związków, do organizowania, słowem, do przyoblekania idei w formę życia nie przykładał swej ręki. Był ideowcem, nie był działaczem. Niewątpliwie piękna to była rola, najwłaściwsza dla uczonego, bo zgodna z jego usposobieniem, z cechami umysłu i charakteru. Rola ta mogła przecież nasunąć wątpliwość, czy Lelewel stanie na wysokości zadania, gdy wypadki dziejowe postawią go oko w oko z koniecznością czynu.

Przyszłość miała odpowiedzieć na to pytanie, tymczasem Lelewel żył otaczającem go życiem. Działalność młodzieży nie była odosobniona. Budziło się piśmiennictwo, powstawały jawne i tajne stowarzyszenia, mające na celu poruszenie mas szerszych i obudzenie w narodzie wyższych dążeń i nowego ducha.

---

[1]) Pamiętnik o Filomatach i Filaretach. Paryż, str. 16.

[2]) Filareci i Filomaci. List. Ign. Domejki. Rocznik T-wa Histor.-Literackiego w Paryżu. 1870—2, str. 2.

[3]) Historya powstania narodu polskiego przez B. O. Spaziera. W Paryżu 1833. Tom III, str. 449.

Działało na Litwie wolnomularstwo; czyniło hałas ciętą satyrą, wymierzoną przeciw szlachcie, jej przywarom, zacofaniu i przesądom ruchliwe Towarzystwo Szubrawców. Ze szpalt „Wiadomiści Brukowych" sypali Szubrawcy ogniem szyderstwa na wszystkie budowle obskurantyzmu, ciemnoty i przesądów szlacheckich. Rozszerzał się ruch umysłowy i patryotyczny, ścierały się sprzeczne zdania, duch wolnościowy zmagał się z reakcyą. Tętniało życie i Wilno pełną oddychało piersią.

Ruch ówczesny w tych słowach charakteryzuje w swoich niedrukowanych notatach jeden z czynnych członków Towarzystwa Szubrawców, Franciszek Grzymała:

„Po powtórnym upadku Napoleona I i nastałym pokoju w Europie, tak w Królestwie Kongresowem, jak w Litwie i wszystkich zabranych prowincyach, podniósł się zapał do nauk i zaczęło się wzmagać piśmiennictwo polskie. W Wilnie kilka pism peryodycznych stale zaczęło wychodzić po wpływem i kierunkiem Śniadeckich i pomocy wielu tamecznych uczonych. Jednocześnie zawiązało się Towarzystwo literatów starszych i kilku z młodzieży, w celu wydawania pisma humorystycznego, satyrycznego z godłem *ridendo dicere verum*. Cele tego pisma były następne: (?) „Nikt z myślących Polaków zaprzeczyć nie może, że Polska upadła własnymi błędami, tak we względzie politycznym, jak i zepsuciem obyczajów, przywarami i próżnością klasy rządzącej a poniewierką i poniżeniem ludu". Otóż, — pisze dalej Grzymała,—Towarzystwo, „złożone ze szczerych patryotów, powzięło zamiar przez pismo tygodniowe pod tytułem „Wiadomości brukowe" wpływać na prostowanie przesądów i przywar klasy uprzywilejowanej, która w prowincyach zabranych używała po dawnemu prerogatyw, a lud w twardszem był jeszcze poddaństwie, niż za dawnej Polski. Drugim celem tego pisma było powstawanie satyryczne na urzędników... panoszących się przedajnością kosztem krajowców, zarażając ich temi wadami, przynoszonemi do nas... Wielka była wtedy swoboda w piśmiennictwie", bo działo się to jeszcze w epoce dążeń liberalnych Aleksandra I, a „ówczesny gubernator wojenny Litwy, generał Korsakow, głośny z klęski, odniesionej pod Zurich, człowiek w gruncie prawy i nie lubiący kradzieży i przedajności w urzędnikach, przez szpary patrzał

na chłostę, którą co tydzień odbierali sowietnicy, prokuratorowie, strabczowie, policmajstry i cała podobna rzesza..."

„Dalsze cele pisma „Wiadomości Brukowe", — opowiada Grzymała, — były: karcenie pieniactwa, silnie jeszcze wtedy zagnieżdżonego w zabranych prowincyach, szulerstwa, któremu wielu nader hodłowało, pijatyki i zbytków oraz próżności, nadymającej się rodowitością, majątkiem, parantelą, a poniewierającej zasługę i pracę. Słowem, podstawą dążeń Towarzystwa był szczery patryotyzm, oparty na zdrowych principiach demokratycznych. Też same principia ożywiały szeroko wtedy rozgałęziony Związek Wolnomularski, czyli masoneryę, z którą członkowie Towarzystwa Brukowców byli w ścisłych stosunkach, bo sami prawie wszyscy byli Wolnymi Mularzami. Oba te Towarzystwa ważny wywierały wpływ na młodzież uczącą się, o czem, — twierdzi Grzymała, — Mochnacki nie wiedział i źle był poinformowany przez Podczaszyńskiego. Związek Filaretów i Promienistych były to dzieci wyżej wspomnianych dwóch towarzystw...[1]) Znaczna była liczba członków tak w Wilnie, jak i we wszystkich guberniach zabranego kraju".[2])

Grzymała wylicza następujących członków Towarzystwa

---

[1]) Co się tyczy wpływu wolnomularstwa na młodzież, to istotnie musiał być znaczny. Wiadomość, podana przez Grzymałę o związkach wolnych mularzy z młodzieżą, potwierdza słowa prof. Askenazego: „W samem Wilnie niezawodnie powstać musiała loża filiacyjna Wolnomularstwa Narodowego; a przypuszczać należy, że w takim razie wszedł do niej Tomasz Zan, kierownik duchowy młodzieży akademickiej wileńskiej". „Łukasiński", Tom I, str. 249.

[2]) Rękopiśmienne notaty Franciszka Grzymały w Zbiorach Leona Zienkowicza. Zbiory te znajdują się w posiadaniu prywatnem. Zienkowicz, wybitny działacz emigracyjny, miewał w Paryżu wykłady o literaturze polskiej, a Grzymała poczuwał się do obowiązku dostarczania mu notat, w których najwięcej miejsca zabierała zwykle jego własna, t. j. Grzymały osoba. We wspomnianych notatach Grzymała pisze na wstępie: „Dołączam wiadomość, wyjętą w skróconym sposobie z moich pamiętników". Początek tych pamiętników drukowany był w Sybilli Tułactwa Polskiego. W notach swoich wymienia Grzymała szereg nazwisk Szubrawców, a nie można wątpić, że, sam będąc Szubrawcem, towarzyszów swoich znał dobrze. O sobie powiada, że był „w komitecie redakcyi, bliżej dozorującego nad poprawnością stylu i wyborem przedmiotów..." „W ciągu mego kilkuletniego pobytu w Wilnie, a później w Warszawie, —utrzymuje Grzymała,— napisałem 65 artykułów humorystycznych oryginalnych, bo kodeks zabraniał wszelkich tłómaczeń". Należy tu zaznaczyć, że mimo, iż kodeks tłómaczeń zabraniał, „Wiad. bruk." podawały przedruki z angielskiego „Spectatora", jak to już wykazał Horodyński.

Szubrawców: Jan i Jędrzej Śniadeccy, Ignacy Lachnicki, Ignacy Szydłowski, Teodor Narbut, Bogatko, Józef Żukowski, Michał Baliński, Grodek, Józef Frank, Jakób Szymkiewicz, Leon Borowski, Kontrym, A. Marcinowski, Michał Romer, Kazimierz Strawiński, Podbitpięta, Antoni Gorecki, kasztelan Olizar, Jelski, Jan Rychter, Jan Giecewicz, Wołodźko, Łagiewnicki.

W gronie tem widzimy ludzi wybitnych, pięknie zapisanych na kartach nauki i kultury polskiej, widzimy jednostki, z któremi i Lelewela bliższe łączyły stosunki. On sam jednak nie przystąpił do Szubrawców[1]) a nawet odzywał się o nich w sposób lekceważący. Może miał urazę do „Wiadomości Brukowych" za bardzo złośliwą przeciw niemu wycieczkę, jako jednemu z tych uczonych, co to „małe myśli długiemi słowami rozwodzą", co język polski „germanią"[2]), ale powody lekceważenia tkwiły niewątpliwie głębiej. Uważał, że organowi Towarzystwa brak jest powagi, że przesadzona karykatura, do jakiej uciekali się współpracownicy „Wiadomości Brukowych", szkaluje i czerni „imię narodowe". Jego zmysł historyka nie mógł się pogodzić z jednostronnością krzykliwej satyry. Raziła go „myśl krotofilna" i nieustanne tropienie samych przestępstw. W nieufności swojej do organu Szubrawców posuwał się tak daleko, że wydawców „Wiadomości Brukowych" posądzał nawet o jakieś nieczyste spekulacye pieniężne.[3]) Podstawą takiego posądzenia stać się musiały plotki, krążące o Szubrawcach. Przyznawał przecież Lelewel, że Towarzystwo „uzacnia się" „przybywającemi doń osobami", ale nigdy pogodzić się nie mógł z ową swobodną, niczem niekrępowaną satyrą, z rozgłośnymi wystrzałami rubasznego humoru, z przeraźliwym świstem bicza sarkazmu, słowem, ze sposobami i metodą walki „Wiadomości Brukowych". I Filomaci, prawdopodobnie pod wpływem Lelewela, zajęli wobec Szubrawców stanowisko ostrożne, wstrzemięźliwe.

Jednakże poza oddziaływaniem na młodzież uniwersy-

---

[1]) P. Bieliński w pracy swojej p. t.: „Szubrawcy w Wilnie" mylnie zaliczył Lelewela do członków T-wa.
[2]) Wiadomości Brukowe, Rok 1817, № 14, str. 51.
[3]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 296.

tecką przyczynił się Lelewel do wzmożenia ruchu umysłowego na Litwie i krzewienia tych samych zasad liberalnych, którym hołdowało lekceważone przez niego Towarzystwo Szubrawców. Wkrótce po przybyciu do Wilna zaczął namawiać miejscowego księgarza, Żółkowskiego, do wydawania pisma peryodycznego, w którem obiecywał sobie być „największym motorem". Zamiar doszedł do skutku i już w listopadzie 1815 r. ukazał się pierwszy № „Tygodnika Wileńskiego".[1])

Wychodził podówczas w Wilnie pod opiekuńczemi skrzydłami braci Śniadeckich, a faktyczną redakcyą Kontryma „Dziennik Wileński", będący do pewnego stopnia organem ciała profesorskiego. „Dziennik", poświęcony popularyzowaniu nauki, pomieszczał przemówienia profesorów na posiedzeniach publicznych, drukował uczone rozprawy i oceny najnowszych dzieł, ukazujących się w języku polskim. Sztywnością akademicką wiało od tego czasopisma. Nie mogły sztywności tej zatrzeć ani powieści, ani poezye, ani nawet zagadki i logogryfy, drukowane jednocześnie z długimi wywodami uczonych współpracowników.

W przeciwstawieniu do „Dziennika" „Tygodnik Wileński" powołany do życia zabiegami Lelewela, był pismem rzutkiem, ruchliwem. Aktualniejszy, niż „Dziennik", a daleko spokojniejszy w tonie, niż „Wiadomości Brukowe", drukował (z wyjątkiem rozpraw swojego założyciela) artykuły krótkie, a poświęcone rozmaitym sprawom, interesującym inteligencyę ówczesną. „Tygodnik", w zasadach swoich liberalny, pozwalał na swoich szpaltach wypowiadać się i przeciwnikom, nieraz drukując artykuły, wymierzone przeciw redakcyi. W ten sposób organ Lelewela stał się jak gdyby ruchomem zwierciadłem, odbijającem zmienną taflę tych objawów życia umysłowego, które bez obawy o skutki mogły się w blasku dnia ukazywać. Śród mnóstwa dłuższych i krótszych wierszy, które drukował „Tygodnik", znalazły się i trzy utwory poety, który zwiastować miał niebawem przepyszny wschód słońca poezyi polskiej. Poetą tym był związany węzłami przyjaźni z Lelewelem Adam Mickiewicz. „Tygodnikowi" pierwszemu przypadł w udziale zaszczyt drukowania

---

[1]) Tamże, str. 211.

trzech utworów wieszcza („Zima wiejska", „Żywila" i „Karyla"), a jest prawdopodobieństwo, że utwory te Lelewel zakwalifikował do druku, albo też w drukowaniu ich pośredniczył.[1])

Występ samego Lelewela w № 1 nowego organu nie zjednał uznania autorowi. Zamieszczając w „Tygodniku" początek swoich „Postrzeżeń ze względzie dziejów narodowych polskich" i rozprawiając wiele o mniemanem powinowactwie języków słowiańskich z językiem „samskrdańskim, czyli starożytnym indyjskim", przejęty wywodami swoimi badacz wpadł w taką matnię, że to, co myśl krytyczna starała się rozplątać, gmatwał natychmiast sposób wysłowienia się, miejscami niejasny, miejscami znowu tak ciężki, że czytelnik parokrotnie na duży musi zdobyć się wysiłek, aby ruszyć z miejsca myśl autora i podążyć za nią.

Nie spostrzegł tych ujemnych stron swojej rozprawy Lelewel, ale natychmiast spostrzegli je czytelnicy — i oto z ich grona padł w serce uczonego pocisk krwawego szyderstwa. Jakaś dowcipna niewiasta, ukrywająca się pod pseudonimem Bogumiły Śmieszyńskiej, wystosowała list do redaktora i, chwaląc nie bez sporej dozy ironii zamieszczone w „Tygodniku" artykuły, zaczęła się pastwić nad rozprawą Lelewela.

„Kogóż, — pisała, — nie zachwyca owa to proza jasna, gładka, interesująca, której współpracownicy... W.WPana wszędzie prawie dają przykłady. Tak jeden, rozprawiając o języku samarkandzkim, czy też, Bóg wie, jak inaczej zwanym, dowodzi, że *te myśli możnaby z różnych widoków włóczyć po wschodzie z przydatkiem uwagi przyjaciela, która pewno dla wschodognieźdźców do gustu przypadnie.*[2]) O! bardzo wierzę,—śmiała się pani Śmieszyńska,—że przypadnie, kiedy my nawet, kobiety, nie możemy się jej odczytać. Trudno tylko zgadnąć w całem tem miejscu, czy autor żartuje, czy do prawdy mówi. Ale że dowcipnie, to słowa niema i sam WWPan to przyznasz"[3]).

---

[1]) Do przypuszczenia tego upoważniają następujące słowa Lelewela w liście do Mikołaja Malinowskiego z dnia 27 lutego 1828 r.: „Sądzę, że nikt wcześniej nademnie, czegoś w zdolnościach wyższego w Adamie nie postrzegł". Rękopis w Archiwum Głównem.

[2]) Przytoczone przez Śmieszyńską wyrażenia Lelewela powtórzone są w brzmieniu dosłownem, acz zestawione tendencyjnie.

[3]) Tygodnik Wileński. Rok 1816. № 8, str. 127.

Pocisk był celny i trafił w samo serce: Lelewel jeszcze po upływie dwóch lat z bolesnem pojękiwaniem wspominał bezwzględność szyderstwa pani Śmieszyńskiej.[1]) Nie zniechęcił się jednak do pisania i nie przestał prac swoich drukować, pozostając w dalszym ciągu „największym motorem" i armatą najcięższego kalibru, jaką rozporządzał „Tygodnik". Porzucił jednak redagowanie pisma. Czy nie miał na to czasu, czy nie czuł się powołanym do czynnej roli redaktorskiej, dość, że zaledwie cel został dopięty i „Tygodnik" wcielił się w kształty realne, gdy jego twórca wycofał się z redakcyi, a na stanowisko redaktorskie, bardzo poważne, ale bezpłatne „wysadził jednego z synów obywatelskich, pana sędzica, a magistra filozofii, i ten gorliwie się tem zajmuje".[2])

Nowy redaktor, Michał Baliński[3]) otrzymał od Lelewela wskazówki, a wraz ze wskazówkami moc „rozmaitych materyałów, aby je miał w zapasie, gdyby takowych nie dostarczyli inni"[4]). Po niejakim czasie uczony przestał wglądać w sprawy redakcyjne, ale pod koniec roku 1817 znowu stał się „dobrodziejem" „Tygodnika" i osłaniał go swoją protekcyą. Tutaj zamieścił cały szereg rozpraw i artykułów, jako to: „O potrzebie gruntownej znajomości historyi" i „Jakim ma być historyk". Dwie wspomniane już prace, podobnie jak „Historyka", są to pierwsze w języku polskim roztrząsania filozoficzne w zastosowaniu do historyografii, rozprawy do dnia dzisiejszego cenne i uwagi godne; tutaj pomieścił rozprawę „O potrzebie elementarnych dzieł historycznych", roztrząsał „Śpiewy historyczne" Niemcewicza, prace J. W. Bandtkiego o prawie polskiem, historyę rzymską Goldsmitha; tutaj w szeregu artykułów polemizował z „Pamiętnikiem" Bentkowskiego, przyznawał się do braterstwa ze „Świstkiem" Potockiego, walczył o prawa obywatelstwa dla joty ogoniastej, krytykował *i kuse*, a uczonymi wywodami kopał dołki pod znienawidzonym *ypsylonem;* tutaj stoczył bój z księdzem Kotowskim o jego tablice chronologiczne i porwał się do walki z Akademią Połocką...

---

[1]) Rozmaitości przez J. Lelewela. Poznań 1865. str. 115.
[2]) Listy J. Lelewela, Tom I. str. 240.
[3]) Po Balińskim objął redakcyę Ignacy Szydłowski.
[4]) Przygody w poszukiwaniach, str. 21.

Walkę tę zainicjował Stanisław Potocki, wydrwiwając w swym „Świstku" „akademię smorgońską", pragnącą zgasić ową „okropną oświatę, która coraz bardziej po kraju szerzyć się zaczyna". Zabrali głos w obronie Akademii Połockiej księża. Gościny udzielił „Dziennik Wileński" i w nim bezimienni autorzy, oskarżając Potockiego o tendencye rewolucyjne, starali się odeprzeć uczynione Akademii Połockiej zarzuty. Wtedy to Lelewel na łamach „Tygodnika" życzył „Świstkowi" zdrowia dobrego[1]) i przyznając się do braterstwa z radykalnym „Świstkiem", przewidywał jednakże losy, jakie „oba pisma spotkają w „akademii smorgońskiej".

Poważniejsze ciosy zadał Lelewel Akademii Połockiej w szeregu swych listów do redakcyi. W prospekcie Akademii na rok szkolny 1815/6, wyczytał, „że w kursie historyi powszechnej, fałszywe niektórych zdarzeń przez niedowiarków opisania zbijając, dowiedzionem będzie, iż Zakon Templaryuszów, którzy sami na się zbrodnie szkaradne urzędownie wyznali, sprawiedliwie był zniesiony". Lelewel powiada, że takie oświadczenie wywołało w nim „chętkę być niedowiarkiem".[2]) Idąc za tą chętką, wziął Templaryuszów w obronę i wykazał bezpodstawność twierdzeń, zawartych w prospekcie połockim. W innym z listów swoich zakwestyonował twierdzenie uczonych z Połocka, jakoby Galileuszowi w Rzymie nie zabroniono trzymać się układu Kopernika, to znowu toczył z Jezuitami walkę o spalenie Hussa i narażał się duchowieństwu drukowaniem poglądów swoich na inkwizycyę.

Ta działalność publicystyczna i naukowa na szpaltach „Tygodnika", trwająca dość długo, bo i po wyjeździe z Wilna, naraziła uczonego księżom i wyrobiła mu opinię heretyka.[3])

---

[1]) Wspomniany artykuł p. t.: „Tygodnik Świstkowi Zdrowia dobrego" podpisany jest literą „T", ale o autorstwie Lelewela świadczy język artykułu i przedruk w wydanych w r. 1865 w Poznaniu „Rozmaitościach".

[2]) „Tygodnik Wileński". Rok 1818, str. 352.

[3]) W liście do ojca z d. 13 sierpnia 1818 r., Lelewel, tłómacząc się, dlaczego przedłuża swój pobyt w Wilnie, pisze: „Niektórzy księża pod koniec tego roku chcieli się zająć persukcyą o mnie, ich nieroztropna i niewczesna gorliwość nie mogła owocu wydać, ale w duchu nie ustali czyhać na mnie. Wiedzą oni dobrze, że w dziele mojem znajdzie się wiele rzeczy, z ich zdaniem niezgodnych. Gdybym sam nie był w ciągu

Hałas, przez księży uczyniony, poruszył cenzurę, która zabroniła drukować trzech listów ostatnich.

Tym zakazem zakończyła się działalność Lelewela w „Tygodniku Wileńskim".

Rozpatrując cały dorobek „Tygodnika", trzeba przyznać, że przez powołanie do życia tego organu stworzył Lelewel nową a potrzebną w życiu kulturalnem Litwy placówkę. Jako „największy motor", również spełnił swoje zadanie. Prace jego poruszały opinię, rozbudzały krytycyzm, zmuszały do myślenia, to znowu zwracały uwagę na szereg zagadnień, wprawdzie specyalnych, ale po raz pierwszy roztrząsanych w druku.

„Tygodnik Wileński" nie stworzył epoki, ale w dziejach kultury i prasy polskiej na Litwie zasłużył sobie na wspomnienie chlubne i trwałe.

Więcej wszakże, niż „Tygodnik", odciągały Lelewela od prac i studyów ściśle naukowych wypadki, które w dobie owej stwarzało samo życie. A nie brak było i takich wydarzeń. Należała do nich przedewszystkiem uroczystość żałobna w r. 1817, spowodowana wieścią o śmierci Kościuszki. Obchód żałobny odbył się najpierw w Kownie, następnie w Trokach, Kiejdanach, Wiłkomierzu, Wyłkowysku, a wreszcie i w Wilnie. Tutaj zjednoczyły się stany i wyznania. Nabożeństwa żałobne odbyły się w kościołach katolickim i luterskim, w synagodze, a nawet w meczecie. Podniosły i uroczysty nastrój zapanował w mieście. Dnia 1 grudnia mieszczanie wileńscy urządzili obchód osobny i przez usta swojego burmistrza, Gieca, przypomnieli o przywiązaniu i uwielbieniu, jakiem Wilno darzyło wszystkich rodaków, co przysporzyli sławy swojej ojczyźnie. Giec z naciskiem podniósł cnoty obywatelskie Kościuszki, wielbiąc jego usposobienie względem ludu i duch obywatelski, który w stosunku do mas włościańskich ożywiał niezapomnianą postać Naczelnika.

W obchodach tych całe miasto wzięło żywy udział, tylko uniwersytet nie wystąpił oficyalnie. Oburzony tem do głębi Le-

---

druku, mogliby chwycić i, za heretyckie okrzyczawszy, spokojność druku zamieszać, obecność moja utrzyma ich w respekcie, a po wyjściu z druku przed prawdą umilknąć muszą". Listy J. Lelewela. Tom I. str. 326/7. W liście tym ma Lelewel na myśli swoje „Badania starożytności we względzie geografii".

lewel, pisał do matki: „Uniwersytet nasz w części nie chce, w części obawia pokazać się polskim, gdybym był na wyższym stopniu, rozproszyłyby się obawy”.[1])

Tak przemówiła przez Lelewela godność, a niewątpliwie była ona wyrazem ogółu młodzieży akademickiej.

Wkrótce po tych obchodach zaszedł inny wypadek, który znowu poruszył całe miasto. Obchody ku czci Kościuszki mogły nasunąć przypuszczenie, że idee Naczelnika żyją w sercach wszystkich jego współobywateli i przy pierwszej okazyi nie omieszkają się uzewnętrznić. Okazya nadarzyła się niebawem, ale rzeczywistość zadała kłam przypuszczeniu. Właśnie w tym samym czasie wysuwała się na porządek dzienny kwestya uwolnienia chłopów od poddaństwa. W końcu grudnia miał rozpocząć w Wilnie obrady sejmik gubernji wileńskiej. Trzy powiaty dały swym posłom polecenie, aby przemawiali za uwolnieniem włościan. Zawisza i Mirscy idee te najżywiej reprezentowali. Ale idea miała i przeciwników. Arystokraci, jak informuje Lelewel, zmobilizowali możniejszych partyzantów i na ich czoło wysunęli niejakiego Paszkowskiego. Publiczność z napięciem oczekiwała dnia rozpoczęcia obrad. Lecz zaledwie sejmik przystąpił do swoich czynności, gdy zaszedł drobny i nieznaczny wypadek, w następstwach swoich nieprzewidzianie poważny. Oto Paszkowskiemu przypięto na plecach rysunek, wyobrażający szubienicę. Wrzawa i śmiechy rozległy się w sali obrad i donośnem echem odezwały się w mieście. Cieszyli się i hałasowali Szubrawcy. Tymczasem, z polecenia ks. Lubeckiego, wicegubernator Plater opieczętował salę obrad i zmobilizował policyę. Całą noc chodziły po pustych ulicach patrole. Obywatele byli w najwyższym stopniu oburzeni na Platera. Uląkł się tego oburzenia Plater i postanowił otworzyć salę obrad. Tymczasem sejmik odbywał się dalej w prywatnem mieszkaniu, ale mimo nieugiętego stanowiska Zawiszy i Mirskich, którzy oparli się nawet osobistej interwencyi Lubeckiego i sprawy za nic odstąpić nie chcieli, obrady nie doprowadziły do pożądanego rezultatu. Ci, co byli za uwolnieniem od poddaństwa włościan, tyle zaledwie dokonać mogli, że wybrany został komitet, który miał zwrócić się

---

[1]) Listy J. Lelewela. Tom I, str. 290 — 1.

do Aleksandra I z memoryałem, proszącym go o polepszenie doli włościan na Litwie.[1])

Lelewel, wspominając o tym sejmiku, z goryczą pisał o bogaczach, Pusłowskim i Umiastowskim, jako o przeciwnikach idei wyzwolenia włościan, ale z wielkim żalem odzywał się i o tych, co sprawy nie umieli postawić poważnie, lecz rozpocząwszy ją po sowizdrzalsku, po sowizdrzalsku zachowywali się przez cały czas obrad...

Wypadki wileńskie nie odrywały uwagi Lelewela od ważniejszych wydarzeń w Królestwie. Pilnie śledził przebieg działalności Sejmu w r. 1818, a sprawa małżeństw i rozwodów, którą w kilkanaście lat później miał, jako poseł, poruszyć, już teraz interesowała go bardzo. „Odrzucona rzecz co do małżeństw, ze śmiesznymi w senacie konceptami popierana — pisał do Prota — musiała być odrzuconą, kiedy nie była, jakby należało, ewangelicznemi i historycznemi prawdami podpartą"[2]).

Żywość umysłu, interesującego się wszystkiem, nie przeszkadzała Lelewelowi w pracy naukowej.

Kończył teraz w Wilnie druk swej kapitalnej, a już od lat sześciu zakończonej pracy[3]) p. t. „Badania starożytności we względzie geografii".

St. Warnka, który ocenił zasługi Lelewela na polu geografii, utrzymuje, że dziełem tym autor nie tylko stanął narówni z najwybitniejszymi uczonymi zagranicą, jak Blair, Gosselin, Mannert, Rennel, Uckert, ale w wielu wypadkach przewyższył ich ogromem erudycyi i rozległością poglądu na całokształt wiedzy geograficznej w starożytności.

Prof. Grodek w ten sposób ocenił pracę Lelewela:

„Ten młody człowiek dokonał czegoś, może odpocząć i chociażby już nic więcej nie napisał, to to wystarczy".

Było to dzieło w swoim rodzaju jedyne: „nikt przed Lelewelem ani po Lelewelu nie pokusił się o odtworzenie kartograficzne systemów geograficznych wszystkich znakomitszych pisarzy starożytnych". Dzieło uzupełnione było mapami, które

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 296. 297. Por.: Piotr Chmielowski: Adam Mickiewicz I. Warsz. 1898, str. 91 2.

[2]) Tamże, str. 319.

[3]) Przygody w poszukiwaniach, str. 21.

autor własnoręcznie rysował i rytował, stając i pod tym względem na wysokości zadania. „Badania starożytności" zdobyły z czasem Lelewelowi niemały rozgłos w świecie naukowym zagranicą. Z najwyższem uznaniem pisał o nich Ritter, uważany za reformatora nauki geografii, z pochwałami pisali i inni, a jeden z największych ówczesnych potentatów naukowych, sam Humboldt, schylił czoło przed wiedzą uczonego Polaka.[1])

A obok tej pracy wyszła w Wilnie z pod prasy i inna, również imponująca zarówno rozmiarami, jak obszarem wiedzy. Były to „Dzieje starożytne", zaofiarowane przez „Mazura Ziomkom Litwinom", a wypełniające dotkliwą lukę w piśmiennictwie naszem. Pracował też Lelewel w Wilnie nad dziejami historyi oraz literaturą historyi, a i to dzieło, jak z jego listów wnosić można, było już wtedy gotowe do druku.

Jednocześnie myślał uczony o wydawnictwie dzieł elementarnych z zakresu historyi, których brak szczególniej słuchaczom jego dawał się we znaki. W sprawie tej zamieścił artykuł w „Tygodniku Wileńskim", nadto poruszał ją w swojej korespondencyi do przyjaciół.

„Życzenia WPana Dobrodzieja, — pisał w r. 1817, jak się zdaje, do Onacewicza, — przerobienia historyj elementarnych są życzeniem powszechnem i również mojem. Narzekają słuchacze, że im trudno zapominać dawne rzeczy, a do nowych widoków przywykać, stąd i niewielu ochotników do egzaminu.. W tym roku zaledwie 17 do egzaminu stających liczę. I radbym tu co zjednać, żeby lepsze do użycia księgi się zjawiły. Wszakże nie mnie samemu nad tem siedzieć. Po wielkiej części, — i tu Lelewel bije się w piersi,— „sprawiedliwe są narzekania na styl mój przyciemny, co się z elementarnością pojednać nie może. Powtóre, chociażby mi się najlepiej przypadkiem jakim udało podobne książki przygotować, niechybnieby gadaniny było wiele, że moje płody chcę narzucać"[2]).

Brak podręczników i trudności, jakie z tego powodu pokonywać musiał Lelewel wraz ze swoimi uczniami, nie miały

---

[1]) St. Warnka: „Joachima Lelewela zasługi na polu geografii". Poznań 1878, str. 23 — 25.

[2]) List z d. 25 lutego 1817 r. Rks. w Archiwum Głównem.

wpływu na powodzenie jego wykładów. Cieszyły się one w dalszym ciągu uznaniem, a dobra wola nauczyciela i uczniów pokonywała trudności. Śród młodzieży rosło zamiłowanie do historyi, a najlepszym tego dowodem jest fakt, że liczba studentów, którzy w roku 1818 stanęli do egzaminu, z 17 podniosła się do 45.

„Dnia onegdajszego, — pisał Lelewel w lutym 1818 r. do ojca, — ukończył się z mego kursu egzamen, miałem w tym roku 45 ochotników... między którymi było 4 księży”[1]).

Jednocześnie ze wzrostem zamiłowania do historyi, rosło śród młodzieży i zaufanie do Lelewela, wzmacniały się między uczniami a nauczycielem złote nici przyjaźni i braterstwa; poufne ich rozmowy głębszego nabierały znaczenia i mocniejszej wymowy: serca uderzały szybciej, a przed rozmarzonemi oczyma nieraz stawać musiała przyszłość promienna i jasna. Ku światłu tej przyszłości wyciągały się z tęsknotą ramiona młodzieży, światło to w noc zawiedzionych nadziei było jej gwiazdą przewodnią i z duszy zbiorowej najszlachetniejsze dobywało porywy. Lelewel całem sercem łączył się z uczuciami swoich młodszych przyjaciół i na tem polega ów czar, jaki bije od ich wzajemnego stosunku. W czasie dwukrotnego pobytu Lelewela w Wilnie ogromna rzesza szukała u niego rady, pomocy i światła, a śród tej rzeszy było wielu takich, których dalsze drogi łączyły się lub krzyżowały z drogami ukochanego nauczyciela. Był w tej rzeszy zupełnie jeszcze nieznany a później najgłośniejszy z pomiędzy wszystkich, wieszcz narodowy, Adam Mickiewicz, byli inni Filomaci: Zan, Czeczot, Jeżowski, Pietraszkiewicz, Malewski, Domejko, był Leonard Chodźko, jedna z dusz najwierniejszych, w doli i niedoli szczerze swojemu przyjacielowi oddana, byli Michał Podczaszyński, Eustachy Januszkiewicz, Franciszek Grzymała, Waleryan Pietkiewicz, późniejsi współuczestnicy wygnania, był Gałęzowski, co swe nazwisko miał związać nieodłącznie z ostatniemi chwilami życia wielkiego dziejopisa, byli jego późniejsi obrońcy, jak wierny Lew Sawaszkiewicz i Ordyniec, jego późniejsi nieprzyjaciele, byli głośni później uczeni, działacze, żołnierze, współtwórcy i współucze-

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 299.

stnicy wypadków dziejowych, co ich przewodnika i profesora wynieść miały w kilkanaście lat później na jedno z miejsc najwidoczniejszych, na czoło ruchu, który w dobie owej był jeszcze odległem marzeniem.

Jeżeli stosunki z młodzieżą dawały Lelewelowi zadowolenie moralne, to same wykłady nie miały dla niego uroku. Lelewel był przedewszystkiem uczonym. Od lat chłopięcych ciągnął go nieprzeparcie ku sobie zawód pisarski, a w wieku późniejszym największą jego ambicyą było wzbogacenie piśmiennictwa polskiego dziełami naukowemi. W tem było jego powołanie, które sam najlepiej oceniał i rozumiał. Nawet zawód nauczycielski wybrał dlatego, że w tym zawodzie widział otwarte pole dla pracy naukowej. Wszystko, co go na czas dłuższy od pracy tej odrywało, wszystko, co nie było nauką, leżało już poza obrębem jego wielkiej ambicyi. ,,Przykra jest ta pedagogicka praca'', skarżył się w jednym ze swoich listów. Miał jednak wysoko rozwinięte poczucie obowiązku względem własnego społeczeństwa i kraju. Więc niósł ochoczo ciężar przykrej pracy pedagogicznej, nietylko dlatego, że obowiązek ułatwiał mu studya naukowe, ale i dlatego, że ożywiała go ,,chęć usługi publicznej'', że w jego głębokiem przekonaniu niesłychanie ważną, a ,,tak narodowi naszemu potrzebną znajomość historyi'' mógł rozszerzać i dźwigać na wyższy poziom rozwoju.

,,Szczęście, — twierdził Lelewel, — znaleźć można w ciągłej rozrywce, to jest: zatrudnieniu i pracy, której społeczne życie wymaga, ale tak, żeby mogła być ochoczo dopełniona, bez uciążenia sobie i przyniosła satysfakcyę''.[1])

Znalazł takie szczęście w Wilnie.

Miał ochoczo pełnione zatrudnienie i ciągłą pracę, miał wkoło siebie gorące i życzliwe serca, miał spokój, ów niezbędny przy zatrudnieniach naukowych warunek. ,,Jedno tylko prześladowanie polityczne mogłoby mnie dotknąć'', — pisał, mając oczywiście na myśli stosunki swoje ze spiskującą młodzieżą. Ale i prześladowania nic narazie nie zapowiadało. Mógł więc uważać się za szczęśliwego. Bo jeśli nawet jasne niebo jego szczęścia zasnuwało się czasem chmurami, to chmury były przelotne, mijające szybko.

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 259 i 308.

Zaszły jednak wypadki, które na czas dłuższy rozłączyć miały Lelewela z Wilnem.

Powoływany do życia uniwersytet w Warszawie natchnął Wincentego Bandtkiego myślą sprowadzenia swego przyjaciela do stolicy Królestwa. Bandtkie myślał o katedrze historyi dla Lelewela. Propozycya była nęcąca, tembardziej, że młody uczony miał powody do niezadowolenia z pozycyi swojej w uczelni wileńskiej. Powołany do Wilna, jako zastępca profesora, trzeci rok pozostawał w tym charakterze, aczkolwiek wykłady jego zdobyły takie powodzenie, jakiem żaden lub mało który ze zwyczajnych profesorów mógł się pochwalić. Ale ani to powodzenie, ani widoczne korzyści, odnoszone przez licznych słuchaczów, nie zachęciły władz uniwersyteckich do pozyskania młodego uczonego na stałe. Nie mianowano go nawet profesorem nadzwyczajnym, nie doceniano bowiem jego owocnej i doniosłej pracy. Czuł to Lelewel. Ale nie umiał zabiegać o swoje interesy, nie umiał się kłaniać i nadskakiwać, nie posiadał „sztuki życia", która i w stosunkach uniwersyteckich ważną odgrywała rolę. Był idealistą, a kark miał nieugięty. Obowiązki profesorskie pełnił istotnie z pobudek idealnych, o korzyści nie dbał, a liczne listy do rodziny wymownym są tego dowodem. „Tworzenie sobie sposobu życia z obowiązku — zapewniał — uczyniłoby ten obowiązek „najnieznośniejszym... dla mnie". A zapewnieniu temu wierzyć można nie tylko dlatego, że się powtarza kilkakrotnie, ale i dlatego, że postępowanie Lelewela potwierdza je najzupełniej. „Uniwersytet nie doczeka się, żebym jemu lub jakim z jego członków propozycye piśmienne lub ustne w tej mierze (t.j. w sprawie profesury) czynił"[1]). I rzeczywiście, nic w tej mierze nie czynił, jeżeli pominąć najlepszą rekomendacyę na profesora: wykłady. Nie starał się o niczyje względy. Miał śmiałość być sobą. Złożył tego dowody już za czasów studenckich w stosunku do Śniadeckiego, później w obcowaniu z Czackim, a później jeszcze w korespondencyi z Czartoryskim, któremu choć nieznany a pozbawiony posady i niewidzący przed sobą przyszłości młodzieniec, przeciwstawiał swoje własne, niepodległe zdanie. Już wtedy widocznem było, że list kuratora, acz tchnący życzliwo-

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 259.

ścią, ale zarazem nieco protekcyonalny, obudził w Lelewelu niechęć.

Niechęć ta miała z biegiem czasu wzrastać.

W Czerwu 1817 r. ks. Czartoryski wizytował uniwersytet wileński, a podczas pobytu swego w Wilnie rozmawiał z Lelewelem. Nieznane są wszystkie szczegóły tej rozmowy, ale wiadomo, że kurator czynił Lelewelowi uwagi,[1]) że przedmiotem tych uwag była historya, i, że w mniemaniu młodego uczonego, Czartoryski miał opaczne o historyi wyobrażenie.[2]) Wiadomo jeszcze, że Lelewel głęboko był temi uwagami dotknięty.

„Ni fortuny, ni honorów nie szukam, — odpowiedział księciu, — jeślim nauce użyteczny, to dobrze; jeślim nieusposobiony, niezdatny, może uniwersytet wyrzec, żem niepotrzebny, ustąpię”[3]).

Odpowiedź ta, zacytowana przez Lelewela po upływie lat czterdziestu, nie była zapewne wypowiedziana w formie tak surowej i ostrej, ale niema najmniejszego powodu do powątpiewania, że sens odpowiedzi był taki, jaki właśnie podaje Lelewel. Nie przypuszczał Czartoryski, że poruszył strunę niesłychanie drażliwą i że od tej chwili struna ta w stosunku do niego coraz rozgłośniej odzywać się będzie. Trudno dziwić się kuratorowi, że z młodym profesorem dzielił się swemi uwagami, trudno przecież nie uznać, że już w owym czasie nie było w Polsce uczonego, któryby w zakresie historyi miał prawo pouczać Lelewela. Trzeba jeszcze zważyć, że w charakterze Lelewela nie było nic mentorskiego. Niezliczonym swoim uczniom nigdy nie dawał odczuć swojej przewagi i nigdy zresztą, w stosunku do niższych, nie korzystał z przywilejów hierarchii. Tem bardziej bolały go uwagi w gruncie rzeczy życzliwego mu kuratora, tem bardziej był dotknięty, że jego praca owocna nie jest doceniana. Bo też Czartoryski istotnie nie doceniał zasług młodego uczonego. Z górą w rok po owej rozmowie pisał do Malewskiego, *że spodziewa się* po Lelewelu „profesora dla uniwersytetu prawdzi-

---

[1]) J. Kallenbach: „Kuratorya Wileńska”. Bibl. Warsz. R. 1904, str. 428. List Czartoryskiego do rektora: „Te same uwagi, które mu (Lelewelowi) zrobiłem w Wilnie” i t. d.

[2]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 319.

[3]) Przygody w poszukiwaniach, str. 24.

wie pożytecznego", z czego wynika, że w r. 1817 nie oceniał doniosłości wykładów Lelewela, że wtedy, kiedy Lelewel, acz tylko „zastępca", był już jedną z najpoważniejszych sił uniwersytetu, Czartoryski widział w nim dopiero materyał na prawdziwie pożyteczną siłę profesorską.

Kiedy rektor Malewski, wiedząc, że Lelewel myśli o przeniesieniu się do Warszawy, napisał o tem do kuratora, ten proponował, aby Malewski podał młodego uczonego na adjunkta uniwersytetu, a następnie wyraził życzenie, aby Lelewel „mógł na parę lat pojechać za granicę". Po trzech latach mozolnej a pięknej i owocnej pracy na katedrze należało mu się coś więcej, niźli adjunktostwo i propozycya wyjazdu. To też odpowiedź Czartoryskiego niejednokrotnie z goryczą wspominał później znakomity dziejopis.

Ale nietylko stanowisko kuratora skłoniło go do porzucenia Wilna, przyczyniła się do tego głównie obojętność decydujących władz uniwersyteckich, które w milczeniu przyjęły wiadomość o propozycyi, czynionej Lelewelowi.[1]) Nikt się nie odezwał, aby go w Wilnie zatrzymać.[2])

Więc aczkolwiek katedra w uniwersytecie warszawskim, o której myślał Bandtkie, nie została Lelewelowi przyznana, aczkolwiek w Warszawie proponowano mu posadę bibliotekarza i wykłady bibliografii, o których myślał z przykrością, aczkolwiek i na to stanowisko powoływano go z widoczną niechęcią, bo dlatego tylko, że inni kandydaci na propozycyę odpowiedzieli odmownie, — Lelewel przyjął uciążliwe warunki uniwersytetu warszawskiego i pożegnał się z Wilnem.

Na opróżnioną po Lelewelu katedrę powołano Ignacego Onacewicza. O przyczynach swego wyjazdu z Wilna tak pisał później Lelewel do swego następcy:

„Nigdy mnie o tytuł nie szło, ani o profesorstwo, ani o adjunktostwo... Nie tytuły, nie przychody mogły mnie zatrzymać, od czego nie byłbym, ale dobre słowo, którego oczekiwać nie mogłem". Propozycye Czartoryskiego ostatecznie przepeł-

---

[1]) J. Kallenbach: „Kurat. Wileńska". Bibl. Warsz., str. 429.
[2]) Przygody w poszukiwaniach, str. 25.

niły czarę goryczy. Adjunktostwo i wojaż, nakładający nowe a uciążliwe względem uniwersytetu zobowiązania, nie mogły już zmienić powziętej przez Lelewela decyzyi. „...Dzięki J. O. Księciu, — pisał w tymże liście nie bez goryczy, — że jeszcze mnie osądził za zdolnego do usposobienia się być pożytecznym... wyznam szczerze, że propozycye te były nieco obrażające mnie..."[1])

Innym razem, z górą w rok później, powracając do tej samej sprawy, pisał:

„Byłem w Wilnie zastępcą i byłem z tego kontent i spokojny sobie. Gdyby był uniwersytet słówko ze swej strony przemówił, byłbym pewnie przy zastępstwie (nie przy kuratorskiem adjunktostwie) pozostał; pozostał spokojnie i do tego momentu. Wzgardzony od uniw[ersytetu] wil[eńskiego , usunąłem się za zdarzoną okazyą..."[2])

Istotnie został wzgardzony. Nie tylko nie mianowano go profesorem, choćby nadzwyczajnym, nie tylko nie czyniono wysiłków, aby go zatrzymać, ale pożałowano mu nawet „dobrego słowa". Najwidoczniej w sferach decydujących przeważała podówczas opinia kuratora, a Lelewel nie czynił nic, aby tę opinię dla siebie pozyskać. Był ambitny, uparty, drażliwy, a nadto zdanie swoje wypowiadał śmiało. Był, według własnego określenia, „niespokojnym i kłótliwym człowiekiem". Był wreszcie tylko „zastępcą", a powodzeniem na katedrze zakasował wszystkich profesorów. Młodzież żadnego z nich nie darzyła takim szacunkiem i taką miłością, jak właśnie tego, który sam się nazwał „niespokojnym i kłótliwym człowiekiem". Tymczasem w gremium profesorskiem nie brak było próżnych a pysznych intrygantów. W takich okolicznościach łatwo Lelewel wytworzył dla siebie atmosferę niechęci. Jakżeż mógł oczekiwać, że z takiej atmosfery padnie ku niemu ciepłe i życzliwe słowo?!...

Trzyletni z górą pobyt swój w Wilnie zakończył Lelewel wydrukowaniem kapitalnych „Badań starożytności" i „Dziejów powszechnych". Druk tych dzieł sprawił, że jeszcze wakacye 1818 r. spędził w Wilnie i dopiero, gdy druk ukończono,

---

[1]) List z d. 2. VI. 1819 roku. Rks w Archiwum Głównem w Warszawie.
[2]) List. z d. 23.XII 1820 r. Rks w Bibl. Ord. hr. Krasińskich.

wyruszył do Warszawy.[1]) Wyjeżdżał z Wilna „wzgardzony", wywoził głęboki żal do Czartoryskiego i władz uniwersyteckich.

Mógł się przecież pocieszyć, że działalność jego i na katedrze i poza katedrą nie minęła bez śladu.

Pozostawiał za sobą własny swój pomnik, wzniesiony w wiernych sercach młodzieży.

---

[3]) Według Pamiętników Prota Lelewela, przyjechał Joachim do Warszawy w początkach września 1818 r. Według tychże pamiętników, bawił w Warszawie i w sierpniu 1817 roku.

VI.

BIBLIOTEKARSTWO.

Lelewel zniechęcony wyjeżdżał z Wilna i z niechęcią myślał o czekającem go w Warszawie zajęciu. W Bibliotece Publicznej nie zajął stanowiska naczelnego. Miał zwierzchnika w osobie Samuela Bogumiła Lindego, który od marca 1818 r. mianowany został jeneralnym dyrektorem Biblioteki i przyłączonych do niej gabinetów. Minister Potocki gorąco pragnął widzieć Lindego na stanowisku rektora uniwersytetu, gdy jednak wybrano księdza Szweykowskiego, Potocki nową nominacyą, uzyskaną u namiestnika Zajączka, starał się wynagrodzić Lindemu doznany zawód. Niezapomniany autor „Słownika języka polskiego" cieszył się wielką sławą i wielkiem poważaniem niejednej znakomitości ówczesnej. Miał poparcie i całkowite zaufanie ministra Potockiego, książę Czartoryski listy do Lindego podpisywał, jako „szczerze życzliwy brat i sługa uniżony" [1]), a świat uczony warszawski widział w dyrektorze Biblioteki wielką powagę naukową. W blaskach sławy takiej znakomitości Lelewel na skromnej swojej posadzie nie mógł zwrócić na siebie uwagi szerszego ogółu, ani też odegrać wybitniejszej roli w ruchu umysłowym Warszawy.

Zajęcia w Bibliotece miał bardzo dużo, bo księgozbiór, dzięki licznym darom i zwożonym do Warszawy bibliotekom

---

[1]) Rks w Bibl. Jagiell. № 3468.

poklasztornym, rósł nieustannie, siły zaś do uporządkowania biblioteki były niewystarczające. Lelewel jeszcze w Wilnie wyjednał sobie zwolnienie od wykładów bibliografii w pierwszym roku zajęć bibliotekarskich, mimo to długi czas skarżył się na nadmiar roboty. Zaczął żałować Wilna, które w miarę tego, jak zacierały się w pamięci doznane tam zawody, stawało się sercu uczonego coraz milsze i coraz droższe. Interesował się wszystkiem, co dzieje się w ukochanem mieście, i następcę swojego, Onacewicza, zasypywał pytaniami.

,,Chciej mi donieść o sobie, jak mu pobyt w Wilnie prosperuje. Tem więcej mnie to interesuje, że znam osoby i miejsca... Zatrudnienia teraźniejsze moje z natury swojej dla umysłu są wielkim wypoczynkiem. Tak atoli rozrywają i czas mi marnują, że z wielką nawet trudnością mi przychodzi przyjacielskim sercom przypomnieć się listownie''...[1])

Narzekania na bibliotekarstwo z biegiem czasu rosły. Pod koniec tegoż roku Lelewel ubolewał, że ,,tylko co małego wygryzmolić może''... ,,Mam tu, — pisał z widocznym żalem, — ogromne zapasy historyczne, statystyczne, ale mi zostaje patrzeć na nie, a nie użyć. Głupstwom zrobił, żem się w blibliotekarstwo wplątał, rzecz już nieodrobiona, trzeba puścić się albo na leniwe kroki, albo na próżniactwo''[2]).

Oczywiście, ani próżniactwo, ani lenistwo nie groziło Lelewelowi, a zajęcie w Bibliotece, na które tak gorąco wyrzekał, pozwoliło mu na opracowanie kapitalnego dzieła p. t.: ,,Bibliograficznych ksiąg dwoje''[3]). Dziełem tem wzniósł Lelewel pomnik bibliografii polskiej, dał jaszcze jeden wymowny dowód swojej niezwykłej pracy i wszechstronności. Dzieło to poza cennemi uwagami na temat bibliotekarstwa i bibliografii, zawiera mnóstwo wiadomości o inkunabułach, rzadkich książkach, rękopismach, obejmuje dzieje drukarstwa w Polsce i zdaje sprawę ze stanu Biblioteki Publicznej w Warszawie.

---

[1]) List z d. 27/II 1819 r. Rks w Bibl. Ord. Krasińskich.

[2]) List z d. 1/XII—1819 r. Rks w Bibl. Ord. Krasińskich.

[3]) Tom I ukazał się dopiero w r. 1823, tom II w trzy lata później. Dzieło to uzupełnione zostało w r. 1828 ,,Dziejami powszechnemi bibliotek''. Z uznaniem o dziele tem mówią współcześni specyaliści w dziedzinie bibliografii: Estreicher i dr. Z. Celichowski.

Jeśli J. S. Bandtkie i Bentkowski dali początek bibliografii polskiej, to Lelewel zbudował jej potężny fundament i stał się pierwszym bibliografem polskim w wielkim stylu.

Rok pierwszy pobytu w Warszawie upłynął na porządkowaniu książek i uzupełnianiu katalogów, w roku następnym należało stosownie do umowy rozpocząć w uniwersytecie wykłady, ale nawał zajęć bibliotecznych nie pozwalał na to.

„Tego roku,—pisał Lelewel 4 marca 1820 r. do J. S. Bandtkiego,—wysoka oświecona komisya... raczyła mnie bibliotekarza od wykładania bibliografii uwolnić. Długom się wahał, czy przyjąć ten zakaz, czy nie? Istotnie nawał zatrudnień kazał korzystać i użyć zimowych wakacyi, kiedy letnie są nie wolne. Wszakże już półtora roku minęło, jak jestem w Warszawie, a jeszczem się za rogatki nie wychylił. Wszakże Linde jest zdania, że i w następne lata bibliografia jest niepotrzebna: oświadczyłem mu jednakże: na rok przyszły nie może być, żebym nie miał bibliografii albo *czegokolwiek* dawać. Nie wiem, jak się to złoży. Tymczasem jestem w łapach u dyrektora. Przedsięwziął on w sekrecie tłómaczenie na niemieckie tego, co Ossoliński o Kadłubku napisał i tym podobnych rzeczy. Włożył na mnie obowiązek, żebym to czytał z pilnością i uwagi udzielił. I inne różne obligi na mnie naładował, którym trudno odmówić, bo to będzie z pożytkiem dla nas wszystkich”.[1])

Z listów Lelewela, pisanych w owym okresie, dwie troski stale są widoczne. Uczony obawiał się nieustannie, że zajęcie biblioteczne nie pozwoli na wykłady, które bądź co bądź znajdowały się w sferze jego ambicyi, ale co ważniejsza, sparaliżuje twórczość pisarską, która była jego ulubioną dziedziną i istotnym jego żywiołem. W dodatku zajęcie dotychczasowe związane było z ciągłymi kłopotami. Lelewel uskarżał się na pomocników i sarkał na swojego zwierzchnika, Lindego. Nadto martwił się, że praca nad katalogowaniem książek postępuje zbyt wolno i zbyt niedokładnie.

„W bibliotece, — pisał do J. S. Bandtkiego, — kłopotu zawsze jest wiele i przykrego kłopotu odnawia się niemało. Do

---

[1]) Rks w Bibl. Jagiellońskiej, № 1874.

spisywania ksiąg na kartki niema ludzi. Jest oprócz mnie i całego jednego do posługi frotera(?) [1]) jest w bibliotece personaliów pięć, z tych będzie dwie do użycia. Piękne pokładałem nadzieje na Dzwonkowskim, który się chwalił, że pracował w bibliotece krakowskiej. Haniebny zawód! Nie, żeby nie mógł, ale nygus. Dowiedział się o guście pana Linde, żeby, ile można, tytuły skracać, wysadza się na to, że śladu tytułów nie zostawuje" [2]).

Tak to wyrzekał Lelewel na swoje zajęcie bibliotekarskie, a wyrzekał tem mocniej, że wogóle na gruncie warszawskim nie czuł się dobrze. Z uniwersytetem warszawskim w luźnym pozostawał związku, a w świecie uczonym nie cieszył się sympatyą i uznaniem. Towarzystwo Przyjaciół Nauk patrzyło na niego zukosa. Ani rzetelna wiedza, ani praca, ani głośne powodzenie na katedrze w uniwersytecie wileńskim nie mogły przekonać uczonych warszawskich do tego młodego badacza, który szedł drogą własną, samodzielną, a już w jednej z pierwszych swoich rozpraw ośmielił się wystąpić przeciw powadze Naruszewicza. Właśnie z powodu tej rozprawy już w r. 1808 na jednem z posiedzeń Towarzystwa mówiono po raz pierwszy o Lelewelu i, oczywiście, mówiono nieprzychylnie. Wiemy już, że w trzy lata później na wniosek Bergonzoniego i Staszica młody uczony został przyjęty na członka sposobiącego się. Jeszcze w dwa lata potem, bo w styczniu 1813 r., miano czytać na posiedzeniu Towarzystwa rozprawę o „Handlu Kartagów z Grekami". A stało się to przed wyborami na członków Towarzystwa, można więc było oczekiwać, że rozprawa ta utoruje Lelewelowi drogę do członkostwa. Z humorem o tem zdarzeniu opowiada znakomity uczony.

„Wydarzyło się z porządku, trzeba było 1813-go (roku) towarzystwu mieć posiedzenie publiczne. Napaść tedy na mnie",—powiada Lelewel i w następującym, bardzo charakterystycznym dyalogu powtarza całą rozmowę:

— Będziesz czytał.

— Kiedym nie osłem [3]).

---

[1]) Słowo nieczytelne.
[2]) List z d. 15/XII—1820 r. Rks w Bibl. Jag. № 1874.
[3]) Oczywiście, jest to ironia. Osioł ma tu oznaczać członka T-wa.

— To nim zostaniesz, elekcye przypadają przed posiedzeniem publicznem, daj tylko swą rozprawę wprzód dla formalności, na jaką po elekcyi czasu braknie.

— Będziecie mieli zawód, — odpieram.

— Jaki?

— Rozprawa jest, a członka nie będzie.

— Jakże? Masz u nas tyle zasług, podają cię nasze dostojniki, Bergonzoni, Woronicz...

— Zobaczem! Macie pismo o merkantilnej Kartagów politice"[1]).

Rozprawę do czytania przyjęto, ale gdy przyszło posiedzenie, okazało się, iż deputatów, mających ocenić rozprawę— niema. Odłożono tedy czytanie do następnego posiedzenia, co „było jedynie grzeczną formą odrzucenia pracy Lelewela, bez motywów"[2]). Następnie obecni przystąpili do głosowania. Śród kandydatów, podanych na członków Towarzystwa, znajdowali się obok Lelewela Karol Glotz, ks. Szymon Bielski, ks. Szweykowski, dr. Kausch i Feliks Bentkowski. Przyjęto wszystkich z wyjątkiem... Lelewela. W r. 1815 znowu na porządku dziennym znalazła się jego kandydatura, ale i tym razem nie zdecydowano się przyjąć go w charakterze członka czynnego.

Tę jaskrawą niechęć Towarzystwa do znakomitego historyka możnaby usprawiedliwić tem, że Lelewel do r. 1815 ważniejszych prac swoich nie ogłosił drukiem, a niewielkie rozprawy nie pozwalały się zoryentować, jak poważną w nauce reprezentuje siłę. Ale po powrocie z Wilna miał już za sobą poważny dorobek piśmienniczy, powiększony wkrótce po przybyciu do Warszawy szeregiem prac nowych, a między niemi: „Panowaniem Stanisława Augusta Poniatowskiego". Wszystko to nie rozwiało żywionej do Lelewela niechęci. Nie umiał on zaskarbić sobie sympatyi możnych, o Towarzystwie Przyjaciół Nauk wysokiego wyobrażenia nie miał, a zdania swego nie taił. Musiał mieć wielu niechętnych, skoro w jednym z listów do Onacewicza przestrzega niewymienionego z nazwiska pisa-

---

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 16 i 17.

[2]) Tow. Król. Przyjaciół Nauk przez Al. Kraushara, Tom III, str. 13.

rza, aby „z dobrem sercem swojem ku mnie publicznie nie występował, bo i tym swe dzieło narazi na... nie wiem co”...[1])

Lelewel nie szczędził różnych członków Towarzystwa, o niejednym z tych członków odzywał się zjadliwie, nic dziwnego, że w gronie ich nie cieszył się sympatyą. Niechęć ku niemu rosła i wyraziła się niezwykle jaskrawo: kandydatura Lelewela na członka czynnego, poddana głosowaniu na zebraniu wydziałów Towarzystwa w dniu 6 lutego 1820 r., została odrzucona. Była to niesprawiedliwość krzycząca, niegodna ludzi, mianujących się „przyjaciółmi nauk”, niesprawiedliwość tem większa, że tegoż dnia mianowano członkami czynnymi sześciu innych kandydatów. Wprawdzie między nowymi członkami nie brak było ludzi zasłużonych, ale żaden z nich na polu nauki nie mógł się równać ani mierzyć z Lelewelem.

Ten przykład jest może najlepszą ilustracyą tego, jak dalece młody badacz wyprzedził pojęcia uczonej Warszawy. Wprawdzie jego upór, jego postępowanie, nacechowane samodzielnością, wreszcie lekceważenie gramatyki i posiłkowanie się jotą również narażało go uczonym warszawskim. Ale główną przyczyną wzgardy, okazanej Lelewelowi przez Towarzystwo, był fakt, że w pracach swoich nie szedł utartymi szlakami, lecz po stromych ścieżkach niezwykłego wysiłku piął się na szczyty wiedzy nowożytnej. Własnym rozumem, własnem myśleniem pchał naukę polską na nowe tory i nową erę tworzył w jej dziejach. I w tem zjawisku tkwił niewątpliwie powód, że Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie umiało ocenić Lelewela. To też nic dziwnego, że znakomity uczony, wspominając o tej epoce, z goryczą mówił o swojem osamotnieniu w Warszawie. Cieszył się uznaniem Grodka, a z uczonych młodszych J. S. Bandtkiego w Krakowie i Onacewicza w Wilnie; na miejscu okazywali mu dużo życzliwości J. W. Bandtkie, dziekan na wydziale prawnym uniwersytetu warszawskiego, i Feliks Bentkowski, profesor historyi powszechnej, człowiek, umiejący naginać swoje przekonania do wymagań karyery, względem możnych uległy, względem niższych od

[1]) List z d. 19 V—1821 r. Rks w Arch. Gł. w Warsz.

siebie wyniosły i niedostępny. W Lelewelu musiał widzieć Bentkowski przyszłą powagę naukową, bo darzył go swoją przyjaźnią. Przyjaźń ta wzrosła, gdy skutkiem starań J. S. Bandtkiego uniwersytet krakowski mianował Joachima Lelewela, „męża najuczeńczego" *virum doctissimum* doktorem filozofii[1]). Lelewel opuścił uniwersytet wileński bez stopnia naukowego[2]), nadany tytuł ułatwiał mu dalszą karyerę w uniwersytecie i z natury rzeczy był pięknym protestem przeciw wzgardzie, jakiej doznał uczony w Towarzystwie Przyjaciół Nauk.

Lelewel wywdzięczył się za otrzymany stopień naukowy w ten sposób, że pierwszą wydrukowaną pracę swoją „po otrzymanym honorze" zadedykował Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. Praca ta p. t.: „Dzieje Starożytne Indyi" godna była autora. W dziele swojem zużytkował uczony najnowsze wyniki wiedzy ówczesnej, korzystając szeroko ze swieżych prac Instytutu angielskiego, założonego w Kalkucie dla badań Indyi. Lelewel, opisawszy Indye, ich postać, położenie i płody, język, przemysł, pierwotne pojęcia i sekty religijne, przeszedł do wykazania wpływów, wywieranych przez Indye na Chiny, Japonię, wschód, północ i zachód, wykazując niezwykle treściwie i niezwykle plastycznie znaczenie i rolę, jaką Indye odegrały w dziejach ludzkości. W pracy tej nie brak było ustępów, które mogły podtrzymać opinię heretycką Lelewela. Mówiąc o podobieństwach religijnych Indyi z Zachodem, pisał: „Wyroki boże, próby ognia i wody; pielgrzymki do miejsc świętych, odpusty za modlitwy, za wyrazy święte, za praktyki pobożne i umartwienia, na dni i lata liczone; opętania, egzorcyzmy dały się poznać w Europie, jak były znane w Indyi. Wszakże wiemy, jak się te rzeczy *swoją drogą* w Europie rozwijały"[3]).

Praca ta do dziś dnia jest jedyną temu przedmiotowi w piśmiennictwie polskiem poświęconą, a, zdaniem prof. Kor-

---

[1]) Dyplom ten znajduje się w cennych zbiorach p. Władysława Korotyńskiego.

[2]) Mylne jest mniemanie, jakoby B. wyrobił L-owi dyplom skutkiem starań o katedrę w Wilnie. Świadczy o tem list B. z dn. 18/VI—1820. Rks w Bibl. Jag. № 4170.

[3]) Dzieje starożytne Indyi. Warszawa MDCCCXX, str. 155.

zona, „lepiej niepodobna było zdać sprawy ze stanu owoczesnego wiedzy w tym przedmiocie"[1]).

Lelewel interesował się bardzo wrażeniem, jakie dzieło sprawi.

„Indye,—pisał do Onacewicza 23 grudnia 1819 r.,—w tych dniach drukować poczynam, choćby się masoni i teologowie gniewać mieli. Co czuję, to powiem"[2]). Po wyjściu książki z pod prasy „obligował" Onacewicza, aby o niej „opinie różnych osób zbierał". „Co tam, — dopytywał jeszcze później, — nasi ojcowie, astronomowie, teolodzy o mojej Indyi mówią—nic nie wiem. Czemu kto nie złaje, nie zgani?"...[3]).

Z innych prac, w okresie tym ogłoszonych, na uwagę zasługuje niewielka rozmiarami, ale ważna ze względu na przekonania społeczne autora rozprawa p. t.: „Pielgrzyma w Dobromilu czyli nauk wiejskich rozbiór; z uwagami nad stanem wiejskim w Polsce i ulepszeniem oświaty jego". W rozbiorze tym powiada Lelewel, że „przed wiekami, przed zaprowadzeniem w okolice Wisły chrześcijaństwa był wszystek lud wolny, stan rolniczy równy orężnemu, dopóki podnoszące się kształcenie narodów, wzrastające w Słowiańszczyźnie mocarstwa, jakiem było Polskie, naostatek dojrzewający na Zachodzie stan feudalny... nie wywarły swych skutków na słowiańskie w Królestwie Polskiem narody"...[4])

Pogląd ów miał z czasem znakomity uczony rozwinąć i z owej przedwiekowej wolności całego ludu w Polsce wysnuć daleko sięgające konsekwencye społeczno-polityczne.

Drugą ideą, którą wypowiedział w rozbiorze „Pielgrzyma", a której całe swe życie pozostał wiernym, była oświata ludu; widział w niej uczony dźwignię pomyślności narodowej i troska o szerzenie oświaty nigdy już nie przestała zaprzątać jego umysłu.

W roku uniwersyteckim 1820/1 wykładać miał tylko jedną godzinę bibliografię, a dwie, na wniosek Bentkowskiego, poświęcić wykładom historyi.

---

[1]) T. Korzon. Pogląd na działalność naukową Lelewela, str. 24.
[2]) Rks w Bibliotece Ord. Krasińskich.
[3]) List z d. 2 II—1820 r. Rks w Arch. Głównem.
[4]) Rozbiory dzieł... Poznań 1844, str. 87/8.

„Bentkowski, — pisał do Onacewicza,—z własnej ochoty napędził mnie do dawania w uniwersytecie pewnego oddziału historyi powszechnej. Obrałem sobie dzieje wieku XVI (do) połowy XVII. Bibliografia poszła na ostatni miesiąc przed wakacyami. Nie wiem, jak mi się powiedzie po dwuletnim wypoczynku. Materyałów do przedsięwzięcia jest dosyć. Biegam teraz, żeby ich dosyć do historyi polskiej tego czasu uzyskać, o skutek bardzo się lękam... Mam dawać w tygodniu godzin 3”...[1])

Lelewel słusznie tym razem lękał się o skutek swoich wykładów. Nie przyciągnął bowiem większej liczby słuchaczów i wykłady nie dały mu takiego zadowolenia, jakie miał w Wilnie. Nadto żałować wkrótce zaczął, iż podjął się wykładania tak obszernego okresu historyi, uważając, iż kursu przejść nie zdąży.

„Obrałem, jak wiesz,—donosił Onacewiczowi,—wiek XVI i połowę XVII. Widzę, że trochę zanadto obszerny czas wziąłem, bo dopiero wczora Karola V zdążyłem na tamten świat wyprawić. Słuchaczów niewielu mam, jednego dnia mniej, drugiego dnia więcej... Najregularniejszym uczniem moim jest jeden, nie akademnik, ale wojskowy”...[2])

Liczba słuchaczów spadła wreszcie do trzech.

Względny rozgłos i więcej studentów przyciągnął wykład „Historycznej Paraleli Hiszpanii z Polską w XVI, XVII XVIII w.” Rozgłos ten zawdzięczał zapewne Lelewel nie tyle przedmiotowi, ile aktualności samego tematu. Rewolucya styczniowa 1820 r. w Kadyksie ocaliła konstytucyę kortezów i rozgłośnem echem swojego zwycięstwa napełniła całą Europę. W Polsce od czasów Napoleona Hiszpania, gdzie tyle krwi polskiej przelano, żywo tkwiła w pamięci współczesnych, interesowano się przeto osiągniętem zwycięstwem, a interesowano się tem bardziej, że reakcya i w Królestwie coraz wyżej podnosiła głowę i coraz widoczniej zagrażała swobodom konstytucyjnym.

Pod wpływem tych wypadków powstała „Paralela”.

---

[1]) List z d. 26/IX. Rks w Bibl. Ord. hr. Krasińskich.
[2]) List z d. 23/XII—1820 r. Rks w Bibl. Ord. hr. Krasińskich.

Była to świetna a pełna przenikliwości praca, świadcząca o znakomitem zoryentowaniu się autora w dziejach Hiszpanii na przestrzeni kilku wieków. Bogactwo nagromadzonych w „Paraleli” wiadomości walczy o lepsze z treściwością wręcz fenomenalną. Ktokolwiek i dzisiaj chciałby sobie zdać sprawę z różnic i podobieństw, zachodzących pomiędzy dziejami Polski a Hiszpanii, ten w pracy Lelewela znajdzie przewodnika, który poprowadzi go drogą najkrótszą i najciekawszą[1]). Wykład ten zwrócił na siebie uwagę zwierzchności akademickiej i przestraszył ją śmiałością tematu i szerokością wypowiedzianych poglądów.

Jeśli wykłady historyi nie zdobyły powodzenia, to i bibliografia, temat z natury rzeczy dość suchy dla szerszych kół studenckich, nie mogła przyciągnąć większej liczby słuchaczów.

To też Lelewel, jak widać z korespondencyi jego w owym okresie, coraz bardziej zniechęcał się do stolicy. Wprawdzie pracowitość utrwalała zwolna jego pozycyę w uniwersytecie, w końcu i Towarzystwo Przyjaciół Nauk (r. 1821) przyjęło go ostatecznie jako członka czynnego, ale bądź co bądź stanowisko Lelewela w świecie naukowym Warszawy było podrzędne i nie mogło ugasić ambicyi, która szerszego dla siebie szukała pola. Nadto stosunki polityczne w Królestwie wytwarzały atmosferę coraz cięższą i coraz duszniejszą. Gdy „Gazeta Codzienna”, redagowana przez krewnego Lelewela, Brunona Kicińskiego[2]), wydrukowała artykuł o nadużyciach władz rządowych, namiestnik rozkazał drukarnię „Gazety”

---

[1]) Paralela — powiada Lelewel, — przetłómaczona została na języki francuski, niemiecki, włoski, a podobno i łaciński”. Przekład niemiecki Hieronima Napoleona Bońkowskiego ukazał się w r. 1834 *w Annalen für die Geschichte und Politik*. W r. 1835 wyszedł przekład francuski Erazma Rykaczewskiego w *Revue du Nord*. (Polska, dzieje i rzeczy jej, Tom VIII, str. 472).

[2]) Prot Lelewel opowiada w swych Pamiętnikach, że „w owym czasie wiele osób zbierało się w domu Lelewelów. „Duszą towarzystwa,— pisze,—był Kiciński Pius, który w Austryi nabył tytuł hrabiowski”. Wspomniawszy, że syn jego, Brun pobierał nauki w Kolegium Teresianum w Wiedniu, a później w konwikcie Pijarów w Warszawie, dodaje: „Przesiadywał przy Joachimie, gdy ten był w Warszawie, stąd zawiązały [się] literackie stosunki, stąd urosły zamiary przedsięwzięć jego drukarskich i częste spory z Joachimem. W tym roku (1818) rozpoczął swój zawód pismem peryodycznem „Tygodnik Polski i zagraniczny”. Joa-

opieczętować. Redaktor „Orła Białego" Morawski w obawie przed prześladowaniami musiał opuścić Warszawę i schronić się za granicą. Wolność druku i nietykalność osobista stały się fikcyą, samowola brała górę i codziennie zagrażała obywatelom. Sejm 1820 r., otwarty znamiennem ostrzeżeniem Aleksandra przed duchem liberalizmu zachodnio-europejskiego, odrzucenie przez posłów dwóch ważnych projektów rządowych w sprawie procedury kryminalnej i odpowiedzialności ministrów, wyraźny zatarg przedstawicielstwa z rządem, gniew cesarza, który, zamykając obrady Sejmu, na posłów zrzucił odpowiedzialność za opóźnienie dzieła przywrócenia ojczyzny, wreszcie mnożące się oznaki reakcyi w postaci gwałtów nad spokojnymi mieszkańcami stwarzały coraz cięższe warunki życia.

Joachim w życiu politycznem kraju nie brał w owym czasie żywszego udziału. Interesował się wszystkiem, ale czując się samotnym i „wyosobnionym", stał jakgdyby poza ową walką, którą z rządem toczyło już społeczeństwo. Na obrady sejmowe w r. 1820 patrzył spokojnie, a odzywał się o nich bez sentymentu.

„U nas,—pisał w jednym ze swoich listów, — Sejm, a na nim senatorowie i posłowie bzdurzą nad głupimi Rady Stanu projektami. Czasem nieźle się odzywają, może być, iż wszystkie projekta poodrzucają. W takim razie Sejm zejdzie sobie na niczem. Na żądanie sejmujących cenzura zawieszona dla nich, ale policya potężnie czuwa nad drukarniami i przyrzeczenie na piśmie bierze na to, czego drukować nie mogą"[1]).

Takie wypadki coraz silniej zrażały Lelewela do Warszawy.

I oto w tym czasie uśmiechnęła mu się nadzieja powrotu do Wilna.

W roku akademickim 1820/1 uniwersytet wileński z powodu wakującej katedry historyi powszechnej, zajmowanej czasowo przez Onacewicza, ogłosił konkurs, powołując do niego uczonych. Onacewicz, ubiegający się o tę katedrę, stanął do konkursu, rozprawę swoją przysłał nawet do przejrze-

---

chim chciał, aby nie dodawał: „zagraniczny... Później wraz z Teodorem Morawskim zaczął wydawać Gazetę Codzienną in folio..." (Rks).

[1]) List z d. 26/IX—1820 r. Rks w Bibl. Ord. hr. Krasińskich.

nia Lelewelowi, pytał go, czy się o katedrę historyi ubiegać nie myśli i projektował inną dla przyjaciela katedrę w uniwersytecie wileńskim; w odpowiedzi na to Lelewel wywzajemniał się swoimi projektami, początkowo żartował, wreszcie seryo zaczął o konkursie myśleć. Wywiązała się w ten sposób między przyjaciółmi żywa wymiana myśli, ostatecznie Lelewel zasiadł do pisania rozprawy konkursowej. Do pracy zabrał się narazie z zapałem, lecz pod wpływem wątpliwości, czy praca osiągnie zamierzony skutek, często ogarniało go zniechęcenie.

Dnia 28 czerwca 1820 r. pisał do Onacewicza:

,,Gromisz mi drwiny, żarty moje z konkursu, a ja sądzę, żeś mnie nie zrozumiał. Ależ to na tuzie czerwiennym napisano: co głów, to sposobów myślenia. Jabym programma inaczej napisał. Twoje Bentkowskiemu zupełnie i całkiem się podobało. Jeśli kiedy przyjedziesz do Warszawy, ustnie o tem pomówimy, bo pisać nie warto, nigdziem wreszcie przed nikim ani ustnie, ani na piśmie zdania mego o konkursowym programmacie nie otworzył...

,,Skądże nie odbieram porad, żebym do konkursu szedł? Trzebaż mi tedy tylu radom uledz? Wyznam ci, że teraźniejsze próżniactwo moje, sprzyjające dla zdrowia, dolegliwe dla oczu z powodu kurzawy, że mi się przykrzy: ale przy nim takie roztargnienie, a w Wilnie tak małe dla mnie nadzieje! z niechęcią i przynuką w roztargnieniu odpis na luźne kwestye jakiż być może? W chwilowym zapale zacząłem, a w tych miesiącach niepodobna kontynuować odpisu. Czy go skończę na czas, kiedy ledwie zaczęty, a coraz czasu mniej będzie, powiedzieć jeszcze nie umiem. Co się tam stanie, dosyć jeszcze czasu. Kiedy jednak Tobie projekta czynić wolno, wolno i mnie. Waszkiewicz [1]) obejmie ekonomię polityczną, Lelewel — historyę, Ostrowski [2]) — statistikę: więc Onacewiczowi destinuję diplomacyę...

[1]) Mowa tutaj o Janie Waszkiewiczu, młodym ekonomiście, który dopiero w r. 1820 otrzymał stopień magistra. Był wtedy nauczycielem gimnazyalnym w Wilnie. Na katedrę uniwersytecką powołany został w cztery lata później.

[2]) Ostrowski Piotr w r. 1820 istotnie czas jakiś wykładał statystykę państwa rosyjskiego.

„Malewski rektor życzy mi wojażu. Mówi się na ten raz: gdyby to mogło być, żebym wrócił do Wilna. Propozycya taka nie tylko przyjemną, ale nawet nader pożądanąby była ode mnie, ale w takim sposobie, żeby to było niejakiem wynagrodzeniem pracy mojej i wypoczynkiem w bakałarstwie, nie zaś zaciąganiem nowych obowiązków. Ja już nie ten, com był wczoraj! Dzień się chyli do wieczora...”[1])

Mimo niewiary w powodzenie praca konkursowa posuwała się naprzód. Ale wraz z postępami rozprawy rosły wątpliwości i jak osy natrętne kąsały uczonego. Ambicya jego była na ciężką wystawiona próbę. Dotąd nie ubiegał się o żaden zaszczyt, ale teraz sam „rzucił się w konkurs”, a rezultat był wątpliwy. Miał poważnego współzawodnika w osobie Onacewicza, nadto drugi przyjaciel, J. S. Bandtkie, również miał szanse otrzymania katedry. Ten ostatni, zapytany przez Lelewela, odpisał: „W Wilnie lubią podchlebców, grzecznych profesorów, nizko się kłaniających, a do tegom już za stary...”[2]) W jednym z listów późniejszych tenże Bandtkie nie obiecywał powodzenia i Lelewelowi:

„Że się Pan ubiegasz, nie mam Ci za złe, ale boję się, aby Ci zdolność własna nie była na przeszkodzie, a) w Wilnie, gdzie wolą mieć... podchlebców, b) w Warszawie, skąd Cię puścić nie powinni, boś tam potrzebny i nie obejdzie się bez Pana...”[3])

Nic dziwnego, że Lelewel nie wierzył w powodzenie i otrzymanie katedry wydawało mu się wątpliwem. „A nuż nie otrzymam?[4])—przychodziło mu na myśl i wtedy ambicya zaczynała cierpieć. Ale i przypuszczalne powodzenie miało swoją stronę ujemną. Z katedry, o którą się starał, wykładał Onacewicz i również się o nią ubiegał. Jakże tu rywalizować w takiej sytuacyi? Jakże tu rugować z katedry przyjaciela? Ostatecznie przecież zdecydował się Lelewel posłać na konkurs swoją rozprawę. Według warunków konkursu prace powinny były być nadsyłane anonimowo. Tak też uczynił, ale ponieważ

---

[1]) List z d. 28/VI—1820 r. Rks w Bibl. Ord. hr. Krasińskich.
[2]) List z d. 12/III—1820 r. Rks w Bibl. Jag. № 4170.
[3]) List z d. 18/VI—1820 r. Rks w Bibl. Jag. № 4170.
[4]) Przygody w poszukiwaniach, str. 31.

w rozprawie powołał się na swoją „Historykę" i przyznawał się do jej autorstwa, więc posłanie nazwiska w zapieczętowanej kopercie było „znikomą formalnością": uniwersytet wiedział dobrze, czyją rozprawę ma w ręku.[1])

O wyniku konkursu dowiedział się dopiero w maju 1821 r., a wynik był taki, że mu przyznano katedrę historyi wraz ze stopniem zwyczajnego profesora.

Nie spodziewał się takiego rezultatu. Pierwszym, kto mu o tem doniósł, był zwyciężony rywal Onacewicz. Wprawdzie już przedtem dochodziły Lelewela pogłoski, że ma duże szanse otrzymania katedry, ale dopiero list Onacewicza wzbudził w pogłoski owe wiarę. Stosunki pomiędzy przyjaciółmi pozostały przecież serdeczne i Onacewicz bez niechęci i żalu do Lelewela ustąpił. Dostał później katedrę statystyki i dyplomacyi na uniwersytecie wileńskim.

Lelewel, otrzymawszy w maju 1821 r. zawiadomienie o swojem zwycięstwie, w te słowa pisał do Onacewicza:

„Wierzaj mi, panie Ignacy, że byłeś pierwszy, coś mi o aferach konkursowych pisał. Kontrym tylko w ogólnych bałamutnych słowach powtarzał mi, że mam przychylnych, tak jak mi to nieraz dawniej powtarzał, zachęcając, abym do konkursu pisał: wreszcie zniskąd nic. Twój list pod datą 25 kwietnia kazał sobie wierzyć, a dnia dzisiejszego otrzymałem od Polińskiego[2]) doniesienie o skończonej decyzyi. Prawdziwie zdumiony byłem, bom nigdy takiego obrotu rzeczy nie oczekiwał. Ilem się powinien [cieszyć] tak zgodnymi głosami, tyle mnie szacunkiem przejął list Twój, nic że się to nie obeszło bez przyjacielskich, choć nieproszonych zabiegów, powtóre tem jeszcze więcej, ile Ci strapienie sprawuję. Właśnie w tych dniach uniwersytet warszawski uczcił mnie tytułem ordynaryusza, wzywając mnie, abym historyę polską wykładał.

---

[1]) Tamże, str. 32.

[2]) Poliński Michał (ur. w r. 1784), profesor matematyki wyższej w uniwersytecie wileńskim, odznaczał się wielkiemi zdolnościami. Uzupełniając swoje wykształcenie za granicą, podróżował dużo po Niemczech, Włoszech, Francyi i Szwajcaryi, zwracając wszędzie na siebie uwagę. Różnorodne towarzystwa naukowe powoływały go na swojego członka. Katedrę matematyki zajmował aż do zamknięcia uniwersytetu wileńskiego.

Wdzięcznie ten honor tymczasem przyjmować wypada, tylko istotną jest w tem rzeczą kaptowanie w tem nie tyle Joachima, co bibliotekarza, aleć uniwers[ytet] warsz[awski] nie może żądać, abym się dla niego bezużyteczną stawał ofiarą. Moje bibliotekarstwo może mu być dogodne, póki ja żyw, ale mi się zdaje, że choćbym wiek żył, to bez osobliwszej zmiany kolizye o bibliotekę nie ucichną. Wreszcie cokolwiek byłoby z Wilna, prędzej czy później szukałbym sposobów usunięcia się od biblioteki, a raczej od L[indego?]...

„Niezmiernie bym rad, żebyś mógł przy czem utrzymać się w Wilnie... Nie tracę nadziei, żeby się co stać nie miało dla ciebie dogodnego. Pokierują się jeszcze tak interesa, że mi meblów nie zechcesz odstąpić. — Kiedyś to były facecye, był odwet za facecye z projektowaniem diplomacyi, ale mnie się to tak ufiksowało, że znowu to wznawiam seryo..." [1])

List ten pisał Lelewel w maju, a już w początkach czerwca (1821 r.) otrzymał podpisany przez ministra Stanisława Grabowskiego patent, którym „znanego sobie z chwalebnych obyczajów, zdatności i prac uczonych JP. Joachima Lelewela, dotychczasowego zastępcę", mianował minister „stałym profesorem bibliografii i niektórych części historyi w Wydziale nauk i sztuk pięknych" uniwersytetu warszawskiego.[2])

W odpowiedzi na to Lelewel podziękował za wyświadczony mu zaszczyt i, doniósłszy o wyniku konkursu w uniwersytecie wileńskim, poprosił o udzielenie dymisyi.

Z pamiętników Prota wiadomo jeszcze, że we wrześniu 1821 r. wyjeżdżał Joachim na jakiś czas do Puław, gdzie nęciły go słynne zbiory biblioteczne. Wiemy również, że Prot brał czynny udział w pracach Towarzystwa Patryotycznego[3])

---

[1]) List z d. 19/V 1821 r. Rks w Archiwum Głównem.

[2]) J. Bieliński. Królewski uniwersytet Warszawski. Tom II, str. 547.

[3]) Oto, co w tej materyi pisze Prot Lelewel: „Maja dnia 1-go reprezentanci ruchu warszawskiego za przybyciem z Poznania b. generała Umińskiego, delegowanego od prowincyi wielkopolskiej, zebrali się w lasku Bielan, mianowicie: Łukasiński, Oborski, Kozakowski, Prądzyński, sztaboficerowie ze służby, Szreder, Jordan Hermelaus, Cichowski Adolf, byli wojskowi, Kiciński Br., Morawski Teodor i Sobański, cywilni, naradzają się, umawiają formy, a za pierwszą czynność wskazują rozszerzenie Towarzystwa. Do formowania gminy zawiślańskiej przeznaczony zostałem. Instrukcyę udzielali mi nader czynni członkowie

i że brata na wyjezdnem do Wilna „initiował do stowarzyszenia" i zobowiązał go do propagandy na rzecz Towarzystwa. Z późniejszych wynurzeń Joachima wiadomo, że praca w mrokach konspiracyi nie dogadzała jego usposobieniu. Nie cofał się przed działalnością, mogącą narazić go poważnie władzom moskiewskim, był niepospolitym agitatorem, jeśli można użyć tego terminu, mając na myśli stosunek jego do młodzieży. Ale agitacya Lelewela nie pochodziła z nakazów. Propaganda, jaką rozwijał, wypływała z jego przekonań i sposobu myślenia, była niezależna od przynależności do Towarzystwa, z którem w luźnym pozostawał związku.

Bez żalu opuszczał swoje zajęcie w bibliotece, które umiał wprawdzie wyzyskać dla celów naukowych, ale które nie odpowiadało jego ambicyi i zdolnościom; bez żalu żegnał i uniwersytet warszawski, w którym odgrywał rolę podrzędną i nawet wykładami nie zdołał się wybić na należne mu stanowisko. Stosunków, panujących w stolicy, również nie miał powodu żałować: Warszawa nie umiała ocenić swego wielkiego „Mazura".

W początkach grudnia (1821 r.) był już w Wilnie.

Grzymała Albert, Plichta Andrzej, Kożuchowski Nemezy. Wnet przyjąłem członków Kiedrzyńskich (?) braci, dzierżawców Kuflewa, Dembowskiego Jana ze Stojadeł, Sobieskiego Jana z Korytnicy, Czarnockiego Xawera z Klembowa, Kamińskiego Ludwika z Górek, Kuszla Antoniego z Żeliszewa, Szymanowskiego Feliksa z Cygowa, — wszystkich byłych w wyższych stopniach wojskowych... Joachima, opuszczającego dom rodzinny initiowałem do stowarzyszenia, zobowiązując do propagandy". (Pamiętniki Prota Lelewela. Por. Szymon Askenazy: Łukasiński, Tom II, str. 22—5, 65, 310—311). Z tych słów Prota należy wnosić, że Joachim w owym czasie nie brał udziału w działalności T-wa Patryotycznego, a nawet do T-wa nie należał. Dopiero na samem wyjezdnem z Warszawy przystąpił, jak można wnosić, do T-wa i zgodził się szerzyć propagandę...

VII.

PROFESURA.

Młodzież wileńska z niecierpliwością oczekiwała przyjazdu Lelewela. Jego serdeczny stosunek do studentów i świetne z przed trzech lat wykłady głęboko tkwiły w pamięci wdzięcznych słuchaczów. Przewodnika i opiekuna swojego wspominała młodzież gorąco, z uniesieniem. To też wieść, że znakomity historyk nastałe przyjeżdża do Wilna, zelektryzowała młode umysły. Szczególniej cieszyli się Filomaci. Entuzjazm ich zapalił całą młodzież, a uniesienie młodzieży nietylko oddziałało na profesorów, ale poruszyło miasto, a nawet okolicę.

Lelewel wyjeżdżał z Wilna, jako młody uczony, na którego patrzano z podejrzliwością, powracał zaś z nazwiskiem głośnem i sławnem. Przed trzema laty otaczała go w uniwersytecie atmosfera niechęci, żegnała obojętność starszych profesorów. Zwolna czas rozwiewał niechęć i zacierał w pamięci dawniejsze nieporozumienia. Niepodległa myśl Lelewela wraz z nieugiętem obstawaniem przy swojem zdaniu dopiero w blaskach zdobytego rozgłosu znalazła swoje usprawiedliwienie. Więc zapomniano o niechęci — i świetne, a nieocenione w swoim czasie wykłady żywo przypomniały się wszystkim. Zmienna opinia, raz przechyliwszy się na stronę Lelewela, niezliczonymi głosami roznosiła teraz jego sławę i wielbiła nieporównane zalety profesorskie. Sława rosła i widocznem się stało, że powracającego profesora czeka w Wilnie przyjęcie serdeczne, gorące.

Nie spodziewał się tego Lelewel. Wjechawszy w ulice miasta, zasłonił twarz, aby go nie widzieli znajomi. Chciał niepostrzeżenie dostać się do wyznaczonego mu mieszkania, ale najwidoczniej bystre oczy młodzieży wytropiły kocz podróżny i ukrywającego się w nim podróżnika, bo wnet wiadomość o jego przyjeździe rozeszła się po mieście. Oczekiwano profesora z dnia na dzień i pamiętano o wszystkiem. Nieznani sprawcy otoczyli opieką nawet mieszkanie, opalane od dni kilku, i rozkosznem po podróży ciepłem witające pana profesora. A zaledwie strudzony podróżnik przekroczył progi mieszkania, już go czekała wizyta, jakby zapowiedź niezliczonych odwiedzin, które go w dalszym ciągu czekały. Znajomi, życzliwi, przyjaciele, koledzy i studenci śpieszyli uścisnąć dłoń przybyłego. Zjawił się nawet dawny służący Obolewicz, który acz miał dobre miejsce u prof. Franka, pośpieszył z zaofiarowaniem swych usług. Wszyscy witali dawnego znajomego serdecznie, życzliwie. Ale najmilej zdziwiony być musiał Lelewel zmianą usposobienia wśród profesorów. Jeśli dawniej z grona profesorskiego wiało ku niemu zimnem i niechęcią, to teraz w tem samem gronie okadzano go dymem komplimentów, nie szczędzono słów, tchnących ciepłem i sympatyą. Wszyscy cieszyli się przybyszem i ciągnęli go ku sobie.

„Dziś w niedzielę, 9 grudnia, — donosił Lelewel rodzicom, — Poliński na przybycie moje wystąpił z obiadem, który się na szampanie skończył. Już byłem od niego zainwitowany, gdy odbieram inwitacyę od Franka, wkrótce od Jana Śniadeckiego, naostatek Gutt, bardzo zacny człowiek, bogaty aptekarz, sam przyszedł prosić mnie na obiad. Tak tedy trzy obiady odmówić przyszło”.[1])

I trwały te zaproszenia w dalszym ciągu. Ugaszczano miłego przybysza, pojono szampanem, otaczano sympatyą. A gdy Lelewel siedział w domu, mieszkanie jego roiło się od gości. Wkrótce uczony, tęskniący do pracy naukowej w ciszy i samotności, dosyć miał owych obiadów proszonych, wizyt i odwiedzin przyjaciół. Obawiał się nawet, żeby oka-

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 341.

zywana mu sympatya nie zmieniła się nagle na jego niekorzyść, by jakiś niespodziewany wypadek nie popsuł harmonii. „Siedzę, — pisał, — jak szczur na ołtarzu, któremu kadzą — to nie dziw, jeśli się kadzącym kadzić uprzykrzy, ale jak z boku gdzie kot wyskoczy a za kark uchwyci? Jest to gdzieś w bajkach Krasickiego".[1]) I nie omyliło profesora przeczucie. Ów straszny kot z bajki Krasickiego czaił się do skoku, nie domyślał się tylko Lelewel, skąd się zjawi nieszczęście i jak wiele ofiar pochłonie.

W samym uniwersytecie niewiele się zmieniło. Rektorem był podawnemu Malewski, a miejsce jego zajął później przyjaciel Lelewela z czasów studenckich, Józef Twardowski. Z nowych profesorów przybył niebawem Józef Gołuchowski, uczeń znakomitego Schellinga, człowiek niezwykle wykształcony i zdolny, jeden z najwybitniejszych filozofów polskich. Młody, bo zaledwie dwudziestopięcioletni profesor, umiał podobnie jak Lelewel zaskarbić sobie serca młodzieży i wykładom swoim zapewnić ogromne powodzenie. W r. 1822 mianowany został profesorem nadzwyczajnym na wydziale prawnym kolega Lelewela, Ignacy Daniłowicz, z którym naszego historyka serdeczniejsze połączyły węzły. Daniłowicz pracował nad prawem litewskiem, Lelewel oddał mu wszystko, co w tym przedmiocie posiadał, a nadto pozyskał dla pracy Tytusa Działyńskiego, który z bogatej biblioteki kórnickiej dostarczył cennych rękopisów, i przyrzekł pomocą materyalną wesprzeć wydawnictwo.

Wśród młodzieży uniwersyteckiej praca Filomatów znaczne uczyniła postępy. Od początków 1820 r. funkcyonowało już „Towarzystwo Przyjaciół pożytecznej zabawy", czyli *Promienistych*, a po rozwiązaniu przez władze tego stowarzyszenia Zan, przy pomocy innych Filomatów, utworzył tajne „Towarzystwo Filaretów". Nowy związek miał wyraźny ideał polityczny. Filareci bowiem, przejęci duchem patryotycznym, mówili już o odzyskaniu Polski.

Gorąca młodzież wileńska postanowiła demonstracyjnie powitać ukochanego profesora, a Filomaci swoim wpływem

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 352.

znacznie się przyczynili do wspaniałego przyjęcia, jakie miało Lelewela spotkać w uniwersytecie.[1]) W tych to dniach entuzyazmu Adam Mickiewicz napisał swój słynny wiersz do Joachima Lelewela. Mile musiał ten utwór podniosły zabrzmieć w sercu uczonego, jako wyraz uczuć młodzieży i jako streszczenie poetyckie poglądów, którym hołdował znakomity historyk, a które poeta wmurował w nieśmiertelne rymy:

A słońce prawdy wschodu nie zna i zachodu,
Równie chętne plemionom każdego narodu
I dzień lubiące każdej rozszerzać ojczyźnie,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.
Stąd, kto się w przenajświętszych licach jej zacieka,
Musi sobie zostawić czystą treść człowieka,
Zedrzeć wszystko, co obcej winien jest przysłudze,
Własności okoliczne i posągi cudze...

Filomata musiał w Lelewelu uczcić jeszcze człowieka o szerokich poglądach europejskich i patryotę-Polaka:

A tak, gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy,
Żeś z nad Niemna, żeś *Polak*, mieszkaniec *Europy*.

Wykład inauguracyjny odbyć się miał dopiero w dzień sobotni, 19 stycznia (1822 r.). Lelewel zwlekał z prelekcyą wstępną. Wiedział, że mnóstwo osób wybiera się na nią i zwłoką chciał zniechęcić ciekawych. Wybieg się nie udał. W dniu oznaczonym ogromny tłum zebrał się w gmachu uniwersyteckim. Ukazanie się profesora powitano gromkimi okrzykami. Starsi i młodsi wołali:

— Vivat Lelewel![2])

Uczony z trudnością przecisnął się przez obsadzone tłumami schody i z wysiłkiem dotarł do sali, w której czekała na niego katedra. Ale stanąwszy na progu, ani kroku dalej postąpić nie mógł. Salę zalegała „ciżba kompletna, ludzi pod sufit pełno”. O wykładzie w takich warunkach nie mogło być mowy. Więc rektor Malewski wpadł na pomysł urządzenia inauguracyi w sali obszerniejszej. Na wezwanie rektora poruszyła się cała publiczność.

---

[1]) Filareci i Filomaci. List Ign. Domejki. Rocznik T-wa Hist. Lit. w Paryżu, 1870—2, str. 11.
[2]) Relacya Al. Chodźki, Wł. Mickiewicz: Żywot A. Mickiewicza, I, str. 89.

„Ciągnie procesya, — tak opisywał owe przenosiny Lelewel,— przez jeden uniwersytecki dziedziniec, wchodzi na drugi, a ja pomiędzy, jako delikwent...”[1])

Na dziedzińcach tłoczą się setki ciekawych, a obszerniejsza sala w jednej chwili zapełnia się publicznością i o miejscu dla generalicyi uniwersyteckiej nie może być mowy. Wtedy rektor dąży do wielkiej sali posiedzeń publicznych i staje przed jej podwojami. Okazuje się, że klucza od tej sali niema. Rektor gniewa się na woźnego, ale ten nie spodziewał się, że wielka sala będzie potrzebna, klucza przy sobie nie ma i znaleźć go naprędce nie może. Wracają więc profesorowie do owej sali, w której zgromadziła się już publiczność, ale kurytarze przepełnia tłum tak zwarty, że przejść niepodobna. Profesora Grodka o mało co w tej ciżbie nie zduszono. Nadaremnie rektor Malewski dopomina się o miejsce i krzyczy na publiczność. Publiczność krzyczy na rektora i ani myśli ustąpić. Ktoś z tłumu projektuje rozpocząć wykład pod gołem niebem, ktoś inny nową podaje radę — i ścisk a krzyki trwają pół godziny. Sytuacyę ratuje Kontrym, podając wniosek, by prelekcyę odłożyć do poniedziałku.

Rektor zgadza się na to, obwieszcza decyzyę zgromadzonym i prosi ich, aby opuścili gmach uniwersytecki. Tego tylko było potrzeba, aby publiczność nie ruszyła się z miejsca. Powstało zaraz podejrzenie, że owa decyzya jest wybiegiem ze strony rektora i tłum rozejść się nie chciał.

Dopiero zniknięcie Lelewela opamiętało roznamiętnioną publiczność.

„Po takich komedyach, — pisał później uczony, — przebaraszkowawszy godzinę, to na naradzaniu się nad poniedziałkiem ze starszymi, to u siebie przy porterze z młodszymi, udałem się do senatu, gdzieśmy mieli nadzwyczajną sesyą. Przed jej rozpoczęciem Grodek, narzekając, że ledwie zgniecionym nie był, przypomniał, że przed 15 laty on i wszyscy inni, którzy wówczas za Stroynowskiego rektorstwa kursa otwierali, że je otwierali właśnie w sali posiedzeń publicznych, a do tego w todze ponsowej. Próżnom się z niej wykręcał, że

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 347.

zwyczaj zarzucony przytaczał, niewielu moją stronę popierało, a rektor, żeby mnie więcej splątać, wniósł rzecz o todze na końcu sesyi przed sam senat — krzyczałem co sił przeciwko i do ostatniego tchu przeciwiłem się i protestowałem, podobno jednak w przyszły poniedziałek przyjdzie jak rak wystąpić.''[1])

W dwa dni później znowu w oczekiwaniu na prelekcyę zgromadziły się tłumy, zalegając szczelnie najobszerniejszą salę, kurytarze i schody. Stawiła się młodzież, profesorowie, wielu księży, wielu obywateli miejscowych i okolicznych, a wszyscy spragnieni byli usłyszeć ów pierwszy wykład słynnego uczonego i prelegenta.

Śród uroczystego nastroju, wytworzonego przez tłum poważny i skupiony, Lelewel, odziany w ponsową togę, rozpoczął swoją prelekcyę.

Rozpoczął od komplimentów pod adresem ,,senatu, publiczności, ziomków i młodzieży'', i dopiero po tym wstępie przeszedł do właściwego tematu. Mówił słuchaczom o ufności wzajemnej, która powinna przenikać uczących się i uczącego, wspomniał o piętrzących się przy zgłębianiu historyi przeszkodach i wyraził przekonanie, że wzajemna przychylność potrafi je zmniejszyć. Przyznał, że uczeń nieraz bywa ,,ofiarą trudności z nauczyciela idących'', a następnie wskazał olbrzymią doniosłość, jaką nauka historyi powszechnej posiada. Historya bowiem w umyśle każdego rozwija idee i zasady, spajające najważniejsze w pożyciu ludzkiem wiadomości. O te zasady, jak o fundament oprzeć można nie tylko poszczególne zdarzenia, ale i ,,wiele okoliczności, kształcących rozum i serce''. Przedmiot historyi jest pełen trudności, bez względu na istniejące sposoby i środki, bo wszystkie one są martwe i ,,zupełnie nieczynne, skoro im pewnego życia brakuje''. Historya wymaga czegoś więcej nad formy i wyrazy, wymaga ,,jakiegoś życia, w którem by ocucały się piękne skłonności serca, uzacniające historyczne obrazy; w którem by rozwijały się umysłowe zdolności, mogące godnie w pracach historycznych

---

[1]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 348.

działać, trzeba tem życiem obudzić wyższe uczucia, poruszyć w sobie wyższą działalność".

Napotykanemi trudnościami nie należy się zrażać.

„Usilna praca, — mówił Lelewel, a znamienne to zdanie zasługuje na uwagę, — zastępuje nieraz niezdolności przyrodzone".

I poświęciwszy nieco więcej czasu owym trudnościom, piękny swój wykład zakończył głęboką i do dziś dnia godną przypomnienia uwagą: „Żadnego zakątka Europy dziejów nie można traktować bez znajomości dziejów powszechnych, bez odwoływania się do nich". Od wielu już wieków o losach krajów i narodów nie sama dzielność, nie same błędy mieszkańców lub władz stanowią, „ale ruch powszechny i zmiany kultury. Kto wzgardzi tą ogólną rodu ludzkiego działalnością, dzieje własnego narodu niewiernie odda, a przodków swoich raz próżnem uwielbieniem obarczy, inny raz mimowolnie ich skrzywdzi. Dzieje powszechne są zbiegiem wszystkich; punktem oparcia, z którego szczególnych narodów rozwija się osnowa: nigdzie się nie zrywa, nigdzie się nie plącze..." [1])

Oto kilka ważniejszych myśli, wypowiedzianych we wstępnej prelekcyi.

Tak nie przemawiał dotąd żaden z historyków polskich. Historya, jak widać ze słów Lelewela, nie była w jego oczach zbiorem suchych faktów i wiadomości, lecz dziejami żywego człowieka. Aby wiernie oddać te dzieje, trzeba samemu być człowiekiem żywym i głęboko czującym, trzeba własnem swojem życiem ożywiać przeszłość i własną szlachetnością budzić owe „wyższe uczucia", które wywoływać winny prace historyczne. Dzieje poszczególnych narodów zrozumieć można tylko na szerokiem tle dziejów powszechnych. Ze słów profesora wynikało jasno, że jedynie te narody, które w swoim pochodzie historycznym nie zatracają oryentacyi dziejowej, które się nie odłączają od ruchu powszechnego i podążają za zmianami kultury, a więc jedynie narody żyjące świadomie i celowo, mogą liczyć na przyszłość jasną i trwałą.

---

[1]) Rozmaitości przez Joachima Lelewela, str. 141 — 152.

Prelekcya prosta, zwięzła, nacechowana tonem ciepłym, serdecznym, podobała się wszystkim. Przemówienie przyjęto entuzyastycznie; niepraktykowanym przedtem zwyczajem „rzęsiste i przedłużone oklaski zamknęły posiedzenie, napełniły gwarem całe miasto".[1])

„Nie zasłużyłem na to,— pisał Lelewel, donosząc rodzinie o doznanem przyjęciu, — jednak to nie mało przyjemności sercu mojemu..."[2])

Odtąd wykłady odbywały się stale w zapełnionej sali i stale przyciągały 400 słuchaczów: cyfra na owe czasy imponująca. Oprócz młodzieży przychodziła na wykłady i szersza publiczność, zjawiali się na nich księża, a nawet kobiety, co było zjawiskiem niewidzianem przedtem w murach uniwersyteckich. Kosem okiem spoglądał Lelewel na swoje słuchaczki: wolał słuchaczów. Powodzenie wykładów Lelewela stało się przysłowiowem. Gdy później zaczęto uczęszczać gromadnie na wykłady Gołuchowskiego, powszechnie mówiono o „tłoku lelewelowskim": stał się w Wilnie ów „tłok lelewelowski" przysłowiowym symbolem powodzenia. Istotnie należało ono do niezwykłych. Zapał i wiedza profesora dopięły tego, że nie tylko młodzież uniwersytecka, ale całe Wilno zaczęło żyć i oddychać historyą.

Taka atmosfera musiała niewątpliwie podniecać Lelewela i wraz z potężną wiedzą wydobywać z niego coraz gorętsze i płomienniejsze uczucia. Pomiędzy audytoryum a wykładającym nawiązane zostały nici serdeczne — i słowa profesora padały jak iskry, zapalające umysły i serca. Słowa te wypowiadane namiętnie, rzucane z siłą, jaką tylko dać mogło rzetelne przejęcie się tematem, miały wagę niezłomnego przekonania, piękno szczerości, jasność prawdy. A urok wykładów był tem potężniejszy, że przed tłumem, zalegającym w zbożnem skupieniu salę uniwersytecką, stał nie tylko świetny profesor i znakomity uczony, ale nadto gorący obywatel, dla którego umiłowania młodych słuchaczów były jego własnem umiłowaniem, ich ideały — jego ideałem. Serca biły zgodnie. A ta

---

[1]) Ś. p. Joachim Lelewel. Bruksella 1861, str. 9.
[2]) Listy J. Lelewela. Tom I, str. 349.

idealna łączność sprawiała, że świetne wykłady historyczne stawały się czemś więcej, niż samą nauką historyi: stawały się lekcyami patryotyzmu, ukazywały spragnionym oczom szerokie widnokręgi promiennej przyszłości, unosiły myśli w sferę najgłębszych tęsknot i pożądań...

„O Lelewelu,—powiada jeden z jego uczniów,—nie śmiałbym powiedzieć, żeby był wymownym, ale jakaż to była erudycya, jakie święte poczucie patryotyczne! Przebijało się ono, rzec można, w każdem słowie i widziano po publiczności, że wystarczyłoby jedno skinienie profesora, a całe audytoryum powstałoby i poleciało za nim. Kogo tu więcej uwielbiać, czy profesora, czy audytoryum!? Ale jeżeli uczucia profesora i wysłowienie się były ogniste, wyraz jego twarzy przedstawiał roztropność i powagę, coby niejeden wziął za zimną obojętność. Inaczej być nie mogło pod rządem moskiewskim i przy czujności jego policyi”.[1])

Czujność ta nie przeszkadzała Lelewelowi rozwijać swoich poglądów.

Mówiąc o losach różnych ludów, niejednokrotnie znakomity mówca miał sposobność zagrania na tajemnych strunach duszy zasłuchanego tłumu. Mroził wyobraźnię obrazami ruin i upadków historycznych, to krzepił serca widokiem odradzania się narodów.

W pierwszym roku wykładał historyę Grecyi oraz wieków XVI i XVII, a rok akademicki zakończył prelekcyą p. t.: „Ocalenie Polski za króla Łokietka”. Prelekcya ta dobrze odzwierciadla sposób, w jaki Lelewel przemawiał i ów ton ciepły, serdeczny, co przenikał mówcę i, udzielając się słuchaczom, rozgrzewał ich serca, rozpłomieniał dusze.

„Blade światło upłynionych wieków nie rozwesela rozczulonego serca, ale odświeżany promyk jego słodko przejmuje zacniejsze uczucia...”

Te słowa liryczne, wypowiedziane niemal na samym wstępie, a odpowiednio do swej treści zaakcentowane, musiały odrazu wywołać w audytoryum nastrój uroczysty. Ale

---

[1]) Ze wspomnień Alojzego Ligęzy Niewiarowicza. Zbiór pamiętników do hist. powst. Lwów 1881. Str. 448/9.

Lelewel nie wypowiadał słów zbytecznych. Więc zaraz po tym wstępie cofnął się w przeszłość i pytał:

Gdzież w tej przeszłości „powstanie państwa jakiego bez niezliczonych ruin i upadków? Gdzie tryumfy cnoty bez odrażliwych dzikości i przestępstw! Zniechęcony ku ludziom człowiek, oburzony tem, upada na umyśle. Lecz historyk,— zaznaczał mocno Lelewel,— *nie podaje się pozorom albo samej tylko złej wróżby pochmurnym widokom. Wystawia na wstręt i ohydę gwałty i wykroczenia; wypoczywa na cichej cnocie...*[1]) I niezawsze same rozerwanie i upadki w przeszłości dostrzega..."

W taki sposób przygotowawszy grunt, na który rzucał ziarna swoich wywodów, przeszedł do objętego prelekcyą tematu. A więc mówił o ciężkiem położeniu kraju, o przedwiekowych najazdach i zamachach na jego wolność i całość, o zdradach, frymarkach i klęskach, pustoszących nieszczęsną Polskę. I na tle tego strasznego obrazu zarysował postać dzielnego Łokietka, który nie upadał na duchu, nie wątpił, lecz czekał przezornie szczęśliwej chwili, aż „dostrzegł poruszające się, *dawniej uśpione sprężyny, które zdolne były rozwijać środki dźwignienia się z przepaści, a odradzającemu się narodowi nowe życie nadać*". Mówił dalej, jak na ziemi polskiej „*upowszechniał się i wzmagał duch publiczny i narodowy*", jak wszystko odetchnęło zaufaniem i obudziła się wrodzona dzielność i zabłysły uśpione od dłuższego czasu cnoty...

„Wiem, — kończył w znaczących, a niewątpliwie dobrze rozumianych słowach, — że te przypomnienia nie rozweseliły, nie zaspokoiły *stroskanego serca*; wiem, że obudziły wspomnienia zgasłych czasów, pełnych żałości, pełnych tęsknych zachwyceń; wszakże mam nadzieję, że ta przeszłość i to przypomnienie *ożywia uczucia i zwolna miłą roznieca pociechę*..."[2])

Nie może ulegać kwestyi, w jaki sposób tego rodzaju słowa musiała odczuwać młodzież i jakie wysnuwać z nich konsekwencye. Były one zgodne z jej uczuciami, odpowia-

---

[1]) Podkreślenia autora.

[2]) Polska Wieków Średnich. Poznań 1851. Tom IV. str. 239 — 259. Podkreślenia autora.

dały doskonale jej gorącym pragnieniom i utajonej tęsknocie. Przed oczyma zgromadzonych studentów ideał filarecki płonął i jaśniał na katedrze, gdy przemawiał z niej ukochany profesor, gdy uczył cenić wolność, jako dobro najwyższe, a w postępie ogólnym wskazywał najszczytniejsze zadania zbiorowości ludzkiej. Oto, co było, jeśli nie najgłówniejszą, to jedną z głównych przyczyn niesłychanego powodzenia, jakiem cieszyły się tak długo wykłady Lelewela.

A cieszyły przez cały czas jego pobytu w Wilnie: tłumy na wykładach nie przestawały się zmniejszać. A najlepszym dowodem, jak młodzież ceniła profesora i jak dalece przejęła się ważnością nauki historyi, jest to, że zaraz w pierwszym roku wykładów stanęło do egzaminu 130 studentów.

W następnym roku wykładał Lelewel historyę Rzymu i Wieków Średnich. 200 słuchaczów zapisało się na te wykłady, ale uczęszczało znacznie więcej, gdyż poza zapisanymi cała młodzież uniwersytecka kochała Lelewela i rada była go słuchać. W trzecim roku mówił profesor o Azyi Mniejszej, Syryi, Mezopotamii, Egipcie i wieku XVIII. W wykłady swoje wplatał wiadomości metodyczne o historyi i naukach z nią związanych. Uwzględniał nadto heraldykę, dyplomatykę, numizmatykę, nie przepomniał i o kolejach samego dziejopisarstwa. Oprócz tego dwa razy w tygodniu wykładał statystykę, pojmowaną szeroko, a więc będącą nietylko suchem zestawieniem cyfr, bo w cyfrach — zgodnie z Gotfrydem Achenwallem, ojcem statystyki naukowej, — widział uczony polski arytmetykę społeczno-polityczną i umiał w nich czytać.

Stosunek jego do studentów, jak i za pierwszym pobytem, nie kończył się na wykładach. Wpływ Lelewela i tym razem docierał do życia wewnętrznego młodzieży, podsycał w tem życiu ogniska patryotyzmu, pogłębiał wzniosłe a płodne zasady w o ności i braterstwa, przenikające rozgrzane agitacyą Filomatów dusze młodzieży wileńskiej. Zdobył serca i panował w nich samowładnie. Stał się dla młodych przyjaciół autorytetem i sztandarem i ucieleśnioną koroną ich marzeń. Radzono się profesora we wszelkich sprawach, jak wyroczni, wpływowi jego podlegali wszyscy Filomaci, a mię-

dzy nimi i najsławniejszy z nich później, Adam Mickiewicz. „Co Lelewel powie o Grażynie?—dopytywał się młody poeta w jednym ze swoich listów do Czeczota, — namień, że jestem ciekaw słyszeć jego zdanie” [1]. A przecież chodziło tu o sprawy poezyi. Łatwo wyobrazić sobie, jak potężnym musiał być wpływ Lelewela na kształtowanie się pojęć w innych dziedzinach, wtedy zwłaszcza, gdy w poufnych rozmowach wpatrzonym w niego, jak w słońce, studentom odsłaniał swoje zapatrywania na położenie i potrzeby kraju, na zadania przyszłości. Urok, roztaczany przez Lelewela, musiał być niezwykły, a stosunki z wybitniejszą młodzieżą bardzo serdeczne i blizkie.

Przewodniczący Towarzystwa Filomatów, Józef Jeżowski, który, jak wiemy od Domejki, nieraz na posiedzeniach filomackich zabierał głos „w rzeczy tyczącej się dobra kraju”,[2] — w ten sposób odzywał się o Lelewelu: „Ze starszych osób w Wilnie *jedynie* miłym jest dla mnie i dla Adama—Joachim. Z nim po kilka godzin przepędzam, u niego jadam obiady, jego obcowaniem nigdy się nie znudzę. Jego charakter przypada zupełnie do naszego...” [3])

Nie mamy materyałów, aby ocenić całą rozległość wpływu Lelewela na młodzież, aby odsłonić zasady i przekonania, które w pogawędkach z młodzieżą rozwijał, ale świadectwo Jeżowskiego jest jednym więcej dowodem, i to dowodem bardzo poważnym, że Lelewel umiał się zespalać z młodymi przyjaciółmi i że wpływ jego na młodzież musiał być potężny. Uczył ją, oświecał, dawał rady, wskazówki, wspierał materyalnie, nie szczędząc drogiego czasu i pensyi profesorskiej.

Wiadomo wszystkim, — pisał J. K. Ordyniec [4]) — co byli w uniwersytecie wileńskim, że swoją pensyę w wielkiej czę-

---

[1]) Nieznane Pisma Adama Mickiewicza... wydał Józef Kallenbach Kraków 1910, str. 373.

[2]) Filareci i Filomaci, str. 2.

[3]) Żywot Adama Mickiewicza. Tom I, str. 120.

[4]) Ordyniec, jeden z uczniów milszych L-owi, ur. się w r. 1797. Uniwersytet skończył w r. 1824. Opuściwszy Wilno, zamieszkał w Warszawie, gdzie wydawał „Dziennik Warszawski”, a następnie „Dekameron Polski”. Bronił później Lelewela przed napaścią Kicińskiego.

ści poświęcał na wspieranie ubogich akademików, na składki dobroczynne..." [1])

Obok Jeżowskiego, Mickiewicza i innych Filomatów całą rzeszę studentów przygarniał do siebie Lelewel, a osobnego trzebaby dzieła, aby tę rzeszę wskrzesić i odtworzyć. Wspomnieć przecież należy przynajmniej o jednym jeszcze drogim sercu profesora uczniu, Mikołaju Malinowskim, z którym uczonego łączyły bardzo zażyłe stosunki.

Mikołaj Malinowski (urodzony w r. 1799) kształcił się na wydziale literackim i należał do najlepszych uczniów Grodka. Zamiłowany w starożytności, sumienny, pracowity, zdobył wykształcenie rozległe i gruntowne. Znał doskonale języki nowe i starożytne, nauce polskiej przysłużył się z czasem szeregiem cennych i doniosłych wydawnictw. W związku Filaretów odgrywał rolę wybitną. Do Lelewela zbliżyła go historya; prawdopodobnie dość często spotykał profesora w domu aptekarza Gutta, z którym obu łączyły stosunki przyjaźni towarzyskiej.[2]) Gdy kochany profesor opuścił Wilno, Malinowski w ciągu kilku lat z rzędu bardzo często korespondował z Lelewelem i na jego to żądanie skreślił niejednokrotnie cytowane w jego opisie improwizacye Mickiewicza. Nadto na prośby Lelewela czynił dla niego poszukiwania w bibliotekach wileńskich i petersburskich, oddał swojemu nauczycielowi niejedną usługę, pilnował druku i zajmował się korektą „Bibliograficznych ksiąg dwojga", a listy, przechowywane w Archiwum Głównem w Warszawie, świadczą, że obu uczonych łączyła przyjaźń i harmonia. W wiele lat potem, pod wpływem strasznej rzeczywistości harmonia ta pękła i obaj przyjaciele znaleźli się na krańcach przeciwległych.[3])

---

[1]) Kuryer Polski. Rok 1831, str. 572.

[2]) Malinowski zaręczony był z Guttówną, małżeństwo jednak nie doszło do skutku.

[3]) Malinowski po skończeniu uniwersytetu mieszkał jakiś czas w Wilnie, następnie wyjechał do Petersburga i tam połączył się węzłami ściślejszej przyjaźni z Mickiewiczem. W r. 1828 wezwany został przez hrabiego Witgensteina na posadę, jak pisał „archiwista komisyi w Wilnie". „Przeznaczono mi,—donosił Lelewelowi,—600 r. sr. na rok i mieszkanie z opałem lub 100 r. rocznie na mieszkanie. Hrabia rozumie, że w przeciągu dwóch lat można archiwum ułożyć i sumaryusze spisać. Co, gdy wykonam i katalogi złożę, mam otrzymać jednorazowo 1000 du-

Ale nietylko śród młodzieży miał znakomity profesor przyjaciół. Łączyły go węzły serdeczne z wielu kolegami, a ogół profesorów wileńskich darzył go teraz sympatyą i szacunkiem. Rósł rozgłos Lelewela jako profesora i uczonego, zasług jego nikt nie ośmielił się kwestyonować. Niestety, w tym to właśnie okresie jasny wieniec swych zasług mia zaćmić cieniem przelotnym: oto w rok po przybyciu do Wilna zaczął sprawować narzucony mu urząd cenzora. Po Lelewelu, owym patronie i rozmnożycielu przekonań rewolucyjnych, jak go nazwał Mochnacki, po jego charakterze rogatym i nieugiętym możnaby się spodziewać, że zaryzykuje wiele, ale urzędu takiego nie przyjmie. Stało się inaczej, a stało się w okolicznościach następujących.

Cenzura ksiąg należała do komitetów, złożonych z magistrów i profesorów uniwersyteckich; otóż jeden z cenzorów ówczesnych, ksiądz Kłągiewicz, profesor teologii dogmatycznej i historyi Kościoła, późniejszy biskup wileński, przepuścił w „Tygodniku Wileńskim" anegdotę o tańcu hiszpańskim *fandango*. Anegdota opiewała, że dwór rzymski, zgorszony lubieżnością tego tańca, postanowił klątwę rzucić na *fandango*. Kardynałowie, powołani na sędziów, nie znając objektu, oddanego pod sąd, a chcąc wyrokować sprawiedliwie, rozkazali sprowadzonym tancerzom wykonać ów gorszący taniec. Tancerze rozwinęli tyle gracyi i wdzięku, że poważni sędziowie, porwani przepysznym widokiem, sami puścili się w tany...

Ksiądz Kłągiewicz, czy nie dostrzegł tej anegdoty, czy też nie widział w niej nic obrażającego, dość, że drukować ją pozwolił. Tymczasem anegdota wywołała ogromne oburzenie, a echa tego oburzenia rozeszły się szeroko i oparły się aż o Petersburg. W sprawę wdał się sam car Aleksander i rozkazał wydawnictwo „Tygodnika" zawiesić, redaktora skazał na kilkutygodniowe więzienie, a księdza Kłągiewicza, jedynie przez wzgląd na stan kapłański od kary uwolnił.[1])

---

katów". (Rks w Arch. Gł.). W latach 1843—4 wydał Mal. „Źródła do dziejów Polski",w r. 1846 „Kronikę" Stryjkowskiego i kilka dzieł innych, a między niemi „Jerozolimę wyzwoloną" Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego. Należał do wydawców głośnego w swoim czasie *Albumu Wileńskiego*, napiętnowanego przez Klaczkę w „Odstępcach".

[1]) Kuryer Polski, R. 1831, str. 572—3.

Tak skończyło założone przez Lelewela pismo, a koniec „Tygodnika" miał i dla jego twórcy następstwa poważne. Kłągiewicz przestał być cenzorem, i na jego miejsce trzeba było wybrać następcę. Funkcyi tej nikt jednakże podjąć się nie chciał. Wówczas Jędrzej Śniadecki, szukając wyjścia z przykrej sytuacyi, zaproponował, aby wybrany przez profesorów kolega stanowczo przyjął powierzony mu obowiązek. Przystali na to wyborcy, a wraz z nimi przystał i Lelewel. Mógł przewidzieć konsekwencye i domyśleć się, że i na niego wybór paść może. Jakoż istotnie został wybrany.

Z górą rok był cenzorem,[1]) a jak traktował swój urząd, świadczy o tem cenzurowanie „*Dziadów*" Mickiewicza, w których pozostawił nietkniętym ustęp, przeciwko cenzorom zwrócony:

A tuś mi, panie motylu!
Ten migający wkoło oćmy rój skrzydlaty,
Za życia gasił każdy promyczek oświaty i t. d.

A jednak przykrego doznaje się wrażenia, gdy w jednym z listów ówczesnych Mickiewicza do Czeczota czytamy: „*Dziady*, jak są, przepisz i oddaj Lelewelowi; obaczymy, co każe koniecznie poprawić." [2])

W tym również okresie miał Lelewel zdobyć wielką sławę w uczonym świecie rosyjskim, a to skutkiem polemiki z głośnym historykiem Karamzinem. Polemika ta przechowała się w tradycyi, jako wielki czyn patryotyczny Lelewela, jako śmiałe i bezwzględne zdruzgotanie wrogo usposobionego dla Polaków człowieka. W gruncie rzeczy była to polemika uczonego z uczonym, polemika, pozbawiona akcentów energiczniejszych, jakich, sądząc z tradycyi, możnaby się spodziewać. Pracę swoją napisał Lelewel na żądanie Tadeusza Bułharyna, wydawcy i redaktora czasopisma „Siewiernyj

---

[1]) Fakt, że Lelewel nie kilka miesięcy, jak dotąd twierdzono, lecz dłużej sprawował urząd cenzora opieram na danych następujących. 21 lutego 1823 r. podpisał jako cenzor drugi tom poezyi Mickiewicza, a pod datą 14 lipca 1824 r. donosił ojcu: „Na bryce siedząc, odczytywałem dzieła i cenzurę podpisywałem, a między temi cenzurę Miklaszewskiego historyi". Aczkolwiek nie przez Lelewela podpisana jest książka Miklaszewskiego, niczego to nie dowodzi. Najwidoczniej po uwięzieniach młodzieży w Wilnie cenzurze Lelewela już nie dowierzano.

[2]) Nieznane Pisma Adama Mickiewicza, str. 377.

Archiw" (Archiwum Północne). Bułharyn należał do ludzi przedsiębiorczych i sprytnych. Mieszkając w Wilnie, był współpracownikiem pism polskich; przeniósłszy się do Petersburga, zaczął pisywać wyłącznie po rosyjsku. Z czasem wsławić się miał swoją pracą o wojnie tureckiej 1828 r. i swoimi romansami, które przetłómaczono i na język polski. Otóż Bułharyn prosił usilnie Lelewela o współpracownictwo dla swojego pisma. Uczony, ulegając tym prośbom, napisał obszerną krytykę historyi Karamzina, a wstęp tej rozprawy wywarł w Petersburgu wrażenie ogromne:

„Krytyka, czyli raczej wstęp do krytyki, — donosił Bułharyn,—zrobił tu silny rozruch. Wszyscy nie mogą się odchwalić. Imię pańskie przelatuje z ust do ust i najwięksi ludzie, jako Golicyn, Sperański, Olenin, etc. oddają hołd uczoności, zdolności pańskiej i niecierpliwie razem z całą publicznością oczekują kontynuacyi".[1])

W kilka miesięcy później, pod d. 4 kwietnia 1823 r., Bułharyn przesłał nowe o powodzeniu Lelewela wieści. Po wyrzutach, że Lelewel nie śpieszy z przysłaniem dalszego ciągu swojej rozprawy, pisał:

„Wczoraj odebrałem z poczty 63-ci list od prenumeratorów, co mnie wyrzucają, że nie trzymam (?) obietnicy; listy te przeszlę Panu, żebyś zachował, jako pamiątkę. Mówią, że i Najwyższemu Monarsze podobał się Pański ustęp... Przysięgam, że książę minister i dwór cesarski (co wiem od Longinowa, który jest przy młodej cesarzowej) niecierpliwie czekają pięknego rozbioru pańskiego".[2])

Trudno dojść dzisiaj, ile w tych doniesieniach, opartych na pogłoskach, krążących po stolicy nad Newą, było prawdy, ale jeśli odtrącimy nawet znaczną część zachwytów na karb przesady redaktorskiej, a do tej przesady Bułharyn miał skłonność[3]), to rozgłos rozprawy Lelewela i tak pozostanie olbrzymi.

---

[1]) Biblioteka Warsz. R. 1877, str. 224.
[2]) Biblioteka Warsz. R. 1877, str. 227 — 228.
[3]) Jeden ze swoich listów do Lelewela zaczyna np. od słów: „Stoję przed panem na kolana i przepraszam, że nie pisałem".

A rozgłos zawdzięczał uczony swej wiedzy i rozległości swoich poglądów. W krytyce Karamzina starał się przecież o zachowanie umiarkowania, na akcenty mocniejsze zdobywał się rzadko, najczęściej wtedy, kiedy zwalczał poglądy Karamzina, dotyczące dziejów polskich. Nie wahał się przecież twierdzić, że ,,wielkie, wspaniałe jest Karamzina przedsięwzięcie", a porównywając go z Naruszewiczem, przyznawał może zbyt ryzykownie, że ,,miłość prawdy bez wątpienia obu pisarzy ożywiała". Oczywiście, nie brak było w długiej rozprawie Lelewela i spostrzeżeń krytycznych. ,,Zdarzało mi się,—pisał np. Lelewel, — czytać dużo różnych zdań o utworzeniu państwa polskiego. Ale nigdzie nie spotkałem tego, co o tym przedmiocie mówi p. Karamzin". Następnie przytacza ustęp, w którym historyk rosyjki utrzymuje, że słowianie polscy, obrzydziwszy sobie burzliwą wolność, szukali na podobieństwo słowian rosyjskich opieki pod tarczą jedynowładztwa, że ciż ,,słowianie polscy, będący w połowie wieku igraszką w rękach wojewodów, wybrali sobie króla w osobie Piasta, którego potomkowie królowali do końca wieku czternastego". Lelewel krytykował przytoczone ustępy. ,,Oto,—pisał,—wiadomość o słowianach, wypowiedziana przez p. Karamzina w dwóch wydaniach jego historyi, wiadomość, która nie posiada najmniejszej podstawy, o czem uważam za obowiązek uprzedzić swoich czytelników".[1]) I pouczał Karamzina, że ,,Piast nigdy i nigdzie nie królował", wykazywał dużo sprzeczności w wywodach karamzinowskich, dotyczących sposobów rządzenia słowianami.

Te ustępy z polemiki, a raczej krytyki Lelewela nie należą do znamienniejszych, ale wystarczają, aby się przekonać, że nawet wtedy, gdy mowa była o dziejach polskich, ostrze krytyka polskiego nie zadawało zbyt głębokich ran Karamzinowi, jako wrogowi Polaków. Ale Lelewel błysnął przed czytelnikami rosyjskimi gruntowną wiedzą, zaimponował im

---

[1]) Siewiernyj Archiw S.-Pietierburg № 1 Gienwar', g. 1824, str. 41. Cytowane ustępy przytoczyłem według tłómaczenia z rosyjskiego. W oryginale polskim są zmiany (por. Polska, dzieje i rzeczy jej, Tom XVIII), a ton jest wogóle łagodniejszy. Najwidoczniej Bułharyn, który artykuły Lelewela tłómaczył, starał się tym artykułom nadać ton ostrzejszy i bardziej polemiczny.

niezmierzonym obszarem swej erudycyi. Potężny Karamzin był autorytetem. Na powagę jego nie śmiano się targnąć, ale w Petersburgu patrzano z przyjemnością, jak inny uczony spokojnie podważa ową powagę i w dziele jej rozliczne wykazuje błędy.

I temu przedewszystkiem przypisać należy ów rozgłos, jaki zdobył Lelewel w Rosyi.

A rozgłos istotnie musiał być olbrzymi, gdyż sława Lelewela przetrwała czas dłuższy, jak świadczą o tem z różnych lat i czasów listy Piotra Keppena, Michała Pogodina, Dymitra Kaminskija, hr. Rumiancewa, pełne słów pochlebnych i miłych, pełne uznania dla prac znakomitego Polaka.[1]) Niejeden dowód uznania z Rosyi otrzymał Lelewel. Petersburskie Towarzystwo Miłośników Literatury pod prezydencyą Glinki jednomyślnie obrało go swoim członkiem honorowym, zaszczytu tego dostąpił i ze strony Moskiewskiego Towarzystwa Miłośników Starożytności oraz Uniwersytetu Charkowskiego; nadto różne pisma rosyjskie zaczęły się ubiegać o cenne współpracownictwo głośnego profesora.

Tryumfy te musiały w pierwszej chwili odurzyć uczonego. Najwidoczniej pod wpływem listów Bułharyna błysnęła Lelewelowi myśl o świetnej w Rosyi karyerze pisarskiej, bo w jednym z listów do ojca donosi, że postanowił „nic po polsku nie pisać, tylko po rosyjsku",[2]) a nadto mówił o zamiarze zasilania innych pism rosyjskich.[3]) Oczywiście, ów zamiar niepisania więcej po polsku nie mógł być traktowany seryo przez samego Lelewela, dowodzi tylko, że nawet mocna jego głowa pod wpływem odurzających pochwał uległa zawrotowi.

Rzeczywistość zresztą miała go niebawem przekonać, że nie może liczyć na karyerę naukową w Rosyi. W październiku r. 1824 Bułharyn podał w piśmie swojem wiadomość, że nie posiada dalszego ciągu rękopisu Lelewela. Wiadomość

---

[1]) Odpisy tych listów znajdują się w Archiwum Głównem w Warszawie.

[2]) W czasopismach rosyjskich z owego czasu nie udało mi się wynaleźć prac Lelewela. W korespondencji jego również nie natrafiłem na ślady, by zamiary swoje doprowadzał do skutku.

[3]) Listy J. Lelewela, Tom I, str. 382.

była prawdziwa. Gdy wszakże po pewnym czasie Lelewel ciąg dalszy nadesłał,[1]) redaktor *Archiwum Północnego* nie odważył się już pracy tej drukować.

Bułharyn był człowiekiem przezornym, ostrożnym, a wypadki ówczesne o doniosłości historycznej zbudziły jego czujność. W czerwcu 1824 r. pisał do Lelewela: ,,Proszę oświadczyć Kontrymowi, Onacewiczowi, Szydłowskiemu, żeby mnie młodzieży wileńskiej nie rekomendowali, bo z młodzieżą wileńską więcej biedy, jak pożytku. Ja wcale żadnego ze studentów przyjmować nie będę, niech ich Bóg broni, a nam spokojnym literatom trzeba od nich stronić''.[2])

Wypadki, które taką nadmierną ostrożność wywołały w Bułharynie, związane są ściśle z działalnością Lelewela w Wilnie.

Iluzye, obudzone w społeczeństwie polskiem pod wpływem obietnic Aleksandra I, były złotą pajęczyną, z której dobroduszność polska wysnuwała czas jakiś złote nici nadziei. Nie trwało to długo. Powiewy reakcyi unosiły w dal niepowrotną nadzieję i ciemna rzeczywistość coraz częściej przemawiała swym głosem twardym i nieubłaganym. Obrady sejmowe w r. 1820 najbardziej zaślepionym otworzyły oczy. Stosunek władzy zwierzchniej do społeczeństwa coraz jaskrawiej przekształcał się w sposób, nie pozwalający na dalsze złudzenia. Rząd Królestwa Kongresowego nie był zresztą wyjątkiem. Wzdłuż całej Europy szły prądy reakcyjne. Wszystkie rządy starały się wykorzenić ,,ducha rewolucyi i jakobinizmu'', ducha, który groził nowemi wstrząśnieniami Europie i nową zapowiadał burzę. Sfery rządzące wszędzie tropiły objawy rewolucyjne i zawczasu starały się ugasić wybłyskujące tu i ówdzie iskry niezadowolenia. Ale ,,duch rewolucyi'' znikł z powierzchni i znalazł sobie siedlisko w podziemiach. W niezliczonych tajnych związkach pielęgnowano zasady wolności i przygotowywano nowy zamach na spokój

---

[1]) To, że dalszy ciąg był posłany, widać z listu Sękowskiego do Lelewela. ,,Gwiazda'' Kalend. pet. na rok 1881, str. 73.

[2]) Biblioteka Warszawska, R. 1877, str. 230.

Europy. Z natury rzeczy rządy zwróciły wtedy baczniejszą uwagę na istniejące stowarzyszenia tajne i zaczęły je prześladować. Wszędzie stowarzyszenia owe tępiono bezlitośnie, a w państwach, związanych „świętem przymierzem", zapanował rozległy system represyi. Pięść Metternicha ciążyła nad całokształtem życia, unosząc się groźnie nad każdym przejawem niezależności obywatelskiej, nad każdym odruchem, ujawniającym niezadowolenie z istniejącego położenia.

Zjazdy w Karlsbadzie, Opawie, Lublanie i Weronie (1819—1822) utrwaliły panowanie reakcyi— i Aleksander I coraz silniej ulegał wpływom panującego w Europie systemu. Królestwo Polskie dotkliwie odczuło tę zmianę w usposobieniu cara. Deptane w biały dzień swobody konstytucyjne przestały być rękojmią praw obywatelskich. Szpiegostwo i donosy rozpowszechniły się w stolicy, a obawa przed niezadowoleniem społeczeństwa nieustannie nowe wywoływała ograniczenia. W grudniu 1821 r. Zajączek wydał w imieniu Aleksandra postanowienie, na mocy którego wszystkie tajne związki zostały zakazane. Odtąd policya tropiła tajne stowarzyszenia, a podejrzane jednostki otaczała niewidzialną siecią szpiegostwa. Na czele tej roboty stał senator Nowosilcow, namiętny intrygant i krętacz, pałający, jak wiadomo, nienawiścią ku wszystkiemu, co polskie, a dyszący żądzą zniesienia wszelkich urządzeń, świadczących o odrębności Królestwa. W r. 1822 policya wpadła na trop Wolnomularstwa Narodowego—i wnet rozpoczęły się aresztowania. Szczególną uwagę zwracały władze policyjne na młodzież uniwersytecką w Warszawie i Wilnie.

Uniwersytet wileński oddawna był solą w oku drapieżnego senatora.

Drobny, sam przez się nic nieznaczący wypadek stał się pretekstem do wtargnięcia władz śledczych w życie młodzieży wileńskiej i zastosowania do niej rozległych środków represyjnych. W r. 1823, w rocznicę Konstytucyi 3 maja, jeden z uczniów gimnazyum wileńskiego, Michał Plater, napisał w klasie na tablicy: Vivat Konstytucya 3 maja! Koledzy Platera dodali kilka słów niewinnych, świadczących o sentymen-

cie młodzieży, ale nie zawierających nic szczególnego.[1]) Kilka lat przedtem napis taki nie zwróciłby niczyjej uwagi, ale epo-

---

[1]) Na wypadki w Wilnie rzucają charakterystyczne światło „Memorye, czyli kopie posiedzeń Rządu Cesarskiego Wileńskiego Uniwersytetu z 1823 roku". Poniżej kilka odpisów.

Posiedzenie XVIII Nadzwyczajne z dnia 11 maja.

„Na tem posiedzeniu rektor uniwersytetu uczynił przełożenie następne: Gdy wskutek postanowienia Rządu Uniwersytetu na przeszłem posiedzeniu dnia 8 maja zapadłego, w sprawie o nieprzyzwoite napisy przez uczniów w klasie V Gymnazyum Wileńskiego poczynione, objawił upomnienie zastępcy dyrektora, P. Skoczkowskiemu, ten tłómaczył się, że w czasie popełnionej nieprzyzwoitości chorował, a zastępca Pomocnika, p. Żyliński nie doniósł mu o zaszłem w szkole wydarzeniu. Następnie Żyliński pociągnął tłómaczeniem się swojem nauczyciela Ostrowskiego i Grauerta. Wyniknęła stąd potrzeba wziąść objaśnienia na piśmie od nich czterech, a także i od nauczyciela Waszkiewicza, co i dopełniono. Osobno p. Platerowa, matka jednego z uczniów winnymi w śledztwie znalezionych, odezwała się listem do Rektora, twierdząc, że jej syn nie jest winnym, a zeznał się do winy jedynie tylko dla ochronienia innych. Z takowym listem posyłał Rektor do p. Platerowej pp. Skoczkowskiego i Żylińskiego, którzy mu donieśli i na tym liście przypisali, że syn jey w jey-że obecności potwierdził zeznanie, uczynione w czasie śledztwa, a zatem i matka na tem przestała. Wszystkie te papiery, to jest, objaśnienia Skoczkowskiego, Żylińskiego, Ostrowskiego, Waszkiewicza i Grauerta, tudzież list p. Platerowej z przypisem pp. Skoczkowskiego i Żylińskiego przedstawił Rektor. d. 10 maja JW. Litewskiemu Wojennemu Gubernatorowi, jako dodatek do śledztwa, przedstawionego pod dniem 9 maja. Później tegoż dnia p. Platerowa odniosła się powtórnym listem, znowu tak jak pierwiej protestując zeznanie swego syna i oświadczając udowodnienie jego niewinności. Wszystkie te papiery Rząd Uniwersytetu roztrząsnąwszy, uznał, że 1-o) Śledztwo pierwsze niedostateczne, 2-o) dopóki się tu rzecz nie wyjaśni, pp. Skoczkowski i Żyliński nie mogą pełnić obowiązków, pierwszy Dyrektora, a drugi pomocnika. 3-o) Z powodu wchodzącej do śledztwa p. Platerowej i z uwagi, że może okazać się potrzeba pociągnięcia do tegoż śledztwa i więcej osób nienależących do wiedzy gimnazyalnej i uniwersyteckiej, potrzeba żądać przydania urzędników cywilnych. Postanowiono 1-o) do wyprowadzenia nowego śledztwa wezwać profesorów, pp. Pelikana, Łoboykę i Daniłowicza, z tem, iżby śledzili nie tylko uczniów, ale też i nauczycielów gimnazyalnych i kogo z rzeczy wypadnie, do czego dać śledzącym wszystkie papiery, jakie w tem dziele już się zgromadziły. 2-o) PP. Skoczkowskiego i Żylińskiego od pełnienia obowiązków Dyrektora i pomocnika usunąć do późniejszego o tem postanowienia, a tymczasem zastępstwo dyrektora poruczyć Nadwornemu Radcy, Adjunktowi p. Krassowskiemu, jako wybranemu już od Rady na dyrektora. 3-ie) O tem wszystkiem donieść JW. Gubernatorowi Wojennemu Litewskiemu i prosić o rozrządzenie względem podania urzędników cywilnych, którzyby wspólnie z uniwersyteckimi śledzwo wyprowadzili. 4-o) Donieść o tem wszystkiem księciu kuratorowi. *Oryginał podpisali:* Rektor Józef Twardowski, Dziekani: Życki, Mianowski, Chodani i Groddeck. Sekretarz Felix Mierzejewski":

ka, w której gwałtownie doszukiwano się przestępstw, obfitowała w przerażające niespodzianki. Napis ów zwrócił uwagę nauczyciela Ostrowskiego i zgorszył go niesłychanie. Niewiele myśląc, Ostrowski dał znać o owym ważnym wypadku miejscowemu gubernatorowi. Był nim Rimskij-Korsakow. Gubernator, zamiast potraktować denuncyanta, jakby należało, do tego stopnia przejął się ważnością donosu, że zawezwał rektora Twardowskiego i zażądał od niego wyjaśnień. Przestraszony Twardowski stropił się odrazu, powiedział wprawdzie, że w jego oczach napis ów nie ma żadnego znaczenia, ale przeprowadził śledztwo, a następnie wyjednał u rządu

---

Posiedzenie XVII z d. 8 maja.

„Rektor Uniwersytetu przełożył: że otrzymawszy wiadomość, iż w klasie V Gymnazyum Wileńskiego na tablicy były napisane nieprzyzwoite słowa, polecił pod d. 5 maja t. m., ażeby zastępca Dyrektora spólnie z nauczycielami Żylińskim i Ostrowskim wyśledzili, kiedy i przez kogo te słowa zostały napisane: Wskutek czego otrzymał raport pod. d. 7 maja, tegoż miesiąca na swoje imię od Gymnazyum Wileńskiego, który Rządowi Uniwersytetu złożył; z niego się okazuje: że pomienione słowa napisane zostały przed lekcyą Historyi Rzymskiej przez ucznia Michała Platera, a poprawiali uczniowie Jan Czechowicz, Józef Kułakowski, Benedykt zaś Kościałkowski radził w nich odmianę". Władze gimnazyalne postanowiły ukarać winnych aresztem: „Michała Platera, mającego wieku lat 15", na 10 dni aresztu, 2 następnych na 8 dni, a Kośc. na 2 dni. „Przyczem Rektor uwiadomił, że pierwszą wiadomość o tem zdarzeniu otrzymał od JW-go Wojennego Generał-Gubernatora i że widział się być zmuszonym dać zastępcy dyrektora upomnienie, że wraz o tem Jemu nie doniósł".

Posiedzenie XIX z dnia 16 maja.

Dnia 15 maja Rimskij-Korsakow za № 1568, donosi, że ponieważ o zdarzeniu w Gimnazyum Wileńskiem doniósł „Jego Imperatorskiej Wysokości Cesarzewiczowi Jegomości" z prośbą o decyzyę, przeto nie wypada robić nowego śledztwa. Wyznaczył przecież dla dopełnienia przeprowadzonego śledztwa policmajstra Radcę Stanu. Szłykowa.

Posiedzenie XXIX z d. 2 lipca.

Czytano list wojennego gubernatora, donoszący że W. Książę „dla wyjaśnienia śledzącej się okoliczności względem zjawionych w Wilnie niedorzecznych napisów na tablicy w klasie piątej Gymnazyum Wileńskiego i na klasztorze Dominikańskim, raczył poruczyć P. Radcy Tajnemu i Senatorowi Nowosilcowowi dalej ciągnąć i kończyć śledztwo na mieyscu, zostawując jemu prawo działania we wszystkich razach podług jego uwagi". Skutkiem tego gubernator żąda zakazania „profesorom Uniwersytetu, Nauczycielom Gymnazyum, jako też uczniom V klasy wyjeżdżać z Wilna na wakacye do ustania rewolucyi". Wyjątki i streszczenia podane są według odpisów rękopiśmiennych, znajdujących się w Ces. Bibl. Publicznej w Petersburgu.

uniwersyteckiego decyzyę, na mocy której ukarano kilku uczniów aresztem, a zastępcy dyrektora i nauczycielowi historyi udzielono surowego napomnienia.

Zdawać się mogło, że sprawa jest skończona. Ale gubernator, nie uważając, by sprawiedliwości stało się zadość, rozkazał nie wypuszczać winowajców z aresztu, a nauczycieli uwolnić od obowiązków. Wszakże nie poprzestał na tem, lecz zawiadomił o wszystkiem w. ks. Konstantego. Przeraził się Konstanty i niezwłocznie przesłał raport carowi. Jednocześnie zaś wysłał do Wilna swojego adjutanta, hr. Nesselrode, z rozkazem aresztowania rektora Twardowskiego i głównych winowajców. Nadto polecił winnych uczniów przewieźć pod konwojem do Warszawy. Rozkaz ściśle został wykonany. Platera i trzech innych uczniów pochwycono w nocy i wywieziono z takiemi ostrożnościami, że nawet władze szkolne nie wiedziały o tem. Głuche gawędy, krążące po mieście, wyjawiły prawdę. Jednocześnie wtrąceni zostali do więzienia nauczyciele Aleksander Żyliński i Jan Waszkiewicz, prefekt gimnazyalny Skoczkowski, wreszcie sam rektor uniwersytetu, Twardowski.

W lipcu przybył do Wilna Nowosilcow.

W. książę pozostawił mu zupełną swobodę działania, ale obok tego dał mu sekretną instrukcyę, która postępowaniu senatora z góry wykreślała drogi, a nadto zawierała opinię Konstantego o „szkodliwym duchu uniwersytetu i wykładanych w nim nauk”.[1]) Były to wskazówki zbyteczne, Nowosilcow bowiem nie potrzebował zachęty. Przybywszy na miejsce, rozkazał uwolnić z więzienia Twardowskiego i aresztowanych wraz z nim nauczycieli, poczem, otoczony zgrają szpiegów, przystąpił do utworzenia komisyi śledczej. Właściwy skład tej komisyi stanowili: profesor Pelikan, policmajster Szłykow, prokurator Botwinko, radca Ławrynowicz i nieodłączny towarzysz Nowosilcowa, Leon Bajkow.

Rozpoczęły się badania i rewizye. Zeznania studenta Jankowskiego naprowadziły komisyę na ślady istnienia Filaretów. Wnet rozpoczęła się istna orgia aresztów. Więzie-

---

[1]) H. Mościcki. Wilno i Warszawa... Warsz. 1908, str. 26.

nia zapełniły się młodzieżą, a śród niej znaleźli się niemal wszyscy studenci, bliżsi myślom i sercu Lelewela. Na pastwę senatora zwożono codziennie do Wilna wyrwaną z domów rodzicielskich młodzież, poddawano ją torturom badania i wtrącano do więzień. Ofiary zwożono z najdalszych zakątków Litwy, z Wołynia, Podola i Ukrainy, a w samem Wilnie aresztom nie było końca. Groza padła na nieszczęsne miasto. Nikt nie był pewny dnia jutrzejszego, bo żarłoczność Nowosilcowa nieustannie nowych domagała się ofiar.

W takich czasach i takich okolicznościach miał się Lelewel narazić wszechwładnemu senatorowi i na własnej osobie doświadczyć skutków jego gniewu. Nowosilcow z góry powiedział sobie, że związki studenckie musiały mieć swoich opiekunów i dotrzeć do nich postanowił koniecznie. Ciężkie chwile przyszły na szlachetniejsze w gremium profesorskiem jednostki. Do obawy o los uwięzionych studentów łączyły się obawy o los i przyszłość własną.

Rektor Twardowski, zjednany przez obłudnego Nowosilcowa, stracił hart ducha i stał się powolnem narzędziem w rękach sprytnego intryganta, który niebawem pokazał mu swoje pazury i swoją pogardę. Twardowski nie posiadał odwagi cywilnej, kark miał miękki, wobec władz wyższych był usłużny, potulny. Dostawszy się w ręce takiego gracza, jak Nowosilcow, okazał się człowiekiem trwożliwym i małodusznym, a usłużnością swoją szkodził i sprawie uniwersytetu, i uwięzionej młodzieży, i samemu sobie. Postępowaniem swojem doprowadził do tego, że w pokorze ducha znosić musiał zniewagi, których mu nie szczędzono. Sam wyszedł z opałów bez szwanku, wyniósł z nich nawet order, ale wraz z orderem mocno nadwyrężoną opinię.

Inaczej, niż Twardowski, bo już całkiem szczerze, oddał się na usługi Nowosilcowa profesor Wacław Pelikan. Była to dusza nikczemna i przedajna. Namiętny szuler, łapownik, człowiek bez czci i wiary, znalazł nareszcie wdzięczne pole dla swoich przyrodzonych uzdolnień. Zasłynął też szeroko, jako zdecydowany wróg młodzieży, jako tępiciel wszelkich szlachetniejszych dążeń, jako denuncyant o wytartem czole. On to, mianowany w uznaniu zasług rektorem na miejsce

Twardowskiego, przyczynił się wkrótce do strasznego upadku znakomitej uczelni. Niedwuznaczną rolę, według Lelewela, odegrać miał również prof. August Becu. Umiał on zaskarbić sobie względy Nowosilcowa, a względy takie trzeba było drogo okupywać. Więc Becu rzucał podejrzenia na kolegów, obwiniał Kontryma, u którego Zan niegdyś mieszkał, „począł na sztych wystawiać" Gołuchowskiego i Lelewela, upewniać miał nawet, że ten ostatni „miewa u siebie schadzki młodzieży".[1])

Zwrócono wtedy baczniejszą uwagę i na tych profesorów.

Gołuchowskiemu nie miano nic więcej do zarzucenia prócz tego, że był znakomitym uczniem Schellinga, że wykłady jego miały wielkie powodzenie i że młodzież darzyła go sympatyą. Równie błahe powody naraziły profesorów Daniłowicza i ks. Bobrowskiego. Nie mógł, oczywiście, uniknąć podejrzeń i najulubieńszy profesor, szczery przyjaciel Filaretów, Lelewel.

Mówiły przeciwko niemu pozory. Śladów niedozwolonej działalności nie umiano wynaleźć, ale dość było pozorów, aby się znaleźć w szeregu ofiar. A pozorów nie brakło. Całe Wilno wiedziało o stosunkach serdecznych, łączących Lelewela z młodzieżą; wiedziano również, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy młodziutki Plater pisał na tablicy gimnazyalnej niewinne słowa, które stać się miały pretekstem do zainicyowania akcyi prześladowczej, Lelewel z katedry uniwersyteckiej miał wykład o konstytucyi 3 maja i wykładem tym ściągnął na siebie niezadowolenie obecnych na prelekcyi urzędników policyi.[2]) Już to jedno mogło narazić go na szykany. A stosunki z młodzieżą były najgorszem dla Lelewela świadectwem. Na szczęście, komisya śledcza nie miała żadnych namacalnych dowodów, aby pociągnąć Lelewela do odpowiedzialności. Zaszedł jednak wypadek, który naraził go potężnemu Nowosilcowowi. Wkrótce po uwięzieniach młodzieży odbyły się wybory

[1]) Nowosilcow w Wilnie. Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom XIII, str. 279.

[2]) Kuryer Polski, r. 1831, str. 573. Ordyniec, broniąc Lelewela przed atakiem Kicińskiego w epoce powstania, pisał: „około tegoż samego czasu... Pan Lelewel, jako profesor historyi, całą godzinę miał rzecz z katedry o Konstytucyi 3 maja wpośród szczękających na sali pałaszami siepaczów despotyzmu".

dziekana na wydziale moralno-politycznym. Twardowski był nieobecny, zastępował go Pelikan, szukający dopiero drogi do łask Nowosilcowa. W oczach senatora Lelewel miał złą opinię, Pelikan wiedział o tem doskonale i agitował za wyborem profesora ekonomii politycznej, Znoski, uprzedzając kolegów, że Nowosilcow życzy sobie widzieć na dziekaństwie Znoskę. Obawiał się Pelikan, że na Lelewela paść może wybór i zawczasu starał się wypadek ten uprzedzić. Intrygi te nie doprowadziły do celu. Przyszły wybory—i większością głosów powołany został na dziekana Lelewel...

Nie wiedział on nic o zabiegach Pelikana, ale wiedział dobrze, że u władz wyższych i Nowosilcowa najgorszą ma opinię. Więc w obawie, żeby ta opinia nie dotknęła całego fakultetu, podziękował za honor i zrzekł się dziekaństwa. Powiedział otwarcie, dlaczego to czyni i przewodniczącego Pelikana pytał nawet, czy wybór przyjąć mu radzi, czy nie. Pelikan milczał zagadkowo. Natomiast koledzy, acz wiedzieli o życzeniach Nowosilcowa, podtrzymywali swój wybór i nalegali na Lelewela, aby się nie wymawiał. Ostatecznie trzy dni dano mu do namysłu. Lelewel wahał się, co czynić. Trzeciego dnia przed samą sesyą zgłosił się do niego Pelikan, powiedział pod sekretem, że Nowosilcow zostanie wkrótce kuratorem, że jest to człowiek mściwy, a chce koniecznie, aby dziekanem został profesor Znosko. To dopiero zdecydowało Lelewela do przyjęcia dziekaństwa. „Poszła ta rzecz do ponowionej na powszechnem uniwersytetu zebraniu elekcyi. Z fakultetu ci tylko śpieszyli na sesyą, którzy nieśli negatiwy, Pelikan głośno negatiwy na sesyą zapraszał i ściągał: wszelako większością dziewięciu głosów przeciw sześciu Lelewel dziekanem jeszcze raz przez cały komplet uniwersytetu obrany".[1])

Kurator Czartoryski posłał nominacyę nowego dziekana do zatwierdzenia ministrowi oświaty, a urząd ten piastował od niedawna admirał Szyszkow. Dygnitarz ten był przeciwnikiem wszelkich komplikacyi i w trudnych wypadkach szedł drogą najprostszą. Tak postąpił sobie i teraz: przekreślił nazwisko Lelewela, wpisał nazwisko Znoski i potwierdzenie

---

[1]) Nowosilcow w Wilnie. Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom XIII, str. 284.

wyboru Znoski na dziekana niezwłocznie przesłał uniwersytetowi.

Głęboko odczuli sponiewieraną godność uniwersytetu wszyscy profesorowie, wszyscy bowiem zrozumieli, że zbliża się kres świetnych czasów znakomitej uczelni.

A Nowosilcow w dalszym ciągu kontynuował swoje dzieło zniszczenia i zemsty.

W smutku i żałobie płynęły długie miesiące dręczącego oczekiwania. Troska o los uwięzionej młodzieży przenikała wszystkich, a przeczucie srogich wyroków zwisało, jak posępna chmura, nad uniwersytetem, miastem, nad Litwą, nad całą wreszcie ziemią, gdzie rozlegała się mowa polska i biły niespodlone serca.

Lelewel do głębi poruszony był strasznymi wypadkami.

„W tych czasach,—pisał do ojca 8 lutego 1824 r.,[1])—byłem na pogrzebie jednego z moich kolegów, na pogrzebie żony innego z kolegów moich!" I tu pod wpływem okrutnych wydarzeń wydarł się z piersi profesora okrzyk pełen tragizmu i grozy:

„Szczęśliwsi, co umierają!"

Jakże głęboko musiał odczuć ów ogrom niedoli, co zwaliła się na ukochaną młodzież, jakże cierpiał nad jej losem! Szczęśliwsi, co umierają! Trudno o pełniejszy wyraz goryczy, niż te trzy słowa, wyrwane z pod strapionego serca, trudno o lepszą charakterystykę nastroju społeczeństwa w tych czasach żałoby i smutku.

W połowie lutego 1824 r. zaczęły otwierać się cele więzienne i aresztowani studenci, którym nic nie dowiedziono, odzyskiwali swą wolność. Nie wszyscy. Członkowie uczniowskiego stowarzyszenia *Braci Czarnych* w Krożach, Witkiewicz i Janczewski, skazani zostali na śmierć, którą im zamieniono na dziesięcioletnie ciężkie roboty forteczne w kajdanach. Uczniowie szkoły kiejdańskiej, Tyr i Mollesson, również skazani na śmierć, zesłani zostali w drodze łaski do kopalń nerczyńskich. Wyrokiem śmierci zagrożono jeszcze uczniom Olszewskiemu i Dębińskiemu, aby i ten wyrok „złagodzić" ciężkiemi robotami.

---

[1]) Listy J. Lelewela. T. I, str. 411.

Inni zesłani zostali na roboty forteczne w Bobrujsku, inni jeszcze do Orenburga, Tobolska, Ufy, Archangielska.

Nowosilcow tryumfował.

Zadzwoniły kajdany, rozległy się jęki, szlochania i przekleństwa a rozpacz skazanych dzieci i ich matek zahuczała nad Polską, jak dzwon cmentarny, wzywający cały naród do żałoby.

Szczęśliwsi, co umierają!

Jakże prostym, jasnym i zrozumiałym na tle tych posępnych wydarzeń staje się okrzyk Lelewela! Jakiemże echem w sercu jego musiały się odezwać szlochy dzieci i matek, głuchy brzęk łańcuchów! Jakiemiż oczyma ten patron i najserdeczniejszy przyjaciel młodzieży patrzeć musiał w ową olbrzymią mogiłę, w której miano złożyć zaledwie rozkwitłe kwiaty marzeń młodocianych, zasypać piaskiem cmentarnym niejeden talent, połamać o zimne głazy dalekich kopalń Sybiru młodzieńcze skrzydła, zrywające się dopiero do lotu, pogrzebać w ciemnych lochach najpiękniejsze oczekiwania, najdroższe nadzieje!..

Lelewel uniknął srogiego losu, a materyał, znajdujący się w rękach komisyi śledczej, nie zawierał poszlak, obciążających profesora, bo za jego to poręką w kwietniu 1824 roku wypuszczony został z klasztoru Bazylianów Adam Mickiewicz.

Na wakacye wyjechał Lelewel do Łucka. Wakacye te były zatrute przeżytemi wrażeniami i wiadomością o ukazie z d. 14 sierpnia. Wiedział profesor, że nie ma poco wracać do Wilna, powrócił jednak, gdyż oficyalnie nie był jeszcze o losie swoim zawiadomiony. Ukaz ten, potępiający wszystkich, co pragnęli rozszerzać „nierozsądną narodowość polską", zawierał ustęp następujący:

„Dla przecięcia szkodliwego wpływu, który przedsięwzięła partya przeciwna zwierzchności uniwersyteckiej, oddalić od obowiązków profesorów zwyczajnych: Lelewela, Bobrowskiego i Daniłowicza, nadto, ponieważ i sam pobyt ich w Wilnie nie może być im dozwolony, zatem pierwszemu z nich, Lelewelowi, który jest rodem z Królestwa Polskiego, dozwolić powrotu do swojej ojczyzny; drugiego zaś, jako będącego w stanie duchownym, oddać pod dozór zwierzchności duchownej, z tem, aby wydaliła go z Wilna; a trzeciemu zostawić obranie sobie

przebywania poza granicą polskich gubernii". [1]) Gołuchowski również zwolniony został od obowiązków i wydalony z Wilna.

Kary, spadające na popularniejszych śród młodzieży profesorów, były dotkliwe, ale wobec opłakanych stosunków, jakie nowy kurator Nowosilcow i nowy rektor Pelikan wytworzyli w uniwersytecie wileńskim, nie były złem najgorszem. Biorąc pod uwagę całokształt wypadków ówczesnych, powiedzieć można, że z przepastnej toni intryg i prześladowań obronną ręką wydostał się Lelewel. Stracił posadę, oderwany został od miłujących go serc młodzieży wileńskiej, ale mógł przynamniej wrócić do Warszawy i pracować dalej w umiłowanym zawodzie.

Z bólem i żalem, z pamięcią o Wilnie, która aż do śmierci miała wzruszać serce i rozpłomieniać duszę, opuszczał nieszczęśliwe miasto i wracał do Warszawy.

Czekało go tam nowe a wielkie przeznaczenie.

---

[1]) Nowosilcow w Wilnie. Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom XIII, str. 289—290.

VIII.

NA DRODZE DO REWOLUCYI.

Smutne wypadki wileńskie nie były zjawiskiem odosobnionem. Zły duch Nowosilcowa tryumfował przedewszystkiem w Królestwie Polskiem, ciążył nad całokształtem życia narodowego, jak złowróżbna chmura, z której raz po raz wybłyskał piorun i walił w gruzy wzniesione pracą pokolenia budowle społeczne. Działalność niszczycielska przenikała do szkół i uniwersytetu, podważała dzieło oświaty, by u samych podstaw dezorganizować byt społeczeństwa. Minister oświecenia publicznego, Stanisław Kostka Potocki, człowiek dzielny i energiczny, a zasłużony na swoim urzędzie, zastąpiony został przez Stanisława Grabowskiego, figurę lichą i nędzną, będącą powolnem narzędziem w rękach potężnego senatora. Studenci i profesorowie oddani zostali pod dozór tak zwanej kuratoryi jeneralnej, która w gruncie rzeczy była władzą policyjną. Kuratorya miała do swego rozporządzenia całą zgraję dozorców i szpiegów, wietrzących wszędzie nieprawomyślność. Donosy i oskarżenia zaczęły większą rolę odgrywać w uniwersytecie, niż nauka, coraz jawniej poniewierana i coraz jawniej spychana z należnego jej stanowiska. Urząd kuratora okręgu naukowego wileńskiego zajął sam Nowosilcow. Na miejsce po Czartoryskim mściwy i nienawidzący młodzieży polskiej senator, na urzędzie Potockiego oddany całą duszą senatorowi Grabowski! Cóż dziwnego, że przy takich opiekunach

i kierownikach największe dobro społeczne, oświata, najcięższym poddana została próbom. Liczba szkół zarówno w Królestwie, jak i na Litwie szybko zaczęła się zmniejszać, a duch obywatelski, ożywiający uczelnie polskie, ustępował zwolna przed duchem donosicielstwa i ciemnoty.

Samowola, panująca w szkołach, ogarniała zwolna wszystkie dziedziny życia, szczególniej zaś te, w których przejawić się mogła niezależność ducha i myśli. Więc funkcyonująca od roku 1819 cenzura miażdżyła wszelki objaw niezawisłości obywatelskiej, ukazujący się w słowie drukowanem. Józef Kalasanty Szaniawski, stojący na czele komitetu cenzury, zasłynął jako mistrz w wyszukiwaniu nieprawomyślności. Działalność jego była istnem płomieniem zniszczenia. To też zawód pisarski stał się w Polsce prawdziwą męczarnią. Wszelkie prace, ukazujące się w druku, wychodziły z pod prasy okaleczone, obdarte nieśmiałe, jak człowiek, który cudem się wydosta z pod pałek rozbójników. Nie tylko publicystom i literatom, ale nawet uczonym pióro wypadało z ręki na samo wspomnienie tortur, którym poddane będą ich prace. Wystarczyło powziąć jakikolwiek zamiar wydawniczy, by straszne widmo Szaniawskiego stawało przed oczyma.

„Roi się wiele projektów,—pisał z Warszawy Lelewel,—ale *drżę na wspomnienie*, że to wszystko wyjdzie z druku ciężkiem kalectwem dotknięte. Trudno sobie wyobrazić, co się to dzieje w tutejszej cenzurze. To wszelkie pojęcie przechodzi. Żadna fikcya, żadna fantazya nie zdołałyby zmyślić co[ś] podobnego, co rzeczywiście się dzieje. Wszakże to śmiechu nie wzbudzi, ale rozdziera serca, do żywego moralne oburza uczucia i zdrowy obraża rozsądek..."[1])

A takich faktów, co rozdzierały serca i obrażały zdrowy rozsądek, zbierało się coraz więcej.

Od czasów Sejmu 1820 roku, Sejmu, zakończonego groźbą Aleksandra, konstytucya, którą niby tarczą zastawiali się obywatele Królestwa przed wymierzanymi na ich prawa ciosami, stała się osłoną z pajęczyny. Szarpał ją w. ks. Konstanty, darł Nowosilcow, a pozostałe strzępy rozwiewał wiatr reakcyi.

---

[1]) List z d. 3/X 1827 r. Rks w Arch. Gł. w Warszawie.

Gwałt stał się konstytucyą, a samowola—prawem. Na takim gruncie musiała się krzewić robota spiskowa. Im silniej ją prześladowano, tem szerzej i głębiej się rozgałęziała. Na nic się zdały donosy, szpiegostwa i represye. Gdy rozwiązano Wolnomularstwo Narodowe, wnet na jego gruzach powstało Towarzystwo Patryotyczne. Wprawdzie główny twórca tego Towarzystwa, Łukasiński, został uwięziony, ale niepodobna było uwięzić idei, dla której nie istniały kraty więzienne. Właśnie w czerwcu roku 1824, a więc zaledwie na kilka miesięcy przed przyjazdem Lelewela do Warszawy, zapadł wyrok, skazujący Łukasińskiego na dziewięć lat ciężkiego więzienia, a dwóch innych oskarżonych, Dobrogojskiego i Dobrzyckiego, na lat sześć. W ten sposób obezwładniono ludzi, ale idea, licząca coraz więcej zwolenników, a uświęcona męką swoich apostołów, strzeliła tylko jaśniejszym płomieniem.

Sejm 1825 roku, poprzedzony słynnym Artykułem dodatkowym, znoszącym jawność obrad sejmowych i aresztowaniem posła Niemojowskiego, nie mógł odświeżyć atmosfery, pełnej oczekiwania i niepokoju. Przeciwnie. Obawy społeczeństwa o dalszą przyszłość kraju wzrosły, gdy w grudniu tegoż roku na tronie rosyjskim zasiadł Mikołaj I i w sposób niedwuznaczny dał poznać swoje intencye.

Duszno i ciężko było w Warszawie, kiedy osiedlił się w niej znakomity profesor. Po rozdzierających duszę wypadkach wileńskich otoczyły go zawiedzione nadzieje i żale, i skargi, coraz częściej wybuchające. Atmosfera zawodów i niemocy panowała w stolicy. Nie uległ przecież tej atmosferze uczony. Zamiłowanie do pracy uratowało go od zniechęcenia, a ruchliwość umysłu popchnęła go niebawem na nowe pola badań naukowych. Ciężkie położenie materyalne, w jakiem się znalazł[1]), także nie zdołało nadwyrężyć równowagi ducha. Lelewel umiał ograniczać swoje potrzeby. Dostatnio żyjący w Wilnie, sprowadził się teraz do kamieniczki ojcow-

[1]) W jednym ze swoich listów pisał L-l: „...Suma 63 rubli prawie wyrównywa moim dochodom rocznym, które extra życie i mieszkanie... mam na odzienie i przypadkowe wydatki". W liście późniejszym wspomina: „nie jeden w tych dniach zdarzył się taki, co poglądając na moją izdebkę, pyta mnie, czy to już całe mieszkanie. Całe, panie mój, wedle stawu grobla". Rks w Arch. Głównem.

skiej przy ulicy Długiej i tu, zająwszy jedną izbę, bez sieni i przedpokoju, umieścił swoje skarby, t. j., rękopisy i „bibliotekę cokolwiek podrosłą”, z zamiarem poświęcenia całego czasu pracy naukowej i nowym poszukiwaniom.[1]) Nie odgradzał się przecież od świata i ludzi. Zawierał nowe znajomości, a ścieżki, wiodące do serc dawnych przyjaciół, „odświeżał” nieustannie licznymi listami. Interesował się swoimi uczniami, ich powodzeniem i pracą, a myślą biegł często do Wilna, które już do końca życia z największem miał wspominać wzruszeniem. Niestety, i z Wilna smutne dochodziły go wieści.

„Dziś znowu,—pisał Mikołaj Malinowski,—niemiłą wiadomość czynić mi przychodzi. P. Eustachy Iwanowski, uczeń prawa, posądzony o nieuległość swemu dziekanowi i o rozszerzanie ducha krnąbrności między młodzieżą, z rozkazu wyższego dzisiaj wyprawiony został do pułku żytomierskiego, gdzie ma służyć żołniersko. Ten przykład uczynił mocne wrażenie. Trwożliwość jakaś opanowała umysły, każdy lęka się o siebie, bo niewiadomo, jakich prawideł postępowania trzymać się należy, żeby można pozostać spokojnym. Co do mnie, pozrywałem wszelkie związki dawniejsze”[2]).

Takie to wieści otrzymywał od swoich młodych przyjaciół, a i sam nic pocieszającego o sobie donieść im nie mógł.

„Pytałeś, Panie,—pisał nieco później do Malinowskiego,— o mnie, co ja z sobą robię. Siedzę w domu, bywam na sesyach towarzystwa przyjaciół nauk, odwiedzam czasem krewnych, czasem znajomych, wreszcie siedzę w domu, w mojej bibliotece i szukam dla siebie ciągłego zatrudnienia i ciągłe znajduję i wtedy najspokojniejszy jestem. Najprzykrzejsze dla mnie momenta, gdy wpadnie jaki nowy projekt extra zatrudnień moich... W tych czasach proponowano mi środki do szukania i pozyskania bibliotekarstwa. Od dwóch miesięcy ponawiane kwestye psują mi tylko humor. Powtarzam, że każdy obowiązek publiczny będzie mi przykry, a tego nie chcę. Więc siedzę w domu, jak siedziałem, ograniczając się stosownie, a mając napiętych zatrudnień huk. Na blizkiem

[1]) Przygody w poszukiwaniach, str. 42.
[2]) List z d. 6/VI, 1825 r. Rks w Arch. Gł.

posiedzeniu publicznem mam czytać o historycznych Naruszewicza i Czackiego pracach..." [1])

Smutek i zniechęcenie do wszystkiego, prócz pracy naukowej, przebija najczęściej z listów Lelewela, pisanych w tym okresie. Pragnął ciszy i samotności, a od urzędów publicznych stronił. Ale stan zniechęcenia przy usposobieniu i żywym umyśle uczonego długo trwać nie mógł. Jego przyjazd do Warszawy nie minął bez wrażenia i następstw. Był już zbyt znany i cieszył się już zbyt głośną sławą, aby go pozostawiono w samotności. Powrócił do stolicy, jako patron i ulubieniec młodzieży, powrócił opromieniony aureolą niełaski, która w dobie owej potężnie przemawiała do serc młodego pokolenia.

Więc przedewszystkiem zwróciła uwagę na profesora młodzież warszawska i bardzo szybko pasowała go na swojego przewodnika i wodza. A śród tej młodzieży znalazły się jednostki, które w życiu dalszem miały zająć w społeczeństwie poważne stanowiska. Taż sama młodzież miała się wkrótce przyczynić do wywołania pamiętnych nazawsze wydarzeń.

Właśnie naprzeciwko domu, w którym osiedlił się Lelewel, było mieszkanko, często nawiedzane przez grono entuzyastów i marzycieli, a nieraz do późnej nocy rozbrzmiewające gwarem płomiennych dowodzeń i sporów. A ścierały się tam zdania idącej pod jednym sztandarem młodzieży, gorącej i namiętnej, zapalnej, jak dynamit, a rozhukanej, jak młodość. W ciągu lat kilku mieszkanko to nawiedzali Zaleski, Goszczyński, Nabielak, Gosławski, Witwicki, Podczaszyński, Bronikowski, Wójcicki, Chopin, Żukowski, a nad gwarem, który tam czynili, górował najczęściej namiętny głos gospodarza. Gospodarzem tym był Maurycy Mochnacki.

Młode, rozentuzyazmowane grono poznało się z Lelewelem i wkrótce zawiązało z nim stosunki serdeczniejsze.

Dostępny profesor umiał jednać młode serca, a od jego postaci wiać musiało niezwykłym urokiem, skoro nawet w wiele lat później, po niezliczonych klęskach, cierpieniach

---

[1]) List z d. 1/XII 1825 r. Rks w Arch. Gł.

i smutkach, wszyscy, co w swej młodości mieli z nim styczność, nie mogli wspominać o tem bez wzruszenia.

,,Okna domu Lelewelowskiego, — opowiada Zaleski,—wychodziły naprzestrzał, wprost ku dwom oknom pokoju Maurycego koło Paulinów. Ile razy zacietrzewiliśmy się w rozmowie aż do poranka, — brzęk szyb znaprzeciwka opamiętywał nas, pan Joachim zdaleka groził palcem... Starsi wiekiem, poważni profesorowie Lelewel i Brodziński, acz obydwaj nie potakiwali marzycielstwu i zagorzalstwu młodych, byli jednak dla nas z uważaniem i miłością. Pod ich oto niejako błogosławieństwem rośliśmy i hodowali w Warszawie".[1])

Wiemy już, że znakomity uczony traktował swoich młodych przyjaciół, jak kolegów i nie dawał im odczuć swojej wyższości. Jako szczery demokrata, zarówno z przekonań, jak z form i z usposobienia, nie obrażał się nigdy swobodą nawskroś koleżeńską, niekrępowaną żadnymi względami starszeństwa lub hierarchii. Młodzież mogła być wobec profesora sobą i ceniła ową swobodę, a profesor wiedział, że ta swoboda wzmacnia tylko okazywane mu uczucia miłości i szacunku. Nieraz też bezceremonialnie wpadano do jego izby i wytaczano sobie przed nim, jako najwyższym autorytetem, procesy, wkraczające w zakres literatury, historyi, filozofii lub polityki, w które p. Joachim z wielką powagą i życzliwością wnikał, a później wydawał swój sąd głęboki i światły. Sąd ten uśmierzał wzburzone żywioły, a naogół musiał być bardzo zbliżony do marzycielskich dążeń młodości, skoro Mochnacki nazywał później Lelewela patronem i rozmnożycielem przekonań rewolucyjnych młodzieży. Patron ten zawsze był na usługi potrzebujących i z tą samą skwapliwością służył im książką, radą, czy wskazówką, jak i pomocą materyalną. Zapracowany wiecznie i wiecznie pogrążony w znojach naukowych, nigdy przecież nie zamykał drzwi swojej izby, gdy zapukała do nich natarczywa i bezwzględna młodość. Matka Mochnackiego, opowiadając o sporach literackich, jakie jej syn Maurycy wiódł z przyjacielem swoim, Michałem Podczaszyńskim, naszkicowała taki charakterystyczny obrazek:

---

[1]) Pisma, Tom IV, str. 86 — 7.

„...Czasami jeden za drugim w największym nieładzie kamizelek i tużurków i głów niewyczesanych, dla szybkości bez kapeluszów biegli na drugą stronę ulicy do Joachima Lelewela, naprzeciw mieszkającego, a ja w oknie widziałam, jak przed nim, ową wyrocznią całej młodzieży, nawzajem oskarżali się i za sędziego brali. Te sceny tak bywały częste i zajmujące, że ich pominąć nie mogę; charakteryzują one szczęśliwy wiek naszej młodzieży, która żyła w całem znaczeniu tego wyrazu światłem wszelkich nauk i mądrością ludzi sławnych..."[1])

Imponowała młodzieży rozległa i niezgłębiona, jak ocean, wiedza Lelewela, pociągała ją ku niemu jego dostępność, jego wielka prostota i skromność w życiu codziennem, a nadewszystko zdumiewać musiała pracowitość, tak rzadka i tak niezwykła w Polaku!

Patrz! cień się tam rozściela —
Brodziński duma zblizka...
Patrz! w oknie Lelewela.
Lampa wieczyście błyska...

Oto jeszcze jedno wspomnienie Zaleskiego. Ta paląca się wieczyście w izbie uczonego lampa, to symbol jego pracy i wiedzy, nieustannie czynnej i płodnej, nie znającej przerwy, ni odpoczynku. Jakoż istotnie pracował bezprzykładnie i piśmiennictwo polskie ciągle wzbogacał nowemi zdobyczami.

Od powrotu z Wilna do wybuchu powstania, a więc w ciągu lat pięciu wydrukował lub napisał mnóstwo rozpraw i studyów z zakresu historyi, archeologii, numizmatyki, prawa i bibliografii. Do tych prac należy „Wiadomość o starych pieniądzach, blizko Płocka w Trzebuniu wykopanych", poważny i doniosły przyczynek do późniejszego dzieła o numizmatyce wieków średnich. Teraz wydrukował swą rozprawę konkursową „O historyi, jej rozgałęzieniu i naukach związek z nią mających", wydał w Wilnie drugi tom kapitalnych „Bibliograficznych ksiąg dwojga", wydał „Ocalenie Polski za Łokietka", wydrukował gruntowną rozprawę o „Powstaniu, rozwijaniu się i zgaśnieniu bałwochwalstwa dawnych Skandy-

[1]) Listy Maurycego Mochnackiego. Poznań 1863, str. 292.

nawów", pomieścił szereg gruntownych rozpraw w „Temidzie Polskiej", w „Bibliotece Polskiej", w „Rozmaitościach warszawskich", w „Gazecie Polskiej", w „Gazecie Warszawskiej".

Brał również czynny udział w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ale nie darzył tej instytucyi sympatyą i sam w gronie uczonych mężów warszawskich sympatyi nie zdobył. Gniewała Lelewela lękliwość Towarzystwa wobec władz rosyjskich, nie mógł się pogodzić z postawą Towarzystwa, chwiejną, trwożliwą. Koźmian twierdzi, że uczony ku niezadowoleniu ogółu członków na zebraniach Towarzystwa podnosił kwestye polityczne, których unikano, jak ognia, a nawet zgłaszał wnioski, które obecnych wprawiały w kłopot lub wywoływały energiczne protesty. Gdy profesor paryski, Villemain, wygłosił przemówienie, nacechowane szczerą sympatyą dla Polski i wróżył jej polepszenie losu, cenzura warszawska skonfiskowała gazetę francuską, która przemówienie to wydrukowała. Ale Lelewel drogą uboczną otrzymał z Paryża odpis owej mowy, przyniósł ją na posiedzenie Towarzystwa, odczytał i zaproponował, aby Towarzystwo podziękowało profesorowi za piękne słowa i ofiarowało mu godność swojego członka. Obecni struchleli, usłyszawszy tak zuchwałą propozycyę. Prezydujący Niemcewicz ostro powstał przeciw wnioskowi, a inni energicznie poparli Niemcewicza. Ale Lelewel był uparty i nie przestraszył się krzyków. Widząc, że projekt nie przejdzie, zażądał, aby przynajmniej wpisano wniosek do protokółu. Nie chciano jednakże zgodzić się i na to, w obawie, że Towarzystwo zostanie rozwiązane. Lelewel, jak upewnia Koźmian[1]) obraził się i nie tylko nie przestał oddziaływać na młode umysły w duchu rewolucyjnym, ale ku najwyższemu oburzeniu Koźmiana, w gmachu Towarzystwa odbywał z młodzieżą tajemnicze narady.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk przystosowywało się do ciężkich warunków istnienia, buntowniczy Lelewel nie umiał i nie chciał się do tych warunków nagiąć — i to we wzajemnym stosunku wytwarzało zgrzyty, których echa w wiele, wiele lat potem dźwięczały jeszcze w pismach Lelewela.

---

[1]) Pamiętniki Kajetana Koźmiana. Oddział III, str. 454.

Daleko milsze stosunki łączyły uczonego z młodzieżą. Pisywał również do przebywających w Paryżu Leonarda Chodźki i Michała Podczaszyńskiego, a wzmianki i artykuły w pismach paryskich, pomieszczane w owym czasie przez nich, nieraz musiały być pisane na podstawie materyałów i wskazówek, dostarczanych przez Lelewela.

Przechowało się z tego czasu, w tradycyi żyjące wspomnienie, że młodego uczonego próbowano wyswatać i że Klementynę Tańską, cieszącą się podówczas wielką sławą, miano na widoku[1]). Trudno dociec, czy Lelewel brał udział w tych zabiegach i jaki był jego stosunek do owego zamachu na jego wolność kawalerską. Wiadomo tylko, że namawiał pannę Tańską, by napisała swem „powabnem" piórem popularną historyę polską i że głośna pisarka nieraz korzystała z rad i uwag Lelewela.[2]) Z wielką czcią wspominał również uczony pannę Reginę Korzeniowską, której nakładem wyszedł w roku 1830 jego „Atlas do dziejów polskich w Królestwie i na Litwie". Wiadomo jeszcze, że zażylsza bezinteresowna przyjaźń łączyła go z Elżbietą Elizą z Nowowiejskich Mickiewiczową[3]), przyjaciółką siostry, Maryi Majewskiej, ale przyjaźń ta dopiero na emigracyi miała przepysznie rozkwitnąć i niejedną gorzką chwilę osłodzić wygnańcowi[4]).

Zresztą Lelewel z zacisza swojej pracowni bacznie przyglądał się życiu, interesował się wszystkiem i brał żywy udział w sporach literackich, które w najwyższym stopniu poruszały inteligencyę polską. Rozgrywała się podówczas walka między dwoma obozami: romantyzm zmagał się z klasycyzmem.

---

[1]) W Pamiętnikach Klem. z Tańskich Hoffmanowej (Berlin. 1849) niema wzmianek, któreby uprawniały do potwierdzenia tej wiadomości.

[2]) Hoffmanowa w r. 1833 pisała do L-la z Paryża: „Zabrałam się do zamierzonej dawno historyi polskiej—i bardzo mi brakuje tego, który tak łaskawie dawniej w podobnych pracach przewodniczyć mi raczył". Rks w Rapp.

[3]) Jan Mickiewicz, mąż Elizy, nie należał do rodziny A. Mickiewicza.

[4]) Siostra, Majewska, mieszkała w Mławskiem, Mickiewiczowie w Pułtuskiem. „Kiedy Lelewel poznał Mickiewiczową, jak długo oni się znali przed rokiem 1832, tego nie można wywnioskować... Faktem jest wszakże, że znali się oni i spotykali poprzednio, gdyż sama korespondencya o tem wspomina: w kraju ostatnie to spotkanie zdarzyło się w domu Adolfa Cichowskiego. Wiadomo nam również, że przed wyjazdem Joachima z Królestwa, stosunki jego z Mickiewiczową były dość zażyłe..." Z rękopisu p. Jana Zakrzewskiego.

Z jednej strony stała stara gwardya literacka, Koźmian, Niemcewicz, Morawski, Osiński, Wężyk, Feliński, Molski, wszyscy wpatrzeni we wzory rzymskie i francuskie, wszyscy zwolennicy ładu i przepisów, ustanowionych na wieczne czasy przez Arystotelesa, Boileau'a i Dmochowskiego, pośrodku znajdował się sielski Brodziński, a na drugim krańcu grono rozwichrzonej młodzieży, pełnej zapału, energii i talentów. Wymiana zdań pomiędzy tymi obozami zamieniła się z czasem w walkę zaciętą i nieubłaganą.

Cenzura dużo względów okazywała tej walce: spory literackie, toczone w czasopismach, nie zagrażały porządkowi publicznemu. Tak przynajmniej mniemał słynny Józef Kalasanty Szaniawski, człowiek wykształcony, niegdyś zwolennik Kanta i prądów liberalnych, a w owym czasie naczelnik komitetu cenzury. Józef Kalasanty Szaniawski nie wiedział jeszcze, że te walki w sferze piękna wiążą się ściśle z całokształtem życia, że rewolucyjnym hasłom w dziedzinie literatury towarzyszą takież hasła w dziedzinie przeżyć politycznych, że taż sama młodzież, co z takim zapałem kruszyła więzy literackie, porwie się niebawem do innej walki i inne więzy popróbuje skruszyć. Józef Kalasanty Szaniawski nie zdawał sobie sprawy, że ten turniej literacki był jednocześnie bojem o nowy światopogląd i nowe warunki życia, był zapowiedzią i przygotowywaniem innych, zgoła nieliterackich wypadków. Dzięki temu walka toczyła się bez nadzwyczajnych przeszkód i ograniczeń.

Na czoło szermierzy, stających w obronie romantyzmu, wysuwał się podówczas wielbiciel Schellinga i Schlegla, namiętny i ognisty Maurycy Mochnacki. W roku 1825 ogłosił on w *Dzienniku Warszawskim* gorący i piękny, choć niezrównoważony jeszcze artykuł: „O duchu i źródłach poezyi w Polszcze". Odrywając poetów od naśladowania wzorów obcych i pospolitości, wskazując im świat idealny, pełen cudów i wzruszeń, rozcinając śmiałymi ciosami pęta krępujących fantazyę poetycką przepisów, słowem, pisząc swój manifest, olśniewający świeżością, siłą i wdziękiem młodości, zapalony krytyk, zbyt silnie ulegający jeszcze wpływom niemieckim, wpadał niekiedy w sprzeczność sam z sobą. Oto np. ukazy-

wał poetom niezmierzone przestrzenie przeszłych i przyszłych czasów, a następnie zalecał im czerpać natchnienie „z zasad chrześcijanizmu, połączonych z duchem rycerstwa, uczuciami honoru i szacunku dla płci pięknej". W innem miejscu mitologii rzymskiej przeciwstawiał „starożytność słowiańską" i mitologię północy, jako źródła, z których obficie czerpać może fantazya poetycka[1]).

Artykuł Mochnackiego, po raz pierwszy w sposób tak śmiały i bezwzględny godzący w pojęcia, wyznawane przez starsze pokolenie pisarzy, nie przebrzmiał bez echa. Odpowiedź ukazała się w *Bibliotece Polskiej*. Bezimienny autor, przyznając Mochnackiemu „zacne pobudki", wyrażał mu nawet „rzetelną admiracyę", za „pełne ognia obstawanie przy nowotnych wieków naszych usiłowaniach". Ale jednocześnie starał się opamiętać młodego krytyka, powściągnąć jego zbytni zapał i zarazem uchronić w przyszłości obiecującą siłę literacką przynajmniej od niektórych błędów.

Tym bezimiennym autorem był Lelewel[2]).

Wykazał Mochnackiemu sprzeczności. Jakże to, pytał, przedmiotem poezyi w Polsce może być „starożytność słowiańska, mitologia północna i duch wieków średnich, którą to prawdę uczuli Mickiewicz, Zaleski i Odyniec", skoro „tylko narodowe przedmioty godnie poezyą poruszać mogą". Starożytności słowiańskie, — pouczał Lelewel, — „nie są dość narodowe", a już mitologia północna skandynawska w żadnym razie narodową nie jest. „Wolałbym — pisał dalej profesor,—króla Sobieskiego wyprawić na pola elizejskie, aniżeli na burdy i rąbaniny do Walkiryów, do pałacu Walhalla; wolałbym, aby mu brząkał Apollon, aniżeli Bragur; wolałbym, ażeby furye, jędze miotały zbrodniarzem i zdrajcą, aniżeli Siertur".

W artykule tym wystąpił również Lelewel przeciwko „sektatorom klasyczności"[3]) i, biorąc w obronę „romantycz-

[1]) M. Mochnacki. Pisma. Lwów 1910, str. 1 — 17.

[2]) Stanisław Wasylewski w swojej cennej i gruntownej rozprawie o „Pismach" Mochnackiego (Pamiętnik Literacki. MDCLXI, zeszyt I, str. 162), wyraża przypuszczenie, że Stanisław Krzemiński pierwszy wskazał autorstwo Lelewela. Autorstwo to nie mogło ulegać wątpliwości: odpowiedź Lelewela przedrukowana została w tomie XVIII „Polski, dziejów i rzeczy jej", co zresztą i Krzemiński wskazał.

[3]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom XVIII, str. 137 — 152.

ność", twierdził, że krzyki klasyków „rozdzierają prawe serce", ponieważ „to jest wierutną bajką", jakoby romantycy pomiatali wszelkimi przepisami i mieli dla poezyi domagać się bezprawia. Ale w tych właśnie ustępach, które były obroną romantyzmu, uczony bezwiednie może przechylał się na stronę klasyczności i składał wymowny dowód, że nie wszystkie usiłowania nowatorów są dla niego zrozumiałe, że w ducha nowego prądu nie wniknął, jakby można było oczekiwać. A więc wyrażał np. przekonanie, że „romantycy też same, a nie inne mieć mogą i mają prawidła, że tęż samą jedność przedmiotu, miejsca i czasu zachować powinni". Tymczasem w walce klasyków z romantykami wszelkie przepisy, a szczególniej reguła trzech jedności poważną odegrała rolę. Niejedną prawdę, trwalszą nad aktualność, wypowiedział w swojej rozprawie znakomity historyk, ale cała praca świadczyła, że pomiędzy obozem młodych zapaleńców a uczonym profesorem istniały różnice głębokie i poważne, że Lelewel daleki był od tych krańców, ku którym lot swój kierowali młodzi.

Te różnice mogły były niejedną refleksyą natchnąć rozentuzyazmowanych romantyków i pouczyć ich wiele. Ale artykuł był bezimienny, a Lelewel mimo wszystkie różnice szczerze sprzyjał młodzieży i cieszył się jej tryumfami, cieszył się tem bardziej, że sam zukosa patrzył na wiele uznanych w Warszawie powag i wielkości. Wszakże w dalszej walce nie brał już udziału piórem. Ale brał udział sercem, a tryumfy Mickiewicza napełniały go radością i dumą. Cieszył się jego sławą, i, śledząc zdala ukochanego ucznia, wykazywał w stosunku do niego pieczołowitość wręcz wzruszającą. Niepokoił się, gdy nie miał o Adamie wiadomości, a za każdą wieść o nim najserdeczniejsze składał podziękowania.

Tryumfy poety w Petersburgu do żywego poruszyły i rozradowały Lelewela. Szeroko opowiadał o nich i romantykom i klasykom, a do Mikołaja Malinowskiego, który, bawiąc w stolicy nad Newą, był tryumfów tych świadkiem, tak pisał:

„Za list i wiadomości o Mickiewiczu nieskończenie jestem obowiązany. Napełniłeś, Panie, duszę moją radością. Chociażem o nim nie mało już słyszał prosto z Moskwy, wsze-

lako Twoje zdanie utwierdza mnie w tem wyobrażeniu, jakie już powziąć mogłem. Źle jednak robi Adam, że tomu trzeciego, jak obiecał, nie nadeśle. O Wallenrodego (!) pisali do niego, że trzeba, aby zaraz inna edycya jego w Warszawie wychodziła. Użylibyśmy imienia Brzeziny w wydaniu. To jedno mogłoby od przedrukowania lwowskiego zabezpieczyć. Posłanie 100 egzemplarzy moskiewskiej edycyi nie wstrzyma od tego lwowskich spekulantów, którzy już nie tylko sonety, ale i inne pisma Adama przedrukowali. Były tu osoby w Warszawie, co chcieli poczynić kroki, aby takiemu przedrukowaniu zapobiedz. Nicby łatwiejszego nie było, jak wstrzymać i wyjednać zatamowanie dzieł polskich. Wyperswadowałe[m] im. Niech giną, mówiłem, pojedyńczy literaci, byle ogółowi więcej nie szkodzić, bo gdy ogół szkodować będzie, będą szkodować i pojedyńczy. Nie pojmujesz, Panie, co się teraz dzieje. Sam nawet Glücksberg zaledwie uzyskał pozwolenie przedrukowania Krasickiego. Wręcz odpowiedziano, że nie wolno. Ledwie się u ministra wykłaniał"[1]).

Powodzenie Mickiewicza, o którem Lelewel wiedział z listów Malinowskiego[2]), a o którem rozpowiadał wszystkim znajomym, cieszyło romantyków, ale niepomiernie gniewało starszą generacyę pisarzy. Spory o Mickiewicza stawały się coraz częstsze i coraz namiętniejsze. Profesor całem sercem był po stronie tych, co stawali w obronie poety, na dowód zaś swojego uznania, wyrył w owym czasie na miedzi oblicze wieszcza. Blachę zawiózł do Paryża Podczaszyński[3]) i w jakiś czas potem przywiózł do Warszawy z sobą gotowe już portrety Mickiewicza. Portrety te kursowały po salonach warszawskich i ze strony klasyków energiczne wywoływały protesty. Szczególniej zżymał się Koźmian. Gdy raz na liczniejszem zebraniu oglądano ów portret, Koźmian, patrząc w oblicze wieszcza, uniósł się nie na żarty i wybuchnął oburzeniem.

---

[1]) List z d. 23/I 1828 r. Rks w Arch. Gł.

[2]) Listy Malinowskiego, wydrukowane w swoim czasie w „Kronice Rodzinnej" stały się później poważnym przyczynkiem do biografii Mickiewicza.

[3]) Podczaszyński wyjechał niebawem do Paryża i nie powrócił już do kraju.

„Całe grono znakomitych literatów, urzędników i wojskowych usłyszało wtedy pamiętne słowa: biada nam, biada, już teraz robią portrety *śmierdziuchów*"[1]).

Oburzenie Koźmiana nie minęło bez następstw. Młodzież postanowiła pomścić Mickiewicza i jeszcze bardziej dokuczyć przywódcy klasyków. Tenże sam portret poety wylitografowano w Warszawie i zadedykowano Koźmianowi.

Lelewel tak pisał o tem do Malinowskiego:

„Załączam do tego listu egzemplarz paryski Adama litografii i kilka egzemplarzy jego portretu w Warszawie wylitografowanego. Obejrzyj to Pan i przeszlij mu. Może jakąkolwiek będzie miał satysfakcyę, że o nim pamiętają. W Warszawie był litografowany dla Koźmiana i były egzemplarze z dedykacyą Koźmianowi. Koźmian i Ludwik Osiński, jak są Adamowi niechętni, trudno sobie wyobrazić. Co zazdrość nie może!"[2]).

Posyłał Lelewel swe prace Mickiewiczowi i wzamian otrzymywał od niego nowe utwory[3]). Wszystkiem, cokolwiek poety tyczyło, interesował się bardzo. Nie mając czas dłuższy żadnej o nim wiadomości, niepokoił się szczerze:

„Do Adama niedawno pisałem: wyglądam jakiej odpowiedzi. Nie mając dawno wiadomości, bardzo się troszczę o zdrowie i powodzenie".

Innym razem pisał do Malinowskiego:

„Słyszałem, że Adam... portrety swoje paryskie i warszawskie podarł, zapewne dlatego, że niepodobne. Muszą te szarpaniny egzystować. Byłbym Ci, Panie, wielce obowiązany, gdybyś mi te podarte nadesłał. I śmieszność, pomnik ludzi znamienitych i wielu innych interesujących nieobojętną bywa. Schowałbym te szarpaniny i pielęgnował, jako owoc humoru głośnego w świecie Adama..."[4])

---

[1]) Artur Śliwiński: Maurycy Mochnacki, str. 83.
[2]) List z d. 23/I, 1828. Rks w Arch Gł.
[3]) List L-la z d. 28/VIII 1828. Rks w Arch. Gł.
[4]) List z 27/III, 1828. Rks w Arch Gł.

Na ten list Malinowski odpisał: „To fałsz, żeby Mickiewicz miał podrzeć swoje portrety: warszawski miał dawniej, niekontent był z niego, paryski, choć niepodobny, podobał mu się... Kto też te plotki sieje". Rks w Arch. Gł.

Trudno o dalej idące dowody pietyzmu i uwielbienia. A oto jeszcze jeden ustęp z listu Lelewela do Malinowskiego, również wymownie ilustrujący stosunek obu znakomitości.

„Ile pomnę, na propozycyę uczynioną nadesłania mi jakich próbek treści Adama improwizacyi, nie załączyłem mej prośby i nie obligowałem Cię, Panie, abyś mi je chciał przysłać. Chociaż z siebie się rozumie, że nadesłanie ich stałoby się dla mnie rzeczą najprzyjemniejszą i najpożądańszą, bo sądzę, że nikt wcześniej nade mnie czegoś w zdolnościach wyższego w Adamie nie postrzegł”[1]).

Trudno dziś sprawdzić, czy istotnie Lelewel był pierwszym, który się poznał na geniuszu Mickiewicza. To przecież nie może ulegać wątpliwości, że odczuwał i rozumiał wielkość nowej poezyi i że utwory młodego poety czyniły na nim wrażenie potężne, niezapomniane. Wrażenia tego nie mogły zachwiać lata, ani późniejsze oddalenie, ani późniejsza rozbieżność poglądów, ani swary i kłótnie emigracyi. Pieśń genialnego ucznia głęboko zapadła w duszę profesora i niezatarte zostawiła w niej ślady.

W wiele lat później, już u schyłku życia, z tem samem uwielbieniem mówić będzie o Mickiewiczu Lelewel.

A w owym czasie pieśń ta była jednym węzłem więcej, który połączył profesora z gronem romantyków warszawskich. I kto wie, czy nie był to węzeł najsilniejszy. Kwestya tylko, czy to wspólne uwielbienie, z jednego wypływając źródła, do tej samej zmierzało mety. Lelewel odczuwał piękno i doniosłość społeczną poezyi Mickiewicza, ale młodzież ponadto witała tę poezyę, jako płomienne wezwanie do czynu, jako grom, co zbudzić miał społeczeństwo z uśpienia i pchnąć je na pole krwawych zapasów. Widać to przedewszystkiem z owej walki na papierze, którą Mochnacki nie bez powodu nazywał „insurrekcyą literacką”, a w której nieraz odzywała się nuta groźby, pozwalająca domyślać się przygotowań do innej insurekcyi. Jakoż klasycy srodze byli zaniepokojeni. A Mochnacki prowadził walkę nieubłaganie. Usadowiw-

---

[2]) List z d. 27/II, 1828. Rks w Arch. Gł.

szy się w „Gazecie Polskiej", a następnie w „Kuryerze Polskim", szturmował nieustannie twierdzę klasycyzmu, zasypywał ją ogniem namiętnych wywodów, prażył pociskami krwawego szyderstwa, rozwiewał uwielbienie dla wymuszonych utworów pseudoklasycznych i bił czołem przed stojącem już wysoko nowem słońcem poezyi polskiej. Drżała w swych posadach napastowana forteca. Cofali się klasycy, a Mochnacki trąbił im na odwrót i czynił miejsce dla nowej siły i nowego życia. Nie tylko poezye Mickiewicza, ale i wydobyta z mroków niepamięci „Marya" Malczewskiego, utwory Goszczyńskiego, Zaleskiego, Odyńca, również zdobywały coraz większy rozgłos i coraz szersze koła czytelników.

Romantyzm tryumfował.

Ale nietylko klasycy patrzyli z przerażeniem na owe niesłychane tryumfy.

Łagodny i sielski Brodziński, słysząc zewsząd gromy, burzące stare bożyszcza, słysząc hasła bezwzględnej, niczem niekrępowanej wolności, której dla tworów piękna domagał się Mochnacki, uznał, że te żądania idą za daleko. Więc wręcz ostrzegał przed skutkami, jakie na umysły zapalnej młodzieży wywrzeć mogą tego rodzaju wywody. Brodziński już wtedy widział jasno, jak jednocześnie z przewrotem w dziedzinie literatury dokonywa się przewrót w poglądach na wszystkie najważniejsze dla narodu kwestye. Autor „Wiesława" lękał się następstw, przewidywał najfatalniejsze skutki, których, jak mu się zdawało, nie widział Mochnacki, gdy głosił wolność bezwzględną i niby toporem wygrażał tą wolnością wyznawcom klasycyzmu, zwolennikom uświęconego ładu i spokoju.

Lelewel wobec tych wszystkich zjawisk zachowywał się początkowo z rezerwą, nie wszystkiemu przyklaskiwał i nie na wszystko się godził, jak świadczy o tem jego artykuł w „Bibliotece Polskiej". Ale nienawiść, jaką klasycy okazywali Mickiewiczowi, z natury rzeczy zbliżała go do obozu romantycznego. Milczał przecież i publicznie nie zabierał już głosu. Nie stawał do walki i do torowania dróg nowych bardzo mało się przyczyniał. Nie był to wódz młodej armii, ani jej szermierz, ale raczej protektor. Sprzyjał zastępowi ro-

mantycznemu i dzielił jego tryumfy, ale nie ponosił trudów, by walce prowadzonej zapewnić zwycięstwo.

A jak niewyraźnie zachowywał się w stosunku do walk literackich, tak samo niewyraźne zajął stanowisko wobec innych wypadków, które jednocześnie z insurekcyą literacką przygotowywała taż sama gorąca i zapalna młodzież.

Życie spiskowe ogarniało podówczas coraz szersze kręgi. Otóż i w tem życiu nie odegrał uczony roli człowieka czynu. W wiele lat potem niejednokrotnie powtarzał, że w ruchu konspiracyjnym, ogarniającym ziemie polskie, nie brał czynnego udziału, że stronił od stowarzyszeń tajnych. I tak niewątpliwie było. A przypuszczać można, że stronił nie dlatego, by w warunkach ówczesnych miał konspiracyę potępiać, ale dlatego, że jego temperament nie nadawał się do działań konspiracyjnych, że jego umysłowość nie znajdowała drogi w podziemiach, że sama tajność działania pętała go i odbierała myśli jego lotność. To miał jednak do siebie, że nie usuwał się od żadnej posługi, której w imię obowiązków obywatela od niego żądano, że posłuszny był każdemu wezwaniu, które w jego czującem sercu znajdowało odgłos. W ten sposób jeszcze przed wyjazdem do Wilna przystąpił za sprawą brata Prota do Towarzystwa Patryotycznego.[1]) Powaga, jaką podówczas się cieszył, pozwalała mu sięgnąć po najwyższe godności i odegrać w tym związku rolę kierowniczą. Nie uczynił tego i, powróciwszy do Warszawy, nie starał się nawet wpływać na prace lub kierunek Towarzystwa. Szeregom jego miał przysporzyć kilku nowych członków i to wszystko, co dla stowarzyszenia tego uczynił. Podczas pamiętnych aresztowań, poprzedzających Sąd Sejmowy, pociągnięty został do odpowiedzialności. Na śledztwie z godnością oświadczył, że „pod ogólnym wyrazem niepodległość i wolność objawiono mnie to, że żądanie Towarzystwa było, aby w częściach Polski, pod obcem panowaniem będących, utrzymany był duch

[1]) W lutym r. 1826-go aresztowany został Prot Lelewel. Dnia 24 lutego o północy wszedł do mieszkania Mateusz Lubowidzki z kapitanem żandarmeryi, Różańskim, kazał się Protowi ubierać i powiózł go do ratusza. Prota wtrącono do więzienia Karmelitów. Cela jego sąsiadowała z celą Krzyżanowskiego. Pamiętniki Prota L-la. Rks.

narodowy, a to w celu, aby wszystkie z czasem do Królestwa przyłączone być mogły...'' [1]) Śledztwo nie naraziło Lelewela na poważniejsze następstwa, miało tylko ten skutek, że go spopularyzowało i słynnemu jego nazwisku dodało jeszcze znaczenia i blasku.

W r. 1829 wydał Lelewel nową pracę historyczną, która jeszcze szerzej rozgłosiła i tak już jego popularne imię.

Były to „Dzieje Polski potocznym sposobem opowiedziane". Książeczka ta, pisana dla synów młodszego brata Prota, a przeznaczona dla publiczności szerszej, doznała niebywałego na owe czasy powodzenia. W ciągu kilku miesięcy rozchwytano cały nakład, a następne wydania z tą samą rozchodziły się szybkością. W ten sposób trafił uczony do mas szerokich i śród nich ugruntował swoją sławę historyka. Na „Dziejach Polski" całe pokolenia uczyły się historyi ojczystej: znaczenie wychowawcze książki było tak olbrzymie, że niejednokrotnie porównywano ją ze „Śpiewami historycznymi" Niemcewicza. I do dziśdnia książeczka posiada wartość pierwszorzędną. Znakomite ugrupowanie i wybór umiejętny materyału, treściwość i dostępność wykładu mogą być wzorem dla każdego popularyzatora historyi. Wszystko to wynagradza usterki i niedokładności, których w owoczesnym stanie historyografii polskiej niepodobna było uniknąć.

W „Dziejach Polski" wyraził Lelewel pogląd, na który w wiele lat potem miał się powołać, jako na dowód, że już w owej epoce był wyznawcą zasad republikańskich. Według tego poglądu państwo polskie było taką samą republiką, jak „w starożytności Ateny albo Rzym, jak dziś są rzeczpospolitą Stany Zjednoczone". Stanowisko króla równało się stanowisku obranego dożywotnio konsula. O ile król przekraczał te granice i usiłował być istotnym monarchą, dla kraju wynikała stąd szkoda. Stefan Batory pragnął rzeczpospolitą zamienić na monarchię, ale dobrych skutków z takiej zamiany nie przewidywał dziejopis.[2])

---

[1]) Oświadczenie to podyktował L-l do protokułu z d. 26 lutego/10 marca 1826 r. Roczniki Polskie L. Chodźki. Tom 39. Rapperswil.

[2]) Kiedy na emigracyi zarzucano Lelewelowi zmiennictwo w przekonaniach, uczony te ustępy właśne przytoczył na dowód, że o wiele

W owoczesnych warunkach cenzuralnych nie mógł uczony podkreślić wyraźniej swoich sympatyi republikańskich, ale już w tym czasie przylgnęła do niego opinia republikanina, którą dopiero na emigracyi miał wystąpieniami swemi podtrzymać i usprawiedliwić. Opinię tę w epoce owej niewątpliwie zawdzięczał więcej poufnym rozmowom, w których nie krępując się, mógł odsłaniać istotne przekonania, niż pracom, na których i cenzura wyciskała swe piętno.

Wielka popularność, jaką dzięki tym pracom zdobywał, natchnęła go nową ambicyą. Zapragnął szerszej działalności publicznej. Przestały mu już wystarczać stosunki z młodzieżą, a w stowarzyszeniach tajnych nie znajdował odpowiedniego dla siebie pola. Szukał innej areny. Zdawało mu się, że i w dziedzinie polityki z pożytkiem może służyć ojczyźnie. Młodszy z braci, Prot Lelewel, już w r. 1825 posłował na Sejm z powiatu węgrowskiego. Za przykładem oraz namową brata i Joachim pomyślał o zajęciu ławy poselskiej.[1]) Zamiar ten powziął w r. 1827, a w roku następnym zgłosił swoją kandydaturę w powiecie żelechowskim, jako ziemianin z Woli Okrzejskiej, własności krewnych Cieciszewskich. Słynne nazwisko utorowało mu drogę. Zwyciężył innych kandydatów i zdobył upragniony mandat.

Był to bardzo ważny i bardzo doniosły krok w życiu Lelewela.

Wielki historyk, żyjący dotąd zagadnieniami przeszłości, już z racyi swojego zawodu i rezultatów, jakie w zawodzie tym osiągnął, nie był pozbawiony zmysłu politycznego. Ale ów zmysł był teoryą, wypracowaną w ciszy gabinetu. Teoryi tej nie zahartowała walka, nie wykuł młot życia, lecz stworzyła

---

wcześniej złożył swoje republikańskie wyznanie wiary. „Rozmaitości" przez J. Lelewela, str. 206.

[1]) „W powiecie Żelechowskim,—pisze Prot Lelewel, — po zmarłym Adamie Cieciszewskim zrobiłem wczesne kroki za bratem Joachimem, a gdy rzecz ta podobną do zrobienia okazała się, powiozłem go do powiatu, a mianowicie do Trojanowa, do Mędrzeckiego Adama (ojca) na marszałka sejmiku przeznaczonego; tam rzecz ułożyła się, a na dniu 11 lutego na posła wybrany został". Sam Prot kandydował w Węgrowie. W wyborach zwyciężył go rywal, Ludwik Bieniecki. Pamiętniki P. Lelewela. Rks.

ją żmudna praca naukowa, do której nie miała dostępu brutalna rzeczywistość, niosąca na fali bieżącej tysiące trosk, potrzeb i zadań aktualnych. W obliczu takiej rzeczywistości po raz pierwszy miał stanąć człowiek, którego istotnym żywiołem i powołaniem najgłębszem była nauka. Jak sobie poradzi w nowej roli, to było pytanie niemożliwe narazie do rozstrzygnięcia.

Ale niedaleka przyszłość miała bardzo wysoko wynieść Lelewela-polityka i na pytanie to dać wszechstronną odpowiedź.

W maju r. 1829 Lelewel na zjeździe koronacyjnym podpisał adres, skierowany przeciwko Artykułowi dodatkowemu, a dopominający się o przywrócenie jawności obrad sejmowych i o rękojmie, zagwarantowane ustawą konstytucyjną. W r. 1830 jeszcze silniej zaznaczył swą łączność z opozycyą sejmową.

W styczniu tego roku rozpisane zostały uniwersały na czwarty z kolei Sejm Królestwa Polskiego, a w maju przybył do Warszawy Mikołaj, by Sejm zwołany otworzyć osobiście. Dnia 24 maja car stanął wobec Izb połączonych. W mowie swojej tłómaczył, że skutkiem trudności wewnętrznych i zewnętrznych Sejm nie mógł być wcześniej zwołany, wspomniał o armii polskiej, jako o awangardzie, czuwającej nad bezpieczeństwem cesarstwa, wreszcie zalecał przyjęcie projektów rządowych. Wszelkie bóle, troski i nadzieje społeczeństwa pokrył milczeniem. Od czasów Kongresu Wiedeńskiego naród polski nie rozstawał się z nadzieją rozszerzenia granic Królestwa, a obietnice Aleksandra nadzieję tę podtrzymywały. Mikołaj pominął tę ważną kwestyę, dając w ten sposób do zrozumienia, że należy przejść nad nią do porządku dziennego. Wiedziano dobrze w stolicy, że nowy car nie darzy Polaków sympatyą. Słuchano go z uprzedzeniem, a orędzie tronowe, tchnące pozorną życzliwością, wzmocniło tylko nieufność. Mrozem powiało od mowy królewskiej i opozycya nowego otrzymała bodźca.

Można było oczekiwać, że podczas obrad padną z ust posłów słowa gorące i mocne, dające poznać istotne usposobienie ludności.

Burza wisiała w powietrzu.

W kilka dni później Izba poselska przystąpiła do wyboru komisyi sejmowych. Wybrano trzy: jedną do praw skarbowych, drugą do praw cywilnych i kryminalnych, trzecią do praw organicznych i administracyjnych. Przy wyborach do tej trzeciej komisyi najwięcej kresek otrzymał Lelewel. On też komisyi tej przewodniczył.

Z pomiędzy projektów rządowych najważniejszy był projekt zmiany pierwszej księgi kodeksu Napoleona. Projekt żądał, aby małżeństwa i rozwody nie podlegały kompetencyi władz świeckich, lecz całkowicie oddane zostały władzom kościelnym. Mikołaj nazywał kodeks Napoleona „prawem dyabelskiem" [1]) i w rozmowach z posłami kładł szczególniejszy nacisk na przyjęcie projektowanej zmiany. Car nienawidził Francyi, uważając, że z tego kraju, jako z głównego ogniska przewrotów społecznych i politycznych, rozlatują się iskry rewolucyjne po całej Europie i zagrażają panującemu w niej systemowi. Sam przeto zabiegał o przyjęcie rządowego projektu w rozmowach z poszczególnymi posłami. A kiedy mówić o tem zaczął z deputacyą, która zgodnie z istniejącym zwyczajem oznajmić mu przyszła o przyjęciu wniesionego przez rząd prawa o przytułkach, jeden z członków deputacyi, poseł Barzykowski, widząc, że Mikołaj nie oryentuje się należycie w sprawie tyle go obchodzącej, starał się sprawę tę ze swojego punktu widzenia oświetlić.

— „Naród polski, — mówił poseł, — jest religijny, do wiary swoich przodków ściśle przywiązany, daleki przeto od niesienia jej jakiegokolwiek uszczerbku". Ale „małżeństwo każde, — tłómaczył Barzykowski, — ma w sobie dwa oddzielne i odrębne akta, raz jest to związek moralny dwóch istot, drugi raz stosunek prawny tychże dwóch istot, tak pod względem ich osób, jako też i ich majątku. Pierwszy należy do religii i jest sakramentem, drugi jest prostym kontraktem cywilnym".

---

1) „C'est une loi diabolique", wyrażał się Mikołaj. Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 151.

Argumentacya ta miała wielkie na Mikołaju uczynić wrażenie. Spytał podobno, jakby najlepiej jedno z drugiem pogodzić. Wtedy Barzykowski powołał się na kodeks Napoleona. Ale zaledwie słowo to zostało wypowiedziane, gdy Mikołaj odskoczył od mówiącego i krzyknął z uniesieniem:

— ,,Co? kodeks Napoleona! to prawo dyabelskie... O tem prawie proszę nigdy ani słowa mi nie mówić..." [1])

Ale nietylko wstręt do kodeksu Napoleona był powodem, który skłaniał Mikołaja do popierania projektowanej zmiany całym swoim wpływem. Zmiany tej domagał się ogół duchowieństwa, żądał jej w. ks. Konstanty i jego żona, żarliwa katoliczka, a wszyscy starali się przekonać Mikołaja, że projekt wypływa z ducha religii, że jedynie bezbożność oraz prądy rewolucyjne, płynące z Francyi, są właściwą sprężyną odrazy, jaką przejawiają posłowie. W takich warunkach ważna i sama przez się doniosła sprawa nabrała szczególniejszego znaczenia. Przyjęcie projektu byłoby oznaką, że Izba poselska, której większość była projektowi przeciwna, podporządkowuje się wyższej woli i rezygnuje ze swojej samodzielności, odrzucenie zaś musiało pogłębić rozdźwięk pomiędzy społeczeństwem a tronem.

Tymczasem nastrój izby nie ujawniał zbytniej uległości. Z ust posłów coraz częściej padały pod adresem władzy słowa ostre i mocne, tak że prezydujący Izbie marszałek Ostrowski nieraz przywoływać musiał mówców do porządku. Już podczas obrad nad projektem prawa o włóczęgach, których rząd chciał ścigać aresztem i plagami, odezwały się głosy, grzmiące nutami niezadowolenia i groźby.

Poseł Barzykowski, stając w obronie włóczęgów, mówił:

,,Tron polski nie znał tyranów... Ale osłabły instytucye, a ostatnie pół wieku gwałt na gwałcie, prawa przeciw prawu spełniano... Przyjmijmy tylko raz to aksyoma, że dla bezpieczeństwa wolno zatrzymywać, a otworzym drzwi i wrota do nadużyć. Wtenczas niejeden może zatrzymanym i więzionym będzie dlatego, że myśl i serce jego tułało się za dobrem kraju..." ,,Prawo nasze jest hańbą dziewiętnastego wieku",—

[1]) Historya Powstania Listopadowego, Tom I, str. 175 i 176.

wołał Barzykowski w zapale oratorskim, a nie stropiony przywołaniem do porządku, twierdził dalej, że projekt należy do tych, „w których jasno widać usiłowanie cofnięcia oświaty polskiej". Przestrzegał tedy przed zadawaniem gwałtu prawu wolności, wołając, że „nic niema dla człowieka droższego nad wolność..." [1])

Równie gorąco na tem samem posiedzeniu przemawiał Roman Sołtyk.

Poseł ten w przemówieniu swojem poważył się twierdzić, że nieufność narodowa sprawiedliwie „ciąży nad składem ministeryalnym. Wszystko, — mówił Sołtyk, — „co tamuje wolność, co ścieśnia swobody mych współobywateli, co obraża konstytucyę, uważam z największem oburzeniem i odpycham od siebie, jako niegodne reprezentanta wolnego narodu." [2])

Słowa: wolność, konstytucya, poszanowanie prawa, były i na ustach innych posłów, słowami temi nieustannie rozbrzmiewała sala posiedzeń Izby poselskiej. Opozycya nabrała odwagi i w zgodnym szeregu atakowała placówki rządowe. Jednakże dnia 24 czerwca znalazł się na porządku dziennym projekt, dotyczący małżeństw i rozwodów. W dziejach Sejmu 1830 r. był to punkt kulminacyjny. Izba przyjęła rzuconą jej rękawicę i rozpoczęła się walka. Najpierw zabrali głos mówcy rządowi i dokładali wszelkich starań i używali wszelkich argumentów, aby zapewnić projektowi większość. Ale potem przemówił deputowany Franciszek Wołowski i w długiej a energicznej mowie rozprawił się ze stronnikami rządu.

„Biada krajowi, — mówił Wołowski, — gdzie na myśl i wewnętrzne uczucia człowieka kontrola rządu jest ustanowiona, tak jak biada temu, gdzie pośrednio lub bezpośrednio prawa i obowiązki towarzyskie zależeć mają od władz duchownych! Stronnicy źle zrozumianej władzy duchownej niezadowoleni, iż podług tych zasad księżom zostawiono wszystko to, co tylko sumienia się dotyczy, rzucili na tę teoryą potwarz, jakoby ona wypływem była wyobrażeń rewolucyjnych." I zwal-

[1]) Protokuł posiedzeń Izby Poselskiej z mies. czerwca 1830 r. W Warszawie 1831, str. 78 — 9.
[2]) Protokuł, str. 84 — 85.

czając ten „przeciwny oczywistości zarzut", dowodził w dalszym ciągu, że „w materyi małżeństwa niemasz prawa moralniejszego nad francuskie".

Ostatnie słowa wobec znanych wynurzeń Mikołaja były wyraźnym przeciw niemu zwrotem.

Śmiałe wystąpienie Wołowskiego stało się dekretem śmierci dla projektu rządowego. Posłowie zażądali zamknięcia dyskusyi i głosowania. Ci, co już byli zapisani do głosu, zrzekli się swego prawa i również głosowania zaczęli się domagać. Zdawało się, że sprawa jest przesądzona. Ale wówczas wystąpili ministrowie i zaproponowali wstrzymanie się z głosowaniem do dnia następnego. Marszałek Ostrowski, acz miał pełne prawo nie zgodzić się na to żądanie, uległ ministrom. Wszczął się gwałt. Posłowie zaczęli protestować, a Jan Ledóchowski, poseł, znany z krewkiego temperamentu i z potężnego organu głosu, rycząc na całą salę, stawał w obronie wolności poselskiej z największem uniesieniem. Tymczasem i Mikołaj uwiadomiony został, o co bój w Izbie się toczy i ze swojej strony wyraził życzenie, aby głosowanie odłożone zostało do dnia następnego. Życzeniu stało się zadość. Ministrowie liczyli jeszcze na to, że w ciągu wieczora zdołają przekonać poważniejszych oponentów. Jakoż poruszyli w tym celu wszelkie sprężyny. Trafiali do posłów, gdziekolwiek się który znajdował, prosili, namawiali, grozili nawet strasznym gniewem Mikołaja. Oporniejszym obiecywali urzędy, dzierżawy dóbr narodowych, a nawet krzesła senatorskie,[1]) byle tylko zechciano głosować za projektem. W tych zabiegach czynny był i zręczny minister skarbu, książę Lubecki. Kajetan Koźmian świadczy, że Lubecki umiał ułagodzić oponentów prócz Lelewela...[2])

Nazajutrz znowu rozpoczęły się debaty. Mówcy rządowi z nowymi wystąpili argumentami. Opozycya milczała. Zdawać się już mogło, że zabiegi ministrów nie pozostaną bez rezultatu. Wtedy to na mównicy ukazał się poseł żelechowski,

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 151.
[2]) Pamiętniki, Oddział III, str. 458.

Lelewel, i stanął w obronie zagrożonej sprawy. Po raz pierwszy przemawiał w Izbie, więc go słuchano w skupieniu.

Znakomity historyk sięgnął do broni, znajdującej się w jego arsenale erudycyjnym i bardzo uczonymi wywodami zwalczał argumentacye mówców rządowych. Zaznaczywszy, że kodeks Napoleona nie jest owocem ducha rewolucyjnego, jak to już podkreślił Wołowski, mówca cofnął się do bardzo odległych czasów Konstantyna Wielkiego, Honoryusza, Teodozyusza młodszego, Walentyna III, Anastazyusza, Justyniana i innych imperatorów, którzy stanowili prawa cywilne o małżeństwach i rozwodach według własnych zapatrywań. Wyłożył, w jaki sposób prawo rzymskie zaczęło się wikłać z prawem kanonicznem, następnie przeszedł dzieje tego prawa w różnych krajach i różnych epokach, zatrzymał się obszerniej nad historyą małżeństwa w Polsce, a w końcu wyraził nadzieję, że Izba projekt rządowy odrzuci i niezwłocznie przystąpi „do uchwalenia nowego prawa względem małżeństwa niczem z religijnemi zasadami niesplątanego.”[1])

Na tle mów innych przemówienie Lelewela odcina się dobitnie i jaskrawo. Mowa jego była wielce uczona, argumenty poważne, ścisłość i rozumowanie nic nie pozostawiały do życzenia. Nie było w niej tylko temperamentu politycznego, nie było nerwu parlamentarzysty, który nie gardzi przeszłością, ale na chwilę nie schodzi z gruntu teraźniejszości i zabiega w przyszłość. Trybuna parlamentarna ma swoje wymagania, które nie zawsze pogodzić się dadzą z wymaganiami katedry uniwersyteckiej. Tymczasem Lelewel przemówił jak profesor. Długa jego mowa z wyjątkiem bardzo krótkiego wstępu i równie krótkiego zakończenia była wykładem naukowym, pełnym szacownych wiadomości, światłych uwag, cennych do dziejów małżeństwa wskazówek, ale zarazem świadczyła, że walka na arenie politycznej nie jest właściwym żywiołem uczonego. Z czasem, przygotowując tę mowę do druku, zaopatrzył ją Lelewel szeregiem uzupełniających przypisów. Gdyby nie ów krótki wstęp i zakończenie niktby za-

---

[1]) Protokuł posiedzeń, str. 162 — 168.

pewne nie przypuścił, że ta nawskroś naukowa rozprawa wygłoszona została podczas obrad parlamentarnych.

Wszakże wystąpienie posła żelechowskiego bez względu na swój charakter dzielnie poparło Wołowskiego i głębsze wywarło wrażenie. Najpierw dlatego, że mowę wygłaszał słynny uczony i że w sposób stanowczy wypowiadał się przeciw projektowi rządowemu, a następnie i dlatego jeszcze, że mowa została wygłoszona w chwili, kiedy zdawać się mogło, że argumenty mówców rządowych zachwieją przekonaniem większości. Lelewel nanowo zjednoczył opozycyę, a wynik głosowania najlepszym był tego dowodem: na 115 głosujących zaledwie 22 członków Izby wypowiedziało się za projektem, reszta, t. j. 93-ch, głosowało przeciw projektowi.

W Mikołaju taki wynik głosowania najżywsze obudził niezadowolenie. Car nie znosił opozycyi, a w uchwale Izby widział nieposzanowanie monarszej woli, jasno i wyraźnie objawionej. Niezadowolenie to rozdmuchały jeszcze dalsze czynności Izby. Komisye sejmowe bardzo ostro krytykowały działalność rządu, a z grona poselskiego posypał się do króla szereg petycyi, w których nie wahano się poruszyć materyi wysoce drażliwych. A więc między innemi proszono o zniesienie Artykułu dodatkowego do konstytucyi, o ułaskawienie Łukasińskiego, o uwolnienie z pod dozoru policyi Wincentego Niemojowskiego, o zapobieżenie bezprawiu, jakiego się dopuszczała cenzura. W tej ostatniej petycyi słusznie zaznaczono, że „najściślejszy dozór nie zdoła zapobiedz przemycaniu zdań i myśli, które ona (cenzura) piętnem rozkazu (!) naznacza". Nadto Lelewel rozpowszechnił skreśloną już na kilka miesięcy przed zwołaniem Sejmu „Myśl do projektu prawa o wolności druku. W projekcie swym żądał, by zamiast komitetu cenzury istniał komitet rozpoznawczy, któryby dopiero po upływie roku od ogłoszenia drukiem zakwestyonowanej pracy stanowił, czy autora należy pociągnąć do odpowiedzialności sądowej za występek w kodeksie karnym przewidziany. Wszystkie głosy, które z grona poselskiego do uszu Mikołaja dochodziły, wszystkie składane mu petycye były i protestem przeciw postępowaniu rządu i krzykiem długo tłumionego bólu, który

pod rządami Konstantego i Nowosilcowa nagromadził się w duszy zbiorowej narodu.

Mikołaj był dotknięty oporem i śmiałością Izby. Miotał się, ale oburzenie swoje trzymał na wodzy. Sejm zamknął mową suchą i lakoniczną. Podziękował Senatowi, który usprawiedliwił pokładane w nim zaufanie, wyraził żal, że Izba poselska odrzuciła projekt w sprawie małżeństw i rozwodów, a co się tyczy petycyi, to obiecał je ściśle rozważyć i wyrzec o nich swoją opinię. „Wyrzeczenia te, — takim znamiennym zwrotem kończyła się mowa królewska, — oparte będą na zasadach sprawiedliwości, porządku publicznego i ciągłej troskliwości, z jaką chociaż opodal od was nie przestanę czuwać nad prawdziwem szczęściem waszem..." [1])

Oczywiście, po swojemu rozumiał Mikołaj „prawdziwe szczęście" narodu — i naród po swojemu ocenił mowę Mikołaja. Przedział pomiędzy samowładcą rosyjskim a narodem polskim rozszerzył się i pogłębił. Odczuła to stolica, zrozumiał kraj cały. W ten sposób pamiętny Sejm 1830 r. wykopał przepaść pomiędzy carem a społeczeństwem i stał się bodźcem do szukania „prawdziwego szczęścia" na drodze innej, zgoła nieparlamentarnej, a coraz wyraźniej jawiącej się przed oczyma tych, co już dawno wszelką stracili nadzieję, by sposobami legalnymi można było już nie szczęście, ale byt narodowy utrwalić.

Lelewel, pisząc w wiele lat potem o owym Sejmie, w ten sposób scharakteryzował swoją własną rolę: „Na Sejmie mało mówił, a wielce był czynny, prezydując komisyi (bureau) organiczno-administracyjnej, przez którą różne projekta przechodziły. Wnet jednak doznał, że sposób jego widzenia niezbyt [przypada] do myśli tych, co do arystokrackich tęsknili wyosobień: zaczem uzyskał miano republikanina".[2])

Franciszek Wężyk powiada, że Lelewel „obrany posłem na Sejm, nie tyle zwracał na siebie uwagę swojemi wystąpieniami, „ile prywatnie wpływał na zdania kolegów. Wszelako młódź polska i ludzie nawet dojrzali radzi szukali zdania Le-

[1]) Protokul posiedzeń, str. 318.
[2]) Nota pisana w r. 1859, Rks w Rapperswilu.

lewela w wielu przedmiotach".[1]) Wspomina również Wężyk i o republikanizmie uczonego.

Najwidoczniej tedy swoje stanowisko republikańskie podkreślał w rozmowach z posłami, bo ani prace, ogłoszone drukiem, ani mowa w Izbie wypowiedziana, nie usprawiedliwiały jeszcze opinii tak nieubłaganie zawziętego republikanina, za jakiego uchodził. To pewna, że sposób jego myślenia nie wszystkim przypadał do gustu, ale i to pewna, że owe „wyosobienia arystokrackie" należą do czasów późniejszych. Gorycz wygnańca przemówiła w tych słowach. Bądź co bądź, słowa te świadczą, że komisyi, której przewodniczył, nie umiał natchnąć harmonią, że pomiędzy nim a resztą członków komisyi dochodziło do starć i rozdźwięków. Jednakże nuta nieukontentowania, widoczna we wspomnieniu tych czasów, nie jest usprawiedliwiona: z rezultatów swej działalności podczas prac Sejmu w r. 1830 mógł być Lelewel zadowolony. Mowa jego uzyskała rozgłos, a zarazem potwierdziła opinię, jaką się cieszył. Wykazała, że jest człowiekiem niepodległym, że nadto na grono poselskie wywierać może wpływ znaczny. Widziano w nim niezależnego obywatela, dzielnego patryotę, śmiałego obrońcę praw narodowych.

Sława Lelewela szeroko podówczas rozbrzmiewała po świecie. Z Rosyi, z Niemiec, nawet z Włoch zwracano się do znakomitego Polaka w różnych kwestyach naukowych, Akademia we Florencyi przysłała mu dyplom na swego członka-korespondenta, a w kraju odzywano się o nim z największym szacunkiem i uznaniem. Tworzono na jego cześć poezye, a jeden z wielbicieli uczonego pisał:

W pasmie cierpkich dni naszych rzadka chwila błoga,
Ta tylko mnie pogodna, ta jedynie droga,
W której czytam dowody, że jeszcze są przecie
Miłośnicy Ojczyzny i nauk na świecie...[2])

Znakomity historyk stawał się w Polsce jedną z najpopularniejszych postaci.

Wyrastał na męża przyszłości...

---

[1]) Powstanie Królestwa Polskiego, str. 30.

[2]) „Rozmyślania wieśniaka rolnika (Dionizego Paszkiewicza), byłego pisarza p[owiatu] R[osieńskiego]". W Warszawie 1829. Str. 1. „Wiersz. . do X. Bohusza i Joachima Lelewela w języku litewsko-żmudzkim..."

IX.

W PRZEDEDNIU WYBUCHU.

Liczył podówczas Lelewel lat 44, a więc był w pełni sił męskich. Spoglądając na jego portret z tych czasów, widzimy bujną czuprynę, a pod nią wysokie, myślące czoło. Z dużych poważnych oczu wyziera bystrość i badawczość. Usta, okolone niewielkim zarostem, zaciśnięte są mocno, a jednak wyrażają coś w rodzaju bladego uśmiechu, zaprawionego ironią, czy szyderstwem. Cała postać wątła, nieco przygarbiona nie miała w sobie nic zdobywczego, nie zwiastowała siły i energii życiowej. Domejko powiada, że uczony był „twarzy bardzo łagodnej i przyjemnej", a na pierwszy rzut oka czynił wrażenie człowieka o charakterze umiarkowanym i pojednawczym.

„Mówił łatwo, nieco w nos, poprawniej i jaśniej, niż kiedy pisał, a był zawsze ubogo ubrany, ubogo mieszkał, ubogo żył." [1])

Również od Domejki wiemy, że wykładając lub rozmawiając, nie patrzył w oczy słuchaczom, lecz wlepiał wzrok w ziemię. Czasem tylko podnosił głowę i rzucał bystre spojrzenie na obecnych, a wtedy usta jego uśmiechały się złośliwie, szyderczo.[2])

---

[1]) Pamiętniki Ignacego Domejki, str. 114.

[2]) I Falkowski opowiada, że usta Lelewela „zdawały się naturalnie przykrojone" do szyderczego uśmiechu. „Wspomnienia z roku 1848—1849", str. 287.

Całe życie wielkiego historyka upłynęło dotąd niemal wyłącznie na zmudnych poszukiwaniach i studyach naukowych. W dziedzinie swojej specyalności odznaczył się żelazną energią, wykazał przenikliwość i dar prawie niezawodnej, wręcz fenomenalnej oryentacyi. Nadto w najwyższym stopniu posiadał umiejętność godzenia sprzeczności i wydobywania z nich harmonii. Możnaby powiedzieć, że przeszłość nie miała dla niego tajemnic. Czytał w niej, jak w otwartej księdze. Przeszkody usuwał z największą łatwością i niepowstrzymanym krokiem zdobywcy szedł do zakreślonego celu. Nie wahał się i nie błąkał, słowem, na obszarach nauki był świadomą siebie potęgą. Inaczej w życiu. W stosunkach z ludźmi nie był człowiekiem łatwym. Znał swoją wartość i to wystarczało, aby się nad innych nie wywyższał, ale od lat najmłodszych nie znosił tych, co się poważyli okazać mu swoją wyższość. Był nadzwyczajnie drażliwy. Dostępnością swoją, uczynnością i dobrocią serca opanował młodzież, choć nigdy jej nie pochlebiał i nigdy o łaski jej nie zabiegał. Stał się wyrocznią młodych mimo własnej woli. Zresztą swojej władzy nad młodzieżą nigdy nie nadużył i nigdy z niej własnej nie czerpał korzyści. Był bezinteresowny. Ale w stosunkach, nie obejmujących młodzieży i grona blizkich sercu przyjaciół, niejednokrotnie wykazywał drażliwość i ujawniał swój charakter niesforny, rogaty. Profesorowie uniwersytetu, rektor Śniadecki, Czacki, Czartoryski nieraz podlegali jego krytyce ostrej, złośliwej, a często niezasłużonej. Ogromnie drażliwy na punkcie swojej niezawisłości, zrażał się szybko do ludzi i w korespondencyi swojej zbyt pochopnie wydawał o nich sądy. Był przytem uparty. Przekonania lub myśli raz powziętej gotów był bronić do ostatka. W racye swoje wierzył niezachwianie. Rezultaty, do jakich doszedł w zakresie nauki, dały mu pewność siebie najzupełniej na polu naukowem usprawiedliwioną. Ale tę pewność siebie ujawniał i w życiu, wszakże bez energii zdobywczej, lecz z uporem, do którego przyznawać się nie chciał, a który już w dzieciństwie ukrywał przed otoczeniem. Staranie się o mandat poselski świadczyło, że czuł się powołanym do odegrania wybitniejszej roli i w życiu politycznem narodu. Powodzenie,

które zdobył podczas obrad sejmowych, musiało mniemanie to umocnić. O zaszczyty (jeżeli wyłączyć mandat poselski) nie ubiegał się dotąd, ale ambicyi swojej granic nie zakreślał.

Takim człowiekiem był Lelewel w roku 1830-ym, w przededniu wielkich wypadków, które miały go wynieść z zacisza skromnej pracowni i rzucić na fale burzliwego życia, w sam wir wydarzeń, następujących po sobie szybko, błyskawicznie, w ogień rozhukanych namiętności, w walkę żywiołów.

Zalety uczonego, jak przenikliwość, energia w dążeniu do jasno widzianego celu i dar oryentacyi, mogły i na arenie politycznej zapewnić mu wielkie powodzenie. Wady człowieka, jak skrytość, która w oczach najbliższego otoczenia łatwo uważana być mogła za dwulicowość, wady w polityce tak straszne, jak nadmierna drażliwość i nadmierny upór mogły najlepszym chęciom cios zabójczy zadać i najlepszą sprawę doprowadzić do zguby.

Wszystko zależało od tego, z jakimi zasobami charakteru i ducha stanie Lelewel wobec nowego powołania i czekających go zadań, czy wykaże w polityce tę samą przenikliwość, tę samą pewność siebie i bystrość, która cechowała go jako uczonego.

A zadania te miały niebawem wyrosnąć przed jego oczyma i zwalić się na jego barki: obóz, spiskujący w podziemiach, zawczasu przeznaczał mu w rewolucyi rolę kierowniczą. Tymczasem Lelewel, acz ideowo łączył się z rewolucyonistami, w gruncie rzeczy stał poza sferą ich działań, a wiele zamierzeń i projektów nie dochodziło nawet do jego wiadomości. Nie wiedział nic o spisku koronacyjnym, nie zdawał sobie sprawy z postępów, jakie czyniła idea rewolucyjna i nie przypuszczał zapewne, jak wielką rolę wypadnie mu niebawem odegrać. W pracach organizacyjnych, poprzedzających wybuch powstania, nie brał czynnego udziału. Praca ta odbywała się poza nim, ale chcąc zdać sobie sprawę z późniejszej jego działalności, niepodobna ważniejszych przygotowań powstańców pominąć milczeniem.

Idea zdobycia niepodległej Polski przez powstanie, raz ogarnąwszy umysły, na chwilę nie przestawała płonąć, lecz rozdmuchiwana ciągle przez wiatry reakcyjne, szerzyła się jak

chęci", ale ziszczenie ich do dalszej odkładał przyszłości. W ten sposób powstawał zamęt i rozdwojenie. Z jednej strony wystawiono obronę konstytucyi, jako cel spisku, z drugiej świadomie przygotowywano siły powstańcze. Niechęć całego społeczeństwa, okazywana istniejącej władzy, sprzyjała rozrostowi spisku.

„Szkoła podchorążych niechęć tę uzbroiła, — powiada jeden z głównych organizatorów, Aleksander Łaski.—Inni pierwej dobrze myśleli, pięknie radzili, rozprawiali, cierpieli nawet: szkoła z bagnetami w ręku silniej wzięła się do rzeczy. Tu od przedsięwzięcia do skutku niedaleka była droga."[1])

Słowa te, wypowiedziane już po upadku powstania, doskonale malują usposobienie spiskowców. Porwać się do broni, oto co było ideą młodzieży. Ale to był krok pierwszy. Zapewne do tego kroku nikt się tak nie nadawał, jak młodzież zapalna, zuchwała, a do największych gotowa poświęceń. Niestety, przywódcy spisku nie zastanawiali się nad tem, że po pierwszym kroku trzeba będzie uczynić następne, że rozpoczęte przedsięwzięcie musi mieć swój ciąg dalszy, jeżeli z góry niema być skazane na zagładę. Inni „myśleli" i „radzili", powiada Łaski, a bohaterscy podchorążowie rwali się do czynu, nie myśląc i nie rozprawiając. Otóż i tutaj Łaski się myli. Tych „innych", coby myśleli i radzili, nie było. Nikt nie radził i nikt nie myślał ani w spisku, ani poza spiskiem.

„Porwać się do broni i powstać, — powiada inny ze sprzysiężonych, Leonard Rettel,— było najgłówniejszem i *jedynem zadaniem*, lecz co potem będzie i jak? nic nie było urzeczywistnionego nawet w pojęciach i nic praktycznego w nic yim nie powstało mózgu. Zdawało się, że w sprzysiężeniach i rozmów podobnych starano się unikać, trzymano się tylko celu najbliższego, który się i najgłówniejszym wydawał, bo każde wyjście poza tę granicę nieochybnem groziło rozdwojeniem i rozprzężeniem".[2])

---

[1]) Pamiętnik Emigracyi z d. 5 sierpnia 1832 r. Broszura „Bolesław Wielki".
[2]) Z przedmowy do „Pamiętnika" Wysockiego.

Ze słów tych wynika jasno, że spiskowych nie łączyła świadomość planów i dróg, któremi kroczyć miało powstanie. Spiskowcy unikali nawet rozmowy o kwestyach tak drażliwych, aby nie wywoływać w obozie swym rozdwojenia. Nie rozumieli, że to rozdwojenie rzucają na szalę przyszłości, że skoro wszystkie pierwiastki rozdwojenia tkwią w samem założeniu spisku, to pierwsze wystąpienie pierwiastki te wyniesie na widownię publiczną i wykopie przepaść pomiędzy powstaniem a tymi, co mieli stanąć na czele ruchu, a od spiskowych słyszeli jedynie o obronie gwałconej konstytucyi. Bo o ujęciu władzy w swoje ręce nie myśleli sprzysiężeni. Zdawało się im, że dość podnieść sztandar powstania, a kraj cały skupi się dokoła tego sztandaru, wyłoni z siebie władze kierownicze i wojsku narzuci powstańczego wodza.

Wysocki wszedł w stosunki z oficerami, służącymi w gwardyi, saperach, a następnie i innych pułkach. Spisek krzewił się i rozrastał, a o dobrem usposobieniu szeregów wojskowych nie można było wątpić. Ale sprzysiężeni, agitując w armii, nie zaagitowali wodza. Nie wątpili, że ten wódz sam w odpowiedniej chwili się znajdzie. Był przecież popularny w armii polskiej generał „Staś" Potocki, był głośny na całą Polskę Chłopicki, stary wojak napoleoński, antagonista Konstantego, były w armii polskiej śród wyższych oficerów niepoślednie zdolności, a nawet talenty. Głównie przecież liczono na Chłopickiego. Najwięcej wiary pokładano w jego geniuszu wojennym i dlatego może na chwilę nie wątpiono, że on właśnie stanie na czele.

Nadzieja ta z czasem przerodziła się w pewność.

Wybitniejsi ze sprzysiężonych nie wahali się twierdzić, że do związku należą „nawet osoby wyższe, otoczone powszechnem poważaniem narodu, jak Chłopicki, Niemcewicz, Lelewel i inni..." [1])

Nie było w tem prawdy. Chłopicki nic nie wiedział nawet o istnieniu spisku, a inni, jak Niemcewicz i Gustaw Małachowski, jak posłowie Roman Sołtyk, Lelewel, Zwierkow-

---

[1]) Ze wspomnień Jana Bartkowskiego. Zbiór pamiętników do hist. powst. pols. We Lwowie 1881, str. 3.

ski, Trzciński, komunikowali się z poszczególnymi spiskowcami, ale w pracach sprzysiężenia nie brali udziału.

Na czele spisku stał Wysocki, najczynniejszymi jego pomocnikami byli Zaliwski i Urbański. Ta trójca kierowała organizacyą, ogarniającą wojsko.

Współrzędnie z organizacyą wojskową działało ognisko cywilne, złożone z młodych literatów, przeważnie tych samych, co zbierali się w mieszkaniu Mochnackiego przy ulicy Długiej i nieraz nachodzili samotnię Lelewela. W tej grupie cywilnej największą rolę odgrywali Ksawery Bronikowski, Ludwik Nabielak, Seweryn Goszczyński, Józafat Bolesław Ostrowski i Maurycy Mochnacki. Ten ostatni najwybitniejszą stanowił siłę. Młodziutki literat o głowie jasnej i otwartej, o umyśle twórczym, temperamencie namiętnym i gwałtownym, był jedynym w spisku człowiekiem, widzącym jasno olbrzymią doniosłość przedsięwzięcia. On jeden rozumował głęboko i przewidywał najtrafniej, on jeden wiedział, że „nie tak to łatwo rządzić rewolucyą, jak ją zacząć”.[1]) Gdy Wysocki nie zabiegał w przyszłość, wierząc, że byle powstanie wybuchło, a władza kierownicza wyłoni się sama, Mochnacki twierdził, że należy zawczasu przygotować rząd rewolucyjny, złożony z ludzi rewolucyjnych, śmiałych, energicznych, którzyby doniosłością swoich czynów zdobyli zaufanie społeczeństwa i wywalczyli sobie niezbędną powagę. Na tem tle doszło do nieporozumień i najdzielniejsza głowa sprzysiężenia, Mochnacki, nie mogąc wymódz na naczelnikach spisku utworzenia zawczasu władzy rewolucyjnej, zerwał ze sprzysiężonymi, by wrócić do nich na kilka dni przed wybuchem i dopiero w pamiętną noc 29 listopada ukazać się na widowni.

Tymczasem źle obmyślane dzieło wkraczało w nową fazę. Wiadomość o rewolucyi lipcowej w Paryżu podniosła temperaturę spisku i powiększyła jego szeregi. Zaczęto domagać się od Wysockiego wyznaczenia ostatecznego terminu powstania. Gorętsi ze sprzysiężonych niecierpliwili się, a pogłoski o spodziewanym wybuchu rewolucyi coraz uporczywiej krążyły po mieście. Głośno o niej mówiono. Na zebraniach prywatnych,

[1]) Powstanie Narodu Polskiego, Tom I, str. 382.

w kawiarniach, nawet w pałacu Konstantego szerzyły się te pogłoski. W żart obracano je najczęściej. „Sam poważny Lelewel,—opowiada Rettel,—w bibliotece publicznej uniwersytetu pozwolił sobie żartu, który stał się głośnym w Warszawie; schylony nad jakąś kroniką i głęboko w niej zatopiony poseł żelechowski podniósł nagle głowę i zawołał:

— „Panowie, wkrótce będzie rewolucya!".

„Widząc, że to zuchwalstwo w publicznem miejscu wszystkich obecnych niepomału zwarzyło i nikt mu nic nie odpowiedział, po chwili powtórzył raz drugi i trzeci te słowa, za każdą razą dając napowrót nurka w swoje foliały. Gdy mu ktoś zresztą zrobił cichą uwagę, że narazić się może na wielkie nieprzyjemności, odpowiedział głośno, że ma prawo o tem mówić, bo to powiedział publicznie radca stanu Szaniawski, pod którego najwyższą dyrekcyą jest cenzura w Polsce, to jest miara, co można myśleć, pisać i mówić w całym kraju"[1]). Ów „żart" Lelewela jest najlepszym dowodem, że nie był on wtajemniczony w zamiary sprzysiężenia i że tak, jak inni nie traktował jeszcze rewolucyi seryo. Inaczej niepodobna przypuścić, aby na taki wybryk mógł sobie pozwolić.

W powstaniu kościuszkowskiem pamiętano o ludzie, mniej podczas przygotowań liczono na jednostki znane, o nazwiskach historycznych, natomiast czyniono starania, aby dla idei powstania zjednać klasę rzemieślniczą, rzeźników, szewców, krawców, ślusarzy, robotników z młynów i browarów. W przygotowaniach, poprzedzających wybuch listopadowy, nie czyniono poważniejszych wysiłków, aby lud warszawski dla sprawy pozyskać. Lelewel świadczy, że kiedy w końcu października 1830 r. rozważano usposobienie różnych warstw ludności, zastanawiano się również nad gotowością ludu.

— „Lud warszawski,—powiedział Lelewel,—na pierwszy raz drzemie, przebudzi się potem"[2]).

I zaproponował, aby w nadchodzącą za parę dni rocznicę rzezi praskiej urządzić w kościołach nabożeństwo dla wybadania nastroju ludności. Jakoż Lelewel zamówił mszę w ko-

[1]) Z przedmowy do „Pamiętnika" Wysockiego.
[2]) Przegląd Rzeczy Polskich z 12 listopada 1860 r., str. 15.

ściele Paulińskim, — młodzież u Kapucynów. Próba nie dała pomyślnych rezultatów. Kościół Paulinów był pusty. Nie dopisały bractwa, na które liczono. „Trwożne stało się braciwo serce. Mówiono, że wielu zamykało się w mieszkaniach swych, rozrzewnieni, że są tacy, co o zarzniętych ofiarach pamiętają". U Kapucynów nabożeństwo odprawiało się z wielką uroczystością: ustawiono katafalk, ale policya kazała go uprzątnąć. Nabożeństwa jednak księża nie przerwali. W kościele było sporo inteligencyi, przedstawiciele ludu nie dopisali. Nazajutrz młodzież uniwersytecka urządziła manifestacyę. Zebrawszy się na dziedzińcu uniwersyteckim, zamiast iść na wykłady, uszykowała się w ordynku, opuściła uniwersytet i ruszyła przez Krakowskie Przedmieście ku mostowi. Po drodze spotkawszy księdza, zatrzymała go i zaproponowała, by poszedł z nią na Pragę i tam odprawił mszę żałobną. Ksiądz zgodził się. Więc młodzież wzięła go między siebie i maszerowała dalej. Przed mostem policya chciała zatrzymać pochód, ale ją odepchnięto i ruszono dalej. Dopiero „po mszy, odprawionej w kościołku, na miejscu rzezi stojącym", wróciła młodzież do uniwersytetu.

„Zcicha zapukaliśmy do serca i myśli",—powiada Lelewel,—a ci, co dosłyszeli z młodego pokolenia, śmiało ogrzane serce okazali"[1]).

Z relacyi Lelewela nie widać przecież, aby ta demonstracya poruszyła szersze koła ludu warszawskiego. Natomiast wszelkie publiczne objawy niezadowolenia, głośne żarty, pogłoski, nieostrożne rozmowy miały ten skutek, że zbudziły czujność policyi i zaniepokoiły władze. Zwrócono baczniejszą uwagę na młodzież. Przedsięwzięto środki ostrożności. Dowództwo nad szkołą podchorążych odebrano pułkownikowi Olędzkiemu, któremu Konstanty nie ufał, i powierzono je generałowi Trembickiemu. Aresztowano kilku członków spisku, a Zaliwski i Wysocki pociągnięci zostali do śledztwa. W takich warunkach dalsza zwłoka mogła każdej chwili całe przedsięwzięcie narazić na największe niebezpieczeństwo. Termin powstania już przedtem parokrotnie bywał odkładany, ale

---

[1]) Przegląd Rzeczy Polskich z 12 listopada 1860 r., str. 15.

teraz wypadki pchały do czynu—i chwila krytyczna zbliżała się nieubłaganie. Wtedy dopiero, zaledwie na tydzień przed wybuchem, jak świadczy Ksawery Bronikowski.[1]) sprzysiężeni pomyśleli o władzy, którąby stanęła na czele i nadała kierunek rewolucyi.

Oglądano się za człowiekiem, znanym w kraju ze swego sposobu myślenia i z uczuć patryotycznych. Szukano autorytetu, któryby przyzwolił na wybuch i dał mu swoją sankcyę. Wybór padł na Lelewela. Znakomity historyk miał głośne imię i najlepszą opinię, a cieszył się nieograniczonem zaufaniem młodzieży. Nic dziwnego, że młodzież widziała w nim męża opatrznościowego i w ostatniej chwili w jego ręce postanowiła złożyć losy całego przedsięwzięcia. Maurycy Mochnacki, który w chwili krytycznej znowu zbliżył się do swoich towarzyszów, a z Lelewelem w bardzo ścisłych pozostawał stosunkach, uprzedził profesora, że sprzysiężeni pragną się z nim rozmówić w sprawie największego dla kraju znaczenia.

Lelewel nie uchylił się od rozmowy.

Termin tej rozmowy wyznaczono na dzień 21 listopada, a miejscem umówionem była biblioteka Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Jakoż o oznaczonym czasie i w umówionem miejscu odbyła się ta brzemienna w następstwa schadzka historyczna. Pod pozorem obejrzenia gabinetów Towarzystwa przyszli do biblioteki Wysocki, Zaliwski i Bronikowski, a niebawem zjawił się i Lelewel. Z przemową wystąpił Wysocki. Mówił on o dobrym duchu, ożywiającym wojsko polskie, zapewniał profesora, że wojsko to każdej chwili gotowe jest „wespół z narodem podnieść oręż ku obronie... swobód i konstytucyi". Tak, *konstytucyi*. Powtarza to słowo sam Wysocki, a jest to słowo bardzo znamienne, wymownie bowiem świadczy, że jeszcze na tydzień przed wybuchem powstania nie co innego, jeno konstytucya była hasłem walki.

„Przemów do nas twoim we wszystkiej Polsce znanym głosem,—mówił w dalszym ciągu Wysocki do Lelewela.—Niechaj nam twoje światło w tej dobie przewodniczy. Widzisz

[1]) Kronika Emigracyi Polskiej. Tom III. str. 309.

w nas posłanników bardzo wielkiej liczby oficerów, dzielących te same uczucia"[1]).

Takie odezwanie się świadczyło, że sprzysiężeni nie zdają sobie sprawy z ostatecznego celu powstania i strony politycznej rewolucyi nie rozumieją zupełnie. Nadto widocznem było, że sprzysiężeni nie mają odwagi wziąć na swoje barki odpowiedzialności za skutek swojego czynu. Szukali światła i przyzwolenia, a odpowiedzialnością pragnęli się dzielić. To najmniejszej nie mogło podlegać wątpliwości. To było jasne, wyraźne. Znany głos w całej Polsce znaczył dla tej młodzieży wszystko, był w owej chwili wyrokiem, na który godzono się z góry.

W takich warunkach Lelewel stawał się panem sytuacyi.

Mógł się przeciwstawić zamiarom młodzieży, mógł je zatwierdzić. Od niego zależało odłożyć lub przyśpieszyć projektowany wybuch, nadać powstaniu charakter i wytknąć wielki cel polityczny. W jego mocy było narzucenie spiskowcom władzy powstańczej, skład i dobór rządu. Od niego zależała decyzya. Jego słowo miało teraz moc prawa i wagę rozkazu.

Więc z niecierpliwością musieli oczekiwać spiskowcy, co powie ów władny mąż i jak przyjmie ich oświadczenie.

Ale Lelewel był w kłopocie.

„Naród,—odpowiedział według relacyi Wysockiego,—podziela uczucia wojska. Tym samym duchem, co i wy tchną wszyscy dobrzy Polacy... Nie wątpię o pomyślnym skutku waszych usiłowań, jeżeli całe wojsko macie za sobą. Czterdzieści tysięcy zbrojnych ludzi, mających jedną chęć, jedno życzenie, naród cały pociągną za sobą..."[2])

Według późniejszych zeznań Wysockiego miał Lelewel to jeszcze wyrzec:

[1]) Pamiętnik Piotra Wysockiego, Tom II, str. 22. Rozmowa ta pisana była w niespełna trzy tygodnie od dnia schadzki i ogłoszona w pismach warszawskich.

[2]) Pamiętnik Wysockiego, Tom II, str. 22 — 23.

„Gdyby można wiedzieć, że Austrya lub Francya ujmie się za nami, natenczas moglibyśmy przedsięwziąć, inaczej wątpię, gdyż nam samym trudno będzie się oprzeć"[1]).

Ta druga odpowiedź[2]) przeczy pierwszej, ale rozmowa trwała długo, więc jest rzeczą prawdopodobną, że nie brakło w niej sprzeczności. Wysocki dodaje jeszcze, że „zgodnie z opinią Lelewela" na konferencyi tej uchwalono powstać dnia 28 listopada wieczorem. Taki w ogólnych zarysach przebieg miała rozmowa sprzysiężonych ze słynnym uczonym. Ale to wielce charakterystyczne sprawozdanie Wysockiego uzupełnia świadectwo samego Lelewela, świadectwo równie wymowne, a pomijane najczęściej przez historyków powstania.

„Nie zalecałem im (sprzysiężonym) żadnych terminów,— twierdzi Lelewel[3]).—A widzenie się 21 listopada było tej natury, co i inne widywanie się z różnemi osobami, które przychodziły radzić się, pytać, rozważać, co można, co trzeba zrobić. Przychodzili w ostatnich czasach do mnie, dlatego, że nie mieli do kogo się udać, a im się zdawało, że im objaśnienia dać mogę. Nie dysponowałem niczem, tylko oni brali decyzyą i mnie zawiadamiali o terminie, o planach. Zbytecznieby było opisywać roztrząsane kwestye. Wszakże pochlebiam sobie, żem mógł nieco wpływać na przyjęcie zasad przez spiskową młodzież, z których główniejsze przytoczyć wypada. Przysięgali sobie poświęcić się bezinteresownie, powołując tylko naród i wszelkie jego klasy do powstania. Sami, poru-

—

[1]) Akt oskarżenia w sprawie przeciwko osobom pod Najw. Sąd Krym. w Król. Polsk. w zarzucie spełnienia zbrodni... i t. d. Warszawa, 1834, str. 11.

[2]) Nie waham się powoływać na akt oskarżenia, bo aczkolwiek z tego rodzaju źródeł z największą należy korzystać ostrożnością, to jednakże w danym wypadku te lub inne słowa, przypisywane L-wi, w zeznaniach Wysockiego dla żadnej z osób nie mogły już mieć znaczenia. To też Wysocki bez narażania nikogo mógł mówić prawdę.

[3]) W reklamacyach swoich, nadesłanych doktorowi Spazierowi, pierwszemu historykowi powstania listopadowego. Po ukazaniu się pierwszego tomu Lelewel przysłał Spazierowi szereg sprostowań, dotyczących jego działalności. Sprostowanie te wydrukowane zostały w tomie 3-im Historyi Spaziera. Praca ta ukazała się w języku niemieckim i wśród emigracyi najostrzejszą wywołała krytykę. Pisana na gorąco, często na podstawie kursujących plotek i ustnych opowiadań ważniejszych uczestników powstania, zawierała sporo błędów i niedokładności. Nie brak w niej przecież i cennych wiadomości, z których jednak, jak

szywszy się, nie mogą szukać ani rang, ani awansów, ani nagród, ani urzędów, winni zostać w swych miejscach bez pretensyi. Dotrzymali tego do końca.

Wstrzymują się od wszelkich proklamacyi, od wszelkiego objawiania woli swej, w nadziei, że starsi bracia, którym kierunek sprawy pozostawić zamyślają, trafniej przed światem prawa narodu swego objawią, stan kraju i mieszkańców jego ulepszą, że żołnierzowi, w sprawie ojczyzny walczącemu, wydzielenie własności ziemskiej obmyślą i zapewnią, że stan włościan ulepszą...

Postanowili szanować porządek, prawa, własność wszelką prywatną i publiczną, dla utrzymania kredytu. Szukali osób, którymby ster rządu mógł być powierzony, w przypadku wywrócenia władz opór stawiać mogących. Ale tych osób w chwili wybuchu pod ręką nie było; władze się zrewolucyonizowały i rzecz inny brała kierunek.

Zacząwszy, zamierzyli wszelką czynność oddać starszym, którzy, jako dobrzy Polacy, w doświadczeniu dojrzalsi, sprawę narodową, zdawało się, że lepiej poprowadzą, porządek i kredyt lepiej zachować zdołają. Życzeniem ich było, aby generałowie i wielu wyższej rangi oficerowie mogli być usunięci, bo im nie ufali. A gdy się to nie stało, czas okazał, że mieli racyą. Wszakże choć się to nie stało: cierpieli, w nadziei, że ich doświadczenia i uczucia polskie staną się użyteczne. Po większej części zawiedli się.

Sejmowi zupełna zaręczona ufność. „Czy możemy Sejmowi ufać?”—pytali mnie. Nie od pierwszego razu, aż po namyśle w dni parę odpowiedziałem im: „Możecie, możecie zupełnie”. I ufali! Do historyi należy ocenić, w czem, Sejm temu zaufaniu odpowiedział, w czem sprawę narodową zawiódł. Młódź w pewnej ufności nazywała ich ojcami i ojcom narodu losy jego powierzyła. Pewnie nie zawiodła się na uczuciach polskich; nie znalazła spodziewanych zdolności i trafności w działaniu...”[1])

zresztą i z innych źródeł współczesnych, z wielką ostrożnością korzystać należy. Praca ta przetłómaczona została niebawem na język polski.

[1]) Historya powstania narodu polskiego w roku 1830 i 1831... przez Rycharda Ottona Spaziera. W Paryżu 1833. Tom III, str. 449—450.

Tak brzmi świadectwo samego Lelewela.

Jeżeli na podstawie relacyi Wysockiego możnaby mniemać, że pamiętna rozmowa była jakiemś tragicznem nieporozumieniem, to zeznanie samego Lelewela wszelkie co do tego rozprasza wątpliwości. Widać najwyraźniej ze słów uczonego, że był poinformowany o wszystkiem, że wywierał wpływ nawet na wypracowanie szczegółów akcyi przedsięwziętej, że wbrew jego zapewnieniom, składanym niewątpliwie z najgłębszem przekonaniem i najlepszą wiarą, schadzka 21 listopada nie była tej natury, co „i inne widywanie się z różnemi osobami”. Powiada Lelewel i w tem różni się od Wysockiego, że wybuchowi powstania nie wyznaczał żadnego terminu, ale nie przeczy, że na tej konferencyi termin ustanowiono, nie powiada, żeby na ów termin nie zgadzał się lub radził go odłożyć. Sam twierdzi, iż spiskowcy przychodzili do niego dlatego, że *nie mieli do kogo się udać*. Już to jedno świadczy, że był dla nich najwyższą i jedyną instancyą. Przyznaje się dalej do swojego wpływu, skoro zasady, które zalecał, przyjęte zostały przez spiskową młodzież.

I cóż tej młodzieży zalecał?

W radach jego uderza przedewszystkiem stanowisko negatywne. Ludziom czynu mówił najpierw o tem, czego czynić nie powinni. A więc nie szukać rang, urzędów, nie piąć się ku górze, pozostać na swoich miejscach bez pretensyi, nie wydawać proklamacyi, nie objawiać swej woli, oddać kierunek „starszym braciom” i zupełnie zaufać Sejmowi! Niepodobna powstrzymać się od zdumienia, gdy się zważy, że rady takie uważał za dobre Lelewel po upadku powstania, po gorzkiem doświadczeniu przeżytej klęski, mając mnóstwo dowodów, jak niefortunne były zalecane przez niego zasady. Cóż mógł mieć np. przeciwko wydaniu proklamacyi? Prawda, że najlepszą proklamacyą był sam wybuch powstania, ale mogło się zdarzyć (i tak się zdarzyło istotnie), że ludność stolicy, zaskoczona znienacka rozruchami, nie będzie w pierwszej chwili wiedziała, co znaczy ów alarm, w jakim celu i kto go wywołał; że ludzie, co ruch poważny gotowiby poprzeć, usuną się z widowni, albo też widząc niezrozumiałe w ich oczach poruszenie młodzieży, potępią je, jako wybryk krwawy i bez-

cełowy. Mówił Lelewel o „starszej braci”, w nadziei, że ona trafniej przed światem prawa narodu objawi, ale jakież miał gwarancye, że ci starsi bracia, nieuprzedzeni i nieprzygotowani, nie staną wpoprzek ruchowi? Wprawdzie szukano osób, którymby można powierzyć władzę, ale tych osób „nie było pod ręką”.

Nie było pod ręką!

Cóż za tragiczne wyznanie! Więc nie protestował uczony przeciw rozpoczęciu powstania, nie wiedząc nawet, czy ci, co stanąć mieli na czele ruchu, znajdą się w chwili właściwej „pod ręką!” Wreszcie zalecał zupełną ufność dla Sejmu. Ale gdzież był ten Sejm, co mógł w pierwszych, tak ważnych dniach rewolucyi znaczyć i jaką mógł odegrać rolę, skoro jego członkowie, po całym kraju rozproszeni, ani się domyślali, że sztandar powstańczy wzniesiony będzie w stolicy. Gdy całą sprawę składano w ręce Lelewela, jemu się zdawało, że nie dysponuje niczem. Nie rozumiał, że rozporządza swoim wielkim wpływem, swojem imieniem, głośnem w całej Polsce, że udzielaniem wskazówek, wpływaniem na zasady powstania akceptuje sam wybuch i staje się jego główną sprężyną. A przecież sytuacya była jasna. Miał przed sobą dwie drogi, zależne od własnej wiary i własnego przekonania: potępić wybuch i usunąć się od wszelkiego w nim udziału, powstrzymać się od wszelkich rad i wskazówek, albo też wziąć na siebie odpowiedzialność za mające nastąpić wypadki i ster tych wypadków ująć samemu lub oddać w bardziej powołane ręce. Tymczasem wybrał drogę pośrednią, a więc najfatalniejszą, jaką mógł wybrać. Nie potępiał rewolucyi i nie zachęcał do jej wywołania. W chwili decydującej o tem, co stanowić miało punkt zwrotny w dziejach narodu, nie przemówił, jak mąż stanu i świadomy swych zadań obywatel kraju, ale jak gawędziarz, który istotnie nie rozporząda niczem, lecz przyjmuje do wiadomości komunikowane mu fakty i czyni nad nimi nikogo nieobowiązujące uwagi. Ale spiskowcy z rozmowy tej — i trudno im się dziwić — wynieśli wrażenie, że mają Lelewela za sobą, że on ich wesprze całą potęgą swojego wpływu i zwiąże z nimi swe losy.

Sprawa powstania została rozstrzygnięta.

Pozostało zorganizowanie władzy powstańczej. Bronikowski utrzymuje[1]), że na usilne nalegania Lelewel obiecał porozumieć się z Pacem, Władysławem Ostrowskim, Wincentym i Bonawenturą Niemojowskimi, a Roman Sołtyk zapewnia[2]), że rząd rewolucyjny składać mieli sami członkowie Sejmu, a mianowicie: Władysław Ostrowski, Wincenty Niemojowski, Joachim Lelewel, Walenty Zwierkowski i Roman Sołtyk. Na wniosek tego ostatniego zgodzono się jeszcze powołać do składu rządu ks. Czartoryskiego, jako obywatela znanego na przestrzeni wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej, a i za granicą cieszącego się powagą. Każdy z członków tego niedoszłego rządu miał swoją sferę wpływów, a wszyscy razem reprezentowali różne odłamy opinii publicznej. Lelewel i Zwierkowski hołdowali ideom demokratycznym, Niemojowski stał mocno na gruncie konstytucyonalizmu, a Czartoryski, Ostrowski i Sołtyk przez związki z najmożniejszemi rodzinami w Polsce mieli zapewnić powstaniu udział wyższych sfer społeczeństwa. Ta myśl utworzenia rządu powstańczego z ludzi niezharmonizowanych, a więc zbiorowo niezdolnych do czynu, odnowiona w jakiś czas po wybuchu, żywy odgłos znalazła w samym Sejmie i nie jedną klęskę miała zadać powstaniu. Niewiadomo, bo Sołtyk o tem nie mówi, jak na taki skład rządu zapatrywał się Lelewel, ale wiadomo, że działał powolnie i niezdecydowanie, że ani z tych, ani z innych ludzi rządu nie mógł i nie umiał stworzyć. Wiadomo również, że o owym rządzie pomyślano w ostatniej chwili, że nie wybadano opinii osób, co miały rząd składać, że nawet nie wiedziano, czy w decydującym momencie osoby te będą w stolicy. Nie lepiej rzecz się miała z władzą wojskową. Zaledwie na kilka dni przed wybuchem zwrócono się do majora Kazimierza Machnickiego z propozycyą objęcia dowództwa nad armią powstańczą. Machnicki, znany z żelaznego charakteru i gorących uczuć patryotycznych, nie miał wielkiego zaufania do rozpoczętej akcyi. Zgo-

[1]) Kronika Emigracyi Polskiej. Tom III. str. 308 i następne.

[2]) Polen und seine Helden von Roman Soltyk. Stuttgart 1834. T. I. str. 105.

dził się wreszcie przyjąć czasowo dowództwo, ten jedynie stawiając warunek, by z chwilą rozpoczęcia powstania stawił się do jego rozporządzenia oddział kawaleryi.

Wszystkie te przygotowania odbywały się w największej tajemnicy, a Lelewel nie był zaprawiony do działań konspiracyjnych i nie posiadał potrzebnego doświadczenia. Tymczasem przypadek nigdzie nie odgrywa tak wielkiej roli, jak w działaniu konspiracyjnem, żadna praca nie wymaga takiego przystosowania się do wypadków i takiej energii w czynie, jak praca spiskowa. W żadnych okolicznościach nie jest trudniej przejrzeć człowieka, niż w mroku konspiracyi. W mroku tym nie zrozumieli i nie przejrzeli Lelewela spiskowcy, ale i on ich nie przejrzał i nie zrozumiał. Przez cały ten czas postępował, jak człowiek, którego nagle ogarnęły ciemności. Postępowanie to nie przesądzało jeszcze, jak pocznie sobie wtedy, gdy łuna pożarna rozwieje mrok konspiracyi, gdy w krwawem świetle pożaru ukażą się właściwe fizyonomie niedoszłych członków rządu rewolucyjnego, wybłysną niczem niekrępowane namiętności, zarysują się jaskrawo rozbieżne cele i dążenia. Ale dotychczasowe zachowanie się Lelewela wobec spiskowców było złą wróżbą na przyszłość: nie wykazał ani inicyatywy, ani energii, ani bystrzejszego na sprawę poglądu. Co gorsza, własnej nie zrozumiał roli.

Tymczasem wypadki dojrzewały.

Wojskowi ułożyli ostateczny plan działań. Do głównych punktów tego planu należało uwięzienie, albo zabicie w. ks. Konstantego, rozbrojenie wojsk rosyjskich, a przedewszystkiem rozbrojenie trzech pułków gwardyi rosyjskiej, której koszary znajdowały się w pobliżu Belwederu, wreszcie skoncentrowanie powstańczego wojska i poruszenie ludu Warszawy. Cała rzecz polegała na tem, aby dostać w swe ręce w. księcia i siły nieprzyjacielskie niespodzianym napadem ubezwładnić lub zetrzeć, gdyby spróbowały się bronić.

Wykonanie planu dla różnych powodów postanowiono o dzień jeden opóźnić. Uwiadomiono o tem profesora. Ale osób, które miały rząd rewolucyjny składać, „*nie było w tej chwili pod ręką*". Lelewel oglądał się na spiskowców, spiskowcy oglądali się na Lelewela. W ten sposób powstanie rzu-

cone zostało na zwodnicze losy szczęścia, na wszystkie koleje przypadku. Były serca gorące i odważne ręce, nie było głowy. A czas szedł w swym niepowstrzymanym biegu i chwilę krytyczną zbliżał nieustannie.

Dnia 29 listopada zegar dziejowy wydzwonił godzinę czynu.

X.

PIERWSZE DNI POWSTANIA.

Dnia tego spiskowcy stanęli na swoich posterunkach i stosownie do przyjętego planu rozpoczęli działania. Nabielak na czele kilkunastu śmiałków wtargnął do Belwederu, przeciągnął, jak burza, przez komnaty pałacowe i, jak burza, z nich wypadł, nie dopiąwszy napadem swym celu. Carewicz Konstanty ukrył się i ocalał. Nie powiodło się i szkole podchorążych pod wodzą Wysockiego. Naczelnik sprzysiężenia nie tylko nie rozbroił jazdy rosyjskiej, ale po nieudanym napadzie na koszary, zagrożony został odcięciem od miasta. Salwami karabinowemi i bagnetem trzeba było otwierać sobie drogę do stolicy. Dzielni szermierze i znakomici strzelcy nie dali się przecież osaczyć i, zagarnąwszy po drodze uchodzący oddział Nabielaka, wkroczyli do miasta. Wkroczyli rozgrzani walką, podnieceni doniosłością chwili, miotani sprzecznemi uczuciami. Stolica była głucha, jakby wymarła. Mieszkańcy, nie wiedząc, co się dzieje, a słysząc odgłosy wystrzałów, ryglowali sklepy, zamykali pośpiesznie bramy, gasili światła. „Polacy! do broni!" — wołali podchorążowie, ale okrzykom tym nigdzie nie odpowiadało echo. Więc rozpacz ogarniała młodych żołnierzy i gniew wzbierał w sercach. Posuwali się naprzód groźni i straszni w swoim gniewie. Ciągnęli ku śródmieściu, ale nie wiedzieli, jak się zachować i co czynić dalej. Pod ich stopami paliła się ziemia, ukochane ich dzieło sta-

czało się w przepaść. Stawali u kresu swych działań. Jako żołnierze potrzebowali teraz wodza, któryby za nich myślał i do dalszej prowadził walki. Cała nieudolność tych, co przygotowywali wybuch, zaraz po pierwszych niepowodzeniach zaczęła ciążyć nad krokami powstańców. Gniew, niemoc i przypadek miał odtąd kierować tym oddziałem. Jakoż przypadek zrządził, że na placu św. Aleksandra podchorążowie napotkali Stanisława Potockiego, a więc jednego z generałów, któremu w marzeniach swoich przeznaczali naczelne dowództwo zbrojnych sił powstania. W niezwykłych warunkach stanęli oko w oko z domniemanym wodzem. Zaczęli go prosić, aby objął nad nimi komendę. I oto w ciemnościach jesiennego wieczoru, na publicznym placu, po nieudanym napadzie na Belweder, w chwili największej niepewności i rozpaczy, zaczęło się werbowanie wodza.

— „Prowadź nas!" — wołali podchorążowie.

Zdawało się im, że dość przemówić do uczuć obywatelskich generała, dość krzyknąć mu: „Prowadź!" a kochany generał zaryzykuje wszystko i stanie na czele powstania. Tymczasem Potocki, nie wiedząc, co się dzieje, a słysząc o rozruchach, śpieszył do Belwederu. Otoczony przez podchorążych, zgromił ich ostro i na tymże placu św. Aleksandra sześć kompanii piechoty polskiej, śpieszących do powstania, odciągnął namowami swemi od rewolucyi i pchnął pod rozkazy w. księcia.

Tak postąpił człowiek, o którym powiadano, że należy do spisku. W godzinę później zginął od bratniej kuli, gdy na prośbę Konstantego powrócił do miasta, by uśmierzać rozruchy.

Podchorążowie szli dalej. Zawiódł ich Potocki, ale niebawem nowy przypadek zetknął ich z generałem Trembickim. Nie miał on w oczach podchorążych dobrej opinii i w planach sprzysiężonych nigdy w grę nie wchodził. Ale w tym momencie młodzież nie myślała o niczem. Spotkała Trembickiego, a więc Trembicki wodzem być musi! I gwałtem chciano narzucić mu dowództwo. Generał nie tylko dowództwa nie przyjął, ale nawoływał do posłuszeństwa i gniewem carewicza groził zbuntowanym. Więc otoczono go kołem i, prosząc a grożąc, prowadzono pod osłoną bagnetów. Po drodze zabito przez omyłkę generała Nowickiego, później nieco padli

od kul podchorążych generał Hauke i Meciszewski. Trembicki wybuchnął i mordercami nazwał prowadzącą go młodzież. Wówczas położono go trupem i ruszono dalej. Zatrzymano się dopiero pod arsenałem, do którego już nadciągały oddziały wojska pod komendą należących do spisku oficerów i śpieszył lud ze Starego Miasta. Oddział Wysockiego przekonał się, że nie jest całkiem opuszczony. Tłumy opanowały arsenał, rozchwytywały broń i ładunki—powstanie w nową wkraczało fazę. Było zbuntowane wojsko, był lud uzbrojony i mimo wszystkie niepowodzenia tworzyła się siła poważna i groźna, zdolna jednym śmiałym czynem zmienić postać rzeczy, rozproszyć niepewności i nadać powstaniu barwę, charakter i rozpęd. Ale ta siła potrzebowała głowy, a głowy nie było w tym tłumie.

Więc powstanie zatrzymało się w miejscu, jak wryte.

Jeden z przewidywanych wodzów, Potocki, kończył w tej chwili swe życie w pałacu Zamoyskich, a drugi wódz domniemany, Chłopicki, znajdował się w teatrze i bronił w tym samym czasie oficerów rosyjskich, których na wieść o powstaniu chciano aresztować. Później ukrył się u znajomych, by nic nie wiedzieć, nie słyszeć i do niczego nie przykładać ręki. Machnicki również nie ukazał się dnia tego. Gdy oddział jazdy, na który oczekiwał, nie stawił się przed jego domem, dzielny major stracił wiarę w sprawność spiskowców i, uważając, że sprawa jest stracona, nie śpieszył z objęciem dowództwa. W ten sposób wojsko zbuntowane pozostało bez komendy, narażone w każdej chwili na atak wojsk rosyjskich, na walkę bez planu i spójności. Zawiodła tedy spiskowców władza wojskowa. Zawiodła i władza cywilna, ów rząd powstańczy, o którym pomyślano niemal w przededniu wybuchu, a który miał stworzyć Lelewel. Nie było wodza i nie było rządu, bo Lelewel nie zrobił nic, aby władzę ową utworzyć.

Mogło się zdawać, że powstanie skazane jest na zagładę. Wojsko polskie było podzielone: część skupiła się pod rozkazami w. księcia, część przyłączyła się do powstańców. Sfery wyższe ani myślały o tem, by pośpieszyć powstaniu z pomocą.

Wojsko zrewolucyonizowane było zbyt słabe liczebnie, aby stawić czoło tej sile, jaka skutkiem niepewności pierw-

szych działań zaczęła się gromadzić w obozie Konstantego. Ale powstanie znalazło niespodziewanych sprzymierzeńców. W pierwszym rzędzie sprzymierzeńcem takim był sam w. książę, a następnie ci wszyscy, co powagą i stanowiskiem swojem postanowili uśmierzyć wzburzone żywioły i ład zaprowadzić w stolicy.

W. książę, otoczony wojskiem rosyjskiem i polskiem, nie, mógł się zdecydować na żaden krok stanowczy. Przerażenie jakiem go napełnił zuchwały napad, odebrało mu wszelką zdolność do czynu. On, tak srogi i tak pochopnie okrutny w wymierzaniu zemsty, drżał teraz o własną skórę i, nie bacząc na usilne nalegania generałów rosyjskich, aby póki czas jeszcze, szarżami kawaleryi rozpędzić lud zgromadzony i zbuntowane wojsko, nie mógł się zdobyć na danie przyzwolenia Z trwogą w sercu patrzał na zbuntowaną stolicę i trwał w bezczynności, czekając, azali płomień powstania sam przez się nie wygaśnie.

W ten sposób ustała wszelka władza.

Wprawdzie istniała Rada Stanu, wprawdzie właściwy rząd Królestwa, Rada Administracyjna, nie była rozwiązana. Ale Radę składało grono ludzi, posłusznych wszelkiemu skinieniu Konstantego i Nowosilcowa. Rada Administracyjna nie miała własnego rozumu i własnej woli. Rada Administracyjna robiła to, co jej kazano. A teraz nie było nikogo, ktoby rozkazywał. Przezorny Nowosilcow zawczasu umknął z Warszawy, zaś w. książę nie tylko na rozkaz zdobyć się nie mógł, ale o żadnem wystąpieniu czynnem słyszeć, ani decydować nie chciał.

Uczyniła się pustka, która z natury rzeczy długo trwać nie mogła. I teraz przyszedł ostateczny moment na wystąpienie tego, który jeśli nie był jednym z głównych sprawców wybuchu i niepowodzeń, to był najpoważniejszą dźwignią moralną pamiętnej nocy 29 listopada. Sprzysiężeni zastosowali się do rad, które im gorąco zalecał. Dokonawszy poruszenia, pozostali *na swoich miejscach bez pretensyi*, wstrzymali się od wszelkich proklamacyi i objawienia swej woli, kierunek sprawy pozostawili „starszym braciom", którzy przed światem trafniej mieli prawa narodu objawić. Był najwyższy czas usprawiedliwić czynem te wcielone już w życie za-

sady. Sprawa stała fatalnie, ale działanie szybkie i zdecydowane mogło piorunujące sprawić wrażenie, mogło jeszcze wiele zdziałać i wiele złego naprawić. Należało objawić cel rewolucyi i władzę rewolucyjną powołać do życia. Nie mogło bowiem ulegać kwestyi, że jeżeli się władza taka nie wyłoni, to na jej miejscu zjawi się inna, powstaniu nieprzyjazna, może nawet wroga.

Ale Lelewel był nieobecny.

Wszyscy spiskowcy zajęli swoje posterunki, tylko on jeden nie wyszedł z domu i nie przedsięwziął nic, aby dziełu rozpoczętemu zapewnić powodzenie. Główną przyczyną tej bezczynności był niewątpliwie ciężki smutek, panujący tej pamiętnej nocy w domu Lelewelów. W nocy tej ojciec uczonego, Karol Lelewel, leżał na łożu śmiertelnem i kończył swój długi, spracowany żywot.

„Godzina 8 wieczór, kiedy gorzały sygnały, — pisze Prot Lelewel,—kiedy w Belwederze było gorąco, rodzic nasz zaczął dogorywać. We trzech bracia luzowaliśmy się. Już rozlicznych strzałów, chociaż od blizkiego, zdobywanego arsenału zrozumieć nie mógł, jednakże dopytywał się o nie"[1]).

Joachim, pogrążony w ciężkiem strapieniu, wiedział dobrze, co znaczą owe strzały, ale o przebiegu wypadków nie miał relacyi. Dopiero o północy do mieszkania przy ulicy Długiej wpadł Ksawery Bronikowski i przyniósł wiadomości z miasta. Bronikowski nalegał na uczonego, aby w chwili tak dla narodu poważnej nie czynił zawodu i natychmiast zajął się tworzeniem władzy powstańczej. Lelewel otrząsnął się ze smutku, opuścił umierającego ojca i wyszedł na ulicę. Towarzyszyli mu Bronikowski, Poniński i Adam Gurowski. Wtedy rozpoczął się drugi akt strasznego dramatu, zakrawającego na krwawe szyderstwo losu. Jak przed paru godzinami bezpośredni sprawcy powstania szukali na ulicach Warszawy wodza i napotykanym a nieświadomym rzeczy generałom gwałtem chcieli narzucić komendę, tak teraz moralna siła tegoż powstania, Lelewel, zaczął szukać po całem mieście ludzi, którzy zechcieliby ogłosić się rządem. Udano się do

---

[1]) Pamiętniki Prota Lelewela, Rks.

Paca, ale nie zastano go w domu. Więc zamierzano zwrócić się do „starszych braci”: Czartoryskiego, Chłopickiego i Niemcewicza, gdy napotkany na ulicy Senatorskiej poseł Szaniecki oświadczył Lelewelowi, że właśnie w zamku ma się zebrać kilku obecnych w Warszawie posłów i władzę ustanowić.[1]) Jak kilka godzin przedtem oddział podchorążych chciał na czele wojska postawić Potockiego, a później tęż samą propozycyę czynił Trembickiemu, tak i teraz błądząca gromadka jedynie skutkiem przypadku zmieniła swój zamiar i w inną zwróciła się stronę. Ale posłów nie było i zamierzone posiedzenie do skutku nie doszło.

Lelewel postępował jak automat. Prowadzono go do Paca, szedł do Paca. Mówiono o Chłopickim, Czartoryskim i Niemcewiczu, jako o członkach rządu, nie protestował. Pociągnął go Szaniecki, aby ów rząd zgoła z innych ludzi utworzyć, poszedł z Szanieckim. Nie przejawił swojego zdania, ani swojej woli, nie zdobył się na żaden odruch samodzielności, najwidoczniej był przygnębiony chorobą ojca i nie mógł się z tego przygnębienia otrząsnąć. Wrócił do domu O godzinie 4 rano umarł jego ojciec. Straszny cios jakgdyby obudził Lelewela. Otrząsnął się, ocknął i „od łoża śmiertelnego wybiegł krążyć nieco po mieście...”[2])

A powstanie bez władzy naczelnej i planu obozowało pod arsenałem, nie tworząc wypadków, lecz oczekując na nie. W martwym punkcie zatrzymała się rewolucya. Ale naprzeciw niej stał równie niepewny przyszłości i swojego losu, równie bezczynny i niezdecydowany w. ks. Konstanty. Taki stan rzeczy stwarzał dziwną równowagę pomiędzy dwoma wrogimi obozami, pozwalał obu trwać i obu czekać, co się dalej stanie. Wytworzyła się jak gdyby próżnia, mogło się zdawać, że koło historyi zatrzymało się w biegu.

Oczywiście, położenie takie długo trwać nie mogło.

Gdy powstanie żadnej z siebie nie wyłaniało władzy, a w. książę na nic się nie ważył, znaleźli się inni, co postano-

---

[1]) Kronika Emigracyi Polskiej. Tom III, str. 310 — 311.

[2]) List Lelewela do L. Chodźki z d. 10 VI. 1831 r. Rks w Rapperswilu.

wili wypełnić tę próżnię i zapanować nad położeniem. Do tych ludzi należeli książę Lubecki i książę Czartoryski. Niemal jednocześnie powzięli oni myśl jedną i jednocześnie rozpoczęli działać. Lubecki, podobnie jak Lelewel, poniósł ciężką stratę, gdyż wybuch listopadowy zastał go przy zwłokach syna. Ale minister skarbu otrząsnął się z ciężkiego strapienia, opanował wzruszenie i wyszedł do dalszych komnat, które niebawem wypełnił tłum urzędników, wojskowych i różnych dygnitarzy, śpieszących u potężnego ministra zasięgnąć wiadomości o charakterze ogarniającego stolicę wzburzenia. Ale minister nic nie wiedział. Początkowo nie chciał nawet wierzyć, by owo zaburzenie było rewolucyą. Lecz rzeczywistość przemawiała zbyt silnym głosem, a wiadomości, przynoszone z miasta, brzmiały zbyt groźnie, aby można było powątpiewać dłużej. Więc Lubecki uwierzył w powstanie i przedewszystkiem pytał, kto stoi na jego czele.[1]) Usłyszawszy, że władzy powstańczej niema, minister zdziwił się niepomiernie.

W głowie jego nie mogła się pomieścić rewolucya, rzucona na ulicę bez rządu, któryby nią kierował. Taka rewolucya nie była na tyle groźna, aby nie można jej opanować. A przedewszystkiem o tem pomyślał lojalny minister! Rozejrzawszy się nieco w położeniu, postanowił działać. Jako człowiek czynu, zakreślił sobie plan na najbliższą metę i natychmiast przystąpił do dzieła. Najpierw postanowił zwołać rząd istniejący, to jest: Radę Administracyjną. Ale Rada była niepopularna. Można było oczekiwać, że jej wystąpienie nie tylko nie uśmierzy rewolucyi, ale raczej rozdmucha jej płomienie. Więc Radę postanowił Lubecki wzmocnić przybraniem do jej składu osób, których nazwiska cieszyły się zaufaniem ludności. Z takim projektem udał się do prezesa Rady, Sobolewskiego. Tutaj był już obecny ks. Czartoryski. Przybył on z tą samą myślą i właśnie rozmawiał o niej z przerażonym do najwyższego stopnia gospodarzem. Mianowanie członków Rady było przywilejem panującego, więc lojalny w każdym calu Sobolewski drżał na myśl o tym kroku. Istotnie, krok był niezwykły, i obaj książęta wiedzieli o tem najlepiej. Ale i położenie by-

[1]) Powstanie narodu polskiego przez M. Mochnackiego, II, str. 52.

ło niezwykłe, a niemniej od Sobolewskiego lojalny Lubecki nie obawiał się skutków, jakie wkroczenie w atrybucye króla mogło za sobą pociągnąć, byle cel ostateczny został osiągnięty. Nie obawiał się tych skutków i Czartoryski. Wiedzieli obaj dobrze, że uśmierzenie rewolucyi obroni ich najlepiej, jeżeli trzeba będzie się bronić. Sobolewski, niedołężny i sam przez się do czynu niezdolny, przyzwolił w końcu na wszystko, czego od niego żądano.

W ten sposób powstał nowy rząd, do którego obok dawnych członków Rady weszli: ks. Czartoryski,[1]) Pac, Niemcewicz, Chłopicki, ks. Michał Radziwiłł i kasztelan Kochanowski, ludzie istotnie popularni, w połowie swojej przez samych powstańców przeznaczani na naczelników rządu. Byli to owi „starsi bracia", którym Lelewel zalecał oddanie kierunku sprawy. Ironia losu chciała, a świadczy to wymownie, jak dalece mylił się uczony, że ci właśnie ludzie pierwsi rzucili powstaniu rękawicę, i podali sobie dłonie, aby je stłumić. Nowy rząd czynności swoje zaczął od tego, że wysłał deputacyę do w. księcia, by zasięgnąć jego zdania o wypadkach i zaofiarować mu swoje usługi. Ale żądać od Konstantego własnego zdania, było to w owej chwili żądać zbyt wiele! Zimny strach pozbawił go przytomności i był jedynem uczuciem, jakiego doświadczał. Siły zbrojnej do poskromienia rozruchów za nic użyć nie chciał, obawiał się bowiem walki. Zdał się całkowicie na Radę i jej pozostawił wybór środków, mających przywrócić ład i porządek w stolicy. Więc Rada na własną rękę zaczęła środki owe obmyślać. A zaczęła od tego, że w imieniu Mikołaja wydała do ludności odezwę i nawoływała w niej do porządku i spokoju, a wypadki „wczorajszego wieczora" nazywała „równie smutnymi, jak niespodziewanymi".

Odezwa najfatalniejsze wywarła wrażenie.

„Jakież było moje zdziwienie, jaki bolesny zawód, — powiada jeden ze współczesnych, — kiedy usłyszałem pierwsze jej słowa... Każdy z czytających inne, oczywiście, miał o tych wypadkach wrażenie, ani mu były niespodziane, ani ich za

---

[1]) Formalnie był ks. Czartoryski członkiem Rady, ale już od dłuższego czasu w niej nie zasiadał.

smutne nie uznawał. Przeciwnie, każdy, nie pytając, jakie będą następstwa, nie smutnie, ale radośnie witał chwilę, w której choćby na godzinę mógł zrzucić z siebie obce jarzmo. Chwila też to była jednomyślnie, choć i bezmyślnie wyglądana. Kłamał więc sumieniu narodowemu, kto ją niespodzianą nazywał".[1])

Znamienne te słowa wypowiedział nie rewolucyonista i spiskowiec, ale adjutant Konstantego, wierny mu aż do ostatniej chwili, Władysław hr. Zamoyski, tysiącznymi węzłami związany z tymi właśnie, którzy stanowili Radę Administracyjną i byli autorami odezwy. A jeśli taki człowiek widział w niej obrazę sumienia narodowego, to jakież echo musiało wezwanie Rady wywołać w sercu tych, co z narażeniem głów własnych porwali się do broni!...

Wstał nowy dzień, a z nim nowa niepewność dla całej Warszawy.

Widocznem było tylko, że niższe warstwy społeczne, cała rzemieślnicza ludność Warszawy, to wszystko, co stanowi lud miejski, z radością powitało powstanie. Nie było śród tego ludu Kilińskiego, ni Kapostasa, ale żyły ich tradycye.

Na ulicach rozchwytywano odezwę Rady Administracyjnej i z zadowoleniem stwierdzano, że skład Rady się zmienił, że do rządu weszli ludzie, cieszący się opinią dobrych patryotów. Ale treść odezwy, wydanej w imieniu Mikołaja, budziła zdumienie, napełniała masy lękiem o przyszłość powstania, wywoływała gorycz i oburzenie. Wojsko powstańcze stało pod bronią wyczerpane, głodne, zdemoralizowane bezczynnością i niepewne jutra, lud uzbrojony hałasował i groził. Jeden okrzyk, rzucony podrażnionym tłumom, mógł spowodować nowy wybuch i napad na obóz Konstantego. Ale komendy nie było i tłumy stały wzburzone, lecz nieruchome.

W. książę również trwał w bezczynności.

Rada Administracyjna obradowała od świtu w pałacu Branickich. Na wniosek Lubeckiego, który się lękał skutków odezwy, a myślał także o zabezpieczeniu krajowych funduszów, obrady przeniesiono do gmachu bankowego, który strze-

---

[1]) Jenerał Zamoyski. Poznań 1910, Tom I, str. 385 — 6.

żony był przez wojsko i licznych urzędników. Wbrew intencyom wnioskodawcy przenosiny odbyły się uroczyście. Widok ludzi tak popularnych, jak Czartoryski, Niemcewicz i inni, otoczonych eskortą wojskową pod dowództwem generała Paca, powszechną zwrócił na siebie uwagę. Tłumy otoczyły orszak i towarzyszyły pochodowi, czyniąc uwagi, które mogły pouczyć Radę o nastroju i żądaniach stolicy. Widok starego Niemcewicza działał przecież uśmierzająco. Ludowi przywodził on na myśl Kościuszkę, a jego siwa, poważna głowa, służąca od lat tylu sprawie publicznej, wzbudzała ufność i nadzieję. Powoli, ale bez przeszkód posuwał się orszak ku nowej siedzibie rządu. Wreszcie członkowie Rady zniknęli w gmachu bankowym, na placu pozostały tłumy...

Tegoż dnia, ale już w gmachu bankowym stanął przed Radą Administracyjną Lelewel. Wystąpił jednak przed nowym rządem nie jako wysłaniec i współtwórca rewolucyi, ale w charakterze prywatnym. Odegrał wobec rządu rolę proklamacyi, której nie zalecał wydawać spiskowcom. A więc tłómaczył, że wypadki nocy wczorajszej „to nie jest samo edynie przeciw szpiegostwu albo łamaniu konstytucyi oburzenie się, ale razem powstanie narodowe, mające na widoku całość Polski w dawnych jej granicach, powstanie, mające na oku równie gubernie polskie, jak nadwiślańskie województwa”. Miał nawet nalegać, ażeby Rada „niezwłocznie cele i zamiary rewolucyi ogłosiła”.[1]) Wezwanie to było daremne, a jak okaże się później, można wątpić, czy Lelewel myśl swoją istotnie wyłożył tak jasno i wyraźnie.

Tegoż dnia ukazały się na ulicach Warszawy trójkolorowe kokardy, poprzypinane do czapek i kapeluszy, a z taką kokardą widziano i Lelewela.[2]) Ukazała się nawet na mieście chorągiew trójbarwna, co skłoniło Radę Administracyjną do oświadczenia, że kokarda biała była i jest w dalszym ciągu kokardą narodową.

Zresztą cały dzień 30 listopada upłynął w największej niepewności, ale bez poważniejszych wydarzeń.

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 152—3.
[2]) Leon Dembowski, „Moje wspomnienia”. Tom II, str. 40.

Dopiero nazajutrz, dnia 1 grudnia, nowi ludzie ukazali się na widowni powstania.

Dnia tego zebrali się w Izbie poselskiej obecni w Warszawie posłowie w liczbie kilkunastu i odbyli naradę pod przewodnictwem Dembowskiego, zwanego „czerwonym kasztelanem”. Narada trwała krótko, a treścią jej była sytuacya, stworzona przez wypadki 29 listopada. Na wniosek Lelewela postanowiono zażądać usunięcia z Rady Administracyjnej osób, które nie posiadają zaufania publicznego. O rozwiązaniu Rady nie mówił nikt, chociaż ta, skompromitowana odezwą, nie miała już należytej powagi. Posłowie mogli w owej chwili sami ogłosić się rządem lub jakąkolwiek inną ustanowić władzę, a nie było mocy, którаby zdołała sprzeciwić się faktom dokonanym. Rada Administracyjna w nowym swoim składzie również utworzyła się nielegalnie i nielegalnie sprawowała rządy. Sama przez się nie miała siły i nie było nic łatwiejszego, jak zająć jej miejsce. Ale teroryzm nazwisk historycznych, jak się wyrażał Mochnacki, zawisł nad posłami i skłaniał ich do działań chwiejnych, połowicznych. Potępiali postępowanie Rady, ale nie odważyli się jej obalić. Zdecydowali się jedynie zanieść radzie swoją opinię i swoje żądania, które w następujących streszczono punktach:

„1) Z odezwy, przez Radę Administracyjną wydanej, powszechne nieukontentowanie powstało;

2) Działania Rady są zbyt powolne;

3) Nie są w duchu rewolucyjnym pow ięte;

4) W Radzie zasiadają osoby, które nie posiadają zaufania w narodzie;

5) Jest potrzebne zwołanie Sejmu;

6) Rada do grona swojego powinna przybrać członków Izby poselskiej, bo oni naród reprezentują;

7) Należy obmyślić żywność dla wojska”.[1])

Narada ta wywarła wielki wpływ na dalszy przebieg powstania. Po raz pierwszy rzucono myśl zwołania Sejmu, myśl, która w jednej chwili zyskała popularność i niebawem

---

[1]) Barzykowski. Tom I, str. 350.

miała wcielić się w życie, a następnie w dziejach rewolucyi doniosłą odegrać rolę. Wiadomo już, jak Lelewel ufał Sejmowi: przypuszczać należy, że nie bez jego udziału powstał ów projekt.[1])

Dla przedstawienia żądań wybrano deputacyę, a w skład jej weszli: Lelewel, Szaniecki, Franciszek Sołtyk, Ziemięcki, Wieszczycki i Leon Dembowski.[2]) Wybrani zaprosili kasztelana Dembowskiego, aby im przewodniczył i pod jego wodzą ruszyli do banku. Deputacyę przyjął, a następnie wprowadził na posiedzenie Rady kasztelan Kochanowski, teść Dembowskiego. Rada wysłuchała przedstawionych jej żądań z całą uprzejmością, ale punkt, dotyczący członków rządu, którzy nie posiadają zaufania narodu, wywołał konsternacyę. Lubecki był człowiekiem bystrym i oryentował się szybko. Wiedział, że jest niepopularny i zrozumiał, że sytuacyę należy wyjaśnić. Więc wręcz zapytał, których to członków Rady ma delegacya na myśli. Wówczas Franciszek Sołtyk, stawiając całą sprawę na ostrzu noża, rzekł:

— „Książe pierwszy zaufania tego nie posiadasz!"[3])

Te druzgoczące słowa, rzucone w oczy potężnemu ministrowi, poruszyły zebranych i na Lubeckim ogromne uczyniły wrażenie. W sercu kostycznego ministra coś drgnęło. Zarzut, wypowiedziany przez posłów, ludzi poważnych, a krajowi oddanych, dotknął go i zabolał. Z rozczuleniem, jak opiewa sprawozdanie delegacyi, odpowiedział, że jeżeli jego czyny dotychczasowe nie przekonały narodu o jego czystych zamiarach, to natychmiast ustępuje z rządu.[4] To „rozczulenie" udzieliło się kolegom Lubeckiego. Wzruszył się stary Niemcewicz i rzekł, zwracając się do posłów:

— „Lubecki jest tak dobrze myślącym Polakiem, jak my wszyscy; nie żądajcie oddalenia jego z Rady, bo jeżeli Lubecki Radę opuści, natenczas J. O. X. Adam Czartoryski i ja w Radzie także zasiadać nie będziemy".[5])

---

[1]) Barzykowski myśl zwołania Sejmu przypisuje Szanieckiemu.
[2]) Dyaryusz Sejmu, Tom I, str. 210.
[3]) Dembowski „Moje wspomnienia". Tom II, str. 40.
[4]) Barzykowski. Tom I, str 351.
[5]) Dyaryusz Sejmu, Tom I, str. 210.

Niemcewicza poparł ks. Czartoryski, następnie odezwali się inni członkowie Rady, a wszyscy oświadczyli deputacyi, że są świadkami nieskazitelnego postępowania ministra, że mają do niego tyle zaufania, że w razie ustąpienia Lubeckiego, sami się od wszystkiego usuną. Takiej odpowiedzi nie przewidywała deputacya. Lubecki w całym kraju miał opinię wiernego sługi Mikołaja, a zdania współczesnych o potężnym ministrze skarbu nie wystawiają jego patryotyzmowi chlubnego świadectwa. [1]) Nie był bez znacznych zasług, ale jego gospodarka finansowa w całem Królestwie budziła szemranie i protest. Wiedziano, że podobnie jak Konstanty i Nowosilcow, nie szanuje konstytucyi, że gdy ustawy konstytucyjne są mu nie na rękę, te je bezceremonialnie omija. On to brał udział w komisyi, która ograniczyła jawność sejmowania, a opinia publiczna zgodnie twierdziła, że w komisyi tej minister skarbu główną odegrał rolę. On wreszcie kontrasygnował Artykuł dodatkowy, znoszący jawność obrad sejmowych. Więc w chwili, kiedy stolica kraju wznosiła sztandar powstania, minister skarbu nie mógł liczyć na zaufanie ludności. A z tego musieli zdawać sobie sprawę i przyjazny Lubeckiemu Czartoryski, i mniej mu przyjazny Niemcewicz. Ale sytuacya była niepewna, a Lubecki cieszył się zaufaniem Mikołaja i w Petersburgu wielkie miał wpływy. Poza tem wszystkiem był to człowiek z głową, człowiek energiczny, rzutki, przedsiębiorczy. Jako niepospolity dyalektyk wywierał na otoczenie wpływ znaczny, umiał przekonywać i zdania swego bronić. Wszystko, cokolwiek Rada Administracyjna od chwili wybuchu przedsięwzięła, jego wolą się działo. Lubecki był sternikiem, który ujął nawę rządową i ręką pewną a śmiałą prowadził ją przez wzburzone fale. To był w pierwszych dniach powstania jedyny członek Rady, który w każdej chwili wiedział, co mówić i robić, a pewności siebie nie tracił. I taką siłę chciano wyrwać rządowi, szarpanemu niepewnością, a nie wiedzącemu, w jakiem położeniu znajdzie się jutro. Lubecki był jeszcze potrzebny, a mógł się okazać niezbędnym. Wszystko to były względy

---

[1]) Pamiętniki Kaj. Koźmiana. Oddział III, str. 270 — 1. Barzykowski. Hist. Powst. list. Tom I, str. 110 — 127.

poważne i niewątpliwie silniejszą, niż „nieskazitelność” ministra miały wymowę.

Bądź co bądź, kwestya władzy naczelnej dostała się w ręce deputacyi. Wystarczył teraz jeden głos silny i zdecydowany, aby obalić ten rząd, co działał w imieniu Mikołaja, a wypadki 29 listopada nazywał smutnymi. Lubecki zgłosił już swoje ustąpienie, za Lubeckim poszli inni członkowie rządu — i Rada była zachwiana. Energiczne podtrzymanie zarzutu przeciw ministrowi skarbu mogło dokonać reszty. Ale w gronie tej szlachty, równie skorej do czynienia najcięższych zarzutów, jak do rozczulenia, nikt już nie zdobył się na stanowczość. Deputacya poddała się nastrojowi rozrzewnienia, „ułagodziły” ją słowa Niemcewicza. A gdy ks. Czartoryski oświadczył w końcu, że do składu rządu zgodnie z przedstawionem życzeniem powołani zostaną czonkowie Izby poselskiej, deputacya odeszła udobruchana, w przekonaniu, iż spełniła swój obowiązek. Nie zrozumiał nikt z członków deputacyi, nie zrozumiał i Lelewel, że cel został chybiony, że przystąpienie członków Izby poselskiej do Rady nie tylko nie zmieniało sytuacyi, ale w gruncie rzeczy było udzieleniem poparcia rządowi, w którym panował duch Lubeckiego.

Gdy deputacya opuściła salę posiedzeń, rząd zaczął się namyślać, co począć z przedstawionemi mu żądaniami. Kasztelan Kochanowski, w myśl obietnicy ks. Czartoryskiego, radził niezwłocznie zaprosić do składu Rady trzech członków Izby poselskiej. Natomiast Lubecki, który po chwilowem „rozczuleniu” zdążył przyjść do siebie, nie wykazał zbytniej pochopności w wypełnianiu obietnic. „Baczyć na to potrzeba, — mówił minister, — aby rząd w miejscu rządzenia nie stał się rządzonym”. Rząd, aby cośkolwiek znaczył, powinien mieć siłę. A siła, utrzymywał Lubecki, jest w wojsku. Więc wojsko trzeba z prowincyi sprowadzić. A uczynić to można w imieniu króla. „Roztropność wszakże, — dodawał ten przezorny polityk, — nakazuje, aby formy tej „w imieniu króla etc.” nie używać. I tu chytry minister zaproponował bardzo sprytne posunięcie, które na szachownicy wypadków godziło przyrodzoną jego roztropność z głębokim lojalizmem. Po cóż Rada ma działać w imieniu króla? Niechaj to uczyni po-

pularny w Warszawie generał Chłopicki, niechaj ten generał *w imieniu króla* sprowadzi wojsko do stolicy.[1])

W ten sposób obiecywał sobie Lubecki zasłonić rząd przed zarzutami opinii i uczynić zadość obowiązkom wiernego sługi cesarza. A gdy wojsko przybędzie do stolicy, gdy Rada poczuje za sobą siłę, wtedy, oczywiście, nie będzie potrzebowała stosować się do przedstawionych jej żądań. Pozostawało jeszcze kwestyą, czy wojsko, z prowincyi sprowadzone, zechce słuchać rozkazów, wydanych w imieniu Mikołaja, ale też minister nie przesądzał przyszłości i dlatego radził stosować się do wskazań, które nakazywała roztropność.

Niespodziewana okoliczność przerwała wykład tych planów. Jeszcze Lubecki nie skończył przemawiać, gdy do sali posiedzeń wszedł generał Sierawski, świeżo zamianowany gubernatorem miasta, i oświadczył, że tłumy ludu otaczają gmach banku i usiłują wtargnąć do miejsca obrad rządowych. Tłumy te, usilnie domagając się usunięcia z rządu generałów Kosseckiego i Rautenstraucha, po dwakroć wtargnąć chciały do banku i on, generał Sierawski, po dwakroć „własnemi piersiami" atak ten powstrzymał.

— „Chciano zbrodnię nawet popełnić",[2]) — mówił gubernator.

Głos ulicy rozstrzygnął wątpliwości i zdecydował udział członków Izby poselskiej w rządzie. Nawet roztropny Lubecki nie widział innego wyjścia z sytuacyi. Kazał przecież zapisać w protokule, że Rautenstrauch i Kossecki jeszcze przed zaczęciem posiedzenia prosili o uwolnienie, by w ten sposób powód właściwy ustąpienia znienawidzonych generałów choć pozorem nieprzymuszenia zasłonić. Poczem Rada postanowiła, by do jej składu zgodnie z życzeniem deputacyi wszedł z Senatu kasztelan Dembowski, a z Izby poselskiej Władysław Ostrowski, Gustaw Małachowski i Joachim Lelewel. Ale „Lubecki jasno rzeczy widział i rozumiał, że dopóki wspomnienie dawnej Rady pozostanie, dopóty zupełnego

---

[1]) Rocznik T-wa Hist. Literack. w Paryżu: „Protokuły posiedzeń Rady Administrac..." Poznań, 1870, str. 429.

[2]) Tamże.

zaufania posiadać ona nie będzie i nie stanie się panem i rządem insurekcyi. Z drugiej strony jednak sam uważał się zawsze za ministra cara a króla polskiego i ponieważ nie przyjmował rozłączenia tych dwóch krajów, tem samem nie czuł się dość wolnym w działaniu, nie chciał znosić wszystkiego, co ustanowione było i co konstytucya sankcyonowała. Godząc więc te dwa sprzeczne położenia, interes insurekcyi i króla, podał myśl, aby Rada Administracyjna podzieliła się na dwa wydziały: na wydział wykonawczy i ogólną radę administracyjną".[1])

Taką ideę przypisuje ministrowi skarbu Barzykowski i tym razem chyba się nie myli: istotnie pomysł ów najzupełniej odpowiada linii, którą od pierwszych chwil powstania kroczył lojalny, ale roztropny Lubecki. I Panu Bogu świeczkę, i dyabłu ogarek! —oto była dewiza, którą doskonale umiał wprowadzać w życie ten przezorny we wszystkich swoich kombinacyach polityk. Pomysł ten przyjęto i ustanowiono Wydział Wykonawczy, który miał obradować nieustannie, a który w gruncie rzeczy stanowił nowy rząd, a miał się odwoływać do całego składu Rady jedynie „w przedmiotach, potrzebujących nowych przepisów, lub takich, które nagłej dyeczyi nie wymagają".[2]) Do Wydziału Wykonawczego weszli czterej nowi przybrani członkowie Rady oraz Lubecki, Czartoryski, Radziwiłł, Kochanowski i generał Chłopicki, którego odszukano nareszcie, a który na usilne nalegania zgodził się, acz z największą niechęcią, przyjąć godność członka Wydziału Wykonawczego i objąć czasowo komendę nad wojskiem.

Powołanie do rządu Lelewela było faktem bardzo znaczącym. Wiedzieli wszyscy, że profesor podtrzymuje bardzo blizkie stosunki ze spiskującą młodzieżą, że w obozie rewolucyjnym ma najlepszą opinię, że jest jednym z tych, co z wybuchem powstania w najściślejszej pozostają łączności. Znano również jego przekonania; wszak już podczas obrad ostatnie-

---

[1]) Barzykowski. Tom I, str. 351 — 2. Przed Barzykowskim to samo powiedział Mochnacki. Por.: Powst. narodu polskiego. Tom II, str. 84.
[2]) Dembowski. „Moje wspomnienia". Tom II. str. 11.

go Sejmu uzyskał „miano republikanina". Był to, jak mniemano, człowiek niebezpieczny. Lelewel poza Radą na czele innej władzy lub jakiegokolwiekbądź stronnictwa mógł się stać siłą, mógł wytworzyć groźną dla samego rządu potęgę. Takiego człowieka lepiej było mieć z sobą, niż przeciwko sobie. Jego opozycya w Wydziale Wykonawczym nie mogła być tak niebezpieczna dla rządu, jak mogła być niebezpieczną walka z rządem, zorganizowana przez rewolucyę, a prowadzona pod sztandarem Lelewela. Tak myślał Lubecki i to zdecydowało udział profesora w Wydziale Wykonawczym. A Lelewel wpadł w zastawione sieci i ani się spostrzegł, że zręczny minister oplątuje go swoim wpływem, jak pająk oplątuje muchę, że jego, Lelewela, jednego z najważniejszych współtwórców powstania, prowadzi na powrozie swej dyalektyki tam, gdzie prowadzić mu się podoba, że siebie i Radę całą osłania jego popularnością, że, mając jego za sobą, skuteczniej może walczyć z rewolucyą.

Nie spostrzegł się Lelewel i pośpieszył na wezwanie Rady. Był to pierwszy z szeregu wielkich błędów, które od wybuchu powstania popełnił. Z tego błędu miały wziąć początek dalsze i snuć się już potem bez końca. Wydział Wykonawczy natychmiast po ukonstytuowaniu został zwołany i tegoż dnia o godz. 7-ej wieczorem po raz pierwszy rozpoczął obrady. Prezydował ks. Czartoryski. Na porządku dziennym znalazła się sprawa układów z Konstantym. W. książę za pośrednictwem swojego adjutanta, Wł. Zamoyskiego oświadczył Radzie swoje zadowolenie z powodu, że działa w imieniu króla i wyraził nadzieję, że Rada rozpocznie z nim negocyacye. Tak, negocyacye. Ani jeden głos przeciwko temu się nie odezwał, a Lubecki z całą stanowczością oświadczył, że nie należy usuwać się od porozumienia z Konstantym. Trzeba go zostawić „w stanie zaspokajającym jego osobę", mówił minister skarbu, a uzyskawszy zgodę obecnych na rozpoczęcie układów, tak dalej myśl swoją rozwijał:

— „Jest brat królewski, który ma wojsko rosyjskie i polskie. Jest rząd w imieniu króla; żeby nie my, rządu tegoby nie było, żeby nie my, byłaby już wojna między temi dwiema władzami. W. książę odpowiedział, że nie dozwoli

jednego wystrzału przeciw Polakom w imieniu króla działającym... Jak wola nasza zostanie szanowana, co z przybyciem wojska nastąpi, będziemy mogli zaręczyć w. księcia, że go nie będą atakować..."[1])

Dembowski radził, aby zażądać od Konstantego zapewnienia, że wojsko rosyjskie, znajdujące się poza granicami Królestwa, nie otrzyma rozkazów do marszu, że w. książę opuści Królestwo, że niejasności w konstytucyi zostaną uprzątnięte, a cała konstytucya rozciągnięta zostanie i na gubernie polskie poza Królestwem.

To, czego wymownie i stanowczo dowodził Lubecki, wielkie i głębokie musiało na Lelewelu uczynić wrażenie. Jest rząd, działający w imieniu króla, mówił minister, ani pytając, czy nowi członkowie Rady godzą się działać w imieniu króla. A gdy nikt nie zaprotestował, Lubecki natychmiast posunął się dalej. *Żeby nie my*, dowodził, nie byłoby obecnego rządu, a słowo „my" narzucił już nie tylko dawnym, ale i nowym członkom Rady. *Żeby nie my* byłaby już wojna, chełpił się minister i zręcznie narzucając to słowo „my" wszystkim obecnym, wciągał ich w koło swoich rozumowań, niepostrzeżenie czynił ich uczestnikami swoich dalszych planów i swoich widoków. Przemówienie Dembowskiego zamknęło się całkowicie w granicach ocalenia konstytucyi, a Małachowski uważał, że mowa o guberniach polskich, wcielonych do Cesarstwa, nie jest na czasie. Lelewel poczuł się osamotnionym. Rozumiał przecież, iż wypada mu przemówić i zaznaczyć swoje stanowisko. Była to ciężka dla uczonego chwila. Wczoraj, gdy stanął przed Radą w charakterze prywatnym, mówił śmielej, dziś był już członkiem tej Rady, a sama obecność w rządzie pogarszała jego sytuacyę i odbierała mu wczorajszą pewność siebie i wczorajszą śmiałość. Zabrał głos wreszcie, ale przemówił ostrożnie.

— „Trzeba, — mówił, — iżby w. książę wiedział, co to jest za poruszenie narodu, czy uczucia narodowe, czy motłoch. Teraz czas objawić w. księciu, że idzie tu o los uciśnionego narodu... Wojska nie do Warszawy potrzeba, ale

---

[1]) Protokuły posiedzeń Rady Administracyjnej.

nad granice. Obraza konstytucyi ważnem stanowiskiem, ale ważniejszym stan bratnich gubernii. *Nie wyłamujemy się z pod berła Mikołaja,* ale swobody nasze z braćmi chcemy dzielić. To, co się w Warszawie stało, podzielają uczucia wojska. Należy więc to w. księciu przełożyć. Jemu jedno wszystko, król niech pamięta, że powinien być ojcem dla całego narodu polskiego. Aleksander tylokrotne obietnice czynił. Mikołaj po koronacyi powiedział, że się rozszerzeń kraju spodziewać nie można. O to więc ugadzać się należy; *w imieniu króla postępować, a swego szukać.* Mam nadzieję, *że to nie jest bunt, a tłómaczenie tego, co się stało*".[1])

Tak przemówił Lelewel. On, który powagą swojego imienia otaczał tych, co się porwali do broni, oświadczał teraz, że naród nie wyłamuje się z pod berła Mikołaja, radził nawet w imieniu króla postępować i to w imieniu tego króla, który wyraźnie oznajmił, że rozszerzenia kraju spodziewać się nie można.

Byłaż to przezorność, pozwalająca przypuszczać, że bez wojny da się ocalić konstytucyę i połączyć bratnie gubernie z Królestwem?

Nie, to był wpływ Lubeckiego.

„W imieniu króla postępować, a swego szukać", mówił Lelewel, jakby nie rozumiejąc, że głos jego staje się echem dowcipnych rozumowań ministra skarbu. Znakomity uczony ani się zoryentował, że oszukuje samego siebie, że stwarza fikcyę, która mu przesłania istotne położenie rzeczy. Zdawało mu się, że rozwiązuje nawet kwestye „buntu", jakby się obawiał, by go za buntownika nie chciano uważać. Ale dodać tu trzeba, że w tym momencie nikt jeszcze jasno celu powstania nie wskazał. Nawet Mochnacki, niewątpliwie najdzielniejsza głowa w obozie rewolucyjnym, pisząc tegoż dnia „pierwszą odezwę do mieszkańców Warszawy" i, wzywając naród do walki, słowem jednem nie wspomniał o guberniach polskich, ani o wyłamaniu się z pod berła Mikołaja.[2]) Nikt jeszcze nie ogłosił hasła rewolucyi i najbardziej powołany

---

[1]) Protokuły posiedzeń Rady Administracyjnej.
[2]) Listy Maurycego Mochnackiego, str. 319 — 320. Odezwa ta była wydrukowana 2 grudnia.

do tego Lelewel również hasła tego nie ośmielił się rzucić. Ale upominał się przynajmniej o „bratnie gubernie” i jakby instynktem wiedziony mówił o potrzebie ściągania wojska nie do Warszawy, ale nad granice. I to żądanie jednak godził z niewyłamywaniem się z pod berła Mikołaja.

Ks. Czartoryski lepiej zrozumiał Lelewela, niż może on sam w tej chwili mógł zrozumieć siebie.

„Przedstawiać takie żądania, powiedział Czartoryski, byłoby to narażać się na walkę z Rosyą. A walka to „nader nierówna”. Słaby, zdaniem księcia, powinien się pokrzepiać i „nie puszczać się nieroztropnie na bitwę, w której uledz może i musi”.[1])

Uledz może i musi!

Złowróżbne słowa przyszłego prezesa Rządu Narodowego nie znalazły odporu ze strony Lelewela. Czy zachwiał się, czy ostatecznie zdruzgotany został przez swoich oponentów, dość, że, zasypany ze wszech stron gradem argumentów, upadł na duchu i zwinął chorągiew powstania i cofnął się na całej linii. Gdy raz jeszcze głos zabrał, przestał już mówić o „bratnich guberniach” i o wysyłaniu wojska nad granice.

— „Moglibyśmy, — powiedział, — *ograniczyć działanie na obręb tylko kraju*, jeżeli w. książę zaręczy za amnestyę, że nie będzie szpiegostwa, że dawne szpiegi nie pokażą się już w kraju, że cenzury nie będzie i inne t. p.”[2])

— „Czyli inaczej zachowanie konstytucyi”, — sformułował jakby z naciskiem żądania te Gustaw Małachowski.

A Lelewel nie znalazł już na to odpowiedzi.

Tymczasem właśnie podczas tej dyskusyi samo powstanie przychodziło mu z odsieczą. W chwili, gdy mówiono o wojsku, do sali posiedzeń wkroczył radca stanu Łęski i oświadczył, że zgłasza się „jakiś uczeń uniwersytetu, który powiada, że wysłany jest, aby był przytomny posiedzeniom Rady”. Lelewel wyszedł natychmiast, aby rozmówić się z owym uczniem i sprawę wyjaśnić. Tak to po raz pierwszy opuszczał posiedzenie rządu i, być może, po raz

[1]) Protokuły posiedzeń Rady Administracyjnej.
[2]) Tamże.

pierwszy budził nieufność i podejrzenia kolegów. Rozmowa z owym uczniem nie trwała długo. Lelewel powrócił niebawem i, według słów protokułu, takie dał wyjaśnienie:

— „Pułkownik jakiś powiedział akademikom, aby sobie zrobili naradę na ratuszu. O to więc szło..."[1])

Być może, iż nie zwrócono na te słowa uwagi, bo dyskusya w sprawie układów z Konstantym potoczyła się dalej. Ale przyjście owego ucznia nie było bez znaczenia. Niepodobna wyjaśnić dzisiaj, kto był owym zagadkowym uczniem, który, według Łęskiego, chciał być obecny na posiedzeniu Rady, a według Lelewela, mówił o równie zagadkowym pułkowniku, co *w ratuszu* akademikom obrady odbywać zalecał. Ale przypuszczać można, że ów „uczeń" był wysłańcem młodzieży rewolucyjnej, która we wszystkiem przywykła się radzić swojego przewodnika, a która na własną rękę postanowiła ratować powstanie.

Właśnie w tym samym czasie, kiedy Lelewel ograniczał swoje żądania, t. j. 1 grudnia wieczorem, grono młodzieży, zaagitowane przez Maurycego Mochnackiego, przemocą wtargnęło *do ratusza*, by obmyśleć, a raczej uchwalić środki, które miały na celu ratowanie upadającej sprawy 29 listopada, a które zrodziły się w płomiennej głowie Mochnackiego. Przybyli na to posiedzenie Bronikowski, Nabielak, Dunin, Franciszek Grzymała, patron Józef Kozłowski, znany dobrze śród ludu Starego Miasta, Ludwik Żukowski, Meisner i inni, przybyło trochę osób cywilnych i wojskowych, trochę publiczności, zwabionej wieścią o posiedzeniu publicznem w ratuszu. Nadaremnie nowomianowany prezydent Węgrzecki protestował przeciw zbiegowisku w miejscu urzędowem. Młodzież, nie zważając na protesty, przemocą opanowała salę i rozpoczęła obrady, których cel wtajemniczonym był już wiadomy. A celem tym było obalenie istniejącego rządu w postaci Rady Administracyjnej, zaś środkiem, do tego celu wiodącym, miał być zbrojny klub rewolucyjny. Jakoż jednomyślnie uchwalono utworzenie takiego klubu pod nazwą Towarzystwa Patryotycznego. Następnie przystąpiono do obioru prezydyum.

---

[1]) Protokuły posiedzeń Rady Administracyjnej.

I w myśl powziętej poprzednio uchwały postanowiono wydrzeć Radzie Administracyjnej swojego przewodnika i wodza, wyrocznię młodzieży i męża opinii, a współtwórcę rewolucyi, Joachima Lelewela. I acz Lelewel był nieobecny, jednogłośnie obwołano go swoim prezesem. Na wiceprezesów powołano Bronikowskiego i Mochnackiego, a na sekretarza Franciszka Grzymałę.

W ten sposób powstała nowa siła i nowy czynnik rewolucyi.

Na dzień następny naznaczono zebranie w salach redutowych obok teatru, a resztę nocy i dnia obiecano poświęcić agitacyi śród ludu i wojska, by klub spopularyzować i zapewnić sobie pomoc ulicy.

Mochnacki zapewnia, że Lelewela wybrano prezesem klubu pomimo jego wiedzy i woli.[1])

Mimo to przecież dla polityka, dla człowieka czynu i decyzyi nowa otwierała się droga. Lelewel, jako mąż zaufania i opinii, był potrzebny Radzie Administracyjnej i był potrzebny klubowi. Mógł przedstawić Radzie Administracyjnej swoje żądania i, zależnie od ich przyjęcia lub odrzucenia, pozostać w Radzie lub oddać się całkowicie klubowi, aby stać się jego naczelnikiem istotnym, prawdziwym. Mógł wreszcie poza klubem i Radą tworzyć nową siłę, zgodną ze swymi widokami. Niestety, uczony nie zamierzał nic na własną rękę poczynać, może nawet żadnych konkretnych nie miał na przyszłość widoków. Ale nie mógł nie wiedzieć, że Towarzystwo Patryotyczne utworzone zostało do walki z Radą, w której zasiadał. Trzeba tedy było wybrać Radę lub klub. Zdawałoby się, że inaczej postąpić nie można. A jednak Lelewel postąpił wbrew wszelkim oczekiwaniom: przyjął ofiarowaną mu godność prezesa klubu i ani myślał o ustąpieniu z Rady.

W działalności politycznej Lelewela był to moment ważny i doniosły, miał bowiem zaważyć na dalszem jego postępowaniu i niejako z góry drogi tego postępowania wykreślić. Drogi te szły w dwóch sprzecznych kierunkach. Le-

[1]) Powstanie Narodu Polskiego, II, str. 103.

lewel nie wstępował na jedną z nich, lecz usiłował iść jednocześnie obiema. Znalazł się odrazu w położeniu dwuznacznem i z położenia tego przez cały czas powstania nie miał już wybrnąć. Najwidoczniej nie oryentował się w sytuacyi i jednocześnie dwom sprzecznym podlegał wpływom: zapałowi klubu i dyalektyce Lubeckiego. Podówczas nie wiedział jeszcze, czy byłoby lepiej, „gdyby dawny rząd z pierwszą chwilą powstania zupełnie został zwalony, a nowy się na jego miejsce utworzył". Zdaniem jego, Rada Administracyjna mogła tylko „odgadywać" rewolucyę, bo jej zamiary i cele nie były jeszcze wiadome. Sam to wypowiedział później [1]). Sercem był z rewolucyonistami, ale nad myślą jego panował już Lubecki. Minister skarbu czynił wszystko, aby, póki można, działać w imieniu króla. Lelewel przejął się tą ideą. „W pierwszych chwilach rewolucyi, — tak skrystalizował swój pogląd ówczesny, — wojna nie zdawała się zrywać z Mikołajem; myśl była taka: niech król polski wojuje z cesarzem rosyjskim, a sprawa się rozwinie" [2]).

I na takim dowcipnym paradoksie, sklejonym naprędce z sypkiego piasku przeciwieństw, gruntował swoją politykę.

Nie był przecież pozbawiony własnego widzenia rzeczy. Miał jeszcze inną ideę, niewątpliwie szlachetną i piękną, ale oderwaną od gruntu rzeczywistości. Oto chciał on pogodzić sprzeczne żywioły, pragnął być mostem porozumienia, rzuconym przez przepaść, dzielącą dwa wrogie obozy. Sądził, że działanie powstańców powinno w początkach ruchu ograniczać się „na podniecaniu stopniowem wojska, na wikłaniu

---

[1]) Mowa na posiedzeniu Izb połączonych w d. 25 stycznia 1831 r. Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 238.

[2]) Do ostatnich czasów słowa te uważane były za złośliwy wymysł Mochnackiego. Tak pisał jeszcze St. Krzemiński. Dyaryusz Sejmu (Tom I. str. 240 — 1) rozstrzyga wszelkie wątpliwości. Trzeba przecież zaznaczyć, że słynne przemówienie, z którego zaczerpnięte są te słowa, wydrukowane jest w dwóch tekstach: w dodatkach do Polski Odradzającej się (*Polska, dzieje i rzeczy jej*. Tom VII, str. 173—177) i w dyaryuszu. Tekst w *Polsce* z bardzo drobnemi zmianami zgadza się z tekstem, podanym przez prof. Askenazego, a przepisanym z Dyaryusza Senatu. (*Nowe czasy*, Warsz. 1910, str. 290 — 4). Rzeczony ustęp w tekście owym brzmi: „Niechaj się wojna rozpocznie, mówił on (Lubecki), niechaj król konstytucyjny walczy z cesarzem samowładnym, a rewolucya przez to rozwinąć się musi.".

powolnem w sprawę ludzi znakomitszych i narodu". Podporządkować jednej myśli, jednej idei zarówno tych, co chcieli jej służyć, jak tych, co przeciwstawić się jej usiłowali, oto do czego dążył. „Trzeba zawsze,—pisał Lelewel, —zostawić drogę do przystąpienia do rewolucyi tym, których myśl na to nie jest jeszcze usposobiona" [1]). Ale idei tej nie umiał wcielić w życie. Nie rozumiał, że na ową drogę popchnąć może cały naród jedynie władza energiczna i silna, władza, będąca grozą i postrachem dla wszystkich, co dziełu narodowemu śmią się przeciwstawić. W praktyce piękna idea Lelewela skutkiem taktyki błędnej i niedostępnej nie oddziałała na masy, nie wzmocniła kadrów powstańczych, nie przekonała nikogo, natomiast jego samego wplątała w miażdżące koło sprzeczności. Bo i jakże tu być i w rządzie, i w klubie, który z rządem walczy? Stanowisko takie musiało go obu stronom narazić. Lelewel czuł dwuznaczność swojej sytuacyi, bolał nad sobą, ale nie umiał wybrnąć z błędnego koła, nie umiał nawet stanąć w swojej obronie i przynajmniej postępowaniem jasnem a śmiałem ratować, jak się da, własną reputacyę. Na to nie mógł się zdobyć. Przeciwnie. Rozumiejąc całą drażliwość swojego położenia, unikał jasnego stawiania tej kwestyi, jakby umyślnie po to, by najlepsze swoje zamiary, najczystsze intencye podawać w podejrzenie. Brak pewności wewnętrznej zmuszał go do tajemnych narad ze swoimi młodymi przyjaciółmi, do działania poza plecami kolegów w rządzie, którzy coraz podejrzliwszem okiem spoglądali na sprzymierzeńca swych wrogów. Z drugiej strony i rewolucyoniści, widząc niemoc swojego przewodnika, widząc jego postępowanie chwiejne i niezdecydowane, tracili pierwotne zaufanie i patrzyli na niego oczyma zawiedzionej nadziei.

Obręcz dwuznaczności zaciskała się coraz bardziej — i każda godzina niosła Lelewelowi nową gorycz i nowe zawody. Ale on trwał w swoim uporze i, uczepiwszy się wiotkiej gałązki doktryny, podlegał wszystkim zmiennym prądom burzliwej chwili. Silny mocą opinii całego kraju, sam podry-

---

[1]) M. Mochnacki. Powstanie Narodu Polskiego. Tom II, str. 157 — 160.

wał tę siłę, krępował ją powrozami własnego uporu, rozpraszał w mroku podejrzeń, który go zewsząd zaczął otaczać.

Gdy Rada Administracyjna w myśl programu Lubeckiego postanowiła układać się z Konstantym, Lelewel nie tylko nie sprzeciwił się temu, ale dał się wciągnąć do deputacyi, która układy miała rozpocząć. Dnia 2-go grudnia wraz z Czartoryskim, Lubeckim i Ostrowskim miał się udać do Wierzbna, gdzie rezydował w. książę, oczekujący niecierpliwie wieści z Warszawy.

Ale dnia tego podniosła się temperatura rewolucyjna ulicy i tłum wzburzony zalegał plac Bankowy.

Wiedziano w tym tłumie, że rząd ma się z Konstantym układać i wiadomość o tych układach podawano sobie z ust do ust, jako wieść klęskową.

Układy!

Złowrogi dźwięk miało to słowo w uszach zebranego ludu. Układać się, znaczyło dla tych tłumów to samo, co zaprzedać w. księciu powstanie, zgasić wzniecone ognisko wolności i na łup krwawej zemsty wydać wszystkich, co z największem poświęceniem porwali się do broni. Tłum burzył się i odgrażał. Wysyłać w takich warunkach deputacyę było krokiem niebezpiecznym. Rozumiał to ks. Radziwiłł i przeciwny był deputacyi, z obawy, że Rada Administracyjna do reszty straci swoją popularność. Ale decyzya zapadła i o godzinie 3 po południu delegowani członkowie Wydziału Wykonawczego opuścili gmach banku, by wyjechać do Wierzbna. Ale zaledwie zajęli miejsce w karecie, gdy tłum skłębił się i od ulicy Żabiej zagrodził pojazdowi drogę. Tysiącem głosów protestowała ulica przeciw rozpoczęciu układów. Delegacya musiała się zatrzymać. Otoczyły ją tłumy, niby fale rozkołysane gniewem. Ci, co stali bliżej deputacyi, prosili ją, aby zawróciła z drogi, ale dalsze szeregi czyniły ogromny hałas i wydawały okrzyki, do grzmotów podobne, a spadające na głowy delegowanych istną ulewą protestów i pogróżek.

Niebezpieczeństwo rosło.

Przed oczyma komisarzy, jak nieco ryzykownie zapewnia Władysław Zamoyski, który konno im towarzyszył,

błysnęły sztylety. To przecież pewna, że sytuacya była bardzo poważna.

„Członkowie deputacyi, — powiada tenże świadek, — stojąc na stopniach pojazdu, musieli przemawiać do ludu. Głównie obecność Lelewela zdołała uspokoić umysły" [1]).

Lelewelowi jeszcze wierzono, jeszcze obdarzano go zaufaniem bez granic. Dla tych tłumów był on rękojmią, że delegacya nie zdradzi powstania. Jego widok oddziaływał na tłumy uśmierzająco i zmieniał ich postawę, rozbrajał tych, co gwałtem zamierzali powstrzymać deputacyę. Dzięki niemu mogła nareszcie ruszyć kareta. Wprawdzie jeszcze przez pobliżkie ulice towarzyszyły jej niespokojne tłumy, ale zamiast gróźb sypały się już przestrogi, wskazówki i rady, jak mówić z Konstantym.

Wkrótce deputowani znaleźli się w Wierzbnie i stanęli przed obliczem tego, który trzy dni temu trząsł całem Królestwem i był panem wszechwładnym, a teraz stał w nędznej karczmie i z trwogą w sercu czekał na to, czego zażąda od niego stolica. Deputowani, przybywszy na miejsce, przecisnęli się przez tłum wojskowych, zalegających dziedziniec, i weszli do ciasnej izdebki o jednem małem okienku. To była siedziba w. księcia i jego małżonki, ks. Łowickiej. W tej to izdebce odbyła się rozmowa, nie bez poważnego wpływu na dalszy bieg wypadków w Warszawie.

Rozmowę rozpoczął ks. Lubecki. Tłómaczył on Konstantemu naturę zaszłych wydarzeń i wskazywał ich przyczyny w gwałceniu prawa i konstytucyi. Minister usprawiedliwiał postępowanie Rady Administracyjnej brakiem wszelkiej rozporządzalnej siły, nieobecnością wojska, któreby mogło zabezpieczyć rząd przed gniewem wzburzonego tłumu. W odpowiedzi na to Konstanty wyrzucał Lubeckiemu, że Rada Administracyjna, dając dowództwo nad wojskiem Chłopickiemu, ubliżyła tem samem w. księciu, jako wodzowi naczelnemu. Ostrowski posunął sprawę dalej i pchnął ją na właściwe tory, oświadczając, że jeżeli lekceważenie konstytucyi stało się powodem rewolucyi, to celem jej jest nie tylko obrona praw kon-

[1]) Jenerał Zamoyski, Tom I, str. 418.

stytucyjnych, ale i przyłączenie gubernii polskich do Królestwa. Wtedy to obecna przy tej rozmowie ks. Łowicka, a słuchająca w milczeniu wszystkich argumentów, zerwała się niespodziewanie ze swego miejsca, zbliżyła się wzburzona do Lubeckiego i w słowach gwałtownych a mocnych zaczęła mu wyrzucać, że jako minister nie spełnił swojego obowiązku, skoro pozwolił na zmiany w Radzie Administracyjnej, którą w składzie, przez króla ustanowionym, powinien był utrzymać. Dowcipny Lubecki nie stropił się tą nieoczekiwaną interwencyą, lecz obronił się argumentem, że właśnie tym tylko sposobem mógł władzę królewską ocalić. Ale ks. Łowicka, rozgrzana własnemi słowy, a w tej chwili bardziej od męża stanowcza, nie zadowoliła się tą odpowiedzią. Z największą żywością wyrzucała w dalszym ciągu Lubeckiemu, że na niepewnych polega osobach i, mówiąc o sprawcach rewolucyi, na Lelewela „słowem i gestem" wskazywała. Następnie, zwracając się do Lelewela i Ostrowskiego, chwyciła ich za ręce i z uniesieniem najwyższem prosiła obu, aby ojczyzny nie narażali na zgubę i uśmierzyli rosnące w Warszawie wzburzenie. Uważała, że od nich to zależy.

Tę scenę dramatyczną przeciął Lubecki.

Przerywając gorący potok wymowy, przyznał on, że istotnie Lelewel i Ostrowski cieszą się popularnością, że ich obecność w rządzie sam rząd zabezpiecza, ale „wstrzymać rewolucyi ani oni, ani już nikt nie zdoła" [1]).

Dyskusya stawała się coraz żywsza i coraz gorętsza. Deputowani czynili zarzuty postępowaniu i rządom Konstantego, a despotyczny książę słuchał wszystkiego spokojnie. Ale gdy Ostrowski powiedział, że gwałt tylko gwałtem można było odeprzeć, obruszył się Konstanty. Wtedy Lelewel „uciszył" go uwagą, że i Polskę gwałty rozćwiartowały. W. książę nie był mocarzem w dyskusyi. Dyalektyką jego była pięść, argumentem — rozkaz. Teraz musiał się hamować i liczyć się z tymi, za którymi czuł siłę powstającej Polski. Musiał być dyplomatą, a do tej roli najmniej miał powołania. Więc, chcąc

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej: Rozmowa i umowa z W. Ks. Konstantym w Wierzbnie. Tom VII, str. 153 — 7.

przeciąć całą rozmowę i wyjść z nierównej walki, wręcz spytał, co mogłoby uspokoić wzburzenie stolicy. Ostrowski wyraził mniemanie, że najskuteczniejszym ku temu środkiem byłoby ustąpienie wojsk rosyjskich z Królestwa.

Przystał na to Konstanty, ale natychmiast podniósł nową kwestyę: co ma uczynić ze swoją osobą?

Pytanie było ważne, a trudne do rozstrzygnięcia. W. książę, stawiając takie pytanie, wyraźnie dawał do zrozumienia, że pozbawiony jest własnej woli i własnego widzenia rzeczy, że gotów jest zdać się na łaskę i niełaskę powstania. Wobec tego delegowanym nie pozostawało nic innego, jak rozważyć, co będzie dla powstania dogodniejsze: ustąpienie, czy pozostanie Konstantego w Warszawie? Pierwszy w tej kwestyi zabrał głos Lubecki. Przez jego głowę, jak błyskawica, musiała przemknąć myśl, że w. książę, pozbawiony wojska rosyjskiego, a więc wszelkiej siły i oparcia, nie będzie miał żadnego wpływu na wypadki. Widział go już otoczonego zewsząd rewolucyą, widział, jak, zalękniony, godzi się na wszystkie propozycye i czyni wszystko, czego od niego żądają. Lubecki pragnął stłumić powstanie. Nie chciał zrywać z Mikołajem i Konstantym. Spodziewał się na drodze układów uzyskać rękojmie, których domagało się społeczeństwo, ale jednocześnie liczył się z tem, że ruch rewolucyjny może się rozwinąć i wytworzyć siłę, której opanowanie będzie niemożliwe. Otóż Konstanty, pozostający w Warszawie, mógł się stać w rękach takiego gracza-dyplomaty, jak Lubecki, najpoważniejszym atutem. Atut ten, wygrany podczas układów w Petersburgu, z precyzyą i stanowczością, cechującą wszelkie wystąpienia ministra skarbu, musiałby wstrząsające uczynić wrażenie. Rewolucya w Warszawie z zakładnikiem Konstantym otwierała całkiem nowe widoki. Bez względu na to, czy miało dojść do walki z Rosyą, czy też można było o niej powątpiewać, należało za wszelką cenę zatrzymać w. księcia w Warszawie. Podczas układów czy podczas wojny, obecność Konstantego, który dobrowolnie zrzekł się tronu rosyjskiego na rzecz młodszego brata, obecność Konstantego, jako zakładnika, sprzymierzeńca, czy nawet wroga rewolucyi, niewątpliwe przynosiła korzyści. Więc

w odpowiedzi na pytanie Lubecki zażądał, aby w. książę „oddał” Warszawie wojsko polskie, dotąd przy nim pozostające[1], a następnie oddał i samego siebie. Minister stanowczo radził Konstantemu powrócić do stolicy.

Ale Konstanty nie poprzestał na jednej odpowiedzi. „Rozpoczęło się o to prawdziwe wotowanie,”—powiada Lelewel[2]. Czartoryski chciał wypowiedzieć jakieś uwagi, ale Konstanty przerwał mu niecierpliwie, żądając kategorycznej odpowiedzi: tak, lub nie. Czartoryski miał tedy wotować za pozostaniem w. księcia w stolicy[3]. Władysław Ostrowski wypowiedział się przeciw pozostaniu. Przyszła kolej na Lelewela. Z zachowania się w. księcia widocznem było, że pójdzie za zdaniem większości. W ten sposób decyzya w ważnej i doniosłej sprawie dostała się w ręce uczonego. Nieprzewidziane skutki, może całkowita zmiana położenia ówczesnego, zależała od jednego słowa, które miał wypowiedzieć. Niestety, znakomity historyk, tak przenikliwie i jasno czytający w przeszłości, pozbawiony był wzroku, widzącego przyszłość. Był może zaskoczony niespodziewanym obrotem rozmowy, a może i głęboko przekonany, że powrót do stolicy znienawidzonego księcia najgorsze uczyni wrażenie i najfatalniejsze spowoduje następstwa, dość, że poszedł za zdaniem Ostrowskiego. W ten sposób opinie się podzieliły, lecz Konstanty bez wahania przychylił się do zdania tych, których w tej chwili obawiał się więcej, niż mężów tak dobrze mu znanych, jak ks. Lubecki i ks. Czartoryski. Oświadczył tedy, że, widząc „równość zdań, przychyla się do zdania panów Ostrowskiego i Lelewela”[4].

Ks. Łowicka, która żywy udział brała w całej rozmowie, a na w. księcia miała w tych dniach niepewności wpływ

---

[1]) Roczn. Tow. Hist. Lit. 1870 — 2. Protokuły posiedzeń Rady Adm., str. 447.

[2]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 159.

[3]) Według protokułów Rady Adm., Czartoryski żądał, aby w. książę opuścił Warszawę. Barzykowski (Tom I, str. 365). Dembowski (Moje wspomnienia, T. I, str. 51) i Lelewel utrzymują, że ks. Czartoryski był za tem, aby Konstanty w Warszawie pozostał. To ostatnie ma więcej szans prawdopodobieństwa.

[4]) Leon Dembowski: Moje wspomnienia. Tom II, str. 51.

ogromny, usłyszawszy odpowiedź Lelewela, żywo się obruszyła. „I tyż przeciw niemu!..." — [1]) zawołała z żalem. Lelewel przypomniał, że właśnie przed chwilą sama księżna oświadczyła, że wódz naczelny nie może się od wojska odłączać. A obok tego wystawił jeszcze wzgląd inny: niepokój, jaki wojsko rosyjskie budzi w stolicy. Przedstawiał, że wojsko to traktowane jest przez zbuntowaną Warszawę, jako armia nieprzyjacielska, wobec czego w każdej chwili spodziewać się może ataku.

Uczony, powtarzając swoje własne słowa, nie dodaje, czy mówił je dlatego, by bronić poglądu, że w. książę powinien się oddalić, czy też dlatego je wypowiadał, że istotnie chodziło mu o bezpieczeństwo w. księcia. Przypuszczać tylko można, że chciał wpłynąć na przyśpieszenie decyzyi, to jest skłonić Konstantego do szybszego oddalenia się z kraju. Niewiadomo oczywiście, czy ten, zdecydowawszy się na powrót do Warszawy, nie zmieniłby w ostatniej chwili swojej decyzyi, niewiadomo, czy lęk, który wszelką jego czynność w tych dniach paraliżował, nie skłoniłby go do nagłej ucieczki. To przecież pewna, że księżna pragnęła powrotu i że jej zdanie nie było bez znaczenia. Jednakże bez względu na to, jak znaczne były szanse zatrzymania w. księcia w Warszawie, decyzya Lelewela nie opierała się na żadnych widokach, sięgających w przyszłość, nie wypływała z jakiegobądź systemu, czy planu, lecz była przypadkowa, jak i cała kwestya, która niespodziewanie wyłoniła się z dyskusyi. Tak więc i tym razem prezes klubu rewolucyjnego nie wykazał jaśniejszego poglądu na sprawę ważną i doniosłą, a wpływ, jaki na nią wywarł, nie odpowiadał widokom rewolucyi, której chciał służyć.

Ostatecznie układy miały ten skutek, iż w. książę upoważnił delegowanych do oświadczenia ludności stolicy, że nie ma zamiaru atakować Warszawy, że obiecuje wstawić się do króla, „aby w łaskawości swojej raczył przeszłość puścić w niepamięć", że korpusowi litewskiemu nie dał rozkazu maszerowania ku granicom Królestwa. Ze swojej strony delego-

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej (Rozmowa i t. d.). Tom VII. str. 159.

wani obiecali dołożyć wszelkich starań, by Rosyan, aresztowanych 29 listopada, odstawić do obozu książęcego, wzamian za co i w. książę zobowiązał się wrócić wolność Polakom, znajdującym się w jego obozie[1]). Wreszcie na usilne nalegania Lelewela upoważnił delegowanych do ogłoszenia drukiem, że sprawa gubernii polskich była w rozmowie z nim poruszona. Lelewelowi chodziło o to, by przynajmniej ludność dowiedzieć się mogła, że tak ważnej sprawy nie pominięto. On też przyczynił się do uzyskania owej obietnicy puszczenia wszystkiego w niepamięć.

Z takiemi zdobyczami powrócili delegowani do Warszawy.

Tymczasem w stolicy nowe zaszły wypadki. Towarzystwo Patryotyczne i jego twórcy nie próżnowali. W tym samym czasie, kiedy prezes Towarzystwa układał się w Wierzbnie z Konstantym, gorętsi członkowie klubu zwoływali ludność na posiedzenie do sal redutowych, obok teatru. Najrozmaitsze wieści, krążące o delegacyi i układach, podniecały wzburzenie i niepokój w mieście. Liczna publiczność śpieszyła na wezwanie klubu, wiedziona bądź ciekawością, bądź trwogą o losy powstania. Przybyli niektórzy członkowie Sejmu, oficerowie, urzędnicy, rzemieślnicy, studenci, stawili się tłumnie pomni na swoje tradycye mieszczanie warszawscy. Tłumy te, uzbrojone w co się dało, a więc w zdobyte w arsenale karabiny, w przyniesione z domu pałasze, puginały, pistolety, zapełniły szczelnie sale redutowe i przylegające do nich ulice. Posiedzenie zaczęło się w nastroju podnieconym. Mowom, wygłaszanym z podłużnego stołu, z którego uczyniono naprędce mównicę, towarzyszył szczęk broni i tryumfalny okrzyk zgromadzenia, ile razy mówca na gorętsze zdobywał się słowo.

Prezydował zamiast nieobecnego prezesa Ksawery Bronikowski, a głównym mówcą był twórca klubu, Maurycy Mochnacki.

Młody trybun w długiej a płomiennej mowie wykazywał wszystkie błędy, jakie z punktu widzenia rozpoczynającego

---

1) Protokuły Rady Adm. Rocznik T-wa Hist.-Lit. 1870—2 str. 448.

się powstania popełniła Rada Administracyjna; następnie domagał się rozwiązania Rady, ustanowienia Rządu Tymczasowego, zatrzymania w. księcia, jako jeńca i zakładnika rewolucyi. W tym celu żądał, aby Chłopicki natychmiast uderzył na gwardyę carewicza, rozbroił ją, wziął w. księcia do niewoli i oddał go w zakład ludowi, „albowiem, — tak kończył swoją mowę, — nie z Konstantym w Warszawie, ale z Petersburgiem w Wilnie układać się należy"[1]), co miało znaczyć, że po rozbrojeniu wojsk rosyjskich należy natychmiast wkroczyć na Litwę i zbrojną ręką zająwszy Wilno, spróbować układów z samym Mikołajem.

Mowa ta, wypowiedziana mocno i namiętnie, olbrzymie uczyniła wrażenie. Po raz pierwszy wobec mnogiej publiczności głośno i wyraźnie objawiono cele rewolucyi. Podniecenie rosło i zapał ogarniał masy. Po Mochnackim również w duchu rewolucyjnym przemawiali Józef Kozłowski, Nabielak, Bronikowski, Żukowski i inni, a tłum zgromadzony przyklaskiwał mówcom, przyjmował wszystkie wnioski i szczękiem oręża objawiał swą zgodę. W końcu zgromadzenie wybrało kilkunastu członków klubu, jako deputacyę, mającą żądania ludu warszawskiego przedstawić Radzie Administracyjnej. Żądania te szły daleko, a miały charakter rewolucyjny. Domagano się między inn., aby Chłopicki natychmiast uderzył na gwardyę Konstantego, aby pożar powstania w całym kraju był rozniecony, aby wierni carowi ministrowie oddani zostali pod straż, a dowódcy wojsk polskich, którzy dotąd nie połączyli się z powstaniem, za zdrajców ogłoszeni byli. W razie, gdyby te żądania nie zostały uwzględnione, żądano, aby Rada Administracyjna przybrała do swojego grona kilku nowych członków, których sam klub wskaże.

Deputacya, którą obok Mochnackiego składali Bronikowski, Nabielak, Dunin, Fr. Grzymała, Dobrogojski, Gaszyński i inni, spisawszy swoje żądania, opuściła sale redutowe, a za nią udały się stojące na ulicach tłumy i gwarne a wzburzone, popłynęły przez plac Krasińskich do gmachu bankowego, gdzie urzędowała Rada Administracyjna.

---

[1]) Maurycy Mochnacki. Powstanie... II. str. 99.

Gmach został otoczony — i deputacya weszła do środka. W tej chwili właśnie delegowani Rady zdawali sprawę ze swojej rozmowy z w. księciem w Wierzbnie. Zameldowano deputacyę klubu. Rada postanowiła nie wdawać się w żadne z klubistami rozprawy i wydelegowała sędziwego kasztelana Kochanowskiego, by odprawił ich z niczem. Ale deputacya klubu ani myślała ustąpić i gwałtownie domagała się posłuchania. Nadaremnie Kochanowski powoływał się na swoje siwe włosy i do opamiętania wzywał niepożądanych natrętów, nadaremnie przekładał, że rząd nad ważnemi obraduje sprawami. „Niemasz nic ważniejszego nad poselstwo nasze", upewniali klubiści. Hałasy zwróciły uwagę obradujących — i Władysław Ostrowski, chcąc zobaczyć, co się dzieje, otworzył drzwi, przez które wpadli natychmiast delegaci klubu, a wpadli ubrani w płaszcze, groźni, zbrojni, w postawie śmiałej i wyzywającej.

„O Boże! — pisał o wtargnięciu tej deputacyi Niemcewicz, — ci tylko, co widzieli Robespierra, Dantona, Marata, St. Justa, nie byliby przerażonymi tak wściekłemi postaciami, jakie mieli ci zuchwalcy"[1]).

Jakoż widok „zuchwalców" stropił członków rządu. Powstali z miejsc, by stawić czoło niespodzianej napaści. Na twarzach zaskoczonych znienacka mężów malowało się zmieszanie naprzemian z oburzeniem. Ale największe nieukontentowanie przejawiał Lelewel. Wszak to najście było dziełem klubu, który ofiarował mu godność prezesa, bez wahania przez niego przyjętą. Sytuacya była dwuznaczna, a stała się nad wyraz przykrą, gdy głos zabrał Mochnacki i w namiętnych słowach zaczął wyrzucać Radzie jej postępowanie. Zapewniał on, że ludzie, którzy z narażeniem głów własnych zaczęli rewolucyę, upaść jej nie pozwolą. Odwołali się oni — mówił Mochnacki — do ludu stolicy, który z bronią w ręku otacza gmach rządowy i nie rozejdzie się dopóty, dopóki żądaniom klubu nie stanie się zadość. I gwałtowny mówca, cisnąwszy taką groźbę, odczytał przyjęte na posiedzeniu w salach redutowych uchwały. Książę Czartoryski postanowił uśmierzyć

---

[1]) J. U. Niemcewicza Pamiętniki, Kraków, 1909, str. 52.

i powściągnąć zapędy deputacyi. W słowach uprzejmych i łagodnych starał się jej wytłómaczyć, że niektóre z przedstawionych żądań są niemożliwe do przyjęcia, przedewszystkiem zaś uwięzienie w. księcia, który właśnie oświadczył, że przeciw zbuntowanej stolicy żadnego nie przedsięweźmie kroku, a wszystko przyrzeka puścić w niepamięć.

Ale łagodne słowa najmniejszego nie odniosły skutku. Treść ich do żywego dotknęła Mochnackiego — i młody trybun wybuchnął.

„— To są żarty, mości książę, — zawołał, — my nie powstaliśmy dla przyjmowania łask i warunków w. księcia, który jest jeńcem rewolucyi, ale dla zbawienia Polski. Niechaj tedy rząd nie gra komedyi, która się bardzo tragicznie zakończyć może dla powstania, albo dla jego nieprzyjaciół i wątpliwych stronników" [1]).

Te śmiałe słowa najwyższe wywołały wzburzenie. Generał Chłopicki zerwał się ku wyjściu i, opuszczając salę obrad, z furyą drzwi za sobą zatrzasnął. Stary Niemcewicz rozdarł szaty swoje na piersiach i, wystawiając się na ciosy napastników, wołał, aby w jego serce, zawsze bijące dla ojczyzny, najpierw ugodzono [2]). Ale nikt nie myślał mordować Niemcewicza i godzić w jego serce, a posłuchanie czemprędzej należało skończyć. Więc ks. Czartoryski oświadczył, że rząd weźmie pod uwagę przełożenia klubu. Deputacya poprzestała na tem zapewnieniu i opuściła gmach banku, by zanieść ludowi odpowiedź.

Powrócił wnet Chłopicki i śród członków rządu rozpoczęła się żywa wymiana opinii. Fredro, znienawidzony przez patryotów Fredro głęboko musiał być wstrząśnięty, skoro się odezwał, że ci, co klub utworzyli, pierwsi wywołali rewolucyę, a więc „ich zdania nie mogą być obojętne". Radziwiłł podał się do dymisyi. Za nim poszedł Małachowski. Czartoryski milczał. Jeden Lubecki był nieugięty i z zimną krwią przedstawiał kolegom, że niepodobna słuchać klubu i stosować się do jego przełożeń.

---

[1]) Powstanie Narodu Polskiego. Tom II, str. 105.
[2]) Barzykowski. Tom I, str. 376.

A Lelewel?

On był w najgorszem położeniu. Milczał, gdy wtargnęli klubiści, milczał, gdy przemawiał i groził Mochnacki, milczał, gdy wyszła deputacya. A przecież słowa Mochnackiego godziły przedewszystkiem w Lelewela. On to zabiegał w Wierzbnie, aby wymódz na w. księciu obietnicę „puszczenia wszystkiego w niepamięć”, ową obietnicę, która piorun oburzenia na całą Radę ściągnęła. Po przemówieniu Mochnackiego musiał przecież zrozumieć, że pomiędzy rządem, którego był członkiem, a klubem, którego prezesurę przyjął, leżała cała przepaść. Mógłże łudzić się jeszcze, że będzie mostem, łączącym krańce tej przepaści? Czas był najwyższy odsłonić swe karty i z całą determinacyą stanąć w obronie deputacyi, domagać się spełnienia jej żądań lub też oświadczyć swoim kolegom, że składa narzucony mu urząd prezesa i działalność klubu potępia.

Protokuł urzędowy notuje następujące słowa Lelewela: „znam niektórych z tego klubu; wczoraj mieli 30, dziś 500’ członków [1]).

I nic więcej.

Oczywiście, protokuł, pisany doryweczo w takich warunkach, nie może dokładnie odzwierciadlać przebiegu dyskusyi, ale dalsze zachowanie się Lelewela świadczy, że istotnie nic lub niewiele więcej miał w owej chwili do powiedzenia. W dwadzieścia kilka lat później, wspominając o owych czasach, pisał, że klub „uczcił go tytularnem prezesostwem, a szedł sam[2])”. Tak, klub szedł sam. Ale szedł pod jego nazwiskiem, jego popularne imię, jako swój sztandar wywiesił i w najfałszywszem stawiał go położeniu. A on nie miał odwagi stanąć na czele tego klubu, ani też odebrać mu swojego imienia. Spętała go obawa przed powzięciem stanowczej decyzyi. Więc milczał uparcie, jakby nie rozumiejąc, że to milczenie wzmaga podejrzliwość otoczenia i odbiera mu zaufanie kolegów.

Późno w noc opuszczał Radę Administracyjną, która straciła grunt pod nogami i zapadała się w nicość.

---

[1]) Rocznik T-wa Hist. Lit. 1870 — 2, str. 450.
[2]) List z d. 8/IV, 1859 r. Rks w Rapp.

Dzień 3-go grudnia nowe miał przynieść niespodzianki.

Dnia tego klub obradował od świtu. W całem mieście wiadomo już było, że brygada generała Szembeka, której w. książę kazał maszerować do Mokotowa, nie usłuchała rozkazu i szła do stolicy, by wesprzeć rewolucyę. Nadzieja owionęła głowy, otucha wstępowała w serca. Wierzono powszechnie, że przykład Szembeka oddziała na wojsko całego kraju i szalę wypadków przeważy na stronę powstania. Więc cieszył się tysiączny lud, obradujący na ulicy i w salach redutowych. Tryumf powstania rozgrzewał duszę tłumów, napełniał je wiarą i nadzieją. Klub czuł się mocnym i rzeczywiście stawał u szczytu swojej potęgi. Potęga ta musiała wyłonić z siebie władzę lub upaść brakiem spójności wewnętrznej, brakiem cementu organizacyjnego. Bo klub był tylko zbiegowiskiem i, jak wszelkie zbiegowisko, łatwo poddawał się zmiennym nastrojom chwili. Ale rano 3-go grudnia zapał powstańczy rządził Warszawą. Zapał ten wzrósł jeszcze, gdy w salach redutowych ukazał się na mównicy Joachim Lelewel.

Przywitały go grzmiące oklaski.

Tłum uwierzył, że znakomity uczony przyszedł zbratać się z klubem. Więc na widok kochanego profesora młodzieży przybyło serca, nadzieja jeszcze silniejszym zapłonęła blaskiem. Zdawało się zebranym, że mają przed sobą męża rewolucyi. Lelewel zjawiał się w owej chwili, jak upragniony wódz i dyktator. Cała sala zawisła na jego ustach i czekała hasła, czekała rozkazów, co, jak gromy, miały zahuczeć i naród cały zawezwać do walki śmiertelnej i nieubłaganej. Była to jedna z tych chwil, które stanowią punkt zwrotny w dziejach zmagających się z sobą obozów. Bo dwa obozy, dwie myśli dla wszystkich już były najwyraźniej widoczne. Jedna uosobiona w Radzie, druga — w klubie. Pierwsza starała się stłumić rewolucyę, druga — nadać jej pęd niewstrzymany. Lelewel był tu i tam, a stojąc na rozstajach, dzierżył w swych rękach tajemnicę najbliższej przyszłości. W jego osobie chwila dziejowa uosobiała punkt zwrotny. Jego słowo miało teraz wagę historyczną. Jego decyzya zapowiadała zwycięstwo lub klęskę myśli rewolucyjnej.

„Ze strony Lelewela byłoż wtedy co naturalniejszego,— powiada Mochnacki,—jak rozwiązać w klubie rząd stary, pokazać osobom, co go wspierały, kły ostre, nawet drapieżne, i natychmiast wytknąć obrotowi rzeczy jedyną drogę zbawienia, jaka się nastręczała. Któryż z rewolucyonistów, który z założycieli klubu miał takie, jak on, imię, takie zachowanie w narodzie, takie stosunki z Litwą, z korpusem litewskim, z samą nawet uczoną Moskwą"[1]).

Istotnie, miał Lelewel głośne imię, posiadał wielkie znaczenie i rozległe stosunki, nie mógł tylko pokazać swojej drapieżności, bo ta najzupełniej obca była jego naturze. Wczoraj w nocy, zasiadając w rządzie, nie umiał poprzeć żądań klubu, dziś przyszedł do klubu, jako członek rządu. Widział wkoło siebie młodzież, która go kochała i którą on kochał, widział lud rozegzaltowany, bijący mu oklaski, lud blizki jego sercu, widział tłumy, co stanęły do apelu na pierwszy odgłos powstania, którego sam był współtwórcą. Sercem łączył się z tą różnobarwną rzeszą, ale myślą biegł do Rady Administracyjnej, której był członkiem, a którą ta masa chciała obalić i zdeptać. Może, patrząc na wzburzone tłumy, widział jednocześnie oczyma duszy stroskane oblicza kolegów swoich z Rady, tak bardzo potrzebujących w tej chwili owej tarczy, jaką była jego własna popularność. Miałże uczynić im zawód, obruszyć na nich lawinę gniewu, rozdmuchać płomienie rewolucyi i w płomieniach tych spalić władzę, której sam był cząstką. Nie! tego nie zrobi! I wbrew oczekiwaniom zgromadzonej publiczności nie przemówił, jak prezes klubu rewolucyjnego, ale jak członek rządu, który przeciwstawiał się rewolucyi. W mowie swojej starał się usprawiedliwić postępowanie Rady Administracyjnej i klub skłonić do większego w czynnościach swych umiarkowania.

W ten sposób jedyna widoma głowa rewolucyi, jedyny człowiek, który skupiał nadzieje młodzieży i ludu, nie tylko powstania nie wzmocnił, ale odebrał mu powagę swojego nazwiska i w oczach tłumu, oddanego mu bezgranicznie, zwinął sztandar, około którego skupić się miały żywioły rewolucyjne.

---

[1]) Powstanie Narodu Polskiego, II, str. 112.

Ale nie wszyscy słuchacze zoryentowali się w sytuacyi, nie wszyscy zrozumieli, że słowa Lelewela są dekretem śmierci dla klubu. Bo on jeden mógł w owej chwili zespolić masy i bezładny tłum uorganizować w siłę poważną i groźną. On jeden na czele tej siły mógł stanąć. A klub musiał stać się siłą lub paść w czekającej go walce. Nikt przecież nie ośmielił się wystąpić przeciw Lelewelowi, wyświetlić dwuznaczność jego postępowania i targnąć się na jego powagę. To też ważne a zabójcze dla klubu przemówienie przeszło bez wrażenia, a rozczarowanie, jakie wzbudziło śród krytyczniejszych członków klubu, zatarte zostało natychmiast nowym wypadkiem. Uwaga powszechna przeniosła się na generała Szembeka, który dnia tego również przyszedł na posiedzenie klubu. Widok dygnitarza wojskowego, o którym od rana mówiła cała stolica, wywołał nieopisany zapał. I nic dziwnego: był to pierwszy generał, stający po stronie rewolucyi. Na rękach wniesiono go do sali obrad i na rękach z niej wyniesiono, bo tysiączne tłumy pragnęły nacieszyć się jego widokiem. Wówczas całe zgromadzenie przeniosło się na ulicę. Pod gołem niebem prowadzono dalszy ciąg obrad. Wóz drabiniasty, znajdujący się przypadkowo na placu, stał się mównicą. A pierwszy wszedł na tę zaimprowizowaną trybunę generał Szembek i, wzruszony przyjęciem, zawołał do ludu, że brygada jego wkroczy za chwilę do miasta. „Niech żyje Szembek!”—ryknęły tysiączne głosy i zlały się w jeden długo niemilknący okrzyk entuzyazmu.

A gdy na tym samym wozie zaczęli się ukazywać inni mówcy i w płomiennych słowach występować przeciw Radzie Administracyjnej, dreszcz oburzenia wstrząsnął zgromadzonym ludem. Rozległy się okrzyki, by zmieść z widowni niedołężną władzę i na jej miejscu ustanowić rząd rewolucyjny. Nic nie zmieniła nastroju mas wygłoszona przez Lelewela mowa. Lud własnym przemawiał głosem. Rozhukały się namiętności i oburzenie własnej szukało drogi. Zdawało się, że chwile Rady Administracyjnej są porachowane. Ale Lubecki, wiedzący dobrze, co się dzieje w mieście, a czuwający nieustannie, nie stracił i tym razem przytomności umysłu. Na jego wniosek Rada Administracyjna zgodziła się stworzyć

pozór, że ulega żądaniom klubu. I oto w chwili największego wzburzenia na wozie drabiniastym zjawił się Władysław Ostrowski, jako wysłaniec rządu, i donośnym głosem oświadczył ludowi, że Rada Administracyjna, zgodnie z wyrażonemi wczoraj życzeniami, wzywa do zasiadania w swem gronie czterech członków klubu. I zdziwionym tłumom rzucił cztery nazwiska: Machnicki, Bronikowski, Mochnacki i Plichta.

Manewr zręczny, a wykonany w porę, nie zawiódł. Tłumy uspokoiły się odrazu i klub stracił swą siłę, by już nigdy jej nie odzyskać. Tymczasem Rada Administracyjna, do której powołano klubowców, tegoż dnia o godz. 1-ej po południu przestała istnieć, a w wyłonionym z tejże Rady Rządzie Tymczasowym dla członków klubu nie było już miejsca.

W taki to sposób Rada Administracyjna, której Lelewel był członkiem, wyprowadziła w pole klub rewolucyjny, którego Lelewel był prezesem. Ale nie dość na tem. Pognębiony prezes klubu na żądanie Rady wszedł w skład nowego rządu i znowu klubowi się przeciwstawił.

Tymczasem lud, ułagodzony na chwilę mniemanem ustępstwem Rady Administracyjnej, wstrząśnięty został nową wiadomością, która lotem błyskawicy obiegła całe miasto. Przybycie pułku Szembeka nasunęło tłumom myśl połączenia wszystkich wojsk polskich w Warszawie. Otóż wieść owa niosła, że w. książę przemocą zatrzymuje oddziały polskie, pozostające jeszcze przy jego osobie. Więc na placu Bankowym znowu zgromadziły się tłumy i gwałtem próbowały wtargnąć do gmachu, gdzie rząd obradował. „Warta przy bramie z największą trudnością broniła wejścia, wpuszczając tylko osoby znane, lub po kilku deputowanych od tłumu za przyzwoleniem rządu"[1]). Ale takie półśrodki nie mogły ukoić wzburzenia. Ktoś krzyknął, by odbić żołnierzy. Okrzyk ten w jednej chwili stał się hasłem, które, jak grom, przeleciało po wszystkich ulicach, placach i zaułkach miasta.

Rozszalała się wtedy Warszawa.

---

[1]) Jenerał Zamoyski. Tom I, str. 429.

Kilkunastotysięczny tłum, jak hucząca fala, pomknął ku rogatkom mokotowskim, by zwalić się na obóz carewicza. Za tłumem ruszył pułk Szembeka. Generał Chłopicki i sam Szembek dosiedli koni i stanęli na czele wojska, by nie dopuścić do starcia. Ale wojsko, otoczone ludem, parło przed sobą obu generałów. Pękły karby wszelkiej subordynacyi i żadna siła nie mogła już powstrzymać owego ludzkiego potoku, co, jak ślepy żywioł, mknął naprzód i wszystkich porywał za sobą. Chłopicki, czując swoją bezsilność, zżymał się i klął, ale popychany zewsząd, jechał na czele wojska blady z gniewu, a posępny, jak noc. Na placu Trzech Krzyży spotkał Władysława Zamoyskiego, który wiózł depeszę rządu do w. księcia. Zatrzymał na chwilę gońca i rzekł mu, aby się śpieszył, bo jednej chwili do stracenia niema. Poczem, spojrzawszy na zegarek, dodał:

— Powiedz w. księciu „na zachętę, że do dwunastej zatrzymam ruch miasta ku niemu. Za więcej nie ręczę. Co się stanie potem, tego nikt nie obliczy" [1]).

Na szczęście dla Konstantego, wojsko polskie, dotąd przy nim pozostające, nie czekało formalnego przyzwolenia i samo ruszyło naprzeciw tłumów, idących z Warszawy. W Alejach Ujazdowskich nastąpiło spotkanie. Radosne i długotrwałe okrzyki ludu przywitały powracających żołnierzy. A gdy wszystkie oddziały wojsk polskich złączyły się z sobą, cała olbrzymia różnobarwna masa żołnierzy i ludu ruszyła przez Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście. Na czele jechał Chłopicki i śród nieustających owacyi na plac Bankowy prowadził wzruszone przyjęciem szeregi. Huczały radośnie bębny, grzmiała muzyka wojskowa, a dźwięki jej łączyły się z niemilknącymi na chwilę wiwatami tłumów. Sztandary pułkowe, przystrojone naprędce kwiatami i świeżą zielenią, wysoko powiewały nad tysiącznym ludem, balkony domów przyozdobiły się kobiercami, kobiety i dzieci, stojąc w oknach, z największem rozrzewnieniem witały ów pochód, wszędzie widniał zapał i uroczyste a radosne wzruszenie przelewało się z krańców w krańce Warszawy.

---

[1]) Jenerał Zamoyski. Tom I, str. 131.

Harmonię tę zamącił widok generałów Kurnatowskiego i Wincentego Krasińskiego, którzy do ostatniej chwili wiernie stali przy Konstantym i głośno potępiali wybuch rewolucyi, a teraz zdecydowali się wrócić do Warszawy. Tłum ściągnął ich z koni. Tysiąc bagnetów i szabel podniosło się w górę, by rozsiekać obu wrogów powstania. Na pomoc zagrożonym skoczyli Szembek oraz Chłopicki i z największym trudem ocalili ich od śmierci niechybnej.

Ale ten zgrzyt na chwilę tylko zamącił radość ogólną. Wojsko maszerowało po całem mieście i wszędzie witane owacyjnie, bratało się z ludem.

O stłumieniu powstania nie mogło już być mowy.

Gdy tak Warszawa święciła tryumf rewolucyi, a w. książę Konstanty rozpoczynał wraz z gwardyą marsz ku granicom Cesarstwa, twórca klubu, Maurycy Mochnacki, nowy przygotowywał zamach, tym razem na Rząd Tymczasowy i Chłopickiego. Śród ogólnego uniesienia i radości młody trybun na chwilę nie pozbył się myśli o utworzeniu władzy rewolucyjnej. Rozumiał on, że nowy rząd, wyłoniony z chwiejnej Rady Administracyjnej, niedaleko odbiegnie od swojej rodzicielki i nie rozwinie działalności szybkiej a zdecydowanej, jak tego wymagała chwila. A skroś dymy pochwalne, jakie w tych dniach otaczały Chłopickiego, widział jasno właściwą fizyonomię tego generała, odgadywał, że nie myśli on o wojnie i że z powstaniem nie sprzymierzy się szczerze. Mochnacki sądził, że klub zdolny jest wywrócić rząd, a zarazem powalić Chłopickiego. Tym razem zawiódł się srodze. Sale redutowe, zapełnione tego wieczora przez licznych klientów Lubeckiego, okrzykami niezadowolenia przerywały ognistą mowę Mochnackiego. A gdy, nie zważając na to, mówca zawołał w uniesieniu, że Chłopicki zdradza rewolucyę, oburzenie stało się powszechnem. Nadaremnie młody trybun starał się przekonać masy o słuszności swojego twierdzenia. Nie chciano go słuchać, a gdy mimo to obstawał przy swojem, błysnęły szable i śmierć zajrzała w oczy płomiennemu mówcy. Na szczęście, pogaszono w tej chwili światła i Mochnacki, korzystając z zamieszania, wymknął się cało z sal redutowych.

Tak padł twórca klubu rewolucyjnego i sam klub, którego prezes zasiadał już w Rządzie Tymczasowym. Mochnacki nie miał dość powagi, by zrównoważyć olbrzymią popularność Chłopickiego, a jeden Lelewel, który mógł to uczynić, wspierał swojem imieniem niedołężną władzę, ujmującą właśnie ster powstania w swoje słabe, nieudolne ręce. To też powstanie odniosło tryumf połowiczny. Niepodobna już było go stłumić, ale można było żywić największą o przyszłość jego obawę.

Takiemi zdarzeniami upamiętniony został historyczny dzień 3 grudnia.

Zdarzenia te miały przedewszystkiem ten skutek, że Rząd Tymczasowy, aczkolwiek postępował wstrzemięźliwie i starał się jeszcze zachowywać pozory legalności, to przecież nie śmiał już przeciwstawiać się powstaniu. Wierzchołki społeczne, stojące u steru, zaczynały się jeżyć i do władzy najwyższej przemawiać głosem, nielicującym z tonem lojalizmu. Rada Administracyjna w raporcie swoim do Mikołaja, zredagowanym w d. 4 grudnia, oświadczała wręcz, że Rząd Tymczasowy „będzie może zmuszonym przybrać barwę bardziej zbliżoną do opinii klubów". Było to śmiałe powiedzenie, jeśli zważyć, że w tymże raporcie powiedziano, iż kluby zarzucały Radzie Administracyjnej zdradę, a to z powodu, że nie kazała uderzyć na wojska rosyjskie. O przyłączeniu gubernii polskich nie śmiano jeszcze napomknąć, ale nie wahano się powiedzieć, że jedynie „zupełne wykonanie karty konstytucyjnej, wszelkiemi należytemi rękojmiami ubezpieczonej", może „zachować Polakom króla". W przeciwnym razie raport przewidywał „krwawą walkę", mówił nawet o „boju na śmierć".[1]) a więc w gruncie rzeczy równał się ultimatum. To też władzy, która tak przemawiała, nie pozostawało nic innego, jak powołać naród do broni i gotować się do orężnej rozprawy. Ale Rząd Tymczasowy nie śmiał posunąć się tak daleko. Wprawdzie pod sztandary narodowe zawezwał wszystkich dymisyonowanych żołnierzy i oficerów, a Chłopickiego mianował wodzem naczelnym, wprawdzie, wchodząc w atrybucye kró-

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 199 — 200.

lewskie, pozwolił sobie zwołać Sejm na dzień 18 grudnia, ale nie ośmielił się zerwać z Petersburgiem i w raportach swoich do Mikołaja zachowywał daleko idącą oględność. Tymczasem Chłopicki, niezadowolony z Rady Administracyjnej, niezadowolony z Rządu Tymczasowego, oburzony na klub i chaos, panujący w stolicy, zrzekł się już 4 grudnia dowództwa naczelnego i, uważając, że wojna z Rosyą jest szaleństwem, od wszystkiego postanowił się usunąć. Gdy jednakże zewsząd zaczęto na niego nalegać, by w tak poważnej dla narodu chwili nie uchylał się od służby publicznej, wówczas generał, przekonany, że w swych żelaznych rękach zdusi rewolucyę i kraj od jej następstw ocali, zdecydował się, za namową ks. Lubeckiego[1]), na krok bardzo stanowczy. Dnia 5 grudnia w obecności wojska i ludu, zebranego na jego rozkaz na placu Broni, ogłosił się dyktatorem i faktyczną władzę naczelną nad krajem pochwycił w swe ręce.

Lelewel nie brał udziału w uroczystości, która w pamiętnym dniu 5 grudnia zgromadziła na placu Broni wojsko i niemal całą ludność Warszawy. W tym samym czasie szedł za trumną swojego ojca. „Gdy na cmentarzu chowaliśmy zwłoki rodzica, — pisze Prot[2]), — Chłopicki ogłaszał się dyktatorem przed szeregami... Gdy smutni powracaliśmy z cmentarza, obok nas artylerya, jazda, piechota opuszczała plac z okrzykami wiwatów na cześć Chłopickiego”... Gdy ktoś ze znajomych zbliżył się do Joachima i wyrażał żal, że ojciec umarł, Joachim, mając na myśli powstającą Polskę, odpowiedział:

—„Ale nam się Matka narodziła!”

Krok Chłopickiego uczynił w Warszawie jak najlepsze wrażenie. W sławnym żołnierzu napoleońskim lud i wojsko widziało zapowiedź walki i zwycięstwa. Umysły zaczęły się uspokajać. Ustały tłumne zbiegowiska, w mieście powracał ład i porządek, a w armii, patrzącej w dyktatora, jak w słońce, odrazu zapanowała subordynacya i karność.

Tak upłynęły pierwsze dni powstania.

---

[1]) Kronika Emigracyi. Tom V, str. 307.

[2]) Pamiętniki. Rks.

W ciągu tego ważnego dla sprawy narodowej okresu okoliczności niejednokrotnie uśmiechały się Lelewelowi i w ważnych chwilach pozwalały mu odegrać rolę decydującą. Ale on czynił wszystko, aby w chwilach takich nie zaważyć na szali i rolę tę pozostawić innym. Indywidualność polityczna znakomitego dziejopisarza na tle gwałtownych zdarzeń, wstrząsających stolicą, zarysowała się nadzwyczajnie blado. Nie utrzymał się na wyżynach, na które wzniosła go rewolucya, i nie stał się tamą rewolucyi, czego spodziewali się po nim ludzie, sprawujący władzę. W dniach ścierania się dwóch myśli i dwóch obozów stał ciągle na rozstajach. Wypadki szły mimo niego, jak gdyby w tym dramacie dziejowym był nie aktorem, lecz widzem. Zawiódł obóz powstańczy i nie odpowiedział nadziejom stronnictwa umiarkowanego. Nie zadowolił nikogo, naraził się wszystkim. Uważał, że imię jego potrzebne jest klubowi, więc bez zastrzeżeń oddał je rewolucyonistom. Sądził, że pożyteczny jest w rządzie, więc pozostawał w rządzie, pod który klub z jego imieniem zakładał minę wybuchową. Nie wyłamywał się z pod żadnego obowiązku, który na niego nakładano, ale po żaden obowiązek nie sięgał ręką zdobywczą i śmiałą. Na posiedzeniach rządu był członkiem klubu, na zebraniach klubu był przedstawicielem rządu. Sam nie wiedząc o tem, grał grę podwójną, a tu i tam grał ją jak najgorzej. Nie okazał umysłu męża stanu i nie przejawił temperamentu rewolucyonisty. Lękał się czynów wielkich i śmiałych i sam przez się nie występował z inicyatywą. Niezwykle przenikliwy i pełen woli twórczej w nauce, dowiódł swojem postępowaniem w pierwszych dniach powstania, że pozbawiony był wszelkiej przenikliwości w życiu politycznem. Doskonale widzący w mroku przeszłości, tracił dar oryentacyi w blasku białego dnia. Nie bez pewnej słuszności przyrównał Mochnacki Lelewela do sowy. Uczony nie zabiegał w przyszłość i nie uprzedzał wydarzeń, lecz godził się z faktami dokonanymi, a raczej szedł za nimi, nie jak wódz i nie jak świadomy celu swojego polityk, ale jak maruder. Wszyscy oglądali się na niego i on oglądał się na wszystkich. Ale czynom nie przeciwstawiał czynów. Ulegał cudzej woli, natomiast woli swojej nie umiał narzucić nikomu. Był przedziw-

nie konsekwentny we wszystkich swoich niekonsekwencyach. A przecież nie można powiedzieć, by nie wiedział, co czyni, gdyż niewątpliwie rozumiał olbrzymią doniosłość całego przedsięwzięcia i sprzyjał mu szczerze. Jeżeli jednak wpadł, jakby w samotrzask i nie uczynił ani jednego wysiłku, aby wyzwolić się z fałszywego położenia, to stało się tak jeszcze i dlatego, że tajemną sprężyną, regulującą to postępowanie, był jego upór wielki i niezłomny. Myśl, która opanowała umysł Lelewela, żadnym faktem nie dała się wytrawić. Więc gdy raz powiedział sobie, że wszystkich trzeba *uwikłać powoli* w sprawę narodu, chciał ze wszystkimi być w zgodzie i jedność narodową utworzyć ze świadomych sprzeczności. Ale zamiast na jednym punkcie dla tej idei pracować, rozpoczął swoją pracę odrazu na dwóch krańcach przeciwległych. Nadaremnie jednak rząd rewolucyonizował i nadaremnie miarkował klub rewolucyjny. Podejrzewany przez wszystkich, sam nie podejrzewał nikogo. Siał tu i tam niezgodę, choć do zgody dążył. I na tem polegała jego tragedya. W zwykłych warunkach działalność taka była niemożliwa, ale w początkach ruchu minęła bez większego wrażenia. Wypadki biegły szybko, opinia publiczna raz po raz w inną zwracała się stronę i stanowisko Lelewela nie zdążyło się jeszcze utrwalić, ani ważniejszego wywołać zatargu.

Rola Lelewela w powstaniu dopiero się zaczynała. Zdążył się już narazić i wzbudzić podejrzenia, ale jego popularność, jego rozgłośne imię i olbrzymia sława nie przestały być jeszcze potęgą.

XI.

W OKRESIE DYKTATURY.

Miał jeszcze Lelewel wpływy i znaczenie, był w dalszym ciągu na widowni powstania jedną z najpopularniejszych postaci. Ale po ogłoszeniu dyktatury Chłopicki zagasił wszystkich i uwagę całego kraju skupił na swojej osobie. Potężny władzą, jakiej Polacy nigdy nie oddali żadnemu ze swoich rodaków, silny jednolitą opinią stolicy, ubóstwiany w tych dniach przez wojsko, czczony przez mieszczan i młodzież, stał się kolosem, w którego cieniu wszystko malało i bladło. Na skinienie swoje miał lud i armię, rozporządzał wszystkimi środkami, na jakie kraj mógł się zdobyć, w jego mocy było wydobyć maximum siły, potrzebnej do walki z Rosyą. Ale dyktatura była najfatalniejszem w następstwach swoich nieporozumieniem, była zarazem ostatniem ogniwem w łańcuchu paczynań ministra Lubeckiego, który nie chciał już w Rządzie Tymczasowym zasiadać, ale konsekwentnie szedł do celu i, wysuwając na czoło ruchu sławnego generała, to miał tylko na myśli, by na drodze rewolucyi nową zbudować tamę. Chłopicki nie należał jednak do ludzi, którzy pozwalaliby sobą powodować. Nie chciał dopuścić do wojny z Rosyą, bo miał przekonanie, że wojna ta skończy się nieszczęśliwie i na tym punkcie był większym, niż sam Lubecki, pesymistą. Ale godząc się z Lubeckim, postępował samodzielnie i dyktatorem ogłosił się na własną odpowiedzialność.

Sławę swoją zawdzięczał dyktator świetnym czynom wojennym, dokonanym w Hiszpanii. Opinia marszałka Sucheta, który w pamiętnikach swoich niejednokrotnie pisał o Chopickim, jako o jednym z najdzielniejszych oficerów, utrwaliła tę sławę i szeroko ją po świecie rozniosła. Był to żołnierz z krwi i kości, a nadto żołnierz z armii Napoleona. Wywodził się z drobnej szlachty, osiadłej na Wołyniu. Syn ubogich rodziców, nie otrzymał w domu staranniejszego wykształcenia. Karyerę swoją rozpoczął w powstaniu kościuszkowskim. Walczył potem w legionach pod Dąbrowskim i Kniaziewiczem, a później szedł za gwiazdą Napoleona. W znojach wojennych upłynęła mu ogromna część życia. Hartował go ryk armat, szkołą jego były niezliczone pola bitew, żywiołem — wojna. W kurzawie i dymach bojowych, śród nieustannych niebezpieczeństw nabył pewności siebie, przyzwyczaił się do wydawania rozkazów i ślepego dla nich posłuszeństwa. Z usposobienia gwałtowny, łatwo unosił się i przy najmniejszym oporze wybuchał gniewem strasznym, niepohamowanym. Wysoki, silnie zbudowany, o pięknych regularnych rysach twarzy, o dużych oczach, które, gdy się ożywił, ciskały błyskawice, miał w całej swojej postawie coś imponującego, coś, co, szczególniej w wojsku budziło szacunek i ufność najwyższą. Wstąpiwszy do armii Królestwa Polskiego w randze generała dywizyi, nie mógł się zżyć z takim wodzem, jak w. ks. Konstanty. Po pierwszej uwadze, jaką ośmielił mu się w. książę uczynić, Chłopicki podał się do dymisyi i wszelkie zabiegi Konstantego, by dymisyę cofnął, nie odniosły skutku. Nawet interwencya cesarza Aleksandra [1]) nie zdołała przełamać gniewu generała i pogodzić go z wodzem naczelnym. Usunął się od wszystkiego i żył cichem życiem prywatnem. Ale od tej chwili stał się w Warszawie jedną z najpopularniejszych postaci. Gdy przechodził ulicą, wszystkie oczy zwracały się ku niemu, publiczność zaczynała szeptać, a młodzież z szacunkiem zdejmowała przed nim kapelusze. Rewolucyoniści stale przeznaczali mu naczelne dowództwo nad armią powstańczą. Nie przypuszczano wtedy, że w tym wielkim żołnierzu wy-

---

[1]) Barzykowski. Tom I, str. 413.

gasł doszczętnie zapał patryotyczny, który przed laty pchnął go do szeregów Kościuszki, a później prowadził po obcych krajach i na polach bitew sławą imię jego wieńczył. „Kiedy pytano, — powiada Fr. Wężyk, — kto na przypadek potrzeby zwrócić na siebie może ojczyzny nadzieję, każdy Chłopickiego wymieniał"[1]. Widziano w nim ciągle bohatera z pod Saragossy, gdy tymczasem stary generał, zniechęcony już do życia i ludzi, niewierzący w lepszą przyszłość, zobojętniały na sprawy publiczne, wyziębiony, pochmurny, daleki był od wszelkiej myśli o powstaniu. Życie odosobnione, urozmaicane jedynie grą w karty, zatruło jego duszę jadem goryczy i zniechęcenia, odebrało wiarę w naród i w jego wielką sprawę. Gdy mu wspominano czasem o powstaniu, wybuchał gniewem i twierdził, że ruch powstańczy wszyscy tłumić powinni[2].

Żył bez celu, do niczego nie dążył, o niczem nie chciał wiedzieć.

Ale opinia publiczna, raz powziąwszy o nim wyobrażenie, trwała w błędzie i własne uczucia, nadzieje, życzenia przypisywała swojemu ulubieńcowi. A opinia ta była tak silna, że zaraz w pierwszych dniach rewolucyi Chłopicki zarówno w oczach tłumu, jak tych, co władzę pochwycili, wyrósł na olbrzyma, bez którego nic nie chciano poczynać. „Gdy zasiadł w Radzie, — powiada Niemcewicz, — wszystkie oczy zwrócone były na niego, jak na jedyną kraju nadzieję. Ale Chłopicki na jedną chwilę nie dał się porwać zapałowi, ogarniającemu stolicę, i trwał niezmiennie w swojem przekonaniu. Przed oczyma jego stało widmo Napoleona i nieszczęsna wyprawa na Moskwę w r. 1812-ym i niepodobieństwem wydawało mu się stoczenie boju zwycięskiego z państwem, którego zwyciężyć nie mógł ów wódz nad wodze, co zwyciężał wszystkich.

Duch wielkiego wojownika, ożywiający niegdyś generała, wygasł w jego piersiach i ustąpił miejsca zwątpieniu. Chłopicki chciał na uboczu przetrwać rewolucyę. Wciągnięty niemal gwałtem do Rady Administracyjnej, myślał nieustannie o tem, aby usunąć się od wszystkiego i czekał tylko okazyi,

---

[1]) Powstanie Królestwa Polskiego, str. 33.
[2]) Generał Zamoyski, Tom I, str. 363.

aby zamiar uskutecznić. Okazya niebawem się znalazła. Dnia 3-go grudnia, a więc tego samego dnia, w którym Mochnacki tak niefortunnie klub przeciw niemu usiłował podburzyć, Chłopicki w gmachu bankowym wydawał rozkazy zgromadzonym tam generałom. Generał Krukowiecki, ambitny i popędliwy, pozwolił sobie na jakąś uwagę w tonie opryskliwym. Wówczas na twarz Chłopickiego uderzyły płomienie, oczy, jak świadczy Niemcewicz, stanęły mu słupem, a gniew tak nim owładnął, że długo słowa jednego wypowiedzieć nie mógł. Ryknął wreszcie o burzony, nazwał Krukowieckiego „przeklętym wichrzycielem" i wołał, że „od wszystkiego umywa ręce". Obecni przy tej scenie dygnitarze cywilni, a był między nimi stary Niemcewicz, „rzucili się na kolana" i błagali Chłopickiego, „by rzeczy powszechnej nie odbiegał". Nic to nie pomogło. Chłopicki odszedł od zmysłów, padł na wznak i pienić się zaczął. Zdawało się, że paraliżem był tknięty, robił piersiami, nie mogąc przemówić i słowa. Przybył nieprędko młody doktór Wolf i do tylnych pokojów odnieść go kazał"[1]).

Tak opisuje ową scenę naoczny świadek, Niemcewicz.

A scena to wymowna. Świadczy, jak łatwo Chłopicki w przystępie furyi decydował się na odstąpienie sprawy publicznej i z jaką lekkomyślnością ludzie wpływowi zniżali się aż do padania na kolana, byle tylko na czele rewolucyi widzieć człowieka, który tą rewolucyą gardził. Takiem postępowaniem uwłaczali swojej godności i straszną krzywdę wyrządzali sprawie. Chłopicki bowiem uczył się lekceważyć swoje otoczenie, patrzeć na nie z wysoka i przy najmniejszym oporze obryzgiwać je pianą swojej wściekłości. Wytwarzała się najfałszywsza sytuacya. W miarę tego, jak kraj cały coraz wyraźniej opowiadał się za powstaniem, naczelnik jego z energią coraz większą szedł w przeciwnym kierunku. A ludzie, którzy go otaczali, godzili się na wszystko i nazwiskami swemi osłaniali jego istotne zamysły. Im bardziej społeczeństwo w błąd wprowadzano, tem bardziej Chłopicki czuł się upoważnionym do działań sprzecznych z żądaniem i nadziejami ogółu.

---

[1]) Kronika Emigracyi, Rok 1837, str. 309.

Nazajutrz po owej gwałtownej scenie z Krukowieckim, t. j. dnia 4 grudnia, zawezwał on do siebie Niemcewicza i żalił się gorąco na nastrój rewolucyjny Warszawy, szczególniej zaś na działalność klubu i postępowanie Lelewela.

„Posępny Lelewel, — skarżył się, — jest razem i prezesem klubu tego, i członkiem Najwyższej Rady[1]), milczy lub na dwie strony gada, wszędy poddmuchuje, a przecież udaje, jakoby o niczem nie wiedział, do niczego nie należał, gotując sobie tem chytrem postępowaniem na wszystkie przypadki osobiste bezpieczeństwo, chwałę w powodzeniu, nieodpowiedzialność w upadku..." [2])

Widać z tego, że niezdecydowanie Lelewela wydało już w owym czasie owoce. Chłopicki jeszcze przed objęciem władzy był uprzedzony do profesora i widział w nim jedną z głównych przyczyn zła, które, oczywiście, pojmował po swojemu. Podejrzewał go o chytrość, o chęć wyniesienia się osobistego kosztem samej sprawy. Znając gwałtowność Chłopickiego, można było już wtedy oczekiwać, że gdy obejmie władzę, gniew jego przedewszystkiem na głowę Lelewela spadnie.

„Już wychodzą pisma burzące...,—skarżył się w dalszym ciągu Niemcewiczowi. — Cóż dalej będzie? Dajcie mi pokój. Złożyłem wczoraj komendę. Dajcie ją komu innemu".

Strapiony Niemcewicz, patrzący w generała, jak w jedyne słońce nadziei, odwołał się do jego sławnej przeszłości, perswadował mu i tłómaczył, że nie powinien w chwili tak dla narodu ważnej opuszczać sprawy ojczystej. A Chłopicki gniewał się, fukał, wołał, że niczyich rad nie potrzebuje i jakby na dowód tego plecami odwrócił się do starca. Ale gdy Niemcewicz, zrozumiawszy, że audyencya skończona, chciał odejść, generał obrócił się niespodziewanie i rzekł:

„Proszę zostać i napisać proklamacyę do wojska, oznajmiając, że się dyktatorem ogłaszam" [3]).

Niemcewicz spełnił natychmiast życzenie. Przyznawał później, że ta nieoczekiwana decyzya „nieskończenie" go ura-

---

[1]) Najwyższa Rada Narodowa dnia 4 grudnia jeszcze nie istniała. Chłopicki miał na myśli Radę Administracyjną lub Rząd Tymczasowy.

[2]) Kronika Emigracyi Polskiej, Rok 1837, str. 310.

[3]) Tamże.

dowała, a niewątpliwie radość jego nie była odosobniona. Wprawdzie Rząd Tymczasowy postanowił bronić swej samodzielności, ale nie miał odwagi, by przeciwstawić się zamiarom Chłopickiego. Więc w nadziei, że pozostanie przynajmniej przy władzy cywilnej, zatwierdził decyzyę generała i posłał mu nominacyę na dyktatora, ale dyktaturę rozciągnął tylko nad wojskiem. Rząd Tymczasowy chwycił się półśrodka, który miał tylko ten skutek, że wywołał jeszcze jedną gorszącą scenę. Albowiem Chłopicki, otrzymawszy nominacyę, uniósł się znowu niepohamowanym gniewem. Ubrał się czemprędzej w paradny mundur generalski i, klnąc jak kapral, udekorował pierś swoją całą kolekcyą otrzymanych za męstwo krzyżów francuskich i polskich, poczem wpadł na salę posiedzeń rządu i, z furyą uderzywszy pięścią w stół, rzucił przysłaną mu nominacyę, krzycząc, że sam bierze w swoje ręce władzę nieograniczoną i sprawować ją będzie dopóty, dopóki się sejm nie zgromadzi. Członkowie Rządu Tymczasowego, skarceni jak dzieci, w milczeniu połknęli obelgę i natychmiast wyrzekli się wszelkiej myśli o piastowaniu władzy. Jeden energiczny gest rozgniewanego żołnierza nałożył kaganiec na usta i bezapelacyjnie rozstrzygnął wielce sporną kwestyę.

Od tej chwili Chłopicki rządził samowładnie.

W rękach swoich skupił taką władzę, jakiej kraj polski nigdy dobrowolnie nie oddał Polakowi. Rząd Tymczasowy stracił swoje znaczenie, oczy całej Polski utkwione były w dyktatora, jako w jednego człowieka, który zdobył zaufanie ogółu i w wyobraźni tłumów dawał rękojmię sławnej walki i sławnego zwycięstwa. Tymczasem Chłopicki myślał o rozpoczęciu układów i nietylko nie przygotowywał się do wojny, lecz unikał wszystkiego, co mogłoby być dowodem, że Królestwo zamyśla o starciu zbrojnem z Rosyą. Więc nawet na uzbrojenie armii i nowe zaciągi patrzył okiem niechętnem. Hamował zapał, powściągał gorliwość i usiłowaniom patryotów przeciwstawiał tamę swojej wszechwładnej absolutnej woli.

W ten sposób marnowały się pierwsze dni powstania. W stolicy utrwalił się ład i porządek, ale jednocześnie gasły płomienie entuzyazmu i wniwecz obracała się wielka siła moralną, którą wybuch 29 listopada wydobył na światło dzienne

i rzucił na szalę dziejową. Dyktator, zamiast potęgować tę siłę, dusił ją i tłumił[1]). Lęk przed wojną z państwem rosyjskiem tak go opanował, że unikał wszystkiego, coby mogło dostarczyć pozorów, że Polska postanowiła zerwać pęta i w walce bohaterskiej szukać ocalenia. Obawiał się nawet mianować ministrów, ponieważ była to atrybucya króla, a Mikołajowi niczem narazić się nie chciał. Ponieważ jednak minister wojny zginął, inni zaś ministrowie zaprzestali pełnienia swych obowiązków, trzeba było nowych ludzi powołać na opuszczone urzędy. Wtedy Chłopicki, w nadziei, że nie przekroczy granic lojalizmu, mianował nie ministrów, ale ich zastępców.

Dnia 6 grudnia, a więc na drugi dzień panowania dyktatury, Lelewel otrzymał tekę ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego[2]).

Było to niewątpliwie wielkie ustępstwo na rzecz opinii ze strony Chłopickiego. Nienawidził on Lelewela, niedowierzał mu i obawiał się jego działalności. Ustępstwo to wzmogło tylko w dyktatorze zawziętość przeciw uczonemu. Miał go na oku i przy pierwszej okazyi obiecywał sobie rozprawić się ze znienawidzonym prezesem klubu.

Stanowisko, jakie Lelewel otrzymał, godne było uczonego. Już w Wilnie, jako profesor, zdobył potrzebne doświadczenie i na nowym urzędzie mógł niewątpliwie wykazać swoje zdolności i sprawie oświaty narodowej niezapomniane oddać usługi. Ale nie były to czasy, sprzyjające rozwojowi oświaty i szkolnictwa. Wojna wisiała w powietrzu i wojną wszystkie umysły były zajęte. Szczęk broni, acz tłumiony z całą siłą przez dyktatora, wdzierał się do uczelni, elektryzował zarówno młodzież, jak i nauczycieli i nie wytwarzał sprzyjającej nauce atmosfery. Niedługo zresztą sprawował swój urząd Lelewel,

---

[1]) Brat Joachima Prot z pułkownikiem Szycem udali się do Chłopickiego, by ofiarować mu swoje służby. „Dyktator, — pisze Prot, — przyjął nas uprzejmie, ale z zapytaniem szorstkiem, po co chcemy się zapisywać, że nas znajdą kiedy będzie potrzeba i tak odprawił z niczem. Tym to sposobem bardzo wielu ostudzono, wielu nawet zniechęcono, rzecz w postępie wolniała". Pamiętniki Rks.

[2]) Nominacya z d. 6 grudnia potwierdzona została listem z d. 21 grudnia 1830 r. Dokument ten znajduje się w zbiorach rodzinnych pp. Lelewelów.

a w przeciągu kilku tygodni niewiele mógł uczynić. To jednak, co uczynił, wskazuje wyraźnie, że chciał kroczyć szerokim gościńcem rozległych zmian i reform w duchu postępu i nowożytnej kultury. Z jego to polecenia nastąpił wybór rektora przez samych profesorów, zniesiona została cenzura i kuratorya jeneralna, z jego inicyatywy rozpoczęła się reorganizacya komisyi wyznań religijnych i oświecenia publicznego przez usunięcie z niej dyrektorów jeneralnych, sprawujących swoje urzędy wbrew prawom konstytucyi. Powołał Lelewel do wspólnej z nim pracy Gołuchowskiego, Majewskiego i Witkowskiego, zniósł mundury, zniósł nakładany na Żydów podatek na rzecz oświaty [1]), słowem, rozpoczął akcyę, po której w przyszłości wiele jeszcze można było oczekiwać [2]). Ale raz wciągnięty w wir polityki bieżącej, nie przestał na jedną chwilę interesować się sprawą publiczną, a wypadki dalsze miały go niebawem oderwać od urzędu.

Lelewel rozumiał dobrze, dokąd zmierza dyktator, ale nie śmiał stanąć z nim do otwartej walki. Nikt zresztą po nieszczęśliwej próbie Mochnackiego nie odważył się targnąć na władzę Chłopickiego i rozwiać pokładane w nim nadzieje. Co gorzej, ludzie, stojący bliżej dyktatora, starali się podtrzymać jego autorytet i murem tajemnicy otoczyć jego właściwe intencye. Niezadowolenie kryło się wstydliwie. Jednakże utworzyły się dwa ogniska, w których wypowiadała się półgłosem niechętna dyktatorowi opinia. Opozycya skupiła się w redakcyi *Kuryera Polskiego*. Odbywały się tam narady, którym przewodniczył zwykle Wincenty Niemojowski, a w których obok Lelewela brała udział zaprzyjaźniona z nim młodzież, jako to Mochnacki, Żukowski, Nabielak, Zaleski, Goszczyński. Ze starszej generacyi na zebrania te obok tak popularnego człowieka, jak pan Wincenty, przychodzili ludzie, posiadający duże wpływy i znaczenie, a między nimi późniejszy prezes Rządu Narodowego, Bonawentura Niemojowski, późniejszy mi-

---

[1]) Ostatnie chwile J. Lelewela. Poznań 1862, str. 18. Podatek ten szedł na oświatę Żydów, a głównie na szkołę rabinów.

[2]) Raporty ministeryalne Lelewela, ogłoszone drukiem przez Al. Kraushara, świadczą, o pedantyzmie, z jakim Lelewel załatwiał rozporządzenia dyktatora i Rady Narodowej, ale inicjatywy jego nie odzwierciadlają.

nister, Alojzy Biernacki, Ludwik Jelski, Ludwik Osiński i wielu innych. Na zebraniach tych omawiano kwestye bieżące, starano się wyrobić sobie wspólny pogląd na sprawę powstania i sytuacyę, jaką stwarzały wypadki. Celu nie osiągnięto. Niemojowscy, aczkolwiek dyktaturze stanowczo byli przeciwni, [1]) nie odrazu zoryentowali się w sytuacyi. Dzielni obrońcy praw konstytucyjnych w Sejmie, wpatrzeni w Beniamina Constant'a, który był ich mistrzem i światłem przewodniem, byli zwolennikami legalnej opozycyi, wtłoczonej w ramy konstytucyi. Jakoż na wszystkiem starali się wycisnąć piętno legalności i nawet powstanie samo doktryną konstytucyjną objaśnić i wytłómaczyć. Młodzieży za ciasno było w tych ramach. Staczała więc z Niemojowskimi polemiczne boje, a w końcu wycofała się z redakcyi *Kuryera* i założyła później własny swój organ, p. n.: *Nowa Polska*. Do składu redakcyjnego nowego pisma wszedł i Lelewel. Pozatem członkowie rozpędzonego klubu zaczęli się schodzić w kawiarniach, z których jedna przy ulicy Miodowej, *Honoratką* zwana, głośną, acz nie najlepszą zdobyła sobie sławę. Młodzież, zbierająca się w *Honoratce*, wyśmiewała dyktatora, deklamowała wiersze patryotyczne, wygłaszała płomienne mowy, rzucała nawet pod adresem Chłopickiego pogróżki. Ale nastroje kawiarni zmieniały się szybko. Do *Honoratki* zaczęli się schodzić i akademicy, pozostający pod wpływem oddanego Chłopickiemu profesora Lacha Szyrmy, a widzący w dyktatorze zbawienie ojczyzny. Ci znów wielbili Chłopickiego i śmiercią wygrażali każdemu, ktoby się ośmielił przeciw niemu wystąpić. Nieufność dwu obozów rosła. Przeciwnicy spoglądali na siebie zpodełba i wzajemnie przypisywali sobie zamiary, o których nikt seryo nie myślał. Lelewel był zdecydowanym przeciwnikiem dyktatora, ale nie brał udziału w burzliwych dyskusyach młodzieży. Od *Honoratki* stronił. Zarzucał później rozwiązanemu klubowi, „że się w tany do *Honoratki* na cześć Chłopickiego puścił", on sam jeden raz tylko do kawiarni „przez ciekawość" zajrzał „w tłumie niepoznany" [2]). Z dyktatorem widywał się nieraz i wy-

---

[1]) Kronika Emigracyi Polskiej. Rok 1835, str. 120.
[2]) List do L. Chodźki z kwietnia 1859 r. Rks w Rapp.

kładał mu swoje zapatrywania. Mówił o konieczności wtargnięcia zbrojnego na Litwę, ale Chłopicki ani chciał o tem słyszeć, twierdząc, że ruch taki przeszkodziłby tylko misyi pokojowej, którą w Petersburgu prowadzić mieli Lubecki i Jezierski. Więc zamiast maszerować na Litwę, wysłał do stolicy nad Newą podpułkownika Wyleżyńskiego, który, nie mając żadnej misyi specyalnej, pilnie miał baczyć na wszystko i o wszystkiem donosić dyktatorowi.

Lelewel miał, według własnego swego świadectwa [1]), przekonywać Chłopickiego, że ,,rewolucya nie broni się, lecz atakuje", gdyż ,,inaczej nie ma siły, ni zdolności do czynu".

Lecz słynny generał napoleoński daleki był od wszelkiej akcyi zaczepnej, a myśli o wojnie nie dopuszczał. Zachowanie konstytucyi w obrębie Królestwa i ogólna amnestya, oto było wszystko, do czego dążył. I pewien był, że cel ten osiągnie. Czasem przecież ogarniał go nastrój bojowy. W takich chwilach odzywał się, że na armię nieprzyjacielską czekać będzie pod Warszawą, a jeśli uda mu się osiągnąć zwycięstwo, wtedy z całą siłą zbrojną ruszy naprzód i żądaniom swoim żadnych granic zakreślać nie będzie [2]). Mówił tak do Lelewela, powtarzał te słowa i innym osobom ze swego otoczenia. Ale owe chwile, kiedy przemawiał, jak świadomy swojego zadania generał, były bardzo rzadkie. Najczęściej mówił o niemożności walczenia z Rosyą i o rozpoczętych układach, w których siłę stokroć silniej wierzył, niż w siłę polskiego oręża. Na otoczenie swoje patrzył podejrzliwie, a nieufność do Lelewela tłumił do czasu, ale umacniał się w niej z właściwym sobie uporem. Zresztą dogadać się z dyktatorem było nieraz wręcz niepodobieństwem. Cierpki i opryskliwy mówił tonem rozkazującym. Duskusyi nie lubił. Przecinał ją też, jeśli mu była nie po myśli, słowem gwałtownem i ostrem, jakby uderzeniem miecza. Było przecież jasnem dla wszystkich, co się z nim zetknęli, że wojnę uważa za ostateczność i wszelkich usiłowań

---

[1]) Tak pisał do Podczaszyńskiego, który na zasadzie listów Lelewela drukował artykuły o rewolucyi w *Revue de Deux Mondes*.

[2]) Według notatek L-la, z których korzystał Mochnacki (Powstanie. Tom II, str. 231), L-l sprostował później nieścisłości, które popełnił Mochnacki, ale tej wiadomości nie zaprzeczył.

dokładać będzie, aby do tej ostateczności nie dopuścić. Mimo to członkowie Rządu Tymczasowego łudzili się, że gdy układy nie odniosą skutku, a taki rezultat powszechnie przewidywano, natenczas Chłopicki zmieni swoje stanowisko, energicznie zajmie się nowymi zaciągami i na polu bitwy ziści nadzieje, w nim położone. Łudzono się i milczano. Wiara w geniusz wojenny dyktatora usypiała sumienia tych, co przekonali się już niejednokrotnie, że władza powstańcza w nieodpowiednich znajduje się rękach. Więc ukrywano intencye pokojowe generała, chociaż sam Chłopicki ani myślał ich taić. Deputacyi sejmowej, która stawiła się przed nim 17 grudnia, a więc w przeddzień otwarcia sejmu, oświadczył, że nie ma innych zamiarów, jak utrzymanie Królestwa Kongresowego i praw konstytucyjnych, które się krajowi należą. Gdy ks. Czartoryski chciał na to odpowiedzieć, Chłopicki, nie dopuszczając go do słowa, wyrzekł z naciskiem:

— ,,To jest moje przekonanie nieodmienne" [1]).

Kiedy zaś członek deputacyi, Walenty Zwierkowski, napomknął o Litwie i Wołyniu, Chłopicki przerwał mu gniewnie i tonem, niedopuszczającym żadnych uwag, oświadczył, że nie przyszedł dyskutować, lecz oznajmić zebranym swoją wiarę polityczną. Poczem skłonił się hardo i wyszedł. Świadkowie tej sceny, zamiast rozgłosić i we właściwem świetle przedstawić członkom Sejmu odpowiedź dyktatora, postanowili zachować ją w tajemnicy. Strach przed prawdą pieczęć milczenia nakładał na usta. Polityka dwuznaczności wzięła górę nad polityką zdrowego rozsądku. Chciano się łudzić za wszelką cenę i dla tej czczej chęci postanowiono nie wyprowadzać społeczeństwa z błędu. Upewniano się wzajemnie, że przez Chłopickiego przemawia upór, który same wypadki później przełamią. Jeden Lelewel, który podczas przyjęcia deputacyi obecny był w sali audyencyonalnej, nie dotrzymał tajemnicy, ale użytek, jaki z niej uczynił, może najwyższe obudzić zdumienie. Oto opisał on całą scenę i pismo swoje posłał do Paryża Michałowi Podczaszyńskiemu, który je później prze-

---

[1]) Barzykowski. Tom II, str. 158.

robił i wydrukował na szpaltach *Temps'a*[1]). Niewiadomo, czy Podczaszyński uczynił to na własną odpowiedzialność, czy za zgodą Lelewela, w każdym razie ze strony tego ostatniego był to postępek w najwyższym stopniu nietaktowny i niedorzeczny. A jednak było to wszystko, na co się zdobył w chwili, gdy należało przeciwstawić się deputacyi, uderzyć w dzwon trwogi, zaalarmować stolicę i wyrwać władzę z rąk człowieka, który tej władzy nie chciał, a narzuconą sobie gwałtem używał na to, by paraliżować powstanie i stanąć wpoprzek żądaniom już nie jednostek i obozów, ale całego kraju. Niestety, Lelewel nie był zdolny do rozpoczęcia akcyi na szerszą skalę. Złu, które się szerzyło, przeciwstawiał swoją karygodną bezczynność, swoje niezadowolenie drobne, choć jątrzące, wreszcie swoją opozycyę, która składała się z szeregu drobnych ukłuć, a nigdy nie miała stać się ciosem śmiałym i potężnym. A przecież chodziło tu o przyszłość Polski, chodziło o postawę Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy. Ludność tych krajów oczekiwała, aż jej los zdecydowany zostanie w Warszawie, oczekiwała rozkazów, by porwać się do broni, rozszerzyć powstanie poza granice Królestwa i nadać ruchowi kształty kolosalne i groźne. Wzgląd na Litwę nigdy nie przestawał zajmować Lelewela. Od pierwszych dni powstania mówił i myślał o niej. W okresie dyktatury nieraz napomykał Chłopickiemu o Litwie i pytał, czy nie możnaby pchnąć tam, choćby bez upoważnienia rządowego, oddziałów powstańczych. Ale dyktator nie chciał o tem słyszeć, w obawie, że ruchawka na Litwie przeszkodzi misyi Lubeckiego[2]). Słowa, wyrzeczone do deputacyi, ujawniały i co do Litwy ostateczną decyzyę dyktatora. Z żołnierską otwartością, mocno i prosto wypowiadał się, jako stanowczy i zdecydowany przeciwnik powstania. A mówił to oficyalnie i bynajmniej o tajemnicę nie prosił.

Barzykowski przeczy temu, jakoby deputowani postanowili nie ujawniać poglądów Chłopickiego. Wbrew Zwierkow-

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 167.

[2]) Mochnacki. Powstanie Nar. Polsk., Tom II, str. 233/4: według pamiętnika Lelewela.

skiemu i Lelewelowi utrzymuje, że każdemu, kto pytał o rezultat rozmowy, deputowani z całą szczerością opowiadali wszystko, co im dyktator na posłuchaniu oświadczył.[1]) Być może, jeżeli chodzi o dyskrecyę, że Barzykowski ma racyę. Być może, że członkowie deputacyi udzielali tych wiadomości szeptem, że półgłosem rozmawiali o wszystkiem w kole zaufanych. Ale późniejsze fakty świadczą, że żaden z nich nie miał odwagi stwierdzić urzędowo, stwierdzić głośno w obliczu Sejmu, że dyktator nie myśli o przyłączeniu do Królestwa Litwy i wojnie z Rosyą stanowczo jest przeciwny.[2]) Fakty stwierdzają nawet, że ciż sami członkowie deputacyi na posiedzeniu Izby i Senatu czynili wszystko, co mogli, by osłonić dyktatora i pozostawić go przy władzy nieograniczonej.

Chłopicki w zastępstwie króla sam życzył sobie dokonać otwarcia Sejmu. A chciał uczynić to dopiero 21 grudnia, by mieć czas na wykończenie projektów do uchwał, uznanych przez niego za potrzebne. Ponieważ jednak Rząd Tymczasowy otwarcie Sejmu wyznaczył na 18 grudnia, chcąc tedy dogodzić żądaniu dyktatora, należało w dniu oznaczonym oznajmić Sejmowi jego wolę i posiedzenie na trzy dni odroczyć. Tymczasem 18 grudnia Izba poselska ani myślała przychylić się do żądań Chłopickiego. Gdy po wyborze Walichnowskiego na przewodniczącego obradom poseł Barzykowski zdał relacyę z rozmów deputacyi z dyktatorem i zakończył przemówienie swoje oświadczeniem, że Chłopicki życzy sobie, aby Sejm dopiero za trzy dni został otwarty, poseł Morawski zawołał, że niepodobna czekać, gdyż czasy są brzemienne i chwili do stracenia niema. Po tych słowach rozległy się grzmiące oklaski, a później zarówno z ław poselskich, jak z galeryi huknęły okrzyki, by obrady rozpoczynać natychmiast.

Nadaremnie wymowny poseł ostrołęcki, Stanisław Barzykowski, starał się słowami perswazyi uratować sytuacyę, ostu-

---

[1]) Historya Powstania, Tom I, str. 460.

[2]) Wprawdzie Barzykowski chwali się, że 18 grudnia na posiedzeniu Izby poselskiej „wiernie" słowa dyktatora powtórzył, ale przeciw temu świadczy choćby przemówienie na tejże sesyi marszałka Ostrowskiego, który mówił o powiększeniu składu Izby przez reprezentantów z prowincyi zebranych.

dzić zapał posłów i powstrzymać słowa, któreby mogły śmiertelny cios zadać polityce Chłopickiego. Izba poselska poczuła swoją moc i ani myślała zrzekać się praw jej przynależnych. Serca przepełnione były w owej uroczystej chwili entuzyazmem dla sprawy narodowej, a wiara, co w dniu 29 listopada ożywiała bohaterską młodzież, unosiła się nad sklepieniami sali zamkowej, przenikała zebranych, nadawała ton, kształt i barwę wypowiadanym pragnieniom. Izba chciała być wolną i wolną się czuła. Nadaremnie z odsieczą Barzykowskiemu pośpieszyli wysłańcy Senatu w osobach księcia Radziwiłła i kasztelana Dembowskiego. Nadaremnie prosili, aby dla tej ważnej sprawy Izba połączyła się z Senatem i wspólnie z nim sporną kwestyę rozstrzygnęła. Odpowiedziano, że żądanie to chętnie będzie spełnione, ale dopiero wtedy, gdy się Izba ukonstytuuje. I w myśl tej decyzyi przystąpiono do obioru marszałka. Poseł piotrkowski, Władysław Ostrowski, jednomyślnym okrzykiem na tę godność wyniesiony został.

Walichnowski ustąpił miejsca Ostrowskiemu i nowy marszałek na rękach swoich kolegów wniesiony został na krzesło prezydyalne. Entuzyazm patryotyczny wzmagał się w sali, wzruszenie szlachetne ogarniało posłów. Ostrowski, porwany powabem chwili, przemówił serdecznie, gorąco. Podziękowawszy za okazany mu zaszczyt, wyraził silne pragnienie, by skład Izby powiększony został „braćmi reprezentantami z tych prowincyi polskich, które pod obcą przemocą zostają”. Był to pocisk, może nieświadomie rzucony pod adresem Chłopickiego, ale pocisk celny, godzący zabójczo w cały systemat polityki pokojowej dyktatora.

Po tem przemówieniu znowu gorącym jednomyślnym okrzykiem uznano powstanie za narodowe i polecono do protokułu zapisać, że Izba poselska „rewolucyę w dniu 29 listopada, tak świetnie przedsięwziętą, za dzieło narodu polskiego przyjmuje i uznaje, zaś mężom, którzy ją przedsięwzięli z tak wielkiem poświęceniem się i męstwem, wdzięczność całego narodu polskiego oświadcza”.[1])

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 7.

Lelewel, uradowany takim obrotem sprawy, zabiera głos i nalega, żeby natychmiast przystąpić do wyboru komisyi, „bo to jedynie sejmowe działanie i trwanie umocuje".[1]) W ten sposób chciał ostatecznie ukonstytuować Izbę, postawić dyktatora przed faktem dokonanym, uniemożliwić spełnienie jego życzeń i samej Izbie przeciąć drogę odwrotu. Myśl była dobra, ale Lelewel nie umiał jej rozwinąć, ani przeprowadzić. Projekt jego utonął w powodzi powszechnego wzruszenia i nie stał się uchwałą. Marszałek Ostrowski zasolwował sesyę na dzień 21 grudnia, poczem Izba połączyła się z Senatem. Na posiedzeniu wspólnem znowu wyłoniła się kwestya, czy Sejm został otwarty i ukonstytuowany, czy nie. Na wniosek księcia Czartoryskiego zgodzono się wreszcie, że *uroczyste* otwarcie i ukonstytuowanie się Sejmu nastąpi dopiero 21 grudnia.

Była to krzycząca nieprawda. Było to ze strony Sejmu ustępstwo na rzecz teroryzmu imion historycznych, których nosiciele podlegali znowu teroryzmowi sławy i popularności Chłopickiego. Nie mając odwagi stwierdzić faktu dokonanego, członkowie deputacyi uciekali się do mizernych wybiegów, w nadziei, że Chłopicki da się ugłaskać i Sejm, faktycznie otwarty, za nieotwarty zgodzi się uznać. W ten sposób poświęcano istotę rzeczy dla absurdu. W ten sposób wykrętami chciano zasypać przepaść, jaką 18 grudnia Sejm wykopał pomiędzy polityką swoją a polityką Chłopickiego. W ten sposób wreszcie chowano się za mur formalistyki, o który, jak niedorzecznie mniemano, rozbije się gniew dyktatora.

Ale Chłopicki nie był tak naiwny, jak to wyobrażono sobie. Przebieg obrad sejmowych, a szczególniej uchwała Izby, uznająca 29 listopada za dzieło narodu polskiego, wzburzyła go do głębi. Nie czekając, aż go oficyalnie o wszystkiem zawiadomią, odrazu powziął decyzyę złożenia swej władzy i natychmiast zawiadomił listownie o decyzyi swojej marszałka Ostrowskiego i ks. Czartoryskiego.

W parę godzin po odebraniu tego listu obaj dygnitarze udali się do dyktatora, żądając posłuchania. Obaj przerażeni byli postępkiem Chłopickiego, obaj uważali, że sprawa narodo-

[1]) Mochnacki. Powstanie... Tom II, str. 236.

wa na groźne niebezpieczeństwa została narażona. Ale Chłopicki obu odmówił przyjęcia. „Po mozolnych instancyach nakoniec na godzinę 11 zrana posłuchanie przyobiecał, kładącza warunek, aby z nimi przybył trzeci, kasztelan Leon Dembowski, którego światło wysoko cenił"[1]). Na posłuchaniu tem znalazł się i Lelewel, prawdopodobnie również przez Chłopickiego wezwany.

„Broniliśmy sprawy nie najlepszej, — powiada Dembowski, — bo tak Ostrowski, jak ja, staraliśmy się przekonać dyktatora, że Sejm dopiero będzie otwarty 21-go, że sesye 18-go były tylko przedwstępnem działaniem".[2])

Zdanie to popierał Czartoryski i wszyscy trzej błagali generała, by nie przestał władzy swej piastować. Tylko Lelewel zgadzał się z Chłopickim co do samego faktu otwarcia Sejmu i, zwracając się do swoich kolegów, powiedział, iż nie pojmuje, co oni rozumieją przez otwarcie Sejmu.[3])

Chłopickiemu spodobała się odpowiedź Lelewela. Dyktator chciał zrzucić z siebie ciężar piastowanej władzy. Tego samego pragnął i Lelewel. Obaj tym razem zgodni byli w swojem dążeniu. Więc po posłuchaniu, które skończyło się na niczem, Chłopicki zatrzymał Lelewela i rozpoczął z nim poufałą rozmowę. Chłopicki twierdził, że rewolucyę on sam reprezentuje, Sejm zaś, który się do woli jego nie zastosował, postąpił kontrrewolucyjnie. Gdy jednak Lelewel zaczął dowodzić, że pierwiastki kontrrewolucyi tkwią właśnie w dyktaturze, generał rozgniewał się znowu i powtarzał z uporem, że żadnej władzy nie przyjmie.

Nazajutrz przecież wszyscy, co na Chłopickiego mogli wpływ wywrzeć, udali się do jego mieszkania i, jak powiada Barzykowski, „prawdziwą procesyę pode drzwiami tworzyli".[4]) W procesyi tej brali udział ludzie wielkich wpływów i znaczenia, jak to ks. Czartoryski, marszałek Ostrowski, stary Niemcewicz, a wszyscy zniżali się do próśb i błagań, byle tylko

---

[1]) Barzykowski. Historya powstania... Tom I, str. 470.
[2]) Moje wspomnienia. Tom II, str. 110.
[3]) Mochnacki. Powstanie. Tom II, str, 242. I w tym wypadku M-cki powołuje się na pamiętnik L-la. L-l, prostując później to, co mylnie podał M-cki, faktowi temu nie zaprzeczył.
[4]) Historya Powstania. Tom I, str. 473.

nie pozostawiać armii bez wodza i — rzecz nieprawdopodobna! — ratować powstanie przez oddanie nad niem władzy człowiekowi, który nieustannie powtarzał, że jest temu powstaniu przeciwny. Ale i Chłopicki nie był z kamienia. Słysząc ze wszech stron prośby i zaklęcia, widząc, jak wielce tylu poważnym mężom na nim zależy, dał się nareszcie ubłagać, ten przecież stawiając warunek, że będzie mu oddana władza nieograniczona, a Sejm po ustanowieniu tej władzy natychmiast się rozwiąże.

Wówczas radość zapanowała śród licznej rzeszy zwolenników dyktatora.

Marszałek Ostrowski, który zaraz w pierwszem przemówieniu swojem potępił ugodową politykę Chłopickiego, oddał się teraz całkowicie na jego usługi, przyśpieszył o dzień jeden zwołanie Izby i uczynił istny zamach na wolność słowa posłów, tłumiąc swoją władzą wszelki głos opozycyi. Poddając pod rozważenie projekt uchwały, zatwierdzającej nieograniczoną władzę Chłopickiego, Ostrowski wezwał Izbę do jedności i wnosił, aby cały projekt przyjęto jednomyślnie. Poseł kaliski, Teofil Morawski, przedstawił inny projekt do zatwierdzenia, ale Ostrowski opanował już Izbę i sprawę dyktatury przeprowadził zgodnie z życzeniem Chłopickiego. Przy glosowaniu jedynie Morawski wypowiedział się przeciwko projektowi, natomiast Lelewel oddał swój głos za dyktaturą, wniósłszy jedynie do protokułu uwagę, że „obrady nie są tego rodzaju, aby zdanie swoje wynurzał”.[1]

W ten sposób Chłopicki otrzymał władzę nieograniczoną bez protestu ze strony opozycyi i tych wszystkich, co w udzieleniu takiej władzy arbitralnemu generałowi widzieli cios zadany powstaniu i zgubę sprawy ojczystej. Uwaga Lelewela była raczej krytyką postępowania marszałka, niż męskiem i śmiałem wystąpieniem, jakiego wymagała chwila. Lelewel nie tylko nie spełnił swojego obowiązku, ale po utarczce z Ostrowskim, zamilkł zgnębiony i, wyczerpawszy cały zasób energii, wbrew swemu przekonaniu oddał głos za dyktaturą.

Do Rady Narodowej, ani do delegacyi Sejmu nie wszedł.

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 47.

Jako członek komisyi, mającej zredagować manifest do narodu, przedstawił swój projekt, w którym wyliczał ważniejsze krzywdy, jakich doznali Polacy wbrew konstytucyi Królestwa i zapowiadał walkę bezwzględną, nieubłaganą, a jeśliby walki tej nie miało uwieńczyć zwycięstwo, to—pisał w swoim projekcie, — „ujrzy świat gruzami zasypaną ziemię naszą, a nas śmiercią wytępienia wygładzonych”.[1]) Nie sprawdziły się te szumne słowa. Nie zostawiono gruzów na całej ziemi polskiej i ani jeden z posłów nie padł „wytępiony”. Zresztą projekt Lelewela prócz tego, że zajmuje życzliwe stanowisko względem narodu rosyjskiego, nie zawiera nic godnego uwagi. Posiada natomiast ze względu na osobę autora zadziwiającą lukę. Oto Lelewel, ten reprezentant opinii demokratycznej i republikańskiej, nie dotknął w swoim projekcie strony społecznej powstania, nie znalazł ani jednego słowa dla mas włościańskich, nie napomknął o polepszeniu ich doli, pominął nawet dziejową rolę Polski i znaczenie jej wskrzeszenia dla całej Europy.

Komisya nie zgodziła się całkowicie na ten projekt odezwy, ale wzięła go pod uwagę. Ostatecznie Lelewel „był wespół z Konstantym Świdzińskim głównym tego manifestu redaktorem”.[2])

W ten sposób manifest ukazał się, jako owoc pracy zbiorowej.

Zawierała ta publikacya wielkie zapowiedzi, obfitowała w piękne słowa, którym treść nadać miały dopiero wypadki. Niestety, rzeczywistość zaprzeczyła wszelkim zapowiedziom, a obietnicom redaktorów tego aktu dziejowego zadała kłam okropny. Manifest, acz jak na naród powstający, dość umiarkowany, wywołał gniew dyktatora. Wydał mu się zbyt hardym i rewolucyjnym. Odmówił więc swojego pod tym aktem podpisu, a nadto wyraził życzenie, aby manifest nie był drukowany. Delegacya Sejmowa, której polecono manifest zredagować i ogłosić, znalazła się w nielada kłopocie. Nie chciała obrażać dyktatora i nie chciała nie spełnić swej mi-

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom XX, str. 58.
[2]) Nota Lelewela. Rks w Rapperswilu.

syi. Cóż było robić? Poczciwi członkowie delegacyi długo się namyślali, aż wpadli, jak im się zdawało, na pomysł kapitalny, który miał zadowolić i Sejm, i dyktatora. Oto opublikowali manifest, ale bez podpisów.[1])

Takimi to wybiegami radziło sobie powstanie w trudnem położeniu. Chwiejne w swojem założeniu, chwiejne w pierwszych krokach, chwiejne w Izbie poselskiej i chwiejne w Senacie, spętane nadto działalnością dyktatora, szło trwożliwym krokiem w przyszłość niepewną, bez zapału i wiary, jakby przed urodzeniem jeszcze skazane zostało na pewną śmierć i zagładę.

A przecież byli ludzie, co mimo wszystko nie tracili przed czasem wiary i nadziei, co zdawali sobie sprawę, że władza naczelna w nieodpowiednich znajduje się rękach, że mijają na bezczynności dnie i tygodnie, że nie robi się nic, aby stworzyć siłę, któraby mogła zmierzyć się z potężnym przeciwnikiem. Ale nie było człowieka, któryby się odważył oświecić opinię i straszną prawdę wypowiedzieć głośno. Odkąd Mochnacki zniknął z widowni, rewolucya nie miała swojego trybuna, bo Lelewel zupełnie do takiej roli się nie nadawał. A jednak wszystko, co zabarwione było myślą rewolucyjną, wszystko, co żyło zapałem, wznieconym w pamiętną noc 29 listopada, w Lelewelu widziało swojego przedstawiciela, ku niemu zwracało swe oczy i od niego oczekiwało ratunku. Organ młodzieży rewolucyjnej *Nowa Polska*, która z dniem 5-go stycznia zaczęła wychodzić, a która odrazu uderzyła w ton ostrzejszy, w nazwisku Lelewela znalazła podporę i skrzydła opiekuńcze. Ulica Warszawy, odgadująca raczej, niż znająca istotne położenie, również w Lelewelu widziała jedynego męża, działającego w myśl rewolucyi. Człowieka, który najmniej był zdolny do śmiałej decyzyi i zuchwałego czynu, człowieka, który w ciągu kilku tygodni złożył niezliczoną ilość dowodów, że w trudnem położeniu radzić sobie nie umie, nieustannie chciano widzieć na czele. Jego popularność rosła w miarę tego, jak Chłopicki tracił zaufanie ludności. Ale taki stan rzeczy nie stwarzał faktów, nie stwarzał nic prócz plotki

[1]) Kuryer Polski z dnia 5 stycznia.

ulicznej, która w początkach stycznia zaczęła się rozrastać i zaprzątać wszystkie umysły.

Niejasne, a zastraszające wieści zaczęły krążyć po stolicy. Wieści te pochodziły z nieznanego źródła, a więc tem większą wywoływały sensacyę. Powiadano sobie na ucho o istniejących spiskach na życie dyktatora, o przygotowywaniu nowego rządu, o Lelewelu, który najwyższą władzę zamierzał rzekomo pochwycić w swe ręce. Policya czujnie nadstawiała ucha i raz poraz przynosiła dyktatorowi zatrważające wieści. A Chłopicki słuchał i, hamując swój gniew, zaprzysięgał w duchu straszny odwet wichrzycielom. Tymczasem pogłoski nie ustawały. Na Lesznie, naprzeciwko klasztoru Karmelitów, który do niedawna był więzieniem politycznem, powieszono na latarni portret generała Różnieckiego,[1]) a tłum zgromadzony wołał: „Precz z generałem Chłopickim, niech żyje Lelewel dyktator!"[2]) Takie same głosy dawały się słyszeć na Nowolipiu. Jacyś niewykryci sprawcy mieli rzekomo rozdawać między lud pieniądze, a „wieść niosła, — powiada Barzykowski, — jakoby od konsula pruskiego miały pochodzić i jakoby Lelewel wraz z Krukowieckim stali na czele spisku i do wojska trafić usiłowali."[3])

Lelewel do żadnego spisku w owym czasie nie należał, sam spisek zresztą narodził się z plotki, którą wydymała do nieskończoności gadatliwość ludzka i atmosfera niedowierzania i przekonanie, że istniejący stan rzeczy utrwalić się nie może. Ale otaczająca dyktatora Rada Narodowa, a przedewszystkiem sam dyktator, słysząc te plotki, wpadał w nerwową niespokojność. Nieustające, a przesadzone wieści coraz głębsze czyniły na nim wrażenie. Więc postanowił zarządzić środki ostrożności. Powiększył w całem mieście straże i patrole, rozkazał im rozdać ostre ładunki, zalecił policyi baczność największą. Ale straszne wieści nie ustawały. Więc Chłopicki oburzał się i groźnie zapowiadał, że niech tylko winnych do

---

[1]) Generał ten był twórcą kraty więziennej, która uzyskała nazwę „pudła Rożnieckiego".
[2]) Dembowski. Moje wspomnienia. Tom II, str. 127 — 8.
[3]) Historya Powstania, Tom II, str. 93.

rąk swoich dostanie, a da straszny przykład swojego gniewu, by raz na zawsze skończyć ze spiskami i wichrzycielstwem.

Dnia 7 stycznia powrócił do Warszawy podpułkownik Wyleżyński i przywiózł ze sobą list do Chłopickiego od ministra sekretarza stanu. W liście tym minister w imieniu cesarza i króla dziękował Chłopickiemu za wszystko, co dla spokojności kraju uczynił, wyrażał mu królewskie zadowolenie za utrzymanie porządku, a zarazem polecał zaprzestać dalszych uzbrojeń i całe wojsko skoncentrować w województwie płockiem. Toż samo radził Chłopickiemu uczynić minister Lubecki, zapewniając go listownie, że ścisłe zastosowanie się do tych rozkazów daje nadzieję otrzymania od monarchy ustępstw, przez społeczeństwo polskie oczekiwanych.[1]

Chłopicki, przeczytawszy listy i wysłuchawszy Wyleżyńskiego, powziął wtedy nieodmienne postanowienie zastosować się do objawionej woli Mikołaja i traktować z Petersburgiem dalej. Gdy jednak Rada Narodowa wypowiedziała się za wojną, dyktator postanowił odwołać się po raz drugi do Sejmu i od decyzyi tej instytucyi uzależnić dalsze swoje postępowanie. Jakoż zgodnie z tem życzeniem ułożono zaraz uniwersał, zwołujący Sejm na dzień 17 stycznia. Niepodobna było wątpić, jakie zdanie objawi Sejm, skoro ostrożna i uległa dyktatorowi Rada Narodowa tym razem stanowczo przeciwstawiła mu swoją opinię. Przeczuwał to Chłopicki, i klął strasznie, i coraz większym unosił się gniewem. W takiem usposobieniu doszły go znowu wieści o projektowanym na władzę jego zamachu. Zapłonął wtedy pragnieniem zemsty. Postanowił odnaleźć spiskowców, wznieść nad nimi topór swojego gniewu i karą śmierci zatrwożyć wszystkich, coby ośmielili się myśleć o naruszeniu spokoju.

Niebawem znaleźli się przypuszczalni winowajcy.

Dnia 11-go stycznia do kasztelana Dembowskiego, członka Rady Najwyższej Narodowej, zgłosił się kapitan Rzepecki z wiadomością, że w batalionie saperów, dowodzonym przez Jana Lelewela, knuje się spisek i że do spisku tego usiłowano wciągnąć żołnierzy artylerzystów. Rzepecki powołał

---

[1]) Barzykowski. Historya Powstania. Tom II, str. 99.

się na świadectwo podpułkownika Dobrzańskiego. Dembowski podzielił się zaraz tą nowiną z Chłopickim, który zawezwał do siebie Rzepeckiego, następnie zaś rozkazał Dobrzańskiemu złożyć swoje zeznanie na piśmie. Dobrzański powtórzył to, co mu o saperach mówił porucznik Nieszokoć. Nadmienił przytem, iż Stanisław Rzewuski opowiadał mu, że miała się odbyć jakaś tajemnicza „sesya, złożona z ministra Lelewela, Bronikowskiego i Bolesława Ostrowskiego, na którą przyszedł Franciszek Grzymała". Na sesyi tej uchwalono powołać do życia klub, a gdyby dyktator nie zgodził się na to, zakaz jego miał się stać „hasłem do nieukontentowania publicznego". Dodawał jeszcze Dobrzański, że Bronikowski udał się po owej sesyi do księcia Czartoryskiego i prosił go, „aby dyktatorowi radził zakazanie klubu".[1])

Otóż na podstawie tak wątpliwego materyału, na podstawie dziecinnego niemal oskarżenia dyktator rozkazał aresztować Lelewela, Bronikowskiego i Ostrowskiego. Nienawistnie względem Lelewela usposobiony Barzykowski opisał jego aresztowanie w sposób, który ujmę przynosi uczonemu.[2]) Na szczęście, relacya Dembowskiego, który również daleki był od aprobowania czynności Lelewela, ale zachował więcej miary w ocenie ludzi i zdarzeń, zadaje kłam bajeczce, którą Barzykowski, jak i wiele innych, z palca sobie wyssał. A Dembowski w tym wypadku tem bardziej zasługuje na wiarę, że od początku do końca w sprawę mniemanego spisku był uwikłany.

Na drugi dzień po aresztowaniach dyktator zawezwał Dembowskiego i taką miał z nim rozmowę:

„Rzepecki, — oświadczył Chłopicki na wstępie, — prawdę powiedział. Z poczynionych indagacyi okazuje się, że Lelewel i jego stronnictwo zamierzyli obalić dyktaturę siłą... Cóż myślisz? Co z nimi robić?" Dembowski odpowiedział, że jeśli śledztwo winę ustali, natenczas winni muszą ponieść karę, radził nadto, aby sprawę powierzyć nie sądom zwykłym, lecz sądowi wojennemu. „Niema wątpienia, — utrzymywał

---

1) Kuryer Polski № 389 z d. 13 stycznia 1831 r.
2) Historya Powstania. Tom II, str. 95.

ze swej strony Chłopicki, — że sąd wojenny skaże winnych na śmierć", nie umiał tylko rozstrzygnąć pytania, czy posiada sam dostateczną władzę, aby podobny wyrok zatwierdzić. W dodatku miał wielką wątpliwość, czy „sam fakt oddania Lelewela pod sąd nie wznieci gorszego jeszcze zaburzenia".

„Czyli, — mówił do Dembowskiego, który utrzymywał, że wyroku uprzedzać nie można, — dla ocalenia Lelewela nie złożą mnie z dyktatury? Lecz pominąwszy to wszystko, ja takiego intryganta nie ułaskawię, a kto wykona wyrok? Na przekonanie się spróbujmy".

„Zawołał adjutanta służbowego i kazał przywołać pułkownika Łagowskiego, który dowodził akademikami; gdy ten przybył, rzekł:

— Ze wszystkich oddziałów wojska... największe przywiązanie do mojej osoby okazali mi — kompania, pod jego dowództwem będąca. Jeżeliby w skutku wyroku sądu wojennego odkomenderowany został do rozstrzelania pana Lelewela oddział akademików, czy wypełni to zadanie?

„Pułkownik Łagowski odpowiedział:

— Nie ręczę, czyliby chcieli rozlewać krew i odejmować życie, które tyle jest znane przez swój patryotyzm".

„Na to dyktator oświadcza:

— Łagowski kwestyę rozstrzyga, — a kazawszy, ażeby nikomu o tem nie wspominał, kiedy wyszedł, powiedział mi: — Okazuje się, że jestem malowanym dyktatorem: mam powierzoną władzę nieograniczoną, której wykonywać nie mogę! Za tydzień zbierze się Sejm i niech sobie z Lelewelem robią, co chcą. A wy w Radzie róbcie także, co osądzicie możliwem, lecz widzisz, jak rzeczy stoją, i możesz kolegów o tem ostrzedz."

Tyle Dembowski.[1]) Inny ze współczesnych, Stanisław Barzykowski, powiada, że „gdyby Lelewela nawet śmierć spotkała, opinia publiczna nie byłaby takiego wyroku potępiła".[2]) Ale mniemaniu temu przeczy relacya Dembowskiego i późniejsze fakty. Przeczy jej wreszcie sam Barzykowski,

---

[1]) Moje wspomnienia. Tom II, str. 125 — 127.
[2]) Historya Powstania. Tom II, str. 96.

który zresztą często jedne i te same zdarzenia oświetla inaczej.[1]) Potworna myśl powierzenia egzekucyi nad znakomitym uczonym i ukochanym przez młodzież profesorem oddziałowi akademików nie mogła dojść do skutku dla innych jeszcze powodów.

Przedewszystkiem rosło wzburzenie w mieście. Opinia była zaniepokojona zaaresztowaniem człowieka, którego czczono, jako patryotę, a Chłopicki nie wiedział, jak sobie z opinią radzić. Nazajutrz po aresztowaniu stanęło przed dyktatorem grono młodzieży akademickiej z Nabielakiem na czele i domagało się uwolnienia Lelewela. „Kładli głowy swoje za jego osobę".[2]) Nie dość na tem. Ówczesny zastępca ministra sprawiedliwości, Bonawentura Niemojowski, któremu dyktator powierzył utworzenie komisyi śledczej, odmówił kontrasygnowania tego rozporządzenia na zasadzie, że ono sprzeciwia się konstytucyi. Niemojowski wskazał Chłopickiemu Radę Narodową, jako organ, powołany do wyznaczenia sądu kryminalnego. Chłopicki, który umiał rządzić tylko po żołniersku, postanowił w pierwszej chwili przesłać Niemojowskiemu dymisję, ale rozmyślił się później i poszedł za jego wskazówką. Tymczasem i Rada Narodowa zawiodła oczekiwania dyktatora. Zwykle nieśmiała i pokorna, tym razem odpisała Chłopickiemu, że przedewszystkiem poczuwa się do obowiązku zwrócić jego uwagę, iż oskarżenia nie są bynajmniej tej natury, aby uwięzieni „z aresztu odpowiadać mieli. Wnioskiem jest przeto Rady, aby osoby te natychmiast uwolnione były i z wolności w mającem się przedsięwziąć badaniu odpowiadały". Nadto Rada Narodowa wystosowała odezwę do komisyi sprawiedliwości i w odezwie tej jeszcze wyraźniejsze zajęła stanowisko. Oddając zgodnie z poleceniem dyktatora całą spra-

---

[1]) W tomie II Barzykowski pisze: „Choć były głosy, co się odzywały w obronie Lelewela, broniąc go jako uczonego i dobrego patryotę... daleko większa część, *prawie powszechna opinia* domagała się ostrego ukarania winnych... Gdyby Lelewela nawet śmierć spotkała, *opinia publiczna* nie byłaby takiego wyroku potępiła". A w tomie V tenże Barzykowski pisze: „Kiedy go Chłopicki aresztować kazał... *wzburzenie umysłów było wielkie i trzeba było wyprowadzić znaczne siły, aby spokojność mogła być utrzymana...*"

[2]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.

wę pod rozpoznanie właściwej władzy sądowej, Rada, — tak brzmiała wspomniana odezwa, — „zastosowanie się do tego polecenia tem chętniej i pilniej poleca, że z niego oczekiwać będzie śpiesznego oczyszczenia osób, ze wszech względów na powszechne zainteresowanie się zasługujących...”” [1])

W ten sposób Rada Narodowa najwyraźniej stanęła po stronie oskarżonych i, nawet nie czekając wyroku, wygłosiła opinię, która bagatelizowała całą sprawę i przeciwstawiała się dyktatorowi. Ponieważ zaś Rada i na własną rękę podjęła badania, czemu sam Barzykowski nie przeczy,[2]) stanowi to najoczywistszy dowód, że ów zamach na Chłopickiego narodził się z plotki. Potwierdził to później i główny oskarżyciel, podpułkownik Dobrzański, a potwierdził listem publicznym, w którym oznajmiał, że daleki był od mniemania, „iż z pisma jego zrobią akt zaskarżenia przeciw tak zacnemu obywatelowi, jakim jest JW. Lelewel”.[3])

Oczywiście uczony odzyskał zaraz wolność i wyszedł z całej przygody zwycięsko. W oczach wszystkich, co krytykowali zgubną bezczynność dyktatora, zyskał nawet na owem uwięzieniu. Bez jego woli i udziału okoliczności wynosiły go coraz wyżej. Opinia publiczna, nie znając istoty sprawy, to tylko wiedziała, że Lelewel jest wrogiem Chłopickiego, że potępia jego politykę, którą i ogół zwolna zaczął przezierać. Gdy wyszedł z więzienia, podsunięto mu zaraz księgę indagacyjną, by wiedział, co kto o nim mówił. „Nie zaglądając do niej, — powiada Lelewel, — odsunąłem od siebie”. [4]) Brzydził się denuncyacyą i nie chciał nawet wiedzieć, komu zawdzięczał swoje uwięzienie. „Ze swoją stoicką flegmą, z uśmiechem przyjmował Joachim areszt i uwolnienie”, świadczy Prot Lelewel.[5])

Wkrótce zaszedł fakt inny, w następstwach swoich znacznie donioślejszy.

---

[1]) A. Kraushar. Zamach na dyktaturę Chłopickiego, str. 12 i 13.
[2]) Historya Powstania, Tom II, str. 97.
[3]) Kuryer Polski № 406 z dnia 29 stycznia 1831 r.
[4]) List do Chodźki z kwietnia 1859 r. Rks w Rapp.
[5]) Pamiętniki. Rks.

Oto Chłopicki, widząc swoje odosobnienie, ostatecznie i nieodwołalnie postanowił złożyć dyktaturę. W licznem gronie polityków i działaczów, co zaraz po 29 listopada podali sobie ręce, aby ruch stłumić, on jeden pozostał konsekwentny. Zaufanie otoczenia zdobył przecież wyraźnem potępieniem rewolucyi. A później jedynie w celu poskromienia „anarchii" zgodził się przyjąć gwałtem narzucaną mu władzę. Celu dopiął. Stolica była uspokojona, klub rozpędzony, „wichrzyciele" zamilkli. Pozostało wyjednać amnestyę i zakończyć wszystko. Tak mówił od początku, tak mówili wszyscy, co go w krytycznych chwilach błagali, by nie porzucał sprawy publicznej. A w ciągu dwóch miesięcy nic takiego nie zaszło, coby zmianę owego poglądu mogło usprawiedliwić. Siły Polski nie wzrosły, potęga Rosyi ani na włos nie została uszczuplona. Wynik wojny tak samo był niepewny w drugiej połowie stycznia, jak w końcu listopada. To było jasne. To żadnej nie mogło ulegać wątpliwości. Tymczasem ciż sami ludzie, co wraz z nim potępiali powstanie, zwolna cofali się na całej linii i, nie bacząc na wszystkie trudności przedsięwzięcia, parli do wojny z Rosyą.

Tej niekonsekwencyi nie mógł zrozumieć konsekwentny żołnierz.

Nie dostrzegał, że idea, co rozbłysła w noc 29 listopada, uczyniła przedewszystkiem wielką rewolucyę w zbiorowej duszy narodu i, pozwalając społeczeństwu niewolników odetchnąć na chwilę atmosferą wolności, codziennie później czyniła postępy i coraz silniej wrażała się w umysły i coraz mocniej zagnieżdżała się w sercach. Pod ożywczem tchnieniem swobody budziło się poczucie dostojeństwa narodowego i narodowej godności. Nawet ludzie małej wiary i małego serca czuli się inaczej, gdy opustoszał Belweder i pięść Konstantego przestała panować w stolicy. Prąd chwili, wartki prąd wolności unosił ich ze sobą i coraz bardziej oddalał od generała, co jak słup kamienny stał w miejscu nieporuszony i w końcu sam jeden uginał się pod ciężarem, który w pierwszych chwilach, powstania dźwigali z nim inni. Opuszczony przez wszystkich szturmowany przez falę powstańczą, która go przerastała, szamotał się rozpacznie, wpadał w gniew coraz więk-

szy, aż wreszcie po kilku gwałtownych scenach cisnął precz swą władzę dyktatorską i usunął się z widowni.[1])

Oburzyła się wtedy Warszawa.

Generał, którego tak niedawno jeszcze porównywano z Kościuszką i nazywano zbawcą ojczyzny, spadł w jednej chwili z piedestału uwielbienia i runął w błoto potwarzy. Kto żyw, mścił się teraz za doznany zawód i nie szczędził najostrzejszych słów potępienia. Opinia deptała człowieka, którego niedawno wbrew własnej jego woli i chęci wyniosła na godność najwyższą. Miotano w Chłopickiego obelgami i po ulicach Warszawy obwoływano go zdrajcą. W takiej chwili ludzie, co byli dyktatorowi przeciwni i nie taili tego wtedy jeszcze, gdy dzierżył w swych rękach potężną władzę, zyskiwali na sławie, popularności, uznaniu.

A do tych ludzi w pierwszym rzędzie należał Lelewel.

---

[1]) „Przysięgłem konstytucyjnemu krolowi, przysięgi mojej nie złamię", oto miały być ostatnie słowa, które wyrzekł na swoim urzędzie dyktator (Wiadomości krajowe i emigracyjne, R. 1837, str. 58).

XII.

SEJM.

Władza nieograniczona, oddana przez Sejm Chłopickiemu, powracała znowu do Sejmu. Odtąd powstaniem nie miała już kierować jedna silna, niepodzielna wola, lecz sam Sejm, a więc instytucya zbiorowa, złożona z różnolitych pierwiastków, niezdolna do decyzyi stanowczych i szybkich, uwikłana w sieci parlamentaryzmu, chaotyczna, ciężka, niezdarna. Zawiódł jeden człowiek. Ale w oczach członków Sejmu, co na wezwanie dyktatora stawili się znowu w stolicy, zawiodła sama zasada. Sejm, poniewierany przez lat piętnaście, pozbawiony w tym okresie wszelkiej władzy istotnej i wszelkiego znaczenia, urósł odrazu we własnych oczach i, czując swoją moc, śmiało stawał na czele olbrzymiego przedsięwzięcia. Wytworzyła się szczególna sytuacya. Sejm dał władzę jednemu człowiekowi. Teraz wola jednego człowieka Sejm stawiała u władzy.

Dnia 19 stycznia zebrała się Izba poselska i marszałek Ostrowski uroczyście zagaił posiedzenie.

Prześlizgnąwszy się zręcznie po nieistniejącej już dyktaturze, powiedział, że Sejm nie dokończył swojego dzieła, że dziś dopiero nadeszła chwila, by o bycie Polski stanowić. Ostrowski w swojej beztrosce o los powstania posunął się bardzo daleko: ośmielił się twierdzić, że drogi czas, tak haniebnie zmarnowany przez Chłopickiego, był okresem pomyślnym

dla rozwoju sił rewolucyi. Obecnie nie pozostaje nic innego, jak *uzupełnić* chlubnie rozpoczęte dzieło i *wyrzec*, że naród, wolność miłujący, „raz starganych kajdan, jakkolwiekbądź złoconych, już więcej nie przyjmie”...

„Zginąć raczej, jak z pokorą bić czołem, to hasłem naszem niech będzie! — mówił unoszony na lekkich skrzydłach frazesu marszałek. — Zginąć? Nie tak to łatwo tłuszcza najemnego żołdactwa zgniecie lud mężny, walczący o byt swój, o wolność, o wszystko. Nie uważajmy na liczbę, uważajmy na ducha...” [1]).

Po tem przemówieniu zapanowała chwila kłopotliwej ciszy. Nikt nie zażądał szczegółowego zdania sprawy z tego, co zdziałał dyktator, nikt nie rzucił słowa krytyki. „Duch” Izby poselskiej, duch, o którym, jak romantyk czystej wody wspominał marszałek, zamarł w owej chwili. Mogło się zdawać, że Izba zamyka oczy, byle tylko nie spojrzeć w straszną przepaść wykroczeń przeciw ojczyźnie. Mogło się zdawać, że wyrzuty sumienia dławią gardła gadatliwych posłów, że uczucie żalu i wstydu mówić im nie pozwala. Ale oto śród uroczystego milczenia powstał deputowany mławski, Klemens Witkowski, i zażądał głosu. Cóż miał do powiedzenia w tak doniosłej chwili? Oświadczył tylko, że jeden z członków Izby poselskiej, Józef Lubowidzki, został aresztowany pod zarzutem ułatwienia ucieczki swojemu bratu, byłemu wice-prezydentowi, Mateuszowi Lubowidzkiemu. Żądał zatem, aby Izba wyrzekła, czy Lubowidzki ma być uwolniony, czy też winien przebywać w areszcie aż do czasu rozpatrzenia sprawy. Oto jaką kwestyę wyniósł na porządek dzienny deputowany mławski, Klemens Witkowski! A słowa jego wywołały efekt nadzwyczajny. „Duch” Izby poselskiej ocknął się nagle, jak człowiek, zbudzony uderzeniem pałki. W sali natychmiast zakotłowało się, jak w ulu. Kilkunastu mówców zażądało głosu i przytłaczający piersi ciężar milczenia potoczył się w niewidzialną przepaść. Izba odrazu poczuła się w swoim żywiole: pękły tamy refleksyi i rozpętała się powódź wymowy. Teraz dopiero każdy znalazł coś do powiedzenia, każdy wiedział,

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom I. str. 68.

jak postąpić, co począć. Pierwszy przemówił Biernacki, potem Teofil Morawski, następnie zabierali głos: Ledóchowski, Kaczkowski, Starzyński, Franciszek Sołtyk, Jasieński, Gliszczyński, Modliński, Wieszczycki i wielu, wielu innych. Rozpoczęła się dyskusya namiętna, lecz nudna, nieskończona, ciągnąca się, jak wóz skrzypiący po jałowych piaskach.

Oto czem zajmowała się Izba w stanowczej chwili, mającej, według słów marszałka, stanowić o bycie Polski!

Sprawa sama przez się była drobna i błaha, ale to przejęcie się pierwszą lepszą kwestyą, ta silna chęć rozpatrzenia jej w całej rozciągłości, te debaty długie, męczące, chaotyczne, były przerażającym objawem niedołęstwa, były wymownym obrazem, świadczącym, jak łatwo można wykoleić Izbę i z torów zagadnienia dziejowego pociągnąć ją na manowce czczych sporów, na bezdroża namiętnej dyskusyi. Duch staroszlacheckiego gadulstwa, duch dawnych sejmów polskich wcielał się w Izbę poselską i na całej linii święcił swój tryumf. Taki początek był dla powstania złowrogą na przyszłość zapowiedzią.

Tym razem kasztelan Wodziński przerwał dyskusyę, zjawiwszy się w sali i zawezwawszy Izbę do połączenia się z Senatem.

Ustanowienie rządu na miejsce dyktatury było sprawą najpilniejszą. I tę sprawę poruszył książę Czartoryski we wstępnem przemówieniu swojem, gdy obie Izby się połączyły.

„Macie szanowni mężowie, — mówił książę, — zaprowadzić rząd odpowiedni obecnym gwałtownym okolicznościom, rząd silny, zdolny poruszyć wszystkie kraju zasoby; macie wybrać naczelnego wodza, któryby rycerzów Polski do zwycięskiej walki poprowadził... Przez czyn pamiętnej na wieki rewolucyi uzyskaliśmy w krótkich dniach zupełną wolność. Mądre jej użycie od nas zawisło. Sobie zostawieni, sami też sobie radzić musimy i tem się pokazać, czem istotnie jesteśmy...” [1]).

---

[1]) Dyaryusz Sejmu, I, str. 75 — 76.

Słowa przytoczone dowodzą, że sam fakt zdobycia „zupełnej wolności" oddziałał na psychikę Czartoryskiego. Nie porwał go wprawdzie, ale przekonał i zmienił. Zjawisko tem godniejsze uwagi, że książę przez długie lata swojego zawodu politycznego łączył sprawę wolnej ojczyzny ze sprawą Rosyi i w związku obu krajów widział lepszą przyszłość Polski. Słusznie też nawoływał Sejm do wyboru rządu *silnego*. Znał moc państwa, przeciw któremu walczyć mieli Polacy, i rozumiał dobrze, że chcąc osiągnąć zwycięstwo, należy poruszyć „wszystkie kraju zasoby"...

Książę Czartoryski powszechną w owej chwili zwracał uwagę.

Był człowiekiem popularnym, lubianym. Miał duże doświadczenie, rozległe wpływy w kraju i potężne stosunki za granicą. Znały go dobrze szerokie koła dyplomacyi europejskiej. A Sejm zdawał sobie z tego sprawę i z góry przeznaczał mu w przyszłym rządzie miejsce naczelne. W takich warunkach mógł Czartoryski żądać wiele i wiele uzyskać. A jednak nie tylko nie wykorzystał sytuacyi, ale na samym wstępie nowego zawodu uczynił krok fatalny. Mówiąc o silnym rządzie, pomniejszał natychmiast zakres tej władzy, żądając, aby Sejm wybrał naczelnego wodza. W ten sposób osłabił rząd przyszły, pozbawił go bowiem możności mianowania i odwoływania wodzów. Co gorzej, stwarzał drugą, równoległą do rządu władzę, jak sam rząd od Sejmu zawisłą. Ktokolwiek okiem sięgnął w przyszłość, odrazu widział ujemne skutki, wypływające z takiego stosunku i podziału władzy.

Fatalność jakaś ciążyła nad powstaniem.

Nazajutrz Sejm wybrał wodzem naczelnym ks. Michała Radziwiłła. Generał ten nie miał żadnych na wodza danych, a wyniesienie swoje zawdzięczał jedynie tej okoliczności, że zalecał go Chłopicki, obiecując na polu bitwy tylko tego wodza wspierać swojemi radami. Wiara w geniusz wojenny eksdyktatora była niezachwiana. Więc zgodzono się na Radziwiłła i ogłoszono go wodzem. Wybór dobre uczynił wrażenie. Za plecami Radziwiłła widziano Chłopickiego, a rojono sobie, że imię Radziwiłłów, głośne i potężne na Litwie, wzbudzi tam nadzieje i w całym kraju wywoła poruszenie. Gdy

wobec licznej publiczności, zgromadzonej na galeryi, ks. Czartoryski ogłosił wynik głosowania, ze wszystkich stron sali dały się słyszeć radosne okrzyki: „Niech żyje Radziwiłł! Niech żyje Ojczyzna!

Wtedy nowy wódz, wzruszony bardzo, przemówił „rozrzewnionym głosem":

„Posłuszny woli narodu, krótko powiem: czem byłem, tem będę..." [1]).

I Radziwiłł słowa swojego dotrzymał. Niestety! Został tem, czem był, to jest generałem, pozbawionym wyższych zdolności, człowiekiem dobrej, ale słabej woli.

Na następnem posiedzeniu ustanowiono ostateczny skład komisyi, wybranych przez Izbę, a do komisyi organicznej wszedł Joachim Lelewel. Na tejże sesyi odczytano jego projekt odezwy do wojska [2]). A projekt ten jest jednym dowodem więcej, że Lelewel długo nie mógł się pozbyć iluzyj, któremi natchnął go Lubecki. „Ufamy w ludzkość króla, nam panującego", oto z jakiem zdaniem spotykamy się jeszcze we wzmiankowanej odezwie [3]). „Ufamy w słuszność narodu rosyjskiego, z którym nas losy pod jedno berło oddały, że wyrozumiane i wysłuchane będą nasze życzenia i potrzeby". Dziwnie brzmią te uwagi w manifeście do wojska, w przededniu rozpoczęcia kroków wojennych. Przypuszczać też trzeba, że cały wstęp odezwy pochodzi z czasów wcześniejszych, nie brak w niej bowiem i wzmianki o Litwie i nuty bojowej, nie pozwalającej wątpić o zamiarach powstania:

„Wraca wódz naczelny na pole sławy rycerstwa narodowego, ożywiony najczystszem Polaka uczuciem. Posiadając serca rodaków, powiedzie dzielne rycerstwo w swoje rodzinne ziemie, gdzie mamy ujarzmionych naszych ziomków oswobo-

---

[1]) Dyaryusz Sejmu, I, str. 109.

[2]) W Dyaryuszu Sejmu w „Treści tomu pierwszego" mylnie przypisano ów projekt marszałkowi Ostrowskiemu (str. IV). W XX tomie „Polski dziejów i rzeczy jej" (str. 59 — 61) projekt ów mylnie znowu zatytułowano: „Przymówienie się przy wyborze ks. Michała Radziwiłła na naczelnego wodza". Lelewel nie przemawiał. Projekt jego odczytał marszałek Ostrowski.

[3]) Zdanie to znajduje się we wstępie, który w Dyaryuszu Sejmu został pominięty.

dzić. Niezgasłą chwałą okryte wojsko polskie, pełne męstwa i dzielności, niecierpliwie czeka tej chwili, w której nowe zwycięstwa nowe wieńce na ołtarzu składać będzie".

Lelewel, którego tysiączne wspomnienia i stosunki łączyły z Litwą, już w pierwszych dniach powstania myślał o usunięciu wzniesionego przez Kongres Wiedeński muru, dzielącego Litwę od Królestwa. Zabierał głos w tej sprawie na posiedzeniach Rady Administracyjnej, mówił o Litwie Konstantemu podczas posłuchania w Wierzbnie, a później namawiał Chłopickiego, by rzucił oddziały zbrojne na Litwę i tym krokiem zawezwał braci Litwinów do wspólnej walki z ciemiężcą obu narodów. Ale Chłopicki wrogo względem tej myśli był usposobiony. Dopiero upadek dyktatury stał się hasłem do ważniejszych w tej sprawie wystąpień. Przebywający w owym czasie w Warszawie obywatele z Litwy i krajów zabranych zaczęli się zbierać w hotelu Angielskim u Aleksandra Wereszczyńskiego [1]), bankiera z Odesy i naradzać się nad przyłączeniem do powstania Litwy i Rusi. Rezultatem tych narad było powołanie do życia towarzystwa pod nazwą *Braci Zjednoczonych*. Na prezesa honorowego powołano księcia Michała Radziwiłła, a prezesem czynnym wybrany został Lelewel [2]). Towarzystwo *Braci Zjednoczonych* powzięło dwie dużej wagi uchwały. Przedewszystkiem dla zamanifestowania solidarności z dniem 29 listopada postanowiło utworzyć legię litewską i wołyńską, a następnie w imieniu mieszkańców Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy złożyć Sejmowi adres, będący aktem przystąpienia do rewolucyi. Adres z tego względu posiadał doniosłe znaczenie, że przyjęcie go przez Sejm musiało stać się kamieniem śmiertelnej obrazy dla rządu rosyjskiego, a w obliczu świata ujawniało bardzo daleko sięgające zamiary powstania. Fakt taki uniemożliwiał wszelki odwrót i stawiał cały naród w sytuacyi, z której wyjście znaleźć było można jedynie w walce zwycięskiej.

Pod adresem zebrano z górą 200 podpisów [3]).

---

[1]) Mochnacki. Powstanie... Tom II, str. 335.

[2]) List z ofiarowaniem Lelewelowi prezesury datowany jest dopiero d. 29 stycznia. Rks w dokumentach rodzinnych u pp. Lelewelów.

[3]) Pierwszy podpisał się Lelewel.

Towarzystwo *Braci Zjednoczonych*, chcąc nadać złożeniu adresu cechy uroczystości, wybrało z grona mieszkańców Litwy i Rusi deputowanych, na których zostali powołani: Aleksander Wereszczyński, Jan Toplicki, książę Adolf Gedroyć, Karol Kaczkowski, Ludwik Bętkowski, Antoni Bernatowicz i Lew Sawaszkiewicz. Dnia 24 stycznia deputowani przybyli do Izby poselskiej i w obecności zgromadzonych posłów uroczyście wręczyli adres Lelewelowi. „Scena ta, — powiada Koźmian, — poruszyła Sejm”. Lelewel był zadowolony [1]).

I tegoż dnia zabrał głos w Izbie poselskiej.

Wspomniawszy o wiekowych związkach, łączących Polskę z krajami, wchodzącymi w skład dawnej Rzeczypospolitej, mówił: „Litwa, Wołyń, Ukraina i Podole, zawsze nieodstępne powszechnej sprawie, i dziś obracają swe oko na Polskę. Zawsze jeden duch, jeden interes ożywiał i kierował ich krokami i dziś równie do tegoż są skierowane celu, wyglądając z upragnieniem pomocy”. Następnie odczytał adres, ułożony w słowach pięknych i mocnych, a wypominający ucisk i krzywdy panowania rosyjskiego w tych krajach.

„Odkąd rewolucya, — tak brzmiał końcowy ustęp adresu, — przybrała charakter narodowy, niezbędnem stało się odzyskanie ziem oderwanych, bo z niemi tylko powstanie odpowie wysokiemu powołaniu swemu i niepodległość ojczystą ustali. Obwieśćmy więc światu, że wola i sprawa nasza do Dźwiny i Dniepru jedną jest i nierozdzielną: że wszyscy składamy jedną Polskę; że reprezentacya narodowa równie jedną jest i nierozdzielną, a Sejm tylko prawnie stanowi... Na was, reprezentanci narodu, zlewamy sumienną reprezentacyę Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, a ufni waszym cnotom publicznym, losy reszty Polski w wasze ręce składamy” [2]).

Odczytawszy adres, Lelewel wyraził nadzieję, że Sejm zwróci baczność „na ujarzmionych rodaków” i będzie wspierał ich usiłowania. W odpowiedzi na to rozległy się jednomyślne okrzyki, zwiastujące przyjęcie adresu, poczem marszałek Ostrowski zabrał głos i w serdecznych słowach dzięko-

---

[1]) Pamiętniki. Oddział III, str. 493.
[2]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 170 — 2.

wał zacnym mężom za wyrażone uczucia. Wyraziwszy pewność, że unia Korony, Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy nastąpi nanowo, przemówienie swoje zakończył okrzykiem:

„Niech żyje Polska w odwiecznych swoich granicach!”

Okrzyk ten trafił do serc wszystkich i dreszcz wzruszenia przebiegł ławy poselskie. Wszyscy odczuli, że przyjęcie adresu nowe kształty nadaje myśli powstańczej, której nie chodzi już o gwałty i wykroczenia przeciw konstytucyi, ale o Polskę wolną i niepodległą, o potężne państwo polskie, godne wielkiego narodu i jego tradycyi historycznej. Adres zakomunikowano Izbie senatorskiej, a następnie odesłano do komisyi, która odpowiedź Sejmu poleciła zredagować Lelewelowi. Odpowiedź ta, napisana w słowach gorących i podniosłych, kończyła się wezwaniem wszystkich ziomków do broni i do boju za wspólną dla wszystkich sprawę niepodległości [1]).

Gdy tak Lelewel stawał się rzecznikiem pragnień i uczuć T-wa *Braci Zjednoczonych*, gdy tym razem niewątpliwie przyczyniał się do wyjaśnienia i skrystalizowania celów powstania, gdy Izby, acz przerywając swoje uchwały czczemi dyskusyami, niemal dzień każdy znamionowały jakiemś ważnem postanowieniem, — żywioły rewolucyjne, rozpędzone przez dyktatora, również zaczęły się skupiać. Dnia 19 stycznia znowu zapełniły się sale redutowe i grzmiał w nich Mochnacki, a na drugi dzień *Towarzystwo Patryotyczne* już było ukonstytuowane. Jak w pierwotnym klubie, tak i teraz na godność prezesa wyniesiony został Lelewel. Uczony złożył już niejeden dowód, że nie odda się całkowicie na usługi partyi rewolucyjnej. Ale Towarzystwu chodziło o jego głośne imię, Lelewel zaś nie chciał zrywać z młodzieżą, do której szczerze był przywiązany. Rozpoczynało się w ten sposób nowe nieporozumienie. Mochnacki i tym razem wyobrażał sobie, że skłoni T-wo do odegrania poważniejszej roli. Pomagał mu w tych usiłowaniach hr. Adam Gurowski, człowiek zdolny i zuchwały, ale przewrotny i bezczelny, a próżny bez granic. W owym czasie Gurowski zabawiał się w rewolucyę

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 391 — 394.

i patryotyzm, wygłaszał czerwone mowy i, chowając swój cynizm za parawanem dobrych chęci, które demonstrował podówczas z powodzeniem, szukał dla siebie oparcia w talentach Mochnackiego. Zadaniem pierwotnego klubu było stłumienie kontrewolucyi, jak się wyrażał Mochnacki, i zapewnienie zwycięstwa myśli powstańczej. Teraz, gdy myśl ta zatryumfowała, nie pozostawało nic innego, jak baczyć na to, by powstanie rozwijało się energicznie i sprawnie. Ponieważ władza przeszła do Sejmu, a instytucya ta daleka była od działań szybkich i rewolucyjnych, przeto Sejm stał się celem pocisków *Towarzystwa.* Młodzież, co w najlepszej wierze walczyła z Radą Administracyjną, z tą samą wiarą i z tym samym zapałem do nowej przystępowała walki.

Niejeden grzech miał już Sejm na sumieniu.

„Od samego początku, — powiada w swem znakomitem dziele Mochnacki,[1]) — od nocy 29 listopada wszystkie pierwiastki kontrewolucyi były *sejmowe.* Nowa Rada Administracyjna, improwizowana przez Lubeckiego, była frakcyą Sejmu. Frakcyą Sejmu był Wydział Wykonawczy, który prosił o amnestyę carewicza. Frakcyą Sejmu był Rząd Tymczasowy, który zakwestyonował powstanie, który rewolucyę poddał pod decyzyę Izb... Frakcyą Sejmu było grono, otaczające i wspierające dyktatora do 18 grudnia. Frakcyą Sejmu była deputacya, której Chłopicki 17 grudnia oświadczył swoje wyznanie wiary *stałe i nieodmienne,* która jednak to wyznanie zataiła przed narodem. Frakcyą Sejmu byli ludzie, którzy 20 grudnia *sciens et volens* występną dla ojczyzny dyktaturę przedłużyli i zbałamucili opinię, reprezentacyę, naród, Europę... Jednem słowem, w Sejmie tym, utworzonym przed powstaniem, miały swoją podporę, wziętość, źródło wszystkie ułomności, wszystkie występki polityczne, które gubiły interes kraju, które go zatrzymały w jednem mieście, które połowę sił narodu już zmarnowały. Wszystko złe, co się stało, poszło z Sejmu i wróciło do Sejmu, tego ojca, patrona i dziedzica Rady Administracyjnej, Wydziału Wykonawczego, Rządu Tymczasowego, dyktatury".

---

[1]) Powstanie Narodu Polskiego. Tom II, str. 337 — 338.

Wbrew temu, co pisze Mochnacki, nie wszystko złe z Sejmu poszło i do Sejmu wróciło. Wiele złego było i w obozie rewolucyjnym, który nie dopiął celu w nocy 29 listopada, a następnie za mało miał energii, siły i zdecydowania, by stać się panem sytuacyi i wolę swoją dyktować. To przecież pewna, że Sejm szerokie dla krytyki przedstawiał pole. I na to pole postanowił wkroczyć Mochnacki na czele *Towarzystwa Patryotycznego.* A tuż za Mochnackim postępował Gurowski. Lelewel, którego się radzono, twierdził, że działanie Sejmu doskonale dałoby się z działaniem Towarzystwa pogodzić, i ani myślał popierać zapowiadanej walki. Więc młodzież na własną rękę postanowiła bój zacząć i Lelewela, prezesa T-wa, popchnęła do walki z Lelewelem, członkiem Sejmu. A uczony, nie protestując przeciwko temu, znowu dostawał się w samotrzask dwuznaczności, zapadał w błędne koło, z którego wybrnięcie stawało się niepodobieństwem. Tymczasem cel przywódców T-wa był jasny i prosty. Zastraszyć Sejm, skłonić go do działań szybszych i energiczniejszych, lub też zniszczyć tę instytucyę w ogniu niezadowolenia, wyłonić władzę nową, sprężystą, mocną, rewolucyjną, oto o czem zamyślało *Towarzystwo.* Gmina rewolucyjna, a nawet rewolucyjna *komuna,*[1]) jako władza najwyższa, była celem, ku któremu zmierzał Mochnacki. Towarzysze jego wierzyli, a może i sam Mochnacki w to wierzył, że na czele nowej władzy stanie Lelewel, że cały lud miejski wesprze swoją postawą nowe usiłowania rewolucyi, nada im właściwy sens i potrzebną siłę. Więc gdy uczony przyjął ofiarowaną mu godność prezesa T-wa, a jednym z wice-prezesów został poseł Roman Sołtyk, gdy na listę członków T-wa zaczęli przybywać inni posłowie, jako to Walenty Zwierkowski, Kantobery Tymowski, gdy sale redutowe nie mogły pomieścić garnącej się publiczności i zebrania trzeba było przenieść do sali posiedzeń akademickich na Krakowskiem Przedmieściu, gdy pamięć czynności pierwotnego klubu oddziaływała jeszcze na umysły, — młodzi przywódcy T-wa, pełni nadziei i wiary w powodzenie, żwawo za-

[1]) Była to tylko terminologia, zapożyczona z historyi Wielkiej Rewolucyi. Społecznej strony komuny M-cki nie ogarniał i nigdy o niej nie mówił.

brali się do dzieła. Na jednem ze swoich posiedzeń uchwalili adres, zawiadamiający Sejm o powstaniu *Towarzystwa Patryotycznego*, na innem — drugi adres, domagający się zrzucenia z tronu Mikołaja. Oba te adresy wywołały w Izbie poselskiej wzburzenie i groźne pod adresem T-wa okrzyki. Izba zrozumiała, że T-wo pragnie stworzyć Sejmowi konkurencyę, i przez usta najgłośniejszych w gronie swojem krzykaczów dawała wyraz swojemu niezadowoleniu. W taki to sposób rozpoczynała się walka nierówna, budząca śród posłów oburzenie tem większe, że prezesem *T-wa Patryotycznego* był poseł żelechowski i powagą swojego nazwiska, swoją sławą i popularnością sankcyonował niejako owe zamachy na instytucyę, której sam był członkiem. Lelewel w gronie swoich kolegów budził nieufność coraz większą. Ale do tej nieufności przyłączało się coś w rodzaju trwogi przed siłą niezbadaną jeszcze i niewiadomą, przed możliwością jakiegoś czynu, którego rozmiarów i zuchwałości nikt przewidzieć nie mógł, a który dlatego może w niejednym z członków Izby wywoływał uczucie niepokoju. Gdyby w owym czasie *Towarzystwo Patryotyczne* budziło tylko wzgardę i lekceważenie, jak to usiłuje przedstawić Barzykowski, napewno nie poświęcanoby mu tyle uwagi, nie oburzanoby się tak głośno na uchwalane adresy. Do zgromadzenia tego, jak to powszechnie było wiadomo, należało jeszcze wielu twórców 29 listopada, należała młodzież energiczna, zuchwała, zapalna, wielu studentów, rzemieślników, kilku posłów, a na czele stał jeden z najpopularniejszych ludzi w Polsce ówczesnej, Joachim Lelewel. Z natury swojego składu T-wo było organizmem żywym, miało krew młodą, gorącą, a na szerszą publiczność wywierało wpływ bezpośredni. Okoliczności te sprawiały, że w Sejmie rosła nienawiść do owego zgromadzenia, a wraz z nienawiścią wzmagały się i rosły podejrzenia co do roli, jaką odgrywa Lelewel.

Nadszedł dzień 25-go stycznia.

Dwa ważne wypadki miały ten dzień upamiętnić i na zawsze uczynić historycznym.

Dzień ten wymownie określił stosunek społeczeństwa polskiego do Rosyi. Rzecz znamienna: we wszystkich wystąpie-

niach, zarówno klubu, jak organów, sprawujących czasowo władzę, podkreślano zawsze, że naród polski żadnej niechęci ku Rosyanom nie żywi, że uznaje ich prawa do wolności, że chce z narodem rosyjskim zawsze w najlepszej pozostawać harmonii. Jeżeli zaś zrywa się do walki, to dlatego tylko, by własną zabezpieczyć wolność: nie ze społeczeństwem rosyjskiem chce walczyć, ale z absolutną władzą, która oba narody uciska.

Tę myśl postanowiło *Towarzystwo Patryotyczne* stwierdzić czynem jawnym, manifestacyjnym.

W tym celu dnia 25 stycznia urządziło wspaniały obchód publiczny na cześć Rosyan, którzy padli ofiarą walki o wyzwolenie narodu rosyjskiego z pod jarzma caryzmu. Sama zapowiedź manifestacyi poruszyła ludność stolicy. Publiczność, ciekawa widowiska, od samego rana zapełniła plac Kazimierowski i poblizkie ulice. Śród głuchego milczenia tłumów ukazali się członkowie gwardyi akademickiej, których dopiero noc 29 listopada wyzwoliła z więzienia Karmelitów. Na karabinach, złożonych na krzyż, nieśli oni trumnę, obitą czarnym kirem, a ozdobioną wieńcem laurowym, przeplecionym zwojem wstęg trójkolorowych. Na pięciu tarczach wyryte były nazwiska rewolucyonistów rosyjskich: Pestela, Rylejewa, Bestużewa, Murawiewa i Kachowskiego. Trumnę poprzedzał młody kapitan gwardyi. Niósł on żałobne wezgłowie, na którem jaśniała trójkolorowa kokarda, rewolucyjne godło wolności międzynarodowej. Za kapitanem postępował w wojskowym ordynku oddział akademików z bronią, spuszczoną ku ziemi. Nad tym oddziałem wznosił się w górę i malowniczo powiewał przewiązany splotem czarnej krepy błękitny sztandar uniwersytetu. Orszak żałobny tworzyły idące we wzorowym szyku oddziały gwardyi oraz tłumy ludu, ciągnące środkiem ulicy i chodnikami. Pochód, sunąc Krakowskiem Przedmieściem, zatrzymał się przy kolumnie Zygmunta, naprzeciw okien sali, w której dnia tego obradowali członkowie Sejmu nad określeniem stosunku narodu polskiego do dynastyi Romanowów. Na podnóże kolumny wszedł Adam Gurowski w czapce czerwonej z białem piórem i, zatrzymawszy tłumy, wygłosił do nich mowę rewolucyjną. Chciał lud poruszyć, por-

wać i zapalić, ale bezskutecznie. Manifestacya, spokojnie zaczęta, spokojnie miała się skończyć. Orszak udał się na Podwale, gdzie w cerkwi odprawiono nabożeństwo żałobne, poczem przeciągnął ulicami Senatorską, Miodową, Długą, Lesznem i przez plac Saski, na którym jeszcze kilka mów wygłoszono, powrócił do sali obrad *Towarzystwa Patryotycznego.*

Manifestacya, acz nie naruszyła spokoju, duże uczyniła w całej Warszawie wrażenie i przyczyniła się do powzięcia uchwały, która była przedmiotem obrad sejmowych. Właśnie w chwili, kiedy Gurowski z podnóża kolumny Zygmuntowskiej wygłaszał gorącą mowę do ludu, Sejm nad ważną obradował uchwałą. Już dnia 20 stycznia poseł Roman Sołtyk, będący jednym z wice-prezesów *Towarzystwa Patryotycznego,* złożył u laski marszałkowskiej projekt, uznający dynastyę Romanowów za odpadłą od korony polskiej. Projekt ten odesłano podówczas do komisyi. Dnia 25 stycznia sprawa ta znowu znalazła się na porządku dziennym.

W dziejach Sejmu powstańczego pamiętna była to sesya.

Najpierw wysłuchano popartego dokumentami sprawozdania Rady Administracyjnej, Rządu Tymczasowego i dyktatora, poczem hr. Jezierski zdawał sprawę z działalności swojej w Petersburgu i posłuchania u cara. Jezierski wyjechał z Warszawy w chwili, gdy ludzie, stojący u władzy, zgodnie potępiali wybuch i ubolewali jeszcze nad skutkami, wywołanymi nocą 29 listopada. Przejęty duchem, panującym w wyższych sferach stolicy, Jezierski przedstawił Mikołajowi wybuch, jako smutne nieporozumienie, jako dzieło drobnej garstki zapalczywej młodzieży, podoficerów i uczniów. W relacyi swojej nie taił bynajmniej, że w ten właśnie sposób starał się przed Mikołajem usprawiedliwić zaszłe w Warszawie wypadki. Na te słowa Jezierskiego głuchy szmer niezadowolenia dał się słyszeć na sali, a publiczność, zapełniająca galeryę, w miarę nowych szczegółów sprawozdania, coraz głośniej zaczęła wyrażać swoje niezadowolenie. Niechęć ku mówcy rosła z każdą minutą. Ale Jezierski na chwilę się nie stropił i szczegółowo opowiadał dalej, jak starał się ułagodzić wzburzonego cara i jak odwoływał się do łaskawości carskiej. Tego było nadto dla podrażnionych relacyą słuchaczów. Z galeryi raz po raz zrywał się

okrzyk oburzenia i, jak ciężki kamień, spadał na głowę niestropionego mówcy. Posłowie również byli podnieceni i również przerywali relacyę.

„Niegodnie, niehonorowo!" [1])—wołali zapalczywi członkowie Sejmu. Roman Sołtyk groźnie szczękał pałaszem, a na twarzach tych, co niedawno myśleli tak samo, jak Jezierski, głębokie malowało się zakłopotanie. Atmosfera stawała się gorąca, przeczucie skandalu unosiło się w powietrzu. Ale Jezierski z zimną krwią ciągnął dalej swoje sprawozdanie. Przeszedłszy do słów, które na zakończenie pierwszego posłuchania wyrzekł do niego Mikołaj, tak te słowa streścił niefortunny pośrednik:

„...Winienem, jako król polski, przytłumić powstanie i ukarać winowajców... Lecz jeżeli Polacy uzbroją się przeciwko mnie i staną w gotowości do walki z wojskiem pana swego, natenczas oni sami i wystrzał z ich armat obalą Polskę i sami staną się odpowiedzialnymi za nieszczęścia swojej ojczyzny..." [2])

Słowa te wywołały nowe poruszenie. Ale wybuch powstrzymał Niemcewicz, któremu teraz właśnie udzielono głosu w związku z czytanymi na początku sesyi raportami Rady Administracyjnej i działalnością księcia Lubeckiego. Niemcewicz stanął w obronie byłego ministra skarbu, przytaczał jego zasługi, twierdził, że po 29 listopada Lubecki był w Radzie Administracyjnej jednym z najczynniejszych członków, a mowę jego, jak czytamy w Dyaryuszu sejmowym, „przyjęły Izby z uczuciem szacunku dla czcigodnego męża, wyższego nad wszelkie zarzuty". Teroryzm nazwiska historycznego skłonił Izby do milczenia i wstrzymał tłumiony wybuch oburzenia. Odczytano następnie list Jezierskiego do generała Benkendorfa, list, w którym Jezierski przytaczał mnogie przykłady pogwałcenia konstytucyi w Królestwie, wysłuchano dalszej relacyi o drugiem i ostatniem posłuchaniu u Mikołaja, poczem zabrał głos kasztelan Kochanowski i, stanąwszy w obronie Jezierskiego, nawoływał zebranych do unikania domowej niezgody i zbytecznej jednych przeciw drugim podejrzliwości". [3])

---

[1]) Barzykowski. Historya powstania. Tom II, str. 158.
[2]) Dyaryusz Sejmu, Tom I, str. 222.
[3]) Tamże str. 237.

Przemówienie Kochanowskiego wniosło do atmosfery podnieconej i gorącej nowe pierwiastki uspokojenia. Następnie przemówił Lelewel i, pomijając na razie relacye Jezierskiego, cofnął się do pierwszych dni powstania.

„Przy rozpoczęciu pamiętnej rewolucyi 29 listopada Mikołaj był jeszcze królem polskim, — mówił poseł żelechowski, — Rada Administracyjna na pierwszy odgłos powstania czynną się stała. Rząd pierwszej nocy przystąpił niejako do rewolucyi, ale w imieniu króla polskiego.

„Było wówczas tajemnicą, czy rewolucya jest narodowa, a tembardziej, czy przejdzie za granice Królestwa. Jej twórcy nie nieśli żadnego środka do objawienia swej myśli, rząd więc królewski musiał dopiero zgadywać rewolucyę. Nie wiem dobrze, czy źle się stalo, że dawny rząd pozostał, że z pierwszą chwilą powstania nie utworzył się nowy, rewolucyjny, to atoli pewna, że zrewolucyonizowanie się rządu do pewnego stopnia ułatwiło rozwinięcie rewolucyi". Wspominając następnie o rozmowie z w. księciem w Wierzbnie, przyznawał się Lelewel, iż wyraźnie mówił wtedy Konstantemu, że „cesarz Mikołaj, chcąc krwi rozlewu uniknąć, powinien stać się wspólnym ojcem dla obu głównych narodów, berłu jego podległych".

Niemniej ciekawe są poglądy Lelewela na działalność Lubeckiego i misyę Jezierskiego.

„Po powrocie deputacyi książę Lubecki sam chciał się z Rady wyłączyć, a pozostać przy ministrostwie skarbu. On zrewolucyonizował Radę Administracyjną, on podał projekt utworzenia Rządu Tymczasowego, on mówił mi, iż potrzeba natychmiast wyznaczyć posłów do dworów zagranicznych, dodając, że takowe objawienie Europie całej przyczyn i celów naszego powstania nie może być uważane za zupełne zerwanie z Mikołajem i Rosyą. Wspominając dalej o wysłaniu poselstwa do Petersburga, dodaje Lelewel, że „*przyzwoitość*... kazała zdawać raporta cesarzowi Mikołajowi, powiem nawet, że się z ich zdawaniem opóźniano, że należało je przez każdą pocztę przesyłać..."

„W ciągu dyktatury wznawiana była rzecz o prowincyach zabranych. Książę Lubecki upatrywał w rewolucyi wadę, że

się nie rozwinęła za granicę Królestwa; sądził, że jeżeli ma mówić z cesarzem o Litwie, należy wprzód wtargnąć do niej; że jeżeli rząd nie czuje się być do tego upoważniony, można tę sprawę ochotnikom zostawić.

,,Książę Lubecki, nie wiem, czy szczerze, ciągle to samo powtarzał. Dyktator zdawał się także wchodzić w sprawę narodową, Sam byłem kilkakroć pośrednikiem do czynności za Niemnem: ale ta myśl, przebijając się w dyktaturze uzurpowanej, znikła w uprawnionej od Sejmu. Jak dalece książę Lubecki szczerze wówczas działał, jak dalece trwa dotąd w swoich zamiarach, kto wiedzieć może? kto odgadnie?

,,Co do delegacyi posła Jana Jezierskiego, nie widzę, aby dopełnioną była, jak przystało. Wyznam, że na jego miejscu mówiłbym śmielej i otwarciej. Z drugiej jednak strony uważać trzeba, że Jezierski, opuszczając Warszawę w pierwszych dniach rewolucyi, nie znał jeszcze dokładnie stanu jej w kraju, nie wiedział i wiedzieć nie mógł o dalszem i późniejszem jej rozwinięciu.

,,Za przybyciem pułkownika Hauke popieraliśmy w Radzie i jednomyślnie uchwalili oświadczyć cesarzowi, że wyrzeczenie o prowincyach zabranych jest naglące, aby rozlew krwi mógł być wstrzymany. Zdaje się, iż tego cesarzowi wyraźnie nie powiedziano.

,,Sejm 18 grudnia okazał inną postać rzeczy. Sprawa prowincyi zabranych otwarcie była wprowadzona i podniesiona przez powszechne okrzyki na usłyszane wyrazy marszałka Izby poselskiej o nadziei połączenia w tejże Izbie z reprezentantami oderwanych od nas współziomków. Myśli te jeszcze wyraźniej ogłosił manifest; ale wyrzeczenie o królu do Sejmu pozostało. Sądziłem zaraz od początku, że możemy się upominać o prowincye zabrane, na fundamencie niezatartych praw naszych, na zasadzie uroczystych traktatów i wspólności interesu obu narodów. Wymówka cesarza Mikołaja, umieszczona w relacyi, iż nie przystoi mu kosztem jednego kraju drugi podnosić, krzywdzi nas i naród cały, jest fałszywa, bo cesarz Mikołaj, jeżeli chce być ojcem wszystkich poddanych, nie powinien jednych poświęcać drugim.

„Powtarzam, iż wojna w początkach rewolucyi nie zdawała się była stanowić rozbratu z Rosyą; powtarzam, iż ją doradzał książę Lubecki. Niechaj się wojna rozpocznie, mówił on, niechaj król konstytucyjny walczy z cesarzem samowładnym, a rewolucya przez to samo rozwinąć się musi".[1])

Oto jaką mowę wygłosił Lelewel w historycznym dniu 25 stycznia. Słynna ta mowa, niejednokrotnie później komentowana, potwierdza raz jeszcze fakt przemożnego wpływu, jaki Lubecki wywierał na uczonego. Znakomity profesor najzupełniej uległ dowcipnym sofizmatom biegłego dyplomaty i nawet po upływie dłuższego czasu nie umiał się jeszcze z sieci tych sofizmatów wyplątać. Ale najdziwniejszym jest ustęp, w którym Lelewel, moralny przywódca ruchu przedpowstaniowego, stwierdził, że rząd „musiał zgadywać rewolucyę", gdyż jej twórcy „nie nieśli żadnego środka do objawienia swej myśli". Odpowiada to istocie rzeczy, ale najzłośliwsza krytyka nie mogłaby się zdobyć na cięższy zarzut, godzący w prezesa pierwotnego klubu, niż własne słowa Lelewela: w jego bowiem mocy znajdował się ów „środek do objawienia myśli", którą wyrażała noc 29 listopada! Niepojętą również, zwłaszcza w owym pamiętnym dniu 25 stycznia wydaje się ocena działalności Lubeckiego i owa nieświadomość, czy źle, czy dobrze się stało, że natychmiast po wybuchu nie utworzył się nowy rząd rewolucyjny, lecz rząd stary pozostał u władzy. Wynika z tego oświadczenia, że po dwóch miesiącach zawodów, po wszystkich błędach Rady Administracyjnej i Rządu Tymczasowego, po spętaniu powstania przez dyktaturę, znakomity uczony nie wiedział jeszcze, czy stało się dobrze, że z władzy, przez Mikołaja ustanowionej i działającej w jego imieniu, rodziły się w ciągu dwóch miesięcy wszystkie nowe władze, mające powstanie rozwijać i prowadzić naród do walki z Mikołajem! A jakże charakterystycznem jest owo powołanie się na *przyzwoitość,* która nakazywała zdawać raporty cesarzowi. Jakże wiele mówi przypomnienie dowcipnego paradoksu Lubeckiego, który króla konstytucyjnego Mikołaja chciał uwikłać w walkę z Mikołajem, cesarzem samowładnym! Paradoks ten Lelewel

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej". Tom VII, str. 173 — 177.

traktował poważnie: wspaniała dyalektyka Lubeckiego przesłoniła uczonemu rzeczywistość i uniosła go w sferę fantazyi. Całe zresztą przemówienie jest kluczem, otwierającym tajnie polityki Lelewela. Od początku ruchu stanął na rozstajnych drogach, chwiał się w różne strony i bez wniknięcia w istotę położenia godził sprzeczności i na podobieństwo lunatyka chodził nieustannie nad przepaścią zginienia, nie przeczuwając nawet, jakie niebezpieczeństwo grozi sprawie, którą wkładano na jego barki, a której z najlepszą wolą i wiarą oddać się chciał całkowicie.

Mowę Lelewela później dopiero szeroko omawiali historycy. Krytykował ją Barzykowski[1]), szydził z niej Mochnacki[2]), a bronił Leon Dembowski[3]). Ale na posiedzeniu sejmowem jedynie Ledóchowski odpowiedział krótko, że dokumenty, będące w posiadaniu Sejmu, przeczą dobrym chęciom ministra skarbu[4]). Zresztą słynne to przemówienie przebrzmiało narazie bez wrażenia i nie wywołało dyskusyi. I nic dziwnego. Sejm w owej chwili więcej, niż mową Lelewela, zajęty był poruszeniem w mieście i odgłosami manifestacyi ulicznej. Marszałek Ostrowski, widząc wzburzenie sali, wywołane relacyą Jezierskiego i pogłoskami o rozruchach na mieście, zdecydował się na krok stanowczy. Wstał, by przemówić, a gdy ucišzyli się wszyscy, oświadczył uroczystym głosem, że nadeszła chwila decydująca. I śród skupionego milczenia zaproponował, aby komisye natychmiast wzięły pod rozwagę projekt detronizacyi, złożony kilka dni temu przez Romana Sołtyka u laski marszałkowskiej. Po marszałku zabrał głos brat jego, kasztelan Antoni Ostrowski, i stwierdził, że wobec pogwałcenia konstytucyi naród nie jest obowiązany do wierności względem Mikołaja. Przemawiał potem Franciszek Wołowski i przemówienie swoje zakończył okrzykiem:

— ,,Dziś jeszcze w obliczu Europy wyrzeczmy, że Mikołaj I przestał nad nami panować!''[5])

---

[1]) Historya Powstania... Tom II, str. 161.
[2]) Powstanie Narodu Polskiego. Tom II, str. 349 — 351.
[3]) Moje wspomnienia. Tom II. str. 154 — 155.
[4]) Dyaryusz Sejmu, Tom I, str. 242.
[5]) Dyaryusz Sejmu, Tom I, str. 243.

Na te słowa Jan Ledóchowski, obawiający się, że projekt ugrzęźnie w komisyach, a później utonie w powodzi wymowy poselskiej, postanowił szturmem zdobyć pożądaną uchwałę. Więc porwał się z miejsca i, rozpłomieniony własnym pomysłem, przystanął w rozkrzyżowanej postawie na środku sali, a gdy wszystkie oczy skierowały się ku niemu, wówczas swoim donośnym potężnym basem ryknął na całą salę:

— ,,Wykrzyknijmy więc wszyscy: niema Mikołaja!"

Efekt tego okrzyku był nadzwyczajny. Śmielszej natury posłowie również zerwali się ze swoich miejsc i zgodnym chórem zaczęli wykrzykiwać:

— ,,Niema Mikołaja! niema Mikołaja!"

A publiczność, stłoczona na galeryi, podchwyciła ten okrzyk i z niewypowiedzianem uniesieniem powtórzyła go kilkakrotnie[1]).

Tak to Polacy odpowiedzieli na groźbę, rzuconą im ze stolicy nad Newą.

Uchwała detronizacyjna, jako wyraz uczuciowy Sejmu, pozostanie nazawsze szacownym dokumentem w skarbcu pamiątek narodowych. Jej znaczenie agitacyjne było niewątpliwie duże i dodatnie. Ale w gruncie rzeczy uchwała ta w niczem nie zmieniła położenia, a po manifeście sejmowym do narodu, po przyjęciu adresu mieszkańców Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, nic już nowego nie wniosła. Miała natomiast złą stronę: przyśpieszyła pochód wojsk rosyjskich ku granicom Królestwa.

Na wniosek Ostrowskiego, Niemcewicz zredagował deklaracyę detronizacyjną. Naród polski na ,,Sejm zebrany, — brzmiał ten akt,—oświadcza, że jest niepodległym ludem i że ma prawo temu koronę polską oddać, którego godnym jej uzna, po którym z pewnością będzie się mógł spodziewać, iż

---

[1]) Dembowski twierdzi, że tylko część posłów przyłączyła się do okrzyku Ledóchowskiego. Zdaniem tego świadka, inni ,,senatorowie i posłowie w milczeniu, a nawet w *trwodze*, słyszeli podobne słowa, galirye zaś z zapałem wniosek ten popierały". (Moje wspomnienia, T. II str. 163). Inny ze współczesnych świadczy, że słowa Ledóchowskiego ,,jak gdyby wydobyły się z ust wszystkich obecnych, z niewypowiedzianem uniesieniem przez trybuny i członków obu Izb powtórzone zostały" (Kronika Emigracyi, Tom II, str. 381).

mu zaprzysiężonej wiary i zaprzysiężonych swobód święcie i bez uszczerbku dochowa"[1]).

Tak skończył się dzień 25 stycznia.

Wypadki dnia tego silnie oddziałały na Lelewela: groza nagiej rzeczywistości stanęła mu przed oczyma i wskazała mu właściwą dla narodu drogę. Jak gdyby dopiero teraz zrozumiał, że tylko w jeden jedyny sposób sprawa, podniesiona 29 listopada, może być rozstrzygnięta. Świadczy o tem dobitnie jego „Projekt do manifestu i wezwania do przysięgi z powodu osierociałego tronu"[2]). W projekcie tym od początku do końca odzywa się nuta męstwa i hartu, bez cienia wahań i wątpliwości, cechujących dotąd wszystkie wystąpienia uczonego.

„Waleczne rycerstwo!—wołał on w tej odezwie,—na was zawsze polegały wszystkie narodu nadzieje! na was się i dzisiaj opierają! Znana dzielność wasza, znane męstwo, którem pierś wasza oddycha, zetrą karki wroga i zatkną na dawnych krańcach ziem naszych orły i pogonie, zapewnią ojczyźnie wolność, całość i niepodległość!"[3]).

A końcowe słowa odezwy najlepiej ujmują istotę i rdzeń zagadnienia dziejowego:

„...Dziś nic nam nie pozostaje, tylko śmierć, albo zwycięstwo!".

Dzień 25 stycznia z innych jeszcze względów zasługuje na uwagę. W tym dniu pamiętnym z jednej strony lud Warszawy oddawał hołd Rosyanom, co w imię wolności chcieli zerwać pęta, na ich ojczyznę przez carów nałożone, z drugiej—Sejm ciskał rękawicę despocie, gnębiącemu oba narody. Powstała nawet myśl wzniesienia w stolicy Polski pomnika rewolucyonistom rosyjskim. (Ironia dziejowa chciała, że w Warszawie stanął później pomnik Paskiewicza!). A wypadki te natchnęły Lelewela myślą zaprojektowania odezwy sejmowej

---

[1]) Dyaryusz Sejmu, Tom I, str. 244.

[2]) W swojej *Nocie* biograficznej Lelewel powiada, że był przeciwny przysięgom, a to wychodząc z zasady, że gdy naród swój obowiązek dopełnia, przysiąg nie potrzeba". (RkS w Rapperswilu). Jednakże „Projekt" świadczy, że Lelewel chciał, aby wszyscy mieszkańcy, przystępujący do powstania, odezwę jego podpisywali.

[3]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom XX, str. 63.

do Rosyan. Ciekawa to odezwa! Twierdził w niej autor, że nic tak nie zacieśnia węzłów przyjaźni między narodami, „jak wzajem zaręczona wolność i swoboda”. Przypominał umowy, zawierane w imieniu obu narodów pomiędzy Jabłonowskim a Bestużewem i Pestlem, oddawał hołd „wielkomyślnym Rosyanom”, którzy na wolność sąsiednich i bratnich narodów nie nastają, i podsycał ambicye rewolucyonistów rosyjskich, dążących do uzyskania praw dla własnego narodu. Niegodna to rzecz, — pisał Lelewel, — „aby tak wielki i tyle znaczący naród słowiański, tylu barbarzyńskim ludom prawa dający, sam jeden był wyzuty z praw i swobód konstytucyjnych, które pozyskują wszystkie cywilizowane narody”. Odezwa kończyła się wezwaniem śmiałem, a nawskroś rewolucyjnem:

„Panująca nad wami dynastya Holsztyńsko-Gottorpska zawodzi was: nie możecie się spodziewać, ażeby się dobrowolnie wyrzekła władzy, której nadużywa. Powstańcie w sprawie waszej! My, o naszą się dobijając, waszej silnie dopomożemy. My, sejmujące wolnie, obie Izby, oświadczamy w obliczu Boga i ludzi, że nic nie mamy do narodu rosyjskiego, że nigdy na jego całość i bezpieczeństwo nastawać nie myślimy: pragniemy z nim w braterskiej zgodzie zostawać i w braterskie związki wchodzić, a czynić mu przysługi, jakich spólny interes obu narodów potrzebuje, do jakich każdy naród wolny z postępem światła jest powołany”[1]).

Pomysłem Lelewela było hasło, wypisywane później na sztandarach powstańczych, stawianych przed oczyma żołnierzy rosyjskich: „*Za wolność waszą i naszą!*”. Hasło to zyskało wielką popularność, ale projektowana przez Lelewela odezwa do Rosyan nie została przyjęta. Uwagi krytyczne, jakie uczynił nad nią książę Czartoryski, pogrzebały ją zapewne w komisyi. Czartoryski ujmował się za Aleksandrem, o którym lekceważąco wyrażała się odezwa, uważał nadto, że duma rosyjska niechętnie przyjmie rady od Polaków, że nie na miejscu jest wspominanie Pestla i innych rewolucyonistów. Czartoryski projektował inną krótką odezwę, któraby kończyła się „na obrazie sławy i pomyślności, jakieby mo-

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom XX, str. 64 — 69.

gły wyniknąć z braterstwa, zgody i cywilizacyi dwóch szczepów Słowiańszczyzny".

Ale i autor i jego krytyk, wyciągając po bratersku rękę do północnego sąsiada, poddawali się jeno czczym urojeniom. Rzeczywistość krwawo szydziła z idealizmu polskiego. Wbrew rozpowszechnianym po Warszawie pogłoskom, w Rosyi panowała cisza i nikt nie myślał o walce z despotyzmem, nikomu nie przychodziło do głowy, by zawrzeć sojusz braterski z powstającą Polską. Natomiast ku granicom Królestwa szedł już feldmarszałek Dybicz na czele potężnej armii, szedł, by żelazem i ogniem pomścić zniewagę, wyrządzoną mocarzowi północy. Zbliżała się godzina krwawych porachunków. Nie rozprawy w Sejmie, nie uchwały i nie odezwy, lecz zbrojna siła, wyprowadzona w pole, miała zadecydować o przyszłości Polski oraz o jej stosunku do narodu rosyjskiego i panującej w Rosyi dynastyi.

Tymczasem dla stworzenia tej siły bardzo niewiele dotąd uczyniono. Chłopicki z największą niechęcią przystawał na nowe zaciągi i całe tygodnie marnował na oczekiwaniu rezultatów, jakie miały przynieść układy z Petersburgiem. Nowy wódz, Radziwiłł zaledwie od kilku dni piastował swoje fikcyjne dostojeństwo, a wszystko, co dla pomnożenia siły narodowej uczyniono, nosiło na sobie wszelkie znamiona zarządzeń tymczasowych. Nie było ani faktycznego wodza, ani ministrów, ani rządu, był tylko Sejm, zalewany nieustannie potokami wymowy, których źródłem stawał się każdy błahy wniosek, każda najdrobniejsza sprawa. Sejm nadawał ton życiu publicznemu w stolicy. Sejm skupiał na sobie powszechną uwagę. A Sejm obradował normalnie, jakby w kraju niezagrożonym, jakby naród po wygranej wojnie urządzał się na byt bezpieczny, spokojny. Za przykładem Sejmu wszystko w stolicy tchnęło beztroską i spokojem. Niesłychanie ważna sprawa utworzenia rządu wlokła się na sesyach sejmowych powoli, ociężale, przerywana nieustannie mnóstwem spraw drobnych, pobocznych, nie mających nic wspólnego z zgrozą sytuacyi.

Taki stan rzeczy wywołał silny głos protestu w obozie rewolucyjnym. Protest ów podniósł Maurycy Mochnacki. Dnia 27 stycznia ukazał się w *Nowej Polsce* jego piorunujący arty-

kuł, przeciw Sejmowi zwrócony. Punktem wyjścia i osnową artykułu była uchwała detronizacyjna. „Dziecinnem postanowieniem” nazwał ją znakomity pisarz. I niesłusznie wskazywał dwuznaczność tej uchwały, gdyż sens jej był jasny i wyraźnie w Mikołaja godzący. Ale prorocze i słuszne były słowa, chłoszczące członków gadatliwego Sejmu:

„Ludzie, wyrwani z łona pokoju na burzę rewolucyi, czyż nigdy powołania swojego nie zrozumiecie? czyż do ostatka dni waszych mędrkować i politykować będziecie? czyż do ostatka trwać będziecie w mniemaniu, że reprezentujecie wolę i wyobrażenie nieszczęśliwego narodu? Kto mędrkuje nad przepaścią, źle czyni, bo zginie niepochybnie, i nikt nawet nad jego zgonem pochwalnego hymnu nie zaśpiewa. Zginie z musu, skutkiem własnej nieroztropności, a nie z natchnienia męstwa, które mężów zdobi. Dni wasze są policzone! wróg się zbliża z ogromnem wojskiem,—chce palić i niszczyć posiadłości wasze! a wy nicujecie i odważacie słówka... Wobec was, wobec całej Europy, w obliczu nieba i ziemi oświadczam wam, żeście się do tej roli, którą teraz sprawujecie, nie zrodzili. Dobrymi, poczciwymi ludźmi jesteście; jesteście nawet dobrymi Polakami, lecz nie wiecie tego, co czynić potrzeba w obecnej chwili... Jedną wam radę podaję: złóżcie namiestniczą narodu władzę; powróćcie do nicestwa, z którego was napróżno wyrwać chciała rewolucya”[1]).

Artykuł Mochnackiego ogromne uczynił wrażenie. Obraził członków Sejmu, oburzył spokojnych obywateli. Prasa warszawska zadzwoniła na trwogę i kamieniami potępienia cisnęła w śmiałka, który tak bezwzględnie i tak okrutnie zaatakował przedstawicieli narodu. Wincenty Niemojowski wziął w obronę „dostojnych reprezentantów” i, twierdząc, że artykuł *Nowej Polski* przejął wszystkich ludzi, dobrze myślących, „niesłychaną grozą” biadał ze szczerem oburzeniem prawego Rzymianina: „Już nawet i ojcowie ojczyzny, już mężowie, którzy tak szczerze podparli sprawę narodową, poświęcili jej majątki swoje, poświęcić gotowi życie; mężowie, co się unieśmiertelnili wielkimi i śmiałymi aktami... nie uszli przecie od

---

[1]) Pisma rozmaite, str. 4—5.

zapaleńców zniewagi... Cóż więc pozostanie nam świętego? Komuż oddamy losy nasze?"...[1])

Tak to posłowie, przypisując sami sobie dzieła nieśmiertelne, oburzali się na głos krytyki, wprawdzie namiętnej i gorącej, ale słusznej i usprawiedliwionej, a na nieszczęście dla powstania proroczej.

Nazajutrz, na posiedzeniu Izby poselskiej, jakby dla członków tej instytucyi nic na świecie nie było w owej chwili ważniejszego, rozpoczęła się namiętna dyskusya nad treścią artykułu *Nowej Polski.* Wszczął ją poseł Ledóchowski, a wszczął ją krzykliwie, brutalnie, posuwając swoje oskarżenia do haniebnych insynuacyi. Zaczął od tego, że na „bezimienną[2]) i szkaradną potwarz" nie można godniej odpowiedzieć, jak „milczeniem, pełnem wzgardy". Ale jakby dla ironii, wspomniawszy o milczeniu, zagrzmiał zaraz okrutnym gniewem i wołał na całą Izbę, że to „ruble rosyjskie i talary pruskie" skłoniły bezwstydnego autora do rzucenia owej nikczemnej potwarzy. „Burzyć i rozdwajać umysły, ku dobru publicznemu zjednoczone", oto cel artykułu, — wołał rozwścieczony poseł. Następnie zwrócił się przeciw Lelewelowi, który w owej chwili nie był jeszcze na sali obecny.

„Przykro nam widzieć między redaktorami tej gazety zamieszczone imię jednego z szanownych naszych kolegów. Pewni jesteśmy, że jemu ta nikczemna potwarz nie była bynajmniej wiadomą, ale prosimy go i mamy do tego prawo, by, jako reprezentant Narodu i dobrze myślący Polak, więcej nie należał do redakcyi pisma, czerniącego reprezentacyę narodową w oczach całego świata"[3]).

Po przemówieniu Ledóchowskiego gadatliwość Izby poselskiej popłynęła, jak potok, co rozwalił tamę i rwie pędem niewstrzymanym ku niewiadomej dali. Deputowany Franciszek Jabłoński wyraził mniemanie, że autor artykułu, skoro niema króla i Sejm go przedstawia, dopuścił się obelgi „majestatu". Poseł Jasieński wyraził przypuszczenie, że imię Lelewela, figurujące na czele redaktorów *Nowej Polski*, bez wia-

---

[1]) Kuryer Polski, № 405 z d. 28 stycznia 1831 r.
[2]) Artykuł wydrukowany był bezimiennie.
[3]) Dyaryusz Sejmu, Tom I, str. 328.

domości uczonego zapewne jest umieszczone. Klimontowicz domagał się wyśledzenia autora artykułu i ukarania go za obrazę majestatu. Przemawiali jeszcze Wincenty Gawroński, Ignacy Wężyk, Jan i Stanisław Jeziersey, Kaczkowski, Świdziński, Niesiołowski, Biernacki, Mazurkiewicz, a wielu z nich zabierało głos kilkakrotnie, jak gdyby w tej dyskusyi istotnie chodziło o byt lub niepodległość narodu. Podczas tej dyskusyi zjawił się Lelewel. Wówczas Franciszek Sołtyk zażądał od niego, aby oświadczył, że nie chce już należeć do redakcyi *Nowej Polski*.

Cóż czyni przewodnik młodzieży i współtwórca rewolucyi?

Nowa Polska była organem rewolucyonistów i nieoficyalnym organem *Towarzystwa Patryotycznego*. Franciszek Wężyk utrzymuje, że uczony był „duszą i opiekuńczym aniołem tego organu”[1], a opinię Wężyka wszyscy podówczas podzielali. Tymczasem Lelewel nie brał czynnego udziału ani w organizowaniu *Towarzystwa*, ani w stworzeniu *Nowej Polski*. Ale miał zobowiązania moralne względem młodzieży, która za jego zezwoleniem i pod jego firmą rozpoczynała walkę z niedołężnym Sejmem. W takiej sytuacyi nie pozostawało nic innego, jak stanąć naprzeciw burzy, zmierzyć się z wymową Izby i przeciwstawić jej swoje zdanie dzielne, mocne, niezachwiane. W ten sposób tylko mógł zaświadczyć swoją solidarność z młodzieżą. Miał zresztą i drugie wyjście: przyłączyć się do potępienia, które tak gwałtownie wypowiadali jego koledzy. W ten sposób tylko mógł odsunąć od siebie podejrzenia i usprawiedliwić swoją dalszą w Izbie poselskiej obecność. Ale w jednym i drugim wypadku trzeba było zdobyć się na krok stanowczy, pociągający za sobą poważne konsekwencye, trzeba było mieć zdanie ugruntowane i pewność wewnętrzną, że inaczej postąpić nie można. Niestety, takiego zdania i takiej pewności siebie nie miał Lelewel w działaniu politycznem. W stanowczej chwili opanowywał go lęk przed decyzyą i bezradność, a niemoc zamykała mu usta. Nigdy nie miał dosyć odwagi, by spalić za sobą mosty i nowych

---

[1] *Powstanie Królestwa Polskiego*, str. 31.

dróg szukać. I tym razem nie znalazł w sobie owej męskiej decyzyi, i tym razem postanowił rzucić kładkę pomiędzy dwa krańce i pozostać w zawieszeniu, pozostać w miejscu, które wskazały mu „okoliczności”. Zaskoczony interpelacyą Sołtyka, odpowiedział wymijająco: „Lubo z chęcią przyjąłem współpracownictwo w redakcyi *Nowej Polski*, nie miałem jednak szczęścia jednego nawet słowa napisać; gdy jednak Izba tego żąda, jużem napisał, aby imię moje z redakcyi wykreślono”[1]).

Taka odpowiedź, nie wyrzekająca nic o potępionym artykule, nie dawała pełnej satysfakcyi Sejmowi, nie mogła również zadowolić młodzieży, która miała prawo oczekiwać, że Lelewel stanie przynajmniej w obronie wolności słowa i wolności krytyki, że ujmie się za tymi, którzy go ogłosili swym wodzem, a których piętnowano w Izbie, jako zdrajców, kupionych przez wroga. Znowu więc Lelewel narażał się na zarzut dwuznaczności i znowu wzmacniał opasujący go zewsząd mur nieufności.

Odpowiedź Lelewela przebrzmiała bez echa, ale dyskusya, wywołana artykułem Mochnackiego, niewstrzymanym pędem toczyła się dalej. Stanisław Jezierski spróbował opamiętać zacietrzewionych posłów i deputowanych.—„Tracimy czas, — powiedział, — kiedy o rządzie mamy stanowić; wyrzeczmy, że innej materyi wnosić nie będziemy, póki ostatecznie względem rządu nie postanowimy”. Tak się odezwał głos rozsądku, ale nikomu nie trafił do przekonania. Po Stanisławie Jezierskim zabrał głos Jan Jezierski i, wspomniawszy, że *Gazeta Polska* wydrukowała przeciw niemu artykuł, żądał, aby za nim, Janem Jezierskim, Izba się ujęła. A poseł Jasieński, odpowiadając Stanisławowi Jezierskiemu, bronił toczącej się dyskusyi, gdyż, jak twierdził, „niema nic ważniejszego nad to, co rozdwaja naród”. Możnaby mniemać, iż poseł ten uważa, że uchwała Izby może zapobiedz rozdwojeniu. Zgodzono się wreszcie oddać całą sprawę pod rozpatrzenie zastępcy ministra sprawiedliwości, który, jak to było do przewidzenia, nie znalazł w rzeczonym artykule cech przestępstwa i całą sprawę umorzył.

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 332.

Tak skończył się skandal, wszczęty przez interpelacyę Ledóchowskiego. Nie ucierpiało na tym skandalu *Towarzystwo Patryotyczne*, ani *Nowa Polska*, ucierpiał tylko Lelewel.

Ale zakończenie skandalu nie zakończyło gadatliwości Izby, która, zamiast radzić o ustanowieniu rządu, w dalszym ciągu traciła czas drogi na jałowych a bezużytecznych rozprawach. Ciekawe i wymowne są wnioski, jakie w owym momencie dziejowym składano u laski marszałkowskiej. A więc Ignacy Wężyk złożył wniosek ,,o utrzymanie kokardy białej dawnych czasów, za narodową uznanej''; Walenty Zwierkowski ,,o oznaczenie, jaka kokarda jest narodową''; Wincenty Chełmicki ,,o stałe urządzanie wewnętrznych działań Izby''; Franciszek Chomentowski ,,o nakazanie wydrukowania kosztem rządu wyroku Sądu Sejmowego''[1]). Oto były kwestye, jakie w owej chwili uważano za najważniejsze! Gdy kraj był w niebezpieczeństwie, gdy pola i łany ojczyste deptały już stopy nieprzyjaciół, gdy miecz zniszczenia i pomsty zawisł nad narodem, naczelna władza tegoż narodu, Sejm miał toczyć w swem łonie boje o kolor kokardy, wodzić się o koszt wydrukowania wyroku Sądu Sejmowego, urządzać ,,wewnętrzne działania Izby'', słowem, zanurzać się w głąb czczości, stwarzać wkoło siebie próżnię i w próżni się obracać. I nie znalazł się nikt prócz Mochnackiego, ktoby tym ,,poczciwym ludziom'', tym ,,dobrym Polakom'', wyrwanym z ,,nicestwa'' przez noc 29 listopada, wytłómaczył, że powstanie musi zakończyć się klęską, skoro niem kieruje instytucya, niewątpliwie pełna najlepszych chęci, poczciwa i zacna, ale nieudolna, krzykacka, wrażliwa, jak dziecko, a ciężka, jak grzech przeciw ojczyźnie.

Ale Sejm, ogłosiwszy się nieustającym, ani myślał o zawieszeniu swoich czynności. Wspiąwszy się po szczeblach aktu detronizacyjnego na wyżyny władzy najwyższej, rozparł się na tych wysokościach i ani myślał z nich zstąpić. W ten sposób kwestya zakresu działań i kompetencyi nowego rządu w zasadniczych swych liniach była rozwiązana. Miał to być rząd, wyłoniony z Sejmu, od Sejmu zależny i Sejmowi pod-

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 338 — 339.

legły. Jakoż pod tym kątem widzenia pracowała komisya sejmowa, powołana do opracowania projektu o rządzie, pod tym kątem widzenia projekt komisyi rozpatrywały Izby. Był to punkt widzenia całkiem naturalny. Nieszczęście polegało nie na tem, że powstaniem kierował Sejm, ale na tem, że Sejm nie dorósł do swego zadania i nie rozumiał swej roli dziejowej.

Lelewel powiada, że ,,stosownie do projektu i decyzyi komisyi sejmowych redagował ustanowienia rządu. Chciał, aby rząd był odpowiedzialny: na to nie przyzwolono; chciał, aby członkowie Izby, co do rządu wejdą, w Izbie zasiadać nie przestali: to odrzucono... Udało mu się umorzyć ordery, zostawiając tylko krzyż wojskowy, udało się nadać rządowi miano *narodowego*. Od początku widział,—powiada o sobie Lelewel,— w zaszłej rewolucyi powstanie narodowe i utrzymywał, że z powszechnego wzruszenia wyniknąć muszą zmiany w socyalnych stosunkach. Nie przesądzając więc przyszłości, życzył, aby nie rozprawiano, czy królestwem, czy rzeczpospolitą Polska będzie, a wszystko przyodziać wyrazem narodu...''[1])

Z tych słów nie widać, by Lelewel zmierzał do tego, aby rządowi, który Sejm miał utworzyć, nadać siłę rewolucyjną i pozostawić możność nieskrępowanego działania. Inni członkowie komisyi również nie myśleli o utworzeniu rządu rewolucyjnego, a z góry można było przewidzieć, że obie Izby pójdą za głosem komisyi i mocno staną na straży swojej władzy zwierzchniczej.

Tak się też stało.

I oto po długich dyskusyach, przerywanych nieustannie sprawami małej wagi, a trwających dni cztery, projekt został nareszcie uchwalony. Ustrój nowego rządu urągał wszelkim zasadom logiki i zdrowego sensu. Możnaby powiedzieć, że Sejm wysilił się na to, aby płód jego był słaby i wątły, aby nie mógł przekształcić się w ciało energiczne, sprężyste, słowem, aby nowy rząd nie mógł rządzić tak sprawnie, jak tego wymagała chwila! Artykuł 4-ty przyjętej uchwały opiewał: ,,Sprawowanie władzy królewskiej, konstytucyjnej powierzonem zostaje Rządowi Narodowemu Królestwa Polskiego, o ile

---

[1]) *Nota* L-la. Rks. Rapperswilu.

niniejsze prawo ją zakreśla; reszta władzy takowej zostaje przy obu Izbach"[1]). Czem była ta reszta władzy, którą tak troskliwie członkowie obu Izb dla siebie zachowywali, świadczy o tem szereg postanowień, uchwalonych na posiedzeniu sejmowem dnia 8 lutego. „Nim naród w Sejmie obierze króla,— tak jedno z tych postanowień brzmiało, — wykonaną będzie przysięga Sejmowi, naród reprezentującemu, przy którym teraz prawa majestatu zostają"[2]). W ten sposób Izby oddawały władzę królewską rządowi, ale prawa *majestatu królewskiego* zatrzymywały przy sobie. Oto co miała znaczyć „reszta władzy", przy Sejmie zostawionej. Wynikało z tego, że rząd reprezentuje konstytucyjnego króla, ale bez jego majestatu, a Sejm—majestat królewski i władzę zwierzchniczą nad rządem. Czemże więc był rząd, jakież przysługiwały mu prawa? Nie miał praw królewskich, bo te dzielił z Sejmem, nie miał władzy wykonawczej, bo ta oddana została ministrom odpowiedzialnym. Rząd miał tylko prawo mianować urzędników aż do ministrów włącznie, ale na to, aby postanowienia rządu otrzymały moc wykonawczą, musiały być „kontrasygnowane przez jednego z ministrów, który jest *odpowiedzialnym* za kontrasygnowanie postanowienia". Ale nie dość tego! Artykuł 5-ty opiewał co następuje: „Rząd Narodowy składać się będzie z prezesa i czterech członków... W niebytności prezesa zastąpi go członek, najwięcej przy wyborze kresek mający. Działania rządu w komplecie najmniej trzech odbywane i większością rozstrzygane będą. Jeżeli zajdzie równość głosów, członek, najmniej kresek mający, wyjść powinien. Gdy wódz naczelny, stosownie do artykułu 9 ustawy sejmowej z dnia 24 stycznia r. b. zasiadać będzie w rządzie, wówczas w razie równości głosów wyjść ma również ten członek, który przy wyborze najmniej miał kresek"[3]).

Oto jakie arcydzieło opracowały i przyjęły Izby!

Takiego rządu i takiego ustroju państwowego nie było chyba na świecie! Monarchia konstytucyjna bez monarchy,

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 365.
[2]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 559.
[3]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 366.

rząd bez władzy wykonawczej, ministrowie, nie wchodzący w skład rządu, ale za jego czynności odpowiedzialni, wódz naczelny, będący członkiem rządu, ale poza rządem stojący, a obdarzony władzą rozległą, pozwalającą mu przeciwstawiać się rządowi, a nad tem wszystkiem zwierzchnicze prawa majestatu królewskiego, wcielone w instytucyę zbiorową, rozdzieraną krzykactwem, szarpaną rozterkami, oto był ów misterny mechanizm, który miał rządzić powstaniem! Uchwała nie pominęła żadnego szczegółu, przewidziała nawet sposób na wypadek, gdyby równość głosów przeszkodziła rządowi powziąć decyzyę. Lecz cóż to za szczególny sposób! Najdowcipniejszy komedyopisarz francuski nie mógłby wpaść na pomysł tak godny satyry, jak ten, który uchwaliły Izby. Ów członek rządu, wychodzący za drzwi, ile razy głosy podzielą się równo, był jakąś karykaturą z komedyi, a jakże łatwo mógł się był stać pośmiewiskiem i skandalem publicznym. Na szczęście, rzeczywistość zawiodła przewidywania Sejmu: „wychodzący" członek rządu nie potrzebował korzystać ze swoich szczególnych zaiste przywilejów!...

Na drugi dzień po przyjęciu projektu, ustanawiającego Rząd Narodowy, Izby połączone wybrały na prezesa rządu księcia Adama Czartoryskiego, poczem przystąpiły do wyboru czterech pozostałych członków. Pewny był wybór posłów kaliskich: Wincentego Niemojowskiego i Teofila Morawskiego. Co do dwóch innych poważne zachodziły wątpliwości. W pierwszem głosowaniu największą ilość wotów otrzymali Niemojowski i Morawski. Lelewel miał za sobą 69 głosów, Barzykowski—67, kasztelan Wodziński — 62, Pac — 27. Kandydatury trzech ostatnich, ponieważ żaden z nich nie miał przepisanej liczby kresek, raz jeszcze poddano głosowaniu. Obierano większością głosów, a że głosujących było 138, trzeba było przeto otrzymać 70 kresek, aby być wybranym. Powstała jednak wątpliwość, czy wybrany został Lelewel. Wątpliwość tę podniósł Ledóchowski, utrzymując, że Lelewelowi do wyboru brak jednej kreski. Za utrzymaniem wyboru przemawiali Franciszek Wołowski, Leon Dembowski i kilku senatorów, wychodząc z zasady, że nie należy liczyć kreski, oddanej przez samego Lelewela.

Wówczas „szanowny Lelewel, unikając wszelkiej wątpliwości w tak ważnym przedmiocie, sam prosił o powtórne wotowanie”...[1])

Prośbie stało się zadość. W nowem głosowaniu Barzykowski otrzymał 90 wotów, Lelewel—73, a więc tym razem znacznie mniej, niż poseł ostrołęcki. Z trudem tedy został członkiem Rządu Narodowego i to tym właśnie, którego równość głosów stawiała poza nawiasem wszelkiego wpływu. *Nowa Polska* szydziła, że Lelewel, jakby na przykrą chorobę skazany, cztery razy na dzień z rządu będzie musiał wychodzić. W każdym razie wybór dowodził, że znakomity uczony dość miał jeszcze uznania i powagi w gronie swoich kolegów sejmowych. W części przecież nową godność zawdzięczał tryumfującej w kole sejmowem zasadzie, że rząd powinien odzwierciadlać wszystkie *principia*, jakie ujawniła rewolucya. Dla wyznawców tej zasady ks. Czartoryski i Barzykowski, w którym dostrzegano zwolennika księcia, reprezentowali żywioł umiarkowany i dyplomatyczny, w kaliszanach widziano stróżów praw konstytucyjnych, w Lelewelu—twórcę i naczelnika rewolucyi[2]). Ogół sejmowy przeceniał jego działalność, znaczenie i wpływy w obozie rewolucyjnym. Lecz jakiekolwiekbądź pobudki ożywiały Izby, faktem jest, że zamiast dążyć do jedności władzy rządowej, uczyniły ze swej strony wszystko,

---

[1]) Kuryer Polski № 408 z d. 31 stycznia 1831 r.

[2]) Przytoczona przez Mochnackiego wersya, jakoby na wybór Lelewela wpłynęła plotka o szubienicy, rzekomo na jego rozkaz w czasie wyborów wznoszonej, jest bardzo mało prawdopodobna. Natomiast bardzo charakterystyczny jest artykuł, który Mochnacki wydrukował w *Nowej Polsce* z dnia 6 lutego, o nowym Rządzie Narodowym. W artykule tym nazwał Lelewela *„rozmnożycielem i patronem rewolucyjnych w Polsce wyobrażeń”*, twierdził, że opinia przeznaczała uczonemu pierwsze miejsce w rządzie, utrzymywał, że gdyby nie Lelewel, powstanie do dalszego czasu byłoby odłożone, wreszcie nazwał go *autorem nocy 29 listopada.* „On pierwszy, — pisał Mochnacki, — zwrócił na siebie uwagę wojskowej i cywilnej młodzieży. Ośmielił odważnych, pobudził nieśmiałych, zaszczepił ufność w sercach wątpiących”. Artykuł ten świadczy, jak wielką wagę jeszcze młodzież rewolucyjna przywiązywała do obecności Lelewela w rządzie. Przesadne znaczenie, jakie Mochnacki przypisuje wpływom uczonego na wybuch listopadowy, jest niewątpliwie tendencyjne. Mochnacki wiedział dobrze, że Lelewel nie odegrał przypisywanej mu roli, ale najwidoczniej chodziło mu o to, aby podnieść w owym czasie autorytet Lelewela. Później, w historyi powstania, ten sam autor inaczej, bo z ogromną dozą krytycyzmu oceniał działalność Lelewela w powstaniu.

aby ją złożyć z pierwiastków różnolitych, skazać na wewnętrzne tarcia, spory, nieporozumienia, słowem, upodobnić do własnej działalności i własnego składu. Wyborem pięciu ludzi, którzy reprezentowali trzy różne obozy, Sejm wykroczył przeciw zasadzie siły i własny swój bezwład tchnął w nową władzę.

A Lelewel raz jeszcze stawał u szczytu. Nowe dostojeństwo nie napełniło go pychą. Nie pomyślał przez chwilę o blasku zewnętrznym. Nie wyniósł się ze swojego domu[1]) przy ulicy Długiej, w którym w dalszym ciągu zamieszkiwał skromne mieszkanko, zrzekł się na rzecz sprawy narodowej pensyi, jaka mu przypadała, jako członkowi rządu, pozostał uczonym-filozofem o najskromniejszych potrzebach życiowych. Udział we władzy kierowniczej nakładał na niego odpowiedzialność olbrzymią. Niestety, dotychczasowa działalność wielkiego historyka nie wróżyła, że na nowem stanowisku zdoła odpowiedzieć wielkiemu zadaniu. Chcąc jednakże ocenić jego postępowanie i jego rolę w Rządzie Narodowym, trzeba przedewszystkiem rozpatrzeć się w składzie nowej władzy, w samych ludziach, z którymi związała go można wola losu.

---

[1]) Dom przy ulicy Długiej, przy podziale majątku rodzicielskiego, co, jak świadczy Prot Lelewel w swoich pamiętnikach, nastąpiło w r. 1822, został własnością Joachima. W roku 1822, — pisze Prot — „przyjazd Joachima miał więcej, jak jeden cel — doprowadził on do skutku dawno zamierzony dział majątku rodzicielskiego... Miał w tem najwięcej na widoku wyposażenie sióstr, oraz abyśmy mieli własność, a z nią tytuł”. Prot otrzymał z podziału Wolę Cygowską, pozostając winnym braciom po 8.000 złp. — Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.

XIII.

RZĄD NARODOWY.

Najwybitniejszą indywidualnością polityczną, jedynym człowiekiem, którego imię i działalność znano szeroko poza granicami Królestwa, był w Rządzie Narodowym książę Adam Czartoryski. Jako rosyjski minister spraw zagranicznych, jako osobisty przyjaciel cara Aleksandra, jako jeden z współuczestników Kongresu Wiedeńskiego, wreszcie jako przedstawiciel głośnego w Europie nazwiska, wiązanego nieraz z pretensyami do korony polskiej, był Czartoryski w porównaniu do innych członków rządu niezaprzeczoną potęgą. Znały go rządy zagraniczne, znał go dobrze Petersburg, znała cała Polska. Władny swoimi stosunkami, potężny wielkim majątkiem, uzbrojony w długie doświadczenie i znajomość polityki wszystkich gabinetów w Europie, miał wszelkie dane zewnętrzne po temu, aby władzę pochwycić silną dłonią i samemu stać się sternikiem nawy rządowej. Ale te dane zewnętrzne paraliżowane były przez wady i cechy charakteru, jak również przez przeszłość, która niezatarte ślady pozostawiła na umyśle i duszy możnego magnata. Uczuciowy stosunek Czartoryskiego do tej przeszłości zabarwiał teraźniejszość, przesycał ją drogiemi wspomnieniami, napełniał serce smutkiem i goryczą. Młodość księcia upłynęła na dworze petersburskim. O Polsce lata całe myślał nie inaczej, jak przez pryzmat swych złudzeń i nadziei, pokładanych w przy-

jacielu swoim, carze Aleksandrze. Nawet wtedy, gdy naród cały poszedł za Napoleonem, książę nie rozstawał się ze swemi złudzeniami. Łączenie sprawy polskiej ze sprawą Rosyi stało się jego nałogiem myślowym, jego przekonaniem i wiarą. Wiarę tę podrywały wypadki, szydziła z niej jawna oczywistość, a jednak w głębi duszy Czartoryskiego tkwiła pewność, że tylko w związku z Rosyą i przy pomocy Rosyi Polska pomyślnie kwitnąć i rozwijać się może. Noc 29 listopada była w jego oczach i klęską narodową i osobistem nieszczęściem. Podpisując akt detronizacyjny, wyrzekł ze smutkiem do braci Ostrowskich:

— „Zgubiliście Polskę!" [1]).

Kajetan Koźmian opowiada, że gdy w pierwszych dniach rewolucyi przyszedł na sesyę senatu, zastał Czartoryskiego z zasmuconą twarzą. Spostrzegłszy Koźmiana, wziął go pod rękę, „zaprowadził pod okno i, chwyciwszy się za głowę rękami, rzekł:

— „Jak my tu wybrniemy z tego nieszczęścia?... Gdyby... Francya, Turcy, albo Austrya nas wsparła... możeby coś niespodziewanego nastąpiło..." [2]).

Czartoryski nie wierzył w zwycięstwo. W akcie detronizacyjnym widział śmiertelną obelgę, ciśniętą dynastyi Romanowów, a wiedział dobrze, co znaczy osobiście dotknąć Mikołaja. Rozumiał, że w razie niepowodzeń oręża polskiego detronizacya przetnie drogę odwrotu, a w razie przegranej dopełni miary okrucieństw i zemsty, na której łup cały kraj będzie wydany. Od pierwszych chwil powstania źle wróżył rozpoczętemu dziełu. Wybuch napełnił go trwogą, a dalsze wypadki ani razu nie opromieniły jego duszy radosnem wzruszeniem. Czuł się dobrze, gdy zasiadał przy nim niewyczerpany w pomysłach swoich Lubecki i działaniami swojemi zachował rewolucyę. Ale gdy Lubeckiego nie stało, a idea powstańcza coraz szersze zataczała kręgi, Czartoryski nie znalazł w sobie dość siły, by stanąć wpoprzek fali i zagrodzić

---

[1]) Barzykowski. Historya powstania, Tom II. str. 165. Mochnacki i Dembowski również te słowa Czartoryskiego cytują.

[2]) Pamiętniki. Oddział III, str. 480.

jej drogę. Nie miał odwagi i prostoty żołnierskiej Chłopickiego i nie posiadał giętkości ministra skarbu. Pogodził się z powstaniem, jako z koniecznością, ale się do powstania nie przekonał, ale z trwożnemi przeczuciami i smutkiem patrzył w blizką przyszłość. Jego mowa, wypowiedziana 30 stycznia na posiedzeniu Izb połączonych, przepojona jest łzawą melancholią, przesycona niepewnością i lękiem:

„Polegamy z chlubą na niezłomnem męstwie naszych rycerzy; jednakże nie należy ukrywać tej prawdy, że losy wojny są zawsze niepewne. Jeśli Bóg da nam pierwsze zwycięstwo, łatwiej będzie działać. Lecz mężni rycerze! prawi Polacy! Rząd i wy, szanowni narodu reprezentanci, powinniście być przygotowani także przeciwne znosić wypadki; *w klęskach* dopiero, które jednak może nigdy nie nastąpią, *w klęskach*, mówię, pokazać się może cała stałość nasza i prawdziwa miłość Ojczyzny; *po przegranej* zwolna ustępować kroku i zawsze odpierać napady jest największem męstwem żołnierza. *Po przegranej* nigdy nie rozpaczać jest najwyższą cnotą rządu i obywatela" [1]).

Przeczucie klęski oto było owo okropne, a paraliżujące wszelką energię wrażenie, jakiemu poddawał się książę Czartoryski. „Na dnie duszy był przekonany i wszystko go ostrzegało, — powiada Władysław Zamoyski, — że jakichkolwiekbyśmy się chwycili środków, nie otrzymamy ostatecznego zwycięstwa [2]).

Przystępował tedy Czartoryski do sprawowania swoich czynności z zupełną niewiarą w dzieło, które miał ocalić, z przeświadczeniem o złym ustroju rządu, któremu miał przewodniczyć, wreszcie z przekonaniem wewnętrznem, że nie posiada dosyć sił po temu, aby być głową powstania.

— „Ludzie, — powiedział 30 stycznia, — którzy przeżyli trzy czwarte części wieku swojego, a do tych rzędu i ja należę, dopełnili już, co mogli. Na spokojne czasy mogą być zdatni, w teraźniejszych dzielniejszym od siebie ustąpić powinni" [3]).

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 388.
[2]) Jenerał Zamoyski. Ton II, str. 88.
[3]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 381.

Słowa były słuszne. Czartoryski nie nadawał się na przywódcę rewolucyi. Rozumiał to sam, choć nie wszyscy współcześni to rozumieli. Monarcha konstytucyjny, król polski, oto, zdaniem Mochnackiego, w tym dziejowym momencie, było powołanie księcia Adama, jego właściwa pozycya, jego jedyne stanowisko, na którem mógł jeszcze dźwigać sprawę powstania i sprawę swojej dynastyi. Skoro Sejm określił ustrój Królestwa, jako monarchię konstytucyjną, to już majestat królewski nieporównanie więcej pasował do Czartoryskiego, niż do obu Izb poselskich. Ale Czartoryski, edukowany pod okiem Katarzyny, Czartoryski, towarzysz młodych lat Aleksandra, później jego przyjaciel, doradca i minister, a później jeszcze lojalny poddany Mikołaja, przedzierzgnięty nagle w przywódcę rewolucyi polskiej, idącej w bój śmiertelny przeciw potędze carów rosyjskich, to był kontrast zbyt silny z całą przeszłością księcia, z całem jego usposobieniem, temperamentem, ze wszystkimi nałogami myślenia. Jako człowiek światły i wykształcony, mógł w ,,spokojnych czasach" oddać jeszcze niepospolite usługi swojemu społeczeństwu. Dał tego niezapomniany dowód na urzędzie kuratora okręgu wileńskiego. Ale rządzić wtedy, gdy chwila wymagała środków gwałtownych i niezwykłych, gdy kraj cały należało przemienić w jeden olbrzymi obóz, pałający niezłomną wolą zwycięstwa, natężyć wszystkie siły narodu do granic ostatecznych, ruszyć z temi siłami naprzód, jak burza niszcząca, żywiołowa, niczem niewstrzymana, to było zadanie, przechodzące zakres możności spokojnego arystokraty. Czartoryski, człowiek łagodny, miękki, umiejący zjednywać i pociągać ku sobie serca, nie był bynajmniej pozbawiony energii i umiejętności rządzenia. Ale nie z takiem, jak jego, usposobieniem i nie na takie czasy mogły wystarczyć te jego zalety. Niewiara we własne siły i siły narodu paraliżowała jego energię. Władzę, której podołać nie mógł, przyjął powodowany źle zrozumianem poczuciem obowiązków obywatelskich. Władza ta była w jego oczach niedostateczna, dziwaczna, słaba, a jednak mimo sprzyjające okoliczności nie umiał zażądać, a choćby nawet wydrzeć, czy wymusić na Sejmie oddania sobie takiej władzy, jakąby sam wolą swoją zakreślił. Słusznie powiada

Zamoyski[1]), że inicyatywa nie leżała w jego charakterze. I słusznie mówi inny ze współczesnych, że nie nadawał się do „kierowania rządem pośród wzburzonych namiętności i pośród nagłych wypadków”[2]). To nie był zwycięzca, jakiego wymagała chwila. To nie był wódz powstającej Polski. To był tylko światły obywatel kraju, wytrawny dyplomata, ostatni wielki pan wielkiego niegdyś narodu, ale nie mąż, jakiego wymagała chwila, na stanowisku prezesa rządu powstańczego.

A członkowie rządu, którym w tak trudnych okolicznościach miał przewodniczyć, wszyscy nowicyusze w zakresie sterowania nawą państwową, stanowili trzy przeciwieństwa, dalekie od wytworzenia harmonii, niezbędnej, by machina państwowa działała szybko, sprawnie, energicznie.

Najbliżej systemu i wyobrażeń Czartoryskiego stał poseł ostrołęcki, Stanisław Barzykowski, Człowiek jeszcze młody, bo lat 38 liczący, wcześnie rozpoczął swój zawód polityczny. W r. 1808 pracował w kancelaryi Rady Stanu, w dwa lata później mianowany został sekretarzem Wydziału Skarbowego, zaś w r. 1811, a więc jako młodzieniec dwudziestoletni awansował na sekretarza protokulistę samej Rady Stany. Potem przerwał karyerę urzędniczą i wyjechał za granicę, by wypełnić luki w swojem wykształceniu. Był jakiś czas w Berlinie i na uniwersytecie tamtejszym słuchał wykładów Fichtego, następnie odbywał studya w Heidelbergu. Do kraju powrócił w r. 1818[3]). Od r. 1825 piastował mandat poselski powiatu ostrołęckiego. W Izbie zwrócił na siebie uwagę wymową gorącą i namiętną, nieraz przesadną i egzaltowaną, ale czyniącą na braci szlacheckiej wrażenie dostatecznie silne, by wyrobić sobie śród niej sławę znakomitego mówcy. W gruncie rzeczy należał do ludzi o najlepszych chęciach i najlepszych zamiarach. Niestety, był jednocześnie napuszoną miernotą, pozbawioną wszelkiego polotu i bystrzejszego na sprawę powstania poglądu. Był to pyszny paw, roztaczający z powodzeniem

[1]) Jenerał Zamoyski. Tom II, str. 88.
[2]) Franciszek Wężyk. Powstanie Królestwa Polskiego, str. 36.
[3]) Rocznik T-wa Hist.-Literackiego w Paryżu, 1870 — 2, str. 572 — 3.

barwne pióra swojego krasomówstwa. Ale był to paw z pretensyami orła. Porywczy i nietaktowny, lubił przyoblekać się w majestatyczną powagę i z wyżyn swojego dostojeństwa spoglądał uroczyście na ludzi i wypadki. Powołany do rządu, uwierzył odrazu w mądrość polityczną księcia Czartoryskiego i stał się jego echem. Uwierzył później w echo i, widząc wielkość w Czartoryskim, widział wielkość i w sobie. Jego pamiętniki, nazwane przez wydawcę „Historyą Powstania Listopadowego", a pisane na emigracyi, są apologią prezesa Rządu Narodowego i apologią samego autora, który przez cały czas powstania zawsze miał racyę, wszystko przewidział, wszystkiemu chciał zaradzić, wszystko mógł uratować, ale niczemu nie zaradził i nic nie uratował. To dzieło, nieraz obrazowe, pisane żywo, barwnie, ale niesłychanie przewlekłe, pełne słów wielkich i szumnych, ale pustych, jak kłosy, z ziarna wyłuskane, jest najlepszą charakterystyką autora. Wszystkich, co ośmielili się krytykować ostrzej działalność Rządu Narodowego lub Sejmu, Barzykowski bezceremonialnie odsądza od patryotyzmu, jeżeli nie odsądza od wszelkiej czci i wiary. Żywi straszną pogardę dla Mochnackiego, z największą irytacyą wspomina działaczów z Towarzystwa Patryotycznego. Całą duszą nienawidzi Lelewela. Przekręca fakty, zmienia dowolnie tekst dokumentów, na które się powołuje, ale przytacza w cudzysłowie całe dyalogi, jakie z różnemi osobami toczył. Mało jest prac, poświęconych dziejom powstania listopadowego, tak pełnych sprzeczności, tak obfitujących w lekkomyślne wnioski i czcze urojenia! Cechuje to dzieło surowość Katona i bezwzględna zarozumiałość nie znającego miary szlachcica. Barzykowski nawet w wiele lat po upadku powstania nie stał się owym przysłowiowym mądrym po szkodzie Polakiem. Cóż dziwnego, że w czasie trwania wojny narodowej nie wykazał potrzebnego męstwa i rozumu stanu, owych zalet, na które tak często powołuje się w swojem dziele! Nawet na placu boju nie brak mu było dzielności: z jakąż to pychą opowiada o swojej roli w słynnej bitwie pod Iganiami.[1]) Mogłoby się na zasadzie tej opowieści zda-

[1]) Historya powstania. Tom III, str. 161,

wać, że Barzykowski bitwę tę wygrał, a jeśli nie wygrał, to przynajmniej stał się natchnieniem Prądzyńskiego. Tymczasem Prądzyński, nie żywiący bynajmniej pogardy żołnierskiej dla ludzi cywilnych, przedstawia Barzykowskiego, jako człowieka, zupełnie pozbawionego odwagi wobec niebezpieczeństw na placu bitwy.

Taki człowiek, jak Barzykowski, nie mógł być Czartoryskiemu pomocą rzetelną, istotną: nie był mu przecież zawadą.[1])

Poważniej, niż Barzykowski, przedstawiał się Wincenty Niemojowski, przywódca posłów kaliskich, którzy na sejmach poprzednich wywoływali gniew Mikołaja i do wściekłości doprowadzali Konstantego. Kaliszanie szli zwartą ławą i, aczkolwiek nie stanowili zorganizowanego stronnictwa, powszechnie partyą kaliską ich nazywano.

Wincenty Niemojowski, wychowaniec księży Pijarów w Warszawie, słuchał potem wykładów prawa na uniwersytetach w Halli i Erlangen. Był miłośnikiem literatury pięknej, wielbicielem dzieł starożytnej Romy i obrońcą klasycyzmu. Wymowę swoją, którą miał z czasem zasłynąć, kształcił na wzorach mówców rzymskich. W polityce szedł za światłem Beniamina Constansa, autora słynnego dzieła p. t. *Cours de politique constitutionelle.* Był tego dzieła tłómaczem, a jak wielką do pracy tej przywiązywał wagę, świadczy o tem fakt, że zaraz w pierwszych dniach powstania dzieło to w tłómaczeniu swojem odesłał do druku.[2]) Za ideał ustroju państwowego uważał monarchię konstytucyjną, a prawa, konstytucyą zakreślone, za jedyną opokę, na której obywatele kraju mogą wznosić gmach wszelkiej pracy publicznej. Wraz z bratem swoim, Bonawenturą, stanął mocno i odważnie w obronie konstytucyi podczas obrad Sejmu w roku 1820 i od tego czasu cieszył się szacunkiem i sympatyą niezależnej opinii kraju. W dwa lata później, ujął się za majorem Radońskim, oskarżonym o należenie do związków tajnych i nieprawnie

[1]) W przypiskach niejednokrotnie wykazuję sprzeczności, zawarte w dziele Barzykowskiego, o ile dotyczą Lelewela.

[2]) Kuryer Polski № 409 z d. 1 lutego 1831 r. Dzieło to wydał Niemojowski p. t. „O monarchii konstytucyjnej".

aresztowanym na rozkaz Konstantego. Obiecał sprawę Radońskiego wytoczyć na najbliższym Sejmie, ale nie czekając aż się Sejm zbierze, wystosował zaraz list protestacyjny do namiestnika Zajączka. Sprawa oparła się o Petersburg. Zajął się nią sam Aleksander i, oburzony śmiałością Niemojowskiego, polecił oświadczyć butnemu posłowi, że zabrania mu znajdować się kiedykolwiek w pobliżu swojej cesarskiej osoby. Ale uparty szlachcic wziął na kieł i ani myślał stosować się do carskiego życzenia. Gdy w roku 1825 Aleksander zjechał na Sejm do Warszawy, przyjechał jednocześnie i Niemojowski. Lecz przed samą rogatką miejską czekała go niespodzianka. Oto w. książę kazał go aresztować i pod eskortą żandarmów odstawić na wieś do własnego majątku.

Odtąd uwięziony był we własnym domu i skazany na nieustanne szykany policyi. Chcąc zerwać łańcuchy prześladowań, wyprzedał swoją majętność w Kaliskiem, nabył własność w W. Księstwie Poznańskiem, następnie zaś, jako obywatel Księstwa, odmówił złożenia przysięgi na wierność Mikołajowi![1]) W ten sposób pogłębił niełaskę carską, a śród społeczeństwa jeszcze żywszą zyskał sympatyę. Sześć lat z górą przesiedział w domu swoim pod strażą. Dopiero po nocy 29 listopada odzyskał swobodę ruchów i mógł przyjechać do Warszawy.

Charakteryzując Niemojowskiego, Mochnacki powiada, że ,,była to sama uczciwość, sama cnota, same obywatelstwo, bez żadnego jednak, szczególniej przy ułomności słuchu, do naczelnego steru usposobienia".[2]) A Kajetan Koźmian tak o nim mówi: ,,Głuchy, z trąbką blaszaną u ucha, postawy niekształtnej, ułomny, a śmiały aż do zbytku, tem był trudniejszy do zwalczenia, że mu głuchota przeszkadzała słyszeć dokładnie obrony i przekonania się. Upór więc jego, jakby pod tarczą Achillesa, chodził w tej głuchocie..."[3])

Główną jego wadą była doktryna konstytucyjna, którą otoczył się, jak murem nieprzeniknionym, a nieprzystępnym

---

[1]) Kronika Emigracyi. R. 1835, str. 295 — 7.
[2]) Powstanie Narodu Polskiego. Tom II, str. 379.
[3]) Pamiętniki. Oddział III, str. 45.

dla żadnej innej myśli i żadnego rozumowania, o ile tylko nie mieściło się ono w ramach jego doktryny. Był legalistą. Wszystkie zjawiska rozpatrywał pod kątem widzenia praw konstytucyjnych i nawet powstanie samo chciał ulegalizować i wtłoczyć w ramy konstytucyi. Z głębokiem poczuciem godności osobistej łączył niczem niewzruszone poszanowanie dla swojej teoryi i na tym punkcie gotów był posunąć się do absurdu. Stanowił typ męża niezłomnych zasad, ale zasad, oderwanych nieraz od gruntu rzeczywistości. Wszystko wkoło niego mogło się zmienić, wszystko w nowe przyoblec się kształty, tylko jego doktryna stać musiała w miejscu, niczem niezachwiana, niczem niewzruszona. Poza tem był to hardy, ale zarazem dobroduszny szlachcic, „kochany pan Wincenty", przystępny i miły gawędziarz, wierzący w swoich przyjaciół kaliszan, a zanadto może owiany patryotyzmem jednego województwa. Do rządu wnosił znajomość i poszanowanie prawa oraz upór niezłomny, ale upór doktrynera. Pożyteczny i zasłużony, jako opozycyonista parlamentarny, nie miał po temu danych, by sprawować władzę i rządzić w czasach spokojnych: w czasie wojny upór jego musiał odgrywać rolę hamulca, ciężaru i zawady.

Teofila Morawskiego przypadek wysunął na widownię.

Przed wybuchem powstania umiał sobie zjednać wziętość u szlachty swojego województwa, ale niczem szczególnem się nie odznaczył. Franciszek Wężyk, charakteryzując wybitniejszych uczestników powstania listopadowego, bardzo krótko załatwia się z Morawskim: „i ten znany nam będzie, gdy wyrzekniemy, że o nim nic się nie da powiedzieć".[1]) Do tej lakonicznej charakterystyki dodać przecież można, że Morawski odznaczał się niezależnością myśli i charakteru. Nie wierzył nigdy ani w dobroć Aleksandra, ani w jego przychylne dla Polski zamiary. Żyjąc u siebie na wsi, myślał o polepszeniu bytu swych włościan, został z czasem członkiem kaliskiej Rady wojewódzkiej i członkiem dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.[2]) Wybrany na posła na miejsce uwięzionego

---

[1]) Powstanie Król. Polskiego, str. 60.
[2]) Die Polen und die Polinen... von Joseph Straszewicz, str. 199.

Wincentego Niemojowskiego, zajął jego miejsce w Sejmie, jako śmiały i energiczny przywódca opozycyi. W Kaliszu, gdy doszła go wieść o wybuchu powstania, stanął zaraz na czele kilkudziesięciu miejscowych obywateli i udał się do pułkownika Kozaków, konsystujących w tem mieście, z żądaniem aby natychmiast pułk swój rozbroił. Zastraszył Moskala zmyśloną wiadomością o zbliżaniu się wielkich sił polskich—i celu dopiął. W ten sposób obywatele kaliscy zdobyli pod jego przewodnictwem 700 koni i cały rynsztunek dla armii narodowej.[1]) Fakt ten spopularyzował nazwisko Morawskiego. Lecz dopiero znalezienie się jego w Izbie poselskiej, gdy sam jeden wystąpił ostro przeciw dyktaturze, zwróciło na niego powszechną uwagę i zjednało później wielkie uznanie. Upadek Chłopickiego wyniósł w opinii publicznej wszystkich jawnych jego przeciwników, a przedewszystkiem Lelewela i Morawskiego. Odrazu też zyskał Morawski miano męża o wielkiej mocy charakteru i żelaznej woli. Nawet Mochnacki, przeszywający zwykle swym bystrym wzrokiem istotną wartość ludzi, uległ tym razem suggestyi i tak o Morawskim pisał: „Nie mogła Izba w składzie swoim właściwszego uczynić wyboru. Mąż ten szlachetny, nieugięty, niezwalczony żadną przeciwnością, nadziei Polaków nie zawiedzie".[2]) Co prawda, jeszcze przed ostatecznym upadkiem powstania znakomity pisarz zmienił swoje zdanie i piorunami gniewu godził w obu przedstawicieli partyi kaliskiej w Rządzie Narodowym.[3]) W gruncie rzeczy Morawski bardzo niepodobny był do portretu, który stworzyła sobie o nim opinia. Jego żelazna wola gięła się pod uderzeniami młota nieszczęść narodowych, jego przesadzona wielkość malała w miarę tego, jak olbrzymiało zadanie, które wysuwała nieubłagana rzeczywistość.

Tacy byli ludzie, składający wraz z Lelewelem Rząd Narodowy.

Widocznem było odrazu, że nad Barzykowskim przewagę będzie miał książę Czartoryski, a Niemojowski z Morawskim

---

[1]) Barzykowski. Historya Powstania. Tom I. str. 136.
[2]) Pisma rozmaite, str. 33.
[3]) „O stronnictwie tak zw. kaliskiem". Artykuł drukowany w Gazecie Narodowej w Zakroczymiu.

w razach spornych podadzą sobie ręce. W ten sposób Lelewel znalazł się w rządzie wobec dwóch stronnictw, sam swoją osobą tworząc niejako stronnictwo trzecie. Pozycya jego była trudna: nie mógł liczyć na poparcie Kaliszan, a miał przeciw sobie Czartoryskiego z Barzykowskim. Ale jakby dla stworzenia równowagi pomiędzy członkami tego rządu, miał tę nad swoimi kolegami wyższość, że własnym swym wpływem mógł przeważać szale decyzyi na jedną lub na drugą stronę. Ta okoliczność dla człowieka, świadomego swych metod działania, swych zadań i celów, mogła się stać wielką nad obu stronami przewagą. Dla męża stanu i dyplomaty otwierał się szeroki, choć kręty gościniec wzajemnych ustępstw i kompromisów, dla człowieka rewolucyi pozostawała próba zagarnięcia w ręce swoje władzy, a w razie niepowodzenia opuszczenie rządu i śmiertelna z nim walka o kierunek i drogi, jakiemi kroczyć miało powstanie. Najgorszy był wybór opozycyi codziennej, drobiazgowej, uniemożliwiającej pracę, a wnoszącej do rządu wewnętrzne tarcia i nieustające rozterki. Znając Lelewela, można się było obawiać, że taką właśnie drogę wybierze. Wiedział, że nie może liczyć na zupełne zaufanie swoich kolegów. Do Czartoryskiego jeszcze z czasów wileńskich żywił silną urazę, nie ufał mu, a jednocześnie lękał się polityki kaliskiej. A Czartoryski, widząc, jak Lelewel od pierwszych dni powstania łączy się z ludźmi, co władze dotychczasowe usiłowali skompromitować i zgubić, również nie mógł zbytnio dowierzać Lelewelowi. Barzykowski od pierwszej chwili patrzał podejrzliwie na znakomitego profesora, co miał tylu młodych przyjaciół w obozie rewolucyjnym. I Kaliszanie nie mogli się łudzić, że przeciągną go na swoją stronę. Lelewel zaś mógł liczyć tylko na siebie. Niestety, i na siebie nie liczył, bo jeśli nie wierzył w swoich kolegów, to nie wierzył i w siebie. Podobnie jak Czartoryski nie zdolny był do szerokiej i śmiałej inicyatywy. W innem otoczeniu, z innymi ludźmi, mógł być w rządzie wielką pomocą i poważnem oparciem. Ale w atmosferze niedowierzania i niechęci, z ludźmi małej energii, czuł się najzupełniej bezsilnym. W jednym ze swoich listów późniejszych sam się do tego przyznawał: „W życiu publicznem nie byłem tak niezdatny, jak

wielu krzyczy, alem sobie zdatności nie roił... Lubiłem być czynnym razem i, zdaje mi się, w tym razie czynu, niestrudzonej akcyi nie brakło mi. Z ludźmi czynu i szczerymi byłem czynny; z ludźmi fałszywymi lub niedołęgami nic zrobić nie mogłem... Gdybym był popchnięty: w współdziałaniu zawodubym nie zrobił".[1])

Nadaremnie przecież popychały go wypadki i młodzi przyjaciele. Czyn rewolucyjny nie był dziedziną Lelewela. A w Rządzie Narodowym nie znajdował bodźca do wytężonej pracy, sam zaś pomniejszał we własnych oczach swoje wpływy i swoje znaczenie. W wiele lat potem, rozpamiętywając dni owe, pisał: „Jordan, ponawiając ogłoszenie przekładu niemieckiego mej *Hist. de Pologne*, powiada o mnie, żem do żadnych związków nie należał, ale żem posiadał wziętość i zaufanie; że się wszystkie do mnie zgłaszały, mnie udzielały. Nie wiem, skąd on to wie, skąd się tego dowiedział, jak się domacał: ale to prawda. Wziętość i zaufanie to cała była moja potęga". Dalej przecież powiada, że tą potęgą mógł „*przewodzić,* ale nie *przywodzić*: wpływem, przykładem, ale nie dowództwem jakiem; nikomu przez myśl nie przechodziło, ażebym kiedy mógł stanąć na czele..."[2])

W gruncie rzeczy, cały obóz rewolucyjny myślał o tem, że Lelewel stanie na czele. Tylko on tego nie widział i nigdy nie zamarzył o tem, by wolę swoją komukolwiek narzucić. Nie rwał się do władzy i nie czuł się wodzem. Wszedł do rządu z najlepszemi chęciami, ale bez wyraźnego planu. Koledzy jego w rządzie również zdecydowanych planów nie mieli. Szli dotąd z wypadkami, często wbrew własnej woli i własnym poglądom, przystosowywali się do sytuacyi, ale nie posiadali w samych sobie dość energii, inicyatywy i siły, by nowe sytuacye stwarzać. W takich warunkach sam skład Rządu Narodowego i wzajemny stosunek do siebie poszczególnych jego członków, nie rokował zgodnej, a wytężonej pracy, świadomie dążącej do jednego olbrzymiego celu, którym mogło być tylko zwycięstwo wszelkimi środkami, zwycięstwo za

---

[1]) List J. Lelewela z d. 6/XI 1843 r. Rks w Rapp.
[2]) List. J. Lelewela z d. 8/IV 1859 r.. Rks w Rapp.

wszelką cenę, choćby kosztem najstraszniejszych wysiłków i ofiar najkrwawszych.

Pierwsze posiedzenie rządu ujawniło odrazu istniejące w jego łonie sprzeczności. Na wniosek Niemojowskiego rząd podzielił się na pięć wydziałów: Czartoryski wziął pod swoją opiekę wydział zagraniczny, Barzykowski — wojny, Niemojowski — spraw wewnętrznych, Morawski — skarbu, Lelewel — oświecenia i sprawiedliwości.[1]) Na czele tych wydziałów stać mieli ministrowie, zaś członkowie rządu brali na siebie dozorowanie czynności poszczególnych ministrów. Po dokonaniu tego podziału przystąpiono do mianowania ministrów. Wypłynęła kwestya osób i natychmiast poróżniła strony, natychmiast wydobyła na wierzch całą niemoc rządu, całą jego bezsilność wobec poważniejszych decyzyi. Istniały dwie listy kandydatów. Jedną, po porozumieniu się z Czartoryskim, ułożył Barzykowski, drugą przedstawili Niemojowski i Morawski. Ci ostatni na sześciu kandydatów przedstawili aż trzech Kaliszan, a między nimi Bonawenturę Niemojowskiego na ministra spraw wewnętrznych, co było poprostu nieprzyzwoitością, jeśli się zważy, że ze strony rządu nad wydziałem tym czuwać miał brat Bonawentury, Wincenty Niemojowski. Jeden Gustaw Małachowski, jako kandydat na ministra spraw zagranicznych, na obu listach figurował, wybór reszty był wątpliwy. Czartoryski zgodził się wreszcie na Bonawenturę Niemojowskiego, o pozostałych zaś ministrach musiał decydować głosem swoim Lelewel. Nie przedstawił on własnych kandydatów, a kandydaci, zalecani przez obie strony, nie budzili w nim zbyt wielkiej ufności. Zażądał czasu do namysłu, a na drugi dzień poparł listę Kaliszan.[2])

Ministrami zostali: Wiktor Rembieliński — sprawiedliwości, Gustaw Małachowski — spraw zagranicznych, Alojzy Bier-

---

[1]) Barzykowski. Hist. Powstania List. Tom II, str. 201.

[2]) Barzykowski, usiłujący zawsze przedstawić Lelewela w świetle najniekorzystniejszem, powiada, że Lelewel oświadczył, iż za nikim kreski swojej dać nie może, bo „zawsze minister będzie nie po myśli klubu, a przez to jego (t. j. Lelewela) popularność ucierpi”. (Hist. Powst. List. Tom II, str. 203). Tak mógł się odezwać człowiek całkiem pozbawiony rozumu, ale nie Lelewel. Wogóle wszelkie powiedzenia Lelewela, przytaczane przez Barzykowskiego, trzeba przyjmować z najdalej idącemi zastrzeżeniami.

nacki — skarbu, Izydor Krasiński — wojny, Bonawentura Niemojowski — spraw wewnętrznych, kasztelan Bniński — wyznań i oświecenia publicznego.[1])

Wszyscy nowomianowani ministrowie mieli jak najlepsze chęci, ale ani jeden z nich nie był indywidualnością wybitną i mocną, ani jeden nie był człowiekiem, któryby umiał wykorzystać w całej rozciągłości swoje stanowisko i stać się dźwignią powstania.

Taki rząd i tacy ministrowie niewiele mogli dokonać.

Brak spójności i myśli jednolitej w Sejmie odbił się najpierw na Rządzie Narodowym, a następnie na wszystkich organach, które Rząd Narodowy powoływał do życia. A różnica zdań, jaka się ujawniła zaraz na samym wstępie, złą była na przyszłość zapowiedzią. Odczuli to wszyscy. Czartoryski i Barzykowski przekonali się zaraz, że ile razy różnić się będą w zdaniu z Niemojowskim i Morawskim, tyle razy mogą być zmuszeni do ustępstw, a Lelewel musiał uprzytomnić sobie, że w istniejącym składzie rządu będzie mógł tylko przychylać się do powzięcia decyzyi, ale decyzyi własnej przeprowadzić nie zdoła. Położenie jego było tem cięższe, że bardzo często nie mógł się zdobyć na decyzyę. Przyczyną jego niedołęstwa, jak wykazały dotychczasowe wypadki, nie był brak charakteru, ale brak myśli jasnej, stanowczej, zdecydowanej, ale bezradność wobec wielkich zadań. To też skazany był na los bezsilnego świadka ważnych postanowień, a nadto świadka, narażonego na strzały ze strony obu obozów, z których każdy w mniejszym lub większym stopniu czuł swoją od niego zależność.

Barzykowski zapewnia, że zaraz po tem pierwszem nieporozumieniu, zarówno on sam, jak książę Czartoryski powzięli myśl podania się do dymisyi.[2]) Jedynie obawa, że wielki wyniknie skandal, miała ich od tego kroku powstrzymać. Pozostało więc wszystko, jak Sejm zdecydował: był rząd, reprezentujący różne *principia*, ale właśnie dlatego rząd nie-

---

[1]) Ministrowie w okresie powstania zmieniali się często, a i żywot pierwszego ministeryum w pierwotnym składzie był bardzo krótki.
[2]) Historya Powstania, Tom II, str. 204.

dołężny, szarpany przez rozterki wewnętrzne, bez należytej powagi i siły. Jednakże, mimo wszystkie strony ujemne nowej władzy, samo istnienie Rządu Narodowego łącznie z tryumfującem już na całej linii przekonaniem, że do wojny dojść musi, sama świadomość, że narodowi nie pozostało nic innego, jak dochodzić niezaprzeczonych praw swoich w rozprawie orężnej, wydała przynajmniej dorywczo rezultaty dodatnie. Cała machina państwowa, wstrzymana dyktatorską ręką Chłopickiego, natychmiast puszczona została w ruch i sprawnie zaczęła pracować. Jakby nowy duch wstąpił w omdlewające powstanie. Rząd przynajmniej w pierwszych chwilach swojego istnienia miał szacunek i posłuch, a widząc, że bardzo wiele pozostaje do zrobienia, żwawo przystąpił do pracy. Uruchomiono lub na gwałt tworzono nowe fabryki i warsztaty, wyrabiające proch i wszelki sprzęt wojenny, żywo organizowano nowe zaciągi, dopełniano uzbrojeń, powoływano do szeregów rezerwy, słowem, naprawdę zaczęto myśleć o wojnie.

Czas był najwyższy.

Dnia 5-go lutego armia rosyjska pod wodzą feldmarszałka Dybicza wkroczyła w granice Królestwa: 140,000 żołnierzy i kilkaset dział wiódł wódz rosyjski na poskromienie zbuntowanej stolicy. Z sali sejmowej i pałacu namiestnikowskiego, z gabinetów ministeryalnych, na pola krwawych zapasów przenosiły się losy narodu. Miecz zaczął pisać dzieje ojczyste. A gdy łuny pożarów zaświeciły na niebie, gdy huknęły pierwsze wystrzały i rozpoczęły się pierwsze utarczki, — niepokój zapanował w stolicy. Teraz dopiero zrozumiano, ile drogiego czasu stracono nadaremnie, ile braków można było uzupełnić, ilu nowych żołnierzy wyćwiczyć i uzbroić. Z lękiem nasłuchiwała Warszawa odgłosów toczącej się walki. Szczupłe zastępy polskie cofały się ciągle przed nawałnicą ludzi i żelaza, ciągnącą, jak się zdawało, niewstrzymanym pędem ku ognisku i sercu powstania, ku starej Polski stolicy. Dopiero wieść o zwycięstwie Dwernickiego pod Stoczkiem dnia 14 lutego rozweseliła nieco umysły i nadzieje obudziła w sercach. Ale te drobne utarczki, o których sprzeczne wieści krążyły po Warszawie, były dopiero przygrywką do wielkiej bitwy na po-

lach grochowskich. Dnia 25 lutego rozpoczęła się ta krwawa, a pamiętna nazawsze w dziejach polskich batalia. Przeciągły huk armat obijał się o mury stolicy i budził w niej popłoch. Zwątpienie zakradało się w serca. Niektórzy członkowie Sejmu, co tak niedawno przypisywali sobie nieśmiertelność, obecnie w śmiertelnym strachu pakowali swoje walizy i uciekali haniebnie z zagrożonego miasta.

A Lelewel tak pisał w tym czasie do jednego ze swoich ukochanych uczniów, do Leonarda Chodźki, przebywającego w Paryżu:

„Od kilku dni krwawy bój toczy się pod stolicą, pod Pragą. Taki plan odporny zafundowała nam dyktatura. Stawimy czoło cztery razy liczniejszemu nieprzyjacielowi, 60 armat naszych opiera się ze 196 nieprzyjacielskiemi,(!) a Francya nie nastawia ucha na huk ziemię naszą wstrząsający i mogący ród nasz wytępić. Pada kwiat młodzieży ofiarą wzniosłych uczuć, a uporem nieczułym skrępowanych i spętanych. Leży już 6.000 rannych, ale się jęk cierpiących nie przedrze do rezonowań francuskich. Cieszą się umierający, że za ojczyznę polegną, i ci jedni od Francuzów poklask uzyszczą. Coraz ogromniejsze nastaje niebezpieczeństwo... Teraz jazda nasza przechodzi na lewy brzeg Wisły..."

Trwożne przeczucie musiało przeszywać serce uczonego, bo list smutno się kończył:

„Bywaj mi, panie Leonardzie, zdrów: nie wiem, czy się kiedy na tym padole płaczu uściśniemy." [1])

A tymczasem na polach Grochowa zmagały się nierówne siły. Wódz naczelny, Radziwiłł, modlił się tylko podczas tej rozprawy i żadnego na jej przebieg nie wywierał wpływu. Ale Chłopicki, objąwszy faktyczne dowództwo, jak lew stawiał czoło Dybiczowi. W obliczu niebezpieczeństw, w pośród grzmotu armat, w kurzawie i w dymach bojowych obudził się nareszcie w Chłopickim dzielny generał napoleoński i w wyziębione serce wodza wstąpiła otucha. Ale rozkazów jego nie spełniono. Nie zastosował się do nich Krukowiecki, nie

---

[1]) Rks w Rapperswilu. List ma datę 25 stycznia 1831 r.; być może, iż tego dnia był zaczęty.

usłuchał ich Tomasz Łubieński, a w decydującej chwili pocisk armatni ugodził w Chłopickiego, pozbawił mężną armię dowództwa i ostatecznie wyrwał wojsku polskiemu zwycięstwo. Szeregi zmuszone były opuścić plac boju i cofnąć się na Pragę. Jednakże Dybicz, poznawszy waleczność wojsk polskich, nie ośmielił się szturmować Pragi i zatrzymał się przed stolicą, jak wryty.

Blizkość nieprzyjaciela, pewien nieład, jaki można było zauważyć śród wojska, wkraczającego do Warszawy, brak wodza, wreszcie wielkie straty, poniesione w tej morderczej bitwie, najokropniejsze wywoływały w mieście przypuszczenia. Straszny koniec wróżono wszystkiemu. I Lelewel poddał się temu smutnemu wrażeniu, a patrząc na łuny pożarne, świecące nad nieszczęsną Pragą, z bólem myślał o najbliższej przyszłości.

„Dnia 26 lutego, — pisał do Chodźki, — po ciężkiej aferze naszej opuściliśmy plac boju pod Pragą i całe wojsko w nocy przeszło do Warszawy. Wisła nas odgranicza od nieprzyjaciela. Dzień i wieczór dzisiejszy objaśniony był pogorzeliskiem Pragi, którą nasi przed swymi szańcami mostowymi spalili. Przykra dla stolicy iluminacya, grożąca, że podobna może ją zniszczyć. Mniejsza o mnie, ale każdy się kłopoci,— czuję panikę i ja o matkę, o siostry, o drobne rodzeństwa dzieci”.[1])

Blizkość niebezpieczeństwa nie obudziła w uczonym energii. Poddał się nastrojowi smutku i bólu, który zatargał zbiorowem sercem stolicy. Bo świadectwa współczesnych świadczą, że dnia tego całe miasto pogrążone było w rozpaczy, a to, co mówili wyżsi wojskowi, mogło tylko tę rozpacz pogłębić. Niewiara stała się uczuciem powszechnem.

Ogromna liczba rannych żołnierzy nadawała samej Warszawie wygląd pobojowiska.

Ci ranni niezwłocznej wymagali opieki, tymczasem lazarety posiadały razem 6.000 łóżek, co nie odpowiadało potrzebie. Bonawentura Niemojowski postanowił wówczas wydać odezwę do mieszkańców stolicy, z rozkazem, aby z każdego

---

[1]) Dopisek do listu ostatnio cytowanego.

mieszkania, złożonego więcej niż z dwóch pokojów, dostarczono szpitalom łóżko z pościelą i bielizną. Ale Wincenty Niemojowski oburzył się na to i nie chciał na takie rozporządzenie zezwolić. W jego oczach było ono nielegalne, rewolucyjne, naruszało bowiem prawa własności. Tak sobie postąpił wobec rannych i umierających za wolność Ojczyzny wojowników członek Rządu Narodowego, wierny stróż praw konstytucyjnych, Wincenty Niemojowski! Nie przeszkodziło mu to na drugi dzień napisać w imieniu rządu szumną odezwę do „walecznych rycerzy". Umierać za Ojczyznę, to było zgodne z konstytucyą, pozwolić „walecznym rycerzom" konać na ulicy z upływu krwi i ran odniesionych, to również mieściło się w ramach konstytucyi. Ale opatrzeć rany żołnierzy, dostarczyć im zapomocą energicznego kroku łóżek i pościeli, to była nielegalność, skandal, rewolucya! Na szczęście, nie bacząc na protesty, rozporządzenie zostało opublikowane, a mieszkańcy Warszawy natychmiast, z wielką gorliwością przystąpili do spełnienia rozkazu.

A tegoż dnia, w którym Lelewel pisał w liście do Chodźki o dręczącym go niepokoju, dygnitarze wojskowi i cywilni rozprawiali nieustannie o niemożności dalszego prowadzenia walki i starali się skłonić ks. Czartoryskiego do rozpoczęcia układów. Ale Czartoryski nie chciał o tem słyszeć. Rozumiał dobrze, jakie wrażenie nazajutrz po opuszczeniu placu boju wywarłaby na Dybiczu taka propozycya ze strony Polaków. Nie uważał zresztą, by położenie rzeczywiście było już beznadziejne. Więc z męską stanowczością odpierał podszepty, które dyktował upadek ducha i strach przed wrogiem. Był to piękny, zapewne najpiękniejszy dzień księcia w powstaniu listopadowem! Nagabywany zewsząd, straszony grozą sytuacyi wojennej, zwalczał pracowicie głosy beznadziejności, lęku, niewiary i trzymał się przy swojem zdaniu mocno, niezachwianie. Całą noc z dnia 25-go na 26-ty lutego zastanawiano się nad nowem położeniem, a o godz. 6-ej rano zebrał się Rząd Narodowy wraz z ministrami i gronem zaproszonych na zebranie wyższych wojskowych, aby radzić o dalszych sposobach walki, bo do mówienia o układach nie dopuścił książę Czartoryski. Wobec tego, że Radziwiłł był wodzem z imienia,

a dowództwo mógł sprawować tylko o tyle, o ile stał za nim Chłopicki, przeto na porządku dziennym stanął przedewszystkiem wybór nowego wodza. Wybór ten należał do Sejmu, ale tym razem rząd nie myślał przewlekać pilnej sprawy i śmiało przekraczał zakres swej władzy. Sejm pogodził się później z tym nielegalnym krokiem, co powinno było członków rządu pouczyć, że w ważnych chwilach mogą się zupełnie na Izby nie oglądać. Na nieszczęście dla powstania, jedyny generał, co wykazał przedsiębiorczość i zrozumienie ducha powstańczego, Dwernicki, był nieobecny w Warszawie i kandydatura jego nie została wysunięta. Wodzem wybrany został Skrzynecki.[1]) Zimna krew oraz mężna postawa w bitwach pod Dobrem i pod Grochowem zwróciła na niego uwagę i wyniosła go na miejsce naczelne. Wybór był fatalny. Skrzynecki, posiadający w ogniu bitwy dużo osobistej odwagi, mógł z wielkim pożytkiem dowodzić brygadą piechoty, ale nie miał danych, by zostać wodzem naczelnym. Był to człowiek, pozbawiony wyższych zdolności, a posiadał pełną pychy duszę karyerowicza i nadmierną wiarę w samego siebie. W stosunkach z podwładnymi, którzy przed bitwą pod Grochowem posiadali wyższe od niego rangi, wykazywał brak taktu, dawał im odczuć swoją władzę i to nieraz w sposób wysoce dotkliwy, obrażający, brutalny.

Prot Lelewel pisze, że ,,zarozumienie Skrzyneckiego rosło w miarę, jak mu pochlebcy do tego dopomagali. Widziano szanownego generała Paca, przybyłego zapewne po jakie instrukcye w czas zimny, słotny, w sieni naczelnego wodza przez długie oczekującego godziny, a następnie lekko przez naczelnego wodza traktowanego...'' [2])

Nowy wódz, próżny, pyszny, arogancki, rad się wywyższał ponad wszystkich i rad imponował wszystkim swojem dostojeństwem. Pierwsze jego czynności najfatalniejsze uczyniły wrażenie. Zamiast zająć się reorganizacyą wojska, uczynił niefortunną próbę, by nawiązać układy z Dybiczem. Rząd Narodowy nie

---

[1]) Charakterystykę Skrzyneckiego jako wodza, dał w swej pracy Michał Sokolnicki: ,,Skrzynecki''. Poznań 1914.
[2]) Pamiętniki. Rks.

umiał i nie śmiał poskromić zapędów dyplomatycznych nowego wodza, mimo że ten na własną rękę rozpoczął negocyacye i dopiero po fakcie spełnionym przyszedł na sesyę rządową i opowiedział o swoich krokach, a zarazem o swoich zamiarach dyplomatycznych na przyszłość najbliższą. Członkowie Rządu, zdziwieni oświadczeniem wodza rozpoczęli żywą z nim dyskusyę. Jeden Lelewel milczał. Gdy wódz był obecny na sesyi, Lelewel, jako najmłodszy członek rządu, powinien był opuścić posiedzenie. Barzykowski twierdzi, że uczony tylko „robił minę,(!?) jakby o odejściu myślał" [1]) ale Skrzynecki *zawsze* go zatrzymywał. Natomiast Lelewel, acz utrzymuje, że w takich wypadkach „precz ustępować był powinien",[2]) nie dodaje, czy wypełniał kiedykolwiek tę powinność. To też można tym razem zawierzyć Barzykowskiemu, że Lelewel był na owej sesyi obecny i że istotnie cały czas milczał. A przecież chodziło o sprawę najważniejszą, chodziło o sprawę powstania, chodziło o przyszłość i o byt narodu. Lelewel milczał. Jakże straszną wymowę miało to jego milczenie, zwłaszcza gdy zważyć przebieg dyskusyi, którą członkowie rządu toczyli z wodzem naczelnym.

„Rząd, — upewnia Barzykowski, —jak najmocniej oświadczył się przeciwko wszelkim negocyacyom, twierdząc, że pod jakimikolwiek widokami rozpoczęte, spełznąć na niczem one muszą". Co więcej! jeśli wierzyć Barzykowskiemu, rząd miał oświadczyć jeszcze naczelnemu wodzowi, że ten przekroczył swoje atrybucye, że nie ma prawa porozumiewać się z wrogiem bez udziału rządu, a rząd obowiązany jest ściśle praw uchwalonych przestrzegać. Niestety, Barzykowski, prawie zawsze sprzeczny sam z sobą, dodaje, że „po długim namyśle rząd zdecydował, że pozwolenia na traktowanie z marszałkiem Dybiczem udzielić nie może, bo to prawo mu nie służy, ale nie zakazuje rozpoczętych układów dalej prowadzić". Nie dość tego. Gdy Skrzynecki odczytał projekt swego listu do Dybicza, członkowie rządu zaczęli dyskutować i w liście tym różne proponowali zmiany. Skrzynecki na niektóre poprawki się zgodził, inne odrzucił, a rząd,

[1]) Historya Powstania Listop., Tom III, str. 49.
[2]) Polska odradzająca się, str. 100.

—są słowa Barzykowskiego,—,,nie upierał się, bo pismo od wodza, nie od niego (t. j. nie od rządu) pochodziło".[1])

Oto jak członkowie rządu bronili praw swoich, oto w jaki sposób zachowywali się wtedy, kiedy na szali dziejowej trzeba było zaważyć czynem, kiedy od zgubnego w ich opinii kroku wstrzymać należało wodza. Ludzie, powołani do steru, czynili wszystko, aby za najważniejsze postanowienia uniknąć odpowiedzialności, jakby nie rozumiejąc, że takie postępowanie tem większą odpowiedzialnością obarcza ich sumienia. Skrzynecki zwrócił się z kolei do kilku wybitniejszych członków Sejmu, ale ci również umyli od wszystkiego ręce, a marszałek Ostrowski wręcz oświadczył, że urzędowo nie przyjmuje nawet do wiadomości tego, co wódz naczelny o układach z Dybiczem mu zakomunikował.

Wtedy to zapewne Lelewel uczynił krok, który prawdopodobnie był w związku z zamierzoną działalnością Skrzyneckiego, a którym chciał, być może, wskazać wodzowi drogę obowiązku i przestrzedz go, że nie układów z wrogiem, lecz czynów na polu walki oczekują po nim ci, co rozpoczęli powstanie. A krok ten dobrze charakteryzuje Lelewela. Oto w imieniu Towarzystwa Patryotycznego zredagował i wysłał do naczelnego wodza adres, a w adresie tym pisał:[2])

,,Wybór, który cię, obywatelu, powołał do piastowania władzy, mającej oswobodzić wolną niegdyś, a przez pół wieku nieszczęściami kołataną i gnębioną ziemię, pocieszył naród cały, pocieszył sprawę wolności". I mówił Lelewel w tym adresie o podziwie, który obudził *geniusz* naczelnego wodza, o jego ,,czystem poświęceniu się dla sprawy ojczyzny". I wmówiwszy w Skrzyneckiego cnoty, których ten nie wykazał, następującym zwrotem kończył swój adres: ,,Historya czeka na piękne, bohaterskie nowe czyny Twoje, obywatelu naczelny wodzu! Naród na nich opiera swoje oswobodzenie, a oświecona część świata pragnie oklaskami rozsławić Twe

[1]) Historya Powstania Listop. Tom III, str. 51.
[2]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom XX, Str. 76—77. Adres ten datowany jest d. 6 marca, pierwszy list Skrzyneckiego do Dybicza ma datę 12 marca.

imię. Chwała obrońcom i synom wolności. Śmierć służalcom despotyzmu!..."

Taki adres prezes Towarzystwa wysłał naczelnemu wodzowi. Ale „obrońca wolności" nie myślał o pozyskaniu oklasków „oświeconej części świata" na drodze czynu orężnego, lecz widząc najwyższe niedołęstwo i w Rządzie Narodowym i w Sejmie, widząc, że nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności za układy lecz, nikt im się nie przeciwstawia, ani też nikt ich w gruncie rzeczy nie wzbrania na własną rękę rozpoczął pertraktacye z Dybiczem. Wódz naczelny, mówiący nieustannie o honorze, odrazu uderzył czołem przed zdetronizowanym carem. Zaraz w pierwszym swym liście pisał, że jeżeli cesarz „*chce zatrzymać Polaków, jako swoich poddanych*, nie może zaczynać pierwszego kroku w tym celu od ich poniżenia". Cóż znaczyło to poniżenie w ustach wodza rewolucyi polskiej? Aż nadto wymowną odpowiedź daje na to drugi list Skrzyneckiego. „Polacy, — zapewniał on feldmarszałka — umieją cenić dobrodziejstwa, które od cesarza Aleksandra otrzymali, *czczą pamięć jego w jego następcy* i gdyby J. C. Mość, *cesarz panujący* pokazał się był w stolicy Królestwa wpośród senatu, izby poselskiej i wojska... cała Polska, dumna z takiego czynu zaufania, rzuciłaby się była w *objęcia ojca, który swoim dzieciom* przynosi błogosławieństwo pokoju"...[1])

Oto jak przemawiał wódz, który wiecznie honor miał na ustach, oto jaką wymowę miało powstanie już po stoczeniu batalii na polach Grochowa!

Dybicz nie uznał za stosowne odpowiadać osobiście na płaszczenie się naczelnego wodza wojsk polskich, nie przyjął nawet jego wysłańców, oświadczyć im tylko kazał przez generała Geismara, że car spełni swoją obietnicę i ogłosi amnestyę, ale pod warunkiem, że Polacy cofną uchwałę detronizacyjną i powrócą do obowiązku wiernych poddanych.

Skrzynecki nie przestał przecież układać dalszych planów dyplomatycznych, a Lelewelowi, jako prezesowi Towarzystwa, odpisał na jego adres, że chce „wszystkie siły moralne i fi-

[1]) Demokrata Polski. Poitiers. 25 marca 1839 roku.

życzne wywołać z łona Ojczyzny, z łona Polski, aby nad dumnym nieprzyjacielem mieć przewagę". Upewniał Towarzystwo, że „nie ma się za wielkiego". „Jestem,—pisał,—dobrym Polakiem obywatelem, u którego honor rycerza i narodu jest rzeczą świętą". Znając jednak nastroje, panujące w Towarzystwie Patryotycznem, życzył Towarzystwu, aby uznało tę prawdę, że „porządek jest wolnością a wolność porządkiem"[1]).

Taki skutek wywarł zredagowany przez Lelewela adres.

I płynęły długie dni, a Skrzynecki, nie mogąc się układać, nic nie przedsiębrał i podobnie jak w swoim czasie Chłopicki, marnował drogie chwile i trwał w bezczynności, nie mogąc się zdobyć na żaden krok stanowczy. Ale losy, jakby się sprzysięgły, aby wbrew wszystkiemu ratować powstanie. Sytuacya na placu boju skutkiem rozporządzeń Dybicza coraz korzystniej przedstawiała się dla Polaków. Chciał to wykorzystać Prądzyński i natychmiast opracował plan akcyi zaczepnej, którą długo nadaremnie przedstawiał Skrzyneckiemu, a którą wreszcie wybłagał u wodza. Armia polska, wypoczęta i uzupełniona, rozpoczęła w ostatnich dniach marca kroki zaczepne—i wnet po wszystkich ziemiach polskich rozeszła się radosna wieść o zwycięstwach pod Wawrem, pod Wielkiem Dembem i pod Iganiami. Nowym blaskiem i nową chwałą okrył się oręż polski, ożywiło się wojsko, nabrało do siebie zaufania, zapałało żądzą walk nowych i nowych zwycięstw, a w cały naród wstąpiło uczucie nadziei i otuchy. Siły polskie po klęskach, jakich doznały wojska rosyjskie, zrównały się z armią nieprzyjacielską, a ożywczy duch zwycięstwa panował w szeregach. W dziejach tej pamiętnej wojny nadchodziła najkorzystniejsza dla Polaków chwila! Siły walczące ze sobą były równe, lecz przewaga moralna stanowczo była po stronie powstańców. Wszystko tchnęło chęcią dalszej walki, wszystko rwało się do boju. Jeden Skrzynecki, syt laurów i chwały, przeciwstawił się fali powszechnego uniesienia, nakazał odwrót i pyszny odniesionemi korzyściami, jak tryumfator i zbawca narodu powracał do Warszawy.

---

[1]) Aleksander Kraushar. Klub Patryotyczny Warszawski. We Lwowie 1909. Str. 36.

A Rząd Narodowy obdarzył wodza krzyżem komandorskim. Sejm bił przed nim czołem, cieszyła się z odniesionych zwycięstw stolica. I znowu w bezczynności upływały długie tygodnie. Na nowe zwycięstwa czekał Rząd Narodowy, Sejm, naród, oglądała się na nie zdziwiona niespodziewanym widokiem Europa i z nieopisanym niepokojem myślał o nich ponury Mikołaj.

„Mój niepokój,—donosił w tym czasie Dybiczowi [1]),—nie da się opisać; czas już, byśmy się dowiedzieli, że armia rosyjska istnieje, gdyż w rzeczy samej można o tem zwątpić, po tem, co się dotąd działo... Lękam się,—pisał innym razem,—by armia nie zniszczała przez choroby i zniechęcenie, nie przywykła do życia w obozach oszańcowanych, przed nieprzyjacielem o wiele słabszym, który robi, co chce"...

Istotnie choroby wycieńczały armię rosyjską, a niepowodzenia szerzyły w szeregach demoralizacyę. Ruch powstańczy na Litwie nowy popłoch sprawił w Petersburgu. Powstanie stawało się niebezpiecznem, zaczęło naprawdę zagrażać potędze północnego mocarza i skupiać na sobie oczy całego świata. Dyplomacya europejska, nie chcąca dotąd nic wiedzieć o powstaniu i o rządzie polskim, zmieniła ton. Następowała chwila przesilenia. Jeszcze jedno poważne zwycięstwo Polaków otwierało zupełnie nowe perspektywy nawet przed oczyma najmniej wierzących w siłę powstania działaczów i polityków. Ale wódz naczelny spoczywał na laurach. Nadaremnie zachęcał go do nowych działań niewyczerpany w świetnych pomysłach generał Prądzyński, nadaremnie przedstawiał swoje plany generał Chrzanowski, nadaremnie wreszcie książę Czartoryski używał swojego wpływu, by skłonić Skrzyneckiego do wyruszenia w pole. Wódz naczelny był nieporuszony. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem upływał w zupełnej bezczynności. Dopiero w połowie maja przełamano upór naczelnego wodza—i Skrzynecki rozpoczął swój słynny, a opłakany w skutkach pochód na gwardye.

A dnia 16 maja Lelewel pisał do swojego przyjaciela w Paryżu:

---

[1]) Kampania polska ks. Paskiewicza. Warszawa 1899. str. 14, 16.

„Pewnieś mój list, pisany przed niejakim czasem odebrał. Wtedyśmy się patrzyli z okien stolicy na dymiące nieprzyjaciół obozy: teraz nieco oddaleńszy, ale jeszcze może stolicy naszej zajrzeć w oczy. Nic to. Narodowa sprawa potężnie głowę podnosi. Tego wy w Paryżu dość ocenić i pojąć nie umiecie, co Litwa zdziałała. Obyśmy jej najśpieszniej rękę podać mogli! W tych dniach zajdą na ziemi naszej wielkie wypadki" [1]).

I zaszły owe wielkie wypadki, ale nie spełniły się nadzieje, jakie w nich pokładano.

Wyprawa na gwardye skutkiem niesłychanej lekkomyślności, uporu i niedołęstwa Skrzyneckiego nie tylko nie dała oczekiwanych rezultatów, ale stała się powodem krwawej bitwy pod Ostrołęką, gdzie znowu nieudolność naczelnego wodza przyczyniła się do przegranej i wielkich strat, poniesionych przez waleczne wojsko. Próba ożywienia powstania na Litwie również haniebną zakończyła się klęską. A nigdzie nie zwyciężał oręż przeciwnika: wszędzie przyczyną klęsk i niepowodzeń była nieudolność wodzów, brak hartu, energii i wytrwałości, wreszcie lekkomyślność do najdalszych posunięta granic. Duch, panujący u steru, a wcielony w Skrzyneckiego, rozprzestrzeniał się po całej armii i niby rak toczył jej części poszczególne. Szale zwycięstwa stanowczo na rzecz Rosyi zaczęły się przechylać.

Gdy tak wódz naczelny podkopywał sprawę 29 listopada, znaleźli się obywatele, co zamierzyli nowych sił przysporzyć powstaniu przez doniosłą reformę społeczną. Tą reformą było rozwiązanie kwestyi włościańskiej. A jednym z pierwszych, co o tej reformie myśleli, był Joachim Lelewel. Już na sesyi Izby poselskiej w dniu 1 lutego odesłano do komisyi jego projekt wynagrodzenia włościan, biorących udział w toczącej się wojnie dotacyami w dobrach narodowych [2]). Sejm wyznaczył na ten cel 10 milionów złp. Gdy projektodawca mówił później, że uchwała Sejmu nie odpowiada intencyom wniesionego projektu, posłowie odpowiadali na to, że jest to decy-

---

[1]) List do L. Chodźki. Rks w Rapp.
[2]) Dyaryusz Sejmu. Tom I, str. 390.

zya tymczasowa [1]. W marcu na porządku dziennym znalazł się w Izbie poselskiej projekt rządowy, wniesiony przez ministra Biernackiego, a domagający się zamiany pańszczyzny na czynsz, ale tylko w dobrach narodowych. W czasie owym najwymowniejszym rzecznikiem ludu, pracującego na roli, był Jan Olrych Szaniecki. Zamiana pańszczyzny na czynsz nie była w jego oczach wystarczająca. Szedł on dalej i już w styczniu 1831 roku domagał się radykalniejszego rozwiązania tej sprawy. „Potrzeba, — pisał, — zainteresować lud rzeczą, a nie słowy; potrzeba stan, w jakim się znajduje, zmienić na lepszy. Nieśmy mu zniesienie poddaństwa, pańszczyzny, wolność zarobkowania, własność gruntową bezwarunkową, wynagrodzenie niewłaścicielom... Przestańmy być bracią szlachtą, a bądźmy bracią Polakami”. Program Szanieckiego był w owym czasie najdalszą metą, u której zatrzymywała się myśl demokratyczna w Polsce. Nawet „rewolucya socyalna”, propagowana przez Mochnackiego, nie miała kształtów tak realnych, jak reforma Szanieckiego. I Towarzystwo Patryotyczne nie zdobyło się podówczas na szersze rozwiązanie kwestyi włościańskiej. Tadeusz Krępowiecki, jeden z najradykalniejszych członków T-wa, utrzymywał wprawdzie, że lud trzeba przywiązać do rewolucyi i w imię tego żądał, aby powiedzieć chłopu: „Twój *własny* kawał gruntu uprawiać będziesz, za co czynszem tylko, a nie własną osobą, nie marnowaniem twych dzieci zapłacisz” [2]. Nie szedł więc i ten radykalista tak daleko, jak Szaniecki, gdyż zamiana pańszczyzny na czynsz wyczerpywała wszystko, czego się domagał.

W marcu, gdy Sejm dyskutował projekt rządowy, Szaniecki dzielnie stawał w obronie włościan i projekt przez rząd złożony uważał za nie wystarczający [3]. Na posiedzeniu Izb po-

---

[1]) Nowa Polska z d. 18 marca 1831 r.

[2]) Nowa Polska z d. 20 stycznia 1831 r.

[3]) Projekt Szanieckiego, przesłany do komisyi, składał się z ośmiu punktów i wyraźnie streszczał żądania. Punkt I żądał, „ażeby wszelką pańszczyznę, czyli robocizny przez włościan dworom odbywane znieść”. W p. IV żądał Sz., ażeby „wszystkie włościańskie posiadłości za ich nieograniczoną własność uznać”. Pamiętnik J. O. Szanieckiego, str. 60.

łączonych pięknie i gorąco domagał się zniesienia pańszczyzny.

„Idąc w ślady patryotyzmu, odznaczonego tylu światłemi uchwałami, nieśmiertelną sławę dla Polski przynoszącemi Sejmu czteroletniego, odznaczmy Sejm nasz teraźniejszy uchwałą niemniej chwalebną, niemniej szlachetną, niemniej sławy narodowej godną, uchwałą, niszczącą ostatni zabytek feodalizmu: pańszczyznę. Uchwała ta postawi Polskę na stopniu odpowiednim cywilizacyi europejskiej, na stopniu szczęścia i swobód prawdziwej wolności. Milion rąk podniesiemy ku obronie tej ziemi, na której milion wolnych utworzymy jej właścicieli. Milionem niepodległych obywateli wzmocnimy Reprezentacyę Narodową, bo milionowi niezawisłych obywateli nadajemy prawa polityczne. W tem leży dobro kraju, w tem leży honor narodu" [1]).

Tak mówił Szaniecki.

Ale szlachta folwarczna, zasiadająca w Izbach, ta sama szlachta, która uciekła z Warszawy w chwili niebezpieczeństwa, a obecnie, ochłonąwszy ze strachu, znowu zajęła w sali obrad sejmowych swe miejsca, obawiała się nie tylko zniesienia pańszczyzny w dobrach prywatnych, ale i zamiany pańszczyzny na czynsz nawet w dobrach narodowych. Poseł Słubicki proponował odłożyć projekt rządowy „do czasów pomyślniejszych". W tym samym duchu przemawiał Mazurkiewicz, a inni mówcy, jak Klimontowicz, Posturzyński, krytykowali projektowaną reformę i ostro przeciw niej występowali [2]).

W tym samym czasie zabrał głos i Lelewel. Dnia 18-go marca 1831 r. ukazał się w *Nowej Polsce* jego artykuł p. t. „Nadanie własności ziemskiej włościanom". Autor wyjaśniał przedewszystkiem, do czego zmierzał jego projekt pierwotny, a poprzednio już Izbie przedłożony. Mówiąc o nadaniu ziemi zasłużonemu rycerstwu, nie miał na myśli żadnej nagrody.

„Posługa, jaką każdy dzisiaj ojczyźnie swojej niesie, nie wynagradza się niczem, tylko własnem wewnętrznem uczu-

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom II, str. 373.
[2]) Dyaryusz Sejmu. Tom II, str. 311, 333, 357, 359.

ciem, że każdy swego synowskiego dla niej obowiązku, wedle tego, jak mu zdolności i okoliczności pozwoliły, z całem poświęceniem się dopełnił. To niczem innem wynagrodzonem być nie może; tylko własnem uczuciem i wdzięcznością, a uwieńczeniem pomyślnem sprawy naszej, albo zacnem tułactwem, lub bohaterską śmiercią w przypadku niepowodzenia, czego Bóg nie dopuści... Myślą i życzeniem mojem było,—pisał Lelewel,—obdarzyć wojskowych własnością ziemską, czystą, bez żadnego opłacania czynszu lub służebnego ciężaru: to jest, aby obdarzonemu ziemią ziemia była darowana, bez żadnego za to zobowiązania, w dziedzictwo, tak iżby mógł ją sprzedać, darować, żeby przechodziła w spadku na jego dzieci, wnuków, bliższych i dalszych krewnych. Ta dotacya, te darowizny, sądziłem, że dopełnione być mogą z ziem, łąk i roli, tak nazwanych dworskich, które po zniesieniu pańszczyzny, nie oddane na czynsz, musiałyby być uprawiane parobkiem lub najmem".

Już ze słów przytoczonych widać, że reforma Lelewela obejmowała tylko włościan, znajdujących się w szeregach armii narodowej. Chodziło mu tedy o reformę doraźną, pozostającą w najściślejszym związku z powstaniem. Przez projekt swój miał nadzieję zachęcić włościan do najszerszego udziału w toczącej się wojnie. Ale na zasadzie ustępu, w którym mówi o uprawianiu gruntów dworskich, możnaby mniemać, że Lelewel dążył do całkowitego zniesienia pańszczyzny. Tak jednak nie było.

,,Wracając teraz do zniesienia pańszczyzny,—pisał w dalszym ciągu swojej pracy,—i oczynszowania włościan, jak najszczerzej pragnę, żeby to nie tylko w dobrach narodowych, ale i obywatelskich nastąpić mogło". Jednakże dla urzeczywistnienia tych pragnień nie znajduje form konkretnych: przeciwnie, im bardziej się w całą sprawę zagłębia, tem więcej dostrzega trudności. Sądzi nawet, że ,,żadna w to ustawa mieszać się nie powinna, tylko własne obywatelskie przeświadczenie, że to lepiej będzie i zobopólny panów właścicieli i wieśniaków ich interes... Ale się lękam,—dodaje,—czyli się to da zaprowadzić. Obawa moja wynika nie z tego, żeby się obywatele, właściciele ziem mieli tej odmiany wzdragać, ale że sam lud wiejski nie w jednem miejscu nie podejmie

się opłacenia czynszu: będzie wolał przy nalogowem pańszczyzny odrabianiu pozostać, jak tego wieloliczne przykłady po różnyc : stronach obszernej Polski widywaliśmy..."

Oto jak wyglądał socyalizm agrarny Lelewela w epoce powstania listopadowego!

Jak w wielu innych kwestyach, tak i w kwestyi włościańskiej nie zajął wyraźnego stanowiska. Zalecana przez niego reforma nie mogła poruszyć ludu i skłonić masy do wystąpienia przeciw wojskom rosyjskim: nie tylko nie zmieniała socyalnego położenia ogółu włościan, ale wogóle wszelką zmianę czyniła bardzowątpliwą. Lelewel, pozostawiając zamianę pańszczyzny na czynsz „obywatelskiemu przeświadczeniu", wszystko uzależniał od dobrej woli szlachty. A dyskusya w Sejmie dowiodła niebawem, że ogół szlachecki przeciwny był reformie. Właściwie Lelewel, zażądawszy jedynie wynagrodzenia dla włościan, służących w wojsku, wysunął w swym artykule kilka zagadnień i, nie znalazłszy na nie odpowiedzi, rzucił je w pustą przestrzeń, która milczeniem mu odpowiedziała.

Nie umiało sprawy włościańskiej postawić szerzej i Towarzystwo Patryotyczne.

Klub ten, zwłaszcza, gdy młodzież żwawsza i ruchliwsza zaciągnęła się do szeregów, stawał się zgromadzeniem gadułów rewolucyjnych, zbierających się bez wiary i zaufania w swoją działalność. Straciwszy swój pierwszy rozpęd, Towarzystwo wegetowało coraz słabiej i coraz wyraźniej chyliło się do upadku. Lelewel usiłował rozdmuchać płomienie w tem wygasającem ognisku. Dwa miał po temu powody. Był prezesem Towarzystwa i to nakładało na niego obowiązki, których dla braku czasu nie mógł dotychczas, jak należy wypełniać. Drugim powodem była ta okoliczność, że Towarzystwo, acz mało czynne, nie przestawało być solą w oku żywiołów umiarkowanych, obawiających się szczególniej o to, by powstanie w oczach zagranicy nie miało cienia charakteru rewolucyjnego. Wyznawcy ładu i porządku społecznego krzywem okiem patrzyli na zgromadzenie, w którem rozprawiano wiele o reformach społecznych i nieszkodliwie zresztą mówiono o potrzebie czynów rewolucyjnych. Coraz wyżej podnosiła głowę

worząca się podówczas partya dyplomatyczna i ze szczególną ienawiścią myślała o polity kującej w Towarzystwie młodzieży. Margrabia Aleksander Wielopolski, agent dyplomatyczny Rządu Narodowego, wycofany z Anglii, powrócił do kraju i skupiał podówczas w koło siebie zwolenników, radzących nad abiegami dyplomatycznymi w stosunku do gabinetów zagranicznych. Na zebraniach Towarzystwa szydzono z tej wielkiej polityki, a dyplomaci z młodym margrabią na czele oburzali się na zuchwałość ludzi bez urzędów, bez imion i bez naczenia. Nienawiść wzajemna rosła.

„Młodzież bezinteresowna, która pierwsza ruszywszy, poświęcała się dla ojczyzny, doznawała przymówek; powtarzano jej: jakiegoście piwa nawarzyli, wyp jcie go. A nie tylko ej do dalszych czynności nie dopuszczano, — świadczy Lelewel,—ale ze stanowisk, w której sprawie narodowej służyła, wypychano, aby urząd publiczny, sztab i biura z ludzi rewolucyjnych oczyścić"[1]).

W takiej sytuacyi Towarzystwo Patryotyczne, acz nie mogło odgrywać wybitniejszej roli, wydawało się Lelewelowi potrzebnem, jako bądźcobądź jedyne miejsce, w którem rozlegał się głos protestu i idea 29 listopada swobodnie mogła być omawiana. Dnia 29 maja, w pół-rocznicę wybuchu, Lelewel przewodniczył Towarzystwu i wygłosił mowę, w której podkreślił, że powstanie ma przed sobą dwa cele: zdobycie niepodległości i rewolucyę socyalną, t. j. ulepszenie stanu wszystkich klas narodu. Dowodził, że konstytucya 3 maja jest niejako początkiem rewolucyi socyalnej, która od tej daty bez przerwy się toczy"[2]). Wiemy już, jak niewinnie rozumiał ową „rewolucyę" i wiemy, że domagał się tylko skromnych zmian w zakresie reformy włościańskiej. Ale same słowa więcej, niż ich treść, przerażały niechętnych Towarzystwu działaczów. Mowa Lelewela stała się głośną w Warszawie. Nieprzyjaciele jego, a tych miał coraz więcej, szeroko rozprawiali o tem wystąpieniu i oburzali się niepomiernie, że

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 98.

[2]) A. Kraushar. Klub Patryotyczny Warszawski, str. 46.

członek Rządu Narodowego wygłasza tak straszne, a tak szkodliwe dla sprawy narodowej teorye [1]).

Dnia 2 czerwca Towarzystwo obradowało pod prezydencyą Tadeusza Krępowieckiego. Ksawery Bronikowski zaproponował niespodziewanie rozwiązanie Towarzystwa, a wniosek ten poparł ksiądz Kazimierz Pułaski. Obecni na posiedzeniu członkowie najwidoczniej nie mieli zaufania w swe siły i nie widzieli przed sobą przyszłości, bo wniosek Bronikowskiego przeszedł—i Towarzystwo zdecydowano rozwiązać [2]). Aliści nazajutrz zaprotestował przeciw temu Lelewel. W liście swoim, wystosowanym do Towarzystwa, nadmieniał, że nigdy do żadnych tajnych towarzystw nie należał, ale „z chęcią przystąpił do jawnych narad obywatelskich..." „Dotykały nas,—pisał,—ciężkie oszczerstwa i potwarze, ale te ani na chwilę nie mogły zachwiać mojego dla obywatelskich uczuć zaufania, ani zwrócić z drogi, po której mię przekonanie moje prowadzi. Dalej wyrażał przeświadczenie, że „obywatele przypadkowie na nadzwyczajne zebrani posiedzenie, nie mogli w imię Towarzystwa wyrzekać, ani o rozwiązaniu Towarzystwa, ani o zamknięciu, ani o zawieszeniu obecnych jego obrad".

„Wiadomość, —zaznaczał w końcu swojego listu,—o zadecydowaniu rozwiązania napełniła mnie niemałem strapieniem. Nie obawiam się, aby mnie obywatelowie posądzać mieli o jakie do tego z mej strony podniety; ale się lękam, aby nie mniemano, że na to przystać mogę... Nie wpływałem na zawiązanie się Towarzystwa, ***rozwiązywać go nie mogę***, ani do rozwiązania przystępywać, owszem, przeciw aktowi takiemu ***protestować się będę...***" [3])

---

[1]) Było to niewątpliwie dowodem ogromnego nieporozumienia. W gruncie rzeczy w mowie Lelewela nie było nic rewolucyjnego. „Rewolucyę" swoją wywodził on z Konstytucyi 3 Maja, a za organ tej rewolucyi uważał Sejm. „Dziś,—mówił Lelewel,—Sejm pomyka dalej socyalne odmiany, popiera w narodzie towarzyską rewolucyę. Wziął on przed się los włościan, których ulepszenie bytu będzie znamienitym aktem rewolucyi socyalnej..."

[2]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 98.

[3]) Nowa Polska, № 148 z d. 4 czerwca 1831 r. W Nowej Polsce z d. 7 czerwca zamieszczony jest list, podpisany przez Zwierkowskiego i Pułaskiego. W liście tym podpisani oświadczają, że zebranie d. 3 czerwca uchwałę z dnia poprzedniego uznało za nieważną.

Oczywiście, protest Lelewela utrzymał Towarzystwo Patryotyczne przy życiu i zebrania T-wa odbywały się dalej. Lelewel częściej odtąd przewodniczył obradom, które w miarę tego, jak sprawa powstania zaczęła upadać, stawały się coraz namiętniejsze i coraz gorętsze. Ze szczególną zawziętością odzywano się o działalności dyplomatów polskich, którzy, przenosząc punkt ciężkości powstania do gabinetów europejskich, łudzili społeczeństwo czczemi nadziejami i od najważniejszych zagadnień wewnętrznych odwracali uwagę. Na jednem z takich zebrań,—pisze Lelewel,—„adwokat Kozłowski hukał, zawijając rękawy, jak rzeźnik do noża. Ksiądz Gacki prawił o potrzebie odpowiedzialności gardłem. Byłem w dobrym humorze; dworując z dyplomacyi, drwiłem z jej sposobów, jakby w obronie. Mówcy zżymali się na to"[1]).

Zarzucali mu nawet, że, przemawiając w ten sposób, staje w obronie dyplomacyi, osłania jej matactwa i koi niespokojność umysłów, które w istniejącym stanie rzeczy jątrzącby raczej należało[2]). Ale jeszcze bardziej oburzał Lelewel swojemi mowami kolegów swoich w rządzie, członków Sejmu. szczególniej zaś stronnictwo dyplomatyczne, które z nienawiścią coraz większą myślało o Towarzystwie i o jego prezesie. Wytwarzała się szczególna sytuacya: Lelewel coraz bardziej tracił uznanie w obozie rewolucyjnym, a jednocześnie coraz większą budził nienawiść u wszystkich tego obozu przeciwników. Żył zamknięty w sobie i osamotniony. Nie mógł liczyć na zrozumienie, bo sam nie rozumiał dobrze myśli rewolucyjnej, a z niedołęstwem kierowników powstania pogodzić się nie mógł, choć niedołęstwu temu nie potrafił zaradzić i nie umiał przeciwstawić mu energii czynu, której w sobie nie posiadał.

Tymczasem troska o przyszłość najbliższą coraz częściej przenikała serca i coraz głębszy budziła niepokój. Ludzie, patrzący w tę przyszłość, przewidywali konieczność jakichś zmian rozległych, konieczność poruszenia jakichś wielkich środków, któreby dźwignęły upadającą sprawę. Książę Czartoryski, a wraz z nim wódz naczelny szukali ratunku zagra-

---

[1]) List z dnia 3/V—1859 r. Rks w Rapperswilu.
[2]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 111 — 112.

nicą. Ale dyplomacya europejska, bardzo w stosunku do powstania wstrzemięźliwa, choć śledząca czas jakiś z wielką uwagą przebieg wypadków wojennych w Polsce, z chwilą, gdy pierwsze poważne niepowodzenie spotkało oręż polski, stawała się coraz niechętniejsza powstaniu i coraz wyraźniej dawała agentom dyplomatycznym Rządu Narodowego do zrozumienia, że Polska na pomoc Europy liczyć nie może. Ale ks. Czartoryski, Gustaw Małachowski, minister spraw zagranicznych, oraz wódz naczelny Skrzynecki nie rozstawali się z nadziejami, że rządy Europy przyjdą powstaniu z pomocą i w dalszym ciągu starali się skłonić nieczułe gabinety do interwencyi na rzecz sprawy polskiej. Mylne to były rachuby. Europa ówczesna pożądała przedewszystkiem spokoju. Po wstrząśnieniu lipcowem we Francyi i wypadkach w Belgii, rządy monarchiczne dość miały zawieruchy. Więc gdy się okazało, że Ludwik Filip ani myśli zagrażać światu nowemi wstrząśnieniami, że polityka francuska, uprawiana za Karola X, zmieniła tylko ludzi i szyldy, ale w istocie swojej pozostała tak samo lojalną i pokojową w stosunku do innych mocarstw,—groza nowych wojen usunęła się w cień i przestała światu zagrażać. W Polsce od pierwszych chwil powstania oglądano się na pomoc Francyi. Tymczasem żadne państwo nie pożądało w takim stopniu dobrych stosunków z innemi mocarstwami, jak właśnie Francya Ludwika Filipa. A Prusy i Austrya, związane z Rosyą powrozami wspólnego interesu, wytworzonego przez rozbiór ziem polskich, nie mogły sprzyjać idei niepodległości narodu polskiego. We Francyi działała Legacya Polska, której duszą był Ludwik Plater, a piękną ozdobą poważany w Paryżu generał Kniaziewicz. Ale już za rządów dyktatury agentowi Wolickiemu powiedział minister spraw zagranicznych, Sebastiani, że nie rozumie, w imieniu jakiej Polski Wolicki przemawia: bo jeżeli tej, która wysłała posłów do Petersburga (było to w epoce misyi Jezierskiego), to wmieszanie się Francyi mogłoby tylko zaszkodzić podjętym rokowaniom. A zaraz na drugiem posłuchaniu tenże minister oświadczył, że Francya uznaje tylko tę Polskę, którą traktat wiedeński oddał pod opiekę cesarzów rosyjskich. Później, zwłaszcza dzięki poparciu szczerego przyjaciela Pola-

ków, Lafayette'a, reprezentantom polskim nie szczędzono w Paryżu słów słodkich i czułych, ale treść ich zawsze była jedna i ta sama: na pomoc Francyi Polska liczyć nie może. Pozostawała Anglia, gdzie działał najpierw margrabia Wielopolski, a po nim Walewski, późniejszy minister Napoleona III. Ówczesny kierownik polityki angielskiej, lord Grey, dobrze był znany Polakom. Podczas Kongresu Wiedeńskiego wygłaszał w parlamencie mowy, dowodzące konieczności odbudowania Polski. W roku 1814 napisał głośny w swoim czasie list do Kościuszki, list, w którym upewniał, że los Polski nikogo nie obchodzi tyle, co jego. W liście tym wszystkie nieszczęścia, trapiące Europę, przypisywał rozszarpaniu państwa polskiego. Tak było przed laty. Podczas powstania listopadowego ten sam mąż stanu, wyniesiony na stanowisko kierownicze, z gruntu zmienił swój pogląd i swoje przychylne dla Polski usposobienie. W rozmowach z wysłańcami Rządu Narodowego lord Grey dość cynicznie chował się za szańce traktatów wiedeńskich i z poza tych szańców strzelał ogólnikami, z których najzupełniej jasno wypływało, że Anglia nic dla Polski uczynić nie może. Grey przyjmował wysłańców polskich, jako osoby prywatne, również jako prywatną korespondencyę traktował listy ks. Czartoryskiego i z „wielką boleścią" oświadczał, że stanowisko jego nie pozwala mu nawet na listy te odpowiadać. W takich warunkach rządowi polskiemu należało tak postępować, jakgdyby według dobitnego określenia Mierosławskiego, „prócz Polski i trzech jej ciemięzców więcej nic żywego w Europie nie drgało"[1]).

Ale książę Czartoryski, zawiódłszy się na Francyi, a nie mogąc oczekiwać żadnej pomocy ze strony Anglii, nie przestawał poszukiwać sprzymierzeńców. Rząd pruski najwyraźniej okazywał pomoc swą rządowi rosyjskiemu. W początku czerwca przysłano Wisłą dla Rosyan czterdzieści berlinek różnej żywności, a dostawą od granicy trudnił się landrat niemiecki. W tymże czasie kilkaset rosyjskich zaprzęgów przybyło do Torunia po żywność i amunicyę. Do Elbląga dostawca rosyjski sprowadził 80,000 korcy owsa i cały ten trans-

[1]) Dyplomacya polska w powstaniu 1831. str. 103.

port wojsku dostarczył. Władze pruskie dla umożliwienia armii rosyjskiej przeprawy przez rzeki, dozwalały w różnych miejscach zwozić drzewo na mosty i same przeprawę ułatwiały [1]). Faktów takich było bez liku. A wszystkie dowodziły wymownie, że Berlin wrogo dla powstania jest usposobiony. W takich warunkach Czartoryski zwrócił swe oczy na Wiedeń i od gabinetu wiedeńskiego wyglądał ratunku. Już w samych początkach powstania oświadczono w Warszawie ówczesnemu konsulowi austryackiemu Oexnerowi, że pomoc Austryi mogłaby być wynagrodzona koroną polską[2]). Potem ks. Czartoryski zwrócił się z prośbą o radę do cesarza Franciszka II, a przez swojego brata, ks. Konstantego, mieszkającego w Wiedniu, zaofiarował koronę polską arcyksięciu Karolowi. Ale stary przywódca reakcyi europejskiej, książę Metternich, czuwający nad całokształtem polityki monarchii habsburskiej, acz z przyjemnością widział kłopoty Rosyi, ani myślał dla owej niepewnej a bardzo wątpliwej korony polskiej narażać państwo na wojnę z potężnym sąsiadem. Cesarz Franciszek po zwycięstwach, odniesionych przez wojska polskie w marcu, miał podobno żałować, że nie interweniował na rzecz Polski w samych początkach powstania, lecz później i na dworze wiedeńskim wzięła górę ostrożna polityka Metternicha.

Europa nie myślała ratować powstania.

Ale Czartoryski, acz wtajemniczony był dobrze w arkana gabinetów, aczkolwiek był świadom ich matactw, wybiegów, obłudy, jak nikt w Polsce ówczesnej, nie przestawał się łudzić pomocą zagranicy i nie przestawał na pomoc tę rachować. Postępował, jak minister potężnego mocarstwa, nie zaś jak naczelnik narodu, walczącego o swoją niepodległość. Mściła się na księciu jego przeszłość dyplomatyczna. Mściła się straszliwie.

„Polegaliśmy, — pisał w jednej z not swoich do rządów zagranicznych,—na szlachetności i mądrości gabinetów, ufając im, nie użyliśmy korzystnie wszystkich zasobów, jakie się nastręczały wewnątrz i zewnątrz. Aby uzyskać aprobacyę ga-

---

[1]) Note présentée au Cabinet de Berlin, str. 21 — 22.
[2]) Barzykowski. Historya Powstania. Tom II. str. 221.

binetów, zasłużyć na ich zaufanie i otrzymać ich poparcie, nie odstępowaliśmy nigdy od najściślejszego umiarkowania, które sparaliżowało wiele usiłowań. Gdyby nie obietnice gabinetów, moglibyśmy byli zadać cios, który może byłby stanowczym,—lecz osądziliśmy za potrzebne zwlekać"[1]).

Cóż za przyznanie się do nieopatrzności własnej, ileż dziwnej wiary w stosunku do jawnej wobec sprawy polskiej obojętności polityków i dyplomatów europejskich! Możnaby jednak mniemać, że to był tylko język dyplomatyczny, aby pobudzić do czynu owe gabinety, że nota zawierała jeno owe frazesy, które w epoce Talleyranda i Metternicha panowały jeszcze w języku dyplomatycznym i osłaniały zazwyczaj i cel, i istotę rzeczy. Nie. Nota była szczera. W innem piśmie, redagowanem na kilka dni przed ową notą, a przeznaczonem dla członków Rządu Narodowego, pisał Czartoryski: „Wmieszanie się przychylne Europy do naszej sprawy uważam za jedyny sposób uzyskania niepodległości"[2]).

Barzykowski wierzył niezachwianie w mądrość i doświadczenie polityczne księcia, Niemojowski i Morawski nie wywierali wpływu na przebieg akcyi dyplomatycznej, a Lelewel, zdala od tej akcyi stojący, sceptycznie zapatrywał się na nią. W początkach wojny, gdy dyplomacya polska z nadzieją zwracała swe oczy ku Francyi, uczony nadziei tej nie dzielił.

„Przekonany byłem,—pisał do Chodźki,— że nie warto jest Francuzom sprawę naszą objaśniać, bo z ich strony nic nam nie przyjdzie. Te składki, co robią, pieniężne są dzieciń　stwem. Te ich dyplomatyczne przydygi są wzgardy godne... Mówiłem, powtarzałem przed rewolucyą, po jej wybuchnieniu i dziś powtarzam, że [z] Francyi nic mieć nie będziemy"...[3])

Nie spodziewał się Lelewel pomocy i ze strony innych rządów, a zabiegi, czynione w Wiedniu, silnie go niepokoiły.

---

[1]) Noworocznik Demokratyczny. Rok 1843, str. 19.

[2]) Słowa te mieszczą się w nocie, wydobytej z aktów Rządu Narodowego, a przepisanej przez wydawcę pamiętników Barzykowskiego.

[3]) List z dnia 25/II — 1831 r. Rks w Rapp.

Czuł to książę Czartoryski i pomiędzy nim a Lelewelem powiększała się przepaść wzajemnej niechęci. Początkowo powodzenia wojenne utrzymywały w Rządzie Narodowym pozorną przynajmniej harmonię. Ale po klęsce ostrołęckiej, po nieszczęsnej wyprawie na Litwę, po nieudanem powstaniu na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, gdy groza rzeczywistości coraz częściej zaglądała w oczy wszystkim członkom władzy zwierzchniczej, sztucznie utrzymywana harmonia zaczęła pękać i zgrzyty nieporozumień coraz głośniej rozlegały się na posiedzeniach rządu.

Czartoryski niektóre ważne sprawy starał się załatwiać poza plecami Lelewela. Gdy przyszedł pierwszy, nadzwyczajnie alarmujący raport Skrzyneckiego o klęsce pod Ostrołęką, książę zgromadził członków rządu, ale Lelewela wyłączył. Gdy Niemojowski, stojący zawsze na straży legalizmu, spytał, czemu to uczony jest nieobecny, Czartoryski odpowiedział, że wypadki są nadzwyczajnie ważne, wymagają stanowczych postanowień i ścisłej tajemnicy, a Lelewela nie można być pewnym[1]). Niemojowski zakwestyonował ważność zebrania, ale raczej ze względów na ścisłe przestrzeganie form, niż dla istotnej przyczyny. Bo nie tylko Czartoryski z Barzykowskim, ale i obaj Kaliszanie nieraz podejrzywie spoglądali na swojego kolegę. Główną przyczyną tej nieufności były stosunki Lelewela z obozem rewolucyjnym, niepewność, co on w głębi duszy swej myśli, czem się dzieli z garnącą się do niego młodzieżą. Podejrzewano go nieustannie o tajemne knowania, o kopanie dołków pod członkami Rządu Narodowego, o zakulisowe intrygi i o mnóstwo innych wykroczeń, o których tak często wspomina Barzykowski, a na które ani on, ani inni ze współczesnych pamiętnikarzy żadnych nie przedstawiają dowodów. Był Lelewel dla tych ludzi jakgdyby niemym, a zarazem zagadkowym protestem rewolucyi. Skazany na bezsilność, nie mogący nic z własnych projektów przeprowadzić, zmuszony jednak godzić się na wszystko, co zaprojektował Czartoryski, a na co zgodził się jeden z Kaliszan, odgrywał uczony przykrą rolę przysięgłego kontrolera sfer rewolucyj-

---

[1]) Barzykowski. Historya powstania... Tom IV, str. 67.

nych Warszawy. Posiedzenia Rządu Narodowego w takich warunkach były przykre, męczące. Struna nieufności, naciągana codziennie, musiała z czasem pęknąć.

Przedtem kilka ważnych wypadków poderwało autorytet i znaczenie Rządu Narodowego.

Skrzynecki po klęsce ostrołęckiej, której był głównym, jeżeli nie jedynym sprawcą, postanowił ratować się w opinii. Miał on szczególną do rządu pretensyę o nieudolne prowadzenie akcyi dyplomatycznej. Skrzynecki był we własnych oczach bardzo zręcznym dyplomatą a, rozpisując nieustannie na własną rękę listy do różnych mężów stanu w Europie, łudził się zwodniczemi nadziejami i innych łudzić niemi usiłował. Skrzynecki, najlichszy wódz i najlichszy dyplomata, był nie na rękę rządowi, rząd istniejący zawadzał Skrzyneckiemu. W ten sposób dwie władze, jedną chęcią powodowane, jednocześnie niemal przygotowywały się do wzajemnego zamachu.

Na porządku dziennym znalazła się sprawa reformy rządu i przez jakiś czas ogólną skupiła na sobie uwagę. Sejm podzielił się na dwa obozy, zwolenników reformy i jej przeciwników: *reformistów* i *antyreformistów*, jak się podówczas wyrażano.

A w dziejach tej walki o reformę rządu osoba Lelewela niepoślednią odegrała rolę. Koźmian świadczy, że Skrzynecki skarżył się na krzykaczów z Towarzystwa Patryotycznego, i ubolewał, że „Lelewela piekielne nauki kierują teraz duchem" publicznym[1]). Wbrew Koźmianowi Barzykowski zapewnia, że Skrzynecki, dążąc do władzy, starał się pozyskać uczonego i uczynić z niego swoje narzędzie[2]), Lelewel zaś utrzymuje, że Czartoryski z Kaliszanami kopali pod nim dołki i również jego wybrali za narzędzie swoich zamiarów.

„Że Czartoryski pragnął wywrócić rząd parę razy z Kaliszanami, obserwowaliśmy to, pod koniec usiłował użyć mnie za narzędzie... Horodyski, galicyanin, mój dawny przyjaciel, radca przy boku wodza naczelnego, otrzymał tekę ministra interesów zagranicznych, ten wchodził ze mną w konferencyę,

---

[1]) Pamiętniki, Oddział III, str. 518.
[2]) Historya Powst. List. Tom IV, str. 75.

a było to w czasie toczącej się misyi wodza naczelnego o wywrócenie rządu"[1]).

Innym razem tak pisze o tem Lelewel:

„Insynuowano Lelewelowi, aby sam z rządu się usunął, odpowiedział: w przepaść jego wtrącony, z nim razem przepadnę, usunięciem się pojedyńczem wichrzycielem nie będę"[2]).

Nie zasypiali sprawy i Kaliszanie, którym nie dogadzała reforma rządu, ale dogadzało usunięcie od władzy Lelewela. W *Kuryerze Polskim* z dnia 8 czerwca, a więc w organie, oddanym Niemojowskiemu, ukazał się artykuł, wymierzony przeciw Lelewelowi. Nazywano go „cichym widzem i martwym świadkiem powolnych prac wykonawczych", wzywano go wręcz, aby godność swą złożył: „Porzuć, Lelewelu, zawód niewłaściwy, wystąp z zakresu, zbyt dla twoich talentów i duszy szczupłego, powróć na ławę poselską..."

Nie poprzestano przecież na tem i innych jeszcze użyto środków, by wysadzić Lelewela z rządu. Opowiadano wiele o jego intrygach i knowaniach, a plotka w tych pogłoskach walczyła o lepsze z potwarzą. Rozpuszczono wreszcie pogłoskę, że obecność Lelewela w rządzie powstrzymuje miarodajne sfery austryackie od interwencyi na rzecz sprawy polskiej. Barzykowski pisze, iż Skrzynecki „*wymarzył sobie*, że gabinet wiedeński nie może traktować z rządem republikańskim, w którym Lelewel zasiada". Później przecież tenże Barzykowski, nieustannie sam z sobą sprzeczny, pisze o tem, jako o fakcie i przytacza nawet ustęp z listu księcia Konstantego Czartoryskiego, dotyczący tej samej sprawy:

„Lelewel w Wiedniu zawsze jest uważany za upiora demagogii, za naczelnika tej partyi w Polsce, która, będąc w związku z francuską, dla tronów niebezpieczną się staje"[3]).

Nie może ulegać kwestyi, że obaj Czartoryscy niechętnie widzieli Lelewela w rządzie, ale i to jest niewątpliwem, że Metternich, pod którego skrzydłem opiekuńczem hodował się

---

[1]) List Lelewela z d. 3/V 1859 r. Rks w Rapp.
[2]) Nota Lelewela. Rks w Rapp.
[3]) Hist. Powst. Listop., Tom IV, str. 72, 144, 150.

i rozrastał potwór reakcyi europejskiej, nie mógł sprzyjać dążnościom rewolucyjnym. Niepodobna przecież na jedną chwilę przypuszczać, by nie ogólne konjunktury międzynarodowe i słabość powstania, lecz obecność Lelewela w rządzie powstrzymywała gabinet wiedeński od interwencyi. Uczony, który w ocenie wypadków i ludzi, działających w tej dobie, niezawsze umiał zachować naukową bezstronność, ale samych faktów nigdy nie naginał dla ratowania swojej reputacyi, przeczy temu wszystkiemu stanowczo:

„Wymaganie Austryi usunięcia się mego jest taką gadką, jak wydanie osoby. Wszystko to jest niecnych matactw wymysłem... To najpewniejsza, że Austrya radziła zdanie się na łaskę..."[1])

Jakiekolwiek jednak pobudki powodowały nieprzyjaciółmi Lelewela, a pobudek mogło być dużo, dość, że istny zamach uknuto na uczonego. Grono nieprzychylnych mu posłów, wódz naczelny, prezes i członkowie rządu złączyli się wreszcie w jednem dążeniu i postanowili wysadzić go z rządu. Nie łatwa była to sprawa! Lelewel nie ustraszył się krzyków. Postanowił przetrwać zbierającą się burzę, a widząc zewsząd wymierzone przeciw sobie ciosy, ani myślał kapitulować i z właściwym sobie uporem utwierdzał się tylko w powziętem postanowieniu. Skoro przyjął swój mandat wtedy, kiedy istotnie nie miał wielkiej nadziei, by poważniejszą odegrać rolę, obecnie, gdy Rząd Narodowy puszczał łódź dyplomatyczną na niepewne wody, jakiż był cel przystosowania się do objawianych mu życzeń?

„Miałżem,—pisał w wiele lat potem,—podać rękę matactwom czy Skrzyn[eckiego], czy Czar[toryskiego], czy Mał[achowskiego], czy Wielopol[skiego]"?[2]).

Zawziął się i nie myślał ustępować. Wytrwać zaś mógł tem łatwiej, że działania jego przeciwników nie były zgodne. Bo aczkolwiek i Skrzynecki, i członkowie rządu chcieli się go pozbyć, to przecież wódz naczelny, pragnąc całą władzę skupić w swoich rękach, myślał o zamachu na cały rząd.

---

[1]) List z d. 3/V 1859 r. Rks w Rapp.
[2]) List poprzednio cytowany.

a więc wraz z Lelewelem zamierzał zmieść z widowni i wszystkich jego kolegów.

Intryga naczelnego wodza zapuściła swoje korzenie w samym Sejmie i śród jego członków dzielnego znalazła sprzymierzeńca w Janie Ledóchowskim. Poseł ten pokumał się ze Skrzyneckim, a zamiary wodza trafiły mu do przekonania. Był to poseł niezbyt szerokich poglądów, ale dobrze znał nastroje Izby, wiedział, jak do szlachty mówić, a chętnie podjął się wnieść na porządek dzienny sprawę reformy rządu, bo lubił popisywać się swoim potężnym basem i kochał się w efektownych scenach. Temperamentem mało który mówca mógł mu dorównać. Z takiego działa postanowił wystrzelić Skrzynecki i zabić rząd w samem miejscu jego narodzin.

Ledóchowski sprytnie zabrał się do dzieła.

Dnia 31 maja zaproponował Izbie, aby wysłała do Skrzyneckiego delegacyę, którąby złożyła naczelnemu wodzowi i walecznemu wojsku „oświadczenie wdzięczności i zadowolenia za to, że się dobrze zasłużyli Ojczyźnie swojej i że odpowiedzieli temu zaufaniu, jakie w nich naród położył" [1]). Przebieg bitwy ostrołęckiej nie był jeszcze w szczegółach swych znany, a choć dużo mówiono o męstwie Skrzyneckiego, wiedziano już, że nie była to bitwa dla oręża polskiego szczęśliwa. Jednakże Ledóchowski wystąpieniem swojem osiągnął zamierzony efekt. Izba *jednomyślnie* przychyliła się do jego propozycyi. I oto stała się rzecz niebywała. Wódz, który w całej wyprawie nieustannie najokropniejsze popełniał błędy, który, mając zwycięstwo w rękach, nie chciał z niego korzystać, a później pod Ostrołęką wygubił tysiące dzielnych żołnierzy i fatalnem dowództwem straszną spowodował klęskę, wódz tak małoduszny i nieudolny, że w całych dziejach Polski bardzo niewiele znajdziemy przykładów, by naczelnikiem sił zbrojnych był człowiek do tego stopnia pozbawiony talentów wojskowych i ducha rycerskiego, wódz taki na wniosek jednego krzykacza otrzymywał podziękowanie przedstawicielstwa narodu za swoją lekkomyślność, za swoje błędy i występki, za bitwę haniebnie przegraną!

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom IV, str. 76.

Ledóchowski, osiągnąwszy taki efekt, dobrej był myśli. Przygotowawszy grunt, w kilka dni później, na posiedzeniu Izby w dniu 4 czerwca, wystąpił z projektem reformy istniejącego rządu.

„Chcę was, kochani koledzy, przekonać, że ten rząd tak, jak jest dzisiaj, istnieć nie może, nie powinien, jest on szkodliwy wewnątrz, zły wpływ wywiera na stosunki zewnętrzne. Żeśmy dotąd rząd ten taki, jakiśmy go w lutym wybrali, żeśmy go dotąd utrzymywali *było skutkiem chęci nabycia doświadczenia*, jaki rząd jest najwłaściwszy"[1]).

I wypowiedziawszy tak lekkomyślne, a ryzykowne twierdzenie, długo rozwodził się poseł jędrzejowski, że rząd „okazał w wielu zdarzeniach brak sprężystości i jedności". Szczególniej zarzucał rządowi, że nie umiał powściągnąć swawoli druku, ale głównie godził w Towarzystwo Patryotyczne, wołając z patosem, że Izba „zdepce tę hydrę, gdyby chciała głowę podnieść". Czytał dalej urywki z pism dyplomatycznych, przysłanych przez agentów polskich z głównych stolic Europy, a dla spotęgowania efektu zaręczył słowem honoru, że urywki owe będą tłómaczeniem dosłownem. Ale tu chybił poseł jędrzejowski. Po takiem zaręczeniu słuchacze ciekawie nadstawili uszu, tymczasem w owych pismach były same ogólniki, zalecające Sejmowi „wyznanie wiary otwarte i szczere", usunięcie „panowania gminu" i postawienie się „narówni z Europą całą taką, jak jest dzisiaj".

Na zakończenie swej mówki Ledóchowski gwałtownie zaatakował Lelewela:

„Rząd... nasz dotąd nie zapewnił nam rękojmi za granicą, (tutaj z worka wymowy poselskiej wyszło dyplomatyczne szydło Skrzyneckiego), jego różnorodność nie zapewnia rękojmi wewnątrz. Członek rządu jest prezesem Towarzystwa Patryotycznego. Co to jest Towarzystwo Patryotyczne? Naród cały, my wszyscy jesteśmy Towarzystwem Patryotycznem; innego nie znam, a podług praw naszych niezmienionych, a dotąd obowiązujących, wszelkie towarzystwa, przez rząd nieupoważnione, są zakazane. Dziś członek rządu, który w duchu Izby

[1]) Dyaryusz Sejmu, Tom IV, str. 214—218.

i narodu działać powinien, jest prezesem Towarzystwa. Pytam się, czy może on działać w duchu Izby i rządu? Prezes ten Towarzystwa powiedział, że nasza rewolucya nie tylko jest o niepodległość, ale i o reformę socyalnych stosunków. To są słowa prezesa Towarzystwa i członka rządu, w Gazecie Polskiej umieszczone. Ja nie byłem tam, nie słyszałem, ale tyle już dni upłynęło, jak wyrazy te w gazetach wydrukowano, że gdyby je był chciał odwołać, jużby to był mógł uczynić. Nie odwołał, więc wyrazy te były wyrzeczone. Pytam się, czy członek rządu, wypływającego z Izb, może tak antinarodowe, że tak powiem, anti-izbowe przez rząd nieupoważnione zdania objawiać? Te wszystkie uwagi skłaniają mnie do proszenia was, szanowni koledzy, abyście się zastanowić chcieli nad potrzebą istotną zmiany rządu".

Mowa uczyniła wrażenie, ale nie takie, jakiego się zapewne mówca spodziewał. Poseł jędrzejowski przeliczył się tym razem ze swemi siłami. Przesadził zarzuty. Gdyby uchwałę Izby można było i w tym wypadku zdobyć szturmem, jak ongi akt detronizacyjny, być może, inny skutek osiągnęłoby całe przemówienie. Ale sprawa wymagała obrad, a choć potężny bas Ledóchowskiego posiadał niewątpliwie akcenty przekonywające, sam bas tym razem wystarczyć nie mógł, mowa zaś miała dużo stron słabych. Rozpoczęła się dyskusya, najpierw „co do formy wniosku", później na temat zaprojektowanej zmiany — i „reformiści" stanęli do walki z „antyreformistami..."

Kilka dni trwała ta walka.

Dnia 9 czerwca Ledóchowski, inicyator całej dyskusyi, raz jeszcze palnął w Izbie sążnistą mówkę, ale tym razem bardziej miarkował swoje wyrażenia. „Z niezwyczajną mu zimną krwią wprowadzał projekt w obszernym głosie" [1]).

„Panowie moi! — wołał pod koniec swojego przemówienia,—myśmy formę monarchiczno-konstytucyjno-reprezentacyjną przyjęli; jednak widzimy, że są członkowie w rządzie, którzy tę formę za niewłaściwą znajdują. Zresztą odwołuję się tutaj do samych członków Rządu Narodowego. Niech po-

[1]) Kuryer Polski z d. 10 czerwca 1831 r.

wie sam prezes szanowny tego rządu; pytam się tego męczennika swobód narodowych, z tylu miar od wszystkich szanowanego Wincentego Niemojowskiego; zapytuję się Barzykowskiego, który już w tylu razach dał dowody swego patryotyzmu; pytam się gorliwego członka opozycyi Morawskiego i odzywam się do uczonego Lelewela, który przez tyle pięknych rad do wzniesienia rewolucyi przyłożył się i popęd jej nadał; pytam się ich, niech sumiennie powiedzą: czy rząd odpowiedział temu zaufaniu, które Sejm chciał w nim położyć?" [1])

Ale i Rząd Narodowy miał zwolenników, a Lelewel, acz ostro przeciw niemu wystąpił i cieszący się w Izbie wielką powagą Konstanty Świdziński, również znalazł gorących obrońców. Bronili uczonego: Krysiński, Ignacy Dembowski, Szaniecki, a ten ostatni najpiękniej i najgoręcej przemawiał.

„Postanowiliśmy kolegialność,—mówił Szaniecki,—a więc chcieliśmy, aby była jedność w większości, lecz nie w pojedyńczych członkach. Nie zapominajmy o tem, że jesteśmy w stanie rewolucyjnym; że rewolucya nasza daleką jeszcze końca; że ją popierać, a nie przytłumiać potrzeba. Wszystkie zatem żywioły wspólnie i obok siebie działać powinny. Walka z nimi nie jest dziś na swojem miejscu. Pierwszą jest walka z nieprzyjacielem. Szanujmy rewolucyjne żywioły. Szanujmy osoby, które ją stworzyły. Należy im się wdzięczność, a nie wyrzuty, jakoby dlatego podnieśli rewolucyę, ażeby z niej ciągnąć zyski, ażeby pierwsze ogarnąć urzędy. Zhańbiliż się rabunkiem? Posiadająż wysokie urzędy? Nie, bynajmniej! Ustąpili ich wielu z tych, co naganiali rewolucyę, co drżeli na jej istnienie, co ją nazywali buntem nieprawym, co w nocy 29 listopada siedzieli ukryci w ostatnich zakątach. Bohaterów prawdziwych tej nocy widzimy przeciwnie w szeregach, walczących za niepodległość, lub bezinteresownie poświęcających się usłudze publicznej. Jeżeli tu chodzi o czcigodnego Lelewela, znany on od dawna, jako prawdziwy filozof, nie lubiący wystawnego życia, żyjący skromnie z własnego mienia. Nie wzdycha on nigdy do bogactw, bo całe ży-

[1]) Dyaryusz Sejmu, Tom IV, str. 274.

cie poświęcił Ojczyźnie i sławie. Z ławki poselskiej, którą zaszczytnie zajmował, obraliśmy go członkiem Rządu Narodowego. Był on już wtenczas prezesem Towarzystwa Patryotycznego. Możemyż czynić mu wyrzuty, że jest nim dzisiaj?" Gdy Lelewel mówił, że rewolucya nasza narodowa jest zarazem socyalną, to przez to nie ubliżył bynajmniej zasadom monarchii konstytucyjnej; albowiem skoro zamierzamy pisać nową konstytucyę i oprzeć ją na narodowości, już tem samem uznajemy rewolucyę socyalną, bo zamyślamy zmienić dotychczasowe stosunki i zasady socyalne. Myli się, kto mniema, że rewolucya narodowa obejść się może bez socyalnej; socyalna jest środkiem do narodowej, i przez nią ostatnia istnieć tylko może. Napróżno trwożymy się demagogią i jakobinizmem. Cały świat cywilizowany dzieli już zasady tych straszliwych niegdyś stronnictw..."[1])

I toczyła się dalej walka w obronie Rządu Narodowego ze zwolennikami reformy, a nazwisko Lelewela bardzo często przez obie strony było powtarzane. Zarówno „reformiści", jak i ich przeciwnicy, wytaczali mnóstwo argumentów, a niepodobna było przewidzieć, kto weźmie górę w zapasach. Odezwała się i prasa, a w „Kuryerze Polskim", niewątpliwie z natchnienia p. Wincentego, codziennie ukazywały się gorące artykuły przeciw reformie.

„Wy, którzy mimowolnie popychacie ją (Polskę) do przepaści,—czytamy w jednym z tych artykułów, — wy, reformatorowie, na Boga zaklinam i wszystko, co jest najświętszego, wstrzymajcie się z nieszczęsnym projektem..."[2])

Za Lelewelem i rewolucyą socyalną ujmowała się „Nowa Polska"—i walka zarówno w prasie, jak w Sejmie, trwała w dalszym ciągu.

Zwyciężyli wreszcie przeciwnicy reformy: za utrzymaniem istniejącego rządu oddano 42 głosy, przeciw—35.

Utrzymał się więc Rząd Narodowy, ale nieznaczna większość głosów, której zawdzięczał swoje dalsze istnienie, świadczyła, że w samym Sejmie nie posiada dostatecznego oparcia.

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom IV, str. 309 — 310.
[2]) Kuryer Polski z d. 11 czerwca 1831 r.

Autorytet zwierzchniczej władzy zachwiał się i w oczach ogółu stracił na powadze. A Lelewel, którego chciano z rządu usunąć, wyszedł obronną ręką, pozostał w rządzie i w dalszym ciągu piastował godność prezesa Towarzystwa Patryotycznego.

Widocznem przecież się stało, że powstanie źle jest kierowane, że zarówno rząd, jak dowództwo naczelne nie odpowiadają swojemu zadaniu. Opinia, przezierająca istotny stan rzeczy, była zatrwożona. A wypadki podniecały trwogę. Podjęta w czerwcu wyprawa przeciw Rüdigerowi, zakończona całkowitem niepowodzeniem, z powodu niedołęstwa Skrzyneckiego i komenderujących generałów, a przedewszystkiem generała Jankowskiego, nowe wznieciła oburzenie. Pogłoski o spisku, uknutym na rzecz Moskwy, dolały oliwy do ognia. Stolica była podminowana gniewem, a Skrzyneckiego najstraszniejsze ścigały zarzuty. Wtedy naczelny wódz, ogromnie dbały o swoją popularność, chcąc odwrócić uwagę ogółu od działań na placu boju, energicznie zajął się domniemanym spiskiem. Kilka osób podejrzanych aresztowano, przed domami kilku innych ustawiono straże. W ten sposób gniew stolicy istotnie udało się Skrzyneckiemu odwrócić od siebie i w inną skierować stronę. Po mieście zaczęły krążyć najrozmaitsze wieści, a tłum, jak zawsze pochopny do oskarżeń, odgrażał się zdrajcom. Publiczność, widząc cukiernika Lessla, prowadzonego do więzienia, widząc rozstawione straże na ulicy Świętojerskiej przed domem generała Hurtiga, który, jako komendant Zamościa za czasów Konstantego, najfatalniejszą miał opinię, snuła fantastyczne domysły i, przestając winić Skrzyneckiego, cały swój gniew skierowała przeciw uwięzionym.

Dnia 29 czerwca wzburzony tłum wybił szyby w cukierni Lessla, a na wiadomość, że Hurtig ma być odprowadzony do więzienia, z wielkim hałasem ruszył na ulicę Świętojerską i, pokrzyżowawszy wysiłki gwardyi narodowej, otoczył szczelnie dom generała. Rozległy się okrzyki:

— „Śmierć zdrajcy!"

Grad kamieni posypał się w okna. Hurtig ukazał się tłumowi i zdołał zaledwie zawołać:

— „Obywatele! jam niewinny!"

Nowy grad kamieni był odpowiedzią na to zapewnienie.

— „Na latarnię ze zdrajcami!"—wołano z tłumu [1]) i coraz większe wzburzenie ogarniało lud zgromadzony. Gdy Hurtiga wyprowadzono pod eskortą z mieszkania, lud przełamał szeregi, rzucił się na nieszczęsną ofiarę, zdarł z generała szlify, poszarpał na nim mundur[2]) i, idąc za prowadzonym na Zamek więźniem, zionął strasznemi złorzeczeniami. Dopiero na placu Zamkowym zatrzymały się tłumy, ale zatrzymały się rozjątrzone, gniewne, podejrzliwe. Przejeżdżał w tym czasie przez plac książę Czartoryski. Natychmiast powóz księcia ze wszech stron otoczono, a tysiąc głosów wołało:

— „Sprawiedliwości!"

„Książę — pisze naoczny świadek, — z odkrytą głową stojąc w powozie, przemawiał donośnie, że winni według wszelkiej surowości prawa w 24 godzinach skazani będą, że się właśnie udaje do Rządu Narodowego, by odpowiednie ku temu przedsięwziąć środki i wezwał tłum do spokoju i rozejścia się..." [3])

Na te słowa odezwały się okrzyki na cześć księcia Adama, ale tłum długo jeszcze hałasował, burzył się i wygrażał zdrajcom. Tym razem nie doszło do poważniejszych zaburzeń, ale pojęcie zdrady utkwiło w umysłach i podejrzenia wzrosły. Słowo: „zdrada!" coraz częściej pojawiało się na ustach i gniew ulicy stawał się coraz głębszym. A ks. Czartoryski nie spełnił obietnicy: winni nie tylko nie zostali osądzeni w ciągu 24 godzin, ale sąd się przedłużał, płynęły dni, tygodnie i opinia nie mogła doczekać się wyroku. Więc wzmagały się podejrzenia, a w ich kręgi coraz więcej osób się dostawało. Sprawa zdrady stawała się najaktualniejszą i najbardziej palącą.

W takich warunkach Towarzystwo Patryotyczne, wygasające już ognisko opozycyi, a jedynie dzięki uporowi Lele-

---

[1]) Pamiętnik H. Bogdańskiego. Zbiór Pamiętników do hist. powst. polskiego z roku 1830 — 1831. We Lwowie 1881. Str. 109.

[2]) W. Zwierkowski. Zaburzenia w Warszawie dnia 29 czerwca 1831 r. Pamiętnik Emigracyi. Broszura Zygmunt August Jagiellończyk. Relacye Zwierkowskiego i Bogdańskiego, obu naocznych świadków, są naogół ze sobą zgodne.

[3]) Bogdański, l. c.

wela utrzymane przy życiu, silniejszym buchnęło płomieniem. Okoliczności sprzyjały klubowi, zebrania jego znowu stały się liczniejsze. Na posiedzeniu 1 lipca postanowiono, ze względu na powagę chwili, obradować codziennie od godziny 6 wieczorem w salach redutowych. W trzy dni później wydano odezwę, zalecającą obywatelom czujność najwyższą i śledzenie zdrady. ,,Nie zginiemy przez nieprzyjaciół jawnych, zginąć możemy przez zdrajców!" — oto był apel, z jakim Towarzystwo zwracało się do mieszkańców stolicy. Lelewel nie podsycał płomieni oburzenia i nie starał się wpłynąć na uspokojenie wzburzonych żywiołów. Ale wszystko, co działo się w Towarzystwie, jego poduszczeniom przypisywali niechętni. Obawy o spokój w mieście zatrważały członków rządu. Ówczesny minister spraw wewnętrznych, Gliszczyński, widząc coraz bardziej wyzywającą postawę Towarzystwa, a nie wiedząc, jak się ma wobec tego zachować, zwrócił się do rządu z prośbą o instrukcye. Ale rząd, który w swym składzie miał prezesa Towarzystwa, był w kłopocie jeszcze większym, niż Gliszczyński. Nie śmiał rozwiązać klubu i nie chciał przyzwolić na jego dalszą egzystencyę. Więc Wincenty Niemojowski, który na list Gliszczyńskiego odpowiadał, odpisał mu, że z dotychczasowej egzystencyi Towarzystwa ,,nie wynikło żadne zamieszanie pokoju publicznego, ani żadna znaczna nieprzyzwoitość", a rozwiązanie tej instytucyi mogłoby ,,wywołać towarzystwa tajne, daleko niebezpieczniejsze" [1]). I polecał Gliszczyńskiemu, aby sam zwracał uwagę na działalność Towarzystwa.

Odbywały się więc w dalszym ciągu posiedzenia klubu, który coraz wyżej podnosił głowę, coraz ostrzej krytykował ministrów, rząd, sejm, naczelnego wodza. A członek rządu i prezes Towarzystwa bywał na tych posiedzeniach, sam czasem głos zabierał. Taka dwuznaczność w najwyższym stopniu rozdrażniała kolegów Lelewela w rządzie i budziła ku niemu coraz żywszą niechęć. Szczególniejsze wzburzenie wywołał uczony swoją mową, wypowiedzianą 27 lipca na urządzonym przez Towarzystwo uroczystym obchodzie w rocz-

[1]) Al. Kraushar. Klub Patryotyczny Warszawski, str. 54—55.

nicę rewolucyi francuskiej. Dnia tego zgromadzenie było tak liczne, że sale redutowe zaledwie mogły pomieścić zebranych. Nad trybuną obok emblematów narodowych powiewała chorągiew trójkolorowa.

Posiedzenie zagaił Lelewel.

„Obywatele! — mówił uczony, — dzisiaj jest rocznica rewolucyi francuskiej, w Paryżu wydarzonej. Obchodzona dziś we Francyi żałobnym obchodem, u nas — obecnem posiedzeniem. Obchodzona we Francyi, jako miejscowa i Francyę bezpośrednio interesująca, u nas, jako francuska, a razem, jako świat obchodząca... Rewolucya! wyraz straszny. Strasznym go uczyniła sama Francya, kiedy w niej przed czterdziestu laty pękły świata okowy. Niedojrzałych myśli cierpkie bywają owoce. Lecz kiedy... wyobrażenia przenikną dusze wszystkich, wtedy gładko idzie zmiana i pogodne toczą się rewolucye..."

„Im myśli dojrzalsze będą, — mówił Lelewel, — tem gładziej rewolucyjne wypadki świat zajmować będą...."

Twierdził dalej, że rewolucya lipcowa nie ograniczyła się do samej Francyi, gdyż „duch czasu rozciąga jej ramiona do licznych Europy narodów i wznieca przez to interes świata..." [1]). Wspomniał, że wybuch rewolucyi był wzniosły, chociaż sama rewolucya jeszcze nie dojrzała. Życzył więc, by rozwinęła się i dopięła celu, a wspominając o wybuchu powstania, mówił o wpływie rewolucyi francuskiej na młodzież polską i na jej poryw bohaterski. Wreszcie wzmiankował o licznych węzłach, które w przeszłości łączyły Polskę z Francyą i okrzykiem na cześć Francuzów zakończył swoje przemówienie.

Ten występ Lelewela nowe na niego wywołał narzekania [2]), a choć w przemówieniu nie było w gruncie rzeczy nic rewolucyjnego, sam fakt, że uczony przemawiał w rocznicę rewolucyi, wystarczył, by go jeszcze usilniej o tajemne

---

[1]) A. Kraushar. Klub Patryotyczny Warsz., str. 64 — 5 oraz „Polska, dzieje i rzeczy jej". Tom XX, str. 82 — 84. W „Polsce" wydawca mowę Lelewela wydrukował w tłómaczeniu z języka francuskiego.

[2]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 98.

knowania pomawiać, by później przypisać jego zabiegom wypadki, które niebawem poruszyły stolicę i zmiotły z widowni istniejącą władzę.

Bo niezadowolenie opinii rosło. A powody tego niezadowolenia aż nadto były usprawiedliwione i nadto widoczne, aby ich szukać w knowaniach Lelewela. Rząd Narodowy wbrew przyrzeczeniu księcia Czartoryskiego nie przyśpieszał osądzenia sprawy uwięzionych a podejrzanych o działanie na rzecz Moskwy osobistości, a wódz naczelny, jak gdyby już wojnę ukończył zwycięsko, usadowił się nadobre w Warszawie, wyprawiał uczty, biesiady, przyjmował w swoich salonach licznych gości, pisał listy dyplomatyczne do europejskich mężów stanu, robił wielką politykę, lecz nie zajmował się sprawami wojskowemi i nie myślał o wojnie. Tymczasem armia rosyjska, której dowództwo, po nagłej a zagadkowej śmierci Dybicza, objął Paskiewicz, bez przeszkód przygotowywała się do stanowczej z powstaniem rozprawy. Ze wszystkich stron ściągano rezerwy i wzmacniano główne siły, by rzucić je na Warszawę. W głównej kwaterze polskiej dobrze wiedziano o zamiarach armii rosyjskiej, ale nic przeciw nim nie przedsięwzięto. Paskiewicz, jak w kraju przyjacielskim, bez żadnych przeszkód, posuwał się wzdłuż prawego brzegu Wisły, przemknął się obok Modlina, doszedł do Płocka, przeszedł pod Raciążkiem Wisłę i, niewstrzymywany przez nikogo, ruszył ku Warszawie. Obręcz żelazna zaczęła okalać nieszczęsną stolicę, a wódz naczelny trwał w bezczynności, pisał w dalszym ciągu swe noty dyplomatyczne i rozczytywał się w gazetach francuskich. Ale wieść o postępach Paskiewicza i o przejściu Wisły lotem błyskawicy obiegła Warszawę i na całej ludności wstrząsające uczyniła wrażenie. Oburzenie powszechne zwróciło się przeciw naczelnemu wodzowi. Na ulicach i po kawiarniach, z trybuny Towarzystwa Patryotycznego, ze szpalt pism atakowano Skrzyneckiego, a generał Krukowiecki, mający z wodzem porachunki osobiste, odgrażał się niemal publicznie, że powiesić go każe [1]). A Rząd Narodowy, niemy i bezsilny świadek występnej bezczynności

[1]) Barzykowski. Hist. Powst. Tom IV. str. 359.

Skrzyneckiego, wzywał go na swoje posiedzenia, starał się zachęcić wodza do działań i wiódł z nim boje dyalektyczne, z których generał, górujący nad członkami rządu argumentami strategicznymi, wychodził zazwyczaj zwycięsko!

A Sejm, najwyższa władza narodowa, zamiast strącić z dowództwa Skrzyneckiego i innego mianować wodza, wyznaczył, na wniosek Bonawentury Niemojowskiego, komisyę ze swojego łona, która wspólnie z Rządem Narodowym i gronem wyższych wojskowych miała zadecydować o dalszych losach kampanii. Sejm czynił skandal publiczny, czynił zło najgorsze: szerzył w wojsku demoralizacyę, wszczepiał w armię chęć do sejmikowania, otwierał szerokie pole, na którem zmagać się miały małe zdolności i wielkie ambicye. Ale Rząd Narodowy, posłuszny woli Sejmu, zebrał wielką radę, złożoną z wyznaczonych posłów, wyższych wojskowych, naczelnego wodza—i dnia 27 lipca przystąpił do dzieła. Na radzie tej Bonawentura Niemojowski, który Sejmowi przedłożenia czynił, nie mógł być z powodu choroby obecnym, nikogo więc nie było, ktoby wystąpił z aktem oskarżenia przeciw Skrzyneckiemu. Po przemówieniu Czartoryskiego, który zagaił zebranie, i po danych faktycznych, złożonych przez Barzykowskiego, zabrał głos wódz naczelny i usprawiedliwiał swoje postępowanie. Ale gdy jenerał Sierawski chciał przemówienie to krytycznie oświetlić, Skrzynecki, korzystając ze swojej władzy, zawołał żywo, że wojskowym nie wolno zabierać głosu bez jego pozwolenia. Protestował przeciw temu poseł Chełmicki, ale generałowie Małachowski, Łubieński i inni wojskowi poparli swojego wodza. Tym krokiem Skrzynecki steroryzował całą radę i nie pozwolił mówić o tem, co się stało w przeszłości. Nie protestował przeciw temu książę Czartoryski, milczeli członkowie rządu, milczeli posłowie, milczał Lelewel. Zaczęto mówić o planach na przyszłość najbliższą. Zabrali głos wojskowi. Lelewel podczas całej sesyi nie odezwał się ani razu, a to milczenie nieraz później mu wyrzucano [1]). Cóż jednak miał mówić, skoro nie pozwalano doty-

[1]) Jest zresztą kwestyą, czy Lelewel cały czas był obecny na sesyi. Skoro bowiem zasiadał Skrzynecki, dla Lelewela nie było miejsca

kać przeszłości, a w sprawach nowych planów zabierały głos największe powagi militarne, jakie posiadała wówczas armia polska! Niewiele zresztą na przebieg obrad mógł wpłynąć. Przeważyła ostatecznie opinia Prądzyńskiego — i akcya zaczepna została zdecydowana. Skrzynecki był z tej decyzyi w najwyższym stopniu niezadowolony, ale uroczyście przyrzekł zastosować się natychmiast do zdania większości. Przyrzekł — i ani myślał przyrzeczenia dotrzymać.

Armia rosyjska bez oporu zajęła Łowicz, ważny punkt strategiczny, i nadobre zaczęła zagrażać Warszawie.

Wtedy dopiero Skrzynecki wyruszył ze stolicy, ale znalazłszy się w polu, na żaden krok stanowczy zdecydować się nie mógł i męczył tylko bezużytecznymi marszami żądne boju wojsko.

Zaczęła się era nowych pertraktacyi z wodzem, nowych narad z wojskowymi, fatalna era sejmikowania w szeregach.

Sprawy powstania stały jak najgorzej.

W takich okolicznościach atmosfera na posiedzeniach Rządu Narodowego stawała się coraz cięższą i nieporozumienia pomiędzy jego członkami wyrażały się w formie bardzo ostrej. Zdenerwowanie ogarniało dzierżycieli władzy, a smutne przeczucia targały ich serca. Nieszczęście, nadciągające coraz bliżej, nie zjednoczyło tych pięciu ludzi, lecz jakby ich odpychało od siebie. Każdy z nich wobec olbrzymiejącego zadania czuł swoją słabość i zarazem czuł słabość swoich kolegów. Ciężar bezsilności uciskał piersi, krępował ręce i nieraz pieczęć milczenia nakładał na usta.

Książę Czartoryski, zawsze w formach swoich wytworny, zawsze liczący się ze słowami, często tracił zimną krew i wybuchał gniewem.

Na jednem z takich posiedzeń, zaprawionych goryczą, Wincenty Niemojowski oświadczył, że jego brat, Bonawentura, odebrał od jakiegoś związku z Galicyi list z zapytaniem, czy nie byłoby pożądanem, aby i Galicya porwała się do broni i powstała przeciw swojemu rządowi. Czartoryski

w rządzie. Jest relacya, że właśnie z powodu obecności Skrzyneckiego Lelewel musiał ustąpić: „Tygodnik Emigracyi" z dn. 14 lipca 1837 r.

milczał. Powstanie w Galicyi mogło zadać śmiertelny cios jego ukrytym zamiarom. Więc wolał materyi tej nie poruszać. Gdy przecież Lelewel oświadczył, że i on otrzymał identyczne pismo z tymiż samymi podpisami, książę uniósł się gniewem, lecz żadnego nie wyjawił zdania. Nie mogło to zadowolić obecnych. Lelewel ponowił nalegania, aby na list odpowiedzieć, bo „aczkolwiek, twierdził, kwestya dotyczy tylko Galicyi, jednakże obowiązkiem jest rządu, aby ją rozważył". Wtedy książę stracił nad sobą panowanie i przeciął dyskusyę w sposób nieoczekiwany: uderzył pięścią w stół, tupnął gniewnie, zerwał się z miejsca i wyszedł z sali rządowej...[1])

Dnia 4 sierpnia doszło do nowej, jeszcze gwałtowniejszej sceny.

Książę Czartoryski, zawiedziony w swoich nadziejach, pokładanych w Anglii, czekał niecierpliwie wiadomości z Paryża, łudząc się jeszcze, że rząd Ludwika Filipa poda w końcu rękę pomocną powstaniu. Ale dnia 23 lipca król francuski, wspomniawszy tylko o zachowaniu Polsce jej narodowości, mówił o pośrednictwie—i to było ostatnie słowo, jakie Francya przysyłała Polsce. Prezes Rządu Narodowego był w rozpaczy. „Prawdziwie żal było patrzeć wówczas na niego", powiada Lelewel. Istotnie, cios to był dla dyplomacyi polskiej okropny, a szczególniej gorąco odczuł go Czartoryski. Nigdy nie ufający własnym powstania siłom, coraz wyraźniej widział mogiłę, w którą stoczyć się miały wszystkie nadzieje narodu. Szukał przecież ratunku nazewnątrz, bo wewnątrz go nie dostrzegał.

Sytuacya przedstawiała się tragicznie.

Francya zawiodła, Anglia była głucha na wszelkie przedstawienia, Prusy jawnie pomagały Rosyi, pozostawał jedynie gabinet wiedeński, z którym książę starał się bliższe zawiązać stosunki. Wprawdzie wszystkie gabinety, acz w różnych czasach i z różnych pobudek, doradzały rządowi polskiemu rozpoczęcie układów z Mikołajem, ale Czartoryski, który przez całe życie łudził się co do Rosyi, jak nikt może z ówczesnych polityków polskich rozumiał, że z Petersburgiem na drodze

[1]) List Lelewela z d. 3/V 1859 r. Rks. w Rapp.

pokojowej jeno zagłady oczekiwać można. Po akcie detronizacyjnym i rozpoczęciu walki nie myślał już o układach. Łudził się co do wszystkich dworów, nie łudził się tylko co do dworu petersburskiego. Gdy więc rozwiały się ostatnie nadzieje na pomoc Francyi, książę wszystkie swoje wysiłki zwrócił ku Wiedniowi. W końcu lipca wysłał błagalny list do Wiednia, a później jeszcze głucha rozpacz podsunęła mu projekt oderwania Królestwa Polskiego od Rosyi kosztem oddania całego kraju pod panowanie Austryi. Przygotował list odpowiedni i w liście tym zapewniał[1]) gabinet wiedeński, że „naród polski przyjmie opiekę i panowanie austryackie i taki rząd, jaki się Austryi nadać podoba!...[2])

Nie było to już ofiarowanie korony polskiej jednemu z członków domu Habsburskiego, nie był to nawet krok polityczny, obliczony na przyszłość, a mający jakiekolwiek szanse powodzenia. To była już rezygnacya skazańca, szukającego w strasznem podówczas więzieniu austryackiem ocalenia głowy przed katowskim toporem Moskwy. Czartoryski kołatał do zamkniętych wrót tego więzienia, choć gabinet wiedeński poprzednio już radził kołatać do serca Mikołaja. Ale prezes Rządu Narodowego żadnej już nie miał nadziei poza pomocą Austryi, gdyż inne gabinety zawiodły, a w powstanie absolutnie nie wierzył. Wprawdzie położenie na placu boju było bardzo ciężkie, ale jeszcze kilkadziesiąt tysięcy żołnierza zasłaniało stolicę swojemi piersiami. Jeszcze były w kraju zasoby, jeszcze był lud, było mieszczaństwo, gotowe na pierwsze wezwanie rządu stanąć do walki na okopach. O ileż groźniejsze było położenie przez cały czas powstania kościuszkowskiego, jakże beznadziejną mogła wydawać się walka w chwili, kiedy armie trzech mocarstw rozbiorczych, liczące

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 110.

[2]) Lelewel podał wiadomość o tem piśmie w dziełku swojem: „Polska odradzająca się", oraz w przedmowie do wydania francuskiego „Trzech konstytucyi polskich", a następnie potwierdził ją w liście swoim do Chodźki z dnia 3 maja 1859 r. Liczni krytycy tego dziełka wiadomości tej nie sprostowali. Nawet Barzykowski, który wystąpił przeciw Lelewelowi, zaraz po ukazaniu się jego pracy — i bronił Gustawa Małachowskiego oraz działań dyplomatycznych Rządu Narodowego, wiadomości co do owego pisma nie sprostował. *Vide*: Kronika Emigracyi. Tom VI, r. 1837, str. 273 — 287.

130.000 głów, zalewały ziemię polską, a straszny Suworow ciągnął ku Warszawie. Zaledwie 30.000 uzbrojonych żołnierzy mógł podówczas Kościuszko wyprowadzić w pole. A jednak nie tylko nie upadł na duchu, ale umiał tchnąć otuchę w podwładne mu organy, w stolicę, w wojsko, umiał stawić czoło zbliżającej się burzy i w walce do ostatniego tchnienia szukać zwycięstwa. Niestety, powstanie listopadowe nie miało swojego Naczelnika, nie miało wodza, któryby umiał wydobyć z narodu ostatnie siły i rzucić je w ogień walki. Bo Rząd Narodowy daleki był od chwycenia się środków ostatecznych, a jego prezes od początku nie wierzył w skuteczność dzieła i więcej polegał na gabinetach obcych, niż na własnej sile narodu, jakby zapominając, że od stopnia siły, którą powstanie wykaże, zależna będzie i polityka gabinetów. Czartoryski nie był zresztą wyjątkiem. Poczucie bezsilności głęboko już przenikało i pozostałych członków władzy, i członków Sejmu. Oddanie się na łaskę Austryi zaakceptowała komisya sejmowa, a sam akt podpisali bez protestu: Barzykowski, Niemojowski, Morawski.

Tylko Lelewel z ponurą zawziętością myślał o tych projektach austryackich i tłumił w sobie gniew. Burza długo zbierała się w jego piersi, aż w dniu 4 sierpnia miało przyjść do wybuchu.

W tym dniu, na całe życie pamiętnym dla Lelewela, stanął przed rządem generał Dembiński, który swym bohaterskim odwrotem z Litwy podniósł na chwilę upadającego w stolicy ducha. Dembiński zdawał sprawę ze smutnych dziejów wyprawy litewskiej. Lelewel skwapliwie wypytywał, dlaczego siły polskie nie mogły dłużej utrzymać się na Litwie, a generał odpowiadał na te zapytania[1]). Sprawozdanie Dembińskiego na wszystkich członkach rządu okropne uczyniło wrażenie, Lelewel zaś, zawsze niezwykle wrażliwy na wszystko, co dotyczyło Litwy, do głębi duszy był wstrząśnięty.

Wyszedł wreszcie Dembiński. Na sali, oprócz członków rządu, generalnego sekretarza, Andrzeja Plichty, znajdował się jeszcze Stanisław Kunatt, prowadzący protokuły posiedzeń

---

[1]) Generała Henryka Dembińskiego Pamiętniki. Tom II, str. 7.

rządowych. W takiej to chwili Kunatt podszedł do Lelewela i przyniósł mu do podpisania owo pismo, które rozpacz podyktowała Czartoryskiemu. Lelewel gwałtownym ruchem odsunął je od siebie. Trzej inni członkowie rządu zagłębieni byli w leżących przed nimi papierach, a książę Czartoryski spacerował zamyślony po sali. Wiedział jednakże o co chodzi i dostrzegł pełen oburzenia gest Lelewela. Zabolała go ta odprawa, ale milczał. Tymczasem Kunatt poprosił Lelewela o podpis. Ten stłumił w sobie oburzenie, a chociaż gniew straszny nim miotał, starał się zapanować nad sobą i odmówił podpisu. Gdy jednakże Kunatt nie przestał nalegać, Lelewel zawołał, że w imieniu narodu protestuje przeciw temu pismu i z ust jego padło słowo: „niegodne". Kunatt zwrócił mu uwagę, że pismo było komunikowane komisyom sejmowym, że już czterech członków rządu je podpisało i że potrzeba jeszcze podpisu piątego, o co właśnie książę Czartoryski prosi. Ale w Lelewelu już wrzała krew i najwyższe ogarniało go uniesienie. Podniósł głos i zawołał, że on takiego pisma nie podpisze. Na te słowa ks. Czartoryski, również do najwyższego stopnia podniecony, rzucił się z furyą ku protestującemu. Zerwał się ze swojego miejsca Lelewel — i obaj, bladzi z gniewu, drżący, rozjątrzeni, schwycili się za bary...

Zapanowała chwila strasznego milczenia.

Plichta i Kunatt, przerażeni okropną sceną, pędem wybiegli z sali, a Niemojowski, Barzykowski i Morawski, spoglądając z podełba na gorszące widowisko, jeszcze głębiej zanurzyli się w leżących przed nimi papierach.

Przeciwnicy zaś w najwyższem rozdrażnieniu zaczęli czynić sobie wyrzuty. Puścili się wreszcie, ale „jeszcze niemały czas gorzkie wyczuwały się słowa"[1]).

---

[1]) List Lelewela z 8 kwietnia 1859 r. Rks w Rapp. Barzykowski inaczej tę scenę opisał (Tom IV, str. 433 — 434), starając się, jak zwykle zresztą, w jak najgorszem świetle przedstawić Lelewela. Powodem zajścia, zdaniem Barzykowskiego, nie była kwestya podpisu L-la na przedstawionym mu dokumencie, lecz sprzeczka na tle relacyi Dembińskiego. Lelewel lepiej musiał powód zajścia pamiętać. Barzykowski twierdzi jeszcze, że uczony cisnął Czartoryskiemu w twarz zarzutem zdrady, lecz Lelewel, który szczegółowo całą scenę opisał, słowa tego nie powtarza.

Tegoż dnia wieczorem odbyła się zwykła sesya rządowa, lecz książę nie przybył. Na twarzach zebranych głęboka boleść się malowała, „zimno i smutno było, —powiada Barzykowski.—Lelewel słowa nie rzekł, a co w jego piersiach się działo, któż odgadnąć może?" [1])

Barzykowski zaproponował, aby wobec tego, co zaszło, rząd złożył swoją władzę w ręce Sejmu, lecz Niemojowski, któremu chodziło o to, aby zachować pozory, zgłosił wniosek, by wobec wielkich sprzeczności przekonaniowych, dzielących członków rządu, każdy z nich na piśmie złożył swoje wyznanie wiary. Różnica, ujawniona w ten sposób, miała stać się oficyalnym powodem złożenia mandatów. Wniosek przyjęto, a ks. Czartoryski oświadczył, że ze swej strony zastosuje się do powziętej decyzyi[2]).

Tak powstały dwa bardzo cenne dokumenty historyczne, doskonale uwydatniające sprzeczności, gnieżdżące się w łonie Rządu Narodowego. Przedmiotem obu pism jest wyłożenie poglądów na cele i drogi powstania, a punktami, nad którymi obaj autorowie zatrzymują się dłużej, są sprawy działań dyplomatycznych Rządu Narodowego, Towarzystwo Patryotyczne i rewolucya socyalna.

Czartoryski pisał:

„Wszystkie nasze myśli, chęci, dążenia, działania, unikając jakichbądź zboczeń i rozstrzelania się, powinny się zwrócić wyłącznie do uzyskania bytu i niepodległości. Dążąc do tego jedynego i wielkiego celu, nie powinniśmy wcale puszczać się na burze tak nazwanej rewolucyi socyalnej, której koniecznym skutkiem być musi rozdwojenie zdań i umysłów, a zatem osłabienie działającej siły narodu. Uzyskajmy naprzód byt, stańmy na nogach, zapewnijmy sobie niepodległość, a potem będziemy mieli czas o używaniu życia i innych urządzeniach naszej przyszłości myśleć. Najprzód żyć potrzeba. Zważając na wycieńczenie naszego skarbu, na niepewność pie-

---

[1]) Historya Powstania... Tom IV, str. 434.

[2]) Na zasadzie deklaracyi Czartoryskiego, pisanej nazajutrz po zajściu, należy przypuszczać, że sam Czartoryski był projektu tego inicyatorem, i że Niemojowski na życzenie księcia z wnioskiem tym wystąpił.

niężnego zaciągu, na małość zasobów broni i na inne okoliczności kraju naszego, sądzę, że Polacy sami bez żadnej obcej pomocy nie potrafią wywalczyć swojej niepodległości, nie potrafią długo opierać się potężnemu wrogowi, wspartemu dwoma także potężnymi sąsiadami. Takiej koalicyi ledwoby ugruntowane mocarstwo oprzeć się zdołało, cóż dopiero zniszczona, rozszarpana, nie mogąca do swych sił przyjść Polska? *Wmieszanie się przychylne Europy do naszej sprawy uważam za jedyny sposób uzyskania niepodległości.* Spojrzawszy na kartę geograficzną, łatwo przekonać się można, że *najważniejszym dla naszych interesów wypadkiem byłoby odstrychnięcie Austryi od związków z Rosyą i z Prusami.* Bez tego wypadku trudno, *aby Anglia i Francya mogły nam prędko i skutecznie pomódz,* choćby chciały, a nawet w takim razie ich polityką *powinno być zniewolenie Austryi* do połączenia się z niemi, do czego i my przykładać się powinniśmy... Co się tyczy Towarzystwa Patryotycznego, sądzę, iż... w teraźniejszej krytycznej chwili staje się arcyszkodliwem naszej narodowej rewolucyi, bo ma szczególniej na celu towarzyskie odmiany, a z tego względu rozdwaja i trwoży umysły mniej stałe, budzi nieufność i wstręt w rządach ościennych, których przychylność byłaby nam tak potrzebną i mnoży tylko zawady, utrudniające nam dojście do naszego świętego celu... Istność Polski, jej niepodległość, połączenie się z braćmi uważam za hasło nasze, hasło dostateczne do zapalenia wszystkich Polaków prawdziwym ogniem miłości ojczyzny i zjednoczenia wszystkich umysłów w jeden węzeł poświęcenia, wytrwałości i porządku..."

Wyznanie wiary Lelewela jest odpowiedzią na pismo Czartoryskiego[1]). Po wstępie, w którym oddawał pełną sprawiedliwość wysokim zdolnościom, poświęceniu i cnotom swojego przeciwnika, wyraził nadzieję, że książę przeniknie pobudki uniesienia oraz „przebaczy nagłość uczuć", gdyż nie miał zamiaru ubliżyć osobie księcia.

---

[1]) Pismo Czartoryskiego pisane było nazajutrz po zajściu. Pismo Lelewela nosi datę 10 sierpnia. O tem, że Lelewel odpisywał na nie, świadczą słowa we wstępie: „Wszakże książę w piśmie swojem, żądając ode mnie pisemnego objaśnienia..." Jest to odpowiedź na żądanie księcia, umieszczone na samym wstępie jego wyznania wiary: „Póki JW. Lelewel na piśmie... nie wyłoży jasno swojego sposobu myślenia..."

„Nie umiem wskazać przykładu w dziejach, — pisał dalej w swej nocie, — aby powstanie narodowe bez rewolucyi obejść się mogło, i nie sądzę, aby można było gabinetom i mocarstwom wyperswadować, że nasze polskiego narodu powstanie bez rewolucyi socyalnej obejść się mogło, albowiem bez puszczenia się na burzę rewolucyi socyalnej jesteśmy na nią puszczeni mimowolnie i z natury położenia naszego. Należało, owszem, wcześnie gabinetom objawić, jak w województwach nadwiślańskich wybuchnęła rewolucya z powodu łamania konstytucyi, jak we wschodnich również prawo wprowadzone być musi, jak połączone razem wszystkie województwa jedną konstytucyę sobie przepiszą, *jak w tym całym biegu ludu włościańskiego los polepszonym być musi*... Wreszcie trudno zaprzeczyć, że powstanie narodowe, elementami rewolucyjnymi obudzone i dźwignione, mogłoby upadać, gdyby te elementa zniszczone zostały, a bodaj, że siła powstania gasła w każdej chwili, w której te elementa studzone były, bodaj, że ich energia jest silną do utrzymania sprężyną... Bez wątpienia, iż trzeba to wszystko czynić, co może zaskarbić szacunek i zaufanie mocarstw, dlatego zdawało się mnie, że nie należało wzbudzać rezonowania o monarchii reprezentacyjno-konstytucyjnej, bo to wzniecało reakcyę do rezonowań sprzecznych, a bezużytecznych, dlatego zdawało mi się, że nie należało się wypierać elementów rewolucyjnych, nie należało ich studzić i umarzać, ale nimi kierować, a faktami dowodzić, że takowe mają cel pożyteczny dla Europy przez wyjednanie niepodległości narodu polskiego". Staje następnie Lelewel w obronie Towarzystwa Patryotycznego, acz przyznaje, że „popełniło ono wiele niedorzeczności", wyjaśnia, że Towarzystwa na nowo nie zawiązywał, poczem przechodzi do polityki zagranicznej. „Bez wątpienia, że uznanie niepodległości naszej byłoby niezmiernie tanio nabyte, gdyby ustaniem tylko Towarzystwa Patryotycznego i umiarkowaniem dzienników okupione być mogło. Chociaż nie pojmuję, w czemby to umiarkowanie od dworów zagranicznych wymaganem być miało, ale my więcej w okupie ofiarować poważamy się, — *boć nasze prawa, nasze swobody, wolność druku naszą niepodległość*, słowem proponujemy *zmianę niewoli — na bodaj dolegliwszą*. Przypuśćmy, że taką

koleją zmieniłoby się położenie nasze, oczywiście nie zyskalibyśmy *niepodległości*, bo tej bez swobodnego rozwijania zasad towarzyskich nie pojmuję, tylko wyjednalibyśmy sobie udzielność, a zyskali *niewolę*. Z takiem będąc przekonaniem, *nie mogę się łudzić polityką Austryi*. Może się w tem wszystkiem mylę, ale o trafności mego widzenia tak dalece jestem przekonany, że mi serce kraje się, gdy działanie przeciwne postrzegam..." [1])

Oba te pisma w wymowny sposób malują dwie krańcowe opinie, panujące w Rządzie Narodowym.

Z pisma Czartoryskiego wyziera przedewszystkiem zupełna niewiara w możność wywalczenia niepodległości własnemi siłami. Punkt ciężkości powstania widział książę nie w kraju, lecz zagranicą. I dlatego na pierwszym planie stawiał działania dyplomatyczne. Słusznie twierdził, że oderwanie Austryi od związków z Rosyą i Prusami *byłoby* najpoważniejszym dla interesów polskich wypadkiem. Ale nie zdawał sobie sprawy, że urzeczywistnienie tego szczęśliwego wypadku było zadaniem, przechodzącem możność dyplomacyi polskiej, że było wogóle zadaniem, leżącem poza sferą wpływów, jakimi książę rozporządzał. Przez cały czas trwania wojny narodowej nie uświadomił sobie, że w oczach państw ościennych powstanie uchodzi za „bunt przeciw prawemu monarsze", za rewolucyjny protest przeciw gwałtowi, w którym te państwa również brały udział. Jedynie siła wewnętrzna powstania, jedynie wielkie zwycięstwa mogły ten „bunt" uprawnić i zmienić sytuacyę zewnętrzną na rzecz sprawy polskiej. Nie zewnętrzne okoliczności wpłynęły na to, że naród przyłączył się do dzieła tych, co w noc 29 listopada porwali się do broni, nie na zewnątrz leżały siły, które mogły dźwignąć upadającą powstania sprawę.

W przeciwstawieniu do Czartoryskiego Lelewel, który tym razem przemówił jasno i wyraźnie, wskazywał środki ratunku w pomnożeniu własnych sił narodu, w rozwijaniu i popera-

[1]) Obie noty zamieszczone są w IV tomie (str. 436 — 441). Hist. powst. list. Barzykowskiego. Notę Czartoryskiego wydrukował również Gadon w pracy: „Książę Adam Czartoryski podczas powst. list. Krak. 1892, str. 119 — 121.

niu tych żywiołów, które były sprawcami rewolucyi. Książę wychodził z założenia, że najpierw należy zdobyć niepodległość, a później dopiero, po osiągnięciu tego celu, myśleć o reformach. Lelewel, przeciwnie, w samych reformach dostrzegał zaczyn sił nowych i rewolucyę polityczną chciał wzmocnić siłą, wydobytą z przeobrażeń społecznych. Myśl tę wyraził jasno. Ale pomiędzy tą myślą a jego dotychczasowem postępowaniem nie było ściślejszej łączności. Pięknie mówił w swojej deklaracyi o potrzebie polepszenia losu „ludu włościańskiego", ale sam nic dotąd nie uczynił, aby ten los poprawić. Jego projekt, poświęcony reformie agrarnej, a wydrukowany w swoim czasie na łamach *Nowej Polski,* nie nawoływał do głębszych przeobrażeń, lecz, uzależniając całą reformę od dobrej woli szlachty, a nawet wypowiadając się przeciw regulującej stosunki wiejskie ustawie, wszystko zostawiał po staremu i w niczem doli ludu nie zmieniał. Gdy „elementy rewolucyjne" w jego obecności napastowano w Izbie poselskiej, nie stawał w ich obronie, a przez cały czas powstania nie kierował nimi i nawet nie usiłował „dowodzić faktami", że te właśnie elementy stanowią moc i główne oparcie rewolucyi. Różnica zdań, która na posiedzeniach rządowych tak często wynikała pomiędzy uczonym a resztą jego kolegów, a której wyrazem stały się deklaracye, dotąd zamykała się całkowicie w granicach roztrząsań teoretycznych. W życiu praktycznem nie umiał Lelewel wykorzystać tej różnicy i nie wykazał jej czynem. Co więcej! wystąpienia jego dowodzą, że długi czas nie miał zdania tak ugruntowanego, jakie dopiero w piśmie swojem ujawnił. Najwidoczniej pod wpływem niepowodzeń dojrzewała w nim zwolna i krystalizowała się myśl polityczna i rewolucyjna, a zarazem budziła się świadomość, że droga, którą kroczył Rząd Narodowy, nie zaprowadzi społeczeństwa do celu.

Wypadki późniejsze dowiodły, że pogląd Lelewela na pomoc zagraniczną, specyalnie zaś na pomoc Austryi, odpowiadał bolesnej rzeczywistości. Widział on dobrze słabą stronę przedsięwzięć dyplomatycznych, tak jak Czartoryski równie dobrze widział niemoc sfer rewolucyjnych. Mylili się obaj: każdy z nich oceniał trafnie bezsilność, panującą w obozie

swoich przeciwników, lecz nie zdawał sobie sprawy z bezsilności własnej, z niemocy środków, które uważał jeszcze za zbawienne. Obaj mówili o niepodległości. Ale Czartoryski, nie wierząc w zwycięstwo, a widząc nadciągającą zemstę i gniew Mikołaja, gotów był rzucić naród w szpony austryjackie, byle go tylko ocalić od następstw odwetu rosyjskiego. Ten rozpaczliwy krok zaskoczył Lelewela. Ujrzał w nim nową formę niewoli i buntował się przeciw niej całą mocą swej duszy. „Lepiej z godnością utonąć, niżeli haniebnej blizny szukać".— napisał później z tego powodu[1]). I to poczucie godności wybuchło w nim na posiedzeniu 4 sierpnia w sposób niezwykle ostry, namiętny, gwałtowny. Trzymający się nieustannie na wodzy, „cichy wódz i martwy świadek powolnych prac wykonawczych", ciągle podejrzewany o tajemne knowania, ciągle osaczany nieufnością, stracił wreszcie moc panowania nad sobą i na widok dokumentu, który nową zwiastował niewolę. zapłonął niepohamowanym gniewem. Szlachetny był to gniew i szlachetne były gniewu tego pobudki. Ale wybuch jednorazowej energii przychodził zapóźno i żadnego nie wydał rezultatu: pismo, acz bez jego podpisu, wysłane zostało do Wiednia...

Ostatecznie obaj przeciwnicy pozostali w rządzie, ale już bardzo krótko zasiadali razem. Słaba władza nie mogła wytrzymać nacisku okoliczności zewnętrznych, a ludność stolicy coraz gwałtowniej wyrażała swoje niezadowolenie, jednocześnie zaś feldmarszałek Paskiewicz z ogromną armią zbliżał się ku murom Warszawy.

Dni Rządu Narodowego były policzone.

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII, str. 110.

XIV.

UPADEK POWSTANIA.

Powstanie dogorywało.

Na czele armii stał wódz kapryśny, ambitny, nieudolny; Sejm rozprawiał jak za najlepszych czasów, a Rząd Narodowy, podzielony na obozy, szarpany wewnętrznemi rozterkami, tracił z dniem każdym powagę i znaczenie. Niemoc toczyła wszystkie władze i dzieło listopadowe nieubłaganie staczało się w przepaść. I w tym krytycznym momencie nie zdobył się Lelewel na jaśniejszy przebłysk energii, nie pomyślał o tem, by wykrzesać z siebie wolę i rzucić ją na szale wypadków. I teraz nie wyzyskał swojego wpływu i głośnego imienia. Rewolucyoniści podejrzewali go, że zagrzebał się w starych księgach, że studyował starożytne monety i świata nie widział poza niemi[1]. Niesłuszne to były podejrzenia. Przez cały czas trwania wojny narodowej poza trzeciem, rozszerzonem wydaniem „Panowania Stanisława Augusta", które przygotował jeszcze przed wybuchem, poza niewielką rozprawą na czasie p. t.: „Nowosilcow w Wilnie", poza kilkoma aktualnemi odezwami i artykułami, napisał uczony jedynie krótką a bystrą rozprawę p. t.: „Porównanie trzech konstytucyi 1791, 1807, 1815" i tę ofiarował członkom Sejmu z racyi częstego

[1]) Powtórzył później na emigracyi te zarzuty nieubłagany krytyk Lelewela-polityka, Maurycy Mochnacki. Odparł je energicznie Lelewel.

powoływania się na Konstytucyę 3-go maja, która, jak wiadomo, co lat 25 podlegać miała zgodnym z duchem czasu zmianom i poprawkom. Zresztą na czas wojny zarzucił pracę naukową. Raz tylko obudził się w nim uczony - obywatel, dbający o nagromadzone w Polsce skarby biblioteczne. Zaniepokoił się o los znakomitej biblioteki książąt Czartoryskich w Puławach i zaraz na początku wojny udał się do tej słynnej siedziby i rozkazał najrzadsze okazy biblioteczne częściowo zakopać, częściowo zamurować. Kiedy później generał Chrzanowski pociągnął na pomoc Dwernickiemu i wypłoszył wojska rosyjskie, Lelewel wraz z oddziałem strzelców czynił do Puław wycieczki i wywiózł wszystkie dzieła cenniejsze. Chlubił się potem, że jedynie mniej wartościowe książki w językach obcych dostały się do Petersburga [1]). Nie miał zresztą chwil wolnych, ani spokojnego umysłu, by pracować naukowo. Oburzył się też później, gdy wyczytał ów zarzut, że w ciągu wojny narodowej księgi uczone i stare monety czas mu zabierały [2]). Może i tęsknił do znojów naukowych, ale myśl jego całkowicie była pochłonięta wydarzeniami chwili bieżącej. Smutne i bolesne były to wydarzenia. Niemal każdy dzień przynosił nowe dowody niemocy, niemal każdy dzień przekonywał opinię, że dzieło listopadowe skazane jest na zagładę. Miesiąc sierpień szczególniej obfitował w chwile, pełne tragizmu, w epizody, mogące budzić największy niepokój i największą rozpacz.

Skrzynecki nie spełniał zapowiedzi. Trwał w bezczynności, pozwalał wojskom nieprzyjacielskim swobodnie wypełniać przedsięwzięte operacye i na żaden krok zdobyć się nie mógł. Armia polska stała bezczynna. Taki stan rzeczy, dobrze wiadomy stolicy, wywoływał wzburzenie w mieście. Gniew ogarniał serca, okrzyk: zdrada! coraz częściej obijał się o mury Warszawy. Domagano się sądu i ukarania uwięzionych osobników, podejrzanych o zdradę, domagano się również sądu nad generałami, których opinia winiła o niepowodzenia wojenne w wyprawie przeciw R digerowi. Struna cierpliwości

---

1) Korespondencya J. Lelewela z K. Sienkiewiczem, str. 98.
2) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII. Str. 171.

publicznej lada chwila mogła pęknąć. Ale władze nie zdawały sobie sprawy z usposobienia tłumów i choć dzień 29 czerwca był bardzo pouczający, nie uczyniły nic, aby ugasić wzburzenie, ogarniające miasto. Lud pamiętał przyrzeczenie Czartoryskiego, że sąd nad winnymi odbędzie się w ciągu 24 godzin. Tymczasem płynęły już nie godziny, ale dni i tygodnie, a wyrok nie został ogłoszony. Rozrastały się podejrzenia. Opinia publiczna zwróciła się przeciwko tym, co w jej mniemaniu osłaniali zdrajców, a więc do pewnego stopnia stawali się współuczestnikami popełnionych zbrodni. Tłum oskarżał naczelnego wodza, podejrzenia sięgały Czartoryskiego, zwracały się przeciw Barzykowskiemu.

Nowy gubernator Warszawy, generał Dembiński, wsławiony odwrotem swoim z Litwy, witany niedawno przez stolicę, jak bohater i zbawca, był człowiekiem zapalczywym, namiętnym, nietaktownym. Nie tylko nie umiał zjednać sobie ufności miasta, ale postępowaniem swojem odpychał od siebie gorętsze elementy i pogłębiał przepaść, którą wypadki wykopały pomiędzy ludnością miejską a władzą.

Dembiński wogóle zachowywał się wyzywająco, a szczególną nienawiścią darzył Towarzystwo Patryotyczne i Lelewela. Kiedy ten ostatni wręczył mu otrzymane za pośrednictwem wojewody Ostrowskiego oskarżenie, w którem niejaki Ulenicki zarzucał opieszałość generałowi Dziekońskiemu, Dembiński, nie zbadawszy nawet sprawy, odgrażał się oskarżycielom. Lelewela chciał traktować z góry, na posiedzeniach rządu odzywał się do niego impertynencko, brutalnie. Raz gdy uczony opuścił salę posiedzeń rządowych, Dembiński wręcz powiedział:

„Panowie, nie wierzcie temu człowiekowi, bo was oszukuje!” [1])

W odpowiedzi na to roześmiał się Teofil Morawski i odrzekł, że Lelewel niezdolny jest do rewolucyjnych zamysłów i głowy do spraw tego rodzaju nie ma [2]). Słowa Morawskiego

[1]) Jenerała H. Dembińskiego. Pamiętniki. Tom II, str. 41.

[2]) „Morawski — pisze Dembiński — odpowiedział mi ze śmiechem: „Niech też generał temu nie wierzy, on o niczem podobnem nie myśli i do tego, co generał o nim mówisz, głowy nie ma”. Dla charakterystyki stosunku Barzykowskiego do Lelewela nie od rzeczy będzie tu wspomnieć,

nietylko odpowiadają istocie rzeczy, ale świadczą, że Kaliszanie właściwszą miarą, niż Barzykowski, mierzyli uczonego. Mimo to nieporozumienia na posiedzeniach rządu trwały w dalszym ciągu, a Dembiński w swej roli gubernatora przyczyniał się do wzniecania nowych przeciw Lelewelowi podejrzeń. Obradował więc rząd śród nieustannych zgrzytów, Dembiński swoją arogancyą i swoim nietaktem jątrzył nieustanie rewolucyonistów, Skrzynecki był bezczynny, a tymczasem Paskiewicz bez przeszkody wiódł ku Warszawie olbrzymie wojsko i gotował się do zadania śmiertelnego ciosu upadającej sprawie narodu. Groza położenia skłoniła wreszcie Sejm do interwencyi. Wypadki tak jaskrawą miały wymowę, że nietrudno było zoryentować się w sytuacyi. Ale Sejm nie zdobył się na stanowczą decyzyę, nie śmiał odebrać Skrzyneckiemu dowództwa i mianować nowego wodza, lecz jak gdyby chciał się przekonać, czy rzeczywiście sytuacya jest grożna, wybrał w dniu 9 sierpnia delegacyę i delegacyi tej dał „nieograniczone pełnomocnictwo rozpoznania istotnego stanu rzeczy na *linii bojowej*, a nawet, w razie potrzeby, zarządzenia zmiany wodza i nominowania jego zastępcy"[1]). Delegacya ta, złożona z księcia Czartoryskiego i Wincentego Niemojowskiego oraz siedmiu członków Sejmu, tegoż dnia wieczorem udała się do Bolimowa, gdzie znajdowała się kwatera naczelnego wodza, a nazajutrz rozpoczęła swoje czynności. Rozpoczęła zaś od tego, że zwróciła się do wojskowych z pytaniami, czy w obecnem położeniu stoczenie bitwy rokuje pomyślne dla oręża polskiego wyniki, jaki plan operacyi uważać należy za najlepszy, wreszcie, czy Skrzynecki posiada zaufanie wojska, a jeśli nie, to kogo na jego miejsce mianowaćby można. „Sześćdziesięciu ośmiu generałów, szefów sztabu, pułkowników i komendantów przesłuchano"[2]). A przed

że Barzykowski, cytując w cudzysłowie (Tom V, str. 83) ustęp z pamiętników Dembińskiego, przekręca całe zdania, a słowa Morawskiego tak w *dosłownej* niby cytacie z pamiętników Dembińskiego podaje: „Niech pan generał na to nie zważa, *to głupi człowiek*, on o niczem podobnem nie myśli, do tego, co generał przypuszczasz, on głowy nie ma". I tym razem Barzykowski nadużył cytaty. „*Głupi człowiek*" jest jego wyłącznym dodatkiem.

[1]) Dyaryusz Sejmu, Tom VI, str. 323.

[2]) Barzykowski, Tom VI, str. 17.

kwaterą główną, gdzie się odbywała owa szczególna narada, zbierali się tłumnie oficerowie rang niższych i sejmikując na swój sposób, wygrażali śmiercią każdemu, coby ośmielił się wspomnieć o układach[1]). Skandal obozowy dochodził do szczytu. Całe wojsko zaczęło się niebawem naradzać, a sprzeczne zdania strzelały, jak rakiety, a krzyki i hałasy, jak huki armatnie, przebiegały z krańców w krańce obozu. Karność, podtrzymywana do ostatniej chwili władzą Skrzyneckiego, pod wpływem swarów i kłótni pękła, jak pajęczyna. Zaczynało się rozwiewać zaufanie do dowódców i najwyższa nieufność ogarniała szeregi. A w kwaterze wodza szumiało, jak w ulu, od krzyżujących się rad i pomysłów, od rozpętanych zawiści, od podrażnionych ambicyi, wreszcie od krzyków rozpaczy, przenikającej tych, co widzieli otchłań, w jaką się stacza sprawa narodowa. Ostatecznie po długich naradach, głosowaniach, namysłach, delegacya odebrała dowództwo Skrzyneckiemu i generała Dembińskiego mianowała zastępcą naczelnego wodza.

Nowy wódz stracił już popularność w stolicy, a w armii był nieznany i nie posiadał w wojsku ani powagi, ani zaufania. Odważny w polu, ale w stosunkach z ludźmi porywczy i nietaktowny, miał talent zrażania do siebie tych nawet, co życzliwie byli względem niego usposobieni. Dembiński wierzył niezachwianie w męstwo i zdolności swojego poprzednika. Uważając, że Skrzynecki pada ofiarą intrygi, otaczał go największą życzliwością i okazywał mu najwyższy szacunek. Skorzystał z tego Skrzynecki i dnia 13 sierpnia postanowił uroczyście złożyć swoje dostojeństwo i przedstawić szeregom swojego następcę. W tym celu rozkazał rozwinąć się armii na obszernych błoniach, a gdy to zostało uskutecznione, ukazał się przed frontem w otoczeniu pysznego sztabu. Dembiński towarzyszył mu konno. Żołnierze, którzy przyzwyczaili się do pięknej marsowej postawy dawnego wodza, a którzy, nie znając jego błędów i uchybień, widzieli, jak mężnie stawał w ogniu bitwy, pamiętali, jak wiódł osobiście piechotę w krwawy bój pod Ostrołęką, rozrzewnili się tem pożegnaniem i wiwa-

---

[1]) Jenerał Zamoyski. Tom II, str. 333.

towali na cześć strąconej wielkości, jakby chcąc wynagrodzić Skrzyneckiemu upadek.

Śmieszną rolę odgrywał Dembiński w tej niestosownej uroczystości. Nie zoryentował się przecież w sytuacyi i, jakby chciał do reszty zgubić się w opinii, wygłosił pochwalną mowę przed frontem na cześć Skrzyneckiego i obiecywał iść jego śladami[1]).

Jakoż uważając, że chwila nie jest odpowiednia do stoczenia bitwy, rozkazał cofnąć się armii.

Wszystko to straszne wywołało następstwa.

Ale nie zyskała na tem sprawa narodowa: zyskał jeden człowiek, pyszny w najwyższym stopniu, poróżniony z rządem, nienawidzący Skrzyneckiego, energiczny, ruchliwy, zarazem chytry i przewrotny. Człowiekiem tym był generał Krukowiecki, osobistość niebezpieczna w życiu publicznem, a w życiu prywatnem nieznośna, drażliwa[2]) i nieprzebierająca w środkach. Krukowiecki upatrywał chwili, aby pognębić swoich przeciwników i nasycić swoją próżność bezmierną. Odkąd pozbawiony został urzędu gubernatora, przyłączył się do niezadowolonej rzeszy, krytykował rząd, z pogardą mówił

[1]) W tym czasie właśnie Sejm przyznał rządowi prawo mianowania wodzów. Ponieważ Dembiński był tylko zastępcą wodza, więc rząd winien był go mianować wodzem naczelnym, lub też poszukać innego kandydata. Za nominacyą Dembińskiego byli Barzykowski i Czartoryski, zaś Niemojowski i Morawski wystawiali kandydaturę Prądzyńskiego. Lelewel swoim głosem przechylił decyzyę na rzecz tego ostatniego. Barzykowski opowiada (Tom V, str. 59), że Lelewel głosować nie chciał i z tego powodu opisuje scenę, która w najwyższy sposób ośmiesza uczonego. Nie powtarzając szczegółów tej całej mało prawdopodobnej sceny, dla ścisłości notujemy tylko, że, według Barzykowskiego, Lelewel, zabierając głos w sprawie dowództwa, proponował najpierw gen. Małachowskiego, ale, gdy ta propozycya nie znalazła uznania, miał na dwóch kawałkach papieru wypisać nazwiska Prądzyńskiego i Dembińskiego, zwinąć te papierki, położyć je na krawędzi stołu, popchnąć i rzec: „który dalej poleci, ten wodzem będzie". Okazało się, że „dalej poleciał" Prądzyński. Dembiński (Tom II, str. 91) jeszcze dalej idzie w swoich opowiadaniach o Lelewelu. Zdaniem tego generała, Lelewel dlatego wysuwał Małachowskiego, że chciał *„rzezi domowej"*, gdyż pragnąc władzy, widział, że innej drogi, jak drogę krwi, dla dojścia do niej nie miał. Chciał mieć więc wodza, któryby rozhukanego wojska i ludu wstrzymać nie potrafił". Notując te głosy, świadczące, w jak wielkim stopniu uczony wzbudził ku sobie nienawiść, nie widzę potrzeby podkreślać szerzej ich gołosłowności.

[2]) Kajetan Koźmian. Pamiętniki. Oddział III, str. 515.

o działalności Sejmu, odgrażał się Skrzyneckiemu i wypływał coraz wyżej na wznoszącej się fali oburzenia. W oczach rewolucyonistów stał się niebawem mężem opatrznościowym, który swą władną, energiczną ręką wszystko jeszcze może zmienić i naprawić.

„Inni, — powiada Mochnacki, — skradali się do władzy, on szedł do tego otwarcie, przebojem, nie zaniedbując niczego, co mu u ludzi dobrej wiary zjednać mogło to mniemanie, że sprawa w jego ręku weźmie lepszy kierunek...” [1])

Krukowiecki, który na stanowisku gubernatora wykazał stanowczość, sprawność i energię, pochlebiał teraz tłumowi, głośno piorunował przeciw wszelkim układom i mocno piętnował niedołęstwo naczelnej komendy, Sejmu, Rządu. Nie szczędził, jeśli trzeba było, obietnic, a że nie myślał ich dotrzymać, nawet w razie urzeczywistnienia swoich zamiarów, więc hojny był bez granic. Zapewniał, że, pochwyciwszy władzę, otoczy się młodzieżą rewolucyjną, odda jej ważne stanowiska, ukarze zdrajców, pobije Moskali i wypędzi ich z Polski. Wszedł w konszachty z Towarzystwem Patryotycznem, zjednał sobie wielu jego członków, a wieść niosła, że pozostaje w najściślejszych stosunkach z Lelewelem, którego codziennie odwiedza, a który ma mu pomagać w przygotowaniach do zamachu stanu. Była to nieprawda[2]), ale plotka znalazła posłuch w sali rządowej i nieufność do Lelewela śród kolegów wzrosła. Żywioły rewolucyjne układały istotnie plany zamachu i projektowały utworzenie nowego rządu. Wyznaczony został nawet termin owego zamachu na dzień 18 sierpnia[3]), a Rząd Narodowy uprzedzany był o wrzeniu, ogarniającem ludność stolicy[4]). Istotnie coraz większy niepokój ogarniał umysły i coraz głębsza trwoga nurtowała serca.

A na tle tych obaw wyrastało znowu T-wo Patryotyczne i coraz większe tłumy przyciągało na swoje posiedzenia.

[1]) Pisma rozmaite, str. 194.

[2]) Lelewel przeczy stanowczo, jakoby pozostawał w bliższych stosunkach z tym generałem. Krukowiecki odwiedził go raz jeden i to wtedy, gdy został już prezesem rządu. Spazier. Hist. powst. T. III. str. 277 — 8.

[3]) Spazier. T. III, 273 i 277 i Barzykowski, Tom V, 76—78.

[4]) Korespondencya J. L-la z K. Sienkiewiczem, str. 92.

„Odtąd już,—powiada Lelewel,—nie sami członkowie, ale obywatele miasta Warszawy, gwardya narodowa, powstańcy, swe myśli i pojęcia wzajem sobie wynurzali i stan opłakany sprawy narodowej rozważali, a przyczyn tego dochodzili, o środkach zapobieżenia rozprawiali..."[1])

Prochy były przygotowane, jedna iskra mogła spowodować wybuch.

W dniu 15 sierpnia przyszła z obozu wiadomość, że armia polska cofa się do Warszawy, a nowy wódz, Dembiński, przyrzekł przed frontem wojsk iść śladami swojego poprzednika.

W ówczesnym stanie umysłów nie można było wymyślić nic bardziej podniecającego. Członkowie T-wa Patryotycznego rozbiegli się po mieście i zaalarmowali stolicę. Przywódcy T-wa udali się zarazem „do tych mężów, około których gromadzą się patryoci w chwilach, zagrażających krajowi"[2]). Radzono się kasztelana Nakwaskiego, Lelewela, Szanieckiego, szukano ratunku u dowódcy gwardyi narodowej, Antoniego Ostrowskiego. Nikt nic uspokającego powiedzieć nie mógł, a trwożne pogłoski robiły swoje.

Wzburzenie ogarniało tłumy. Tu i owdzie zaczęły się tworzyć gromadki ludzkie i toczyć rozprawy żywe, gorące.

Rząd Narodowy, zaniepokojony brakiem wiadomości z obozu, wysłał do wojska kuryerów, ale alarmowany nieustannie wieściami o wzburzeniu, które coraz szerzej rozlewało się po stolicy, nie wiedział, co przedsięwziąć. Książę Czartoryski otrzymał ostrzeżenie, by miał się na baczności. W sali rządowej mówiono coraz trwożniej o spisku, mającym zwalić rząd istniejący, a na Lelewela, który Bogu ducha był winien, znów wskazywano, jako na inicyatora i sprawcę zamierzonego wstrząśnienia.

Atmosfera stolicy przesycona była niepokojem, jakaś groźna niepewność unosiła się dnia tego nad miastem.

W takich warunkach o godzinie piątej i pół po południu odbyło się zebranie T-wa Patryotycznego.

---

[1]) Polska, dzieje i rzeczy jej. Tom VII. str. 116.

[2]) Dzień 15 sierpnia i Sąd na członków T-wa Patr. przez Jana Czyńskiego. Warsz. 1831. str. 15.

Sale redutowe nie mogły zmieścić tłoczących się słuchaczów. Lud w ogromnej masie otoczył miejsce obrad T-wa i czekał, jakie zapadną postanowienia. Śród tłumów krążyły niewiadomo przez kogo sporządzone listy „zdrajców" w liczbie kilkudziesięciu, a na ich czele widniały nazwiska ks. Czartoryskiego[1]), Barzykowskiego, Skrzyneckiego i innych. Obradom przewodniczył Jan Czyński. Po zagajeniu zebrania na mównicy ukazał się ksiądz Pułaski, który słynął śród ludu Warszawy, jako gorący i namiętny mówca, a zarazem rewolucyonista, nie przebierający w środkach. Tego chętnie słuchano. Pułaski w mowie swojej wystawił rozpaczliwe położenie, do jakiego przywiedzione zostało powstanie, najostrzejszemi słowami godził w Skrzyneckiego i mówił o konieczności odwołania go z szeregów. Gorąca przemowa trafiła do przekonania słuchaczów. Imię Skrzyneckiego budziło już nienawiść, a wieść, że generał ten ciągnie wraz z Dembińskiem na czele wojska do Warszawy, by władzę w ręce swoje pochwycić, podniecała rozgorączkowane umysły. Pułaski znał duszę tłumu i wiedział, czem i jak do niej trafić. Okrzyki: „zdrada"! rozległy się po jego przemowie, a lud, stojący na placu, pochwycił to słowo—i groza zawisła nad miastem.

Towarzystwo na wniosek Czyńskiego wybrało delegacyę, która miała zażądać od rządu wyjaśnień, a sam wnioskodawca, ksiądz Pułaski, i niejaki Boski stanęli na jej czele. Poczem zgromadzenie otoczyło delegowanych i wysypało się z sal redutowych. Na placu Krasińskich przyłączyły się czekające końca obrad tłumy — i masy ludu, wzburzone, rozgorączko-

[1]) Książę Czartoryski istotnie mógł być w niebezpieczeństwie. Opinia oskarżała go, że przyczyniał się do bezczynności wojska, co było nieprawdą. Oddany Czartoryskiemu Sienkiewicz pisał 10 sierpnia: „Rzeczy się źle mają. Krzyk powszechny na upór, na niezdatność, a niektórych na zdradę Skrzyneckiego, a co najsmutniejsza, że publiczność przekonana, że książę wstrzymywał działania wodza naczelnego, gdy tymczasem książę ciągle pracował nad tem, aby go pchać naprzód". Istotnie tak było. Sienkiewicz pisze dalej: „Wina w tem Sejmu, który wodza odział w niepodległą władzę, a rząd zostawił bez potrzebnej władzy". (Książę Adam Czartoryski... Napisał L. Gadon. Str. 126—127). Trudno zgodzić się z Sienkiewiczem. Niepodobna bronić Sejmu, ale nie można usprawiedliwić i rządu, który miał możność oddziaływania na Sejm i nie użył środków, jakie posiadał, aby odebrać dowództwo Skrzyneckiemu.

wane, ruszyły przez Krakowskie Przedmieście ku pałacowi namiestnikowskiemu, gdzie rząd odbywał swoje posiedzenia. Delegacya wtargnęła do pałacu, z wołaniem, że obywatele miasta przychodzą rozmówić się z rządem. Szum tysiącznych głosów na dziedzińcu towarzyszył tym słowom.

Zaledwie członkowie rządu mogli zoryentować się w sytuacyi, już delegowani wpadli do sali obrad, a kilkadziesiąt osób zapełniło przylegające pokoje.

Pierwszy zabrał głos Czyński i w przemówieniu swojem wyraził nadzieję, że rząd przedsięweźmie energiczne środki przeciw Skrzyneckiemu, który odmówił posłuszeństwa władzy i staje się w obozie coraz niebezpieczniejszym[1]). Odpowiedział na to Czartoryski, że rząd uczyni ze swej strony wszystko, aby zapewnić wojnie pożądany koniec, że niema jeszcze powodu do rozpaczy. Barzykowski z właściwą sobie uroczystością i nietaktem wyrażał niezadowolenie z powodu postępowania przywódców klubu i najścia na rząd, Niemojowski starał się wpłynąć na Pułaskiego, by lud uspokoił i wyprowadził księdza do przyległego pokoju, tylko Lelewel na żadne nie zdobył się słowo[2]). Barzykowski powiada[3]), że uczony ukrył się we framudze okna za firankami, ale inny obecny przy tej scenie świadek twierdzi[4]), że „Joachim milcząco siedział na swojem miejscu, pisał..."

Ciężka była jego sytuacya: Towarzystwo, któremu prezydował, atakowało rząd, którego był członkiem.

Przeciwny krokom gwałtownym, nie mógł się zdobyć na naganę dla tych, co poruszyli tłumy, przeciwny działalności rządu, nie zdobył się na jego krytykę wobec deputacyi ludu. W głębi jego duszy musiała się rozgrywać jego codzienna niemal tragedya: Lelewel, prezes T-wa Patryotycznego, przywódca młodzieży rewolucyjnej, walczył z Lelewelem, członkiem umiarkowanego rządu, a obaj byli w jednakim stopniu bezsilni i, jak zwykle, w decydujących momentach walka pozostała nierozegrana.

[1]) Dzień 15 sierpnia... str. 25.
[2]) Teofil Morawski nie był na posiedzeniu tem obecny.
[3]) Historya powstania. Tom V, str. 95.
[4]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.

Gdy deputacya opuściła salę posiedzeń rządowych, obecni zwrócili się z wymówkami do Lelewela, a zastępca gubernatora, generał Węgierski, wręcz mu wyrzucał, że wszystko dzieje się za jego zgodą i za wszystko, co zaszło i zajść jeszcze może, jego czynił odpowiedzialnym. Lelewel bronił się przed tymi zarzutami i za główny powód poruszenia podawał opóźnienie wymiaru sprawiedliwości przeciw uwięzionym w zamku generałom[1]). Ale nie była to odpowiednia na dyskusye pora. Antoni Ostrowski radził Czartoryskiemu myśleć o własnem bezpieczeństwie. Książę usłuchał tej rady i opuścił salę posiedzeń. Za jego przykładem poszli inni.

— ,,Zostałem sam,—powiada Lelewel,— *oziębłością kolegów zdziwiony*''[2]).

Dziwne, zaiste, było to zdziwienie uczonego! Widziano w nim przywódcę rozruchów, członkowie rządu o całości głów własnych zmuszeni byli w owej chwili myśleć, a Lelewel, jakby spadł z księżyca, dziwił się oziębłości kolegów. Niedługo zapewne trwało to zdziwienie, wkrótce bowiem po wyjściu członków rządu wpadł na salę Marceli Szymański i alarmujące przyniósł wiadomości. Lud, jak wzburzona fala, szturmował już zamek, gdzie przebywali podejrzewani o zdradę więźniowie. Groźba gwałtów i śmierci zawisła w powietrzu, a trudno było przewidzieć, czem skończą się rozruchy i przeciw komu zwrócą się wzburzone tłumy. Lelewelowi zarzucano później, że na czele wzburzonego ludu szedł do mieszkania ks. Czartoryskiego i czyhał na jego życie, a potwarz tę nawet Leon Dembowski powtórzył[3]). Powodem plotki stała się według wszelkiego prawdopodobieństwa ta okoliczność, że Lelewel, usłyszawszy od Szymańskiego o tem, co się dzieje pod Zamkiem, opuścił natychmiast pałac namiestnikowski i, seryo zaniepokojony o los Czartoryskiego, pobiegł do jego mieszkania. Bez meldowania się wpadł do sali, w której zastał tylko pań kilka. Dowiedział się, że księcia niema. Nie wiedział, gdzie go szukać, co robić[4]). Wyszedł na miasto,

[1]) Spazier. Historya powst. Tom III, str. 283.
[2]) Koresp. J. L-la z K. Sienkiewiczem, str. 92.
[3]) Moje wspomnienia, T. II, str. 353.
[4]) Korespondencya J. L-la z K. Sienkiewiczem, str. 92 — 93.

a przechodząc ulicą Miodową, zaszedł do brata swojego Prota.

„Nadszedł tu później Joachim i mówi: „Idę z domu księcia, ale go widzieć nie mogłem. Służba powiedziała, że kazał sobie podać konia i na nim wyjechał...” „Gwarzyliśmy sobie przy otwartem oknie, — opowiada Prot Lelewel, — cichość w ulicy, przechodzący opowiadają sobie szczegóły mordów w Zamku. Po szklance herbaty Joachim [poszedł] do domu swego, a my do spoczynku z tem przekonaniem, że Joachim zaszedł do księcia w obawie, aby rozpasana tłuszcza nie posunęła się na niego”[1]).

Wiadomo z listu Lelewela do Sienkiewicza, że tejże nocy zajrzał jeszcze na chwilę do Brodzińskiego i że, przechodząc ulicą Senatorską, spotkał się z Mochnackim. „Co z tego?”— zapytał, mając na myśli hałas wzburzonych tłumów i, nie rozprawiając dłużej, udał się do siebie. Położył się na sofie i przespał kilka godzin. Przed piątą rano zawezwany już został na sesyę rządową do mieszkania Wincentego Niemojowskiego.

Tak zachował się Lelewel w pamiętny wieczór i w pamiętną noc 15 sierpnia. Nie bez słuszności członkowie Towarzystwa Patryotycznego zarzucali mu później, że zamiast kierować ludem „przyczaił się, milczał”[2]). Istotnie zachowywał się biernie. Nie znajdował się w najkrytyczniejszej chwili pod Zamkiem, nie burzył i nie uspakajał tłumów, był bezczynny, bierny, stał niejako poza wypadkami, które się rozegrały w stolicy, może nawet dobrze nie wiedział, co zaszło.

Lelewel przespał krwawe wydarzenia.

Ale miasto tej nocy nie spało. Tłum po opuszczeniu dziedzińca pałacu namiestnikowskiego ruszył na plac Zamkowy i ze strasznym okrzykiem: „śmierć zdrajcom!” wtargnął do wnętrza Zamku. Gwardya narodowa próbowała powstrzymać ten szturm gniewu i zemsty, ale pierzchła pod naporem wściekłości. Wtedy gromada ludzka, rozjątrzona, niepomna siebie,

[1]) Notaty Prota Lelewela. Rks.
[2]) Echo miast polskich. Rok 1843, str. 11.

rozpoczęła krwawą robotę. Dopadnięto przerażonych więźniów, wywleczono ich z Zamku przemocą i oddano na pastwę hałasującym tłumom. Padł najpierw ofiarą generał Jankowski, a później generał Bukowski, pułkownik Słupecki, szambelan rosyjski, Fenshave, i kilku innych. Trupy, obdarte, zeszpecone, porąbane szablami, powieszono na latarniach, poczem tłum z okrzykiem: „wieszać szpiegów!" ruszył do więzienia przy rogatkach wolskich, gdzie przebywali aresztowani z czasów Konstantego szpiegowie. Wzburzona fala szczelnie otoczyła więzienie.

Właśnie w tym czasie przejeżdżał konno przez rogatki wolskie książę Czartoryski. Prezes Rządu Narodowego w przebraniu, chyłkiem, wymykał się z miasta do obozu. Przy rogatkach tłum zastąpił mu drogę i chciał zatrzymać podejrzanego jeźdźca, ale książę wypalił z pistoletu, spiął ostrogami konia i, otworzywszy sobie drogę, jak kula wypadł na szosę i zniknął w mrokach nocy. Niewiadomo, czy tłum poznał księcia, wszakże strzelono za nim z karabinu, ale strzał chybił i książę bez szwanku przybył do obozu.

Nic natomiast nie mogło ocalić szpiegów, którzy w najwyższym stopniu przez całą ludność byli znienawidzeni: powieszono między innymi Makrota, Szleja, Szymanowskiego, a ogółem 30 osób noc tę przypłaciło życiem.

Po mieście krążyły najrozmaitsze pogłoski.

„Jedni rozgłaszali, że Lelewel kierował ze swego gabinetu rzezią, że do niego noszono raporta, że on dał rozkaz zabicia księcia Adama i że aresztowanym będzie; drudzy zrzucali winę na Krukowieckiego; jak zwykle w takich razach pełno było sprzecznych, przesadnych, kłamliwych wieści..."[1]) „Wiele osób zarzucało Krukowieckiemu, — powiada inny ze współczesnych[2]), —prowadzenie egzekucyi ludowej, a to celem wywyższenia siebie. Byli i tacy, co to przypisywali Joachimowi, jako dyrygującemu czynnościami Towarzystwa Patryotycznego, że mógł, a nie chciał zapobiedz złemu, że w czasie, kiedy lud z żądaniem swojem stanął przed Rządem Narodowym, on obo-

---

[1]) Pamiętniki Kajetana Koźmiana, Oddział III, str. 533.
[2]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.

jętny nie odezwał się, a co właśnie otuchy dodało stronnictwu ruchu".

Nie „dyrygował" tłumem Lelewel, nie uczynił tego i Krukowiecki, aczkolwiek nie ukrywał się, jak Lelewel, lecz, włożywszy mundur generalski, który od czasu dymisyi przestał nosić, ukazał się konno na ulicach miasta i był ciągle na oczach wzburzonego tłumu. Zdążył on porozumieć się z wystraszonym Wincentym Niemojowskim i na zasadzie jego przyzwolenia obwieścił ludowi, że obejmuje znowu władzę gubernatora. Oświadczenie to przyjmowano wszędzie żywymi okrzykami uznania [1]). A stary lis „*potakiwał niby*" [2]) oburzeniu tłumów i, jak twierdził później, starał się wpłynąć na przywrócenie porządku. Pisał nawet, że w ten sposób udało mu się ocalić życie wielu ludzi. Rzecz wielce wątpliwa, czy tak było istotnie, bo wieszanie odbywało się dalej, a jeszcze nad ranem 16 sierpnia życie utracił radca Hankiewicz, przyjaciel i faworyt Nowosilcowa. Powieszono Hankiewicza na latarni przed oknami domu Lelewela, a Barzykowski powiada złośliwie, że uczony na ten widok jedyny raz w życiu szczerze się uradował. Nie kwapił się tedy Krukowiecki zbytnio z tłumieniem wzburzenia, a chociaż z energią powściągnął pojedyńcze wybryki rabunku, nie walczył bynajmniej z roznamiętnieniem tłumów. Bądź co bądź dopiął swego. Umiał wyzyskać swoją popularność w mieście i upozować się na obrońcę porządku i zarazem na męża zaufania ludu warszawskiego.

Stał się znowu dla wszystkich widocznym, przykuł uwagę do swojej osoby, podniósł swoje znaczenie i ogromnie zbliżył się do celu, który nieustannie miał na widoku.

Wstał dzień 16 sierpnia. „Warszawa dziwną postać miała. Przed więzieniem domu kary i poprawy, — opowiada Zwierkowski, — znalazłem ludzi pomordowanych na bruku, innych wiszących na latarniach, a koło nich grupę pospólstwa. Straszny widok! Jadąc do gmachu rządowego, postrzegłem

---

[1]) Kuryer Polski z roku 1831. № 598 z d. 16 sierpnia.

[2]) Tak się wyraża Krukowiecki w liście do żony: Forster. Powstanie nar. polskiego. Część II, str. IV.

wiele innych latarni z innymi wisielcami!.. Ranek był pochmurny i mgławy..." [1]).

W taki to ranek w mieszkaniu Wincentego Niemojowskiego zebrali się członkowie rządu. Lelewel zastał swoich kolegów, radzących nad odezwą do mieszkańców stolicy. Projekt takiej odezwy przygotował Teodor Morawski i nad tym projektem właśnie radzono. Morawski surowo potępiał „wobec świata i narodu tak nazwaną sprawiedliwość ludu" [2]) i rzucał niejako wyzwanie sprawcom zamieszek. Lelewel obawiał się, aby odezwa tej treści nie wywołała nowego wybuchu. Powstała żywa wymiana zdań, gdyż inni członkowie rządu podzielali opinię Teodora Morawskiego.

Lelewel lepiej oceniał sytuacyę.

Dnia 16 sierpnia od samego rana „kobiety, dzieci i ludzie wszelkiego stanu biegali po ulicach i przypatrywali się zeszpeconym ciałom ofiar zeszłej nocy! Prawie po wszystkich twarzach mieszkańców stolicy dawało się postrzegać niewątpliwe zadowolenie z losu, który trafił zabitych, powszechnie za zdrajców trzymanych... Trzeba zdumiewać się nad tem, jak dalece doszło zaślepienie utrzymujących wodze powstania, kiedy mogli nie poznać opinii, panującej w stolicy..."

Tak pisał pierwszy historyk powstania listopadowego, cudzoziemiec Spazier [3]).

A słuszność słów jego potwierdzają głosy prasy warszawskiej. „Nowa Polska" niedwuznacznie nazwała noc 15 sierpnia „ostrzeżeniem" i wzywała do milczenia „niechętnych" [4]), a umiarkowany i oddany partyi kaliskiej „Kuryer Polski" pisał:

„Kiedy naród nie szczędził ostatnich wysileń, najdroższej krwi, ostatniego grosza, *zbrodniarze, narzędzia zeszłego rządu, szpiedzy i zdrajcy dzisiejszej sprawy*, którzy wytrącili z rąk ojczyzny łatwe i stanowcze zwycięstwo, lub zamyślali o haniebnym spisku dla nieprzyjaciela, zostawali pod sądem

---

[1]) Pamiętnik Emigracyi. Broszura Władysław III Warneńczyk.
[2]) Dzieje narodu polskiego. Poznań 1872. Tom VI, str. 423.
[3]) Historya powstania narodu polskiego. Tom III, str. 292.
[4]) № 219 z d. 16 sierpnia 1831 r.

dwa miesiące, a wyroku doczekać się nie można było. *Lud posunął się w rozpaczy do wymierzenia sprawiedliwości*" [1]).

Takie głosy odzywały się nazajutrz po wypadkach strasznej nocy 15 sierpnia, a nie brak było i bardziej znaczących ostrzeżeń.

„Są, — pisał Maurycy Mochnacki, — pośród nas zaczajeni stronnicy Moskwy, który się w duchu cieszą z każdego nieszczęsnego zdarzenia, z każdej ułomności w radzie bądź rządowej, bądź wojennej; którzy niczego szczerzej nie pragną, jak powrotu moskiewskiego jarzma... Są obojętni wielbiciele fortuny, na czyjąkolwiek stronę się przechyli... Otóż tę klasę mieszkańców noc 15 sierpnia srodze trwoży i niepokoi" [2]).

Wszystkie te głosy świadczą, że nocy 15 sierpnia nie wywołały konszachty Krukowieckiego z T-wem Patryotycznem, że na wypadki tej nocy najmniejszego wpływu nie wywarł Lelewel, że przyczyną krwawych zaburzeń był rozpaczliwy stan rzeczy, wywołany klęskami wojennemi i niedołęstwem wszystkich władz rządzących. Słusznie też pisał Mochnacki, że noc ta „sięga placu bitwy pod Ostrołęką" [3]). Lud wiedział, że wróg z ogromnem wojskiem bez przeszkód zbliża się do stolicy kraju, a nie dostrzegał, by Sejm, rząd i wodzowie czynili cokolwiek dla ratowania kraju od ostatecznej zaguby. Przeciwnie: winni nie ponosili kary, Skrzynecki mimo swojego nieposłuszeństwa pozostawał w armii, a jego następca zapowiadał w obliczu całego wojska i kraju, że iść będzie śladami swojego poprzednika i, jakby na potwierdzenie tej zapowiedzi, cofał się z całą armią do Warszawy. Wprawdzie Dembiński miał swoje powody natury strategicznej, dla których nie chciał staczać bitwy, ale wszystko razem wyglądało na naigrawanie się z opinii publicznej, zapalało gniewem gorętsze głowy i prędzej, czy później musiało się spotkać z protestem.

Ale członkowie Rządu Narodowego, z wyjątkiem Lelewela, nie zdawali sobie sprawy z istotnego położenia i wo-

[1]) № 598 z d. 16 sierpnia 1831 r.
[2]) Nowa Polska № 222 z d. 19 sierpnia 1831 r.
[3]) Pamiętnik emigracyi. Część II. Broszura Władysław IV.

leli podejrzewać swojego kolegę o jakieś nowe tajemne zamiary, niż zajrzeć w głąb własnych sumień i porachować się z sobą. Podczas żywej dyskusyi nad projektem Teodora Morawskiego Lelewel oświadczył, że tego rodzaju odezwa, zamiast uspokoić umysły, rozjątrzy je tylko. Wtedy Wincenty Niemojowski zażądał, aby oponent sam odezwę napisał. Zgodził się na to uczony, zasiadł natychmiast do pisania i skleił naprędce swój projekt.

„Rząd boleje, — taki był wstęp odezwy, — że lud, *sam sobie sprawiedliwość domierzając*, odjął mu sposobność legalnego sprawiedliwości dopełnienia..."

Ale zaledwie słowa te odczytał, gdy obecni zaprotestowali i nową rozpoczęli dyskusyę. „Ściągają radcy i doradcy, piszą pośrednie projekta, całe rano, do południa" [1]). Wezwano prezesa rady municypalnej, Garbińskiego, z przedstawicielami magistratu i tych się radzono, którą z odezw najlepiej wydrukować. Ci ostatni wypowiedzieli się za projektem Lelewela. Zgodzono się więc na jego projekt, wszakże Teofil Morawski poprawił niektóre ustępy — i po długich, a nużących debatach odezwa, wymęczona, połowiczna, niezadawalająca nikogo, odesłana została do druku [2]).

Cały dzień zastanawiano się potem, co począć, jak reagować na groźne wypadki ubiegłej nocy. Lelewel radził je wykorzystać na rzecz sprawy publicznej, traktować wszystko, co zaszło, jako wzmożenie się rewolucyjnego nastroju stolicy, tembardziej, że z armii nadbiegło kilku gońców z oświadczeniem, że wojsko trzyma z ludem i z rządem. Kaliszanie słuchali tych wywodów, rozważali je, namyślali się, wreszcie Wincenty Niemojowski oświadczył, iż zasiadł w rządzie w tej nadziei, że można będzie rządzić konstytucyjnie.

— „Nie jestem do rewolucyjnych kroków", — oświadczył Lelewelowi [3]).

---

[1]) Korespondencya J. L-la z K. Sienkiewiczem, str. 93.

[2]) Odezwa ta umieszczona jest w tomie XX „Polski, dziejów i rzeczy jej". Barzykowski utrzymuje, że ostatecznie odezwę rządową zredagował ostatecznie Bonawentura Niemojowski, biorąc za podstawę projekty Morawskiego i Lelewela. Hist. powst. list. Tom V, str. 122.

[3]) List Lelewela z d. 8/IV 1859 r. Rks. w Rapp.

I miał słuszność zupełną, a nie tylko on, ale i nikt z jego kolegów nie był zdolny do działań rewolucyjnych i nie nadawał się na sternika sprawy narodowej w tak ciężkich okolicznościach. Faktycznie Rząd Narodowy przestał już istnieć i po nocy 15 sierpnia żadna siła nie mogła ocalić go od upadku. Jeden Lelewel chciał wytrwać, ale w gruncie rzeczy podłożem tej chęci nie była wiara w możność ocalenia sprawy, ale ów upór, który i w tej krytycznej chwili nakazywał mu trwać na zajętem stanowisku aż do samego końca, wbrew wszystkiemu i przeciw wszystkim. Istotny stan rzeczy był taki, że wojsko znajdowało się bez wodza, a Rząd Narodowy pozbawiony był wpływu na dalszy przebieg wypadków. Ale Rząd Narodowy miał jeszcze możność mianowania wodza. Więc postanowił to uczynić, w obawie zupełnej anarchii. Na wniosek Lelewela do obozu udała się delegacya, złożona z trzech osób, reprezentujących Rząd Narodowy, Izbę poselską i Senat. Delegaci otrzymali dwie nominacye; jedną dla Prądzyńskiego, drugą dla Bema i jednego z tych dwóch kandydatów koniecznie mieli skłonić do objęcia dowództwa. Rzeczy już tak stały, że Rząd Narodowy nie miał posłuchu i nie mógł liczyć na spełnienie swojego rozkazu. Kasztelan Olizar, Teodor Morawski i Barzykowski podjęli się tej misyi. Po długich namowach Prądzyński zgodził się przyjąć naczelne dowództwo, ale nazajutrz rozmyślił się i złożył swą godność.

Tymczasem nowe pułki wkroczyły do Warszawy, a „lud ochoczo traktował brata-żołnierza" [1]). Przybył Dembiński; Warszawa zaroiła się od wojskowych, a cała ludność z naprężeniem oczekiwała dalszego rozwoju wypadków.

Dnia 17 sierpnia od samego rana zaalarmowany został Lelewel.

Prot Lelewel opowiada, że tego dnia, wszedłszy na dziedziniec pałacu namiestnikowskiego, spotkał się z bratem Janem, a niebawem nadbiegł „zasapany Nabielak" i gorączkowo dopytywać się zaczął o Joachima.

[1]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.

— „Gdzie jest wasz brat? idę od niego z jego domu, szukam wszędzie, bo ze strony pewnych wojskowych zdecydowany zamach na życie jego, jako posądzonego o sprawienie egzekucyi ludowej... Dembiński i Chrzanowski chcą go życia pozbawić..."

„Wtem, — brzmi dalsze opowiadanie Prota, — idzie Joachim z pliką papierów pod pachą. Nabielak mówi mu na ucho, Joachim z uśmiechem, spokojnie, idzie prosto na sale posiedzeń rządu. My za nim..," [1]).

Istotnie Dembiński miał zamiar aresztować Lelewela, a mógł to uczynić, gdyż przez pozostałych członków rządu mianowany został wodzem naczelnym, a sam rząd postanowił już podać się do dymisyi. Lelewel zaskoczony został temi wiadomościami. Barzykowski zawiadomił go o nominacyi Dembińskiego, a zaraz potem dano Lelewelowi do podpisu akt złożenia władzy przez Rząd Narodowy. Uczony, — powiada Barzykowski [2]), — „z aktu tego był niekontent, niepotrzebnym go nazwał, lecz wziął pióro i zaraz podpisał". W ten sposób dostał się we władzę Dembińskiego.

Jakoż pomiędzy nowym wodzem naczelnym a Lelewelem doszło do gwałtownej sceny.

Dembiński, generał zdolny i odważny, ale człowiek o umyśle ciasnym, zarozumiały, porywczy, nietaktowny, nie zadowolił się ofiarowaną mu komendą naczelną, lecz myślał o pochwyceniu w swoje ręce władzy naczelnej, dyktatorskiej, chciał rządzić, jak pan wszechwładny, śniły mu się rządy Kromwella. Niemal przez cały czas powstania oddalony od Warszawy, nie zdawał sobie sprawy z nastrojów i usposobień stolicy. Wierzył w Skrzyneckiego i całkowicie polegał na zdaniu tego generała. Nie ufał Niemojowskim, najgorsze wyobrażenie miał o Krukowieckim, nienawidził Lelewela i wpadał w furyę na myśl o Towarzystwie Patryotycznem. Był pewien, że stać się może zbawcą Polski, a zbawienie widział w poskromieniu żywiołów rewolucyjnych.

„*Jedynym błędem* Rządu Narodowego, — pisał Dembiński już na emigracyi, — było, że cierpiał istnienie Towarzys-

---

[1]) Pamiętniki i notaty Prota Lelewela. Rks.
[2]) Historya powstania. Tom V, str. 143.

twa Patryotycznego i wyuzdaną wolność druku, które gorliwego obrońcę w samym składzie rządowym miały w osobie Lelewela i uwiedzionych przez niego i z nim wotujących kaliszanów" [1]).

Pogląd ten świadczy o bardzo uproszczonym sposobie oceniania faktów, o zamykaniu oczu na istotne położenie rzeczy, o namiętności wreszcie, która zawsze brała górę, ile razy porywczy generał wydawał sądy o swoich współczesnych. I tym razem wiedziony namiętnością, postanowił ukarać surowo mniemanych winowajców zaburzenia, a gniew swój zwrócił przeciw Krukowieckiemu i Lelewelowi.

Na ostatniej sesyi Rządu Narodowego powiedział, zwracając się wprost do uczonego, że jego posądzają o zorganizowanie morderstw, popełnionych w nocy 15 sierpnia. Lelewel miał się zmieszać nadzwyczajnie. „Usta jego zbladły i zsiniały, — powiada Dembiński, — palce konwulsyjnie skubały plamy, jakie miał na twarzy, lecz zwykłym sobie, niepewnym głosem, kiwając ręką, odpowiedział: „oni bo wszystkich posądzają, kogóż nie posądzają... [2]).

Tak brzmi niezupełnie pewna relacya Dembińskiego. Wynika z niej dalej, że za Lelewelem ujął się Teofil Morawski, a nawet sam Barzykowski. Gdy temu ostatniemu oświadczył Dembiński na stronie, że zaraz Lelewela każe aresztować, Barzykowski z największem zdziwieniem i nieledwie z przestrachem zawołał, by tego nie czynić.

Cóż powodowało tym nienawidzącym Lelewela dygnitarzem?

„Wczoraj, — tak cytuje wielomówny Barzykowski swoje słowa, które w owej chwili miał wyrzec, — nie ulękłem się anarchistów, gdy rząd naszli i moją pierś wystawiłem; dzisiaj, chociaż w innym duchu rzecz przedsięwzięta, to samo spełnić potrafię". I pełen cnót katońskich oraz uroczystego namaszczenia, tak dalej pisze sam o sobie: „Barzykowski w tych trudnych i opłakanych dniach drugi raz w obronie rządu na wyłomie stawał; teraz zaś tembardziej jego postę-

[1]) Pamiętniki o powstaniu w Polsce. Tom II, str. 11 — 12.
[2]) Pamiętniki o powstaniu w Polsce. Tom II, str. 130 — 131.

powanie na uwagę zasługuje, bo ujmował się za Lelewelem, który dniem wprzód, na liście proskrypcyjnej, na liście kandydatów do latarni, imię jego wypisał!" [1]).

Cóż za wielkoduszność Rzymianina, ileż własnej chwały w tem uroczystem wyznaniu! Jednakże rzeczą jest wątpliwą, czy Barzykowski, tak często przeczący sam sobie, a tak łatwo dający się unosić namiętnościom, miał to przekonanie, że istotnie Lelewel układał listę proskrypcyjną, rzecz jeszcze wątpliwsza, czy dla podanych przez siebie motywów bronił uczonego. Barzykowski nie odznaczał się szczególną odwagą, a jego przestrach, o którym wspomina Dembiński, pozwala przypuszczać, że i obawa o następstwa, mogące wyniknąć z aresztowania Lelewela, również wywarła swój wpływ na stanowisko Barzykowskiego.

Jeśliby jednak wierzyć relacyi Dembińskiego, nie Barzykowski był zbawcą znakomitego historyka. A ta potwarcza relacya jest tak charakterystyczna, że warto się z nią zapoznać. Oto Dembiński opowiada, że rozmowę jego z Lelewelem przerwano doniesieniem, że w pilnej sprawie chce z nim mówić oficer z Zamościa. Generał wyszedł, a ów oficer (niestety, nazwiska Dembiński nie wymienia!) w te słowa miał się odezwać:

— „Słyszę, że generał chcesz aresztować p. Lelewela; ja mam list, który go zupełnie potępia; jest to list, pisany przez niego do trzech oficerów, którzy bunt chcieli podnieść w Zamościu przeciwko gen. Krysińskiemu i zamordować go, a list, przez Lelewela pisany, postępek ich chwali i do czynności tej zachęca..."

Scena, jak z dramatu! Niestety, dramat to licho skomponowany. Bo cóż się okazało? Oto ów tajemniczy oficer nie miał przy sobie listu, acz zapewniał, że chowa go „troskliwie". Oczywiście Dembiński kazał list przynieść, ale nie czekając na dowód winy, zdecydował się aresztować Lelewela i wtedy to powiedział o swej decyzyi Barzykowskiemu. Wymowny Barzykowski przestraszył się, starał się skłonić Dembińskiego do porzucenia tej myśli, ale Dembiński był prze-

---

[3]) Historya powstania listopadowego. Tom V, str. 147.

konany, że dopóki Lelewel „żyć będzie, wszystko będzie źle szło". I z tem przekonaniem znowu wyszedł, napisał odezwę do wojska, a gdy wracał do sali, zobaczył Nabielaka i postanowił naraz zasięgnąć jego opinii.

— „Powiedz mi, ale pamiętaj, że idzie o ojczyznę, co za człowiek jest Lelewel?"

Oczywiście Nabielak „ze szczerością prostej duszy" upewnił generała, że „zamiary Lelewela są jak tylko można najlepsze..."

Wtedy Dembiński wyrzekł się zamiaru aresztowania uczonego, wrócił na salę i zaczął z nim rozmawiać „tonem łagodniejszym..."

Tak brzmi relacya Dembińskiego [1]).

Zdumienie może ogarnąć, gdy się czyta tego rodzaju opowieść, gdy dociera się do źródła owych oszczerstw i potwarzy, gdy zmierzy się głąb lekkomyślności, z jaką uczestnicy powstania, i to najwybitniejsi, naciągali prawdę i fakty, byle znienawidzonego człowieka pogrążyć w opinii. Bo czyż można przypuścić na chwilę, by Dembiński na podstawie denuncyacyi postanowił aresztować Lelewela [2]), a mając za chwilę otrzymać dokument, usprawiedliwiający aresztowanie, wyrzekł się decyzyi i to skutkiem kilku gorących słów jednego z najbardziej oddanych Lelewelowi ludzi?! Jeśli jeszcze zważyć, że Dembiński nie wymienia nazwiska tajemniczego oficera, że wogóle jednem słowem nie wspomina już później o owym oficerze i o liście, który miał mu przynieść, to wystarczy, aby ocenić broń, jaką walczyli wrogowie Lelewela.

Dembiński miał w tym czasie innego przeciwnika i to w dążeniu do władzy. Był nim Krukowiecki. Z tym sprawa była trudniejsza, bo Krukowiecki umiał w razie potrzeby

[1]) Pamiętniki o powstaniu w Polsce. Tom II, str. 131 — 32.

[2]) Generał Lewiński pisze, że Dembiński wydał już rozkaz aresztowania Lelewela i księdza Szynglarskiego. Obu miała odprowadzić na odwach eskorta, złożona z oddziału karabinierów. Podoficerowi, komenderującemu tym oddziałem, Dembiński kazał, ażeby, jeśli który z aresztowanych przemówi do ludu, „zarąbać go kazał". (Generała Jak. Lewińskiego Pamiętniki. Poznań 1895, str. 87). Prawdopodobnie jednak Lew. się myli. Ks. Szynglarski istotnie został aresztowany i tylko jego ten rozkaz mógł dotyczyć.

pokazać swoje pazury, a zadzierać z nim po nocy 15 sierpnia nie było rzeczą bezpieczną! Kilka gwałtownych scen pomiędzy obu generałami powiększyło tylko ich wzajemną nienawiść, ale nie zapewniło tryumfu Dembińskiemu. Generał ten nie miał dość odwagi i stanowczości, by Sejm rozpędzić i władzę pochwycić w swe ręce. Dembiński chwiał się i wahał. Tymczasem Krukowiecki nie ustawał w zabiegach i szedł do celu krokiem o wiele pewniejszym. Ubiegł też swego rywala. Dnia 17 sierpnia Sejm przyjął rezygnacyę Rządu Narodowego, zgodził się na nowy rząd, złożony z Rady Ministrów pod przewodnictwem prezesa o władzy bardzo rozległej. Wyłoniły się dwie kandydatury: Krukowieckiego i marszałka Ostrowskiego. Ale ostatni nie miał wiary w siebie, nie chciał władzy i błagał, aby na niego nie głosowano. W ten sposób prezesem Rady Ministrów został Krukowiecki, a w ręce swoje zagarnął władzę niemal dyktatorską, bez porównania większą, niż ta, którą posiadał książę Czartoryski.

Nowy naczelnik rządu usunął od dowództwa Dembińskiego, wypędził Skrzyneckiego z armii, a pierwsze jego zarządzenia, nacechowane energią i stanowczością, dodatnie uczyniły wrażenie. Uspokoiły się umysły, odetchnęli z ulgą patryoci, podniósł się duch powstania i nadzieja znowu jaśniejszym zapłonęła blaskiem. Ale była to tylko chwila omamienia. Krukowiecki, stanąwszy u szczytu swych pożądań, opuścił skrzydła i odrazu lot swój obniżył. On, tak piorunujący na niedołęstwo władzy poprzedniej, napełniający całą Warszawę swym wrzaskiem, piętnującym niedołęstwo i zdradę, od pierwszej chwili swoich rządów wyrzekł się myśli prowadzenia wojny do końca i układy z wrogiem postanowił rozpocząć. Ale nadrabiał buńczuczną miną i oszukiwał szumnem słowem lekkomyślną młodzież. Wogóle wszystkich starał się oszukać. Ks. Czartoryski tak w tych dniach pisał o Krukowieckim: „Powiada, że z każdą partyą inaczej musi mówić, aby się dowiedzieć, co każden myśli, a jego myśli nikt nie ma wiedzieć" [1]). Istotnie Krukowiecki tak postępo-

[1]) L. Gadon. Ks. Adam Czartoryski, str. 142.

wał. Wyglądał, zdaniem Czartoryskiego, „jak odurzony", miał przecież plan, świadczący, że stary lis nie stracił głowy. Rozporządzając poważną siłą zbrojną, zamierzał podnieść swoją powagę odniesieniem zwycięstwa na jednym z dalszych terenów wojny i następnie dopiero przystąpić do układania się z Paskiewiczem.

Żywiąc takie zamiary, miał się na baczności, rozkazał szpiegować młodzież z T-wa Patryotycznego i pilnie śledził jej poruszenia. Obietnicy, że otoczy się młodymi ludźmi, ani myślał dotrzymać. Mochnacki, wierzący czas jakiś w dobrą wolę przebiegłego człowieka, usunięty został od wszelkiej z Krukowieckim współpracy. Chytry starzec położył na swoim stole słynne pismo Mochnackiego, pisane w więzieniu u Karmelitów i, często pokazując je swoim gościom, mówił:

— „Jak chcecie, żebym do czego powołał tego, co się na takie pismo zdobył!" [1]).

Krukowiecki oparł się głównie na partyi kaliskiej: wiceprezesem rządu został Bonawentura Niemojowski, a Teodor Morawski — ministrem spraw zagranicznych. Wodzem naczelnym mianował nowy prezes rządu Małachowskiego, generała o najlepszych chęciach, ale bez wyższych zdolności wojskowych i bez energii, wojaka, steranego wiekiem i czującego już własne niedołęstwo. W ten sposób i władza nad wojskiem przeszła w ręce prezesa rządu!

Lelewel nie został zaszczycony jakimkolwiek urzędem.

Barzykowski twierdzi, że profesor, acz bez urzędu, stał się najbliższym Krukowieckiego doradcą [2]), ale Prot Lelewel, lepiej rzeczy świadom, utrzymuje, że Krukowiecki był „z Joachimem ani źle, ani dobrze, obojętnie..." [3]). Faktycznie zaś podejrzliwy starzec nie ufał Lelewelowi, otoczył go zgrają licznych swoich szpiegów i nie tylko wywodził uczonego w pole, ale nieraz posługiwał się nim, jak bezwolnem narzędziem. Towarzystwo Patryotyczne Krukowiecki natychmiast po dojściu do władzy rozkazał zamknąć, a Le-

[1]) List J. Lelewela. Rks. w Bibl. Jag.
[2]) Hist. powst. list. Tom V. str. 203.
[3]) Pamiętniki Prota Lelewela. Rks.

lewel nie protestował, napisał tylko klubowi nekrolog, w którym dowodził, że T-wo domagało się sądu i sprawiedliwości dla obwinionych, przestrzegając w ten sposób opinię, co w przeciwnym razie zdarzyć się może w stolicy.

Młodzież, oczekująca wiele po nowych rządach, zaczęła powoli przezierać i właściwą miarą mierzyć postępowanie Krukowieckiego. Zamyślano nawet o wyrwaniu władzy z rąk niepewnego człowieka. W domu pani Chłędowskiej powstała karykatura spisku, do którego należeli posłowie, Trzciński, Szaniecki, Chełmicki i Zwierkowski, a obok nich Maurycy Mochnacki, Piotr Wysocki, Bronikowski, Nabielak, Czyński, Krępowiecki i inni, ale spisek ten ograniczył się całkowicie do jałowych rozpraw o nowym zamachu stanu i nowym rządzie. „Owych narad, — pisał w wiele lat później do Janowskiego Lelewel,—pode drzwiami pani Chłędowskiej, zmiłuj się, obywatelu, nie nazywaj spiskiem, aby się z biografa nie śmiano. Na jakieś wezwanie poszedłem raz na nie ze Zwierkowskim Walentym. Miały być tajne, a my widzieli niepodobieństwo, aby o nich Krukowiecki nie miał wiedzieć[1]).

Jakoż wiedział istotnie.

„Lelewel,—pisał Krukowiecki do żony dnia 5-go września 1831 r.,—jest zawsze duszą tego towarzystwa i schadzek oficerów, nie mających miejsca, ale zawsze pod największem ukryciem. Ze mną jest dobrze, przynajmniej obydwa tak udajemy. Jak tylko nie można gdzie zamachów przeprzeć, każę jego wołać, odkrywam mu takowe i powiadam, iż mi doniesiono, że to za jego rozkazem, a przynajmniej za jego pozwoleniem dzieje się. On się broni, a bojąc się odpowiedzialności i wiedząc, że ja nie żartuję, biega i odrabia czasem to. o czem pierwej i najmniejszej wiadomości nie miał...”[2])

Taki był stosunek Krukowieckiego do Lelewela.

Tymczasem Lelewel wielką nadzieję pokładał w Krukowieckim i szczerze wierzył, że za jego rządów podniesie głowę sprawa narodowa. Później, na emigracyi uległ uczony niemal powszechnemu sądowi, jaki wytworzył się o Krukowieckim śród tułactwa, ale w epoce powstania inaczej go oceniał. Właś-

[1]) List J. L-la Rks. w Bibl. Jag.
[2]) Karol Forster. Powst. nar. polsk. Część II, str. 11.

nie w tym samym czasie, kiedy Krukowiecki pisał o Lelewelu do żony, Joachim tak charakteryzował położenie ówczesne:

„Wstrząśnienie 15 sierpnia, zaczem poszła zmiana 17 zapadła, — pisał w liście do Leonarda Chodźki z d. 4 września 1831 r.—uratowały nas od daleko gwałtowniejszych i rewolucyjnych zdarzeń, któreby, usiłując nas ratować, możeby nagle zgubę naszą przyśpieszyły. Wycieńczeni, wysileni, *stajemy dziś znowu czynni i zaczepni i nie bez nadziei. Więcej nas straszy zima, aniżeli nieprzyjaciel*... Po tych zmianach *lekko mi teraz*, mam momenty wypoczynku. Zatrudnia mnie najwięcej Litwa, za jej interesami biegam. Biedne jest jej położenie, a przecież bez niej cóż my znaczymy".

I w dalszym ciągu tegoż listu donosi Lelewel, że z górą 30 posłów-exulantów z województw wschodnich na ławach poselskich zasiadło, by reprezentować w Sejmie polskim sprawę Litwy i Rusi. To grono posłów „czuwa nad momentem, w którym z zastępami nadwiślańskimi i swymi hufcami, w nadwiślańskie województwa schronionymi, za Bug i za Niemen, do swojaków pośpieszy. Zjedziemy się w Gedymina stolicy, panie Leonardzie!"—wykrzykuje wreszcie i w dalszym ciągu jasnemi barwami maluje położenie ówczesne. „Krukowiecki nami rządzi: nie jest to gubernator, ale król konstytucyjny. Powiedz to Gurowskiemu. O zdarzeniach, u nas zaszłych, pewnie w gazetach francuskich pisać będą, a pewnie coś pokrzywionego. Spodziewam się jednak, że tyle będzie prawdy, że uznają, iż wszelka odmiana idzie legalnie. Wziąłem to za cel, aby powagę Sejmu dochować: w każdym trudnym razie nadskakuje Sejm i Rzeczpospolitą skołataną ratuje..."[1])

Niezachwiana ufność, pokładana w Sejmie, który w dniu 17 sierpnia przyjął do swojego grona nowych posłów z Litwy i Ukrainy, a który, zdaniem uczonego, nieustannie ratował „skołataną Rzeczpospolitą", większa obawa przed nadchodzącą zimą, niż przed groźnym i potężnym wrogiem, okrążającym stolicę, wiara, że zastępy wojsk polskich ruszą za Bug i za Niemen, wreszcie objawy radości niemal w przededniu upadku powstania, świadczą, że wielki historyk całkiem

---

[1]) Rks w Rapperswilu.

nie oryentował się w strasznym historycznym momencie, że bezkrytycznie spozierał na istniejący stan rzeczy, że łudził się wtedy, kiedy do złudzeń najmniej było powodów.

W gruncie rzeczy rola Lelewela w powstaniu listopadowem już się skończyła.

„Wróciłem wprawdzie do Izby, — pisał w wiele lat później,—właściwie jednak, jak dobrze Mochnacki dostrzegł, usunąłem się od wszystkiego: bo na niczem oparcia nie miałem, nikt i nic mnie do czynu nie powoływało”![1])

Ciężar, który spadł z ramion uczonego, z chwilą złożenia godności rządowej, podniósł go na duchu, ożywił i uspokoił jego stroskaną duszę, a zarazem ustosunkował go do sprawy narodowej. Już nikt i nic go do czynu nie powoływało! Cóż za cenne wyznanie! Jakże pozwala zajrzeć w głąb duszy Lelewela! Jakże doskonale maluje jego usposobienie bierne, jego naturę, niezdolną do roli aktywnej, a wymagającą bodźca z zewnątrz, aby pchnąć go do czynu! Znamienna jest i ta wiara, która zbudziła się w uczonym, skoro tylko przestał istnieć rząd pięciogłowy i kto inny ujął w swoje ręce władzę naczelną. Krukowiecki po dwóch tygodniach swojej działalności ostudził wzniecony w pierwszej chwili zapał i w najgorętszych zwolennikach swoich zaczął wzbudzać nieufność i podejrzenie. Ale Lelewel, jak widać z listu do Chodźki, jeszcze 4 września ślepo ufał przebiegłemu pyszałkowi i szczerze wierzył, że wojska powstańcze w stolicy Litwy zatkną zwycięsko swoje sztandary.

Z ulgą na duszy powracał na ławę poselską. W Sejm wierzył niezachwianie. Jeszcze przed wybuchem powstania przekładał spiskującej młodzieży, aby najzupełniej zaufała Sejmowi, a obecnie, gdy wracał do Izby, odżyła w nim w całej pełni ta ufność do reprezentacyi narodu. Wiary, raz w Lelewelu wznieconej, nie rozwiała smutna rzeczywistość, której Sejm, jeden z głównych czyników powstania, był współtwórcą i współwinowajcą. Zapatrzony w myśl swoją, nie widział smutnej roli, jaką Sejm przez cały czas wojny odgrywał, nie widział błędów Sejmu, ani w okresie dyktatury, ani w usta-

[1]) List z d. 8.IV.1859. Rks. w Rapp.

nowieniu słabego rządu, ani podczas dyskusyi nad kwestyą włościańską, ani wtedy, gdy Sejm uchwalał podziękowanie za bitwę ostrołęcką Skrzyneckiemu, ani wtedy nawet, gdy wielką władzę oddawał w ręce Krukowieckiego.

Ale właśnie w chwili, gdy znakomity historyk stawiał sobie za cel ochraniać powagę Sejmu, nadchodziła kytyczna chwila i dla tej instytucyi: potężna armia Paskiewicza zbliżyła się do okopów, osłaniających Warszawę, i grom wystrzałów armatnich zaczął wtórować obradom w sali zamkowej.

Z górą 50,000 żołnierzy było do obrony stolicy, ale zaledwie 30,000 stanęło w krytycznej chwili na szańcach, gdyż korpus 20,000 wysłał Krukowiecki pod dowództwem Ramoriny na prawy brzeg Wisły, a to w celu rozgromienia korpusu Rosena. Krukowiecki miał nadzieję, że wyprawa na Moskali, o ile tylko szczęście dopisze, uczyni Paskiewicza skłonniejszym do układów. Więc w najniestosowniejszej chwili pozbawiał stolicę obrony. Ale spotkał go zawód. Książę Czartoryski, który wraz z Ramoriną opuścił Warszawę, nadesłał niebawem prezesowi rządu wiadomość, że Ramorino wykazuje ogromną nieudolność, wobec czego trudno przypuszczać, aby to ryzykowne przedsiewzięcie skończyło się tryumfem. Ks. Adam radził przysłać do obozu Prądzyńskiego. Usłuchano tej rady— i Prądzyński wyjechał do armii. Znakomity generał odrazu zoryentował się w położeniu, naprawił błędy Ramoriny i natychmiast ułożył nowy plan działań zaczepnych. Plan był świetny, jak zresztą wszystkie plany Prądzyńskiego, ale opieszałość, czy też zdrada Ramoriny zniweczyła całe przedsięwzięcie: Rosen, wpadłszy w zastawione sidła, wymknął się bez szwanku. Prądzyński zrozpaczony powrócił do Warszawy.

Dnia 5 września armia rosyjska osaczyła stolicę, a na drugi dzień przypuściła szturm do okopów polskich i zdobyła Wolę. Dnia 7 września Krukowiecki po rozmowie z Paskiewiczem napisał list do Mikołaja i, kołatając do jego „ojcowskiego serca", oddawał naród bez zastrzeżeń na łaskę rozgniewanego cara. Tegoż dnia stanął przed Sejmem generał Prądzyński i z upoważnienia prezesa rządu zdawał sprawę z przebiegu toczących się z wrogiem rokowań.

Do godz. 1-ej trwać miało zawieszenie broni.

W ponurem skupieniu słuchały Izby połączone wywodów Prądzyńskiego, świadczących, że obrona Warszawy już jest niemożliwa, że nie pozostaje nic innego, jak zawrzeć układy z tryumfującem Paskiewiczem. Rozpoczęły się długie rozprawy, podczas których i Lelewel głos zabrał i protestował przeciw podpisaniu układów, wołając, że jest rzeczą niedopuszczalną, aby naród sankcyonował śmierć swoją. Wypowiedział się również przeciw rozwiązaniu Sejmu, ale środków ratunku nie wskazał, bo zresztą nic już Warszawy ocalić nie mogło i nie było już ratunku dla stolicy Polski. Poseł żelechowski, który w liście do Chodźki, pisanym trzy dni temu, zapraszał przyjaciela swego do Wilna i marzył o zjeździe w grodzie Gedymina, obecnie najsmutniejszy przewidywał koniec i mówił już o szukaniu ratunku poza granicami kraju.

,,Gdziekolwiek się zbierzemy, choćby w małej liczbie, zawsze będziemy mieli prawo odwołać się do narodów, do świata całego i obowiązku naszego reprezentantów polskiego narodu dopełnić..." [1])

A słowa te były już ideologią wygnańca: jakoż to odwoływanie się *do narodów i do całego świata*, świadczące o całkowitej utracie wiary we własne siły, stać się miało niebawem rzeczywistością. Nie należał zresztą Lelewel w tej chwili do wyjątków. Beznadziejnością tchnęło niemal każde słowo, które padało z ust członków Sejmu: przegraną sprawy narodowej przeżywali już w swoich duszach reprezentanci narodu.

W takiej chwili poseł Szaniecki spróbował podnieść ducha i odwołał się do dzielności Sejmu.

,,My sami stańmy na czele ludności w Warszawie i pójdźmy bronić jej murów... Przy takiej ludności, przy takiem wojsku i takich generałach spodziewać się możemy, że nieprzyjaciela odeprzeć zdołamy..." [2])

Ale jakby dla ilustracyi tych słów generał Prądzyński opuścił salę podczas przemówienia Szanieckiego. Warszawa

---

[1]) Dyaryusz Sejmu, Tom VI, str. 556 — 7.
[2]) Dyaryusz Sejmu. Tom VI, str. 561.

na mocy wydarzeń wojennych przechodziła już w ręce rosyjskie, ale członkowie Sejmu nie przestawali radzić — i dyskusya toczyła się dalej. Dopiero grom stu armat, z których przemawiać zaczął Paskiewicz, odsłonił obradującym nagą rzeczywistość. Teraz dopiero wszystkim otworzyły się oczy. Oburzenie przeciw Krukowieckiemu stało się powszechne. Zmuszono go do złożenia władzy i prezesem rządu mianowany został Bonawentura Niemojowski, ale Warszawa kapitulowała i na drugi dzień na podstawie zawartego układu przejść miała w ręce Moskali.

Wieść o tej kapitulacyi gruchnęła po całem mieście i wszędzie najokropniejszy wywołała popłoch. Obłęd rozpaczy ogarnął mieszkańców stolicy. Wojsko w największym nieładzie tłoczyło się na Pragę, a po ulicach biegał wystraszony lud, lamentowały kobiety i dzieci, okrzyki dzikiego przerażenia tłukły się o mury domów. Nadchodził wieczór i mrok otulał zrozpaczone miasto. Łuny pożarów, pustoszących przedmieścia, oświetlały ciemności tej strasznej nocy i rzucały krwawy blask na tłoczące się ku mostowi tłumy. Jazda, artylerya, piechota, członkowie Sejmu i wszystkich władz polskich, klubiści, spiskowcy, patryoci wszelkich barw i odcieni, widząc nadciągającą zemstę, a mając stare lub nowe porachunki z władzą moskiewską, w największym nieporządku podążali w kierunku mostu, by dostać się na drugi brzeg Wisły i ratować życie.

Prot Lelewel pisze:

„Co się działo przy zdobyciu Woli!.. Ładowałem w furgon sztandary, czyli orły pułków. Żegnałem matkę, rodzeństwo, żonę, dzieci, a rano z bratem Joachimem, opatrzeni w małe tłomoczki na ramionach, poszliśmy na Pragę, do brata Jana..." [1]

Kajetan Koźmian opisuje [2], jak w pewnym momencie na czele smutnej procesyi, dążącej ku mostowi, jechał konno pułkownik Zieliński, a między różnorodnym tłumem „szedł Lelewel, wychudły, wybladły, siny i z tłomoczkiem na plecach" [3].

[1] Pamiętniki. Rks.
[2] Pamiętniki. Oddział III. str. 536.
[3] Ten sam pisarz, dyszący nienawiścią do Lelewela, najstraszniejsze wypisuje pod adresem uczonego oszczerstwa. Twierdzi, że widział.

Nazajutrz Warszawa była już w rękach Moskali, a na Pradze w obozie polskim największe panowało zamieszanie. Bonawentura Niemojowski, nowy prezes Rządu Narodowego, nie był człowiekiem, jakiego wymagała chwila. Posiadał władzę, ale władza nie miała już znaczenia, a wielkiej mocy ducha, niezłomnej woli i hartu, siły do walki z nieszczęściem i rozpaczą nie znalazł w sobie następca Krukowieckiego. Wprawdzie po wyjściu z Warszawy napisał szumną i piękną odezwę do narodu[1]) wydawał rozkazy, mianował nowych ministrów, przyczem Lelewel został ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego, ale nominacye te były już tylko formalnością. Nikt nie spełniał swych obowiązków urzędowych, ustawała zwolna wszelka władza i największa anarchia rozpoczynała swe pustoszące rządy w obozie. Generał Małachowski nie wiedział, co czynić, Prądzyński pozostał w Warszawie i oddał się w ręce Moskali, a inni generałowie potracili głowy i przestali wierzyć w możność dalszej walki. Ci, co oryentowali się lepiej, głośno wołali, by główna armia, licząca 30,000 ludzi, pomaszerowała na wschód i połączyła się z korpusem Ramoriny, co wytworzyłoby jeszcze groźną siłę. Ale przemogło zdanie przeciwne i generał Małachowski nakazał marsz wsteczny, a Ramorinie wysłał rozkazy, by śpieszył połączyć się z głównemi siłami. Tymczasem Ramorino szedł już w przeciwnym kierunku i oddalał się coraz bardziej

---

jak Lelewel rozdawał motłochowi „miecze, noże, postronki, pióra, aby sławili nauyę Robespierrów, Dantonów, budowali gilotyny, układali listy proskrepcyi... Kiedy ujrzałem 6 września tę wychudłą i drżącą postać z tłomozkiem na zgarbionych barkach, uchodzącą przed grzmotem rosyjskich śpiży, zdało mi się widzieć szatana, wychodzącego z politycznego ciała mojej Ojczyzny, którą przez 9 miesięcy opętał, dręczył i do najokropniejszego, jakiego dzieje nie mają przykładu, samobójstwa przywiódł..." (Pisma prozą Kajetana Koźmiana. W Krakowie 1888, str., 394 — 395). Notujemy ten głos, jako przykład wściekłości stronniczej, którą Lelewel już podczas powstania wzbudzał ku swojej osobie.

[1]) W odezwie tej czytamy: „Pamiętny jest wam, Polacy, odwrót Poniatowskiego w 1809 r. i powrót jego do Warszawy tą drogą, którą powracał z pod Wiednia Jan III. Wtenczas nie zwątpiliście o sprawie naszej i dzisiaj niech oddanie jednego miasta nie osłabia waszej na dziei... Sejm — upewniał Niemojowski — czuwa nad honorem narodu, wojsko nie zmieniło swego hasła i Rząd Narodowy nie przestaje wykonywać władzy, jaką mu Sejm poruczył". Odezwa wydana została 9 września 1831 roku, w Modlinie. Kopia tej odezwy znajduje się w Bibl. Rapperswilu.

od głównej armii i ani myślał stosować się do otrzymanych rozkazów.

Do chaosu i rozprzężenia przyłączała się zdrada i śmiertelny cios zadawała potężnie zachwianej sprawie narodu.

Na miejsce Małachowskiego wodzem naczelnym mianowany został generał Rybiński, ale i on nie zdołał ożywić armii i on nie mógł tchnąć nowego ducha w zdemoralizowane szeregi. Nic już nie pomagały zmiany: klęska ostateczna dojrzała w zbiorowej duszy, ogarniała umysły, panowała w sercach.

Na Pradze po raz ostatni w życiu zeszli się razem trzej bracia: Joachim, Prot i Jan. Postanowili wszyscy trzymać się armii, ale stanęło na tem, że Prot wpadnie do rodzinnej Woli Cygowskiej i sprowadzi stamtąd konie pod rzeczy, a powróci razem z korpusem Ramoriny, którego nieustannie spodziewano się w głównej kwaterze.

Pożegnali się tedy bracia i Prot wyruszył w drogę, a towarzyszył mu Jozefat Bolesław Ostrowski, współredaktor „Nowej Polski", współuczestnik spisków rewolucyjnych, ówczesny przyjaciel i wielbiciel, a później na emigracyi jeden z najzawziętszych wrogów Joachima, figura licha i ciemna, ale nie mająca dotychczas pola, by w całej pełni obnażyć swoją nikczemność. Podróżnicy puścili się na poszukiwanie korpusu Ramoriny. W Woli Cygowskiej zastali ruinę, gdyż Moskale zrabowali wszystko. Ale powrót do armii bez znaczniejszej eskorty był już niebezpieczny. Więc w przekonaniu, że Ramorino śpieszy ku głównej armii, udali się do Mińska. Ale i tam wojska polskiego nie było. Wtedy ruszyli do Siedlec, stamtąd do Łukowa i dotarli nareszcie po korpusu Ramoriny.

„Najpierwszem staraniem mojem, — opowiada Prot Lelewel,—było stanąć przed ks. Czartoryskim. Rzewnie powitany, wymówiłem księciu podziwienie moje, gdyż słysząc z ust naczelnego wodza o wydanym generałowi Ramorino rozkazie udania się do głównej armii, jestem świadkiem marszu wstecznego. Książę zatrzymał kwestyę do przybycia szefa sztabu, p. Zamoyskiego, i mnie wraz do obiadu [zaprosił]. Niebawem nadszedł p. Zamoyski, obojętnie przyjął opowiadanie o rozkazie, danym przez naczelnego wodza, przebąkiwał tylko, że

generał postępuje wedle rozkazów, które z głównej kwatery odbiera"[1]).

Ponieważ podjazdy nieprzyjacielskie postępowały śladami wojska i powrót do głównej armii stawał się coraz niebezpieczniejszym, przeto Prot Lelewel wraz z Ostrowskim postanowili zostać przy Ramorinie, który oddalał się coraz bardziej od miejsca, gdzie go oczekiwano. I tutaj rozprzężenie panowało w obozie i tutaj beznadziejność przytłaczała piersi. Raz po raz roztrząsano nowe projekty, ale żaden z nich nie dochodził do skutku. Prot opowiada, że na radzie wojennej w Terespolu „wniósł Działyński, aby dla nadania większej siły narodowi ogłosić bezwłocznie królem księcia Adama Czartoryskiego, co wszakże nie trafiło do przekonania większości". Wreszcie Ramorino zwrócił się na południe i wraz z oddanym pieczy jego korpusem przeszedł granicę austryjacką. W ten sposób Prot Lelewel dostał się do Krakowa. Tutaj rozstał się z towarzyszem podróży, Ostrowskim, który podążył na zachód. Prot doczekał się wejścia do prastarej Polski stolicy generała Rüdigera i ogłoszenia amnestyi. To skłoniło go do powrotu do Warszawy.

„Jakież było powitanie w domu rodzinnym? Smutek przeważał wszelkie inne uczucia. Ścisnęło się serce na widok matki w tęsknocie za synami, na widok cierpiącej żony, na widok wszystkiego, co nas otaczało... W domu Joachima na pierwszem piętrze nasza matka. Piętro drugie z woli matki zajęła żona moja z trzema synkami... Raźniej im było znosić ciosy, które zewsząd je dotknęły"[2]).

Odtąd pozostała w kraju rodzina Joachima pędziła dni w smutku i w żałobie. Ruinę materyalną powiększyła niebawem konfiskata przez rząd domu Joachima przy ulicy Długiej, a ciągła myśl o tułających się po świecie członkach rodziny zatruwała dusze bezbrzeżnym żalem, smutkiem i goryczą.

Tymczasem bracia, Joachim i Jan, szli razem z armią, maszerującą na Modlin i Zakroczym.

[1]) Pamiętniki. Rks.
[2]) Pamiętniki Prota L-la. Rks.

W Zakroczymiu zatrzymało się wojsko, zaczęły urzędować władze, nawet Sejm rozpoczął swoje obrady. Ale nic już nie mogło poskromić szerzącej się anarchii, nic nie zdołało wskrzesić wiary w powodzenie sprawy. Obrady Sejmu były chaotyczne, bezładne, nacechowane upadkiem ducha, którego nie była w stanie podnieść wymowa słów, nieraz szumnych i pięknych, ale najczęściej pustych i nie licujących z grozą położenia. Sześć posiedzeń odbył Sejm w Zakroczymiu. Posłowie upajali się frazesami, pozbawionymi nieraz wszelkiej treści istotnej, a atmosfera sejmowa udzieliła się i Joachimowi. I on niejednokrotnie zabierał głos w Zakroczymiu. Przejął się szczególniej pomysłem ustanowienia znaku zaszczytnego pod nazwą *Gwiazdy Wytrwałości*. Prawo do tej ozdoby miało przysługiwać każdemu, kto, wspierając powstanie, „wytrwa w szlachetnem postępowaniu aż do stanowczego losów Ojczyzny rozstrzygnięcia"[1]. Na posiedzeniu Izb połączonych w dniu 18 września „minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego", Joachim Lelewel, uzasadniał potrzebę ustanowienia takiej ozdoby. Dziwne było to uzasadnienie. Oto mówił on, że Rządowi Narodowemu przyszło na myśl, „ażeby kiedy nasza *sprawa do kresu zbliżać się będzie*, w takim razie upominek jakiś przeznaczyć dla tych, którzyby dali dowód aż do końca wytrwałości swojej. W tym celu postanowił odznakę honorową, któraby była znakiem i przypomnieniem szczególnego poświęcenia się w obecnej sprawie naszej, przypomnieniem tak świetnego powstania naszego..."

„Odznaka ta, — twierdził Lelewel, — będzie drogim upominkiem w familiach, które tem słusznie chlubić się będą mogły, że posiadały w gronie swojem członków, którzy czuli, jak należało, i oddawali się zupełnie, z całem poświęceniem tej sprawie... Upominek ten, rozsypany pomiędzy kilkakroć sto tysięcy ludzi, będzie zawsze drogim dla dzisiejszego pokolenia; przechowany przez nas, droższy będzie dla póżniejszego. W tym celu ma być na ten jeden raz rozdany, jako dowód wytrwałości..."[2])

---

[1]) Dyaryusz Sejmu. Tom VI. str. 662.
[2]) Dyaryusz Sejmu. Tom VI. str. 663.

I toczyła się w Sejmie gorąca nad ową ozdobą dyskusya...

A w kilka dni później Sejm, rząd, wojsko oraz ci wszyscy, co w obozie szukali schronienia, opuścili Zakroczym i cofnęli się na zachód i zbliżali się coraz bardziej ku granicy pruskiej.

Raz jeszcze zebrał się Sejm w Płocku. Raz jeszcze, ostatni raz na ziemi ojczystej spojrzeli sobie w oczy ci, co przez cały czas powstania stali na jego czele i przeżywali teraz straszną katastrofę: upadek własnych nadziei i klęskę całego narodu. Były jeszcze siły, ale nie było już wiary w możność wytrwania.

Okropną ironią dziejową była owa „gwiazda wytrwałości".

Nie prowadziła szeregów do boju, nie natchnęła nikogo myślą o zwycięstwie, a Lelewel w swoich notatach odsłania drugą, prawdziwą stronę owej zaszczytnej odznaki:

„Po wzięciu Warszawy przez Rosyan, Rząd Narodowy przeniósł się do Zakroczymia, a wielka liczba obywateli stolicy i całego narodu szukała pobytu tak w Zakroczymiu, jak w okolicznych miasteczkach. Wtedy już jawna niechęć naczelników siły zbrojnej do działania wojennego rychły rokowała upadek sprawy polskiej. Gorzkie uczucia przenikały życzliwe swej ojczyźnie serca, a wzniecały obawę, aby jeden jaki krok niespodziany nie przywiódł wszystkich do nagłej rozsypki"[1]). Znajomi podawali sobie ręce, przyrzekając nie opuszczać sprawy narodowej, ale pocichu mówili już o opuszczeniu ojczystego kraju i szukaniu schronienia na obczyźnie. W tak smutnym stanie rzeczy grono posłów i obywateli, jako to Lelewel, Szaniecki, Zwierkowski, Trzciński, Tymowski, Janowski, Pułaski i inni, uradziło wybrać z pomiędzy siebie komitet, któryby wydawał świadectwa tym, co zdecydowali się iść na tułaczkę. Jakoż wydawano uchodźcom owe przedziwne paszporty następującego brzmienia:

ODEZWA DO LUDÓW.

„Bacząc na położenie rewolucyjnych Obywateli Polski, cnotą i poświęceniem w sprawie wolności i Ojczyzny narażonych na nieubłaganą

---

[3]) Rks w Rapperswilu.

nienawiść nieprzyjaciół imienia Polskiego i Niepodległości, postanowiliśmy odezwać się do uczucia Ludów, przyjaciół powszechnej wolności, aby Obywatela:

. . . .

sercem braterskiem przyjąć chciały. Poświęcił on wszystko, co miał drogiego w Ojczyźnie, wielkim celom postępującej Ludzkości. Opieka jego do Ludów należy" [1]).

Lista owych paszportów, wydanych już w Zakroczymiu, wynosiła z górą 150, a fakt ten najlepiej maluje wytrwałość polską i potrzebę zaszczytnej odznaki dla jej wynagrodzenia. Obłęd niósł obóz polski i zamkniętą w nim sprawę narodu ku przepaści zginienia. W chwili, gdy specyalny komitet wydawał owe paszporty, główna armia liczyła jeszcze 30.000 ludzi zdolnych do stawiania czoła nieprzyjacielowi, a Ramorino stał wówczas na czele 20.000-go korpusu. Było 8.000 żołnierza pod Samuelem Różyckim, były jeszcze załogi Modlina i Zamościa. Nic nie mogło przeszkodzić połączeniu się Ramoriny z główną armią, a gen. Puzyrewski twierdzi, że w owym czasie Paskiewicz przeciw głównym siłom polskim mógł wyprowadzić w pole zaledwie 45.000 wojska, lecz lękał się z taką siłą rozpocząć energiczniejszą akcyę zaczepną. A obok właściwego Paskiewiczowi niezdecydowania inne jeszcze składały się na jego bezczynność powody. Pozycya armii polskiej była doskonała.

„Przy wodzu energicznym i przedsiębiorczym, — powiada strategik rosyjski, — pozycya Modlina przedstawiała znaczne korzyści, dając możność działania na obydwóch brzegach rzeki, przez co rozdwajały się siły nieprzyjaciela; wszakże niepodobieństwem było oczekiwać takich działań od armii polskiej, rozbitej i co chwila zmieniającej swych wodzów..." [2])

---

[1]) Paszporty te miały być podpisywane przez Lelewela, Szanieckiego, Zwierkowskiego i Pułaskiego. W Rapperswilu zachowały się dwa takie dokumenty. Jeden, wystawiony na imię Łukasza Gościckiego, drugi — na imię Ordyńca. Pierwszy podpisali Lelewel, Szaniecki i Pułaski, na drugim widnieją jeszcze podpisy Bonawentury Niemojowskiego i Władysława Ostrowskiego.

[2]) Wojna polsko-rosyjska, 1831 roku. Str. 365 — 366.

Zaledwie 28,000 żołnierzy polskich stało pod bronią, gdy naród mieczem postanowił praw swoich dochodzić, a w najkrytyczniejszej chwili, po upadku Warszawy, 70.000 wojsko gotowe było do boju. Wódz nieprzyjacielski i w owym momencie nie mógł wyprowadzić w pole sił na tyle przeważających, by zapewnić sobie zwycięstwo. Jedno małe powodzenie Polaków mogło jeszcze tchnąć nadzieję w omdlewającą armię, wzbudzić w niej zapał, rozpalić chęć do nowej walki i nowych tryumfów. Ale wodzowie polscy opuścili bezsilnie ramiona, a władza cywilna nie miała w sobie dość moralnej mocy, by duchem wojennym ożywić pogrążonych w zwątpieniu generałów. Więc niesnaski wybuchały w obozie, dezercya przerzedzała szeregi, zuchwałe warcholstwo podnosiło głowę. Gdy po Rybińskim naczelną komendę objął generał Umiński, wojsko oświadczyło, że słuchać go nie będzie, i Rybiński znowu powrócił do władzy. Rozprzęgało się wszystko. Nie gwiazda wytrwałości, lecz czarna beznadziejność prowadziła ku granicy pruskiej szeregi wojowników, a głucha rozpacz szarpała dusze i coraz większy bezwład ogarniał uchodźców. Koniec tragedyi zbliżał się nieuchronnie. Nie szukano już ratunku. Najmężniejsi myśleli o oddaniu się w niewolę moskiewską, a myśl tę powziął nawet generał Dembiński. Porzucił ją później, gdyż inny pomysł w głowie jego zaświtał. A pomysł ten świadczy, że w owych strasznych chwilach przestał już działać rozsądek, że w posępną noc klęski obłęd ogarniał umysły.

„Odstąpiłem już był i projektu oddania się w niewolę,— pisał później Dembiński[1] — gdyż to byłoby podobnem do tego, co zrobiło tylu generałów, którzy wrócili do Warszawy, lubo ja chciałem się oddać, jako jeniec, z determinacyą nieprzysięgania nigdy na nic. Uśmiechał mi się inny projekt, dziwaczny może, lecz byłbym go wykonał, gdybym miał prawo tem dysponować, to jest, zebrać wszystkie amunicye, ułożyć z nich stos blizko granicy pruskiej, na nim postawić namiot i tyle zebrać żywności, ile mi jej na kilka miesięcy potrzeba było, i tam póty siedzieć w pogotowiu wysadzenia

[1]) Pamiętniki o powstaniu w Polsce. Str. 379 — 380.

się w powietrze, pókiby cesarz, wzruszony szlachetnością tej determinacyi, nie przyznał jakich ulg Polakom...”

Oto jakie plany rodziły się w głowach generałów, oto jakimi środkami myślano wymusić na zwycięskim carze ulgi dla nieszczęsnego narodu.

Obłędem gnana rzesza rozbitków szła na zatracenie, a czując swój bezwład i swoją straszną niedolę, nie myślała już o próbach ratunku, lecz szukała winowajców, co do zaguby doprowadzili sprawę narodową. Wszyscy, co kiedykolwiek w dziejach powstania ważniejszą odegrali rolę, wszyscy, co wypłynęli na widownię, stawali się w tej przedzgonnej chwili przedmiotem najostrzejszych sądów, najdzikszych pogróżek, najciemniejszych plotek i potwarzy.

Nie uniknął tego losu i Lelewel.

Nieprzyjaciele odgrażali się teraz, że wydadzą go Moskalom, to znowu straszyli go pomstą żołnierzy, nienawiścią wyższych oficerów i generałów. Uczony obojętny był na te pogróżki. Przygotowany na wszystko, maszerował z tłómoczkiem swoim na plecach śród opuszczających ziemię ojczystą szeregów, dzieląc do ostatniej chwili ich smutny los i ich opłakaną dolę. Widziano go, jak po wązkim, giboczącym się moście, rzuconym przez Wisłę, szedł o północy śród prostych żołnierzy smutny, zadumany, skamieniały w bólu, widziano go w tłumie aż do końca.

Dnia 2 października na radzie wojennej w Świedziebnie wyżsi wojskowi postanowili schronić się z całem wojskiem do Prus. W trzy dni później główna armia polska przekroczyła granice i na terytoryum obcego państwa rzuciła oręż, podjęty w obronie niepodległości narodu. Powstanie dobrowolnie zstępowało do grobu. Kraj opuszczony zamienił się niebawem w jedną olbrzymią mogiłę, a ci, co nie chcieli do mogiły tej wracać, ruszyli na zachód.

W kraju rządy przeszły w ręce Paskiewicza, a dla wychodźców rozpoczęła się nowa epoka, zwana w dziejach naszych Wielką Emigracyą Polską.

I w tej epoce miał odegrać Lelewel niepoślednią rolę.

Z duszą, pełną rozpaczy i bólu, szedł Lelewel na nowe życie pod obcem niebem, z rozdartem sercem wstępował na drogę nowych cierpień i nowych zawodów. Pozostawiał za sobą ukochane miasto, porzucał kraj ojczysty, tracił rodzinę, pozbywał się wszelkich środków do życia i środków do umiłowanej pracy naukowej, żegnał Ojczyznę, zakuwaną na nowo w kajdany, a mającą stać się terenem najokropniejszych gwałtów i bezprawia. Uchodził z kraju, niby z domu, stojącego w płomieniach, szedł w przyszłość nieznaną i ciemną, a potwarz i oszczerstwo, jak dwa nieodstępne cienie, wlokły się w ślad za nim...

Wielkie były jego błędy i przewinienia, wielka była jego odpowiedzialność przed pokoleniem współczesnem i przed potomnością. Jako członek najwyższej władzy rządzącej, jako mąż o rozległych wpływach i znakomitem imieniu, był nieustannie na oczach wszystkich, przykuwał do siebie uwagę, a im większe w początkach powstania wzniecał nadzieje, tem większe później budził rozczarowanie.

Działalność jego do chwili opuszczenia kraju możnaby podzielić na dwie fazy odrębne, acz silnie ze sobą związane.

Pierwsza przypada na okres wileński i lata, spędzone w Warszawie.

Piękny to okres w życiu Lelewela.

W zaraniu wielkich wypadków, o wschodzie słońca wiosennego, w atmosferze jasnej i świeżej, czuł się na swojem miejscu, był sobą, mógł działać z pożytkiem. Oddychał szczerością, czerpał z otoczenia, przesyconego młodzieńczym zapałem, moc ducha i pogodę myśli. W krainę szlachetnych porywów młodości wnosił swój światły sąd i swoją powagę, zapładniał lotne umysły i gorące serca, hojną dłonią rzucał ziarna w ziemię urodzajną i bujną. Był siewcą szczęśliwym: grunt, przeorany pługiem jego pracy, zakwitał najpyszniejszymi kłosami uczuć i wiedzy. Nie tylko, jako nauczyciel, ale również, jako obywatel, stanął w tej dobie u szczytu. Rządził umy-

słami i panował w sercach. Najpierw studenci wileńscy obdarzyli go bezgranicznem zaufaniem, a później za ich głosem poszła cała młodzież polska. Jakoż tam, w Wilnie, zaczęła się jego karyera polityczna.

Piedestał, na którym postawiły Lelewela wypadki 1830 roku, na sercach młodzieńczych się wznosił.

Ten, który według określenia Mochnackiego, był przez lat kilkanaście patronem przekonań rewolucyjnych młodzieży, musiał zwrócić na siebie powszechną uwagę, gdy zegar dziejowy, nakręcony rękoma młodości, wydzwonił godzinę rewolucyi. Jakoż z chwilą, kiedy jutrzenka swobody, błyszcząca dotąd w poezyi, rozbłysła w życiu, stanął w jutrzenki tej blaskach, jako naturalny przewodnik, mający prowadzić już nie młodzież, ale cały naród ku słońcu zbawienia. Tak myśleli nietylko jego uczniowie. Tak myśleli wszyscy, dla których łuna pożarna w pamiętny wieczór listopadowy była zwiastunem nowych obowiązków i nowej, lepszej ery, w życiu całego narodu.

I od tego wieczoru zaczyna się nowa faza w życiu i działalności Lelewela.

W obliczu dzieła dokonanego, o którem zawczasu był powiadomiony, stanął bez planu działania. Nie był czynny śród tych, co rozpoczęli powstanie, i nie przyłączył się do tych, co pożar wzniecony pragnęli ugasić. Znalazł się pomiędzy dwoma obozami bez myśli przewodniej. Nie wysuwał się na widownię, lecz był na nią siłą rzeczy wepchnięty. Nie piął się ku górze. Ta burzliwa fala niosła go ku szczytom, bez udziału jego woli i chęci. Czuł na sobie olbrzymi ciężar odpowiedzialności za czyny i olbrzymi ciężar odpowiedzialności za bezczynność. Więc możnaby powiedzieć, że przystąpił do dzieła ze skrępowanemi własną niemocą rękami. Dał się unieść fali i płynął z falą. Ale płynął, jak łódź bez steru, miotana od brzegu do brzegu zmiennymi prądami dziejowej zawieruchy. Od pierwszych jego wystąpień stało się widocznem, że nie jest działaczem, który tworzy wypadki polityczne, ale politykiem, który się za tymi wypadkami ogląda, który na nie czeka i dopiero w płomieniach wydarzeń, wzniecionych poza jego wolą, kształtuje się politycznie.

I na tem polega tragedya Lelewela w powstaniu listopadowem.

Widziano w nim wodza, gdy on był tylko sztandarem. I na tem polega tragedya pokolenia, które mu zaufało. Zawód był wielki. Bo gdy przewodnikowi, sprawującemu moralne rządy w dziedzinie idei, kazano być wodzem na arenie czynów, gdy kazano mu rządzić nie ideą, lecz życiem, które tę ideę miało wcielać w czyny, okazało się, że Lelewel może być tylko tem, czem był rzeczywiście: sztandarem ideowym, symbolem wyzwolenia. A biada pokoleniu, którem w godzinie czynu dziejowego rządzą symbole. I biada symbolom, co o takiej godzinie z wysokości swojego nieba schodzą na ziemię i dają się wznieść na wyżyny życia. Zawód obustronny jest w takich wypadkach nieubłaganą koniecznością: na gruncie wzajemnych nieporozumień muszą zakwitnąć zatrute kwiaty goryczy.

Lelewel nie był zarozumiały, jak inni działacze, których wypadki wyniosły razem z nim na szczyty, choć nieraz lepiej, niż oni, widział, że dzieje się źle, że sprawa narodowa toczy się w przepaść zginienia. Ale nie umiał zaradzić katastrofie. Zdawał sobie sprawę ze swojej niemocy, a nie wiedział, gdzie leży jej źródło. W wiele lat potem, wspominając o swojej roli w powstaniu, straszne o sobie wypowiedział słowa, stwierdzając bowiem swoje osamotnienie, przyznawał, że „wyosobniony był na figuranta sam na sam”. Trudno o bardziej gorzką prawdę! Bo prawdą były te okropne słowa. Istotnie był samotnikiem i w Rządzie Narodowym, i w Sejmie, i w Towarzystwie Patryotycznem. Nie była to przecież samotność wielkiego działacza, który wie, czego chce i dokąd dąży, samotność geniusza, skazanego na niezrozumienie przez tłum. To była samotność słabości, samotność niedołęstwa. Rząd, według własnego wyrażenia, był mu *więzieniem*. Roił sobie później, gdy smutnemi oczyma starości patrzył w przeszłość, gdy stojąc nad grobem, rozpamiętywał niezapomniane chwile bujnego życia rewolucyi, że gdyby wyszedł z tego „więzienia”, gdyby był wrócił do Izby poselskiej i zasiadł w magistracie, jak mu proponowano, stałby się potęgą [1]). Nie zro-

[1]) List do Chodźki z d. 8 kwietnia 1859 r. Rks. w Rapp.

zumiał, że dla niego więzieniem była arena czynu politycznego. On, wielki filozof życiowy, ofiarny sługa idei, której płomieniem zapalał młode dusze i budził w tych duszach entuzyazm, on, fanatyczny wielbiciel Mickiewicza, niepospolity charakter, silna wola, mocarz na polu nauki, nie miał zalet i zmysłu działacza politycznego: skrępowany powrozami obowiązku, przykuty do taczki politycznej, czuł się niewolnikiem. I dlatego przez cały czas wojny narodowej krępował go bezwład, panujący na wierzchołkach ruchu. Dlatego nie umiał wyzyskać żadnej sytuacyi i żadną sytuacyą owładnąć. A jednak na tle działalności wszystkich władz powstańczych, a więc dyktatury, Sejmu, Rządu Narodowego i postępowania wodzów, na tle skłębionych namiętności, małych ambicyi i wielkich pretensyi, maleją jego okropne przewinienia i błędy,—natomiast zyskuje serce ofiarne i promienieje szlachetna bezinteresowność, z jaką pełnił ciężką służbę narodową, czy to wtedy, gdy jako członek rządu zrzekał się na rzecz sprawy przyznanej mu pensyi, czy też wówczas, gdy z tłomoczkiem na plecach opuszczał otoczoną płomieniami Warszawę. Nie zawinił więcej, niż którykolwiek z jego kolegów w rządzie pięciogłowym, a mniej miał grzechów na swojem sumieniu, niż ci, co w decydujących momentach pięli się do władzy, a stanąwszy u celu, nie umieli, a często nie próbowali nawet wyzyskać sprzyjających sprawie okoliczności.

Jego przeciwnik, książę Czartoryski, człowiek władny i możny, zasobny w doświadczenie, a często trafnie oceniający trudną sytuacyę, nie śmiał sięgnąć ręką zdobywczą po władzę rozleglejszą i równie, jak Lelewel, godził się nieraz z opłakanym stanem rzeczy i patrzał ze smutkiem, jak mijają bezpowrotnie najdrogocenniejsze dla powstania chwile. I równie, jak Lelewel, nie zaważył swą wolą na szali dziejowych wydarzeń. Później dopiero, gdy rozpamiętywał ubiegłe wypadki, poznał swój główny błąd w powstaniu listopadowem. Niespełna w trzy miesiące po upadku sprawy, pisząc o położeniu Polski i o stosunku gabinetów europejskich do Rosyi, nakreślił te znamienne słowa:

„Biada politykom, którzy z chwili nie umieją korzystać!"[1].

[1]) Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie. Rks. 5271.

A słowa te mogłyby być wypisane, jako motto nie tylko na karcie tytułowej dziejów Powstania Listopadowego, ale jako motto wielu okresów naszej historyi, szczególniej zaś historyi porozbiorowej.

To pewna, że nie umieli wykorzystać chwili ani twórcy 29 listopada, ani ludzie, stojący na czele Rady Administracyjnej i Rządu Tymczasowego, ani dyktator Chłopicki, ani członkowie Sejmu i Rządu Narodowego, ani wodzowie, ani przywódcy klubów, słowem, nikt, komu można wola losu na czas dłuższy lub krótszy dawała możność rządzenia. Moment decyzyi niemal zawsze przychodził pod przymusem okoliczności, przychodził spóźniony, niemal współcześnie z nieszczęściem i klęskami, zadającemi coraz poważniejsze ciosy idei 29 listopada!

Lelewel, uwikłany początkowo w sieci sofizmatów Lubeckiego, zahypnotyzowany dobroczynną rolą Sejmu, nie widzący sprzeczności pomiędzy działalnością swoją, jako członka rządu i prezesa Towarzystwa Patryotycznego, niezłomny w swoim uporze, często nie widział istotnego położenia rzeczy i czekał rozwiązania zagadki, która tkwiła w nim samym. Nie umiał ustosunkować się do wypadków i bardzo często wpadał w sprzeczność sam z sobą. Nie był człowiekiem czynu, a główna jego wina tkwi nie w tem, co zdziałał, ale w tem, czego nie zdziałał, mając do rozporządzenia swój wpływ przeogromny i wielkie śród współczesnych uznanie i wiele okazyi do wykorzystania swoich własnych wartości. Ceniono w nim te wartości, on szukał ich poza sobą.

To też i Lelewel, jak Czartoryski, jak inni koledzy, z którymi wspólnie piastował władzę, jak wreszcie ci wszyscy, co kiedykolwiek, czy to w sferze działania politycznego, czy na polach walki decydowali w ważniejszych dla powstania chwilach, mógł uderzyć się w piersi i, opuszczając ziemię ojczystą, wydać ów pełen przerażenia okrzyk:

— *Biada politykom, którzy z chwili nie umieją korzystać!*

DODATKI.

I.

SPADEK PO LELEWELU.

Lelewel przez całe swoje życie gromadził skrzętnie książki, atlasy, mapy, przechowywał również swoje wypisy ze źródeł archiwalnych, notaty i spostrzeżenia, które później zużytkowywał w pracach naukowych. Wiadomo również, że zachowywał listy swoich przyjaciół, i że tych listów w ciągu długiego życia zebrało się bardzo wiele. Po upadku powstania Lelewel wyemigrował z tłumoczkiem na plecach. Jego biblioteka i zbiory pozostały w Warszawie. Część tych zbiorów otrzymał później na emigracyi, resztą z nadzwyczajną troskliwością długi czas opiekował się Prot Lelewel. Według zebranych przeze mnie informacyi, szacowne te zbiory spotkał z czasem los smutny: uległy rozproszeniu i powędrowały w świat pomiędzy ludzi, tak iż o zebraniu dzisiaj tych zbiorów w jedną całość nie może być mowy.

Rozpocząwszy na kilka lat przed wybuchem wojny zbieranie materyałów do pracy nad Lelewelem, starałem się również dowiedzieć, co stało się ze zbiorami, które Lelewel zgromadził na emigracyi, a przedewszystkiem z jego spadkiem rękopiśmiennym. Niestety, nie udało mi się zebrać dokładnych informacyi, a wojna uniemożliwiła dalsze poszukiwania. Wiadomo jednak, że zbiory te były bardzo cenne, wiadomo nadto, że były skatalogowane. Eustachy Januszkiewicz w r. 1856-ym pisał do Leonarda Chodźki: „Jest ktoś, ktoby chciał nabyć zbiory Joachima, objęte katalogiem tu załączonym, ub. po jego śmierci, zostawując mu je do użycia. Ale trzeba wiedzieć, co sumiennie ofiarować można. Lelewel sam nie chce ceny oznaczać. Wy, kupując do biblioteki, musicie znać dokładnie te ceny, macie katalogi przedaży etc." I prosi Januszkiewicz, aby Chodźko zasięgnął opinii rzeczoznawców, aby zbiory można nabyć bez krzywdy dla Lelewela, a „nawet w sposób taki, żeby Lelewel mógł mieć i coś więcej nad księgarską war-

tość. „Tylko—przestrzegał Januszkiewicz, — sekret z tem przed Joachimem, Ty znasz jego kaprysy” (*Rks w Rapperswilu*). Owa przestroga była spowodowana wręcz niezwykłą drażliwością Lelewela na punkcie korzystania z czyjejkolwiek pomocy. Nie odnalazłem odpowiedzi Chodźki, ale na tym samym liście Januszkiewicza ręką Chodźki pisany jest najwidoczniej brulion odpowiedzi. Otóż Chodźko pisze, że znalazł w katalogu książki bardzo rzadkie i cenne. „Są tu rzeczy, których egzemplarz wart 500, a nawet i 1000 franków”. Nadto Chodźko zwraca uwagę, że zbiory mają wartość tem większą, iż stanowią pewnego rodzaju całość, że — użyję tu wyrażenia Chodźki — „są w kupę tak bogato zebrane” i „że należą do Joachima, dwa warunki rzadkie i drogocenre dzisiaj i w przyszłości”. Ogółem oblicza Chodźko owe zbiory na „8930 sztuk”, oprócz tego 132 tomy z rycinami, a oceniał wszystko razem na poważną sumę 12.000 franków. Oprócz tych zbiorów została po Lelewelu olbrzymia korespondencya jego znajomych i przyjaciół, niezwykle drogocenna dla badacza i historyka epoki powstania i emigracyi, a również dla historyi nauki, gdyż obok działaczów politycznych Lelewel był w stałej korespondencyi z ogromną rzeszą uczonych europejskich wszystkich niemal cywilizowanych narodów. Po śmierci Lelewela papiery, pozostałe po nim, znajdowały się wParyżu. Przypuszczać należy, że śród nich musiało być sporo i rozpoczętych prac naukowych, albowiem Lelewel nieomal do ostatnich dni swojego życia pracował niestrudzenie. Cóż stało się z owymi zbiorami i z owym skarbem, jaki stanowią rękopisy?

Dnia 29 czerwca 1861 r., a więc już po śmierci Joachima, Januszkiewicz pisał do Chodźki: „Wczoraj miałem list od Prota Lelewela, który swego syna z plenipotencyami wysyła tu i do Brukselli dla objęcia sukcesyi. Żeby to tylko rychło nadjechał, bo i tu i tam dzień każdy dozoru *papierów* i ksiąg kosztuje fr. 3. Czekać tedy będziemy z inwentarzem do czasu przyjazdu”. (*Rks w Rapperswilu*). Tenże Januszkiewicz donosił Chodźce pod datą 19 listopada 1861 r.: „Inwentarz papierów Joachima zrobiony. Jest i testament. Egzekutorowie ja i Gałęzowski. Jest także wzmianka, *że korespondencya u Ciebie złożona*, którą familia reklamować może...” (*Rks w Rapp.*)

Wiadomo, że zbiory Chodźki znalazły się w bibliotece Muzeum Narodowego w Rapperswilu. W tych zbiorach było blizko 1000 listów Lelewela, niemal wyłącznie pisanych w epoce emigracyi. Ale jest to tylko część korespondencyi. I parę tysięcy listów do Lelewela pisanych nie stanowią całości korespondencyi, którą Lelewel pozostawił. Tak przynajmniej wnosić można z odpowiedzi Joachima na listy, które się w zbiorach Rapperswilskich nie znajdują. Należy przypuszczać, że nieoceniony zbieracz, jakim był Chodźko, wcielił do swoich zbiorów tylko część korespondencyi Lelewelowskiej, niezależnie od listów, o których w cytowanym liście wspomina Januszkiewicz, a które na pewien przeciąg czasu w rękach Chodźki pozostawały.

Być może, że manuskrypty, które Lelewel zgromadził w Brukseli, dostały się później w inne ręce, ale w czyje, nie udało mi się dociec. A śród tych manuskryptów był i pamiętnik Lelewela z czasów Powstania Listopadowego, a jeśli nie pamiętnik, to cenne notaty. Otrzymał je w swoim czasie Mochnacki i zużytkował w swojem dziele o powstaniu. Ale, oczywiście, zużytkował częściowo i to tylko do początków powstania. Mimo skrzętnych poszukiwań nie udało mi się dociec, co się stało i z tym pamiętnikiem, dokumentem pierwszorzędnej wagi dla biografa Lelewela i dla historyka Powstania Listopadowego.

Po śmierci Lelewela śród emigracyi rozpoczęło się dochodzenie, co stało się z manuskryptami Lelewela, przewiezionymi z Brukseli do Paryża. Powstało mnóstwo plotek, ale tak sprzecznych i kłócących się ze sobą, że trudno dojść prawdy. Na innem miejscu szerzej tej sprawy dotykam. W notatce niniejszej chodzi mi o garść informacyi, które, być może, przyczynią się do wyjaśnienia tej ciekawej, a dotychczas tajemniczej sprawy.

W „Kuryerze Warszawskim” z dnia 23 września 1913 roku ukazała się korespondencya z Paryża, której autor, p. Wac. Gąs. informuje społeczeństwo nasze o niezwykle ciekawej bibliotece, która powstała z darów wielu znakomitości, a między inn. i Lelewela. Biblioteka ta, wzbogacona zbiorami bibliotek T-wa Demokratycznego, biblioteki polskiej z Dijon, odziedziczyć miała po śmierci Hłuśniewicza i Lelewela 4.000 tomów. W bibliotece tej znajdować się ma również *zbiór manuskryptów Lelewela.* Biblioteka była własnością szkoły polskiej w Paryżu i pod jej opieką pozostawała do roku 1874, a następnie miała być odesłana do Kórnika w Księstwie Poznańskiem, jako depozyt. Wyczytawszy wiadomość o zbiorze manuskryptów Lelewela w Kórniku, zwróciłem się do źródła, w nadziei, że otrzymawszy potwierdzenie wiadomości, będę mógł na miejscu rozejrzeć się w tym ciekawym zbiorze. Ale z miarodajnego źródła poinformowano mnie, że wiadomość jest mylna, że Kórnik, prócz wydrukowanych listów w publikacyi „Korespondencya J. Lelewela z Tytusem hr. Działyńskim” nie posiada żadnych rękopiśmiennych materyałów po Lelewelu.

Wiadomo mi jeszcze, że w Poznaniu, w księgarni Żupańskiego znajdowało się w swoim czasie kilka pak z książkami, papierami i płytami Lelewela, że te paki odebrał ktoś z rodziny, co się jednak z nimi stało — niewiadomo. Informacye, których zbieranie przerwała wojna, doprowadziły mnie do wniosku, że ów rękopiśmienny spadek po Lelewelu przez bardzo długie lata otaczany był wielką tajemnicą może ze względów na niebezpieczeństwo, jakie mu zagrażało ze strony najmniej powołanej. Później, być może, wraz ze śmiercią osób, opiekujących się spuścizną znakomitego historyka, zaginęły i wiadomości o miejscu, albo też o miejscach, w których, być może, dotąd przechowuje się spadek po Lelewelu.

Adam Cieciszewski przetłómaczył 131 listów Lelewela, pisanych po francusku do różnych osób w dobie emigracyi. Kopie tych listów, dzięki uprzejmości rodziny PP. Lelewelów, mogłem w dalszej pracy zużytkować, ale również nie udało mi się dotrzeć do oryginałów. Jeśli znajdują się w kraju, to, być może, jest tych manuskryptów więcej. Może dziś, wobec gruntownie zmienionych warunków, wyjaśni się zagadka. Należy oczekiwać, że osoby kompetentne a świadome rzeczy zabiorą głos w tej sprawie.

Domaga się tego pamięć Wielkiego Polaka i nauka polska.

II.

Z KORESPONDENCYI LELEWELOWSKIEJ.

Z niezwykle bogatej korespondencyi Lelewelowskiej przytaczam poniżej dwa listy do Chodźki i notę Lelewela, pisaną w r. 1859. Na dokumenty te powoływałem się kilkakrotnie w pracy niniejszej, ale w różnych miejscach. Tutaj przytaczam je w całości, zachowując pisownię oryginału.

Monsieur Leonard
Chodźko

rue de Tournon 5. Paris, 8 kwietnia 1859.
(Data stempla pocztowego).

Kiedy Cię to, co piszę dojdzie, pewnie już mieć będziesz skript swój zwrócony. A com tam ponotował, daj Boże, abyś zrozumiał.

Nie wiem za co tak szermierujesz na mą rzecz z początkowym klubem. W swych początkach jest w mej bijogr. bardzo obojętną rzeczą. Uczcił mnie titularnym przezesostwem, a szedł sam. Raz jeden zajrzałem tak jak jinni zaglądali: kiedy się rozchodził; drugi raz pukając jego obrad wieczór, nalazłem kilku w ciasnej gdzieś jizdebce na piwku. Że się w tany do Honoratki na cześć Chłopickiego puścił, na to nie wpływałem; przez ciekawość też zajrzałem, w tłumie niepoznany. Że obrady zawiesili może mnie który uwiadomił: ale nikt mi nie radził, mej dzielności ani słabości nikt nie wyprobował. Jak to było skreśliłem § 49 Polski odradzaj.— Że bez ustanku od początku do końca przeciw mnie podszczuwano to prawda i owa plotka o złotych krzyżach, przytaczając ją jednak zda mi się wypadłoby konkludować: *mimo to* w kole elektorów, w kole sejmowym otrzymał głosy: bądź życzliwością kollegów, bądź, że elektorowie widzieli potrzebę opinji powszechnej dogodzić. A choć wsadzony w rząd zagubiony zostałem, knowano przeciw mnie ciągle, na co wszystko oziębły byłem bez żadnego jinego wzrusze-

nia wzgardą przejęty. Kiedy z dyktatorskiego aresztu wyszedłem, zaraz mi podsuniono do przejrzenia księgę indagacijną. Niezaglądając do niej spokojnie odsunąłem od siebie.

Za Radziwiła spieszyłem na schadzkę Litwy i przyspieszyłem akt: a gdy się klub otwierał po raz pierwszy przewodniczyłem jemu. Niebawem chcący w nim przewodzić Mochnacki prosił mię, aby go ratować, bo mu wielkie psoty wyrządzono. Poszedłem tedy razy parę... ukrzepić i do porządku nawieść. A potem skupiało pod mianem tow. patrjot. (jest w § 94 Polski odradzaj.).

Szemrano potężnie, że zawadzam diplomacji (niezbyt dawno Teodor Morawski powiedział jednemu statsraht niemcowi, że dwór wiedeński proponował aby mnie Austrji wydano.) Mówiono że z mej przyczyny z mych principiów z mej niechęci do austryjackiej niemożna uzyskać pomocy. Z tej Austriackiej kwestji ciężka nakoniec scena wynikła. Natrąciłem ją w § 88 Polski odradzaj. Owe pismo błagawcze wyprawione do Austrji zaprezentował mi w rządzie protokulista Kunat. Odczytałem i rzuciłem na stół; Kunat jidzie o podpis — nie znam tego. A wszakże już czterech podpisało — widzę, to dosyć — przyjęte — nie aprobuję w jimieniu narodu, niegodne — ależ było komissjom sejmowym kommunikowane, approbowały[1]) — może, mnie nic do tego — ależ piątego podpisu potrzeba—już wrzała we mnie krew, jak nie krzyknę — ja takich pism niepodpisuję. Wtem pędzi ku mnie Czartoryski, jak niechwycimy się ręka w rękę rozjątrzeni. Plichta i Kunat z sali w nogi; trzej inni winowajcy czyli kolledzy jeszcze niżej spuścili nosy w papiery przed nimi leżące; a rozżaleni w rozmowy: co masz do mnie — a ja swoje wyrzuty, do czego wiedzie postępowanie, odpowiedzialność. Chociaśmy się puścili, jeszcze niemały czas gorzkie wyczuwały się słowa. Z tego potem wynikła zamiana wymówek na piśmie. (Dowiedziałem się, że te pisma Barzykowski ma, choć umówione było, że miały pójść w zapomnienie). W parę dni potym sam na sam roztoczyła się podobna rozmowa, może więcej gorzka. Słowem pokazało się, że L., jeśli nie mówił, to wymówił; a nie milczał i musiał mówić, kiedy był przedmiotem interpellacji i w sejmie i w rządzie.

Żem nie podpisał piąty pisma w § 88 wymienionego, wspomnić można, ale nie o scenie, której tu wstęp natrąciłem. Co do 15 sierpnia miejże, nie mówię sumienie, ale rozsądek nie mydlić erudicją. Możnaby powiedzieć, żaden z członków z rządu w to implikowany nie był: ależ przebóg, poco wyskok taki? erudicja! W razie nikt mnie nie pomawiał; w Paryżu facecje p. Theodora, głupie krzyki Dębińs. — tfy. Sienkiewicz przyjaciel mówi: puścić w zapomnienie czas. Leonard przyjaciel swojem zdaniem zaprzecza. O, przyjaciele gorsi od nieprzyjaciół. Po tym zdarzeniu, a raczej w ciągu jego Czart. umknął do obozu komplo... Barzykowskiego wysłaliśmy tamże z dymissjami i rozporządzeniami. Było to nazajutrz

[1]) W tem miejscu na marginesie Lelewel dopisał: „Książę prosi, a książę sobie chodził po sali".

wieczór, siedziało nas trzech, radziłem z tego wypadku i terroru korzystać, poczytać to za ponowienie i poparcie rewolucji; nadbiegło bowiem kilku gońców od wojska z oświadczeniem, że są z ludem i rządem. Kaliszanie słuchali, rozważali — aż Wincenty Niemoj. przemówił — ależ kollego, ja nie do tego, zasiadłem w rządzie w nadziei, że konstitucyjnie rządzić można; nie jestem do rewolucijnych kroków. — Nazajutrz wszedł Dembiński i Czart. wrócił... i dimissja. — Wskutek tego wróciłem wprawdzie do jizby, właściwie jednak, jak dobrze Mochnacki dostrzegł, usunęłem się od wszystkiego: bo na niczem oparcia nie miałem, nikt i nic mnie do czynu nie powoływało.

Nic mówił! — a przecie Ledochowski powtarzał, żem wiele dobrych rad dał. Powinienby dołożyć: lepszych nie słuchano. Obciążone sumienia tylko twierdzić mogą żem nie mówił; w całym ciągu, w całym biegu sprawy choć interpellowany, spokojnym, pogodnym umysłem; czyż wszędzie nie powtarzałem widzę zmaganie się, usilność narodu, zparaliżowaniem jej, aboż usilność silniejszą się okaże (wszak to paraliżowanie wyznał Czart. sam § 88). Gdy się rzecz bardzo chwiała, umysł mój drażliwszym się stał i przyszło do sceny wyżej wspomnianej. Po inwazji Dębińsk. i podniesieniu Krukowieckiego (com przepowiedział) nic mi już niepozostało tylko rezygnacja, z nią wróciła mi cisza. W rejteradzie straszono mnie wydaniem moskalom; niechęcią żołnierzy; drażniono grozami mnie generałów, oficerów: a przecie z tłumów nie umknąłem; nieraz z tłómoczkiem, czyli płaszczem swym szedłem wśród szeregów żołnierzy, po wązkim moście o północy przez Wisłę, gibosującym się, na którym na szerz ledwie pięciu w szeregi jiść mogło. Widziano mnie tak w tłumie do końca.—

Do pielgrzymki nie przyrządzałem się; grosza sejmowego do ucieczki przyrządzonego nie tknąłem; niemocen szedłem za powodzią; wydarzane zapytania o radę, zachodziły zapóźno — Marszałek Ostrowski Władysł. przyjaciel? przyskoczył do mnie we Frankfurcie nad Odrą. Jedziesz do Paryża...— Zapewne to potrzebujesz na drogę — nie — na sekretarza, bo będziesz miał potrzebę jego w Paryżu — a to co! jakkolwiek się sam najdę z sekretarzem figurować nie mogę, będę sobie sam dla siebie. —Ależ najdzież sposoby i przedewszystkiem staraj się o amnestją — choćbym miał do tego środki, tego się nie podejmuję (chwila milczenia) — toż przynajmniej staraj się z naszej polskiej sprawy jak największy hałas rozniecić — co to, spodziewam się, będzie. — Marszałek pociągnał do Gratz, a ja incognito do Paryża, gdzieście do rejwachu dopomogli. Wczoraj była u mnie pani Wielhorska. Dużośmy o różnych rzeczach rozmawiali; przyszło i o Leonardzie, a pani z ukontentowaniem pochwaliła się że zna znamienite dzieło o Legionach Włoskich: miała exemplarz z biblioteki cesarskiej i czytała; że należli wszystko o generale Wielhorskim a czy dobrze skreślone... Mówiła mi, że znają tego generała gdy był ministrem wojny, arcyciekawe rachunki — Staraj się tedy z synem jego a jej mężem poznać zapewne będziesz dobrze przyjętym i widzianym.

Wracam do siebie jeszcze. Jordan, ponawiając ogłoszenie przekładu niemieckiego mej hist. de Pologne, powiada o mnie, żem do żadnych związków nie należał ale, żem posiadał wziętość i zaufanie; że się do mnie wszystkie zgłaszały, mnie udzielały. Nie wiem zkąd on to wie, zkąd się tego dowiedział, jak się tego domacał: ale to prawda. Wziętość i zaufanie to cała była moja potęga: którą mogłem przewodzić, ale nie przywodzić: wpływem, przykładem, ale nie dowództwem jakim; nikomu przez myśl nie przychodziło ażebym kiedy mógł stanąć na czele. Wszedłszy do jizby (mieszczanin na posła) postrzegłem zaraz że aristokracji egoizm wziął na kieł; zatarga rozwijała się głucho: z rewolucją puściła się w oszustwa i haniebne podstępy. Probowali zarzutu pretensji przywodzenia, nie udało się to jim, bo nie było powszechnego pojęcia, abym tak zaświecić mógł: a tymczasem postradałem już zaufanie, wziętość mi psuli, sami używając i nadużywając jej: coraz więcej wyosobniony byłem na figuranta sam na sam. Niechęci rozbudzić w powszechności, jaką przejęci byli sami, niezdołali; zdołali tylko samopas puścić: nie szydząc z triumfu swego, bo tym gubili sprawę powszechną. Dopiero to na tułaczce, po charapie, zjawiły się krzyki, a mógł, a powinien był na czele stanąć, przywodzić; a słaby był, bez energji.

Panie adjutancie generała Lafayetta, jak jinne jak wysokie wziętością, czynem i stanowiskiem było położenie generała twego, a czegoż dokazał 1830? Explikował mi się: czekałem, aboż mnie powołają, gotów byłem; miałżem się rzucać sam?—Tak mi się obywatele dwóch światów, nieco obszerniejszemi wyrazy explikowali: bądź to jego słabość i niedecyzja była, on przecież mógł coś, z mej strony była wszielka niemożebność — chociaż możebym nalazł się gotów, gdyby powołano: ale to tylko mówię może, bo pewniebym nie zszedł z drogi, po której mię losy wiodły.

Bądźcie zdrowi

L.

Jeszcze raz powtarzam nie wystawiaj siebie i mnie na pośmiewisko anekdotami sędziego pokoju Asche (Ach). Gdybyś 12 tomów bijografji pisał, to byto arcy mniejsze było.

A toż to roku niema abym jakiegoś głupstwa od Belgji nie doznał. Już w roku 1859 w przyjacielskim domu serdecznie przyjacielskim, zaledwiem nosa nie stracił. Powtarzam, że mię to cieszy, bo widzę, że nie filantropem, ani protektorem ludu jestem ale członkiem ludu, proletarjatu. Ot tak! dziwne obyczaje; tam zawadzi bluza, jindziej furażerka, jindziej trzcina do podparcia się, później książka w ręku etc.... il n'ya pas de place pour vous... Długi, długi szereg ciekawych anekdot w krajach flamandzkich, w walońskich mniej.

Ot co mi w Brukselli dopiero na myśl przyszło, namysłów trzeba było. W cyrkule mym, w Warsz. 1830 podawano mnie za kandidata do magistratu, wymówiłem się niestosownością podejmowania wielu obo-

wiązków, będąc już w rządzie. Trzeba było, trzeba było dopuścić wyboru z rządu w yjść, był piękny powód wysunięcia się z więzienia. Zasiadłszy w magistracie gdzie bezwątpienia byłbym rzeczywiście prezydował razem zasiadając w jizbie stałbym [się] był jistotną potęgą: ale taki krok byłby wczesnym przewidzeniem tak źle kierowanej sprawy naszej: przypuszczać takie zło, czyż się godziło? o Boże!

Monsieur Leonard Chodźko
rue de Tournon 5.
Paris.
(Ręką Chodźki)
3 Maja 1859 r.

W rozdziale czyli § 88 Polski odradzającej się pagina 105 (wydania powtórnego jest: tam (do Wiednia) wyprawił (Czartoryski) pismo zaklinające, by zwątpionej sprawie polskiej rękę podała; zapewniał, że naród polski przyjmie opiekę i panowanie austryjackie i taki rząd, jaki się Austrji nadać podoba. *Tej osnowy pismo poszło do Wiednia,* a Chodźko odczytawszy to pisze mi! że niema *opowiedzenia wiernego* co zawierało pismo! — Kiedy to opowiedzenie jest niewierne, niechże sobie szuka textu u tych, co go koncipowali, podpisywali i posiadają: tam i o dniu się dowie i czyli rzeczywiście wyprawione zostało. (Ja sądzę i twierdzę, że kiedy wygotowane było pismo, wyraziłem to w druku i nie zaprzeczano mi). Którego zaś dnia zaszła zatarga o podpis zapytaj Plichtę, a lepiej Kunata. Króla francuzów zapewnienie narodowości nadeszło 23 lipca. Mocja o radę wojenną była 24, rada wojenna 27. Dembińskiego przybycie 3 sierpnia; sejmiki w Bolimowie 10 sierpnia. 5-go czy 6-go sierpnia wyjednałem audjencję dla Dembińskiego. W tych to czasach była kwestja podpisu, ale daty przytoczone tak nabite, że wywnioskowań nie mogę dać na zaszłe dni zrękowin, które zajęły dni parę, bo Czartor. na dzień cały usunął się do swych namiotów i nie ukazał się.. Może tedy to było przed 23 lipca. Pytaj Kunata. Szukaj, szukaj sobie objaśnień nie u mnie, bom nie był przypuszczony do matactw, tylko tych matactw pomiotem. Szukaj, szukaj objaśnień, aby historja z *wieczystym gniewem* mogła rzeczywistość powtarzać. Wymaganie Austrji usunięcia się mego jest taką gadką, jak wydanie osoby. Wszystko to jest niecnych matactw wymysłem i owe ultimatum!! — To najpewniejsza, że Austrja radziła *zdanie się na łaskę.* Że Czartor. pragnął wywrócić rząd parę razy z Kaliszanami, obserwowaliśmy to, pod koniec usiłował użyć mnie za narzędzie. Po zwaleniu tedy ministrów Bon. Niemojew. i Gust. Małachowskiego, gdy Horodyski galicjanin, mój dawny przyjaciel, radzca przy boku wodza naczelnego, otrzymał tekę ministra interessów zagranicznych, ten wchodził ze mną w konferencję, a było to w czasie toczącej się misji wodza naczelnego o wywrócenie rządu. Ubolewaliśmy nad okropnym już położeniem naszym, przyznawał, że targnienie się wodza okropne położenie pogarsza, choć rząd

się utrzyma. Liczył na powstanie Galicji. Chciał mię i drugi raz tą Galicją łudzić etc. etc. Kiedy się rząd w sejmie utrzymał (czytaj notę w przekładzie francuskim § 51 Polski odradzającej się) w kilka dni przyszedł do mnie, pytając, czy bym niemiał ochoty rząd opuścić? Nie pytałem go czy od kogo przysłany, czy sam od siebie przychodzi z tą propozycją: tylkom go zapytał co z tego będzie, a gdy nie odpowiada, oświadczyłem, że najmniejszego powabu dla mnie niema siedzieć w rządzie, ale kiedym tak długo w nim przepadł, wichrzyć nie będę. Musiałbym powód mego usunięcia się opowiedzieć, co z tego? choćbym jakie błahe dał, to potym interpellowany w jizbie zniewolony był bym rozgadać się, co z tego? Zapóźno! giniemy. Mamże służyć za pretekst nowego zawichrzenia? Co z tego? Na to wszystko Horodyski z dziesięć razy powtarzał: to prawda — O Austrji, o ultimatum, o dniach 8 nie było mowy; ni jakiegokolwiek nalegania lub namawiania. A ja nie byłem zarozumiały w sobie, aby moje etat miało co dobrego zrządzić. Leonardzie! powiedz, miałżem podać rękę matactwom czy Skrzyneckiego czy Czartoryskiego czy Małachowskiego lub Wielopolskiego — ah! O poruszeniu Galicji być może, że coś marzyli: bo razu pewnego Winc. Niemoj. w rządzie powiada, że brat jego Bonawen. otrzymał od jakiegoś związku z Galicji pismo, pytające, czy mogą się zerwać do powstania. Oświadczam że i mnie takież pytanie, podpisy też same, co mamy odpowiedzieć? Czar. na to marmocze, rzuca się. Ponawiam me naleganie, aby się naradzić o sposobie odpowiedzenia, bo choć pytanie partikularne, obowiązkiem rządu, aby to rozważył. A Czartor. tupnął nogą i pięścią w stół, zerwał się i wyszedł.

W czerwcu czy już w lipcu puszczono w obieg broszurę o narodowości polskiej, utrzymującą że nią jedynie diplomatycznie starać się można, przypisywano ją Wielopol. albo Ludwikowi Platerowi. To dało powód do narad tow. patriot. o jakich wspominam § 90. Na szczęście niewielu było członków tow. tyleż gości. Adwokat Kozłowski hukał, zawijając rękawy jak rzeźnik do noża, ksiądz Gacki prawił o potrzebie odpowiedzialności gardłem. Byłem w dobrym humorze; dworując z diplomacji, drwiłem z jej sposobów, jakby w obronie. Mówcy zżymali się na to. Po 23 lipca, a tym mniej po zrękowinach nie miałbym serca do podobnych żartów. A gdy po 23 lipca przyszły króla francuzów zaręczenia narodowości: posiniał Czart. Dziś rozważam za co? wszak to musiało być z natchnienia jego diplomaty Ludw. Platera. Musisz o tym co wiedzieć, byłeś na miejscu w Paryżu. 3 broszury Usq[ue] ad finem odebraliśmy: nie wiedzieliśmy, że to od Ciebie... A Cieciszewski i Czarnecki czy was doszli?

Zapewne dobrze się stało, że biografja do swych mało poszła, a może najlepiej byłoby, aby o niej zapomnieć. A kiedy poszło w supplement, to może, może, może skreślę kiedy projekt: ale to może, bo mam co ważniejszego i konieczniejszego przed zgonem? Pozdrawiam

Lelewel.

N O T A.

Ręką Chodźki:
Pisana w Brukselli w końcu Sierpnia 1859.

Wśród największej zabieżności swej naukowej wszedł do jizby z gminy warszawskiej, jako poseł powiatu żelechowskiego. Na sejmie mało mówił, a wielce był czynny prezydując komissji (bureau) organiczno administracyjnej, przez którą różne projekta przechodziły. Wnet jednak doznał, że sposób jego widzenia niezbyt do myśli tych, co do aristokrackich tęsknili wyosobnień: zaczym uzyskał miano republikanina.

Wkrótce dośpiewała rewolucja 29 listopada, która wywołała powstanie narodowe. Młodzież zasięgała rady L. który mógł ją zapewnić, że naród ruszy cały: co się też stało. Ale młodzież nie wzięła kierunku sprawy. Rada administracyjna nie stawiając oporu poruszeniu narodowemu, wezwała do pomocy kilka osób z senatu i jizby poselskiej w liczbie których znajdując się L. miewał niemały udział w rozwinięciu rewolucji i powstania narodowego.

Gdy się z rady administracyjnej 2 grudnia udali do Wierzbna do W. Ks. Konstantego delegowani, L. był tam bardzo potrzebny. Należał potym do składu rządu tymczasowego. Projektowanej konfederacji zjednoczenia[1]) nie dopuścił: po co było zjednoczenie tworzyć? dla rozjednoczenia. A gdy uzurpacja diktatury (5 grudnia) przyjęta została, Lelewelowi poruczono doglądania ministerstwa oświecenia. Kiedy po otwarciu sejmu 18 grudnia w parę dni 20 grudnia sejm Chłopickiego na diktatora powoływał; L. nie dając na to głosu, przeciw temu oświadczył się, zostając przy kontrolli ministerstwa oświecenia. Z Sejmu samego w komisji pełnomocnej do napisania manifestu był wespół z Konstantym Świdzińskim głównym tego manifestu redaktorem (Manifest 5 Stycznia 1831). Gdy po usunięciu 25 stycznia Mikołaja, projektowano przysięgi[2]) odparł takowe: bo gdy naród swój obowiązek dopełnia, przysiąg niepotrzeba. Stosownie do projektu i decizji komisij sejmowych (bureau) redagował ustanowienia rządu. Chciał aby rząd był odpowiedzialny: na to nieprzyzwolono; chciał aby członkowie jizby co do rządu wejdą w jizbie zasiadać nie przestali: to odrzucono; doktrinery; wielom wydało się to zbyt rewolucijne. Udało mu się umorzyć ordery, zostawując tylko krzyż wojskowy, udało się nadać rządowi miano narodowego. Od początku widział w zaszłej rewolucji powstanie narodowe i utrzymywał, że z powszechnego wzruszenia wyniknąć muszą zmiany w so-

[1]) Na marginesie: dopisał Lelewel: „Ta konfederacja zjednoczenia była wymysłem Gustawa Małachowskiego".

[2]) Na marginesie. Później Skrzynecki obmyślał przysięgi dla wojska, ale się skończyło na dorywczej paradzie i dał pokój.

cjalnych stosunkach. Nieprzesądzając więc przyszłości życzył aby nie rozprawiano czy królestwem czy rzecząpospolitą Polska będzie, a wszystko przyodziać wyrazem narodu. Mimo tego, gdy uchwalono rząd pięciu, poszukiwano do składu jego reprezentantów rojalizmu doktrinerji i republiki. Wola sejmu 1 lutego wsadziła L. w rządzie jako reprezentanta principjum republikańskiego. Przeciwności dla niego wzmagały się. Dawał dowody obojętności na nie, mianowicie kiedy przyaresztowanie swe za diktatora, puścił mimo siebie. Dostrzegał jednak, że jego wziętość podkopaną została, wpływ wycieńczony. Ujrzał się w rządzie i wsprawie narodowej wyosobnionym. W sejmie już 8 lutego podchwycono uchwałę królestwa konstitucijnego.

Życzył aby sejm na ciągłe nie zasiadał tylko dorywczo w razie potrzeby, polecając swym komissjom (bureaux) surowy nadgląd władz wykonawczych. To się niestało sejm zużył się.

Utrzymywał, że rząd drogą administracijną może w dobrach narodowych pańszczyznę umorzyć i dał do tego przykład. Nie stało się tak rzecz nieszczęściem wniesiona do sejmu.

Widział nietylko poznańskie ale i galicyjskie powstanie zupełnie umorzone; do gabinetu wiedeńskiego pisma, nie podpisał, poczytując go za niegodne. Było to 4 sierpnia.

Obrady towarzystwa patrioticznego wraz z dziennikarstwem, stan rzeczy na polu boju i diplomacji głośniej rozważano. Było to w dolegliwym już stanie rzeczy objawieniem się opinji powszechnej i przestrogą dla rządu i sejmu. Tymczasem magistrat miasta oświadczył, że nie odpowiada za spokojność stolicy, towarzystwo też patrjoticzne 3 sierpnia rząd ostrzegało.[1])

Radził naostatek tłum obywateli stolicy, a 15 sierpnia zaledwie o naglącym niebezpieczeństwie rząd zawiadomili; wybuch nastąpił: lud sobie sprawiedliwość wymierzał.

Nazajutrz 16 sierpnia w rządzie pozostałym L., zdaniem magistratu wsparty, zaledwie przewiódł roztropną do ludu odezwę: i to było ostatnią jego czynnością, nazajutrz 17 sierpnia z kollegami abdikował.[2]).

Od tego czasu, gdy się wszystko jiściło co przepowiadał, lubo zasiadał niekiedy w kole sejmowym, ale się zupełnie od czynu uchylił. Szedł z wojskiem do Prus ustępującym, przemknął się potem przez Niemcy i stanął w Paryżu dnia...

W Paryżu wnet powołany był przez tułaczy do przewodniczenia komitetowi narodowemu. Nalazł się wprawdzie sejm w komplecie, ale

[1]) Na marginesie: Powodem do attakowania diplomacji były pisemka: coup d'oeil sur la question polonaise (Z Platera?) i Wielopolskiego: memoir presenté à lord Palmerston.

[2]) Na marginesie: Narada o to trwała od 5-ej rano do południa. Wykryślono przecie z redakcji wyrazy: lud sobie sprawiedliwość wymierzył, za utrzymaniem czego z magistratu obstawali.

nie można go było przywieść do czynnej manifestacji: przemawianie w sprawie Polski dopełniał komitet narodowy. Strzegł się aby nie był hostile au gouvernement français: ale aby mógł bez jego obrazy swobodnie przemawiać, oparł się na opozicji i znalazł wsparcie w życzliwości Lafayetta. Po wielomiesięcznej usłudze zostawił L. dalsze tych manifestacji powodowanie Dwernickiemu i jinnym, a sam na zgubne rachuby na fałszywą diplomację; źle prowadzoną rzecz na polu boju; niemoc rządu: był jednak dobrej myśli, nie tracił otuchy, powtarzając w rządzie: zmaga się myślenie narodu z paraliżowaniem jego. Że sparaliżowano wyczuł to z czasem prezes rządu narodowego sam.

Powstanie Ukrajinne i Litwy pobudziło L. do wygotowania ustawy o reprezentacji powstańskiej do sejmu: a ta mimo diplomatycznych przeciwności utrzymaną została. W skutek tego 1 lipca 8, 10, 12 sierpnia odbywały się sejmiki powstańców już exulanckie.[1])

Poczęły się ostatecznie rozwijać klęski i wewnętrzny niepokój; a obrady sejmowe zajęte zostały projektem zmiany i obalenia rządu.

W pierwszych dniach rewolucji zjawił się był klub, co swym prezesem ogłosił Lelewela choć ten ani razu nie miał czasu przewodniczyć jemu. W czasie diktatury klub swe obrady zawiesił, a po upadku diktatury, organizując się w towarzystwo patrioticzne do przewodniczenia obradom swym wezwał kilku z jizby poselskiej. Z tych jeden L. tę partikularną towarzystwa usługę niekiedy czynił.

Kiedy zamierzono rząd obalić i wady w składzie jego rozważano, uderzono głównie w stanowisko Lelewela. Rząd się utrzymał; a L. spokojny, a dość uparty nie tak łatwy był do strawienia. Usiłowano towarzystwo patrjoticzne wówczas prawie nieczynne rozwiązać. L. go utrzymał. Insinuowano L-owi aby sam z rządu się usunął, odpowiedział: w przepaść jego wtrącony z nim razem przepadnę, usunięciem się pojedyńczym wichrzycielem nie będę. Gdy zaocznie w sejmie jimienia jego nadużywano, wygotował dziełko porównanie trzech konstitucji i takowe kollegom jizby 22 lipca rozdał. Bolał nad toczącemi się zdarzeniami, niejedna rzecz stawała się dla niego gorzka; kojił rosnącą drażliwość, wiedząc, że wiele rzeczy działo się bez jego udziału i wiedzy. Wygotowanego w rządzie w jimieniu narodu ponawiane reklamacje i nalegania Rosji z Francji ustąpić musiał.

Osiadł w Belgium w Brukselli. Bez resursów, nietykając niczyjego grosza, nieraz dans une peinrie extrême, pędząc życie skromne, austère a wszystkim przystępne. Nie mógł żadnego obowiązku na siebie przyjąć albowiem takim zagrodził by mu dopełnianie obowiązków tułacza, kiedy długo jeszcze niewolony był pełnić usługę publiczną emigracji; w latach 1833 i następnych jeszcze przewodniczył wielkiemu wydziałowi republikanckiej demokraticznej emigracji.

[1]) Na marginesie: Dokazało się tego niesłychanym przebojem!

Powoli rozwinął sobie pracowite naukowe zatrudnienia. Prócz hist. de Pologne, wydał parę dzieł numizmatycznych i la geographie du moyen âge. Dzieła te nie mogły mu potrzebnych do utrzymania środków dostarczyć. Dostarczył mu takowych własny do tych dzieł sztych: rysunek monet i kart geograficznych na stu kilkudziesięciu płytach do tych dzieł dołączonych, wydawcy nie miał, wydawał sam. Po dziesięciu leciech dopiero poczęło mu przychodzić w pomoc wydawnictwo dzieł we własnym polskim języku, których odbyt we własnym kraju mianowicie pod rossjiskim panowaniem długo zupełnie był wzbroniony i dotąd niesłychanych trudności doznaje.

Na marginesie: Juljan Bartoszewicz w pierwszych latach w Warszawie za pozwoleniem cenzury w publikacji swej wspomniał imię L. Za to Paskiewicz na lat kilka wygnał go z Warszawy na prowincję.

III.

ZE ZBIORU DOKUMENTÓW[1].

1.

Komisya Rządowa
Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Chcąc bliższe dla kraju zapewnić pożytki z talentów dobrze sobie zaleconego z chwalebnych obyczajów i zdatności JW-go Joachima Lelewel Adjunkta przy Imperatorskim Uniwersytecie Wileńskim proponuję Mu miejsce zastępcy profesora Bibliografii w Królewsko-Warszawskim Uniwersytecie i oraz Bibliotekarza Publicznej Biblioteki, z pensyą roczną Złotych polskich sześć tysięcy, i rychłej Jego w tej mierze deklaracyi oczekuję. W Warszawie dnia 24 Lutego 1818.

Minister Prezydujący *S. Potocki*
Głuszyński, Sekretarz Jlny W. W. O. B.

2.

Komisya Rządowa
Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Znanego sobie z chwalebnych obyczajów, zdatności i prac uczonych JPana Joachima Lelewela dotychczasowego Zastępcę, mianuję Bibliotekarzem Publicznej Biblioteki, tudzież stałym Profesorem Bibliografii i niektórych części historyi w Wydziale Nauk i Sztuk Pięknych Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu, z pensyą etatem ustanowioną, i do dalszego pełnienia obowiązków niniejszym patentem wzywa.

Minister Prezydujący
Stanisław Grabowski
Sekretarz Jeneralny
Głuszyński.

Patent dla JPana Joachima Lelewela na Bibliotekarza i Stałego Profesora Bibliografii, tudzież niektórych części historyi w Królewsko-Warszawskim Uniwersytecie.

---

[1]) Dokumenty te znajdują się w zbiorach rodzinnych. Korzystam z nich dzięki uprzejmości pp. Lelewelów.

3.

Towarzystwo Nauk
złączone
z Uniwersytetem Jagiellońskim

Do
Wielmożnego Joachima Lelewela Członka
Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego.

Jeśli zgodne uwielbienia uczonych i rozlegający się odgłos chwały, najlepiej oceniają zasługi w Literaturze położone, przecież są jeszcze wyższe i czułemu sercu potrzebne nagrody, które podnoszą niejako cześć osobistą, gdy iey nadaią powszechnieysze znaczenie powagą publicznego urzędu. W takim to celu Towarzystwo Nauk na łonie starożytney Akademii Krakowskiey zawiązane, nie mogąc w duchu upadłych zwyczaiów zdobić wieńcem góruiącego talentu, poczytało sobie za chlubną powinność zaprosić Wielmożnego Pana Dobrodzieia do uczestnictwa prac swoich, iako Męża, który przez historyą Narodową i wzorowe pióro, granice Polskiego Oświecenia tak zaszczytnie rozszerza.

Łączę wyraz winnego upoważania

Pirtler
Czaykowski Sekr. Tow. Nauk.

4.

Милостивый Государь Мой!

Высочайше утвержденное С. Петербургское Вольное О-во Любителей Россійской Словесности, уважая въ полной мѣрѣ отличныя познанія Ваши въ Наукахъ и Славянской Литературѣ, избрало Васъ на основаніи § 33 Устава, Почетнымъ Членомъ, и опредѣлило журналомъ своимъ, въ 18 день Декабря состоявшимся, о семъ сообщить Вамъ.

Съ особенныъ удовольствіемъ я поспѣшаю исполнить возложенное на меня порученіе и препровождая у сего экземпляръ Высочайше утвержденнаго Устава, долгомъ поставляю извѣстить Васъ, что въ непродолжительномъ времени я буду имѣть честь доставить Вамъ, Милостивый Государь мой, дипломъ на достоинство Почетнаго Члена.

Съ истиннымъ почтеніемъ и совершенною преданностью честь имѣю быть

№ 599, 24 Декабря 1822. С. Петербургъ
Профессору Император.
Виленскаго Университета
Г. Лелевелю

Вашимъ
Милостивый Государь мой!
всепокорнымъ слугою
Ѳеодоръ Глинка.

5.

Милостивый Государь
Іоахимъ Карловичъ!

Учрежденное при ИмператорскомъХарьковскомъУниверситетѣОбщество наукъ, во уваженіе заслугъ Вашихъ, извѣстныхъ Ученому Совѣту, избравъ Васъ въ почетные члены онаго, поручило мнѣ извѣстить о семъ Васъ.

Исполняя столь лестное для меня порученіе Общества и препровождая при семъ экземпляръ устава онаго, честь имѣю быть съ истиннымъ почтеніемъ и совершенною преданностью

Вашимъ
Милостивый Государь
26 Генваря 1829 Покорнѣйшимъ слугою
№ 2. *Василіи Коли* (nazwisko nieczytelne)

6.

Imperiale e Reale Accademia Economico-Agraria dei Georgofili di Firense[1]).

Intenta sempre l'Accademia ad ascrivere nel numero dei suoi membri le persone che non solo possono recarle decoro con il loro nome, ma ancora esserle utili con la communicazione d'esperienze e di scritti diretti all'avzanzamento delle cognizioni teoriche e pratiche riguardanti l'Agricultura e qualunque altro Ramo d'Economia publica e privata, e delle Scienze ed Arti quei particolari che con esse abbiano relazione, ha nell Adunanza ordinaria dei tredici Aprile 1828 eletto voi *Sig. Giovancchino Lelewel* per uno dei suoi *Socj. Corrispondenti* et percio ve ne diamo la presente in prova della vostra ammissione, e come un attestato del vostro merito e della nostra stima per Voi.

Data in Firense nella Residenza dell Accademia questo 14 Aprile 1828.

Emanuele Repetti Secretaria degli Atti.

7.

Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk

Ma zaszczyt zawiadomić Szanownego Kolegę, że na posiedzeniu ogólnem z d. 7 b. m. z 28 glosujących, prawie jednomyślnie, bo 27 głosami obrany został Inspektorem Biblioteki... Błagamy Cię więc, Szanowny i niespracowany Kolego nie odmawiaj przyjęcia tego urzędu... Gdybyś odmówił, najsroższy byłby to cios dla zbiorów naszych.

List z d. 11 Listopada 1830 r. Podpisany *Niemcewicz.*

8.

№ 370 w Warszawie dnia 21 Grudnia 1830.

DYKTATOR

Potwierdza udzieloną w dniu 6-tym b. m. P. Joachimowi Lelewel nominacyę na Zastępcę Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego *Chłopicki*

Sekretarz Jeneralny Dyktatora *S. Krysiński.*

[1]) Cesarsko i Król. Akademia Ekonomiczno-Agrarna Georgofilów (miłośników rolnictwa).

9.

Warszawa, 29 Stycznia 1831 r.

Do JW-go Joachima Lelewela

Zgromadzenie Litwinów, Wołynian, Podolan i Ukraińców, pod właściwem nazwiskiem Zjednoczonych Braci, za drogi poczytuje obowiązek przybrać JW-go Pana jako Prezesa czynnego w poczet swych członków i pośrednictwem swej Deputacyi o przyjęcie uczestnictwa w tem zgromadzeniu i Jego naradach najuprzejmiej upraszać.

Deputowani.

Jan Toplicki, Adolf Xiążę Giedroić, Karol Kaczkowski, Antoni Bernatowicz, Mikołaj Mikosy, Denisko, Ludwik Bętkowski, Lew Sawaszkiewicz

Wykaz nazwisk.

SPROSTOWANIE.

W rozdziale II str. 19 książki niniejszej autor, wspominając o domu, w którym się urodził Joachim Lelewel, zaznaczył, że dom ten nie ozdobiony jest nawet tablicą pamiątkową. Rozdział ten, jak zresztą większa część książki, przygotowany był do druku jeszcze przed wojną. Dla ścisłości dodać należy, że po wyjściu wojsk rosyjskich z Warszawy, staraniem T-wa Literatów i Dziennikarzy polskich, w ściany domu Lelewela wmurowana została tablica pamiątkowa. Jednocześnie tablicą pamiątkową odznaczony został dom przy ul. Długiej, w którym mieszkał Maurycy Mochnacki.

TREŚĆ.

63/63 4/5/9/65 60—

Sliwiński, Artur
Joachim Lelewel

